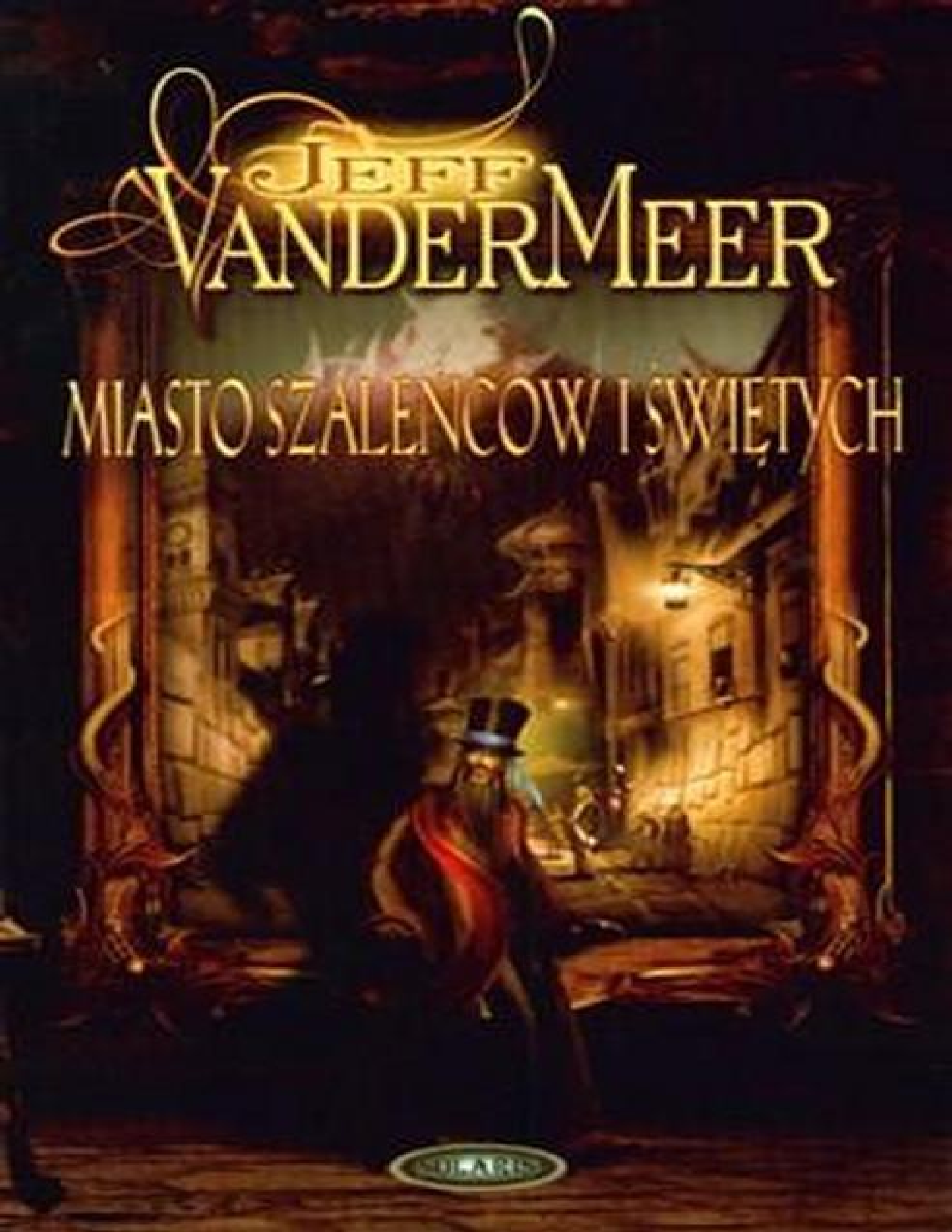


JEFF VANDERMEER

MIASTO SZALENCÓW I ŚWIĘTYCH



SWANS

JEFF VANDERMEER

MIASTO SZALENCOW I SWIETYCH

MIASTO SZALENCOW

I SWIETYCH

JEFF VANDERMEER

Wstep Michael Moorcock Przelozyli Konrad Kozlowski Jolanta Pers

SOLARIS

Stawiguda 2008

Miasto szalencow i swietych Tyt. oryg. City of Saints and Madmen Copyright (C) 2002 by Jeff VanderMeer All Rights Reserved Illustrations: John Coulthart, Scott Eagle, Eric Schaller, Jeff VanderMeer, Mark Roberts, Dave Larsen, Hawk Alfredson Adaptacja oryginalnych ilustracji do polskiego wydania: Michal Lisowski, Tadeusz Mieszko

ISBN 978-83-89951-88-5

Jolanta Pers przelozyla teksty: "Zakochany Dradin", "Przemiana Martina Lake'a" Konrad Kozlowski przelozyl wszystkie pozostale teksty Projekt i opracowanie graficzne okladki Tomasz Maronski Redakcja Iwona Michalowska Korekta Bogdan Szyma Sklad Tadeusz Mieszko Wydanie I Agencja "Solaris" Malgorzata Piasecka 11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A Tel./fax 089 5413117 e-mail: agencja@solaris.net.pl sprzedaz wysylkowa: www.solarisnet.pl

Coz jeszcze mozna powiedziec o Ambergris, czego nie powiedziano juz wczesniej? Kazdy najmniejszy fragment tego miasta, niewazne jak pozornie czy wyraznie zbyteczny, posiada zlozona, a przy tym przebiegla i kreta role do odegrania w jego spolecznym zyciu. I nie jest wazne, jak czesto przechadzam sie bulwarem Albumuth: nigdy nie tracze poczucia niedajacego sie z niczym porownac splendoru tego miasta – jego uwielbienia dla rytualu, pasji do muzyki i nieskonczonej mozliwosci cudownego okrucienstwa.

–Voss Bender, Wspomnienia kompozytora, tom 1, strona 558, Ministerstwo Kaprysu

Dla Ann, ktora znaczy dla mnie wiecej niz slowa

SPIS TRESCI

KSIEGA AMBERGRIS

Istota VanderMeera. Wstep Michaela Moorcocka 9

**The Real VanderMeer. Introduction by Michael Moorcock tl. Konrad Kozlowski
Zakochany Dradin 13**

**Dradin, In Love tl. Jolanta Pers Hoegbottonski przewodnik po wczesnej historii
miasta Ambergris 75**

**The Hoegbotton Guide to the Early History of Ambergris tl. Konrad Kozlowski
Przemiana Martina Lake'a 135**

The Transformation of Martin Lake tl. Jolanta Pers Niezwykly przypadek Iksa 191

**The Strange Case of X tl. Konrad Kozlowski APPEND-IKS tl. Konrad Kozlowski 234
List od dr. V do dr. Simpkina 235**

A Letter from Dr. V to Dr. Simpkin Notatki Iksa 241

X's Note Uwolnienie Belacquy 244

The Release of Belacqua Krol Kalamarnic 253

King Squid Historia rodziny Hoegbottonow 326

The Hoegbotton Family History Klatka 338

The Cage W pierwszych godzinach po smierci 391

In the Hours After Death Notka od dr. V dla dr. Simpkina 402

A Note from Dr. V to Dr. Simpkin Czlowiek bez oczu 404

The Man Who Had No Eyes Wymiana 410

The Exchange Uczac sie, jak opuscic swe ciało 440

Learning to Leave the Flesh Glosariusz Ambergrianski 458

The Ambergris Glossary

ISTOTA VANDERMEERA

Wstep – Znasz oczywiscie VanderMeera. – Tluste, czerwone paluchy Schomberga

piescily przeliczone przed chwila banknoty. Dopiero po chwili umiescil je w kasetce i spogladajac na mnie z ukosa, udal, ze chowa ja po stolem. – Kapitana VanderMeera? Pierwszego oficera na "Shrieku", poki ten nie wpadl na rafy. Pana na "Zabie", gdy po raz kolejny zawital na Wyspy.

–Jak rozumiem, byla w to wmieszana kobieta? – Upilem lyk sklebionej zawartosci swojej szklanki, napoju miejscowej produkcji, ktory wydawal mi sie podejrzenie pikantny.

–Znal samego Shrieka i odwalal za niego cala brudna robote. – Schomberg wykrzywil twarz w grymasie tak charakterystycznego dla niego niesmaku wzgledem wszelkiego rodzaju lajdactw i moralnej slabosci innych niz jego wlasne. Grzechoczace nad naszymi glowami wielkie wiatraki krecily sie, poruszajac gestym, wilgotnym powietrzem. – To Dradin mu to zrobil. Tak przynajmniej wszyscy tu uwazamy. Jasno widac, co sie stalo. To wszystko jest w ostatniej opowiesci, o ile tylko nie boisz sie poswiecic jej swej pelnej uwagi.

–Wiec, mimo wszystko, lks byl jednak jego muza, jego miloscia?

Schomberg wzruszyl ramionami. Wyraznie bylo widac, ze chce sie mnie pozbyc. Kiedy usuwalem sie z jego opowiesci, uslyszalem, jak ciezko oddycha z ulga. Bedzie mi brakowalo jego przyziemnych wyjasnien, lecz moja obecosc wyraznie wzбудzala jego niepokoj. Wolnym spacerkiem wrocilem do siebie, by po raz kolejny zaglabic sie w VanderMeerze...

–Josef Conrad, Ocaleni, 1900 W tych zamierzchlych czasach, do ktorych wszyscy wciaz tesknie wracamy, nie bylo kapitana darzonego wiekszym szacunkiem nizli VanderMeer, zeglujacy po Wyspach Mirazu i Polwyspie Ambergrianskim. Koneserzy ze wszystkich portow, od Jannquork poczawszy, na San Francisco skonczywszy, wyczekiwali jego wspomnien z wielka niecierpliwoscia; lecz gdy te wreszcie ujrzaly swiatlo dzienne, nie wszystkim przypadly do gustu. Bo mimo iz relacja zawarta na ich kartach byl autentyczna, to jednak wybrane metody w wielu przypadkach okazaly sie groteskowe, barokowe i fantastyczne, jakby autor usilnie staral sie i dazyl, by jego styl odzwierciedlal wizje, ktorych osobiscie doswiadczył. To pewne, ze podobna gestosc narracji byla odrobine zbyt wymagajaca dla czytelnikow przywyklych do podazania jednotorowa, sentymentalna fabula, ktora w wiekszosci wydawanych obecnie ksiazek uchodzi za cala opowiesc, jakby istniala jedna zaledwie prawda, i tylko jeden jedyny sposob, by ja wyrazic, zaledwie jedna postac bedaca centralnym zrodlem zainteresowania, jeden jedyny punkt widzenia, z ktorym czytelnik powinien sympatyzowac.

Nie powinno jednak budzic niczyjego zaskoczenia, ze instynktowna reakcja autora na wlasne przezycia okazala sie tak postmodernistyczna. Jako jeden z czlonkow wspolczesnej grupy niepospolitych i nadzwyczajnych kapitanow podazajacych za

własnymi kreslonymi w głowie mapami, kapitan VanderMeer jest mistrzem kilu i zagła, a stojąc za sterem potrafi zabrać swój okręt, dokadkolwiek tylko przyjdzie mu ochota, czy po to, by szybować nim po kamienistych pływaczach, czy też, by agresywnie zanurzać jego dziób w zatłoczonych wodach Glebi. Napędza go bowiem owo zamilowanie do osobliwości, dzika ciekawość i uwielbienie dla egzotycznych skarbów, jak również zafascynowanie złożoną architekturą i smakiem dla obcości odnajdywanej w czymś pozornie normalnym, niosąc z dziwnym i osobliwym zestawem sprzętów w każdy możliwy zakątek wszechświata, który do tej pory nie został jeszcze odkryty. Powraca stamtąd z godnymi uwagi niezwykłościami, tak wartościowymi, że dopiero muszą odnaleźć swoją prawdziwą cenę, czy też, w rzeczy samej, swych koneserów.

Gdy nieodmiennie przychodzi nam na myśl takie książki jak *Mercury* kapitana Smitha, *Zothique Ashtona* Smitha, *Dying Earth* Jacka Vance'a, *Viriconium* spiochadmirala Harrisona czy *Old Mars* lady Brackett, a nawet granice eksplorowane przez słynną ekspedycję Hope Hodgsona, równocześnie snujemy pełne szacunku porównania do samego Dunsany'ego, a nawet Lovecrafta, najprawdopodobniej jednak odnajdujemy więcej poręcznych podobieństw u tych niedawnych reporterów z krawędzi wyobraźni.

Przywołajmy tu *Beerlight* kapitana Ayletta oraz *Endland* pilota Etchellsa, w których opisane zwyczaje i obyczaje są nam od razu bardzo bliskie, będąc równocześnie tak obce i dziwne. Od czasów wielkiej ekspansji kapitanów DiFilippo, Constantine'a, Mieville'a i Newmana oraz kapitan Gentle, wszyscy powracali z tych nowych światów z obcą walutą. A coraz to nowi odkrywcy ze smakiem do egzotycznych geografii wciąż nie ustają w poszukiwaniach Umykającego Horyzontu i Najdalszego Równoleżnika. I wszyscy oni pozostawiają nam relacje ze swych wypraw.

Jednakże zaledwie garstka posiada wzniosłe dostojeństwo, tak charakterystyczne dla *Ambergris*, które bardziej przypomina wspaniałe i niemal zakończone *Tytus Sam Peake'a*. Oto złożony surrealizm świeżo odkrytej historii, zaledwie o cieniu, o drobiny dalej w głąb ładu od najbardziej znanych i poznanych wybrzeży. Ma to coś wspólnego z monumentalną ziemią jałową przedstawioną nam przez sir Davida Brittona w mrocznych wspomnieniach *Lord Horror* i *The Auschwitz of Oz*. Przypomina także złożone i powiklane *Sinai Tapestry* Whittemore'a oraz krainy odkrywane przez walijskich kapitanów, od Cowper Powysa począwszy, na *Rhysie Hughesie* i przedziwnie nazywającej się kapitan Tafty Sinclair skończywszy. Kolejnym kapitanem rysującym własne mapy, by następnie nimi podać, jest Robert Irwin w swej *Arabiste*. Podobnie jak VanderMeer, wszyscy oni są dowódcami własnych literackich celów, tworząc tak odważną kompanię umysłowych nawigatorów, o jakiej odkryciu ty, drogi czytelniku, mogłbyś tylko marzyć.

Przyglądając się uważnie VanderMeerowi, przypominamy sobie wspaniałości *Angkor* i *Anudhapury* połączone ze zgiełkiem i gwarem Indonezji pióra kapitana

Conrada, awanturnicznymi i ryzykownymi intrygami Bizancjum czy Wenecji oraz brutalnymi wojnami Holendrow o przyprawy, toczonymi w Indiach. Lecz czasem, jakby instruując i przypominając o sobie, wtraca się sam Proust. VanderMeer opisuje świat tak bogaty i przesadzony, tak pełen tajemnego życia, że aż odciągający czytelnika od jakichkolwiek zamierzonych moralnych czy przesmiewczych glebi i porywający w samo bogactwo swego łona. Istnieje, rzecz jasna, podejrzenie, że autor nadużył nieco tych materiałów w celu zakpienia sobie z tego i owego, a może nawet przedstawienia własnej wizji. Czy jednak zdołał wywołać realne zmiany w swoim świecie? Czy Ambergris, które odwiedzimy następnym razem, będzie w ogóle przypominało romantyczną wersję VanderMeera? A co z plotką, że na kartach tej powieści istnieje tak cudowny odcień mrocznej herezji?

Wierzę, że nie jestem jedynym, który skalował odnośniki do gigantycznej kalamarnicy i odczuwał emocjonalne zaangażowanie bardziej właściwe, czy też, by być tu zupełnie szczerym, charakterystyczne dla związku matki i dziecka niżli człowieka i glononoga. Lecz nie czas tu ani miejsce, jak również nie taka nasza intencja, by analizować teraz postać kapitana VanderMeera, czy też jego upodobania, którymi dzieli się z nami na kartach tej książki. Powinnismy raczej docenić tę rzadko spotykaną fakturę, jaką prezentuje jego proza, zachęcająca jaskrawość dokonanych przez niego opisów i wszelkie dziwactwa jego idiosynkratycznego umysłu, które dyrygują, z pompatycznym wręcz rozmachem, całą siecią tamtejszej rzeczywistości.

Czerp, drogi czytelniku, ile tylko możesz i potrafisz z gobelinu powieści i wizji, jaki autor rozkłada przed tobą. To bardzo rzadki skarb i należy go smakować z równoczesną rozkoszą i szacunkiem. To dzieło oryginała. Właśnie na coś takiego tak długo czekałeś.

Michael Moorcock

Ranczo Circle Squared

Lost Pines, Texas październik 2000

I

RADIN, ZAKOCHANY, TKWI POD oknem swojej ukochanej i gapi się w gore, a tłum przelewa się dookoła niego i otacza go; ludzie wpadają na niego i potracają go, a on stoi tam, nieswiadom obecności tysięcznego tłumu w poszarpanych ubraniach i o zarozowionych policzkach. Dradin patrzy na nią: spisuje tekst dyktowany przez maszyny, nieprzenikniony blok szarości, z którego wyrasta para słuchawek na jej delikatnej głowie o kształcie jajka. Dradin stoi tam oglupiały i coraz głupszy, zatopiony w anielskim blekocie jej oczu i kaskadach długich, błyszczących włosów

spadających jej na ramiona, jej bladej twarzy, która przez szyby wygląda smutno, ledwo widoczna z powodu odbijającego się w oknie szarego nieba. Znajduje się trzy pietra powyżej niego, zamknięta w cegle i zaprawie, nieomal jak pomnik; jej miejsce jest tuż nad szyldem "Hoegbotton i Synowie, Dystrybutorzy". Hoegbotton i Synowie: największy importer i eksporter w Ambergris, mieście bezprawia, jednym z najstarszych miast na świecie, którego nazwę utworzono od ambry, najcenniejszej i najbardziej tajemniczej wydzieliny wieloryba. Hoegbotton i Synowie: niezliczone skrzynie narzędzi deprawacji, przesyłanych dla rozrywki dekadentów z daleka, z odległej Surfazji i piekielnego Okcydentu, miejsc, gdzie wszystko nasiąka wodą, dojrzewa i rozpada się w mgnieniu oka. A jednak, rozmyśla Dradin, ona wygląda, jakby była pogodna osoba, bynajmniej nie typem wolącym pozostawać w domu, ale czującym się za granicą niepewnie, chyba że opierając się na ramieniu ukochanego. Czy ma kochanka? Meza? Czy jej rodzice jeszcze żyją? Czy lubi operę, czy może sprosne przedstawienia teatralne wystawiane w pobliżu doków, gdzie słychać trzeszczenie spracowanych stawów robotników, ładujących skrzynie firmy Hoegbotton i Synowie na barki, które potem ruszają z biegiem rzeki Moth, toczącej sennie pełne szlamu wody, by wpasć w zburzone morskie fale? Jeśli lubi teatr, to mnie na nią stac, myśli Dradin, gapiąc się na kobietę. Długie włosy opadają mu na twarz, ale jest tak oszolomiony, że nawet tego nie zauważa. Do rzeki jest daleko i Dradin prawie widać w upale, ale nie czuje potu spływającego mu po karku.

Dradin, odziany w czarny strój z zakurczonym białym kołnierzykiem i zakurzone czarne buty, tworząc wokół siebie aure bezrobotnego misjonarza (którym rzeczywiście był), wcale nie zamierzał patrzeć na kobiety. Nawet nie zamierzał spoglądać w górę. Spoglądał w dół, by pozbierać monety, które wypadły mu przez dziury w powycieranych spodniach; siedzenie podarł, jadąc podskakująca dorozka z doków Ambergris, ciągnięta przez konia, który już dawno powinien trafić do fabryki kleju, być może zabranego do rzeźni tego samego dnia – dnia poprzedzającego Festiwal Słodkowodnych Kalamarnic, jak poinformował Dradina gorliwie woznica w nadziei, że ten będzie chciał jeszcze skorzystać z jego usług. Dradin był jednak w stanie utrzymać się na siedzeniu tylko podczas jazdy do pensjonatu; potem rzucił bagaż w pokoju, wrócił do dzielnicy handlowej – by złapać trochę lokalnego kolorytu, coś przekąszyć – i tam rozstał się z woznicą. Przesiadł smrodem sparszywiałej kobyły, ale coż, trudno, to tylko zwierze, nie mógł sobie pozwolić na konie mechaniczne, dymiący i ociekający olejem pojazd silnikowy. Nie teraz, gdy kończyły mu się pieniądze i rozpaczliwie szukał pracy: po to przecież przyjechał do Ambergris. Jego były nauczyciel w Akademii Religijnej w Morrow – niejaki Cadimon Signal – nauczał w Dzielnicy Religijnej Ambergris, a przy tylu świętach pewnie znajdzie się jakaś praca?

Kiedy jednak zbierał monety, poderwał się na równe nogi zbyt gwałtownie, a przebiegająca obok banda rozwydrzonych lobuziaków zakreciła nim i potrzasnęła. Spojrzał na szare, ciężkie od deszczu niebo i odwrócił się w stronę okna, w które teraz patrzył z takim zaangażowaniem.

Kobieta miała długie, delikatne palce, którymi wystukiwała coś zgodnie z własnym, dziwnym rytmem; równie dobrze mogła grać piątą symfonię Vossa Bendersa, nurkując w smutnych niskich tonach i wznosząc się na imponujące wyzyny, którymi zawiadł Bender. Gdy przez sekundy Dradinowi ukazało się poprzez szkło jej oblicze – chyba pochylona się trochę do przodu, by przesunąć tasme – dostrzegł, że jej rysy, podobnie jak dłonie, są powściągliwe, o pięknych liniach, wyrafinowane. Nie było w niej nic, co przypominałoby mu o okrutnym świecie, jaki go otaczał, ani o wielkich, niepoznanych dżunglach południa, z których właśnie wrócił, gdzie czarna pantera i jeszcze czarniejsza mamba czaiły się w mroku, gdzie trawiła go gorączka i gdzie doświadczył takich wątpliwości z powodu braku chętnych do przejścia na jego religię, że wrócił do cywilizacji, w której panowały prawa i rzady i w której – o, słodka radości! – istniały takie kobiety jak to stworzenie w oknie. Patrząc na nią, czując, jak burzy mu się krew, Dradin zastanawiał się, czy ona przypadkiem mu się nie sni, niczym otoczona aureolą rozpalona wizja zbawienia, która zaraz rozwieje się jak uluda, a jego znowu ogarnie gorączka, w dżungli i w ciemności.

To jednak nie był sen i nagle Dradin ocknął się z zadumy, uswiadamiwszy sobie, że ona może go zobaczyć, bo jest tak wrażliwa, albo że jakiś przechodzień odgadnie jego zamiary i ostrzeże ją. Otaczał go prawdziwy świat, od smrodu rozkładających się w rynsztokach warzyw po słodki odor częściowo obgryzionych świnich goloniek w smietnikach; stuk-puk-stuk konskich kopyt i terkot klaksonów pojazdów silnikowych; szemrzący szept grzybian, obudzonych z dziennego snu i nagle, z ukrycia, odgłosy barokowej, melodyjnej muzyki, odtwarzanej z trzaskami, jakby z fonografu. Ludzie wpadali na niego, nie zostawiając mu miejsca na zrobienie kroku: kupcy, zonglerzy, sprzedawcy noży, uliczne golibrody, turyści, prostytutki i marynarze, którzy zeszli ze statków, a nawet bladolicy młody silacz, posyłający mu gangrenowaty uśmiech.

Dradin pojął, że musi coś zrobić, a przecież był zbyt niesmiały, żeby do niej podejść, żeby otworzyć na oścież drzwi firmy Hoegbotton i Synowie, pobiec trzy pietra w górę i niezapowiedziany (a pewnie i niepożądany) stanąć przed nią, zakurzony i brudny, z wczorajszym zarostem na twarzy. Od razu było widać, że przybywa z Wielkiego Krania Świata, bo nadal cuchnął zgnilizną i wydzielinami dżungli. Nie, nie, nie. Nie może jej się pokazać w tym stanie.

Co miał jednak zrobić? Myśli Dradina padały jedna za drugą jak wybici z rytmu klauni, a on był bliski paniki, bliski zalamania rak, którego nie znosiła jego matka, bo sugerowało, że bycie misjonarzem nie jest niczym szczególnym: nadeszła ta myśl i sprawiła, że zaniemógł, zachwycony własnym geniuszem.

Oczywiście, świecidelko. Prezent. Drobiazg, za który zapłaci, by okazać swą miłość. Dradin unosił wzrok i rozejrzał się po ulicy, zastanawiając się, gdzie mogłby kupić skarb, który by ją wzruszył, zaintrygował, a wreszcie – zatrzymał. Szydelkowe Cuda Madame Lowery? Centrum Handlowe dla Dam? Bizuteria Jessible'a? Nie, nie, nie.

Jesli byla kobieta nowoczesna, ktorej nie dalo sie zatrzymac i ktora nie byla ciagle w ciąży, ale obracala sie w kregach artystow i pisarzy, aktorow i spiewakow, taki prezent bylby dla niej obelga. Za jakiegoz niewrazliwego czlowieka by go uwazala – jakimze niewrazliwym czlowiekiem by sie okazal. Czy te wszystkie miesiace spedzone w dzungli pozbawily go zdrowego rozsadku, warstwa po warstwie, az stal sie nagi jak orangutan? Nie, to nie wystarczy. Nie mogl kupic ubran, czekoladek, czy nawet kwiatow, bo te prezenty byly tak proste, tak malo subtelne, tak prostackie, tak zdradzajace u niego brak wyobrazni. Poza tym, te prezenty...

...Jego spojrzenie powedrowalo dalej, zatrzymujac sie na zrujnowanym akwedukcie, ktory dzielil ulice na dwie czesci jak gigantyczny, skamienialy kregoslup dlugiego, smuklego rekina, ktory utkwil na dalekim przeciwleglym brzegu, i nowoczesnym szyldzie z podwojnymi zakretasami i odwaznym liternictwem, ktore reklamowalo Ksiegarnie Borges, i tutaj, na bulwarze Albumuth, najbrudniejszym, a zarazem najbardziej wyrafinowanym i najbogatszym ciagu komunikacyjnym Ambergris, Dradin uswiadomil sobie, ze oto znalazl dar doskonaly. Nie ma nic lepszego, bardziej tajemniczego od ksiazki, i nie ma niczego, co mogloby lepiej przywiazac ja do niego.

Brudny od kurzu i samotny w miejskim wirze podgladacz, zagubiony pod spodnica miasta, ruszyl na druga strone, przedzierajac sie wsrod ulicznych grajkow i streczycieli, szulerow i sprzedawcow slodyczy w strone akweduktu, by stawic czola grymasowi dwoch kamiennych lwow na zwienczeniu, wkraczajac do Ksiegarni Borges. Miala piekne zabytkowe okna ze zloconymi literami, ktore glosily:

Za szyba pietrzyly sie, jedna na drugiej, ksiazki wymienione w srebrzystej reklamie, a za nimi przemieszczali sie wolno bibliofile, napawajac sie autentycznym towarem. Dradin zapomnial o oddychaniu, nie tylko dlatego, ze w tym miejscu mogl nabyc prezent dla najcudowniejszej, najukochanszej kobiety w oknie, ale dlatego, ze przebywal z dala od cywilizacji przez ponad rok, a teraz, gdy wrocil, jej zdobycze dzialaly na niego kojaco. Jego ojciec, udreczona dusza, nadal duzo czytal pomiedzy jednym pijackim ciagiem a drugim mimo pietna, jakie pozostawialy na nim mijajace lata, i Dradin pamietal, jak staruszek wielokrotnie wydmuchiwal swoj wyjatkowo czerwony nos – nos wrecz monstrialny – niemajacy odpowiednika w historii rodziny – czytal i szlochal nad dokonywanymi z zimna krwia wyczynami dwoch debiutantek o imionach Juliette i Justine, ktorych droga zyciowa wila sie od biedy do prostytutki, przez dzungle i z powrotem, placzac z radosci, gdy znow zdobyly bogactwo i udaly sie w fascynujaca podroz rzeka Moth, tam i z powrotem, wzdluz i wszere, az w koncu nieskazitelna Justine zeszla z tego swiata z powodu nadmiaru tragicznych przyjemnosci, ktore ja wyczerpal.

Dradin az spuchl z dumy na mysl, ze kobieta w oknie jest piekniejsza od Juliette czy Justine, o wiele piekniejsza, a poza tym o wiele bardziej niezlomna. (A mimo to, przyznal, w jej delikatnych rysach, w bladosci ust mozna dopatrzyc sie niezlomnych cech charakteru).

Tak rozmyślając, Dradin pchnął szklane drzwi. Lakierowana rama z debu zaskrzypiała, a dzwonek zadzwonił: raz, drugi, trzeci. Po trzecim dzwonku pojawił się sprzedawca, odziany cały w ciemną zielen, z mankietami zdobionymi złotym szamerunkiem, przemieszczając się bezszelestnie po grubym dywanie, sklonił się i zapytał:

–Czym mogę służyć?

Dradin wyjaśnił, że szuka prezentu dla kobiety.

–Nie znam jej – rzekł – ale chciałbym poznać.

Sprzedawca, smukły chłopiec o włosach barwy brudnego brązu i twarzy o rysach subtelnych jak zapiekanka z baraniny, zamrugał z namysłem, uśmiechnął się i oznajmił:

–Rozumiem. Chyba wiem, czego pan szuka. Dostaliśmy te książki dopiero dwa tygodnie temu z Ministerstwa Kaprysu – okcydentalnego wydawcy. Proszę za mną.

Poprowadził Dradina między potężnymi polkami tekstów historycznych, które studiowali przypominający suszone sliwki mężczyźni odziani w pomarańczowe pantalony – na pewno bufony z uniwersytetu, ćwiczące przed jakimś wydarzeniem związanym z barokową muzyką Vossa Bendera – i wielkimi polkami zapelnionymi fikcją i sielankami, którymi nie zajmował się nikt poza wdową w czerni i dwunastolatkiem w grubych okularach, potem wzdłuż nuzających kolumn książek filozoficznych, na których osiadał jeszcze grubszy kurz, aż dotarli do kącika ukrytego obok Pogrzebow, oznaczonego jako Obiekty pożądania.

Sprzedawca wyciągnął elegancką książeczkę, o wymiarach mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, oprawiona w miękki aksamit ze złoconiami.

–Jej tytuł brzmi Odbicie światła w więzieniu, a zawiera ona zbiorową mądrość ostatniego z truffidianskich mnichów, więzionych w mrocznych wieżach Kalifa. Z takiej wieży uwolnił go śmiały awanturnik, który...

–Który nie był synem Hoegbottona, a przynajmniej taka mam nadzieję – rzekł Dradin, gdyż wszyscy wiedzieli, że specjalnością firmy Hoegbotton i Synowie są wszelkie rodzaje tanich chwytów i parodii, a nie podobało mu się, że może podarować swojej ukochanej coś, co sama mogła rozpakowywać i katalogować.

–Hoegbotton i Synowie? Skąd, proszę pana. Zaden tam syn Hoegbottona. Nie prowadzimy interesów z firmą Hoegbotton i Synowie, mamy tylko umowę na sprzedaż ich przewodników, gdyż ich praktyki są... Jak to ująć?... Watpliwe. Nie, nie handlujemy z Hoegbottonem ani jego synami. Ale o czym ja to mówiłem? O truffidianach.

–Sa ekspertami w sztuce katalogowania, prawdziwymi pasjonatami, z istotnym rozróżnieniem: kiedy mówię, że to namietność, to mam na myśli najbardziej ogólne znaczenie, znaczenie, które nie dopuszcza intymności z gatunku takich, jakie mogłyby dać, która pragnie pan poznać lepiej, wydać się zbyt wulgarnie. Przemawia ona do aspektów niematerialnych i jest nacechowana wysokiej klasy dowcipem, którego nie byłbym w stanie wyrazić. Nie jest obraźliwa: raczej przyda ofiarodawcy aury tajemniczości, która może okazać się nieustannie kusząca.

Sprzedawca podsunął książkę, by Dradin mógł się jej bliżej przyjrzeć, ale on tylko lekko dotknął zgrabnej okładki dłońmi i rzekł, że przyszło mu do głowy coś wspaniałego: mógłby spoglądać na te strony w tym samym czasie co jego ukochana. Ta myśl sprawiła, że dłonie zadrżały mu tak, jak to się nigdy nie zdarzyło od chwili, gdy jego ciało opanowała gorączka, a on bał się, że umrze. Wyobraził sobie, jak kładzie dłoń na jej dłoni i razem przewracają kartki, jej oczy piszcza ten sam rozdział i akapit, ten sam wiersz i słowo; mogliby poznawać namietność razem, lecz osobno.

–Doskonale, doskonale – rzekł. Zawahał się przez sekundy, gdyż był raczej bez pieniędzy niż w ich posiadaniu, po czym dodał: – Ale potrzebowałbym dwóch egzemplarzy. – Brwi sprzedawcy powędrowały w górę jak zdumione sylwetki mew, które nagle odkryły, że ryba, na którą już miały zapolować, okazała się sidłami, a Dradin wyjął: – I... I... Mapy. Mapy miasta. Na Festiwal.

–Oczywiście – odparł sprzedawca, jakby już miał powiedzieć: I wszędzie neofici, nie?

Dradin z kwaśną miną odparł:

–Proszę zapakować te, a drugą weźmie niezapakowaną, razem z mapą – po czym stał sztywno, napawając się własną ważnością, a sprzedawca guzdrał się i rzucał dygresjami. Dradin wiedział, co tamten sobie myśli: kapłan lajdak, bezbożny, niezwiązany przymierzem zawartym z Bogiem. Być może sprzedawca miał rację, ale czyż prawo kanoniczne obejmowało wszystkie nieprzewidziane sytuacje, jakie czyhały na pozostawionych samym sobie, sytuacje będące mieszaniną piękna i niesamowitości, jakich nie brakowało w dżungli? Jakże można było pojąć i objasnić niezwykle wdzięk Ludu Lupiny, który żył w jaskiniach wyrzeźbionych przez wodospad, a wywłaszczony przez Dradina i wysłany do fortu misjonarzy narzekał na ciszę, milczenie Boga; narzekał, że Bog przestał do niego mówić, bo czymże był odgłos wody rozbijającej się o skałę, jak nie głosem Boga? Odesłał ich z powrotem nad wodospad, bo nie mógł znieść widoku ich przerażonych twarzy, dezorientacji wykwitającej na ich obliczach jak śmiertelny i umierający kwiat.

Po raz pierwszy znalazł sobie kochankę w dżungli: spoconą kapłankę, której pocałunki dusiły go i tłamsiły, choć sprowadziły go z powrotem do świata zwykłych.

Czy to ona skazila jego misje? Nie, bo bardzo staral sie znalezc nowych wyznawcow, choc nie bylo wielu chetnych do nawracania. Walczyl dalej, nawet w obliczu dzikich bestii, dzikich roslin i samych dzikusow. Byc moze probowal za dlugo, w obliczu zbyt wielu przeszkod, tak uporczywie, ze mozna to bylo odczytac w widoku jego wlosow: mocna czern upstrzyly pasma bieli, czy raczej przy pewnym rodzaju oswietlenia mocna biel przebijala sie przez czern, a kazde pasmo mozna bylo przypisac tropikalnej goraczce (bylo mu tak zimno, ze az parzylo, a skore mial lodowata), kazde pasmo czerni bylo zas swiadcstwem, ze przezyl.

Sprzedawca wreszcie zawiatal jasnozielona wstazke wokol czerwonej paczuszki: troche jarmarcznej, ale do wytrzymania. Dradin polozyl odpowiednia monete na marmurowej ladzie, wepchnal mape i drugi, nieopakowany egzemplarz do kieszeni, poslal sprzedawcy krzywe spojrzenie i ruszyl w strone drzwi.

W szarej poswiacie ulicy Dradina otoczyl upal i szum. Juz myslal, ze sie zgubil, jak w dzungli, z ktorej wlasnie uciekl; zgubil tak, ze juz nigdy nie znajdzie swojej damy. Zaczal oddychac nieregularnie i przylozyl dlon do skroni, czujac sie slabo, lecz beztrosko.

Zbierajac wszystkie sily, zanurzyl sie w morzu spoconych cial, spoconych ubran, spoconych kamieni bruku. Minal blizniacze lwy, ktore wystawialy w jego strone tylki, jakby wiedzialy doskonale, co zamierza zrobic, i ruszyl w strone arkad, przechodzac obok awangardy sprzedawcow mango, przy ktorych maszerowala armia podstarzalych wdow o pelnych brzuchach, odzianych w fartuchy z glebokimi kieszeniami, zdeterminowanych, by wykupic kazdy owoc i kazda jarzynie do ostatniej sztuki; malych szczeniat bawiacych sie u jego stop, az, Boze dopomoz, popchnieto go bezladnie na sterte czegos, a nastepnie, potykajac sie i zarabiajac siniaka, przedostal sie na chodnik po przeciwnej stronie, gdzie mogl znow spojrzec na swoja ukochana. Czy jakakolwiek podroz mogla byc bardziej niebezpieczna niz pokonanie bulwaru Albumuth w srodku dnia – moze pokonanie rzeki Moth podczas powodzi?

Niezrazony Dradin poderwal sie na rowne nogi, chroniac ksiazki, po jednej pod kazda pacha, i usmiechnal sie do siebie.

Kobieta nadal tkwila na swoim miejscu na trzecim pietrze; Dradin widzial ja, gdyz stal dokladnie w tym samym miejscu co poprzednio, nad tym samym peknieciem chodnika, i byla tam, jak i przedtem, widoczna jako gra cieni na szybie. Jej sztywna postawa sprawiala, ze wiele pytan cisnelo mu sie na usta. Czy nie miala przerwy na lunch? Czy uczynili z jej przywary cnote i praktycznie ja uwiezili, przykuwajac zgodnie z jakims nieludzkim harmonogramem? Co powiedzial ten sprzedawca? Ze praktyki Hoegbottona sa watpliwie? Dradin chcial wkroczyć do budynku i porozmawiac z jej przelozonym, byc jej rycerzem, ale mial bardziej praktyczny dylemat: nie chcial sie ujawniac, wiec musial znalezc poslanca, ktory dostarczy prezent.

Rozejrzal sie po otaczajacym go tłumie i przestal widziec wyraznie: swiat sprowadzil sie do pola maszerujacych ubran. Spinki do mankietow i wystrzepione spodnie, bluzy tanczace wraz ze spodniami, wysokie bawelniane czapki i buty z luznymi sznurowadlami. Jak ich odroznic? Do kogo podejsc?

Ktos postukal go w ramie i powiedzial:

–Chce pan ja kupic?

Kupic? Dradin opuscil wzrok i zobaczyl, ze stoi przy nim dziwaczny mezczyzna. Osobliwy ten egzemplarz wygladal – trzeba to powiedziec – jakby skladal sie z jednego miesnia; przysadzisty czlowieczek o nisko osadzonym srodku ciezkosci, a mimo to wygladajacy na beztroskiego: krotko mowiac, karzelek. Jak mozna bylo go nie dostrzec? Mial na sobie marynarkę i kamizelkę tak czerwona, jakby zrobiono ja z tuszy swiezo ubitego zwierzecia, oraz plisowane spodnie, ciemne jak skrzepła krew, i buty ze stalowymi noskami. Brzegi jego ust wykrzywial usmiech tak trwaly i sztywny, ze przygladajac sie po raz drugi Dradin zastanawial sie, czy to nie grymas. Karzelek byl lysy jak melon i wytatuowany od stop do glow.

Tatuaz – ktory na pierwszy rzut oka wygladal jak znamie albo grzybicza narosl – sprawil, ze Dradin zaniemowil i karzelek musial po drugi zwrocic sie do niego:

–Dobrze sie pan czuje, prosze pana?

Dradin po prostu gapil sie z otwartymi ustami, jak mloda kawka, ktora ma jeszcze puch zamiast pior. Tatuaz na karzelku, rozpoczynajacy sie na czubku glowy i rozciagajacy w dol, byl bowiem dokladna i szczegolowa mapa rzeki Moth, z czarnymi nazwami miast wyklutymi na czerwonych kropkach, ktore oznaczaly miejsca. Sama rzeka byla niebieskozielona, w niektórych miejscach wezsza, a w niektórych szersza; opadala nad lewa powieke karzelka, okrazala czarne jak noc oko, a potem wila sie wsrod napietych linii nosa i ust, zakrzywiajac sie nad obfitym podbrodkiem, by zniknac pod kamizelka karzelka, w gestwinie wlosow na jego piersi, jak egzotyczny waz. Od rzeki Moth ciagnely sie lezace za nia krainy. Miasta polnocy, gdzie Dradin spedzil mlodosc: Belezar, Stockton i Morrow (tam ostatnio mieszkal jego ojciec) – tloczyly sie nad brwiami, a na karku, prawie na plecach, gdybysmy mieli wyrazac sie dokladnie, znajdowaly sie dzungle, miejsce pobytu Dradina w ciagu ostatniego roku: potezna sciana zieleni naszkicowana z jubilerska precyzja, gdzie jedynym sladem cywilizacji bylo kilka smug czerwieni, oznaczajacych koscielne enklawy. Dradin potrafil wyznaczyc linie bedaca trasa jego wlasnych posepnych wedrowek. Usmiechnal sie i powstrzymal przed dotknieciem glowy karzelka, gdyz przyszlo mu na mysl, ze cialo tamtego stanowi os czasu. Czyz nie ukazywalo miejsca urodzenia Dradina i wczesnych lat spedzonych na polnocy, jak rowniez powolnej wedrowki na poludnie, dzungli i wreszcie, jeszcze bardziej na poludnie, Ambergris? Czyz nie moglby – gdyby tylko zdolal zobaczyc caly tatuaz – przesledzic swej dalszej podrozy

na południe, nad morza, do których wpadala Moth? Czyz nie moglby w pewien sposob poznac swej przyszlosci? Zasmialby sie, ale z jakiegos powodu wydalo mu sie to niestosowne.

–Niewiarygodne – rzekl.

–Niewiarygodne – powtorzył karzelek i usmiechnal sie, ukazujac wielkie, pozolkle zeby rozrzucone posrod pustych miejsc po siekaczach i trzonowcach. – Moj ojciec, Alberich, zrobil to, kiedy przestalem rosnac. Mialem wystepowac w przedstawieniu – byl sternikiem na statku dla turystow – wiec chcial pokazywac na mnie jak na mapie pokonywana trase. Bolalo, jakby tysiac diablów wbijalo mi haki w skore, lecz istotnie, teraz wyglada to niewiarygodnie. Chce pan ja kupic? Nazywam sie Dvorak Nibelung. – Przekazawszy te solidna dawke informacji, karzelek wyciagnal krotka, poskrecana dlon, ktora w dotyku byla zimna i bardzo szorstka.

–Nazywam sie Dradin.

–Dradin – rzekl Dvorak – Dradin. A wiec ponawiam pytanie, chce pan ja kupic?

–Kogo kupic?

–Te kobiete w oknie. Dradin zmarszczyl czolo.

–Nie, oczywiscie, ze nie chce jej kupic.

Dvorak uniosl wzrok i spojrzal w czarne, wodniste oczy. Dradin poczul od karzelka silny pizmowy zapach rzecznej wody i szlamu, pomieszany z ostrym odorem uzalezniajacego orzecha ghitl.

–Czy musze panu mowic – odezwal sie Dvorak – ze ona jest jedynie obrazem w oknie? Nie jest dla pana niczym bardziej realnym. Widzac ja, zakochuje sie pan w niej. Jesli jednak pan zechce, moze znalezc kobiete, ktora wyglada tak samo jak ona. I robi wszystko za pieniadze. Chce pan taka kobiete?

–Nie – odparl Dradin i obrocilby sie, gdyby tylko w tlumie bylo dosc miejsca, by nie wygladalo to nieuprzejmie. Poczul na ramieniu dlon Dvoraka.

–Jesli nie chce pan jej kupic, to co chce pan z nia zrobic? – Brak zrozumienia nadawal glosowi Dvoraka nieokreslona barwe.

–Chcialbym... Chcialbym zabiegac o jej wzgledy. Chce dac jej te ksiazke. – A potem, tylko po to, zeby sie go pozbyc, Drabin rzekl: – Czy moglby pan zaniec jej te ksiazke i powiedziec, ze to od wielbiciela, ktory pragnie, zeby ja przeczytala?

Ku zdziwieniu Dradina Dvorak zaczal posapywac, cicho, a potem coraz glosniej, az

rzeka Moth zmieniła bieg wśród zakretasów jego twarzy, a coś przymocowanego pod marynarką zaczęło postukiwać w rytm setek śmiertelnych dreszczy.

Dradin poczuł, że twarz mu płonie.

–Chyba poszukam kogoś innego.

Wyjął z kieszeni dwie błyszczące złote monety z twarzą Trilliana Wielkiego Bankiera i już chciał obrocic się ostro na piecie. Dvorak otrzeźwiał i szarpnął go za ramię po raz trzeci.

–Nie, nie, proszę pana. Proszę mi wybaczyć, jeśli pana obraziłem albo zdenerwowałem. – Sygnal i wyszarpnął zapakowaną jak prezent książkę, tkwiącą pod pachą Dradina. – Zaniósł książkę tej kobiecie w oknie. To żaden problem, widzi pan, sam robię interesy z firmą Hoegbotton i Synowie – po czym odsunął pole marynarki, ukazując pięć rzędów sztucców: zabkowane, dwusieczne, wykonane z kości wieloryba i stali, okładane rzeźbionym drewnem i grubą skórą. – Widzi pan – powtórzył – handluje nożami przy wejściu do ich biura. Znam ten budynek – wskazał na solidną budowlę z cegły. – Moge?

Dradin, boleśnie świadom klaustrofobicznej bliskości karzelka, jego smrodu, chciał odmówić, odwrócić się i powiedzieć nie tylko "nie", ale też: "Jak śmiesz dotykać człowieka Boga?", tylko co wtedy? Musiał zawierać jakieś znajomości z tymi ludźmi, sięgnąć z zakurzonego chodnika jakiegoś zbira, przecież nie mógł tego zrobić sam. Uświadomił to sobie, zbliżając się do budynku firmy Hoegbotton i Synowie i czując, jak drża mu kolana, jak słowa grzechoczą mu w ustach, wychodząc z nich jako niewyraźne, oddzielone od siebie sylaby. Strzasnął z książki rękę Dvoraka.

–Tak, tak, może pan jej to dać. – Włożył mu książkę do ręki. – Ale proszę się pośpieszyć. – Poczuł ulgę, jakby ktoś zdjął mu ciężar z ramion. Wsunął monety do kieszeni Dvoraka. – No, dalej – machnął ręką.

–Dziękuję panu – odparł Dvorak – ale czy nie powinien pan spotkać się ze mną jeszcze raz, jutro o tej samej porze, żebym przekazał panu jej opinię? Może będzie pan chciał podarować jej kolejny prezent, jak pan sądzi?

–Może powinienem poczekać i zobaczyć się z nią teraz?

Dvorak potrząsnął głową.

–Nie. Nie byłoby w tym romantyzmu ani tajemnicy. Proszę mi zaufać: lepiej będzie, jak rozplynie się pan w tłumie. Naprawdę tak będzie lepiej. Wtedy ona będzie się zastanawiała, jak pan wygląda, jak się pan nosi, a jedyną wskazówką będzie ten prezent zagadka. Rozumie pan?

–Nie, nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Musze byc pewien. Musze jej pozwolic...

–Ma pan racje – nic pan nie rozumie. Pan w koncu jest kaplanem czy nie?

–Tak, ale...

–Nie sadzi pan, ze lepiej powiedziec jej o tym dopiero w stosownym momencie? Nie sadzi pan, ze moze byc zdumiona, iz jej zalotnikiem jest kaplan? Nosi pan stroj misjonarza, ale ona nie jest zwykla wyznawczynia.

I teraz Dradin zrozumial. I zastanawial sie, czemu wczesniej tego nie dostrzegal. Musi ja ostroznie wprowadzic w zawilosci swego zawodu. Nie moze jej juz na wstepie odstraszyc.

–Ma pan racje – odparl. – Oczywiscie, ma pan racje. Dvorak poklepal go po ramieniu.

–Prosze mi zaufac.

–A zatem do jutra.

–Do jutra, i prosze przyniesc jakies pieniadze, nie potrafie zyc tylko dobra wola.

–Oczywiscie – przytaknal Dradin.

Dvorak sklonil sie, odwrocil i podszedl do drzwi biura firmy Hoegbotton i Synowie, po czym – szybko, sprawnie i wdziecznie – zniknal w srodku.

Dradin spojrzal na swoja ukochana, zastanawiajac sie, czy jednak nie popelnil bledu. Jej usta wzywaly go i mial wrazenie, ze cale niebo zebralo sie w jej oczach, ale postapil zgodnie z rada karzelka i z lekkim sercem wkroczył w tłum.

II

DRADIN, KTORY NIE BYL TAK SZCZESLIWY OD chwili, gdy w Szpitalu Siostr Milosierdzia zostal uleczony z goraczki, jakies osiemset kilometrow stad i trzy miesiace temu, przechadzal sie niespiesznie bulwarem Albumuth, wdychajac zapach sumow smazonych na otwartych patelniach, pikantnej zupy dziadunia, slodki zal przejrzalych melonow, granatow i oferowanych do sprzedazy owocow liczi. Czujac burczenie w zoladku, zatrzymal sie, by kupic szaszlyk z wolowiny i cebuli, po czym pozarl go halasliwie i wytarl rece w tyl spodni. Oparl sie o latarnie tuz obok ulicznego golibrody, swiadom obecności slodkich wyziewow o zapachu szamponu, trzymajac sie z dala od pelznacej rynsztokiem wody, i wyciagnal mape kupiona w Ksiegarni

Borges. Była wydrukowana na tanim papierze, a wiele nazw ulic wpisano ręcznie. Bezbarwna, wyglądała nieciekawie przy tatuazu Dvoraka, ale była dokładna i z łatwością znalazł skrzyżowanie ulic, przy którym znajdował się jego pensjonat. Za pensjonatem, w dolinie, leżało właściwe miasto; na północ od niego ciągnęła się dzielnica religijna: tam mieszkał jego dawny nauczyciel, Cadimon Signal. Dradin mógł dojść do pensjonatu na dwa sposoby. Pierwsza trasa prowadziła przez starą dzielnicę fabryczną, bez wątpliwości zacięta zwłokami poruszających pojazdów silnikowych i szynowych, a przecięte szyny sterczały w powietrze, nadając krajobrazowi nastroj beznadziejności. W dzieciństwie, spędzonym w Morrow, Dradin wraz ze swoim dawno utraconym przyjacielem Anthonym Toliverem (zwanym Tolivka-Oliwka z powodu swego uwielbienia dla oliwek i oliwy z nich) bawił się w takiej dzielnicy i jakos nie odpowiadała ona jego temperamentowi. Pamiętał, jak na ich zabawy kładł się cieniem ponury widok przewroconych pociągów, z ich wielkimi głowami patrzącymi w niebo szklanym spojrzeniem, gdy inne wyglądały, jakby spijały coś z zimnej, ciemnej gleby pod nimi. Nie był w nastroju na oglądanie śmierci metalu, nie teraz, gdy na przemian serce zwalniało mu lub przyspieszało, raz był spokojny, by po chwili wpasć w nadpobudliwość.

Nie, powinien wybrać drugą trasę – przez najstarszą część miasta, liczącą ponad tysiąc lat, tak starą, że nie pamiętała już samej siebie, a lata wygładziły kamienie i pozbawiły je pamięci. Może taki spacer go uspokoi, pozwalając zarazem cieszyć się płonąca w sercu radością i jednocześnie wyciszyć się, tak by nie szumiało mu w głowie.

Pospieszył dalej – ignorując defekującego na chodniku mężczyznę (ze spodniami opuszczonymi do kostek) i delikatnie obszedł kobietę z Okcydentu, która, uzbrojona w tłuczek, waliła po głowie żywe karpie, aż ich żółtawe mózgi lądowały na bruku.

Po kilku minutach marszu wszechobecne budynki odpłynęły w dal, zabierając ze sobą dym, kurz i szmer głosów. Świat stał się cichy, jeśli nie liczyć szurania, jakie wydawały na bruku buty Dradina, i od czasu do czasu terkotu przemykającego pojazdu silnikowego, który toczył się, polatany, prawdopodobnie spalając więcej oleju niż paliwa. Dradin zignorował smród spalin i rozszoszczone riposty rur wydechowych. Dostrzegł tylko twarz kobiety w oknie – jak wzor z porostów na poplamionej na szaro ścianie, w wirze liści zbieranych w rynsztoku.

Najstarsze aleje, ciągi przelotowe biegnące z pradziadowym dostojenstwem od czasów, gdy Dwór Żalobnego Psa był nowy, a Dni Płonącego Słońca ciągle jeszcze nie wyprążyły ziemi, plwały się w gestej zupie kapryfolium, passiflory i bugenwilli, którymi gardziły pszczoły i szerszenie. Ruch na takich ulicach nie był duży: starsi panowie na zdrowotnej przechadzce po lunchu, gubernator prowadzący dwojkę dzieci w niedzielnych ubraniach, wszyscy w wyglansowanych butach i z twarzami umyętymi metodą napłucia na chusteczke.

Budynki, które Dradin mijal, były wzniesione z twardego, niewzruszonego szarego kamienia, oddzielone dziedzińcami z fontannami. Chwasty i bluszcz dusiły boczne ściany tych przyciekawych, barokowych budowli z wybitymi szybami, jakby wpychające się do środka pnały rozbili szkło. Powoje, dziwaczki i całe zwaly bluszczu dławily rozpadające się kamienne drogowskazy, zwisały z zardzewiałych balustrad, strzelały w górę z rozpadlin w chodniku i wplatywały się w ogrodzenia i bramy, na których widac było osmalenia. Kto kiedyś mieszkał w takich budynkach i jakie interesy tu prowadzono – tego Dradin mógł się jedynie domyślać. Pod względem wysokości i solidności stwarzały wrażenie, że to jakieś budowle rządowe, tchnące biurokracją z powodu ozdobników i popiersi, gargulców i krepych kolumn. Biurokracja przegrała jednak z czasem: dzierzace miecze posagi konne pokryły się porostami, rysy twarzy wygładziła głęboko osadzona w kamieniu pleśń, a fontanna rozpadła się w środku pod naciskiem muskularnych korzeni debu. Odczuwano się jakąś oszalamiającą atmosferę bezprawia w tej ciszy wśród pnały.

Dżungla oczywiście nigdy nie przykryła rogu obfitości składającego się z rozmaitych grzybow, gdyż między kawalkami wypalonego czarnego kamienia Dradin wypatrzył spore ich kępy, barwne jak zebracy na bulwarze Albumuth: szmaragdowe, purpurowe, rubinowe, szafirowe, brązowe, bordowe, cieliste białe. Rozmiarami także się różniły: od napałka po średnicę opasłego brzuszyska eunucha.

Taka radosna i losowa dekoracja ucieszyła Dradina tak bardzo, że zaczął podać za wzorem barwnego dywanu grzybow.

Szlak powiodł go do wąskiej alejki, na końcu której stała trzymetrowa ściana z szarego kamienia, i Dradin odniósł nagle wrażenie, że przemierzył przelyk weza. Grzyby rozrastały się bujnie, wyrastając nie tylko ze szczelin w bruku, lecz także ze ścian; tworząc barwne cetki nozek i kapeluszy na szarości.

Słońce schowało się za chmurami. Wzmógł się wiatr, więcej Dradinowi prosto w twarz. Drzewa pochylily się nisko, zasłaniając niebo. Ulica nadal zwezała się, aż wreszcie mogły nią iść tylko dwie osoby, potem jedna, aż wreszcie stała się tak wąska jak najwęższy narteks, jaki Dradin znał; musiał iść bokiem, jak krab, a i tak oddał jeden guzik.

W końcu ulica zaczęła się znowu rozszerzać. Przedarł się na otwartą przestrzeń, która powitała go trzasnięciem głośnym jak odgłos łamanego kregoslupa, dźwiękiem, który przeszył go na wylot. Krzyknął i wzdrygnął się, unosząc ramię, by zasłonić się przed ciosem, a morze skrzydeł zaczęło unosić się ku niebu.

Powoli opuścił ramię. Golebie. Stado golebi. To tylko golebie.

Ruszył dalej, a kiedy stado odleciało, odsłaniając widok na drzewa, Dradin dostrzegł po prawej stronie rozpadający się golebnik, z którego uciekły ptaki. Otwory wylotowe

patrzyły bezkresnym spojrzeniem ślepca. Odor gołębiego łajna przyprawił go o mdłości. Za gołębnikiem, oddzielone ścieżka, stało kolumbarium, także opuszczone i rozlatujące się, aż urny z popiołami stały na samych brzegach polek, a poniżej roztrzaskanego okna leżały na bruku dwie z nich z wysypanym popiołem.

Golebnik i kolumbarium! Jedno obok drugiego, co za zbieg okoliczności, jak starzy przyjaciele, połączeni rozkładem.

Widok zaintrygował Dradina, ale bardziej zafascynowała go ścieżka między gołębnikiem a kolumbarium, gdyż tam grzyby, które tłoczyły się w pęknięciach bruku i upstrzyły ściany jak ospa, teraz rozrosły się wręcz niewyobrazalnie, a na bruku było aż grubo od grzybow różnych barw i odcieni. Po prawej stronie ścieżki wycięto dziesięć nisz, zasłoniętych żelaznymi kratami: setki hartowanych cherubinów i diabłów utrwalonych w metalowym dziele. Krata najbliższej niszy stanęła otworem i wysypały się z niej porosty, pnacza i grzybianie z opuszczonymi czerwonymi flagami. Otoczeni dzikim winem przypominali ludzkie kamienie nagrobne albo sennych pływaków tonących w zielonym morzu.

Za Dradinem – który odskoczył, gdy tylko zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki – leżał grzybianin, którego Dradin wziął za grzyb rozmiarów dziecka. Miauczał i wil się w polnię, a Dradin patrzył na niego z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. Choć w Ambergris był przybyszem, wiedział o istnieniu grzybian, gdyż jak nauczał Cadimon Signal w Morrow, "wyznają najbardziej cudaczny ze wszystkich kultów", choć z suchych i poskrecanych warg Cadimona nie wydostało się już zbyt wiele słów.

Grzybianie cuchnęli starą, rozpadającą się stajnią, zepsutym mlekiem i jarzynami, pomieszanymi z wilgocią mrocznych szczelin i suchością jednodniowych żuków gnojaków. Niektórzy ludzie mawiali, że spiskują oni i szepczą w tajemnym języku, tak starym, że nikt już nim nie mówi nawet na dalekim Okcydencie. Inni mówili, że grzybianie przybyli z podziemnych jaskiń i tuneli pod Ambergris, że są zbiegłymi skazancami, którzy zbierają się w ciemności, stworzyli własną, niezwykłą religię i mają własne cele, i unikają światła, bo po wielu latach spędzonych pod ziemią są ślepi. A inni, biedni i niewykształceni, mówili, że traszki, szmaciane lalki, ślimaki i salamandry podążają ich śladem po ziemi, zaś w powietrzu nietoperze, lelki i nocne marki leca za nimi, karmiac się owadami, które pelzają w równym stopniu wokół grzybow i grzybian.

Grzybianie sypiali w dzień na ulicach, ale nocą wychodzili, by zbierać grzyby, które rosły w szczelinach i na zacienionych chodnikach podczas słonecznych godzin. Kiedy spali, wbijali obok siebie czerwone ostrzegawcze flagi i wyrażali swą złość wobec tych, którzy – jak Dradin – zakłócili im przepelniony wilgocią śmetny sen. Żeglarze w dokach opowiadali Dradinowi, że grzybianie podobno okradają groby, by uzyskać w ten sposób kompost, a nawet mordują turystów i używają ich ciał jako nawozu przy uprawie swoich nocnych plonów. Nikt ich nie ścigał ani nie

przesluchiwal, bo noca zbierali smieci i padline z zasmieconych ulic Ambergris. O swiecie ulice byly wysprzatane do czysta i lsnily niewinnie w swietle slonca.

Z niszy wysypalo sie juz piecdziesieciu grzybian; w ich spokoju i rytmicznym oddechu bylo cos makabrycznego: wygladali, jakby przestali nagle rosnac, byli odziani w szaty o barwie szarej zieleni, jak podbrzusze zaby, a glowy ukrywali pod filcowymi kapeluszami z szerokim rondem, przypominajacymi kapelusze organizmow, od ktorych wzeli swe miano – zakrywaly ich az po kark. Jedyna nieoslonieta czescia ich ciala byly szyje, niewiarygodnie dlugie i blade. Naprawde przypominali grzyby.

A mimo to, przynajmniej dla Dradina, byli raczej niepokojaco ludzcy niz nieludzcy – oddzielna rasa, rozwijajaca sie rownolegle, milczaca, niewidzialna, przywiazana do rytualow – a ich widok tego samego dnia, kiedy Dradinowi zdarzylo sie nieodwolalnie zakochac, wytracil go z rownowagi. Czul juz kiedys oddech smierci w dzunglach i nie zaznal strachu, jedynie bol, ale tu poczul, jak strach przeszywa go do kosci. Strach przed smiercia. Strach przed nieznanym. Strach przed poznaniem smaku smierci, zanim zdola zakosztowac milosci. Chorobliwosc i posepna ciekawosc, pomieszana z marzeniami o izolacji i samotnosci. Wszystkie obsesje, z ktorych podobno wyleczył go Instytut Religijnosci.

Stojac w tym miejscu, u wylotu alejki, Dradin poczul sie, jakby podgladal tajemny, zakazany swiat. Czy oni snili o poteznych grzybach z szarymi kapeluszami lsniacymi w przycmionym swietle polnocnego slonca? Czy snili o swiecie rozswietlonym wylacznie fosforescencyjna wspanialoscia ich ladunkow?

Dradin patrzyl na nich przez dluga chwile, a potem ruszyl szybciej i minal wylot alejki. Wreszcie, pod zaslonietym chmurami okiem slonca, labirynt sciezek ustapil miejsca szerokim, otwartym ulicom, po ktorych chodzili stolarze, urzednicy, kowale i gazeciarze, i wktrotce Dradin przybyl do ponurego, lecz taniego pensjonatu Holander-Barth. (W dawnych, bogatszych czasach w ogole nie przyszloby mu do glowy, zeby sie tu zatrzymac). Widzial w dzungli zbyt wiele takich przybytkow: wielkie dwory rozpadajace sie do fundamentow, zajete przez ostatnich ludzkich mieszkancow, krzyzujacych sie miedzy soba, przekonanych, ze dzungle mozna podbic maczeta i ogniem, az przekonaja sie, ze to dzungla podbila ich; gdzie jeszcze wczoraj scieli tysiac pnaczy, juz dzis tysiac wilo sie i zaplatalo w bujnosci zycia. Dradin nie byl nawet pewien, czy Szpital Siostr Milosierdzia nadal stal na swoim miejscu, nietkniety przez sily przyrody.

Pensjonat Holander-Barth, kiedys biały, dzis w kolorze zgaszonej szarosci, byl holdem zlozonym pretensjonalnosci: zalosne, inkrustowane marmurowe kolumny rozpadaly sie od srodka, a na balkonach zdobionych misternymi balustradami, poczernialymi od rdzy, suszylo sie pranie. Byc moze kiedys jego wlascicielami byli zblazowani arystokraci, teraz jednak po korytarzach przechadzali sie gruzlicy, wykaslujac pluca i gmerajac w podartych kieszeniach w poszukiwaniu papierosow.

Przeważnie byli to weterani dawno zapomnianych kampanii, którzy mogli sobie pozwolić na dach nad głową dzięki emeryturze, ignorując spekaną armaturę, odlazącą od ściany tapetę, wspólne prysznicze i toalety, albo żyjąc w błogiej nieświadomości ich istnienia. Jak zauważył jednak woznica jednokonki, "To miejsce jest najtansze", i dodał: "Ale daleko od Festiwalu". Na szczęście właściciele czuli szacunek wobec duchownego, nawet w podniszczonych szatach, i zaoferowali Dradinowi jeden z pokoi na drugim piętrze z własną łazienką.

Czując, jak serce wali mu młotem, nie ze strachu, lecz z pożądania, przebiegł przez krzywą werandę, mijając emerytów, którzy kiwali głowami lub wykonywali bezładnie znak krzyża, i popędził spiralnymi schodami w górę, podszedł do drzwi, chwilę zmagając się z kluczem, a po wejściu do środka upadł na łóżko z lupnieciem, od którego sprężyny aż jęknęły, rzucając obok siebie książki. Okładka pod jego palcami była gładka i jedwabista. Przypomina na pewno dotyk jej skóry, pomyślał i natychmiast zaśnął z uśmiechem na ustach; było południe i upał pozbawił go sił.

III

DRADIN OBUDZIŁ SIĘ Z SUCHOSCIA W USTACH, zmierzwionymi włosami i podbrodkiem szorstkim od szczeciny, czując jakiś ucisk na nerw na plecach, przez co aż jęknął i obrocił się na łóżku, widząc wszystko w nieco zwichrowanej perspektywie, choć tym razem nie z powodu kobiety. Nawet w tej pozycji był jednak w stanie określić, że słońce opadło już za horyzont, a tam, gdzie niebo było przedtem szare od chmur, teraz przechodziło od czerni do siniego fioleto; księżyc był cętkowany, a światło saczyło się małymi porcyjkami. Dradin ziewnął i scisnął ramiona, by zwalczyć ból, po czym wstał i podszedł do wysokiego, ale wąskiego okna. Przekrecił klamkę i otworzył oba skrzydła na oścież, by wpuścić do pokoju zapach nadciągającego deszczu pomieszany ze słodkim odorem smięci i kapryfolium.

Okno wychodziło na miasto właściwe, które leżało w zwiniętych dłoniach doliny zasilanej dopływami rzeki Moth. Tu zwykli ludzie spali i snili nie o dżunglach, wilgoci i zadzy, która karmiła i głodziła ludzkie serca, ale o cichych spacerach w świetle gwiazd, karmionych mlekiem kocietach i cichym świcie wiatru na drewnianych werandach. Zakładali rodziny, a wśród nich niewątpliwie trudno byłoby wypatrzeć misjonarza – przecież byli już nawroceni, więc wystarczyli im autentyczni kapłani. Tutejsi obywatele, podobnie jak mieszkańcy innych miast, płacili jednak dziesięcine, za którą wysyłano do dalekich dżungli emisariuszy mających szerzyć tam słowo, emisariuszy, którzy byli wszak ucielesnieniem ich własnych nadziei, życzeń, strachów i pragnień, które stały się ciałem. Dradin uznał, że to smutna myśl, która stała się jeszcze smutniejsza, gdy doszedł do wniosku, że gdyby nie jego powołanie, on też mógłby żyć takim życiem: osiąść i pograć się w codziennym rytmie, w którym nie było pulsowania dżungli, splecionego z rytmem jego serca. Anthony

Toliver wybrał takie życie, porzucając stan duchowny zaraz po ukończeniu studiów teologicznych.

Dookoła doliny rozciągały się peryferie przypominające okragła plame z wina i wulgarnej szminki. Pensjonat Holander-Barth wytyczał linię oddzielającą dolinę od nich, podobnie jak bulwar Albumuth wyznaczał koniec doków i początek peryferii. To właśnie tu, w miejscu, które wcale nie leżało w centrum miasta, Dradin zawsze czuł się najlepiej, nawet w dawnych czasach, gdy studiował w Instytucie Religijności i był dla siebie bardziej okrutny niż najbardziej pobożni z mnichów, którzy go uczyli.

Na peryferiach błazni podskakiwali i brykali, zonglerzy demonstrowali swe umiejętności, używając w tym celu dzieci i noży (i mieszając je tak łatwo, jak inni mieszają jabłka z pomarańczami). Tetno życia było w upojnym tempie; tempie, które przyspieszało za peryferiami, gdzie nieustraszeni żeglarze rzeki Moth pływali na barkach, dawach, fregatach i nielicznych żaglowcach: wszystkim, co było w stanie unosić się na wodzie i utrzymać człowieka, nie tonąc w mule.

Za rzeką leżała dżungla, gdzie życie nabierało iscie szalenczego tempa. W dżunglach kryły się stworzenia, których istnienie trwało zaledwie jeden dzień, zageszczone w zupełnie niezrozumiały sposób, więc Dradin, obserwując własną błyskawiczną śmiertelność, czuł, jak jego ciało umiera, godzina po godzinie, minuta po minucie, i uczucie to nie opuściło go nawet wtedy, gdy spoczywał w objęciach spoconej kapłanki.

Poczuł, jak przez okno wpada bryza i owiewa go, chłodząc, po czym wrócił do łóżka, okrzyknął je, by podejść do stojącej obok lampy, i oto pokój zaalało miedziane światło, przy którym można było czytać. Padł na łóżko ze zgietymi nogami i otworzył książkę na pierwszej stronie. Pograżył się w fantazjach: gdzieś, w jakimś innym pokoju, w jakimś innym domu, może nawet w dolinie poniżej, kobieta z okna leżała na własnym łóżku, w przyćmionym świetle, i przewracała te same strony, czytała te same słowa. W dotyku jego palców było coś erotycznego; miał wrażenie, że strony są wilgotne, i przeżył krótki, ostry wstrząs, jakby wypił kielich ceremonialnego likieru. Poczuł twardość, ale oparł się pokusie, by się dotknąć. Ach, słodka agonio! Nigdy w życiu nie było mu ani w polowie tak dobrze, ani tak dziwnie. Z tym uczuciem nie mogło się równać nic, co poznał w odważnym i dzielnym świecie za rzeką Moth: płynne, wezowe tańce Kobiet Srok z Veldtu Frangipani, ani pojedynczy bolesny krzyk dziewczyny z plemienia Zinfendel, która rzuciła się głową w dół do grzmiącego wodospadu. Ani spocona kapłanka, której jękiwe dyszenie podczas ich nieporadnej gry miłosnej należało raczej przypisać wilgotności i wszechobecnym komarom, a nie jego umiejętnościom.

Dradin rozejrział się po pokoju. Jakże był pusty w porównaniu ze wszystkimi miejscami, w których przyszło mu żyć przez ostatnie trzydzieści lat. Była tam jego maczeta z czerwoną rekojescią, oparta o krzesło komody, i sakwa, w której trzymał

proszki i pyny zdolne uleczyć setki występujących w dżungli chorób; buty z pomarańczowymi rysami, monety na stole – w tym świetle złoto wyglądało prawie na purpurowe – ale co jeszcze? Tylko walizka z dwoma zmianami ubrań, poślizgi, naddarty dyplom Instytutu Religijności w Morrow i dagerotypy przedstawiające jego matkę i ojca w tym krótkim okresie młodości, kiedy ojciec był gamoniem akademikiem z poczerwieniałą, pełną popekanych naczyń twarzą, a oczy matki nie stały się jeszcze wąskie z powodu otaczających je zylek, spojrzenie zaś miały wyraziste jak odłamek zakrwawionego szkła.

Jak wyglądał pokój tej kobiety? Na pewno Isnił czystością, ale bynajmniej nie był pusty, och, nie. Pewnie było tam łóżko z białą moskitierą i miejsce, gdzie można postawić szklanke z wodą, i rząd ulubionych książek przy łóżku, dalej srebrno-biała toaleta z lustrem i komoda wypełniona po brzegi zdobiona falbankami odzieży na noc, zdobiona falbankami odzieży na dzień i nieprzyzwoicie zdobiona falbankami odzieży na wieczór. Pudry i kremy do twarzy, by zawsze była blada. Przybory do szydelkowania i welna lub przyrzady do jakiegoś mniej kobiecego hobby. Może hodowała waniliowego kota, który bawił się klebkami welny. Jeśli mieszkała w domu rodzinnym, jej świat na tym by się kończył, ale jeśli samotnie, Dradin miał do dyspozycji jeszcze trzy, cztery albo większą liczbę pokoi, które musiał wypełnić jej miłością i nienawiścią. Czy lubiła plotki i pogawędki? Czy umiała tańczyć? Czy bywała na przyjęciach? O czym myślała, czytając te książki, na której pierwszej stronie napisano:

ODBICIE ŚWIATŁA W WIEZIENIU

(Opowieść o tym, jak truffidianscy mnisi, przetrzymywani w podziemiach Kalifa, nie wyrzekli się zdrowego rozsądku ani nadziei) **AUTORZY:** Brat Peek Brat Prowcosh Brat Witamoor Brat Sirin Brat Grae (przetrzymywani w osobnych celach, porozumiewający się z nami wyłącznie dzięki sile woli Siostry Stalker)

A na następnej stronie: **OTO ROZDZIAŁ PIERWSZY:**

MISTYCZNE PASJE

Najbardziej mistyczne z pasji praktykują wodni ludzie żyjący w dolnym biegu rzeki Moth, gdyż zachowują celibat, spędzając większość życia w wodzie; osiągnęli jedność ze swymi partnerami w sposób, który dreczy pomniejszych z nas, utożsamiających miłość ze stosunkiem. Niewątpliwie ich kobiety nigdy nie staną się obiektami ich pragnień, gdyż utraciłyby nieodłączny miłosny czar.

Dradin czytał zachłannie, czując, jak poca mu się dłonie; ale nie, nie wstanie, by napić się wody z umywalki, nie, nie uwolni się od napięcia, musi czuć ten ogień, podobnie jak jego ukochana musi płonąć, czytając te same słowa. Teraz był

prawdziwym misjonarzem, nawracając się na przyczynę swej miłości, i nie był w stanie się powstrzymać.

Na zewnątrz, u wylotu doliny, światła zaczęły mrugać i migotać fosforescencyjną czerwień, zielenią, błękitem i żółcią, i Dradin uswiadomił sobie, że oto muszą trwać przygotowania do Festiwalu Słodkowodnych Kalamarnic. Jutrzejszego wieczora bulwar Albumuth opustoszeje w oczekiwaniu na paradę, która rozleje się po sąsiednich ulicach, a potem po całym mieście. Na ulicach pojawiają się świece osłonięte pudełkami z marszczonego papieru, a światło pełzające o północy po słonych wodach w miejscu, gdzie stykają się one z ujściem rzeki Moth, będzie wyglądać jak taniec kalamarnic, dużej i malej. Święto pory godowej: gdy samce walczą zaciekle o samice swego gatunku, rybacki lud wyrusza na miesięczną eskapadę po obszarach rozpuszczonej w nadziei, że przywiezie trochę mięsa, by przetrwać do następnej zimy.

Gdyby tylko jutrzejsza noc mógł spędzić z nią. Pośród rzeczy godnych zobaczenia na drodze do Ambergris woznica jednokonki wskazał tawernę "Pijana Łódź", gdzie można było podziwiać najlepsze sztuczki i najlepszą klientelę, a podczas Festiwalu przygrywała zawodzająca kapela o nazwie "Kruki". Tęcza z nią, dłonie splecione z jej dłońmi, zapach jej ciała na jego ciele – to wynagrodziłoby mu wszystko, co przeżył w dżungli, i wszystkie upokorzenia, jakich zaznał od tego czasu: poszukiwanie jeszcze bardziej podłej pracy, coraz mniejszy ciężar monet w kieszeniach.

Zegar wybił godzinę cierpiących na bezsenność, północ, i w dole pod oknem Dradin usłyszał wilgotny szmer grzybian, którzy zbierali padline i śmieci. Po uderzeniach zegara wkroczył szum deszczu, który padał cicho, delikatny jak dotyk dłoni Dradina na stronie odbicia światła w więzieniu. Od okna rozchodził się deszczowy zapach, świeży i ostry.

Zwabiony nim Dradin odłożył książkę, podszedł do okna i patrzył na deszcz, który widac było w słabym świetle: krople przypominały ławice srebrnoluskich rybek, które przyplynęły i odpłynęły, by wrócić po chwili. Wzłocenie błyskawicy, grzmot pioruna, i deszcz zaczął padać szybciej i mocniej.

Dradin tyle już razy patrzył na smagane deszczem okna starego, szarego domu na wzgórzu, gdy jeszcze był dzieckiem w Morrow (dom z zamkniętymi okiennicami wyglądał, jakby przedtem miał oczy, które zaszyto), gdy krewni nadjeżdżali szarą, wijącą się drogą: światła kosztownych pojazdów silnikowych przebijały się przez zasłone deszczu. Pełzając pod górę, wyglądały jak mała armia garbatych żuków, czarnych, białych i czerwonych, przypominających te na ilustracji w ojcowskiej książce o owadach. Ponizej, jeśli tylko nie było mgły, widac było całe Morrow: tętniące życiem, zbudowane z kamienia i drewna, karmione przez rzekę Moth.

Z jednego z okien gabinetu Dradin miał podwójny widok: wewnątrz, na końcu

amfilady trzech pomieszczeń, biblioteki, salonu i jadalni, widac było wtłoczona do kuchni matkę, wielką śpiewaczkę operową (była wysoka i grubokoscista). Nie miała żadnej służącej do pomocy, żyła na wżgorzu we trojce, więc delikatnie układała na talerzach klopsy, rozkładała ciasteczka na tacach, nalewała do szklanek poncz i lemoniade, próbując za wszelką cenę nie pobrudzić rąk i nie poplamzić czerwonej sukienki, zdobionej falbankami i koronkami. Śpiewała sobie przy pracy pełnym i chropowatym głosem (Dradinowi czasem wydawało się, że nie mówi, tylko śpiewa), więc słyszał przenoszone przez różne rury, kanały wentylacyjne i przejścia słowa największej opery Vossa Bendersa:

Przyjdź do mnie wiosną

W strugach deszczu

Słodka jak kwiatowy pyłek,

Słodka jak świeży plaster miodu.

Gdy twarde, brązowe galezie dębu

Wypuszczają młode, zielone liście,

W godzinie miłości, przyjdź do mnie.

W piekarniku znajdował się doroczny bazant, a na zewnątrz Dradin widział ojca, chudego i skrupulatnego, we fraku, przeskakującego kaluzę na podjeździe, z wielkim, czarnym parasolem. Tato kroczył precyzyjnie, jakby stając najpierw tu, a potem tam mógł przemknąć między kroplami deszczu, przesliznąć się między nimi, bo wiedział, że parasol na nic się nie przydaje: był podarty i z mnóstwem dziur wygryzionych przez mole. Ale jakże to pantomima dla gości, śmiał się Dradin, a jego matka śpiewała. Przepraszamy za deszcz, kaluzę, zniszczony parasol. W miarę upływu lat ojcowskie powitanie stawało się coraz bardziej nieuprzejme i belkotliwe z powodu picia i wieku, aż przestało być widowiskowe. Dawniej jednak miał zwyczaj rozkładać ramiona jak łagodna modliszka i szybkimi ruchami przekładać parasol z jednej ręki do drugiej, wykonując przeproszające gesty. Goście tymczasem – ciocia Sophie i wujek Ken – byli już częściowo w samochodach, częściowo poza nimi; bardzo się starali zachowywać uprzejmie, ale byli przemoczeni do nitki. Matka w domu miała czas, by się przygotować; stała przy frontowych drzwiach z powitalnym uśmiechem i zerkając jednym nieublaganym okiem na bazanta, który zaraz miał się przypalic, wołała Dradina.

W bardziej rozszalałym deszczu Dradin po raz pierwszy doznał przeżycia zbliżonego do duchowego. Miało ono miejsce w ponury dzień wizyty krewnych. Liczył zaledwie dziewięć lat i czuł się jak w pułapce: uwięziony wśród suchych cmoknięć w policzek; uwięziony w odorze wilgotnych, spoconych ciał, znajdujących

się blisko siebie; uwieczony w suchym zapachu cygar i zaniepokojonych spojrzaniach starszych mężczyzn o brwiach przypominających nieruchome białe ślimaki, wijących się wąsach i wielkich oczach, które przez okulary lub monokle wyglądały na wodniste. Uwieczony także przez damy, które w zaawansowanym wieku były jeszcze gorsze: ich zachłanne usta przypominały paszcze granika, którymi mogły go polknąć i trawić w całości.

Dradin ublażał matkę, by zaprosić Anthony'ego Tolivera, a ona, wbrew życzeniu ojca, wyraziła zgodę. Anthony, wierny naśladowca, był krepym chłopcem o żółtawej skórze i ciemnych oczach. Poznali się w szkole publicznej, dziwni kumple, złączeni prostym faktem: obu sprali kiedyś szkolny przesładowca, Roger Gimmell.

Gdy tylko Tony się pojawił, Dradin namówił go, by uciekli z przyjęcia. Wymknęli się przez drzwi salonu i wybiegli na podwórko, które wyglądało, jakby ograniczały je dopiero splecione drzewa puszczy na horyzoncie. Lalo jak z cebra, deszcz rozpryskiwał się na ich koszulach i uderzał w ciała, aż Dradinowi dzwoniło w uszach od tego łomotu, a następnego ranka obudził go tępy ból. Deszcz zmył trawę i rozpuścił kurz w błoto.

Tony upadł prawie natychmiast i próbując schwycić Dradina, przewrócił go na mokra glebę; Dradin usiłował złapać jakiś chwast. Tony zaśmiał się na widok zaskoczenia na twarzy Dradina. Dradin roześmiał się, widząc, jak błoto zatkało Tony'emu lewe ucho. Chłup! Chłup! Błoto w butach, błoto w spodniach, krople błota na włosach, błoto pokrywające twarz.

Silowali się i chichotali. Deszcz padał tak mocno, że aż klulo. Wgryzał się w ich ubrania, wcinął w czubki głów, rzucił się do oczu, aż z trudem je otwierali. Pośrodku walki w błocie przestali walczyć ze sobą, a zaczęli z deszczem. Gramolili się na równe nogi, przestając się bawić, nie dotykali się już, dłoń Tony'ego wysunęła się z ręki Dradina, więc Tony powiedział tylko "Chodźmy!" I popędził w stronę domu, nie oglądając się na towarzysza, który stał jak wystraszony królik, zupełnie sam w całym kosmosie.

Stojąc samotnie na ulicy w strugach deszczu, patrząc w niebo, które otworzyło się, zsyłając deszcz, Dradin zaczyna się trząść. Deszcz jak reka na ramieniu przygina go do ziemi; elektryczne odczucie wody na skórze, zmywającej błoto i kawałki trawy, sprawia, że jest mu zimno i mokro. Drży konwulsyjnie, czując ukłucie bezkresu czającego się tam, w niebiosach, i patrzącego na niego. Pęd i szalenstwo krwi, mocniejsze bicie serca, mówią mu, że nic tak żywego, nic tak niekontrolowanego nie może być przypadkowe.

Dradin zamyka oczy i w jego umyśle eksploduje tysiąc barw, tysiąc obrazów, po jednym na każdą kroplę deszczu. Deszcz spadających gwiazd otwiera się przed nim, sprowadzając pozogę na cały wszechświat. Przez sekundy Dradin czuje pulsowanie

kazdej tetnicy i kazdego dreczonego arytmia serca w rozciągającym się poniżej miście – każda błyskawiczna rzeźbiarska myśl nadziei, bólu, nienawiści, miłości. Setki tysięcy trosk i setki tysięcy radości przystąpiło do niego.

Gwar uczuć ogarnia go tak, że Dradin ledwo oddycha, odczuwając własne ciało wyłącznie jako pusty pojemnik. Potem wrażenie cichnie, aż – bardzo blisko – chłopiec czuje malutkie istnienia myszy na pobliskich polanach, jeleni przemykających jak wdzięczne cienie, sprytnych lisów w jamach, biedronek ukrytych na spodniej stronie liścia, a potem nic, a kiedy już następuje koniec, pyta z opadłymi ramionami: "Czy to jest Bog?".

Gdy Dradin – teraz pusta lupina, ogluszony przez deszcz, z obmytymi kośćmi – odwraca się w stronę domu; gdy wreszcie zwraca się w stronę domu z zamkniętymi okiennicami, jak mu nakazuje zdrowy rozsadek, światło ze środka nieomal eksploduje i można je wypuścić na zewnątrz. I widzi (stojąc przy oknie pensjonatu) nie Tony'ego, który już bezpiecznie skrył się w środku, lecz matkę. Swoją matkę. Późniejsza pamięć połączyła się z wcześniejszą bez śladu, jakby to zdarzyło się razem, w jednej chwili. Jakby odwrócił się i ona tam była, posyłając mu puste spojrzenie; jakby w sposób prosty jak oddychanie deszcz przyniósł zbawienie i szalenstwo, które upadły na głowę, a czas nie stawiał żadnych przeszkód, pozbawiony znaczenia.

...Odwrócił się i była tam jego matka, na kolanach w błocie, z pochłapaną na brązowo sukienką. Nabrała błota w dłoń, przyjrzała mu się i zaczęła je jeść, tak zapalczywie, że ugryzła się w mały palec. Jej oczy w twarzy jak z kamienia – puste jak deszcz – spojrzały na niego z najdziwniejszym wyrazem, jakby uwięzione, tak jak Dradin czuł się uwięziony wewnątrz domu; uwięzione i proszące Dradina... Żeby coś zrobił. A on, choć miał już czternaste lat, nie wiedział, co robić, wzywać ojca, wzywać lekarza; błoto spływało jej z kącików ust, a ona, obojętna, jadła dalej i patrzyła na niego po każdym kęsie, aż zaczął krzyczeć, podszedł do niej, objął ją i próbował powstrzymać, choć na całym świecie nie było nic, co mogłoby ją powstrzymać, albo powstrzymać jego, by przestał próbować. A najbardziej, bardziej niż błoto na jej ustach, z równowagi wytraciła go zupełna cisza, jaka ją otaczała, gdyż przyzwyczaił się do tego, że matkę definiuje głos, i oto nie użyła go nawet by poprosić o pomoc.

Znow usłyszał grzybian i zamknął okno gwałtownym ruchem. Usiadł na łóżku. Chciał jeszcze trochę poczytać, ale jego myśli gdzieś błądziły, wznosiły się i opadały, a zanim zdał sobie z tego sprawę, zanim zdołał to powstrzymać, był już niecałkiem martwy, po prostu pograżony we śnie. Rankiem obudził się z wawy i wypoczęty; jego ciało prawie już odzyskało siły po tropikalnej gorączce. Całymi miesiącami wstawał, czując opór obolałych mięśni i poranionych organów wewnętrznych; teraz cierpiał tylko z powodu zupełnie odmiennej gorączki. Ilekroć spojrzał na odbicie światła w więzieniu – gdy mył twarz w barwionej na zielono umywalce, gdy wkładał ubranie, nie

patrzac na nogawki, wiec udalo mu sie wlozyc je dopiero po kilku probach – myslal o niej. Jakaz to blyskotka mogla przyciagnac jej wzrok i skierowac go w jego strone? Teraz, gdy przeczytala ksiazke, bez watpienia nadszedl czas, by dac jej do zrozumienia, ze wiele dla niego znaczy, ze ma wobec niej powazne zamiary. Wlasnie tak jego ojciec zalecal sie do matki; jego ojciec, chudy jak szczapa, ale z brzuchem sterczacy z dumy: absolwent Uniwersytetu Sztuk i Faktow w Morrow (to niewatpliwie pasowalo do ojca). Ona, znana pod panienskim nazwiskiem Barsombly spiewaczka z glosem jak pitbull – Dradin przyznawal, ze byl to nieomal baryton, choc nieco chropawy, ukrywajacy zmyslowa seksualnosc. Nie przypominal sobie, by kiedykolwiek nie czul warczaco-dudniacych wibracji glosu matki, nie slyszal jej spiewu. Albo nie patrzyl, jak naklada na siebie tandetne perfumy czy pudry po wlozeniu kostiumu ze zlotej satyny z obfitym gorsetem, ktory podkreslal jej obfite ksztalty, nadajac jej wyglad nieprzeniknionego muru. Pamietal, jak zabierala go do teatrow i sal koncertowych, wprowadzajac tylnym wyjsciem, schlapanego i zabloconego; jakis usluzny pacholek prowadzil go, przemoknietego, na miejsce, ona zas odchodzila w strone sceny. Dradin siedzial, a kurtyna szla w gore przy wtorze aplauzu publicznosci – owacji przypominajacych odglos fal rozbijajacych sie o skale.

Potem zaczynala spiewac, a on wyobrazal sobie to warczace dudnienie uderzajace w niego i zachwycal sie potega jej glosu, jego glebia i przestrzenia, tym, jak dotrzymywal rytmu i podadal za melodia grana przez orkiestre, by potem odejsc od niej, wijac sie jak tajemniczy i niebezpieczny prad; wibracje rosly coraz bardziej, az nie bylo juz muzyki, tylko glos, ktory ja pozeral.

Ojciec nie chodzil na jej przedstawienia i Dradin czasem myslal, ze matka specjalnie spiewa tak glosno, z taka pasja, by ojciec slyszal ja choc z daleka, czytajac do pozna w gabinecie starego domu na wzgorzu, z okiennicami zamknietymi jak zeszyte powieki.

Jego matka bylaby dumna z tych zalotow. Niestety, zakneblowana i zwiazana dla jej wlasnego dobra podrozowala teraz z Plywajacymi Psychiatrami, trupa poslednich psychiatrow, plywajacych po rzece Moth slynnna barka mieszkalna opatrzona napisem "Rejsy z Plywajacymi Psychiatrami: czynimy cuda z umyslem" – ktorem w koncu ojciec oddal swoja ukochana, najdrozsza dame swego serca – oczywiscie nie za darmo, a w kazdym razie – wsciekal sie i zloscil – czyz nie sprowadzalo sie to do tego samego? Dom spokojnej starosci czy dom dla oblakanych, stacjonarny czy wedrowny. Nie bylo tak zle, mawial, opadajac na wilgotny, zielony fotel, wymachujac bursztynowa butelka Najlepszego Trunku Fantastycznego Teda, w koncu przeciez tyle ciekawych rzeczy zobaczy, tyle przezyje, a to wszystko pod madra i dobroczynna opieka wyksztalconych psychiatrow, ktorzy placili, by podjac sie tej opieki. To jasne, konczyl jego ojciec beknieciem lub pierdnieciem, to najlepszy ukklad.

Jeszcze mlody Dradin, nadal czujac bol od upiornego rzemienia sprzed polgodziny, nie osmielil sie klocic, lecz czesto myslal: tak, ale wszystkie takie zawilosci myslowe

sa wiarygodne wyłącznie w przypadku prawdziwości jednego prostego założenia: a mianowicie, że jest szalona. A jeśli nie szalona, lecz przy zdrowych zmysłach "z południa na południowy zachód", jak powiedziałby wielki Voss Bender? A jeśli w posiwialej, lecz nadal przypominającej głowę lamparcicy, rozkwitającej kształtem czaszce znajdowały się pokłady zdrowych zmysłów, a tylko jej zewnętrzna skorupa była podatna na halucynacje, zaklecia i niewłaściwe metafory? Co wtedy? Tak się szarpac, jak zwierze na lancuchu, czy ktoś przy zdrowych zmysłach byłby w stanie to wytrzymać? Może takie afiszowanie i ponizienie prowadziły właśnie do szalenstwa, którego dotychczas można było uniknąć?

Albo, co gorsza, jeśli to ojciec ją do tego doprowadził okrutną, starannie zaplanowaną obojętnością.

Dradin jednak, pamiętając straszliwą ciszę w deszczowy dzień, gdy matka wypchała sobie usta błotem, nie chciał tego rozpamiętywać. Musiał znaleźć jakiś prezent dla swojej ukochanej: dokonał tego, grzebiąc w swoich bagażach i znajdując naszyjnik, którego główny element stanowił nieoszlifowany szmaragd. Dradin dostał go kiedyś od wodza pewnego plemienia jako łapówkę: w zamian miał zostawić plemię w spokoju. (Jest tylko jeden Bog", tłumaczył Dradin. "A jak się nazywa?", spytał wódz. "Bog", odparł Dradin. "Co za banal", odparł wódz. "Odejdź stąd"). Początkowo Dradin traktował naszyjnik jako dar dla kościoła, ale potem powziął zamiar podarowania go słodkiej fidge swego serca, spoconej kapłance. Gorączka jednak dopadła go pierwsza. Trzymając naszyjnik w dłoni, dostrzegł znakomite wykonanie niebieskich i zielonych paciorków. Gdyby udało się go sprzedać, starczyłoby mu na czynsz w pensjonacie na kolejny tydzień. Bardziej atrakcyjne jednak wydało mu się podarowanie go ukochanej, gdyż dzięki temu musiała ona zrozumieć powagę uczuć, jakie plonęły w jego sercu.

Z niespotykanym wdziękiem i nutą zainspirowanego szalenstwa Dradin wydarł pierwszą kartkę z Odbicia światła w więzieniu i pod imieniem ostatniego mnicha napisał własne imię i nazwisko w taki sposób:

Brat Dradin Kashmir –

Niebedacy prawdziwym bratem, ale goraco zakochany tylko w Tobie

Spojrzał z zadowoleniem na swoje dzieło. Doskonale. Dokonał tego. Nie dało się już tego zmienić.

IV

PRZY SNIADANIU, KIEDY TO O JEGO SKROMNE potrzeby zatroszczył się wychudzony kelner, który wyglądał jak ofiara malarii, Dradin przyjrzał się swojej nieciekawej, szarej mapie. Tost bez dzemu, nic bardziej treściwego niż kielbaski

smazone we własnym tłuszczu czy bekon z białymi paskami słoniny. Klimat w dzungli już na początku sprawił, że jego jelita i pecherz działały bardziej sprawnie, a woreczek zraszał zawartość przewodu pokarmowego równie obficie, jak deszcz zraszał ziemię w najgorszej porze monsunowej. Dradin unikał więc tłustego pożywienia, odmawiając przyjęcia takich smakowitości jak smazona cykada, gotowane mięso pekari czy lokalny przysmak: wielkie, czarne ślimaki pieczone w skorupkach.

Przy brudnych, szarych, zakrytych obrusami stolach weterani wojenni kaszleli i charczeli, zerkając spod przekrwionych oczu, polswiadomie, na mapę Dradina. Skarb? Wojna na dwóch frontach? Szalencze, pijane strzały oddawane prosto między oczy wroga? Nie było wątpliwości. Dradin znalazł ten typ. Jego ojciec był taki sam – co z tego, że miał naukowe skłonności. Dla jego ojca mapa byłaby tajemnicą umysłu.

Nie zwracając uwagi na ich spojrzenia, znalazł na mapie dzielnicę religijną i zaczął wodzić po niej palcem wskazującym. Przypominała widok z góry na kolo ze szprychami, które przecinały się, tworząc cwiartki. Misja Cadimona Signala znajdowała się blisko osi, wcisnięta między Kościół Rybaka a świątynię Kultu Siedmiobocznej Gwiazdy. Już samo patrzenie na mapę sprawiało, że Dradin zaczął się denerwować. Spotkać swojego przewodnika religijnego po tak długim czasie? Czy Cadimon bardzo się postarzał przez te siedem lat? W przeciwieństwie do Dradina, który się oddalał, Cadimon Signal zbliżał się do środka swego rodzinnego miasta – wszak urodził się w Ambergris. W Instytucie Religijności Cadimon często chwalił cnoty miasta oraz – oddajmy mu sprawiedliwość – także i jego przywary, po wykładach, we wspólnej sali. Jego głos, pusty i odbijający się echem od sklepionych przejść z czarnego marmuru, wydawał się wydobywać chrypliwie z ust delikatnego jak babie lato cherubina, wyrzeźbionego wśród zawilosci sufitów, wykonanych na odmianę z białego marmuru. Wraz z Anthonym Toliverem Dradin spędził wiele wieczorów, wsłuchując się w ten głos, otoczony tysiącami tekstów religijnych na polkach zdobionych złoconymi.

Pytanie, które najbardziej zajmowało Dradina, wypełniając jego myśli i nie dając mu spać w nocy, brzmiało: czy Cadimon Signal zlituje się nad byłym uczniem i znajdzie mu jakąś pracę? Miał oczywiście nadzieję na stanowisko misjonarza, ale gdyby nie było takiej możliwości, wolałby pracę, która nie przetraci mu kregoslupa ani nie spęta go biurokratycznymi więzami. Na ojca nie można było w tej kwestii liczyć, gdyż to on polecił Dradina Cadimonowi i zareklamował Cadimona Dradinowi.

W mglistych początkach pamięci Dradina ojciec, jeszcze młody, szczupły i swawolny, zapraszał Cadimona na herbatę i konwersacje w otoczeniu książek, książek i jeszcze raz książek, które wypełniały ojcowski gabinet. Książki o kulturze i cywilizacji, religii i filozofii. Ojciec opowiadał później Dradinowi, że dyskutowali na wszelkie tematy jakie można, albo i jakich nie można było sobie wymyślić, a niektóre

były nawet dość niesmaczne lub zbyt realistyczne, aż wybiła północ, pierwsza albo druga w nocy, a latarnie przyciemniały, wydzielając ironiczne światło o słonej barwie, zupełnie niepasujące do dyskusji. Czy taka znajomość wystarczy? Czy Cadimon dostrzeże w Dradinie syna swego ojca?

Po śniadaniu, dzierżąc w dłoni naszyjnik i mapę, powędrował do Dzielnicy Religijnej, znanej także jako Durnota Midana Pejory, głównego architekta z dawnych lat, któremu należy przypisać architektoniczne zasługi lub hanbę stworzenia pochyłych ścian, mieszaniny stylu okcydentalnego i przypadkowego, południowego i północnego, barokowego i tropikalnego. Budynek walczył o powietrze i przestrzeń jak żołnierze, którzy od stuleci walczą tak cegła w cegle. Dradin pomyślał, że równie niemilych wrzasków można doznać, upijając się solidnie i zagładając do obracającego się kalejdoskopu.

Nocny deszcz przybrał formę podświetlonych słońcem kropelek na liściach, szybach okiennych i kamieniach bruku, zmywając szarą i zapyloną okleinę miasta. Koty czyściły futerka, a małe ropuchy podskakiwały wokół martwych wrobli leżących w wypełnionych wodą rozpadlinach, pokonanych przez potęgę burzy. Dradin czuł się świeżo i czysto, oddychał głęboko wietrzny, wilgotnym powietrzem.

Prychnął z niedowierzaniem, przyglądając się wyznawcom łagodnego Świętego Solona od Rozkładu, którzy wkładali trupy ofiar deszczu, na przykład wrobli, do małych drewnianych trumienek, żeby je pogrzebać. W dżungli śmierć była czymś tak powszechnym, że można było przez mile maszerować po rozkładających się zwłokach, wybielonych do czysta kościach zdechłych zwierząt, a po jakimś czasie nawet wyjątkowo delikatny misjonarz nie zwracał uwagi na chrzest pod nogami.

Zbliżając się do budynku misji, Dradin próbował się uspokoić, wdychając drażniący zapach świec wotywnych płonących w niszach, w zagłębieniach i na balkonach. Próbował wyobrazić sobie bogactwo tych konwersacji ojca z Cadimonem – obfitość omawianych tematów, szlachetne i pobożne zaprzeczenia i argumenty. Gdy ojciec wspominał te rozmowy, strzasał z siebie ciężar lat, jego głos stawał się lekki, a oczy wilgotne od nostalgii. Oby tylko Cadimon wspominał te spotkania z takim samym entuzjazmem.

Postukiwanie stop pokutującego pielgrzyma o uliczny bruk wyrwało go z zadumy; zatrzymał się na skraju ulicy, patrząc, jak mija go grupa dwudziestu albo trzydziestu zebraków, którzy szukali odpuszczenia grzechów, dorabiając się odcisków w drodze do jednej z tysiąca kaplic. W ich spokojnym, lecz pustym spojrzeniu i otwartych ustach Dradin dostrzegł cien twarzą matki i zastanawiał się, co ona robiła, gdy ojciec i Cadimon rozmawiali. Szła spać? Konczyła myć naczynia? Siedziała na łozku i podsłuchiwała ich przez ściany?

W końcu odnalazł misję Cadimona Signala. Budynek był nieco oddalony od ulicy i

nieomal niewidoczny na tle otaczających go strzelistych katedr – dawał się zauważyć tylko dzięki pustce, ciszy i wirowi jaskolek uganiających się w powietrzu jak pozbawieni masy akrobaci na trapezie. Budynek, w którym mieściła się misja, był dawnym magazynem krytym blachą, wzmocnionym cegłą i zaprawą, z postrzępionymi dziurami zamiast świetlików, co skłoniło Dradina do refleksji: co takiego robia, kiedy pada? Pewnie siedzą i mokną, pomyślał.

Wielkie drzwi, ochrzczone fragmentami mozaiki, która przedstawiała świętych, mnichów i męczenników, otworzyły się przed nim. Wszędzie dookoła krzatali się akolici, łapiąc za worki z piaskiem i długie kłody z zamiarem zabarykadowania wejścia, ale nikt nie próbował go zatrzymać, gdy maszerował po schodach, a potem wzdłuż przejścia; w istocie nikt nie obdarzył go drugim spojrzeniem, tak byli skoncentrowani na swoich wysiłkach.

We wnętrzu Dradin wkroczył ze słońca w cień, a jego kroki rozbrzmiewały echem w ciszy. Labirynt ścieżek prowadził przez wypielegnowany, zielony ogród w stylu okcydentalnym. Centralnym punktem ogrodu były otoczone skalkami stawy, których powierzchnie rozciągały zakrzywione pletwy opasłych karp. Obok stawów rozciągały się zwietrzałe ruiny starożytnych pogańskich świątyn, które pokryto papierem w wesółych kolorach i chlapanieciami czerwonej, zielonej, niebieskiej i białej farby. Pośród ogrodów, świątyn i stawów uwijali się akolici w szarych habitach, nierzucający się w oczy jak słupy latarniane, zmiatając kurz, sadząc ziola i podlewając kwiaty. Powietrze miało metaliczny kolor i smak; Dradin usłyszał brzęczenie pszczół wokół maków, cichy poszmer, gdy akolici przykładali sierpy do pniących się chwastów.

Nierówna, otoczona blekitną trawą ścieżka zaprowadziła go do usypanego z piasku kopca, na którym stał katafalk udekorowany złotymi liśćmi i nadrukowanym z boku napisem "Święty Filip Balamuta". W cieniu katafalku, pośród blekitnej trawy, ogrodnik w ciemnozielonej szacie sadził lilie, które położył na pobliskiej ławce. Na katafalku – który to widok sprawił, że Dradin zatrzymał się w poł kroku – stał Signal. Zmienił się od czasów, kiedy Dradin widział go po raz ostatni, był łysy i wychudły, a z uszu wyrastały mu keпки posiwiałych włosów. Na chudej szyi miał nabijana cwiekami psia obroże. Najbardziej niepokojący – jeśli nie liczyć trzymanej w lewej ręce baryłki wina, niewatpliwie dostarczonej przez solidnych, choć ze znakiem zapytania, dostawców trunków, firmy Hoegbotton i Synowie, co oznaczało, że może nawet dotykała jej i pieściła ją jego ukochana – był jednak fakt, iż ten człowiek był całkowicie, ale to całkowicie nagi! Obiekt niczyjego pożądania podskakiwał jak zwiotczała, siniejaca kielbaska, podtrzymywana prawą ręką mężczyzny tak, by wyglądała, jakby znajdowała się w stanie erekcji; jego prawa ręka była całkowicie zajęta ruchem w górę i w dół; ruchem, który sprawiał właścicielowi aż taką przyjemność.

–Ccc-Cadimon Ssss-sigggnal?

–Tak, a kto pyta? – Odezwał się ogrodnik.

–Slucham?

–Powiedziałem – powtórzył ogrodnik z bezgraniczną cierpliwością, jakby nie miał nic przeciwko powtarzaniu tego samego po raz trzeci, czwarty i piąty: – "Tak, a kto pyta?".

–Nazywam się Dradin. Dradin Kashmir. Kim pan jest?

–Dradin nie spuszczał z oczu nagiego mężczyzny na katafalku.

–Jestem Cadimon Signal, to chyba jasne – odparł ogrodnik, wrywając chwasty i sadząc lilie. Wyrwać, wsadzić, wyrwać. – Witaj w siedzibie mojej misji, Dradin. Kope lat! – Niski człowiek w zielonych szatach, stojący przed Dradinem, miał ruchy i rysy jak każdy pokryty zmarszczkami zebrał na bulwarze Albumuth, ale przyjrząwszy się dokładniej Dradin dostrzegł pewne podobieństwo do człowieka, którego kiedyś poznał w Morrow. Być może.

–W takim razie kim on jest? – Dradin wskazał na nagiego mężczyznę, który właśnie spuszczał się prosto w krzak róży.

–To Żywy Święty. Zawodowy święty człowiek. Powinieneś to pamiętać z lekcji teologii. Przecież musiałem ci opowiadać o Żywych Świętych. Chyba że zamieniłem tematy i opowiedziałem akurat o Martwych Męczennikach. Nie, naprawdę tylko o nich. To żart, Dradynie. Mogłbyś mieć przynajmniej dość przyzwoitości, żeby się rozesmiać.

Żywy Święty, który nie był już pobudzony, a raczej zmęczony, ułożył się na gładkim, chłodnym kamieniu, z którego wykonano katafalk, i zaczął chrapać.

–Ale co tu robi Żywy Święty? I to nagi?

–Trzymam go tu, żeby odstraszać pojawiających się wierzycieli. Utrzymanie tego miejsca jest strasznie kosztowne. Ale ty się zmieniłeś, nieprawdaz?

–Co?

–A myślałem, że to ja głuchnę. Powiedziałem, że się zmieniłeś. Proszę, nie zwracaj uwagi na mojego Żywego Świętego. On jest tylko dla wierzycieli. Wywlekam go, on się spuszcza, a oni już nie wracają.

–Zmieniłem się?

–Tak, przecież już to powiedziałem. – Cadimon przestał sadzić lilie i wyprostował

–sie, po czym zlustrowal Dradina od stop do glow. – Pojechales do dzungli. Co za szkoda. Byles takim dobrym uczniem.

–Wrocilem z dzungli, jesli to chcial pan powiedziec. Zlapalem goraczke.

–Nic dziwnego, ze sie tak zmieniles. Potrzyмай mi te cebulke. – Cadimon znow przykucnal. Wyrwac, wsadzić, wyrwac.

–Wydaje sie pan... Jakos mniej imponujacy. Ale zdrowszy.

–Nie, nie. Urosles, to wszystko. Skoro nie jestes juz misjonarzem, to co zamierzasz dalej robic?

–Nie jestem juz misjonarzem? – Rzekl Dradin i doznal wrazenia, jakby tonal, a przeciez dopiero zaczeli rozmawiac.

–Tak. Albo nie. Poprosze o lilie. Dziekuje. Blogoslawione rzeczy potrzebuja tyle brudu. Ale wysilek jest dobry dla pluc. Dobry dla duszy. Jak tam miewa sie ojciec? Co za przykra historia z twoja matka. Ale co u niego?

–Nie widzialem go od trzech lat. Pisal do mnie, kiedy jeszcze bylem w dzungli, i mial sie niezle.

–Hm. To dobrze. Z twoim ojcem prowadzilem kiedyś wspaniale rozmowy, wiele lat temu. Bardzo dawno temu. Pamietam, jak siedzielismy w waszym domu, a ty byles jeszcze w kolysce, i debatowalismy o wartosciach estetycznych Zlotych Sfer...

–Przyszedlem tu w poszukiwaniu pracy.

Milczenie. Po chwili Cadimon odezwal sie:

–Nie pracujesz juz dla...

–Zrezygnowalem. – Dradin powiedzial to z naciskiem, jakby przygniatal jajko, by peklo.

–Teraz? Przecież mowilem, ze nie jestes juz misjonarzem. Nie zmienilem sie ani troche od lat spedzonych w akademii, Dradinie. Nie rozpoznales mnie, bo ty sie zmieniles, nie ja. Jestem taki sam. Nie zmieniam sie. Przez co jestem lepszy niz tutejsza pogoda.

Dradin uznal, ze nadszedl wlasciwy moment, by przejac kontrole nad rozmowa. Prowadzenie dialogu w ten sposob, by reagowac na meandrujace uwagi Cadimona, przestalo mu wystarczac. Przykucnal i delikatnie polozyl pozostale lilie na kolanach Cadimona.

–Szukam pracy, prosze pana – rzekl. – Przez trzy miesiace odchodzilem od zmyslow z powodu goraczki, dopiero teraz doszedlem do siebie. I tesknie za tym, zeby wrocic do misjonarskiego zycia.

–Lubisz trzymac sie tematu, prawda? – Spytal Cadimon. – Jesteś z tych, co trzymają się tematu. I trzymają się zasad. Pamiętam cie. Jesteś z tych, których Żywy Święty raczej zaszokuje niż ubawi. Wolisz wszystko wypróbować, niż działać spontanicznie. No coż.

–Cadimonie...

–Umiesz gotować?

–Gotować? Umiem ugotować kapustę. I wodę.

Cadimon poklepał Dradina po brzuchu.

–Jez też to potrafie, moj drogi. Jez też, jeśli bede musiał. Nie, ja raczej mam na myśli gotowanie takie jak w wydaniu Kucharzy z Kalay, którzy biorą kocioł wody z zeży i kawał wołowiny leżacej od trzech dni, twardej jak odciski na piętach, i tworzą z tego danie tak soczyste, że przez kilka kolejnych dni zjedzenie czegokolwiek poza marchewką obrazaloby kubki smakowe. Więc nie umiesz gotować?

–A co gotowanie ma wspólnego z pracą misjonarza?

–Ho-ho. Sądziłem, że taki weteran dżungli będzie wiedział! Nigdy nie słyszałeś o kanibalach? Co? Nie, to był żart. Nie ma nic wspólnego z pracą misjonarza. No i gotowe.

Przyklepał ostatnią cebulkę lili i usiadł na ławce, machnięciem dłoni dając Dradinowi znak, żeby się dosiadł. Dradin usiadł na ławce obok Cadimona.

–Przecież potrzeba wam doświadczonych misjonarzy?

Cadimon potrząsnął głową.

–Nie mam dla ciebie pracy. Przykro mi. Zmieniłeś się, Dradynie.

–Ale pan i mój ojciec... – Dradin poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Mogł się zalecać aż do śmierci, ale jakże miał bez pracy zapewnić swojej ukochanej takie przygody jak w książce, czego z pewnością będzie się domagała?

–Twój ojciec to dobry człowiek, Dradynie. Ale nasza misja nie spi na pieniądzach. Nadchodzą ciężkie czasy.

Na twarz Dradina wypłynęła, jak szczególnie brzydki krokodyl, duma.

–Drogi panie, jestem dobrym misjonarzem. Bardzo dobrym misjonarzem. Wie pan, że pracowałem jako misjonarz przez ponad pięć lat. I jak już mówiłem, opuściłem dżunglę, o mało nie umierając tam z gorączki. Kilku moich kolegów już nie wróciło do zdrowia. Ta kobieta... Ta kobieta...

Umilkł, czując, jak gęsia skórka wypelza na jego ciało od nagłego uczucia chłodu. Layeville, Flay, Stern, Thaw i Krug – wszyscy zwariowali albo pomarli pod naporem zieloności, z deszczu i dyzenterii, albo od zatrutych strzał dzikusów. Tylko jemu udało się odpelznąć w bezpieczne miejsce, a papka poszycia dżungli poniżej jego piersi aż mruzczała od pijawek, żuków gnojników i stonog "Molly o dwunastu krokach". Podróż do piekła i z powrotem, której teraz nie pamiętał i nie chciał pamiętać.

–Pff! Umieranie na gorączkę jest łatwe. Dżungla jest łatwa, Dradynie. Ja tam przeżyłem, choć jestem watły. To miasto jest trudne. Gdybyś tylko zadał sobie trud obserwacji, zauważyłbyś, że powietrze jest aż gęste od misjonarzy. Nie można się wysikać przez okno tak, żeby ich nie ochlapać. Miasto wręcz od nich kipi. Wszyscy myślą, że podczas Festiwalu przytrafi się jakaś okazja, tymczasem okazje są, ale nie dla nich! Nie, potrzebujemy kucharza, a ty nie umiesz gotować.

Dradin czuł, jak dłonie lepia mu się od potu: drżały, gdy im się przyglądał. Co teraz? Co robić? Jego myśli krążyły maniacko wokół tego samego pytania bez odpowiedzi: jak przetrwać z tym, co miał przy sobie, a równocześnie zalecać się do kobiety w oknie? A przecież musiał się do niej zalecać, czuł, że jego serce nie wytrzyma ciosu, jakim byłoby zaprzestanie pogoni za nią.

–Jestem dobrym misjonarzem – powtórzył, patrząc w ziemię. – To, co się stało w dżungli, nie stało się z mojej winy. Wyruszyliśmy w poszukiwaniu neofitów, a kiedy wróciłem, oboz był już zajęty.

Oddech Dradina stał się szybki i płytki. Czuł, że jego głowa jest coraz lżejsza. Dusił się, właśnie tak, dusił się pod masą liści dżungli, zatykających jego nos i usta.

Cadimon westchnął i potrząsnął głową, po czym rzekł cicho:

–Nie ma we mnie ani krztyny współczucia – po czym wyciągnął dłonie w kierunku Dradina. – Jak mam ci to wytłumaczyć? Chyba nie potrafisz, ale mimo to spróbuję. Może tak: czy nawracales Ludzi – Latające Wiewiorki z zachodnich hydr? Czy przemierzyłeś zamrożone pustkowia Lascii, by nawracać zimnym sople lodu lud Skamoo?

–Nie.

–Co powiedziałeś?

–Nie!

–Wiec nic tu po tobie. Przynajmniej na razie.

Dradin czul, ze boli go gardlo i szczeka mu sztywnieje. Czy przyjdzie mu blagac? Czy bedzie musial sam zostac zebrakiem? Zywy Swiety na katafalku zaczal sie poruszac, mruzcac cos w polsnie.

Cadimon wstal i polozyl dlon na ramieniu Dradina.

–Jesli to cie pocieszy, to nigdy nie byles prawdziwym misjonarzem, nawet w akademii religijnej. I stanowczo teraz tez nie jestes misjonarzem. Jestes... Czymś innym. Czymś naprawde niezwyklym, czego nie umiem uchwycic.

–Obraza mnie pan – rzekl Dradin takim tonem, jakby byl galionem na jakimś kosztownym jachcie, plynacym ospale po rzece Moth.

–Nie mialem takiego zamiaru, moj drogi. W zadnym wypadku.

–Moze dalby mi pan jakies pieniadze. Zwroce.

–Teraz ty mnie obrazasz, Dradinie. Nie mam pieniedzy. Nie mamy ich. Wszystkie pieniadze, jakie uda nam sie zebrac, przekazujemy wierzycielom oraz domom i przytulkom dla biedoty. Nie mamy pieniedzy i nie pozadamy ich.

–Cadimonia – rzekl Dradin. – Cadimonia. Jestem w trudnym polozeniu. Potrzebuje pieniedzy.

–Jesli jestes w trudnym polozeniu, dam ci rade: wyjedz z Ambergris. I to przed Festiwalem. Podczas Festiwalu kaplani nie powinni wloczyc sie noca po ulicach, to niebezpieczne. Od tylu lat byl spokoj i mowie ci, dlugo sie juz nie utrzyma.

–Nie potrzebuje duzo. Tylko tyle, zeby... Cadimon wskazal mu gestem wyjście.

–Zebrz u ojca, nie u mnie. Odejdz. Natychmiast odejdz.

Dradin, z napietymi miesniami i zacisnietymi piesciami, moze i spelnilby zyczenie Cadimonia z szacunku do autorytetu, ale nagle w jego umysle pojawila sie wizja – jak ksiezyc, ktory wczeszedl nad dolina poprzedniej nocy. Wizja dzungli, zielonych lisci z zylkami jak kregoslupy, jak dlugie, delikatne liscie. Dzungla, kobieta i wszyscy umarli...

–Nie odejde.

Cadimon zmarszczyl czolo.

–Przykro mi, ze musze wysluchiwac takich rzeczy. Prosze cie jeszcze raz, odejdz.

Bujna zielen, dławienie, smak kurzu w ustach, zapach spalenizny, dym klebiący się na kształt pytańnika.

–Cadimonie, byłem twym uczniem. Jesteś mi to winien...

–Zywy Świety! – Wrzasnął Cadimon. – Zbudź się!

Zywy Świety wyprostował się, zmieniając pozycję na szczycie katafalku.

–Zywy Świety – rzekł Cadimon – pozbadz się go. Nie musisz być zbyt łagodny – po czym zwrócił się do Dradina: – Zegnaj, Dradynie. Bardzo mi przykro.

Zywy Świety, wyrzaskując obelgi, zeskoczył z katafalku. Jego członek był siny, sflaczał jak ukwiał, i złowieszczo dyndał. Świety popędził w stronę Dradina, który wziął nogi za pas, roztracając szeregi gromadzących się akolitów. Biegając po błękitnej trawie, słyszał tuż za sobą wrzaski Zywego Świetego:

–Spieprzaj! Spieprzaj, tłusty pawianie!

Dali się też słyszeć okrzyki Cadimona:

–Bede się za ciebie modlił, Dradynie! Bede się za ciebie modlił!

A potem, tak blisko, zbyt blisko, rozległ się niedający się z niczym pomylić, gorący i wilgotny odgłos, jaki wydaje człowiek, który sobie ulzył; następnie Dradin poczuł na ramionach ręce Zywego Świetego i opuścił teren misji o wiele szybciej, niż miał na to nadzieję w chwili wkroczenia nań, ze zranioną dumą, godnością, i poczuciem, że pogwałcono elementarne zasady.

–I trzymaj się z daleka! Gdy Dradin przestał biec, odkrył, że znajduje się na skraju Dzielnicy Religijnej, tuż przy wychudzonym sprzedawcy orzechów macadamia, który rzucił na prawo i lewo dowcipami jak szalony. Dysząc ciężko, Dradin położył dłonie na udach. Jego płuca z wysiłkiem pompowały powietrze. Krew w piersi tętniła dziko. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że wszystkie te objawy są skutkiem wysiłku, a nie wstrząsu, jakiego doznał z powodu złości i rozpacz. Czynów, które nie przystoją misjonarzowi. Czynów, które nie przystoją dżentelmenowi. Do czego jeszcze doprowadzi go ta miłość?

Walcząc o odzyskanie spokoju, poprawił koszulę i kołnierz, po czym ruszył, mając nadzieję, że jego ruchy imitują sposób poruszania się duchownego średniego szczebla, dla którego wszystkie rzeczy ziemskie są czymś niegodnym uwagi. Niestety, wypiętrzenie bardzo czerwonych żyłek na karku, palce zeszywniały tak, że wyglądały jak szpony – te wszystkie sygnały zdradzały, że nadal jest wściekły. Jak Cadimon śmiał go tak potraktować, jakby był kims zupełnie obcym! Jak śmiał tak zbezczyć wiezi, jakie istniały między jego ojcem a kościołem!

A co gorsza, gdzie byli stroże porządku, kiedy ich potrzebował? Miasto bez wątplenia miało jakieś przepisy dotyczące oddawania moczu w miejscu publicznym. To jednak zakładało istnienie jakiejś władzy świeckiej, a do tej mitycznej bestii Dradin nie był do końca przekonany. Nie dostrzegł ani jednego blekitnego, czarnego czy brazowego munduru, a już na pewno takiego z człowiekiem w środku, co razem miało symbolizować prawo i porządek oraz sprawiać, że słowo stało się ciałem. Coz robili mieszkańcy Ambergris, gdy złodzieje, zbocznicy i mordercy przemykali się głównymi ulicami i zaułkami, przejściami podziemnymi i mostami? Ta myśl przypominała mu jednak o grzybianach i ich schronieniach we wnękach, więc przestał o tym dumać, a dreszcz przebiegł mu od podbrodka po czubki palców u nog. Być może dzungla jeszcze nie wypuściła go ze swych objęć.

Wreszcie, z pochylonymi ramionami i oczami wbitymi w ziemię, poniosłszy nikczemną porażkę, musiał przyznać przed sobą, że jego metody były groteskowe. Zrobił z siebie głupca przed Cadimonem. Cadimon nie miał wobec niego żadnego długu wdzięczności. Cadimon zachował się jedynie jak ktoś, kto musi się tak zachować w obliczu bezbożnika. Z naszyjnikiem nadal zawiniętym w stronicę Odbicia światła w więzieniu Dradin udał się znowu pod siedzibę firmy Hoegbotton i Synowie, by odkryć, że jego ukochanej nie ma już w oknie. Poczul dreszcz wędrujący wzdłuż kręgosłupa, wstrząs tak silny, że o mało nie przyprawił go o stan kwalifikujący się do rozmów z psychiatrą na pokładzie barki u boku matki, na szczęście jednak był człowiekiem rozumnym i rozumującym. Rozmyślał o tym, jak jego serce tonie w morzu strachów, a on próbuje wymyślać dla niej tysiące usprawiedliwień: poszła na obiad, rozchorowała się, przeniosła się do innego pokoju. Nie dopuszczał do siebie myśli, że odeszła na dobre, znikła, a on już nigdy, przenigdy nie zobaczy jej twarzy. Teraz Dradin pojął uzależnienie ojca od słodko syconego miodu, piwa, wina i szampana: ta kobieta była jego uzależnieniem i wiedział, że gdyby tylko zobaczył jej bladą jak porcelana twarz, gdy dreczyła go gorączka w dzungli, przeżyłby wyłącznie dla niej.

To miasto może i było dzikie; bezpanskie psy włościły się po ulicach z usmolonymi ulicznikami, w których obojętnych oczach widac było świadomość, że wkrótce mogą je zamknąć na zawsze, osłepieni na wieki przez te same dwie drobne monety, które właśnie wyzebrali od jakiegoś dzentelmena, i nikt w tym rozdygotanym, tetniącym życiem mieście, gdzie na bulwarach kwitł handel, nie wiedział, kto naprawdę rządzi Ambergris – jeśli w ogóle ktoś nim rządził, ono jednak, jak zbuntowany zegar, żyło własnym życiem, nie oglądając się na nic, zasilane szaloną masą własnej inercji, masą swych własnych obywateli, raz, lup, dwa, tup, trzy, lup, trzysta tysięcy, tup; Nie zważając na dzikość posrodku rzekomej cywilizacji – a jednak kobieta w oknie wydawała się Dradinowi bardziej uporządkowana, bardziej zdyscyplinowana i opanowana, a zatem, w jakiś przekorny sposób, bardziej podatna na jego zarządze niż ktokolwiek inny, kogo Dradin spotkał w Ambergris: mieście ambry, tej bezcennej wydzieliny wieloryba, wrzucym kotle tego, co podrzędne i nadrzędne.

I wtedy pojawił się jego zbawca: Dvorak. Wyskoczył spiralnym ruchem o metr od rzeźnika czekającego na kabriolet i kusnierza o kwadratowej szczyce, owiniętego w futra barwy bursztynu, szarości i bieli. Odziany był cały na czarno i na tle tej czerni odcinały się czerwone kropki tatuazu i biała jak gołąb chusteczka w kieszeni marynarki, barwiona na czerwono na brzegach. Jego zdeformowana twarz zdobił tajemniczy, kobiecy uśmiech.

–Nie ma jej w oknie – rzekł Dradin.

Dvorak zaśmiał się, otwierając usta szeroko, jeszcze szerzej, aż ukazały się miesozerne, czerwone gębki.

–Istotnie. Nie ma jej w oknie. Ale z całą pewnością jest w środku. Jest bardzo oddanym pracownikiem.

–Dal jej pan książkę?

–Oczywiście, proszę pana. – Śmiech skurczył się w wąski uśmiech. – Wzięła ją ode mnie jak dama, z wahaniem, a kiedy jej powiedziałem, że to od tajemniczego wielbiciela, splonila się.

–Splonila się? – Dradin poczuł się lżej, krew mu wrzała, a głowa była jak obłoczek dymu, chmurka, klebek waty cukrowej.

–Splonila się. To dobry znak, proszę pana.

Dradin wyjął paczuszkę z kieszeni i drzącą dłoń podał ją karzelkowi.

–Proszę iść i ją odszukać, a kiedy ją pan znajdzie, proszę jej to dać. I powiedzieć, żeby spotkała się ze mną o zmierzchu przy tawernie "Pijana Łódź". Zna pan to miejsce?

Dvorak skinął głową, zaciskając dłonie na paczuszce, jakby chciał ją ochronić.

–Dobrze. Zarezerwuj stolik tuż przy trasie parady festiwalowej. Jeśli to będzie konieczne, proszę ją ubłagać. Zaintrygować i usilnie prosić.

–Tak zrobię.

–Ch-ch-chyba ze pana zdaniem powinienem zanieść jej ten prezent sam.

Dvorak posłał mu krzywy uśmiešek. Potrząsnął głową, tak że zielone dzungle rozmazały się Dradinowi w oczach.

–Proszę pana, niech pan się zastanowi. Niech pan pomyśli. Czy pan chciałby, żeby zobaczyła pana zdyszanego, rozczochranego oraz – proszę wybaczyć mi śmiałość –

wydającego lekki zapach uryny? Nie, prosze pana. Spotkajcie sie po raz pierwszy w tawernie, gdzie bedzie pan jawil sie jej jako mezczyzna dysponujacy pewnymi srodkami, bedzie pan odprezony i gotow do roztoczenia przed nia dalszych tajemnic.

Dradin odwrocil wzrok. Jego brak doswiadczenia musial az bic po oczach. Jakze glupie byly jego sugestie. Mimo to czul ulge, ze Dvorak polozyl kres jego arogancji.

–Prosze pana? – Odezwal sie Dvorak. – Prosze pana?

Dradin zmusil sie, by spojrzec na Dvoraka.

–Ma pan oczywiscie racje. Zobacze sie z nia w tawernie.

–Monety, prosze pana.

–Monety?

–Z uprzejmosci nie wyzyje.

–Tak. Oczywiscie. Oczywiscie. – Przeklety Dvorak. Ani krzty wspolczucia! Wetknal dlon do kieszeni spodni i wyjal zlota monete, po czym podal ja Dvorakowi. – Kolejna po panskim powrocie.

–Jak sobie pan zyczy. Prosze tu poczekac.

Dvorak rzucil Dradinowi ostatnie, dlugie spojrzenie i popedzil po schodach, po czym zniknal w ciemnosciach bramy.

Dradin odkryl, ze czekanie wychodzi mu kiepsko. Przysiadl na krawezniku, wstal, przykucnal, oparl sie o latarnie, podrapal w kolano, w miejsce, gdzie ukasila go pchla. Przez caly czas wpatrywal sie w puste okno i rozmyslal: och, gdybym tylko przyjechal do miasta dzis, spojrzalbym w to okno i nie zobaczyl nic, i nie doswiadczylbym calej tej frustracji, niecierpliwosci i tej zarliwosci, ktore wylewaja sie ze mnie teraz.

Dvorak wreszcie pojawil sie na schodach, pomykajac; poly marynarki powiewaly za nim, a jego usmiech byl jeszcze szerszy – o ile to w ogole mozliwe. Rzucil chytne spojrzenie.

–Co powiedziala? – Dopytywal sie Dradin. – Czy cos powiedziala? Cokolwiek? Tak? Nie?

–Pelen sukces, prosze pana. Sukces. Jest zajeta, jest zapracowana, wiec mowila niewiele, ale powiedziala, ze spotka sie z panem w "Pijanej Lodzi", choc moze dopiero po zapadnieciu zmroku. Spojrzala przychylnym okiem na szmaragd i

wiadomosc. Nazwala pana dzentelmenem.

Dzentelmenem. Dradin wyprostowal sie.

–Dziekuje panu – rzekl. – Bardzo mi pan pomogl. Prosze. Podal Dvorakowi druga monete; ten wyrwal mu ja z reki ze zwinnoscia weza.

Dvorak wymruczal cos na pozegnanie; Dradin ledwo go slyszal, przebywajac w swiecie, gdzie slonce zawsze swieci jasno, odslaniajac wszystkie ukryte zakamarki, niszczac wszelki cien czy ciemna lub migoczaca prawde.

V

POPEDZIL Z POWROTEM DO PENSJONATU. Prawie nie dostrzegal otaczajacych go czerwonych, zielonych i niebieskich blyskow, nie wyczuwal w powietrzu atmosfery oczekiwania, nie slyszal stoczonych grupiek ludzi rozmawiajacych ozywionym tonem. Wieczorem mial sie rozpoczac Festiwal Slodkowodnych Kalamarnic i ulice mialy rozbrzmiec gwarem swieta. Juz teraz czuc bylo czysty zapach swiezo wypiekanego chleba, pomieszany z lepka nuta slodyczy, ktory draznil nos i zmienial grymas w usmiech. Chlopcy, wypuszczeni wczesniej ze szkol, bawili sie obreczami, szklanymi kulkami i kawalkami cegly. Bardziej odwazni odgrywali sceny zatapiania statkow przez wielkiego, starego krakena, ktory jednym machnieciem macki posylal na dno plywajace po bajorze stateczki zabawki i rozgniatal je w rynsztoku. Inni obserwowali wznoszenie rusztowan na ulicach prowadzacych do bulwaru Albumuth. Szczudlarze o pomalowanych na fioletowo twarzach rozwieszali rowne ilosci cukierkow i glowek z masy papierowej, nie schodzac ze szczudel.

Dradin wkroczyl wreszcie do pokoju, otworzyl drzwi na osciez i gwaltownie zatrzasnal je za soba. Obywatele Ambergris przygotowywali sie do Festiwalu, a on przygotowywal sie na spotkanie swojej milosci, nie myslac o takich rzeczach jak brak pracy i topniejace zasoby finansowe. Rozebral sie i wzial prysznic w wodzie tak goracej, ze igly wrzatku wytatuowaly mu skore na czerwono, ale czul sie czysty, a nawet bardziej niz czysty: oczyszczony i spokojny, gdy pol godziny pozniej wyszedl spod prysznicza i wytarl sie duzym, zielonym recznikiem. Stojac nago przed lustrem w lazience, Dradin zauwazyl, ze choc nabral troche ciala od chwili, gdy opuscila go goraczka, wcale nie przytyl. Nie mial sladu brzuszka, a na nogach zarysowaly mu sie miesnie. Nie byla to wcale cecha rodzinna: jego swawolny ojciec, odkad matka zaczela swoja przygode z rzeka, utyl i przypominal surowe chlebowe ciasto. Ojciec nie mial juz nic do roboty poza nauczaniem etyki na uniwersytecie i zywniem nadziei, ze gibkie, mlode istoty, ktore uczeszczaja na jego zajecia, beda mialy dla niego litosc. Ale jego syna czekal inny los; Dradin byl tego pewien.

Zaczal sie golic; zacial sie i krew poplynela mu po brodzie i szyi; zadrzal, ale odzyskal samokontrolę i chwycil brzytwe mocno; a mimo to, gdy skonczyl, reka mu

się trzęsła. Dobrze. Teraz różne olejki wcierane w skórę głowy, by jego włosy przybrały jednolicie czarny kolor, niekiedy biela, chyba że po bokach, w miejscach, gdzie muskały uszy, nie spadając na twarz. Potem plamka czerwieni, by wydobyc błotnista zielen jego oczu – może to skandaliczny nawyk, przejęty oczywiście od matki, ale Dradin wiedział, że postępowało tak wielu błędnych kapłanów.

Przystępując do ubierania się, zaczął od włożenia czystej bielizny, a następnie znalazł eleganckie skarpety ozdobione motywem weży barwy zgaszonego fioletu i złota. Potem szare spodnie – szare jak szparki oczu jego ojca w szponach duchów, szare jak bezbarwne nastroje jego matki po przedstawieniach w teatrach muzycznych. Tak, elegancka szarość, głęboka szarość, nie do końca konserwatywna; następnie koszula: wyglądająca na nią na obszerna, lecz nie za duża, biała z fioletowymi i złotymi guzikami, pasująca do skarpetek, a na to marynarka z szaro-fioletowej tkaniny, więc od stop do głów wyglądał wytwornie, jak debiutant na jakiejś politycznej gali. Sprawilo mu to przyjemność – wyglądał na umundurowanego, jak misjonarz, a zarazem jego celem było stworzenie bardziej prywatnego wizerunku. Tak, poradzi sobie znakomicie.

Tak odziany, z ostatnimi monetami podzwaniającymi w kieszeniach, z żołądkiem zbitym w jedną kulke nerwów (i przypominającym atak choroby morskiej uczuciem mamzamalopieniedzy, mamzamalopieniedzy pulsującym w trzewiach), Dradin wyszedł na ulicę.

Mgielka o zmierzchu przytłumiła Ambergris, tłumiąc dźwięki i ograniczając widoczność, lecz także przygasila wszędzie światła. Światła z balkonów i sypialni, światła ulicznych latarni i konnych dorożek, latarnie niesione w dłoniach i światełka kolyszające się na ramionach koscistych dozorców, którzy śpiewali z głębi gardel:

–Światło umiera! Światło umiera! Niech zacznie się Festiwal!

Obok przemykały zjawy na metalowych pretach: ludzie na rowerach. Dzwoneczki dzwoniły, a dzieci w eleganckich ubrankach, które powierzono całym legionom cierpiących od dawna nian, toczyły się niepewnie na grubych nożkach. Dzieciocy mimowicie z pomalowanymi na białą twarzami zbliżyli się do Dradina, podskakując i wycinając piruety, a Dradin klasnął z aprobatą i pogłaskał ich po głowkach. Przypominali mu nagie dzieci ze szczepu Nimblytów, hustające się na drzewach i żywiące ptakami, które zgubiły się w lesie i nie mogły odnaleźć drogi do światła.

Przecieli mu drogę kobiety w czerwono-czarnych mundurach myśliwych. Do pasów miały przypięte puste w środku drewniane figury koni; sztuczne drewniane nogi dyndaly im po bokach, gdy ich własne udawały klus, galop czy podskoki, ale robiły to w sposób tak kontrolowany, tak zwarty i sztywny, że nigdy nie gubiły szyku mimo przypadkowego charakteru ich ruchów. Każdego z koni pomalowano inaczej, w dziwaczne odcienie zieleni, czerwieni i bieli: miały przekrwione oczy, a czarne zęby

sterczaly jak wykrzywione kly. Wargi kobiet byly pokryte czerwona szminka, sciagajac sie, gdy udawaly rzenie. Dookola nich zbieral sie tlum, wybuchajac co chwila smiechem, a kobiety byly tak pograzone w transie, ze widac bylo tylko bialka ich oczu, odcinajace sie przerazajaco na tle ciemnosci.

Dradin minal gigantyczne rozna, na ktorych pieczono cale krowy, cale prosieta i pare mniejszych bestii; obracali je stekajacy muskularni mezczyzni o rumianych twarzach. Zewszad wypelzali obudzeni ze snu grzybienie, ziewali, zabierali swoje czerwone flagi i kustykali dalej, by oddac sie swym tajemnicom i zawilym rytualom. Uzbrojeni mezczyzni toczyli walki na niby na szable i noze, zas polnadzy mlodziency uprawiali zapasy w rynsztokach. Ciala mieli pokryte potem, ale nie spuszczali wzroku z mlodych kobiet, ktore przygladaly sie ich zmaganiom. Inni widzowie puszczeni sie w zaimprovizowane tany bez figur i formy, az Dradin musial przeciskac sie przez pajeczne obrotow, odporny na smiechy i paplanine, stukanie i lomot stop na szorstkim bruku. To byla najbardziej magiczna noc w Ambergris, Festiwal Slodkowodnych Kalamarnic, kiedy cale miasto pograza sie w transie, zaczarowane, nielatwe, i wszedzie, jak w ciszy przed burza, ludzie krzyzuja spojrzenia, po czym uciekaja wzrokiem, jakby chcieli zapytac: "Co dalej?", "Co sie potem stanie?".

W koncu, precisnawszy sie przez przejście, z ktorego zwisaly stryczki, Dradin wyszedl na glowny bulwar. "Pijana Lodz" byla tuz przed nim. Jak mogl jej nie zauwazyc? Byla tak rozswietlona i udekorowana, ze wszystkie trzy pochyle poklady z ciemnego debu lsnily i blyszczaly uciecha.

Tlum gromadzil sie pod tawerna, czekajac, az bedzie mogl wejsc, ale Dradin przedarl sie przez cizbe, dal odzwiernemu zlota monete i zanurkowal do srodka. Wspial sie na drugi poklad, skad bulwar byl dobrze widoczny, a zarazem znajdowal sie wystarczajaco nisko, zeby wszystko dokladnie widziec. Napiwek wreczony kelnerowi zapewnil Dradinowi doskonaly stolik tuz obok balustrady. Stol nakryty haftowanym obrusem z koronkami, z grawerowanymi sztuccami i migoczaca swieca w szkle, wydawal sie rownie odlegly od parady, jak i od muzycznego chaosu "Krukow", czterech niechlujnych muzykow, ktorzy grali na mandolinie, gitarze z dwunastoma strunami, flecie i bebnach:

W miescie zaklamania

Mowilem tyko

Jezykiem szpiegowania

W miescie, gdzie upadl

Moj duch, mowilem tyko

Jezykiem much

Ich muzyka przypominała Dradinowi odgłos przyplywu roztrzaskującego się o klify, a potem, gdy zwolniła tempo, uderzające i cofające się potężne fale, marszczące gładką powierzchnię wody. Ukoila go, ale zarazem przyprawiła o mdłości, i siedząc przy stole miał wrażenie, że drewno pod nim się kołysze, choć wiedział, że to tylko deski podłogi oddają echo jego własnego pulsu.

Przyjrzał się trasie parady, otoczonej błyszczącymi latarniami przybranymi bibułką; wydawały szeleszczący odgłos, gdy zawiał wiatr. Tysiące światełek jarzyło się błękitem i zielenią, a tłum zbierał się po obu stronach trasy, aż ulica stała się opalizująca replika rzeki Moth, może nie aż tak szeroka, ale niewątpliwie równie głęboka i magiczna.

Dookoła niego rozbrzmiewał śmiech i uprzejme rozmowy, a każdy stolik był wyspą uroku i oczekiwania: damy w białych i czerwonych sukniach upstrzonych cekinami, lśniącymi, gdy padło na nie światło, dżentelmeni w ciemnobłękitnych marynarkach lub smokingach, wyglądający równie absurdalnie jak kiedyś ojciec, którego złapał deszcz.

Dradin zamówił łagodnego alkoholowego drinka o nazwie "Czerwona Orchidea" i saczył go, ukradkiem przyglądając się parze, która siedziała najbliżej niego po prawej stronie: wysoki, chudy mężczyzna o orlich rysach, oczach wąskich jak papierowe wycinanki i obfitych, posiwiałych bokobrodach; jego towarzyszka była blondynka w szmaragdowej sukni, która zakrywała ją całkowicie, a mimo to uwidaczniała jej kształty z powodu obcisłości. Skąpą w świetle świecy kobieta śmiała się za głośno, uśmiechała się za szybko, i Dradin z zazenowaniem patrzył, jak robi z siebie idiotkę, a mężczyzna z siebie jeszcze większego głupca, nie przywołując jej do porządku. Tylko na nią spoglądał z niewyraźnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Gdyby to jego ukochana, kobieta z okna, podeszła do stolika, ta nieporadność, ta brzydota skryta pod pozorami wdzięku byłaby wszak zaledwie śladowa?

Jego ukochana? Ze szklanka przy ustach Dradin uswiadomił sobie, że nie zna jej imienia. Mogła to być Angeline, Melanctha czy Galendrace, czy nawet – tu wyraz jego twarzy stał się bardziej ponury i Dradin poczuł dziwne pulsowanie w skroniach, gdy wreszcie udało mu się wyrzucić z siebie to imię – "Nepenthe", jak spocona kapłanka w dżungli. Odstawił szklankę. Te wszystkie przygotowania, te nerwy jak postronki, a on nawet nie zna imienia kobiety w oknie. Poczuł dreszcz: czy nie wydawało mu się, że zna ją równie dobrze jak samego siebie?

Parada wkrótce przeszła swoją trasę: potężne, oniesmielające latawce z materiału z układającą się w kształt potężnej osmiornicy konstrukcją z drutu, a pod nimi papierowe wstążki udające macki, wyglądające, jakby oświetliło je jakieś własne światło, wpadały na siebie i zderzały się na tle ciemniejszego nieba. Potem jechały statki: konstrukcje zamocowane na kadłubach pordzewiałych pojazdów mechanicznych. Miały brać udział w takich samych scenach jak te odgrywane przez

chłopców z miniaturowymi stateczkami: polowaniu na potężnego krakena, słodkowodna kalamarnice, która żyła w najgłębszych otchłaniach Moth, w miejscu, gdzie rzeka była szeroka jak morze i kipiła szlamem.

Dradin zaklaskał.

–Pięknie, pięknie – rzekł i z elegancką desperacją zamówił kolejnego drinka, bo skoro i tak miał niedługo być głodny i bez grosza przy duszy, co znaczył kolejny wydatek?

Na trasie parady popisywali się wilczarze, potem zonglerzy, mimowie, polykacze ognia, ludzie gumy i tancerki brzucha. Gangrenowaty księżyc ruszył w podróż po niebie, które nabrało zielonego odcienia. Szum rozmów wzmożł się, a krzyki ludzi znajdujących się na ulicy poniżej, oglupionych jadłem, napitkiem i hulanką, stały się zniekształconym, fragmentarycznym wyciem rozpadających się zadz.

Gdzie była jego ukochana? Czyżby jednak miała nie przyjść? Dradin odniósł wrażenie, że jego głowa jest pusta i lekka, a mimo to ciężka, jakby na samą myśl ziemia zaczęła wirować, by go powitać. Nie, taka myśl nie przyjdzie mu do głowy. Dradin zamówił kolejną "Czerwona Orchidee".

Przyjdzie. Przyjdzie odziana w biel i czerwień, włożywszy naszyjnik z dziwnych, niebieskich i zielonych paciorków, z nierównym szmaragdem zwisającym pośrodku. On wstanie, by ją powitać, a ona poda mu rękę i on skłoni się, by ją pocałować. Jej skóra będzie ciepła pod dotykiem jego warg, równie ciepłych i elektryzujących. On zwróci się do niej: "Proszę usiąść" i odsunie dla niej krzesło. Ona podziękuje mu za tę szarmancką lekką skinieniem głowy w lewo. On poczeka, aż ona usiądzie, a potem przywoła kelnera, zamówi kieliszek wina i zacznie rozmawiać. Nawiązując do chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, zapyta, jak jej się podobają książka i naszyjnik. Może oboje będą się śmiać z rubasznosci Dvoraka i jej własnej niesmiałości, bo przecież ona szybko dostrzeże, że on wcale nie jest niesmiały. Będzie mijaly godziny, a z każdą minutą będzie się nawiązywać między nimi więź; ona będzie patrzeć mu coraz głębiej w oczy, a on jej. Ich ręce będą pełzną do siebie po stole, nieporadnie, aż ona potraci kieliszek z winem, a on będzie próbował go schwycić, lecz zamiast tego znajdzie jej dłoń.

Od tej chwili, gdy będą trzymać się za ręce, ze spojrzeniami na długość stołu, tak intymnymi, wszystko stanie się łatwe. Wiele rzeczy pozostanie niewypowiedzianych, bo wcale nie będzie takiej potrzeby. Być może wstanie od stołu, wyjdzie z tawerny i zacznie przemierzać ulice, którymi przeszła festiwalowa parada. Bez względu jednak na to, co robią, między nimi powstanie więź: napiją się do syta namietności w swoich oczach.

Dradin starł pot z czoła, pociągnął łyk drinka, spojrzał na tłum, który zaczynał

mieszac sie z uczestnikami parady, rozpychajac sie i przedzierajac w strone swiatel i artystow.

Maszerowali weterani wojenni: dziwaczna zbieranina nieistniejacych konczyn, wspomnien odjetych od ciala – zaden z nich nie mial dwoch rak i dwoch nog. Postukiwali i szli, powloczac nogami, w dziwnym towarzystwie, opierajac sie na kulach, wozkach inwalidzkich i towarzyszach. Mieli na sobie mundury z setek wojen i byli w bardzo roznym wieku: od siedemnastu do siedemdziesieciu lat. Dradin rozpozna kilku wspolmieszkancow z pensjonatu. Ci, ktorzy niesli szable, machali nimi i wywijali, podburzajac tlum, ktory napieral, cofal sie i rozdzielal jak rozmnazajaca sie przez podzial bestia, piszczac i coraz bardziej zblizajac sie do pochodu.

Potem, z jakas ponura precyzja, nadeszlo czterech mezczyzn niosacych trumne, tak mala, ze wygladala na dziecinna. Kazdy niosl ja jedna reka. Od czasu do czasu prowadzacy podnosil wieko, by pokazac puste wnetrze, a tlum zawodzil i deptal sie po nogach.

Za trumna wieziono zamknietego w klatce kota z dzungli, ktory plul, warczal i walil potezna lapa w bambusowe prety. Spogladajac w otepiale, lecz nadal butne oczy kota, Dradin przelknal swoja "Czerwona Orchidee" i pomyslal o dzungli. Wilgotne cieplo, paprocie zwijajace sie w cuchnacej zielonosci, kwiaty splywajace czerwienia, gesty zapach bogatej, czarnej ziemi na lopacie, blada szarosc dloni kobiety, naglosc przybycia do wioski tubylcow, ktora wktrotce stanie sie miejscem duchow, dzicy uciekajacy lub powaleni zaraza, ciemne oczy i pytajace spojrzenia tych, ktorym zaklocil spokoj, przynoszac swe slowo misjonarza, las w jakis sposob zbyt zielony, tak najezony zapachami, smakami i dzwiekami, ze az czlowiek czul sie nimi odurzony, az dostawal od tego goraczki, topiac sie w czarnej wodzie i przeklinajac brak konwertytow.

Dradin znow zadrzal od zimnego drinka i odniosl wrazenie, jakby poklad kolysal sie pod nim i zanurzal w czasie w rytm muzyki "Krukow". Czy to mozliwe, ze nie wyleczyl sie z goraczki? Czy zwyczajnie oszalal, czy po prostu upil sie "Czerwona Orchidea"? Czy moze, w chwili ostatecznego cierpienia, byl odurzony miloscia? Niewiele wiecej mu juz zostalo i gdy to sobie uswiadomil, poczul niemily dreszcz strachu. Nie mial pracy i mial niewiele pieniedzy, wiec jedyna stala rzecz w jego zyciu byla sila milosci do kobiety z okna.

Usmiechnal sie do pary przy sasiednim stoliku, choc bez watpienia byl to pijacki odruch, jak u jego ojca. Teraz musial przyznac sam przed soba, ze jego dawne zwiazki byly dosc nieszczesnej natury: zbyt platoniczne, zbyt dziwne i zawsze zbyt krotkie. Dzungla nie sprzyjala dlugim zwiazkom. Dzungla pozerala dlugie zwiazki, miadzyla je w zebach i wypluwala. Jak jego zwiazek z Nepenthe. Nepenthe. Czy kobieta z okna mogla miec na imie Nepenthe? Czy chciala, zeby tak ja nazywac?

Teraz pokład pod nim rzeczywiście przechylał się i kołysał jak statek na morzu, aż Dradin przytrzymał się krzesła i odsunął od siebie "Czerwona Orchidee", by mieć się gdzie oprzeć.

Przyglądając się paradzie, dostrzegł Cadimona Signala i musiał się rozesmiać. Cadimon. Kochany, stary Cadimon. Czy parada miała stać się tym, czym był cudownie brzydki tatuaz Dvoraka? Podroża z przeszłości w teraźniejszość? To rzeczywiście był Cadimon, machający do tłumu z platformy udekorowanej złotą i białą satyną, z Żywym Świętym u boku, na tę okazję dyplomatycznie ubranym w mesjanskie białe szaty.

–Ha! – Krzyknął Dradin. – Ha!

Paradę zamykał starszy mężczyzna prowadzący na smyczy żywego homara, który to widok tak rozbawił Dradina, że ten aż popłakał się ze śmiechu. Światła na bulwarze zaczęły przygaszać, na początku jedno po drugim, a gdy tłum się rozchodził, rozdzielając się jak pokosy w czasie żniw, całe obszary w jednej chwili tonęły w ciemnościach. Za nim widac było wielkie różny, porzucone: nikt już nimi nie krecił, a nadziane na nie mięso poczerniało, nabierając barwy popiołu, za nimi zaś zapalały się ogniska, płonąc coraz jasniej, jakby chciały zrekompensować zgaszenie innych świateł. Teraz nie dało się już rozróżnić uczestników parady od widzów, byli tak pomieszani i rozkołysani, rozradowani pod zielonym światłem księżyca.

Dookoła Dradina uwijali się pomocnicy kelnerów, szybko sprzątajac ze stolów; pomagali im barmani, a Dradin usłyszał, jak jeden mówi do drugiego: "W tym roku będzie kiepsko. Bardzo kiepsko. Czuje to". Kelner przyniósł Dradinowi rachunek i przytupywał, gdy ten grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu odpowiedniej monety, a kiedy wreszcie taką znalazł, kelner wyrwał mu ją z ręki i popędził, swiszcząc polami fraka i błyskając wypolerowanymi butami.

Dradin, znudzony, zmęczony i smutny, spojrzał na czarno-zielone niebo. Jego ukochana nie przyszła i nie przyjdzie, może nigdy nie zamierzała – wiedział tylko tyle, ile usłyszał od Dvoraka. Nie wiedział, co powinien czuć, bo nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości: że jej nie spotka. Rozejrzał się dookoła: po nakryciach na stolach, po pustoszejącej restauracji, po naglej pustce. Coż mógł zrobić? Przyjąć jakąś niewdzięczną posadę i żyć z resztek, aż będzie mógł wysłać wiadomość do Morrow, do ojca – który może się nad nim zlituje, albo i nie. Ale nie miał nadziei na zbawienie. Ani odkupienie.

Fajerwerki wkreciły się w niebo i rozbłysły parasolem iskier, a tłumy krzyczały coraz głośniej, zagłuszając wybuchy. Ktoś popchnął go z tyłu. Poczul wilgoc na lewej ręce i usłyszał przekleństwo: jeden z kelnerów oddalał się z częściowo rozlanym drinkiem.

Dym z fajerwerków opadł, mieszając się z mgłą unosząca się znad rzeki Moth.

Rozprzestrzeniała się tak szybko, że Dradinnie przypuszczał, iż może to być możliwe; noc zamazana dymem, gęsta i ciemna. I ktoś wyszedł z tej mgły, prosto w smutek Dradina: Dvorak, odziany w zieloną, tak że w rozproszonym świetle księżyca prawie nie było go widać. Głowa miała przekrzywioną w zadumie, jak u małpy, i zbliżał się do Dradina z boku, obrzucając go taksującym spojrzeniem. Czy on jest trujący jak wąż, myślał Dradin, czy jadalny jak owad? Czy po prostu jest kawałkiem kory, który należy zignorować? W taki bowiem sposób taksował go spojrzeniem Dvorak. Dradin poczuł, jak zalega się w nim iskra gniewu; w końcu to Dvorak wszystko zalał, a kobieta nie przyszła.

–Ty... – rzekł Dradin, podnosząc głos, by dalo się usłyszeć w hałasie. – Ty. Co ty tu robisz? Spóźniłeś się... To znaczy, ona się spóźniła. Nie przyszła. Gdzie ona jest? Okłamałeś mnie, Dvorak?

Dvorak podszedł do Dradina z boku, włożył mu pod pachy swoje muskularne dłonie i szarpnął tak mocno, przyginając go do ziemi, że ten przewróciłby się, gdyby się czegoś nie chwycił.

Dradin obrócił się, zamierzając zganić Dvoraka, ale spojrzał w oczy karzełek i oniemiał: były ciemne, tak nieprzeniknione, cała twarz jak odcisnięta w glinie – i zdołał tylko powiedzieć słabym głosem:

–Miała tu przyjść.

–Zamknij się – rzekł Dvorak, a sztywna, ukryta groźba w głosie przydybała Dradina gdzieś między złością a posłuszeństwem. Dvorak wypełnił te chwile słowami:

–Jest tutaj. Blisko. To noc Festiwalu. Wszędzie jest niebezpiecznie. Być może gdyby przyszła wcześniej... Ale teraz musi pan się z nią spotkać gdzie indziej, w bezpiecznym miejscu. Dla jej bezpieczeństwa.

Dvorak położył lepka rękę na ramieniu Dradina, ale ten strzasnął ją.

–Nie dotykaj mnie. Gdzie niby jest bezpieczniej niż tu?

–Mówię, w pobliżu. Tłumy, Festiwal. Noc zapadła. Ona nie będzie czekać.

Na ulicy w dole zaczęła się walka na piasku. Przez mgłę Dradin słyszał uderzenia ciała o ciało, trzaskanie kości, jęk ofiary. Ludzie biegali tam i z powrotem, cienie mrugały w zielonej ciemności.

–Proszę za mnie, proszę pana. I to już. – Dvorak szarpnął Dradina za ramię, przyciągnął go do siebie i zaczął szeptać mu do ucha jak echo z innego miejsca, innego czasu, a mapa na jego twarzy rozmazała się tak, że Dradin nie był w stanie nic z niej odczytać. – Musi pan iść. Teraz albo wcale. A jeśli wcale, to nigdy jej pan

nie zobaczy. Ona może się z panem zobaczyć tylko teraz. Teraz! Jest pan na tyle głupi, żeby odpuszczać?

Dradin zawahał się, szacując ryzyko. Dokąd może go zaprowadzić karzelek? Dvorak zaklął.

–No to proszę nie iść. Nie, to nie. I szukać okazji na Festiwalu.

Odwrocił się i ruszył, ale Dradin wyciągnął rękę i złapał go.

–Chwileczkę – rzekł. – Pojść – po czym wykonał kilka kroków, by stwierdzić z ulgą, że się nie zatacza.

–Panska ukochana czeka – rzekł Dvorak bez uśmiechu. – Proszę się trzymać blisko mnie. Nie chciałbym, żeby pan się zgubił. To byłoby niebezpieczne.

–Jak daleko...?

–Zadnych pytań. Zadnego gadania. Za mną.

VI

DVORAK POPROWADZIŁ DRADINA NA TYŁY "Pijanej Łodzi" i jakaś uliczka, której kamienie były śliskie od rzygowin i zasłane ostrymi kawałkami szkła z rozbitych butelek po piwie i winie; strzegł jej kłozard mruczący starą piosenkę o równonocy. Szczury pedzily na tłustych nogach, żywiąc się niedojezdzonymi nogami kurczaka i rozmokłymi bułeczkami.

Na widok szczurow Dradinowi przypomniawszy się dzielnicę religijną i Cadimon, a potem ostrzeżenie Cadimona: Podczas Festiwalu kapłani nie powinni wleczyć się nocą po ulicach, to niebezpieczne. Przestał iść za Dvorakiem, zaczęło mu się rozjasniać w głowie.

–Rozmyślałem się. Zobacze się z nią jutro w biurze Hoegbottona i Synów.

Dvorak zachmurzył się, jakby z dna morza powstał sztorm: odwrócił się i podszedł do Dradina.

–Nie ma pan wyboru. Proszę za mną.

–Nie.

–Juz nigdy jej pan nie zobaczy.

–Grozi mi pan?

Dvorak westchnal, a jego marynarka zadzwoniła setkami noży.

–Pojdzie pan za mną.

–Juz pan to powiedział.

–Wiec nie idzie pan?

–Nie.

Dvorak przywalil mu w zoladek. Dradin miał wrażenie, jakby oberwał żelazną kulą. Uszło z niego całe powietrze. Złożył się w pol. Potworny, ostry ból rozdarł mu skron: Dvorak kopnął go boczna krawędzią buta. Dradin upadł ciężko na lepki i ostry od szkła bruk. Odlamki wbily mu się w dłonie, w nogi; wil się i jęczał. Polprzytomny, próbował stanąć na nogach. Tym razem but Dvoraka wylądował na jego zębach. Dradin krzyknął i upadł na bok, po czym leżał nieruchomo, ciężko dysząc. Lepkie dłonie owinęły mu wokół szyi kawałek konopnego sznurka, po czym szarpnęły, odrywając jego głowę od ziemi.

Dvorak przyłożył długie, wąskie ostrze do szyi Dradina i ciągnął za sznurek, aż Dradin ukląkł i spojrzał mu w cętkowaną twarz. Zachłysnął się powietrzem mimo bólu – gdyż była to inna twarz niż przed chwilą.

Rysy Dvoraka przypominały ocean sprzecznych emocji: jego usta wily się, wyrażając strach, zazdrość, smutek, radość, nienawiść, jakby nakładając sobie na twarz mapę świata nałożył też całe światowe doświadczenie i to przyprawilo go o szalenstwo. W oczach karzełka Dradin dostrzegł prawdziwe oderwanie się od świata, a na jego obliczu błogi uśmiech prawdziwie potępionych; twarz i ciało nadal przechowywały pamięć emocji, nawet jeśli umysł ukryty pod ciałem już o tym zapomniał.

–Na miłość boską, Dvorak – rzekł Dradin.

Dvorak otworzył usta. Wysunął się z nich język i rozległ się jego głos, daleki i słaby jak wspomnienie:

–Idzie pan ze mną, proszę pana. Proszę wstać.

Dradin jęknął i obrócił się.

–Nie mogę.

Ostrze noża wbilo mu się w kark.

–Cicho! Idziemy albo pana zabije.

Dradin zmusil sie, by wstac, choc krecilo mu sie w glowie i odnosil wrazenie, ze w zoladku ma dziure, ktorej nie da sie zalatac. Nie patrzyl Dvorakowi w oczy. Juz jedno spojrzecie wystarczylo, zeby sie przekonac, ze ma do czynienia z potworem.

–Jestem kaplanem.

–Wiem, ze pan jest kaplanem – odparl Dvorak.

–Bedziesz sie smazyc w piekle.

Wybuch smiechu.

–Urodzilem sie w piekle, prosze pana. Moja twarz to odbicie piekielnych plomieni. A teraz maszeruje pan przede mna. Nie biegnie pan. Jesli pan sprobujecie, udusze pana, a potem wypruje flaki na miejscu.

**–Mam pieniadze – rzekl ciezko Dradin, probujac wtloczyc do pluc troche powietrza.
– Mam zloto.**

–To je zabierzemy. A teraz marsz! Nie mamy za duzo czasu.

–Dokad idziemy?

–Przekona sie pan, jak dojdziemy.

Zielone swiatlo ksiezycyca plamilo wszystko z wyjatkiem poblasku ognisk na kolor ropuchy i zwiedlej trawy. Ogniska przyzywaly swym syrenim spiewem plomieni, az tlumy otoczyly je, by tanczyc, krzyczec i bic sie. Dradin wktotce zrozumial, ze Dvorak prowadzi go tak, by unikac ognisk – jedna mroczna uliczka za druga, za barykadami. W miescie przestal juz wiac chlodny wiatr: za kazdym rogiem, ktory mineli, witalo ich zgrzytliwe potrzaskiwanie plomieni. Ze wszystkich stron budynki wynurzaly sie z mgly: mrocznej, cichej, zlowieszczej.

Gdy przechodzili przez most nad metna woda, na ktorej unosila sie gruba warstwa sciekow i smieci, pozostalosci po Festiwalu, przykustykal do nich jakis czlowiek. Lewe ucho mial prawie oderwane od glowy. W ramionach kolysal kawalek czyjejs nogi. Jeczal, a gdy zobaczyl Dradina – Dvorak kryl sie w cieniu – krzyknal: "Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie ich!", by odbiec w ciemnosc i zostawic bezbronnego kaplana. Wktotce potem, podazajac za sladem z krwi, pojawila sie banda dziesieciu czy dwunastu wyjacych nastolatkow o plowej skorze, w lowieckim nastroju, zadnych krwi. Gwizdali i szydzili z Dradina, kiedy jednak zobaczyli, ze jest wiezniem, zajeli sie znow wlasnymi ofiarami.

Budynki staly sie czarnymi cieniami barwionymi na zielono, ulica pod stopami nierowna, z grubo ciosanych kamieni. Po obu stronach ciagnal sie mur.

Gleboka drzazga strachu sprawila, ze nerwy Dradina staly sie jak postronki.

–Ile jeszcze? – Spytal.

–Niedaleko. Calkiem niedaleko.

Mgla dookola zgestniala tak bardzo, ze Dradinowi bylo wszystko jedno, czy ma oczy otwarte, czy zamkniete. Wyczuwal szuranie stopami po chodniku przed soba i za soba, a ciemnosc dookola stala sie klaustrofobiczna, gesta od zapachu zgnilizny i rozpadu.

–Ktos nas sledzi – rzekl.

–Wydaje ci sie.

–Slysze ich!

–Zamknij sie! Juz niedaleko. Zaufaj mi.

Zaufaj mi? Czy Dvorak zdawal sobie sprawe z tego, jak ironicznie brzamia te slowa? Jakim glupstwem bylo w ogole prowadzenie rozmowy z nozem przy szyi, przy wtorce stlumionych oddechow dobiegajacych z przodu i z tylu. Strach sprawial, ze Dradinowi jezily sie wlosy na ramionach, i wyostrzal zmysly, zniekształcajac i wyolbrzymiajac kazdy dzwiek.

Ich wedrowka zakonczyla sie w miejscu, gdzie drzewa byly mniej geste, a mgla jeszcze sie nie wcisnela. Otaczaly ich mury, szare sciany urywajace sie nagle trzy metry przed nimi w gestwinie cieni, ktore trzepotaly i szemraly jak suche liscie na wietrze – tylko ze nie bylo zadnego wiatru.

Dradin czul walenie w skroniach; oddech uwiazl mu w gardle. Na sasiedniej ulicy, rownoleglej, lecz niewidocznej, zegar wybijal godziny, od pierwszego uderzenia po jedenaste, a bawiacy sie deli w rogi, wyrzaskiwali imiona lub wyli do ksiezycy szlochajacym, odleglym, zamierajacym tonem.

Dvorak popchnal Dradina do przodu. Podeszli do otwartej bramy zdobionej filigranem, a za brama, za sztachetami, widac bylo zlowieszcze kamienie nagrobne sporego cmentarza. Mauzolea i pomniki, pojedyncze groby i grupy, cale rodziny martwe pod gruba warstwa darni, mlodzi i starzy w rownym stopniu byli pokarmem dla robakow, pokarmem dla ziemi.

Cmentarz porastala trawa i chwasty tak wysokie, ze kamienie nagrobne sterczaly z morza zielonosci. Za tymi wyblaklymi swiadektwami zycia po smierci, zapisanymi na spekanych kamieniach, rozdartymi i tajemniczymi w swietle ksiezycy, lezaly puste lupiny pociagow, chaotyczne, porozrzucane po calej okolicy. Poskrepany metal

lokomotywy, wagonów towarowych i mieszkalnych błyszczał mrocznie zielenią, a patyna potrząskanych szyb w oknach, utrzymywanych w całości tylko przez mech, który je porastał, lśniła szczególnie jasno, jak wielkie, lustrzane oczy. Oczy, w których nadal pojawiał się błysk przeszłości z czasów, kiedy węgiel krążył w lokomotywach jak krew i siarka, a ich przedziały rozbrzmiewały krokami ludzi, którzy teraz leżeli głęboko pod ziemią.

Dzielnica przemysłowa. Dradin pojął, że znajduje się w dzielnicy przemysłowej, a jego pensjonat jest gdzieś na południu. Siedziba Hoegbottona i Synów leżała na południowym zachodzie, a za nią rzeka Moth.

–Nie widzę jej – rzekł Dradin, starając się nie patrzeć na wijące się cienie.

Dvorak odwrócił się w jego stronę. Jego twarz miała barwę chorej zieleni, usta były okrutną szczeliną ciemności.

–A wydaje ci się, że miałbyś ją zobaczyć? Misjonarzu, zmierzasz prosto do grobu. Modl się, jeśli chcesz.

Słyszac te słowa, Dradin chciał uciekać, pedzić prosto we mgłę, nie dbając o to, że Dvorak może go dogonić i wypruć mu flaki, tak bardzo był przerażony. Pelzający orszak istot najwyraźniej podjął jednak jakąś decyzję. Dźwięki stały się głośniejsze, zaczęły dochodzić zarówno z przodu, jak i z tyłu. Gdy patrzył, cienie stały się kształtami, a te – postaciami, aż w końcu zobaczył błyszczące oczy i ostrza legionu milczących w oczekiwaniu grzybian. Za nimi, podskakując i trzepocząc, roily się ropuchy i szczury, a ich oczy lśniły w ciemności. Niebo pociemniało od nurkujących nietoperzy.

–Chyba zaszła jakaś pomyłka – rzekł Dradin.

Dvorak odparł smutnym głosem, a jego twarz miała dziwnie zalobny wygląd i przypominała księżyc:

–Tak, wiele pomyłek, ale wszystkie twoje. Zdejmuj ubranie.

Dradin cofnął się prosto w ramiona skorzystego, wyprezonego, cuchnącego stehlizna tłumu. Wzdrygając się pod ich dotykiem, odskoczył do przodu.

–Mam pieniądze – zwrócił się do Dvoraka. – Dam ci pieniądze. Mój ojciec ma pieniądze.

Uśmiech Dvoraka stał się smutno słodszy i słodziej smutny.

–Ależ marnujesz słowa, kiedy zostało ci ich tak niewiele.

Rozbieraj się, bo jak nie, to oni to robią. – Wskazał gestem grzybian. Napierając coraz bliżej jeszcze bliżej, wydawali z siebie złowieszczy syk, zwierając szeregi, aż zrozumiał, że nie ucieknie od ich suchego, przeszywającego odoru ani szurania nogami.

Zdjął buty, skarpety, spodnie, koszule, bieliznę, składając starannie każdą sztukę odzieży, aż jego blade ciało zalsniło, i w wyobraźni ujrzał, jak zamienia się miejscami z Żywym Świętym. Ile by dał za to, by szpakowaty wytryskiwacz przybył mu na odsiecz, ale wiedział, że nie ma na to szans. Mimo chłodu osłonił dłońmi genitalia, a nie pierś. Skromność zapewne nie miała już żadnego znaczenia, a mimo to wolął tak zrobić.

Dvorak przykucnął, trzymając koniec wyprezonego sznurka w dłoni, i przysunął do siebie ubrania za pomocą noża. Przeszukał kieszenie, zabrał pozostałe monety, po czym przewiesił sobie odzież przez ramie.

–Pusc mnie – rzekł Dradin. – Błagam.

Głos mu drzał, ale zdumiało go, że było to zaledwie lekkie drzenie, zaledwie ślad strachu.

Kto by pomyślał, że człowiek stojący w obliczu śmierci może być tak spokojny?

–Nie puszczę cie. Już nie jesteś moj. Jesteś kapłanem, prawda? Za krew kapłanów dobrze płaca.

–Moi przyjaciele przyjdą po mnie.

–Nie masz w tym mieście przyjaciół.

–Gdzie jest kobieta z okna?

Dvorak usmiechnął się z samozadowoleniem, które sprawiło, że Dradinowi żołądek wywrócił się na drugą stronę. Iskra gniewu przeskoczyła mu w dół kregoslupa; zazgrzytał zębami. Brama cmentarza stała otworem. Biegł kiedyś po cmentarzach ze swoim przyjacielem Anthonym – po cmentarzach cuchnących starym metalem i starożytną techniką – lecz czyżby chcieli go tam posłać na dobre?

–W imię Boga, co z nią zrobiliście?!

–Nie jesteś za sprytny, co? – Rzekł Dvorak. – Jest dalej w biurze firmy Hoegbotton i Synowie.

–O tej porze?

–Tak.

–Cz-czemu ona tam jest?

Strach o nią, głębszy od jego własnego gniewu, sprawił, że głos zaczął mu drzeć.

Maska Dvoraka pekla. Zaczął chichotać, rechotać i tupać.

–Ponieważ, ponieważ, mój drogi panie, posiekalem ją na kawalki. Pocwiartowałem ją! Z tyłu i z przodu, zewszad dookoła, dobiegał potworny, narastający, wibrujący rechot grzybian.

Pocwiartowałem ją.

Śmiech, szyderczy i okrutny, wytracił go z bezwładu. Był teraz czysty i zimny jak figura z lodu, nieprzerwanie piastujący w wyobraźni obraz swej ukochanej. Nie mogli zginąć, dopóki nie zobaczy jej ciała.

Szarpnął się na sznurze, aż Dvorak upadł, a szarpnięcie wyrwało mu sznur z ręki. Dradin kopnął karzelką w głowę i usłyszał zadowolający ryk bólu, ale nie czekał, nie patrzył – pedził przez brame cementarza, zanim grzybianie ruszyli, by go zatrzymać. Miał wrażenie, że jego nogi zmieniły się w zimny metal, jak poruszające się tloki starych, przezuwających węgiel pociągów. Biegł jak nigdy dotąd, by ocalić swe życie; nie biegł tak nawet z Tonym. Biegł jak nawiedzony, brawurowo omijając nagrobki i wysokie trawy, słysząc za sobą wściekłe wrzaski Dvoraka i oslizgłe, zwinne ruchy grzybian. Mimo to Dradin śmiał się, gdy tak biegł – rycząc, gdy wskoczył na dach jakiegoś mauzoleum, skacząc między pomnikami, na sekundę zatrzymany przez przylegające do siebie nagrobki, po czym znowu pedząc po powierzchni kolejnego szerokiego nagrobka. Udało mu się odzyskać głos i zaczął wrzeszczeć do swoich przesładowców:

–Złapcie mnie! Złapcie mnie!

Rechotał własnym głosem, gdyż był nagi jak w dniu, kiedy przyszedł na świat, a jego ukochana nie była, więc na tym świecie nie było już niczego, co mógłby utracić. Zgubił się, najprawdopodobniej się zgubił, a mimo to poczucie wolności oszalało go. Poczucie własnej mocy przyprawiało go o zawroty głowy, czuł się, jakby był pijany. Dogadywał swym przesładowcom, kpil z nich, by wyskoczyć gdzie indziej, napawając się twardością własnych mięśni, siłą nabytą w dżungli, gdzie stracił wszystko inne.

Wreszcie zbliżył się do rzędu starych pociągów, skomplikowanych, zawilych i mrocznych, otoczonych zapachem wilgotnego, rdzewiejącego metalu. Jedno spojrzenie za siebie przed zagłębieniem się w labirynt pozwoliło ustalić, że grzybianie pod wodzą Dvoraka dotarli do ostatniego rzędu nagrobków, znajdującego się o

pietnascie metrow od niego.

...Bylo to jednak tylko jedno spojrzenie – zaraz wskoczył w boczne drzwi lokomotywy, ruszył na palcach w chłodną ciemność. Uciszył się. Tego właśnie teraz mu trzeba. Musi być cicho, przemykając ukradkiem, by dotrzeć stosunkowo bezpiecznie do ulicy za pociągami. Wyostrzyły mu się zmysły, słyszał, jak nadchodzi, słyszał, jak szepczą i rozdzielają się, żeby przeszukać przedziały.

Poruszając się na pajeczka modle, dublując ich ruchy, gdy słyszał, jak się poruszają, ale nie pokazując się, prawie wpadając w ich szpony i wymykając się z finezją, o jaką by się nigdy nie podejrzewał, przedzierał się przez metalową dżunglę. Szyny kolejowe. Wagony restauracyjne. Lokomotywy, które czas rozdarł na dwie części, więc Dradin mógł ukrywać się w ich najtajniejszych zakamarkach i wychodzić, gdy przeszli; blada postać pokryta cetkami rdzy.

Przed sobą, gdy tylko odważył się spojrzeć, ukrywając się przed przesładowcami, Dradin widział jednolitą ciemność muru, a dalej – czerwone przebłyski ognisk. Miedzy nim a murem znajdowały się dwa rzędy wagonów. Wpełził przez ziejące drzwi wagonu restauracyjnego...

...A dokładnie w tej samej chwili wszedł tam Dvorak pod osłoną cienia. Dradin już miał się wycofać z wagonu, ale zrezygnował: Dvorak by go usłyszał. Kucnął więc, ukryty za przewroconym stolikiem z przybitym wciąż stojakiem na pieprzniczkę i solniczkę.

Kroki Dvoraka słychać było coraz bliżej, wraz z chrypiącym oddechem i drżącą groźbą noży ukrytych pod marynarką. Jeden jego krzyk i grzybianie znajdą Dradina.

Zatrzymał się tuż przy przewroconym stoliku. Dradin czuł jego zapach, stęchły odor grzybianina, cierpki zapach szlamu z rzeki Moth. Oddech.

Wyskoczył i zakrył lewą ręką usta Dvoraka, obrócił go, a gdy ten steknął, złapał go za rękę trzymającą noż. Dvorak otworzył usta, żeby ugryźć Dradina. Dradin wcisnął mu piasek do ust, tłumiąc krzyk. Żeby zacisnęły się na jego dłoni. Teraz Dvorak nie mógł wydać z siebie żadnego odgłosu i zaczął miotać się rozpaczliwie, próbując pozbyć się piasku Dradina z ust. Noż wedrował tam i z powrotem, od boku Dvoraka do obojczyka Dradina i znowu. Dvorak wilił się, próbując wyswobodzić się z uchwytu Dradina i spojrzeć swemu wrogowi w twarz. Dradin, naprezając mięśnie, zdołał opleść nogi Dradina swoimi i utrzymać go na środku przedziału. Gdyby zaczęli objąć się o ściany, hałas byłby równie głośny jak krzyk Dvoraka. Noż zbliżał się niebezpiecznie do szyi Dradina, który uderzył ręką Dvoraka o poręcz; trzask odbił się takim echem, że Dradin pomyślał, iż grzybianie na pewno musieli to usłyszeć. Nikt jednak nie przyszedł, gdy noż wypadł z ręki Dvoraka. Ten próbował wygrzebać spod marynarki następny. Zanim jednak zdołał wyjąć kolejną bronię, Dradin już zatopił

ostrze głęboko w jego gardle.

Poczuł, jak ciało karzelka sztywnieje, a następnie staje się całkiem wiotkie, usta przestają gryźć jego piasek, a po rekojesci noża sypie się gesta, lepka ciecz.

Odwrocił się, by złapać upadające ciało, przytrzymał je i opuszczył na ziemię. Czuł rwanie w zakrwawionej dłoni i widział, jak życie uchodzi z oczu Dvoraka. Tatuż w tym świetle wyglądał, jakby się rozpadał; czerwone kropki miały być jak rany, rozjeżdżały się, stając się zwykłą siatką kresek. Przed koszulą Dvoraka pokryła krew.

Dradin wymamrotał pod nosem modlitwę, z czystego odruchu, gdyż jakaś część niego – ta część, która nakazywała mu śmiać się z wyznawców Świętego Solona, wkładających wroble do trumien – upierała się, że śmierć jest czymś niegodnym uwagi, niewyróżniającym się, więc ostatecznie – nieważnym, gdyż zdarza się codziennie, wszędzie. Zupełnie inaczej niż w dżungli, inaczej niż w przypadku okaleczonej ręki Nepenthe, tu nie było żadnej amnezji, żadnej ucieczki. Było tylko ciało pod nim i echo pobrzmiwające w uszach, pamięć głosu matki, która wywarkiwiała z głębin gardła marsz śmierci, welon pogrzebowy utkany ze słów i muzyki. Czy był zdolny do odczuwania nienawiści? Nie był. Czuł tylko pustkę.

Słyszał, swymi nowymi, nadnaturalnymi zmysłami, ruch grzybian w pobliżu. Złożył głowę Dvoraka na zimnej metalowej podłodze i wyszedł z przedziału – cień na jeszcze głębszym cieniu pogiętych i zardzewiałych kół.

Teraz przemykanie między torami i krycie się w wagonach restauracyjnych przychodziło Dradinowi bez problemu, bo grzybianie pozostali całkowicie obojętni na to, co robił. Z dwóch rzędów wagonów między nim a murem zrobił się jeden. A potem była już tylko ściana. Wspiął się na nią, wijąc się; szorstki kamień ranił mu dłonie i stopy. Gdy dotarł do szczytu, przeszedł na drugą stronę. Ach, a oto i bulwar poniżej. Dradin zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wrócić na cmentarz i ukryć się tam. Na całym bulwarze porozstawiano szubienice, z których zwisali mężczyźni i kobiety, bezwładni jak szmaciane lalki. Szmaciane lalki w strzepach: ciało odpadało im z pośladków, ledźwi, piersi, czerwien spotykała zielen księżycy i zamieniała się w czern. Oczy patrzyły ślepo. Ostry wiatr przynosił zapach padliny. Psy podgryzały stopy, nogi, ciała tak grube, że gdy Dradin kroczył, nasluchując odgłosu kroczących za nim grzybian, musiał odpychać je na boki i nurkować między nimi. Ramiona miał schłapanie krwią, sapal i trzymał się za bok, jakby coś go zabolalo, choć jedyną rzeczą, która sprawiała mu ból, był widok zmarłych. Kiedy uswiadomił sobie, że nadal ma na szyi petle, zerwał je tak energicznie, że wpila mu się w ciało i zostawiła ślad.

Mijał wiszące ciała, płonące budynki i wypalone pojazdy silnikowe, aż zobaczył... Szczudlarzy niosących poranione głowy i rzucających je w oczekujący tłum, który kopał je i ciskał nimi... Wypatroszonego mężczyznę, którego wnętrzności sypły się do rynsztoka, a napastnicy zadawali mu kolejne ciosy, on zaś chwycił się ich nog...

Kobieta przycisniete do ceglanej sciany przez dziesieciu mezczyzn, ktorzy przytrzymywali ja, ranili ja i gwalcili... Fontanny pelne unoszacych sie na wodzie napecznialych cial, z woda, ktora przybrala czerwono-czarna barwe od krwi... Mignely mu ogniska i ciala ulozone tuzinami w stosy pogrzebowe... Kobieta i mezczyzna, pozbawieni glow, nadal w objeciach, na kolanach, w mroku unoszacej sie mgly... Upiorne krzyki, smak krwi w powietrzu, zapach ognia i plonacego ciala... I amazonki na drewnianych koniach, pedzace nad cialami zmarlych, rozpryskujac krew, z wywroconymi oczami, jakby nie chcialy widziec grozy tej nocy.

Och, gdyby tylko potrafil wyrwac sobie oczy z oczodolow! Nie chcial tego widziec, a przeciez nie mogl nic na to poradzić: jeśli zamierzał pozostać przy życiu, musiał patrzeć. W obliczu tej jatki zabicie Dvoraka było najłagodniejszym z aktów miłosierdzia. Czuł, jak zółc wzbiera mu w gardle i robi mu się mdło z zalu i przerażenia; wymiotował obok porzuconej bryczki. Kiedy mdłości minęły, odzyskał panowanie nad sobą, znalazł jakiś charakterystyczny punkt w terenie, który rozpoznawał, a potem, maszerując pomniejszymi uliczkami i wedrując po dachach niskich domków, przyklejonych do siebie, dotarł w końcu do pensjonatu.

Pensjonat był pusty i cichy. Utykając z powodu pokaleczonych szkłem stop i bólu mięśni, Dradin powłokł się na drugie piętro, do swego pokoju. Gdy znalazł się w środku, nawet nie próbował zmywać z siebie krwi, kurzu i brudu, nie włożył ubrania, tylko pozbił swoje rzeczy i włożył do sakwy dagerotypy, Odbicie światła w więzieniu i świadectwo ukończenia studiów religijnych. Stał na środku pokoju z sakwa przewieszona przez lewe ramię i maczeta w prawej ręce, oddychając ciężko i usiłując sobie przypomnieć, kim jest, co tu robi i co powinien teraz zrobić. Powłoczac nogami, podszedł do okna i spojrzal w dół na dolinę. To, co zobaczył, sprawiło, że zaczął się śmiać piskliwym tonem, który wydał mu się tak odrazający, że natychmiast zamknął usta.

Dolina była skapana w ciemności, czasem przeszywanej ciepłym, miękkim światłem. Nie było tu żadnych ognisk. Żadne ciała nie zwisały z szubienic z wywalonymi niebieskimi i fioletowymi językami. Nikt nie kapal się we krwi trupów.

Widząc, jaki spokój panuje w dolinie, Dradin przypomniał sobie, jak się zastanawiał, czy przypadkiem jego ukochana tu nie mieszka, w milej atmosferze, w miejscu, gdzie nie było misjonarzy. Gdzie nie było Żywych Świętych. Żadnych Cadimonów. Żadnych Dvoraków. Spojrzal w stronę drzwi. Były to niebezpieczne, oszukancze drzwi: za nimi leżał świat z całą swą brutalnością. Stał tam przez kilka uderzeń serca, rozmyślając o tym, jak pięknie wyglądała ta kobieta w oknie trzeciego piętra, o jakie dreszcze przyprawiał go ten widok. Jakim pięknym miejscem był świat dawno, dawno temu.

Z maczetą w dłoni Dradin podszedł do drzwi i wyruszył w ciemność.

VII

GDY W KONCU PRZEDARL SIE DO SIEDZIBY Hoegbottona i Synow, bulwar Albumuth byl opustoszal, jesli nie liczyc dziewczynki w wystrzepionej sukience w kwiatki. Sluchala zdezelowanego fonografu, ktory odtwarzal plyte z utworami Vossa Bendera.

W glebi zimy

Strzepy piesni

Przez galezie

Krucze jak kosc.

Nie zobaczysz twarzy mej

Ale tam bede

Ze szronem we wlosach

A za mna moj glod.

Chmury znikly i w czern nocy i zielen ksiezycowego swiatla wbily sie zimne, biale kolce gwiazd. Czern, w ktorej wisial ksiezyc i gwiazdy, byla teraz absolutna; pozerala swiatlo miasta, tlumila wszystko poza cieniami, ktore mnozyly sie i falowaly. Za Dradinem odglosy zaglady narastaly, ale tu sklepy nie byly zniszczone, choc opuszczone. A mimo to i tutaj z latarni zwisali mezczyzni, kobiety i dzieci, slac w dol zagubione, puste i zdumione spojrzenia.

Dziewczynka przysiadla na kolanach obok fonografu. Kladl sie na niej cien wielkiego, pelgajacego oka, wielkiego jak polmisek, blyszczacego i slepego, jednego z oczu kolorowej kalamarnicy z tkaniny z powiewajacymi na wietrze mackami. Ciala znieruchomialy w nienaturalnych pozycjach, rozciagniete lub siedzace prosto w paszczy i zoladku bestii, jakby utonely miedzy mackami, wyrzucone na brzeg, nadal splatane i sztywniejace.

Dradin podszedl do dziewczynki. Miala brazowe wlosy i ciemne, nieprzeniknione oczy o dlugich rzesach. Plakala, choc dawno z jej twarzy znikly i smutek, i radosc. Patrzyla na fonograf, jakby byla to ostatnia rzecz na swiecie, ktora ma dla niej sens.

Tracil ja.

-Idz stad. Idz! Zejdz z ulicy. Tu jest niebezpiecznie.

Nie poruszyła się. Patrzył na nią z mieszanina smutku i irytacji. Nie był w stanie nic zrobić. Wydarzenia odpływały od niego, schwytane w prąd rzeki silniejszej niż Moth. Mogł jedynie chronić własne życie, z zakrwawiona maczeta jako dowodem na istnienie niebezpieczeństw, jakie czaiły się w urzędniczej dzielnicy, która musiał przejść, by dotrzeć znowu do Albumuth. Te same uliczki, za dnia ospale i nostalgiczne, stały się świadkami mordu: tysiące morderców o oczach ze stali czaiło się w gestwinie wyki i kapryfolium. Tam ponownie odkrył mimow o białych twarzach, zaplatanych w bluszcz, ze stezalymi rysami.

Przeszedł koło dziewczynki. Rozpostarł się przed nim budynek firmy Hoegbotton i Synowie. Monotonna czerwona cegła w ciemności wyglądała na jaśniejsza, jakby odbijała płonące w całym mieście ognie.

Wiem tu się to skończy, tu gdzie się zaczęło, pomyślał Dradin. Przed tym samym budynkiem firmy Hoegbotton i Synowie. Gdybym nie był takim tchorzem, skończyłoby się tu o wiele wcześniej.

Podkradł się po schodach pod drzwi. Rozbił szybę już poraniona piściami, stekając z bólu. Ból pulsował gdzieś daleko, oddzielając go od jego wspaniałej nagosci. Uklucia dla dusz dalekich grzeszników. Dradin otworzył drzwi na oścież i zatrzęsł je z takim brzękiem, że był pewien: ktoś to usłyszał i zaraz się pojawi, pedząc wielkimi susami po bulwarze. Nikt się jednak nie zjawiał, a jego stopy, białe, brudne i poranione, plaskaly wewnątrz tak głośno, że nie miał wątpliwości, iż ona ucieknie, jeśli jeszcze żyje, biorąc go za intruza. Dokąd miałaby jednak uciekać? Słyszał własny ciężki oddech, jakby nawigował według gwiazd: dźwięk wypełniał podest schodów, wypełniał przestrzeń między schodami, wypełniał go determinacja, gdyż był najważniejszą oznaką życia, dowodem, że jeszcze żyje mimo wszystkich tych nieszczęść.

Zasmiał się, ale wyszło mu to jakos nieporadnie. Jego umysł zapadł się pod ciężarem masakry: krzyki rabowanych, błagania, dźwięki wydawane przez ludzi wieszanych za szyje, genitalia czy stopy, kolyszających się w całym mieście ludzi, którzy nagle w obliczu śmierci stali się mądrymi i cisi.

Ale to było tam. Tu, przyrzekł sobie Dradin, nigdy nie podda się takim obrazom. Zachowa wszystkie klepki.

Dotarł do trzeciego pietra; mimo zaciekawienia zatrzymał się i nie chwycił żelaznej galki. Za tymi drzwiami było pomieszczenie z oknem. Wyrzeźbił jej obraz tak precyzyjnie w szczelinach pamięci, że wiedział dokładnie, gdzie powinna być. Jeszcze chwila wahania i wkroczył do jej pokoju.

Pomieszczenie. Zaciemnione. Zapach trocinowych wypełnień i skrzyn. To nie ten pokój. To nie jej pokój. To tylko poczekalnia, pewnie dla klientów, na ścianach

dekadenckie dzieła sztuki, a dalej otwarte drzwi prowadzące do...

W następnym pomieszczeniu ściany były obwieszane okcydentalnymi marionetkami, które wyglądały jak czarne blizny, zasuszone i ułożone w kształt ludzkich sylwetek: ciała splecione w namietności i zatopione w modlitwie, ciała popielniące morderstwa i złatwiające interesy. Arlekiны i pierrotы o niesmiałych, czerwonych oczach i ostrych zębach leżały na plecach ze stopami w powietrzu. Tropikalne rośliny uwolnione z terrariów wspinały się po ścianach i otulały wnetrze, sterty jakichś przedmiotów ukryte w cieniu przyzywały go dziwnymi, kanciastymi kształtami. Odor wilgotnej zgnilizny mieszał się ze smrodem grzybian i gorzko-słodką wonią potu, jakby same ściany podjęły wysiłek stworzenia takich cudownych potworności.

Nadal siedziała twarzą do okna, ale odsunięta od niego, na drewnianym krześle, więc wijące się ciekawskie płomienie szalejące w całym miescie nie oświetlały jej twarzy. Światło pożarów tworzyło strefę ciemności i Dradin widział tylko jej czarne włosy opadające na oparcie krzesła.

Patrzac na kobietę na krześle, odniósł wrażenie, że nie widział jej od setek, albo i tysięcy lat; że widział ją po drugiej stronie oceanu, nad którym zapanowała flauta, lub pustyni, sam kształt, jak kształt lalki w teatrze cieni. Podszedł bliżej.

Jego kobieta, kobieta z jego snów, patrzyła w wypełnione sadzą czerwono-czarne powietrze, na drugą stronę ulicy, może nawet w stronę ukrytej rzeki Moth. Zbliżając się, odniósł wrażenie, że dostrzega cien ruchu – lekkie uniesienie jednego z ramion – ale przestał ją już postrzegać z bliska, stała się elementem szerszego widoku w perspektywie, w której w tej chwili nic już nie miało znaczenia i nie mogło go mieć. Była to perspektywa Dvoraka, związana z mapą, która pokrywała całe jego ciało. Była to perspektywa Cadimona, która uniemożliwiła kapłanowi ulitowanie się nad byłym studentem.

–Moja kochana – rzekł Dradin. – I powtórzył: – Moja kochana.

Podszedł bliżej i dostrzegł jej profil. Ciało było zakryte białym przescieradłem, ale jej twarz, och, jej twarz... Jej brwi były grube i ciemne, jej oczy jak dwa bliźniacze błękitne płomienie; miała mały, nierzucający się w oczy nos, a skóra biała, biała, biała, lecz z delikatnym poblaskiem koloru, który przyciągnął jego wzrok do wspaniałej linii jej ust; nad górną wargą widniały kropelki potu; piękne włosy miały kusić i uwodzić, a ubranie układało się na jej ciele tak, że wyglądało na pięknie wygięte; ręce złożyła na podłokietnikach, tak naturalnie, że w jej pozycji nie było cienia sztuczności. Czy to możliwe... Żeby... Ona... Ciągle... Jeszcze... Żyła?

Dradin schylił się i ściągnął z niej białe przescieradło – i krzyknął, gdyż pod spodem leżały tors i nogi w kawałkach, lecz ułożone tak sprytnie, że dawały złudzenie życia: głowę

złożono na tułowiu, ale nie ociekła ona krwią ani innymi płynami ustrojowymi: była sucha, gładka i doskonała, jakby nigdy nie stanowiła części ciała. Bo istotnie nie stanowiła. Ukochana Dradina, od stop do głów, była manekinem: przedmiotem, oszustwem. Hoegbotton i Synowie, specjalizujący się we wszelkich rodzajach bluznierstw i okcydentalnych technologii...

Dradin otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Teraz dostrzegł szklisty polysk jej rysów, wrodzona kruchość postaci wykonanej z masy papierowej, metalu, porcelany i gliny, zmieszanych, ubitych, wytłoczonych, oszlifowanych i wyrzeźbionych, by przybrać kształt kobiety. Świadectwo sztuki zegarmistrza: zawiasy i połączenia zwisały, polamane, ukazując zerwane cięgna i skomplikowane, tandetne mechanizmy. Głupiec. Po trzykroć głupiec.

Dradin okrzyknął kobietę, czując, jak drży; wyciągnął ręce, by popieścić krzywiznę jej policzka, ale cofnął dłoń, zanim dotknął skóry. Poczul znowu uderzenie tropikalnej gorączki; po chwili opadła w *decrescendo*, by znowu uderzyć w *crescendo*. Jeszcze dwa okrzyki i dłoń, wbrew jego woli, wystrzeliła i dotknęła jej policzka. Zimny. Tak zimny. Tak potwornie zimny w porównaniu z ciepłem jego ciała. Zimna i martwa w swym pięknie mimo szalejącego na zewnątrz gorąca i ognisk. Martwa. Nieżywa. Nigdy żywa.

Gdy jej dotknął, gdy zobaczył razem wszystkie jej oddzielone części i to, jak do siebie pasują, pękło w nim coś ważnego i bardzo ważnego; coś, czego nie będzie mógł nigdy naprawić. Teraz w wyobraźni zobaczył *Nepenthe* w całym jej mroku i wdzięku. Teraz postrzegał ją jako osobę, nie jako ideę. Teraz dostrzegał jej nagoc, pamiętał, co czuł, kiedy była pod nim – gładka, wilgotna, ciepła – nieruchoma, kiedy się z nią kochał. Brał ją, choć nie chciała być wzięta. Jeśli kiedykolwiek utracił wiarę, stało się to właśnie wtedy, gdy zatracił się w ramionach kobiety obojętnej wobec niego, obojętnej wobec świata. Dostrzegł znowu błysk malej ręki, odciętej i szarej, i dostrzegł własną dłoń, trzymającą ostrze. Jej odcięta dłoń. Jego dłoń trzymająca ostrze. Powrót do plonającej misji. Odcięty od pamięci. Odcięty od wiary. Odcięty od zmysłów przez gorączkę. Jej odcięta szara dłoń w jego dłoni, a w drugiej maczeta.

Upuścił maczetę. Upadła ze stukotem obok stop manekina.

Ogarnięty gorączką, pełził, wracając z wyprawy do dżungli, jedyny ocalony, tylko po to, by odkryć, że ludzie, do których tu przybył, by ich nawracać, napadli na misję i spalili ją do gołej ziemi... Upadł nieprzytomny, a gdy się ocknął, trzymał w ręce jej dłoń. *Nepenthe*, naga i martwa, leżała obok niego. Zdrada.

Strzaskane kawalki poluzowały się przy wydechu. Nie był już w stanie panować nad sobą i zaczął szlochac u stop manekina, a kiedy go przytulił, delikatna równowaga została zachwiana i fragmenty ciała kobiety rozsypały się wokół: głowa patrzyła na niego z podłogi.

–Zabilem ja zabilem zabilem ja nie zabilem jej nie chcialem nie chcialem zmusila mnie pozwolilem jej pragnalem jej nie moglem jej miec nigdy jej nie chcialem chcialem ja, ale nie tak jak chcialem nie moglem chcialem nie moglem chciec, ale zrobilem to nie wiem czy ja to zrobilem – nie pamietam!

Dradin osunal sie na podloge. Lezal tam przez dluzsza chwile, wyczerpany, walczac o oddech, z zacisnietymi ustami, jakby jego szczeka stala sie nagle obca. Z radoscia przywital bol, o jaki go przyprawily drzazgi z podlogi, wbijajace mu sie w ciało. Czul sie pusty w srodku, obojetny, tak zmeczony, tak zrozpaczony, ze odnosil wrazenie, jakby juz nigdy nie mial stanac na nogach.

Po pewnym czasie spojrzal jej w oczy i na jego twarz wypelzl ponury usmieszek. Wydawalo mu sie, ze slyszy glos matki przebijajacy sie przez szum deszczu walacego o dach. Wydawalo mu sie, ze slyszy glos ojca czytajacy mu o przygodach Juliette i Justine. Uklakl przy jej glowie i poglaskal ja w policzek. Polozyl sie przy niej i podziwial jej rysy.

Uslyszal wlasny glos.

–Kocham cie.

Nadal ja kochal. Nie mogl zaprzeczyc. Nie potrafil. To byla milosc, ktora mogla trwac minute lub dzien, godzine lub miesiac, ale teraz potrzebował jej tak, ze wydawala sie wieczna jak ksiezyc i gwiazdy i rownie zimna.

Nie mialo znaczenia, ze jest w kawalkach, ze jest sztuczna: teraz widzial, ze jest jego zbawieniem. Czyz nie zakochal sie w tym, co zobaczyl w oknie trzeciego pietra, i czyz nie to zmienilo zasadniczo jego charakter? Czyz taka, sztuczna, nie byla dla niego lepsza niz prawdziwa, z cala chciwoscia, pragnieniami, potrzebami i nieporadnoscia, ktore sa przyczyna rozczarowania? Wymyslil dla tej kobiety cala historie, a teraz jego oczekiwania nigdy sie nie zmienia, a ona sie nie zestarzeje, nigdy go nie skrytykuje, nigdy mu nie powie, ze jest za gruby, zbyt niechlujny lub zbyt wymuskany, a on nigdy nie bedzie musial podniesc na nia glosu.

Dradin pojal to, plawiac sie w zarze tych uczuc i patrzac na porcelanowe zarysy glowy, a na zewnatrz krzyki stawaly sie coraz glosniejsze, szubienice skrzypialy i kolysaly sie radosnie w calym miescie. Pojal, ze nie moze zdradzic tej kobiety. Nie bedzie zadnej rozkladajacej sie, odcietej dloni. Zadnych kwiatow spryskanych czerwienia krwi. Zadnych powaznych nieporozumien. Mysl ta rozkwitla w jego glowie tak jasno, ze nieomal go oslepila. Nie moze jej zdradzic. Nawet jesli postawi jej glowe na kominku, a potem zaprosi tam kochanke, jak jego ojciec kiedys postapil z matka, robiac to tuz przy niej, te oczy nie zobacza grzechu. W tej chwili wydalo mu sie, ze to madrosc wieksza od madrosci Cadimona, madrosc podobna do wizji, jaka nawiedzila go, gdy stal na podworzu starego domu w Morrow.

Objal kawalki swej ukochanej, napawajac sie gladkoscia i polyskiem jej skory, precyzja, z jaka ja wykonano. Uklakl, tulac ukochana glowe w drzacych ramionach. Czy jeczal? Czy krzyczal? Kto wie?

Delikatnie, z namyslem, Dradin ujal glowe swej ukochanej i wyszedl do poczekalni, a nastepnie przeszedl przez drzwi. Na podescie trzeciego pietra bylo cicho i ciemno. Ruszyl w dol po schodach, najpierw powoli, bolesnie plaskajac stopami po stopniach. Gdy dotarl do drugiego pietra, zaczal sie spieszyc, jakby chcial uciec od tego, co bylo za nim, az zbiegl na parter i wypadl przez rozwalone drzwi frontowe; pedzil, a sakwa walila go po plecach.

Bulwarem, widzianym przez zalamana kalamarnicy, nadciagal tłum, dzierzac swiece, pochodnie i latarnie. Za nim wybuchaly i plonely sklepy.

Dradin nie spojrzal ani razu, tylko biegł dalej – obok dziewczynki z fonografem, który nadal grał Vossa Bendera, obok Księgarni Borges, w cieniu której skradła się czarna pantera z parady, i dalej, w nieznaną, unikając grzybian, którzy właśnie zbierali mroczne zniwo, krocząc z rękami pełnymi grzybow, z których sypały się zarodniki jak puch mniszka, i ostatnich uczestników Festiwalu Słodkowodnych Kalamarnic, którzy kiwali się jak wahadła, z językami niebieskimi albo czarnymi, z rękami luzno zwisającymi wzdłuż ciała. Biegł poprzez wnętrza i schludne stosiki z dziecięcych rak i nog. Wśród ryku osłów i atletów, mijając martwych pijaków i sennych biczowników z ciemnymi biczami. Szłochal, a lzy płynęły mu bez końca. Mamrotał i szeptał miłosne zaklecia do swej ukochanej, biegnąc szybko pod szalonym, całkiem szalonym światłem księżycy – pedził nieprzerwanie, cały czas w kierunku potężnych wód rzeki Moth, która miała zabrać jego i jego ukochaną tak daleko, jak tylko by zapragnął, choć być może nie dość daleko.

I

LA POTRZEB NINIEJSZEGO opracowania rozpoczniemy historie miasta Ambergris od legendarnych wyczynów łowcy wielorybów, a później pirata, kappana Johna Manzikerta^{1 2 3}, który to w Roku Ognia – nazywanym tak z powodu katastroficznej wrecz podowczas aktywności wulkanicznej na Południowej Polkuli – wprowadził swą składającą się z trzydziestu statków flotę wielorybiczą do delty rzeki Moth, by następnie ruszyć nią dalej w górę rzeki. Mimo iż nie jest to pierwsze doniesienie o wtargnięciu aanskich klanów wielorybiczych na te obszary, najazd ów był pierwszym o jakimkolwiek znaczeniu.

Celem Manzikerta była bowiem ucieczka przed gniewem innego członka swego klanu, Michaela Brueghela, który wcześniej, przy brzegach samej Aandalay, zdziesiątkował niegdys dumna i licząca sto okrętów flotę Manzikerta. Brueghel zamierzał rozprawić się z Manzikertem raz i na zawsze, tak więc ścigał go jakies

szesdziesiąt kilometrów w górę rzeki aż do miejsca, gdzie obecnie znajduje się port w Stockton, by dopiero tam zaprzestac pójścia. Powód konfliktu pomiędzy tymi potencjalnymi sojusznikami nie jest obecnie zbyt jasny – wszelkie dostępne historyczne źródła są wyjątkowo nieliczne i zazwyczaj wielce niescisłe; można wręcz stwierdzić, że jednym z najbardziej doprowadzających do szalu aspektów wczesnej historii miasta jest regularność, z jaką prawda historyczna mija się szerokim łukiem z legendą – lecz konsekwencje tych wydarzeń są wyjątkowo jasno sprecyzowane: późnym latem Roku Ognia Manzikert zapędził się niemal sto kilometrów w górę rzeki Moth, do miejsca, gdzie jej nurt uклада się w odwrócone L, nim wyprostowuje się zarówno w kierunku północnym, jak i południowym. W tym właśnie miejscu po raz pierwszy zauważono, że napływająca z południa słodka woda całkowicie wypiera słona, sącząca się z północy⁴.

O zmroku, w dniu przybycia, Manzikert rozkazał zarzucić kotwicę w przegubie owego L, w miejscu tworzącym naturalną przystan. Brzegi porastała tam gestwina wybujałych zarosli, wyjątkowo bliskich aaskim sercom, gdyż wyglądały na bardzo podobne do roślinności ich rodzimych Wysp Południowych⁵. Fakt, że nie dostrzegli tam najmniejszego nawet śladu istnienia wrogo nastawionych mieszkańców, był już wystarczającą zachętą, ale i tak nie zdołał w nich wskrzęcić koniecznej energii, by wraz ze zbliżającym się zmrokiem wyruszyć z ekspedycją w kierunku brzegu. Jednak jeszcze pierwszej nocy wystawieni na statkach strażnicy ze zdumieniem dostrzegli wyraźnie widoczne pomiędzy drzewami światła ognisk i jeśli wierzyć doniesieniom kilku spośród obdarzonych wyjątkowo dobrym słuchem wielorybników, dochodzący z dala dźwięki wysokich zaspiewów. Manzikert bez chwili wahania wydał rozkazy, by zbrojne oddziały wyruszyły pod osłoną nocy w kierunku lądu, lecz mnich truffidianski, Samuel Tonsure, przekonał go do przelożenia wyprawy do nastania świtu.

Tonsure – który, pojmany w Nicei (w pobliżu delty Moth), nakłonił kappana do nawrócenia się na truffidianizm, tym samym zyskując znaczący wpływ na niego – odgrywa w naszym obecnym zrozumieniu wczesnej historii miasta przewodnią rolę, a może nawet jest w nim najistotniejszy⁶. To jemu właśnie zawdzięczamy większość opowieści – zarówno pochodzących ze zdyskredytowanej (i niepełnej) Biografii Johna Manzikerta I Aan i Ambergris⁷, spisanej, co jasno widac, by zadowolic kappana, jak również z potajemnie prowadzonego dziennika, który mnich przez cały czas nosił przy sobie i którego, jak można się domyslać, Manzikert nigdy nie widział na oczy, bo inaczej z pewnością oddałby Tonsure'a w ręce śmierci.

Wspomniany dziennik zawiera najpełniejszy opis osoby Manzikerta, jego wyczynów, jak i wszelkich następstw, które przyniosły ze sobą. To, że dziennik się pojawił (choć może należałoby raczej napisać: "dane mu było ponownie ujrzeć światło dzienne") w pewnych dość wątpliwych okolicznościach, w żaden sposób nie powinno umniejszać jego całokształtowej wiarygodności. I wcale nie wyjaśnia kierowanych pod jego katem przez pewne kregi drwin i szyderstw, których źródłem jest najprawdopodobniej samo

nazwisko mnicha – Samuel Tonsure, czyli Samuel Tonsura, brzmiące w oczach garstki małostkowych uczonych niczym, nie przymierzając, jakiś żart. Z pewnością jednak nie było to żartem dla samego Samuela Tonsury⁸.

Wraz ze switaniem Manzikert zarządził spuszczenie łodzi na rzekę i z załogą w sile setki ludzi, w skład której wszedł również i Tonsure, ruszył z ekspedycją na rekonesans w kierunku brzegu. Musiało to stanowić na swój sposób komiczny widok, ponieważ – zgodnie z poczynionymi przez Tonsure'a opisami – Manzikert był wyjątkowo okrutnym człowiekiem o charakterze zmiennym niczym rtec, który "sam, wyłącznie dla siebie – nie licząc pojedynczego wioslarza – musiał zająć jedną z łodzi, a ta, rozbijana pod jego stopami, przypominała raczej dziecięcą zabawkę"⁹. Teraz więc, gdy Manzikert płynie w kierunku miejsca, gdzie w późniejszym czasie założy miasto, nastal, jak się wydaje, odpowiedni moment, by zacytować tu pełen ustęp słynnego opisu kappana pióra Tonsure'a: Patrząc na tego człowieka, sam nie mogłem wyjść z podziwu i zdumienia; natura bowiem połączyła w nim wszelkie cechy konieczne u wojskowego przywódcy. Miał przeszło dwa metry wzrostu, tak więc, gdy chciało się na niego spojrzeć, należało odchylić głowę do tyłu, jakby spoglądając ku szczytowi jakiegoś wzniesienia czy wręcz wysokiej góry. Pod jego gestymi brwiami kryły się wywołujące dreszcze, przeszywająco niebieskie oczy, a jego oblicze nie należało ani do łagodnych, ani do przyjemnych, przywołało raczej na myśl chmurę burzową; jego głos rozbrzmiewał dudnieniem niczym grom, a jego dłonie zdawały się stworzone do burzenia murów bądź roztrzaskiwania bram odlanych z brązu. Człowiek ten mógł skoczyć błyskawicznie niczym lew, a jego sroga mina budziła przerażenie. Ci, którzy widzieli go po raz pierwszy w życiu, odkrywali, że każdy usłyszany wcześniej opis był bardzo poważnym niedopowiedzeniem¹⁰.

Niestety nie towarzyszyła temu wyglądowi ani mądrość, ani konieczna cnota miłosierdzia. Tonsure, co oczywiste, żywił pewne obawy co do zmiennych nastrojów swego pana, mogących dać znać o sobie tuż po wyjściu na ląd, dlatego też starał się go przekonać, by sam pozostał na pokładzie okrętu flagowego, a prowadzenie oddziału desantowego powierzył najbardziej rozsądnemu spośród swych poruczników – a być może nawet własnemu synowi, Johnowi Manzikertowi II¹¹, który w swoim czasie miał tak niezwykle błyskotliwie pokierować ludźmi ojca – ale Manzikert, choć był trufdianinem, wcale nie zamierzał słuchać mnicha. Na dodatek przekonał swą małżonkę, Sophie, by i ona towarzyszyła mu podczas tej wyprawy. Niestety Tonsure bardzo sporadycznie opisuje nam sama Sophie Manzikert, zarówno w biografii, jak i w dzienniku (osobnej biografii Sophii nie udało się przetrwać do naszych czasów), ale sądząc wyłącznie z garstki dostępnych nam informacji, portret jej męża, który wyszedł spod pióra Tonsure'a, równie dobrze można odnieść i do jej osoby – ta para wyjątkowo często wprowadzała się w romantyczny nastrój, czerpiąc przyjemność ze wspólnego plądrowania i grabienia.

Tak więc zarówno Manzikert z Sophią, jak i Tonsure z pozostałymi ludźmi kappana wyszli na ląd w miejscu, które już wkrótce miało stać się Ambergis. W tej jednak

chwili zamieszkiwali je osobnicy ochrzczeni przez mnicha mianem "szarych kapeluszy", znani obecnie jako "grzybianie".

Tonsure donosi, ze ledwie zdazyli zaglebic sie na sto krokow w porastajace brzeg krzewy, a juz natkneli sie tam na pierwszego mieszkanca, stojacego przed "okraglym, zwieczonym kopula jednopietrowym budynkiem, lezacy rozlozyscie tuz przy samej ziemi. W budowli nie dalo sie dostrzec zadnych widocznych laczen ani spoiw, a wychodzila z niej droga zbudowana z gladkich i lśniacych kamieni, zrecznie polaczonych ze soba za pomoca zaprawy". Budynek ten mogl swego czasu pelnic funkcje posterunku strazniczego, lecz teraz stanowil kwatere mieszkalna.

Najwyrazniej budynek wydal sie mnichowi bardziej imponujacy niz sam stojacy przed nim tubylec, gdyz na opis najdrobniejszych nawet szczegolow budowli przeznaczal cale trzy strony, rownoczesnie podajac nam przy tym zaledwie ponizej cytowany krociutki akapit, opisujacy stojacego przed nim mieszkanca: Byl niski i krepy – siegal kappanowi zaledwie do ramion. Stal tak przed nami owiniety od stop do glow swym szarym plaszczem, okrywajacym zarowno tunike, jak i spodnie wykonane z jasniejszych, pozszywanych ze soba kawaleczkow szarych skor. Na glowie mial kapelusz w kolorze skory olifanta: wysoki, o szerokim rondzie oslaniajacym mu twarz przed sloncem. Jego charakterystycznymi cechami, przynajmniej tymi widocznymi, byly krepka postura i ziemisty kolor twarzy, ktora zreszta nie wyrazala najmniejszego nawet sladu mogacego swiadczyć o posiadaniu odrobiny wiedzy. Gdy kappan zadal mu pytanie, majace zapewnic nam chociazby szcztatkowe informacje co do natury i nazwy miejsca, w ktorym sie znalezlismy, owa nieatrakcyjna i nieciekawa istota nie potrafila mu na nie odpowiedziec; wydala jedynie z siebie serie klekotow, pochrzakiwan i gwizdow, ktore zdawaly sie nasladowac piesn szaranczy czy swierszczy. Nie mozna bylo ich uznac za przejaw mowy czy jezyka. Byly, podobnie jak w przypadku owadow, ostrzezeniem badz ewentualnie odglosem wyrazajacym zaciekawienie, zupełnie pozbawionym przy tym wszelkich pozostalych znaczen¹².

Mozemy czerpac wrecz groteskowa radosc z wyobrazenia sobie nastepujacej sceny: oto stojacy gigant nachyla sie nad karlem, chcac sie z nim porozumiec, a karzel odpowiada mu jezykiem tak subtelnym i wyrafinowanym, ze wszelkie proby tlumaczenia go nawet dzis zawodza, gdy tymczasem gigant wyrzuca z siebie serie pozbawionych wdzieku samoglosek i spolglosek, ktore szaremu kapeluszuw musialy przypomnac nagly atak apopleksji.

W oczach Manzikerta szary kapelusz byl odrazajacy i przypominal, ze zacytuje tu jego wlasne slowa – "i dziecko, i grzyb"¹³, i – gdyby nie strach przed odwetem ze strony domniemanej wladzy o blizej nieokreslonej potedze – kappan z pewnoscia przeszylyby napotkanego tubylca na wylot swym mieczem. Zamiast tego wyminal go, pozostawiajac wciaz trwajacego w swym niezrozumialym czuwaniu, bezustannie mlaskajacego i gwizdzacego w kierunku ich oddalajacych sie plecow¹⁴, gdy podazyli

owa srebrzysta droga, która w końcu doprowadziła ich do miasta.

Mimo iż Tonsure występnie to zaniedbał i nie dostarcza nam opisu pierwszej reakcji Manzikerta i Sophii na rozposcierająca się przed nimi panoramę miasta – a sądząc z dokonanego przez mnicha opisu akweduktów, było to niemal z pewnością miejsce przyszłego bulwaru Albumuth – możemy sobie jedynie wyobrazić, że byli oni pod równie wielkim wrażeniem jak sam mnich, który zapisał: Budyńki, widoczne spoza stopniowo rzędnej zasłony drzew, przyozdobiono, gdzie tylko się dało, złotymi gwiazdami przypominającymi znany nam znad głównie nieboskłon, z taką tylko różnicą, że gdy na sklepieniu niebieskie gwiazdy pojawiają się w pewnej odległości od siebie, to powierzchnie tych budynków były całkowicie pokryte złotem, które niekonczającym się strumieniem wypływało z ich centrum. Główny budynek otaczały inne, mniejsze, całkowicie lub częściowo zabudowane kruzgankami. Struktury o zapierającej dech w piersiach złożoności rozciągały się tak daleko, jak tylko sięgał nasz wzrok. Tam zaś pojawiał się kolejny krąg budynków, jeszcze większy od pierwszego, z trawnikami pokrytymi grzybami wszelkiego możliwego rozmiaru i koloru – od gigantycznych narosli, niemal tak wielkich jak olifanty¹⁵, po delikatne szkliste guzki nie większe od paznokcia małego dziecka. Te grzyby – o czerwonych i niebieskich kapeluszach, po spodniej stronie jakby obsypane smugami srebra, szmaragdu czy obsydianu – wydzielaly spory o najrozniejszych i najbardziej niesamowitych zapachach, a szare kapelusze dogladaly ich z godna podziwu delikatnoscia i czula troska¹⁶... Znajdowala sie tam rowniez ogromna liczba fontann, wytryskujacych wode do przestronnych basenow; pelno bylo ogrodow, zarowno tych wiszacych, wypelnionych egzotycznymi mchami, porostami i paprociami, jak i opadajacych ukosem po plaskiej ziemi. Byl tu tez basen wykonany z czystego zlota, tak piekny, ze opieral sie wszelkiej mozliwosci opisu slowem¹⁷.

Mozemy w tym momencie jedynie wyobrazic sobie blysk radosci jaki zaplonal w oczach Manzikerta i jego malzonki, gdy zobaczyli rozciagajace sie przed nimi zloto; niestety, jak mieli sie wkrotce przekonac, wiekszosc pokrywajacego budynki "zlota" byla w rzeczywistosci zywym organizmem, podobnym do porostu, ktory szare kapelusze specjalnie przystosowaly do tworzenia dekoracyjnych wzorow; i nie dosc, ze to cos nie bylo zlota, to nie nadawalo sie rowniez do jedzenia.

Mimo to Manzikert i jego zaloga rozpoczeli odkrywanie miasta. Zignorowali najbardziej elementarne szczegoly stojacych w nim budynkow; miast tego dokonali spostrzezen dotyczacych oswojonych szczurow, wielkich niczym koty¹⁸, wystepujacych tu wrecz w nadmiarze, niezliczonosci egzotycznych ptakow, i – co oczywiste – rzucajacych sie wszedzie w oczy najprzerowniejszych rodzajow grzyba, ktore, jak sie zdawalo, szare kapelusze zbieraly, jady i gromadzily w formie zapasow na wypadek kleski glodu¹⁹.

Teraz, gdy Manzikert eksploruje otoczenie, pozwole sobie zabic te chwile, przytaczajac kilka faktow dotyczacych miasta. Wedlug znikomej liczby zachowanych

do dziś sporządzonych przez szare kapelusze zapisów, które nawet jeśli zostały przetłumaczone, to i tak niekoniecznie są dla nas zrozumiałe, nazywali oni swe miasto "Cinsorium", mimo iż znaczenie tego słowa zostało dla nas stracone albo, by być tu bardziej dokładnym, nigdy nie zdołaliśmy go odkryć. Naukowcy zajmujący się badaniem leżących pod Ambergris²⁰ ruin oszacowali, że w pewnym okresie swego istnienia Cinsorium mogło być siedzibą dwustu pięćdziesięciu tysięcy dusz, co stawia je na czele wszystkich starożytnych miast. Cinsorium mogło również pochwalić się wysoce zaawansowanym systemem wodno-kanalizacyjnym, który z pewnością wzbudziłby zawrasc w sercu wielu współczesnych miast²¹.

Jednakże w chwili przypadkowego odkrycia przez Manzikerta, jak usilnie dowodzi Tonsure, wydawało się, że miasto dawno już ma za sobą dni świetności. Mnich oparł swój pogląd na raczej wstępnej i chybionej podstawie: niezaprzeczonej dekadencji jego mieszkańców. Z pewnością jednak Tonsure jest w tym osadzie krzywdzący ponad wszelką miarę zdrowego rozsądku, gdyż miasto wydawało się w pełni funkcjonalne – stan wysokich kopulastych budynków był ośniewająco dobry, ulice zamiatano tu nieustannie, a amfiteatry wyglądały tak, jakby ledwie za chwilę miały wystawić spektakle i ugościć w swych progach niezmiernie rzesze amatorów rozrywek.

Tonsure zignorował wszelkie przejawy zdrowego stanu miejscowej kultury, być może obawiając się konieczności przyznania przed samym sobą, że te niemal z pewnością heretyckie istoty mogły jednak okazać się bardziej rozwinięte. Zamiast tego dowodzi, szczególnie w biografii, lecz porusza również ten temat na kartach dziennika, że ówczesni mieszkańcy miasta – według jego szacunków w liczbie nie mniejszej niż siedemset – nie mogli rościć sobie żadnych praw do dawnej wielkości swych przodków, gdyż, jak się wydawało, "byli najwyraźniej ostatnim pokoleniem wymierającej rasy", niezdolnym do pojęcia procesów kierujących miastem, niezdolnym do obsługi całej miejskiej maszynierii, do upraw ziemi; byli pokoleniem "ograniczonym jedynie do łowiectwa i zbieractwa"²². Ich ogniska kopcily i opalały ściany wielkich sal, a całe klany sprzeczały się między sobą, tocząc konflikty na obszarach ograniczanych zaledwie ścianami poszczególnych budynków. Żaden z nich, przynajmniej według Tonsure'a, nie rozumiał spuścizny pozostawionej przez przodków.

Największy z przytaczanych przez mnicha dowodów, mających świadczyć o degeneracji szarych kapeluszy, może okazać się dowodem najmniej przekonującym. Jeszcze pierwszego dnia Manzikert i Sophia wkroczyli do pomieszczenia określonego przez mnicha mianem "biblioteki", miejsca "przestronniejszego niżli wszelkie inne, w jakich dane mi było zdobywać wiedzę, nie licząc świątyn i innych miejsc czci różnych kościołów i religii". Polki tej biblioteki były na wskroś przegniłe, i to jeszcze przed szturmem, jaki przypuściły na nie w oszalamiających ilościach malutkie, purpurowe grzybki o białych nożkach. Książki, wykonane z pulpy palmowych liści na drodze utraconego dla nas procesu, w nieładzie zascielaly

podloge – tysiące ksiązek, wiele z nich o brzegach i okładkach bogato zdobionych tłoczeniami w przedziwnym piśmie²³, a wszystkie pokryte znajomym już złotym porostem. A jakież to szare kapelusze znalazły dla nich zastosowanie? O toż służyły im one jako opał, co mnich zaobserwował z wyjątkowym niedowierzaniem. Tutejsi mieszkańcy raz za razem wchodzili tam bowiem i wychodzili, zabierając je ze sobą, by następnie rzucić na pozarcie płomieniom, na których gotowali swe potrawy.

Pytanie jednak czy Tonsure poprawie zinterpretował to, co zobaczył w owej "bibliotece"... Moim skromnym zdaniem nie, a wątpliwości swe opublikowałem w monografii zatytułowanej Wywód w obronie szarych kapeluszy, a przeciwko naocznym dowodom Tonsure'a²⁴. Osobiscie jestem przekonany, że rzeczona "biblioteka" była w rzeczywistości miejscem kultu religijnego, a "książki", o których mowa – zwojami modlitewnymi. W niektórych kulturach, szczególnie tych dalekiego Okcydentu, podobne zwoje oddawano językom ognia w czasie świętych rytuałów. "Polki" były specjalnie wbudowanymi w ściany przegnilymi deskami, mającymi utrzymywać wzrost specyficznych purpurowych grzybow, których nie można było znaleźć nigdzie indziej na terenie miasta, a które równie dobrze mogły mieć jakies religijne znaczenie²⁵. Kolejna wskazówka jest wielki kamień w kształcie grzyba, wzniesiony tuż przy głównych schodach biblioteki, który – jak stwierdzono – był ołtarzem.

Sophia wybrała sobie właśnie ten moment, by głośno skomentować coś, co określiła mianem "prymitywizmu" tubylców, besztając przy tym meza za okazane "tchorzostwo". W obliczu takiej reprimendy Manzikert stał się agresywniejszy i poczuł się zwolniony od wszelkich moralnych zakazów i ograniczeń. Na szczęście potrzeba było kilku dni, by jego nowa postawa mogła objawić się w pełnej krasie; dni, podczas których przenosił coraz to więcej swych ludzi ze statków na brzeg zatoki, gdzie rozpoczęto budowę doków. Władca przystosował również kilka okragłych, przysadzistych, niskich struktur leżących na skraju miasta do celów mieszkalnych, wyrzucając stamtąd ich obecnych mieszkańców, którzy, mamrocząc coś pod nosem, posłusznie ruszyli w kierunku centrum.

Nie tylko członkowie klanu. Manzikerta z zadowoleniem przyjęli możliwość rozprostowania koci, lecz również oczekujący ich na brzegu świat okazał się, po dokonaniu pewnych eksploracji, wręcz idealny do życia. Liczne źródła i naturalnie istniejące formacje wodonośne czerpały swą wodę z Moth, a żyjąca tu zwierzyna, od świń po jelenie czy nawet ptaki nieloty, nazywane "rylcami", zapewniała obfite źródło pożywienia. Zakręt rzeki wzmacniał siłę zachodniej bryzy, ochładzając okrutny miejscowy klimat, zaś na skrzydlach wiatru przybywały ptaki, głównie jaskolki, które lotem nurkowym spadały o zmroku, by pochłaniać unoszące się nad powierzchnią wody kolosalne chmary owadów.

Tonsure spędził kolejne pięć albo sześć dni włączając się po ulicach miasta, które wciąż jawiło mu się zadziwiającym cudem. Sam, jak zapisał w dzienniku, "roztrwonil"

wiekszość swych młodziennych lat na ziemiach Kalifa, gdzie architektoniczne cuda niemal tłoczyły się w każdym mieście, lecz jego oczy nigdy nie podziwiała czegoś w najmniejszym nawet stopniu przypominającego Cinsorium²⁶. Po pierwsze, miasto pozbawiono wszelkich ostrych krawędzi, posiadało jedynie krzywizny. Jego architekci wbudowali okregi do okregów, kopuły wewnątrz kopuł, okregi w kopułach. Efekt, jaki powodowała ta architektura, jak odkrył Tonsure, był niczym balsam dla oka, a co ważniejsze, również dla ducha. "Zupełny brak ostrych krawędzi i przecinających się linii sprawia, że twój umysł staje się równiną spokoju i opanowania" – zapisał mnich. Potencjalna prawdziwość jego obserwacji potwierdzili współczesni architekci, którzy, przeglądając zrekonstruowane plany Cinsorium, określili je mianem strukturalnego odpowiednika kamertonu dla wibracji duszy.

Niemal równie zachwycające były olbrzymie, wesole mozaiki pokrywające ściany, z których większość przedstawiała sceny bitewne lub sceny grzybobrania, a ledwie garstka z nich obrazowała jakies abstrakcyjne przejścia czerwieni i czerni; te ostatnie wzbudziły w mnichu poważny niepokój o skali porównywalnej wręcz z komfortem i błogocią wywoływana tutejszym architektonicznym brakiem krawędzi, mimo że w tym przypadku nie potrafił on stwierdzić, dlaczego tak się działo. Mozaiki wykonano ze zrecznie połączonych ze sobą porostów i grzybow, odpowiednio wcześniej przygotowanych, by osiągnąć pożądaną efekt. Czasem do uformowania dekoracyjnych wzorów używano również wymienianych regularnie co tydzień owoców, warzyw, a nawet nasion – na przykład kalafior przedstawiał tu podobną do owcy istotę zwana "plucakiem". O ile można wierzyć świadectwu Tonsure'a, jedna z mozaik zawierała jaja miejscowej odmiany drozda, które pełniły w niej rolę oczu szarego kapelusza; gdy wykluwały się z nich piskleta, wydawało się, że oczy mozaikowej postaci się otwierają.

Biblioteka dostarczyła najwspanialszego z odkryć Tonsure'a: mechanicznego złotego drzewka o galeziach ozdobionych misternymi inkrustowanymi klejnotami, dzierzbami i papugami, pod którym na okrągłym podium obracały się równie skomplikowane, grzebiące kopytkami w ziemi jelenie, do których podkradały się lwy. Po nakreceniu kluczykiem układu wszystkie ptaki równocześnie wybuchały śpiewem, a znajdujące się pod nimi lwy zaczynały ryczeć. Szare kapelusze utrzymywały drzewko w nienagannym stanie, lecz nie doceniały jego piękna, gdyż "same były częścią podobnego mechanizmu, kolosalnie bardziej złożonej maszynierii, skazanej na powtarzanie raz za razem tych samych ruchów, na podażanie, rok po roku, tym samym torem".

Wciąż jednak, wraz z rosnącym szacunkiem do miasta, narasta w mnichu odraza dla jego mieszkańców. Cherlaki, tak ich nazywa, kaleki. Ignorując piękno otaczającego ich miasta, jak zapisał (w biografii), "stali się niezdolni, by nim zarządzać, a nawet, by żyć w obrębie jego granic". Ich "bladłość, odrazająca wilgoc skory i lżawiące wypływy z oczu" – wszystko to wskazywało na "obrzydliwość ich istnienia, będącego tylko kpina ze wspomnień o dawnej świetności, która mieli już za

soba"27.

Zapewne nigdy się nie dowiemy, dlaczego zwykle tolerancyjny Tonsure stał się oredownikiem podobnych idei; zdecydowanie nie można w nim odnaleźć najmniejszego nawet śladu współczucia czy litości, tak cechujących spisane przez niego w Dzienniku komentarze dotyczące Manzikerta, którego nazywał "kpiąca masa emocji, poduszczeńka uczuć, człowiekiem, którego z pewnością zamknięto by za kratkami, gdyby nie stał już na czele tłumu". I choć lekceważące komentarze Tonsure'a w dzienniku wydają się zbyt wymuszone i wypracowane, to podobne komentarze pojawiające się w biografii z łatwością można przypisać samemu Manzikertowi, bowiem o ile mnich zaledwie poprzestawał na wymyślaniu miejscowym, o tyle sam kappan nienawidził ich z tak wielką intensywnością, że była ona pozbawiona wszelkiego racjonalnego uzasadnienia. Tonsure zauważa, że ilekroć tylko Manzikert znalazł powód do spaceru przez miasto, od niechcenia mordował wszystkie szare kapelusze napotkane na drodze. Być może nawet, co jest znacznie bardziej przerażające, pozostali znajdujący się w pobliżu tubylcy ignorowali te niczym nieuzasadnione morderstwa, a śmiertelnie ranni oddawali ducha, nie podejmując żadnej walki²⁸.

Pod koniec pierwszego tygodnia Manzikert i Sophia urządzili uroczystości, nie tyle po to, by świętować zakończenie prac w dokach, ile po to, by uczcić "początek nowego życia jako mieszkańcy ładu". Biorąc pod uwagę czas owych obchodów, uroczystość tę należy traktować jako prekursora obecnie nam znanego Festiwalu Słodkowodnych Kalamarnic²⁹. Podczas uroczystości Manzikert ochrzcił nową osadę "Ambergris" – słowem określającym "najbardziej tajemniczą i najwartościowszą część wieloryba"³⁰ – wbrew protestom Sophii, która, zresztą dość przewidywalnie, chciała nazwać osadę "Sophia".

Gdy następnego ranka zataczający się na nogach z powodu wypitego uprzedniej nocy grogu Manzikert wstał, by ulżyć pecherzowi, i już-już miał to zrobić pod ścianą jednej z okragłych budowli szarych kapeluszy, zauważył na niej malutki, żółtaworóżowy porost o uderzającym wręcz podobieństwem do trędowatej Świętej Kristiny z Malfour, naczelnej ikony truffidianskiej religii. Drugi z porostów, zagrażający świętej, wyglądem swym zadziwiająco przypominał szary kapelusz. Manzikert wpadł w religijny amok, zebrał swych ludzi, po czym opowiedział im o tej wizji. W biografii Tonsure sumiennie donosi o ich uszczesliwionej reakcji na słowa przywódcy, że oto z powodu złośliwie wyglądającego grzyba³¹ mają ruszyć na wojnę, jednak nie wspomina o niej ani słowem na kartach swego dziennika, przypuszczalnie ze wstydu³².

Jeszcze tego samego popołudnia kappan Manzikert I Aan i Ambergris – z Sophia i Tonsure'em u boku – wprowadził do miasta zbrojny oddział składający się z dwustu osób. Słonce, jak zapisał Tonsure, polyskiwało krwistą czerwienią, a ulice Cinsorium już wkrótce odbijały podobną barwę niezależnie od koloru słońca na niebie, gdy na

rozkaz Manzikerta rozpoczęto rzez szarych kapeluszy. Było to przerażająco nieme widowisko. Szare kapelusze nie stawiały żadnego oporu, a podczas ścinania jedynie milczaco wpatrywały się w atakujących³³. Być może gdyby stawili jakiś opór, Manzikert mógłby okazać im odrobinę litości, ale ich milczenie, ich absolutna gotowość, by raczej zginąć niż się bronić, jedynie jeszcze bardziej go rozwścieczyły i masakra trwała bez chwili wytchnienia aż do zmroku. Wtedy to "właśnie ochrzczonego miasta nie dało się odróżnić od rzeźni, tyle bowiem krwi przelano na jego ulicach; odor rzeźni zawisł w wilgotnym powietrzu, a sama posoka oklejała nas niczym pot". Ciała były tak liczne, że musiano je zebrać w stosy, by umożliwić Manzikertowi i jego ludziom poruszanie się po ulicach, gdy chcieli przedostać się z powrotem do doków.

Z takim tylko wyjątkiem, że gdy słońce wreszcie wykrwawiło się na niebie, zamieniając dzień w noc, a jego ludzie zapalali pochodnie, sam władca nigdy tam nie dotarł.

Kiedy bowiem mijali wielką "bibliotekę", której frontowe stopnie zasłaniały bezwładnie porzucane ciała, Manzikert wypatrzył tuż przy zabarwionym na czerwono ołtarzu ubrany w purpurowy szary kapelusz, który nie tylko wydawał gwizdy i cykania skierowane ku niemu, lecz po wykonaniu niewątpliwie wulgarnych gestów wbiegł w górę po schodach. Początkowo zszokowany Manzikert ruszył za nim w pogon razem z wybraną przez siebie grupką ludzi, wykrzykując w kierunku Sophii, by poprowadziła resztę oddziału z powrotem do statków, gdzie sam wkrótce miał podążyć. Następnie wraz z towarzyszącymi mu ludźmi – wśród których również z jakichś bliżej nieokreślonych powodów znalazł się i Tonsure z dziennikiem w kieszeni – zniknął w drzwiach "biblioteki". Sophia, zawsze posłuszny żołnierz, wypełniła rozkazy meza i powróciła do doków.

Noc minęła bez najmniejszych zakłóceń, z takim tylko wyjątkiem, że władca nie pojawił się w dokach. Wraz z pierwszymi lunami brzasku Sophia wkroczyła do miasta, tym razem na czele trzystuosobowej grupy, czyli grupy o jedną drugą większej od niewielkiej armii, która poprzedniego wieczora dokonała tak poważnego spustoszenia w szeregach szarych kapeluszy.

To, co tam zastali, zarówno dla samej Sophii, jak i dla młodego Manzikerta¹¹³⁴ musiało być wyjątkowo osobliwym widokiem. Padające z nieba promienie porannego słońca oświetlały bowiem opustoszałe miasto. Ptaki nawoływały się pomiędzy gałęzi drzew, pszczoły bzyczały, latając wokół kwiatów, lecz nigdzie nie było widać choćby jednego martwego ciała szarego kapelusza ani żywego człowieka – nie można było dostrzec najmniejszego nawet śladu krwi, jak gdyby cała masakra nigdy się nie wydarzyła, a sam Manzikert nigdy nie stąpał po powierzchni ziemi. Kiedy tak szły głuchymi ulicami, ogarnęło ich tak wielkie przerażenie, że nim dotarli do biblioteki, leżącej niemal w centrum miasta, przeszło połowa ludzi wylała się z szeregów i zbiegła, by ukryć się w dokach. I choć sama Sophia, jak również jej syn – Manzikert¹¹

– nie stracili zimnej krwi, to byli od tego o wlos, co Manzikert II opisał pozniej nastepujaco: Nie tylko nigdy wczesniej nie widzialem matki ogarnietej tak wielkim przerazeniem, nigdy nawet nie myslalem, ze dane mi bedzie kiedykolwiek dozyc podobnej chwili; a jednak nie dalo sie temu zaprzeczyc: gdy wchodziliśmy po stopniach prowadzacych do biblioteki, drzala ze strachu. Jej dlonie swiecily niemozliwa wrecz bladoscia, jej oczy byly niespokojne, rozbiegane na boki, jakby w kazdej chwili cos moglo na nas spasc niczym grom z jasnego nieba, z tego spokojnego, otaczajacego nas nieruchomo powietrza, z budynkow nierzucajacych cienia, i zaatakowac. Widzac matke w takim stanie, tak przerazona, dopuscilem do siebie mysl, ze nawet moj wlasny strach wcale nie czyni ze mnie tchorza.

Wewnatrz ogolocoonej z ksiazek, grzybow i polek biblioteki odkryli jedynie samotny fotel³⁵ z siedzacy w nim Manzikertem³⁶, ktory placzac zakrywal sobie twarz dlonmi. Za nim, w przeciwleglej scianie pomieszczenia, widniala otwarta wyrwa ukazujaca schody prowadzace w dol, ku znajdujacej sie pod Cinsorium rozleglej sieci podziemnych tuneli. To tam wlasnie poprzedniej nocy, jak sam to pozniej wyjawi, Manzikert I wkroczył z Tonsure'em, bersarem³⁷ i pozostalymi czlonkami grupy w pogoni za umykajacym szarym kapeluszem.

Jednakze teraz placz i lkanie bylo wszystkim, co Manzikert I byl w stanie z siebie wydobyć, a gdy Sophii udalo sie wreszcie oderwac mu sila rece od twarzy, zobaczyła, ze nie ma na niej ani sladu lez, gdyz "jego oczy zostaly wyszarpane z oczodolow tak wprawnie i czysto, ze spogladajac na niego, na tego godnego pozalowania czlowieczka, mozna bylo pomyslec, ze taki wlasnie przyszedl na ten swiat". Co sie zas tyczy Tonsure'a i pozostalych ludzi kappana, nie pozostal po nich najmniejszy nawet slad, i zaden – z wyjatkiem dziennika mnicha – mial sie juz nigdy nie pojawic. Faktycznie na wiecznosc znikneli z powierzchni ziemi.

Przez kilka kolejnych dni Manzikert I pozostal w stanie kompletnego rozbicia wewnetrznego, wrzeszczal po nocach, wymiotowal i doznawal atakow, ktore – jak sie zdawalo – mialy epileptyczna nature. Zatracil rowniez rachube czasu, gdyz upieral sie, ze przebywal w podziemiach przez przeszlo miesiac, gdy powszechnie wiadomym faktem bylo, ze zszedl do nich ledwie uprzedniej nocy.

Podczas tych trudnych chwil – z ubezwasnowolnionym mezem oraz synem, ktory popadl w stupor wywolany podwojna trauma, zwiazana zarowno ze stanem ojca, jak i zniknieciem Tonsure'a – smutek i strach Sophii przeistoczyly sie w slepa furie. Trzeciego dnia po odnalezieniu meza w bibliotece podjela decyzje, ktora na przestrzeni wielu kolejnych wiekow podzielila historykow: podlozyla pod Cinsorium ogien³⁸.

Pozar rozpoczel sie w bibliotece i zgodnie z doniesieniami, jakim udalo sie przetrwac do naszych czasow, Sophia wyrazila gleboki zal, ze nie pozostaly w niej zadne "ksiazki", ktorymi moglaby nakarmic zarloczny ogien. Miasto plonelo przez

trzy dni i przez cały ten czas, z powodu błędnych obliczeń, Aanczycy byli zmuszeni do nieustannej walki o uratowanie doków, które – na skutek zmian kierunku wiatru – znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie zajęcia się ogniem. W końcu jednak miasto wypalilo się do gołej ziemi, pozostawiając po sobie zaledwie przelotną wzmiankę w dzienniku Tonsure'a, kilka innych porzrzucanych tu i owdzie opisów pochodzących od członków klanu Manzikerta I oraz garstkę budowli, które jednak okazały się odporne na ogień³⁹. Na czele tych budynków znajdowały się ściany samej zbudowanej z ognioodpornego kamienia biblioteki, akwedukty oraz znajdujący się tuż przed biblioteką ołtarz (dwa ostatnie stoją w miejscu po dziś dzień). Sophia uświadomiła sobie próżność swych starań, nie wspominając już o ekonomicznych konsekwencjach związanych z ewentualną rozbiórka akweduktu, więc wyladowała swą frustrację na ołtarzu i bibliotece. Ołtarz, jak się okazało, wykonano jednak z tak wytrzymałego kamienia, że nie można go było nawet zarysować używanymi w tym celu wielkimi młotami czy innymi narzędziami. Kiedy starano się go wykopać, okazał się kolumna wkopana w ziemię na głębokości przynajmniej trzydziestu metrów, o ile nie jeszcze głębiej, a co za tym idzie, był nie do pokonania. Bibliotekę jednak na rozkaz władczyni rozebrano na części, by "nie pozostał po niej nawet kamień na kamieniu". Co do bram prowadzących do podziemnej części starożytnego metropolis, Sophia kazała zacząć je wszystkie kilkoma warstwami okopconych kamieni, pochodzących ze zburzonych budynków, a następnie wykonała to wszystko pośpiesznie przygotowaną wylewką z zaprawy, kamyków i ziemi. Warstwy te następnie wzmocniono deskami wyrwanymi ze statków. Jako zwieńczenie swego dzieła Sophia wystawiła przy każdym z tych miejsc dziesięcioosobowe stráže i po pięciu latach odnajdujemy w dzienniku Manzikerta II opis owych strażników, wciąż trwających na swych posterunkach.

Do tego czasu mąż Sophii odzyskał już zmysły; czy też raczej – odzyskał je na tyle, na ile w ogóle miało mu być kiedykolwiek dane...

Manzikert I odmawiał rozmów na temat tego, co wydarzyło się pod ziemią, tak więc nigdy nie dowiemy się, czy przynajmniej zapamiętał wydarzenia, które w efekcie doprowadziły do jego osłepienia. Nie mówił o niczym z wyjątkiem upasionych szczurów o Isniacym futrze, które ukryły się przed rzeźnią i pożogą, a teraz właśnie wylonily na powierzchnię, by włączyć się po zgliszczach spalonego na popiół miasta, bez wątpliwości zaintrygowane zmianami, jakie zastały. Manzikert I ogłosił, że szczury są reinkarnacją duchów świętych i meczenników i jako takie winny być czczone, pielęgnowane, karmione i goszczone w domostwach, z zapewnieniem im takich wygod, jakie były im dane w poprzednim życiu⁴⁰. Te roszczenia doprowadzały Sophie do szalenstwa i w ciągu kilku kolejnych tygodni nader częste stały się wielce krzykliwe awantury, rozchodzące się z pokładu okrętu flagowego. Jednak kiedy władczyni uświadomiła sobie, że jej mąż wcale nie doszedł do siebie, lecz w pewnym sensie zginął w podziemiach, umieściła go w pobliżu doków, dokładnie w tym samym budynku, przy którym napotkał on swój pierwszy szary kapelusz. Tam też pozwoliła

mu, ile tylko dusza zapagnie, folgować swemu szalenstwu.

Chociaż obecnie Manzikert I w najmniejszym nawet stopniu nie stanowił widoku budzącego grozę – zupełnie nieistotne, czy był wysoki, czy niski – ostatnich lat swego życia dożył w stanie niekonczącej się szczęśliwości, a jego uśmiech, odsłaniający braki w uzębieniu, rzucał się teraz w oczy niemal równie mocno jak jeszcze przed kilkoma laty jego sroga mina. Powszechny stał się widok tego, jak posługując się laską, ślepo prowadził swych wielkich podopiecznych – dobrze wykarmionych, o lśniącym futrze i coraz bardziej oswojonych – ulicami miasta, któremu sam kiedyś nadał nazwę. Noca wszystkie szczury tłoczyły się we wnętrzu jego nowego domu i, ku zazenowaniu syna, spały tam z nim, niektóre nawet na posłaniu Manzikerta. Cóż, jaka oddawał szczurom, niezależnie od tego, czy była wynikiem postradania zmysłów, czy autentycznego religijnego objawienia, wywarła niezatarte wrażenie na wielu Aancykach, szczególnie na tych, którzy wciąż czcili dawne ikony, i tych, którzy sami wzięli udział w rzezi szarych kapeluszy. Wkrótce miał wielu pomocników⁴¹. Pewnego ranka, osiem lat po pożarze, pomocnicy ci odnaleźli Manzikerta na posłaniu, obgryzionego na śmierć przez "świętych i meczenników", z – o ile tylko Manzikert II jest tu wiarygodnym źródłem – "niegasnacym uśmiechem na pozbawionej oczu twarzy".

I tak oto kończy się przejmująco osobliwe życie pierwszego władcy Ambergris – człowieka, który w pełni zasłużył sobie, by zagryzły go szczury, bowiem nim doszło do jego osłepienia, nie było roku, w którym by własnorecznie nie zaszlachtował przynajmniej tuzina ludzi. Odważny, lecz okrutny, geniusz taktyki w czasach wojny, nieudaczny w czasach pokoju, wielka niewiadoma pod względem wzrostu, Manzikert I jest dziś pamiętany nie tyle jako założyciel Ambergris, ile jako twórca religii określanej mianem "manzizmu"⁴², wciąż zresztą posiadającej swych zwolenników w Dzielnicy Religijnej.

II43

TO NA BARKI SYNA MANZIKERTA I, KAPPANA Manzikerta II, spadło monumentalne zadanie przebudowy piracko-wielorybniczej floty w społeczeństwo zdolne do życia na lądzie, które mogłoby uzupełnić rybolowstwo rozległymi uprawami rolnymi i handlem z pobliskimi społecznościami⁴⁴.

Na szczęście Manzikert II posiadał zalety, których próżno było szukać u jego ojca. Co prawda nigdy nie został przywódcą wojskowym na miarę swego rodziciela, ale nigdy też nie objawiła się u niego impulsywna natura tamtego, pierwotna przyczyna ich wygnania⁴⁵. Miał również do swej dyspozycji ducha Samuela Tonsure'a, bowiem nauki mnicha wziął sobie wyjątkowo głęboko do serca.

Ponad wszystko Manzikert II udowodnił wszem i wobec, że jest budowniczym – czy

chodzilo o stworzenie trwalego miasta w granicach dawnego Cinsorium, czy o zawieranie sojuszy z pobliskimi plemionami⁴⁶. Gdy pokój okazywal sie niemozliwy – przykladowo z plemieniem zamieszkujacym zachodnie ziemie, znanym jako Dogghe – Manzikert II nie wykazywal najmniejszego nawet sladu wahania w uzyciu sily. Podczas pierwszych dziesieciu lat swego panowania dwukrotnie porzucal wszelkie wysilki zwiazane z odbudowa miasta i walczył z Dogghe, az wreszcie w decydujacych starciu na obrzezach samego Ambergris zdziesiatkowal ich wielka plemienna armie, po czym, przy najlepszym z mozliwych wykorzystaniu sil wodnych, dobil wszystkich, ktorzy pozostali przy zyciu i chcieli sie salwowac ucieczka w czolnach. Sam najwyzszy herszt plemienia Dogghe zmarl w czasie tych zmagani z powodu skrajnej podagry, a po jego smierci plemie nie mialo juz innego wyboru jak tylko dojsc do porozumienia z Ambergris.

Co za tym idzie, w jedenastym roku panowania Manzikert II byl wreszcie w stanie skupic sie tylko i wylacznie na budowaniu drog, promowaniu handlu i – co najwazniejsze – tworzeniu struktur skutecznej administracji, koniecznej do zarzadzania tak olbrzymim terenem. Sam osobiscie nigdy nie podbil zbyt rozleglych obszarow, lecz stworzyl podwaliny systemu, który mial osiagnac swe apogeum w trzy wieki pozniej, za panowania Trilliana Wielkiego Bankiera⁴⁷.

Manzikert II polozyl rowniez fundamenty pod unikalna religijna atmosfere Ambergris, budujac szereg kosciolow skupionych w jednym miejscu, ktore pozniej stane sie Dzielnica Religijna – jak rowniez, co przynosi mu znacznie mniejsza chwale, niezwykle aktywnie pladrujac wiele innych miast. Ogarniety obsesja kolekcjonowania relikwii nieustannie rozsyal na zachod i poludnie swych agentow, by kupowali tam lub tez wykradali czesci swietych cial, az pod koniec swego panowania zgromadzil w miescie olbrzymia kolekcje okolo siedemdziesieciu zmumifikowanych nosow, powiek, stop, rzepek kolanowych, palcow, serc, a nawet watrob⁴⁸. Owe relikwie, umieszczone w roznych kosciolach, przyciagaly do miasta tysiace pielgrzymow (a co za tym idzie, rowniez i ich pieniadze), a niektorzy z przybywajacych do Ambergris pielgrzymow pozostawali w nim juz na zawsze, pomagajac tym samym wskrzesic blyskawiczny wzrost miasta, co sprawilo, ze ledwie dwadziescia lat po zalozeniu Ambergris stalo sie rozkwitajaca metropolia. Co warte szczegolnej uwagi, kompetencje, talent i przenikliwe umiejetnosci dyplomatyczne Manzikerta II przynajmniej w czterech przypadkach, gdy kradzieze relikwii tak bardzo rozwsciezily spladrowane miasta, ze byly one gotowe do najazdu na Ambergris, zazegnaly katastrofe.

Na polu architektury przyczynil sie on do wzniesienia wielu wybitnych budowli, wszystkich z pomoca naczelnego architekta Midana Pejory, ale nic nie zyskalo takiej slawy jak Palac Kappana, który w nienaruszonym stanie przetrwal trzy i pol wieku, az do czasow przejsciowej okupacji Ambergris, kiedy to Wielki Wezyr Kalifa nakazal rozbiorkę wiekszosci budynku⁴⁹. Palac ten, zgodnie z wszelkimi doniesieniami, byl dosyc osobliwym budynkiem. Fasada natchnela wybitnego podroznika Alana

Buskera do zapisania następujących słów: Sciany i kolumny wznoszą się ku górze, aż wreszcie, jak gdyby w ekstazie, zwieńczenia łuków przelamują się w marmurową pianę i rzucają wysoko w błękitne niebo, w błyskach i klebach rzeźbionej mgiełki wodnej, niczym uderzające o brzeg fale przyboju zmrożone na moment przed uderzeniem, inkrustowane diamentami i ametystami przez nimfy wodne.

Jednak samo wewnątrz sprowokowało go już do napisania: "Winnimy stwierdzić, że praca jest przynajmniej czysta w swej bezbarwności i braku smaku, a subtelna w swych wadach; lecz ten zabytek jest godzien uwagi jako przykład odrzucenia jednego stylu krepującego embrion kolejnego, gdzie wszystkie reguły życia splątane są ze sobą czy to w pieluchach, czy w calunie". Popiersie Manzikerta II przypadło mu do gustu w jeszcze mniejszym stopniu: "Wielka, grubianska, koscista twarz klauna z osobliwie kipiącą zmysłową przebiegłością, jaka tak często można spotkać na obliczach najgorszych truffidianskich kapłanów; twarz częściowo odlana z żelaza, częściowo wykonana z gliny. Winie za to rzeźbiarza, a nie jego model".

Manzikert II rządził przez czterdzieści trzy lata i będąc już siwobrodym, w wieku czterdziestu pięciu lat, spłodził ze swą chorowitą żoną Isobel syna. Podczas panowania udało mu się dokonać niemożliwego – zarówno wzmocnił własną pozycję, jak i przygotował miasto do mającego nastąpić w przyszłości rozwoju i wzrostu. O ile jego religijna zarliwość doprowadziła do podjęcia niewłaściwych decyzji, o tyle posiadany przez niego dar dyplomacji ocalił miasto przed ich późniejszymi ewentualnymi konsekwencjami.

Po śmierci Manzikerta II⁵⁰ Manzikert III zgodnie z prawem sukcesji zajął jego miejsce jako władca kraju, rozciągającego się wówczas około sześćdziesiąt kilometrów na południe i osiemdziesiąt na północ⁵¹. Manzikert III cierpiał na łagodną odmianę olifantitusa⁵², która to choroba, jak się wydaje, zaatakowała jego organy wewnętrzne. Zmarł jednak w wyjątkowo dziwnych okolicznościach, po sześciu burzliwych latach tropikalnej choroby powodującej gnicie ciała⁵³, której rzekomo nabawił się podczas wyprawy na południe, przedsięwziętej, by zdobyć powieki i nerki lemura, będące niezbędnymi składnikami do przygotowania egzotycznego dania zapiekanego w ciście. Stanu kappana nie zdiagnozowano w porę, być może powodem był jego olifantitus, a nim lekarzom udało się odkryć naturę jego dolegliwości, było już za późno. Manifestując więc swe wyjątkowe lekceważenie dla miłosierdzia, Manzikert III ostatnim wydanym przed śmiercią rozkazem skazał wszystkich członków Instytutu Medycyny na ugotowanie żywcem w bulionie z wegorza. Wszystko wskazuje, że specjalnie na tę okazję wymyślił zupełnie nowy przepis⁵⁴.

Manzikert III nie należał do dobrych kappanów⁵⁵. W okresie swego panowania angażował się w liczne bezowocne ataki na Menitów i mimo iż nikt nigdy nie wątpił w jego osobistą odwagę, posiadał wszelką niecierpliwość i impulsywność tak charakterystyczną dla swego dziadka, przy równoczesnym braku choćby krztyny

charyzmy czy sprytu tamtego. Był groteskowym gastronomem, urządzającym dekadencje bankiety, nawet gdy w trzecim roku jego panowania mieszkańcom miasta zajrzała w oczy klęska głodu⁵⁶. Właściwie wszystko, co można stwierdzić w jego obronie, to fakt, że pokrył koszty badań, które doprowadziły do udoskonalenia kompasu morskiego i wynalezienia statków o podwojnych sterach (tak użytecznych podczas manewrów w wąskich dopływach). Jednakże najlepiej zapamiętano go z powodu niewłaściwego potraktowania poety Maksymiliana Sharpa, który przybył do Ambergris w roli emisariusza Menitów. Gdy nadeszła pora jego wyjazdu, Manzikert III odmówił mu bezpiecznego powrotu najbardziej dogodną trasą, w rezultacie czego słynny poeta musiał wyruszyć w drogę przez ogarnięte malarialnymi bagnami. Tam właśnie największy ze starożytnych mistrzów słowa złapał febrę, w wyniku której zmarł⁵⁷. Manzikert III, gdy doszła do niego wieść o śmierci Sharpa, rzekomo zazartował sobie: "Przyjmijcie to jako mój wkład w sztukę"⁵⁸. Gdyby tylko jego rządy miały trwać chociażby rok dłużej, władca mógłby wyczerpać do cna zarówno skarbiec, jak i cierpliwość swych poddanych. Jak się jednak szczęśliwie okazało, nie zdołał dokonać żadnych większych trwałych zniszczeń, a wszystkie, jakich dokonał, zostały wyprowadzone na prostą przez jego następcę – syna Manzikerta II z nieprawego łoża, owoc związku kappana z bardzo daleką kuzynką, przystojnego i inteligentnego Michaela Aquelusa, o którym z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że był największym z kappanów rodu Manzikertów⁵⁹. Gdyby nie twarde reka Aquelusa, Ambergris, i to zarówno jako Kappanstwo, jak i jako miasto, zapewne rozpadłoby się w pył na przestrzeni jednego zaledwie pokolenia.

Znaleźliśmy się w ten oto sposób na progu wydarzenia znanego jako Cisza. Minęło już niemal siedemdziesiąt lat od słynnej masakry szarych kapeluszy i zniszczenia starożytnego miasta Cinsorium, na którego ruinach rozpoczęła się era prosperity Kappanstwa Ambergris. Od dnia owej masakry nikt nigdy nie widział na oczy szarego kapelusza. Pierwotna populacja miejska, która mogła się wzdrygać w oczekiwaniu jakiegoś straszliwego odwetu za dokonane na tak wielką skalę ludobójstwo, została wyparta przez ludzi, którzy nigdy w życiu nie ujrzeli szarych kapeluszy, a wielu z nich okazało się członkami innych aamskich klanów z południa, gotowych do stałego osiedlenia się na lądzie. Już Manzikert II podczas swego nadzwyczajnie długiego panowania dopilnował bolesnego przejścia cywilizacyjnego na stałe osadnictwo, co szybko zrodziło zamożną klasę średnią kupców, sklepikarzy i bankierów, uzupełniająca rolników, którzy osiedlili się zarówno w samym Ambergris jak i w leżących nieopodal pomniejszych miasteczkach⁶⁰. Rozkwitła również handel rzeczny, a samo miasto bogaci się w wyjątkowo krótkim czasie. Obowiązkowa dwuletnia służba wojskowa okazuje się wielkim sukcesem – armia jest silna, lecz nastawiona raczej na działania o charakterze miejskim, jako że zagrażający miastu zewnątrzni wrogowie wydają się nieliczni i pozbawieni większego znaczenia. Wprowadza się jednostkę wymiany barterowej w oparciu o standard złota; monety te stają się podstawową formą waluty, za którą szybko podąża południowy aamski sel, stopniowo jednak wyparty w późniejszych latach. Wszyscy ambergrianscy władcy –

w tym i Manzikert III – dzięki rozparcelowaniu większości ziem w ręce drobnych rolników skutecznie udaremnił ataki klas wyższych (w większości potomków poruczników z okretów Manzikerta I), aspirujących do stworzenia rządzącej arystokracji. A co za tym idzie, nie pojawiły się żadne poważniejsze wewnętrzne zagrożenia dla sukcesji. Wreszcie, co ważne, jest to również szczytowy okres natchnionych budowli i wynalazków, nazwany później Wiekiem Aquelusa.

Wszędzie wokół przyjmują się nowe pomysły. Odnowiona flota wielorybiczna skupia swe wysiłki na gigantycznej słodkowodnej kalamarnicy, zresztą, jak się okazuje – z wyjątkowo dobrym rezultatem. Aquelus z produktów przetwarzania kalamarnic czyni nie tylko przemysł narodowy, ale i element narodowej tożsamości, mimowolnie wprowadzając do kalendarza Festiwal Słodkowodnych Kalamarnic, wydarzenie mające charakter jak najbardziej pokojowy przez całe panowanie rodu Manzikertów⁶¹. Ponownie uruchomiono stary akwedukt, a w dolinie tuż za miastem pojawia się i rozkwita rozległe osadnictwo w postaci miasteczka rzemieślników. Każdego dnia powstaje nowy dom lub przynajmniej nadaje się nazwę jakiejś nowej ulicy, a w czasach Aquelusa populacja miasta liczy już przeszło trzydzieści tysięcy stałych mieszkańców – w przybliżeniu trzynastu tysięcy mężczyzn i siedemnaście tysięcy kobiet i dzieci⁶².

Mimo to jednak, gdy Aquelus wkracza w szósty rok swego panowania, daje się wyczuć, że coś jest w tym mieście przerazająco nie tak, chociaż nikt nie potrafi sprecyzować źródła takiego przekonania, a ledwie nieliczni być może coś niecoś podejrzewają. Po pierwsze, owym złowieszczy sposobem, w jaki szare kapelusze wkroczyły do zbiorowej świadomości miasta: rodzice przed snem opowiadają swym dzieciom historie o dawnych mieszkańcach Cinsorium, o tym, jak to szary kapelusze wyjdzie cichutko spod ziemi, opierając się na swych wilgotnych białych dłoniach i stopach, by wczłapać się przez otwarte okno i porwać cię, jeśli natychmiast nie pojdiesz spać.

Również wyrażenie "grzybienie" coraz powszechniej zaczyna zastępować określenie "szare kapelusze", i to z raczej tak niepokojącego powodu, że jedyna poważna porażka zarówno rządu państwa, jak i jego szeregowych obywateli, stała się wojna wypowiedziana pładze wszelkiego rodzaju grzybow, które poczęły porastać coraz to większe obszary Ambergris – kaskady ciemnych i jasnych grzybków, radośnie przyozdobionych czerwienią lub zielenią bądź też tkwiących posepnie w osłonie szarości czy brązu, czasem tak gęsto jak trawa. Skargi napływające ze strony ludności zaczynają się mnożyć, ponieważ niektóre z gatunków wydzielają śliska truciznę, która w zetknięciu z nogami, stopami, ramionami czy dłońmi sprawia ofierze niewypowiedziany ból, na dodatek pokrywając jej ciało oszpecającymi, utrzymującymi się niemal przez tydzień, fioletowymi plamami. Co bardziej alarmujące, na samym środku niektórych ulic pojawia się nowy rodzaj grzyba – o trzonku grubym niczym pień dębu, wysokości około stu dwudziestu, stu pięćdziesięciu centymetrów – wyszarpujący się na wolność pomiędzy kamieniami bruku. Te

zabarwione na niebieskawo "biale wieloryby"⁶³, jak nazwał je pewien kawalarz, musieli scinać pracownicy straży pożarnej lub oddziałów policji, wywołując tym samym wielogodzinne utrudnienia i trwoniąc cenny czas pracy. Wokół tych grzybow unosił się również tak przenikliwy odor zgnilych jaj, że niejednokrotnie należało ewakuować całe ulice, czasem nawet na kilka dni.

Z pewnością w miarę zbliżania się Ciszego obszary doświadczane w ten sposób stawały się coraz liczniejsze, jakby to sam grzyb formował rozległą, nieswiadomą awangardę... Pytanie tylko – w jakim celu? Przynajmniej jeden z ówczesnych wybitnych i prominentnych obywateli, wynalazca Stephen Bacillus⁶⁴ – praprapradziadek wpływowego statystyka Gorta – wydawał się świadom potencjalnego niebezpieczeństwa. Rozpoznał je i przedstawił na posiedzeniu Rady Miasta, organu powołanego, by zajmować się problemami związanymi z bezpieczeństwem w skali miejskiej, a uczynił to takimi słowami: Powinien zaalarmować nas już sam fakt, że nie jesteśmy w stanie zapobiec ich rozprzestrzenianiu się, jak i to, że wszelkie wymyślone przez nas trucizny wręcz stymulują ich lepszy i szybszy wzrost. Wskazuje to bowiem na istnienie innej, znacznie nas przewyższającej siły, zdeterminowanej, by wymazać nasze istnienie z powierzchni ziemi. Szersze przyjrzenie się sprawie, dokonane również przez wielu spośród zgromadzonych tu dziś na tej sali, wykazało, że niektóre rodzaje tych grzybow, po wyrwaniu z korzeniami i złożeniu na wcześniej wyznaczonych stosach przeznaczonych do spalania, w wielce tajemniczych okolicznościach odnajdywały drogę powrotną do miejsc, z których zostały usunięte – już sam ten fakt powinien zmusić nas do działania... I wreszcie, nie muszę chyba przypominać wszystkim tu zgromadzonym, być może z wyjątkiem tych spośród was, których cechuje wyjątkowo krótka pamięć, że niektóre z tych grzybow są purpurowe. Jeszcze kilka lat temu grzybow o tej barwie nie uswiadczyło się nigdzie na terenie całego miasta. I ten właśnie fakt wydaje mi się najbardziej złowrogi ze wszystkich...

Jak się jednak niefortunnie złożyło, Rada Miasta oddaliła jego oświadczenie jako oparte na plotkach rozpuszczanych przez staruszki, a następnie obwieszcila uchwałę zabraniającą mu wystąpień publicznych na wszelkie tematy związane z "grzybami, porostami, mchami i wszelkimi innymi pokrewnymi im roślinami, by nie wzniesiac w ten sposób, nieswiadomie i zupełnie niepotrzebnie, ognisk zbiorowej paniki w populacji miejskiej"⁶⁵. Koniec końców Rada była przecież organem odpowiedzialnym za miejskie bezpieczeństwo.

Ale czy Bacillus miał jakiegokolwiek powody, by biec na alarm? Być może i tak. Według policyjnych raportów trzy lata przed Ciszą miasto doświadczyło siedemdziesięciu sześciu niewyjasnionych, czy też nierozwikłanych włamań, co w porównaniu z rokiem wcześniejszym stanowiło znaczny skok z zaledwie trzydziestu. Dwa lata przed Ciszą liczba ta wzrosła już do dziewięćdziesięciu dziewięciu, by w roku bezpośrednio poprzedzającym skoczyć do niemal stu pięćdziesięciu niewyjasnionych włamań w granicach miasta. Bez wątpienia niektóre z nich można było złożyć na karb

strumienia nieustannie napływającej do miasta ludności, wśród której znajdowała się spora grupa niemogących się przystosować do miejskiego życia imigrantów awanturników, lecz bez wątplenia brak przesadnego zaniepokojenia przedstawiciele władzy faktem niewyjasnionych włamań znaczący ni mniej, ni więcej, tylko że i oni doszli do podobnych wniosków. Ofiary jednak w zadziwiająco wysokiej liczbie przypadków stwierdzały, że jeśli w ogóle kogoś widziały na miejscu zdarzenia, to intruz ów był "raczej niewielkiego wzrostu", zwykle ukrywał się w cieniu i niemal w każdym wypadku miał na głowie "wielki filcowy kapelusz". Ci tajemniczy włamywacze przeważnie rozplywali się w powietrzu razem ze sztuccami, biżuterią czy jedzeniem⁶⁶.

W rzeczywistości jednak takie wszedobylskie rozpowszechnienie się legend miejskich, dotyczących grzybian, było wielce niefortunne, gdyż zdeprecjonowanie ich do opowieści dla niegrzecznych dzieci sprawiło, że nikt nie traktował ich poważnie. Policja odbierała podobne doniesienia jako objawy histerii, a nawet jako kłamstwa opowiadane z kamienną twarzą, a całą sytuację komplikowali jeszcze dodatkowo kryminaliści, którzy podczas włamań przebierali się w "stroj" szarych kapeluszy⁶⁷.

Co gorsza, skuteczny i sprawny rząd oraz sieć powiązań stworzona dzięki pokojowym traktatom Manzikerta II i Aqelusa okazały się trwać na wyjątkowo chybliwych posadach.

Tuż przed Ciszą panowało powszechne przekonanie, że Ambergris nie tylko jest bezpieczniejsze, ale i bogatsze niż kiedykolwiek wcześniej. I rzeczywiście, Aqelus dopiero co zawarł kolejny, jeszcze ściślejszy sojusz z Menitami⁶⁸, jak również wykonał pierwszy krok ku kontynuacji swej linii rodowej, poślubiając Irene⁶⁹, córkę wiekowego już menickiego króla, która – przynajmniej według doniesień – była nie tylko piękna, lecz również inteligentna, można więc było oczekiwać, że para ta będzie wspólnie rządzić, podobnie jak swego czasu czynili to na swój sposób Sophia i Manzikert I⁷⁰.

Jeszcze w tym samym roku Aqelus zabezpieczył swe zachodnie granice przed możliwym atakiem ze strony Kalifa⁷¹, podpisując traktat, na mocy którego ambergriańskim kupcom nadawano przywileje (szczególnie wspomnieć należy tu klauzule dotyczące podatków eksportowych) w zamian za obietnice wasalstwa Ambergris względem Kalifa⁷².

Ogrom przebiegłości Aqelusa najlepiej ilustruje udzielona przez niego odpowiedź na prośbę Kalifa, w której w zamian za kolejne ustępstwa handlowe tamten prosił go o pomoc w stłumieniu rebelii na południu, na czele której stanął Stretcher Jones. Kalif, wielce podstępny i przebiegły władca, dodał również, że dwaj przyrodni bracia Aqelusa, pierwsi w kolejce do kappanskiego tronu, otrzymali zaszczyt nauki na jego dworze pod kuratelą najbardziej uzdolnionych nauczycieli "spośród wszystkich

najlepiej wykształconych ludzi na całym cywilizowanym świecie". Aquelus, który zachował w czasie wspomnianego wyżej konfliktu neutralność, odpisał, że brueghelicka armada w sile stu żagli już zagroziła Ambergris – flota w rzeczywistości znajdowała się mniej więcej trzysta kilometrów od miasta, gdzie ze spokojem plądrowała położone na południu wyspy – i że nie może sobie pozwolić na poświęcenie chociażby jednego okrętu, by atakować przyjaznie nastawione truffidianskie mocarstwo na zachodzie; tak czy inaczej z wdzięcznością przyjmuje tak hojnie i szczerze oferowane mu przez Kalifa przywileje. Jeśli jednak chodziło o zaproszenie dla swych przyrodnych braci, przekazał "szczerze i bezgraniczne podziękowania", lecz młodzieńcy nigdy nie wyruszyli na dwór Kalifa. Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że gdyby tak zrobili, Kalif zatrzymałby ich u siebie jako zakładników⁷³.

Mimo iż Aquelus mógł nie kryć zadowolenia ze zreczynnych uników przed potencjalnymi zagrożeniami, w miarę nieublaganie zbliżającego się terminu wyprawy na połow słodkowodnych kalamarnic zdarzyły się dwie niebezpieczne sytuacje, wymagające natychmiastowych rozwiązań. Po pierwsze, pojawił się wyraźnie zauważalny niedobór w wiosennych plodach rolnych, który w połączeniu z nieustannym napływem nowych osadników (Aquelus nie zamierzał w najmniejszym nawet stopniu go ograniczać) przekładał się na ryzyko klęski głodu. Po drugie, Haragck, wojowniczy klan nomadów, dosiadający do boju wytrzymałych gorskich kuców, jał nekac ciągłymi najazdami zachodnie granice państwa⁷⁴. Aquelus nie posiadał kawalerii, za to Haragck nie posiadali floty, a jeśli doszłoby do starcia zbrojnego, Aquelus musiał mieć stuprocentową pewność – teraz, gdy jego sojusznikiem było Morrow, mające pełną kontrolę nad północną częścią rzeki Moth – że byłby w stanie powstrzymać barbarzyńców przed przekroczeniem rzeki w znacznej sile.

Gdyby Haragck byli jedynymi nieprzyjaciółmi Aquelusa, ten wciąż miałby powody, by dziękować szczęśliwemu losowi. Lecz dokładnie ten sam moment wybrał sobie na przypomnienie o swym istnieniu inny, przyczajony na południu, oponent Ambergris – aanscy potomkowie Brueghela, tego samego, który swego czasu pogonił Manzikerta I w górę rzeki. Brueghelici, rozdrażnieni aanskim exodusem do bogatych przedmieść miasta, rozpoczęli nekane południowych granic Ambergris. Mieli, co zrozumiałe, pretensje z powodu straty tak znaczącej liczby potencjalnej siły roboczej, ale wtedy spadły na nich Szare Plemiona, zajmujące tereny jeszcze bardziej wysunięte na południe. Tym, co okazało się najbardziej szkodliwe w świetle nadciągającej nad Ambergris klęski głodu, był fakt, że Brueghelici zamiast zwykłych działań wojennych, które przynajmniej można było w miarę szybko rozstrzygnąć, rozpoczęli wojnę handlową. Siegnęli po szereg broni, w tym między innymi opłaty tranzytowe na ambergriskie towary, wysokie cło na produkcję zmierzająca ku leżącym na południu wyspom oraz domy celne (zabezpieczane wielkimi, dobrze uzbrojonymi garnizonami), porozstawiane na brzegach Moth⁷⁵.

Aquelus zdolalby zapewne w koncu wymyslic jakis sposob na podburzenie Haragck przeciwko Brueghelitom, eliminujac obie sily jako zagrozenia dla Ambergris76, ale zblizal sie sezon polowu slodkowodnych kalamarnic. Wladca nie mogl wiedziec, czy jego przekupstwa i polityczne manewry przyniosla jakis efekt. A co za tym idzie, wydal brzemienny w skutkach dekret, na mocy ktorego trzy razy wiecej statkow niz zwykle mialo wyruszyć z portu, by wziac udzial w polowie. Jego celem bylo zrownowazenie miesem i polproduktami kalamarnic niedoborow w zbiorach rolnych i zapewnienie koniecznej ilosci dodatkowej zywnosci, majacej umozliwic przetrzymanie ewentualnego oblezenia miasta, zarowno ze strony Brueghelitow, jak i Haragck77. Gdyby jednak nie doszlo do wspomnianego oblezenia, zapasy mialy posluzyc zaspokojeniu potrzeb naplywajacych nieprzerwanie imigrantow. Jak sie rowniez przypadkowo skladalo, manewry zwiazane z polowem kalamarnic wymagaly o wiele wiekszej sprawnosci i lepszych umiejetnosci niz te potrzebne podczas prawdziwych dzialan wojennych, tak wiec Aquelus zamierzal rownoczesnie przy okazji zahartowac swa flote.

W wyznaczonym wczesniej dniu sam wladca stanal na czele niemal pieciu tysiecy mezczyzn i kobiet, majacych wyplynac na rzeke flota w sile stu zagli78. Mieli wyruszyć na dwa tygodnie, co w mniemaniu Aquelusa bylo najdluzszym mozliwym do przyjecia okresem, przez ktory przebywanie poza miastem wydawalo sie jeszcze bezpieczne. Jego swiezo poslubiona zona zostala w domu. Zadne dwa inne zrzadzenia losu – wybor dokonany przez Irene, by nie wyruszyć wraz z mezem, jak i ogrom floty wyplywajacej ku poludniowym terenom polowu – nie mialy bardziej wazkiego wplywu na Ambergris w jego wczesnej historii.



KAZDY HISTORYK ZE SKRAJNA WREZ OSTROZNOSCIA MUSI podchodzic do rozwazan dotyczacych Ciszy, bowiem ogrom i potwornosc tego wydarzenia domagaja sie od nas najwyzszego szacunku. Ale kiedy wspomniany wczesniej historyk, czyli w tym wypadku piszacy te slowa, zmuszony jest wyjasnic zagadnienie Ciszy w ramach nedznej serii broszur, musi wykazac sie przy tym zadaniu powaga i podniosloscia w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do blahego charakteru otaczajacych go informacji. Jak dla mnie, wrecz nie do przyjecia jest fakt, ze ty, Czytelniku, moglbys przeskoczyc – bardzo nieprzyjemnie plytkie slowo – z kart niniejszej broszurki na strony innej, lezacej tuz obok, ktora rownie dobrze moze dotyczyc najlepszych maskowych festiwali badz tego, gdzie tez najlepiej streycz prostytutke. A moglbys to zrobic, nim jeszcze pojdziesz straszliwe nastepstwa tego pisanego z wielkiej litery wydarzenia. Nie wymaga to jednak zadnego melodramatycznego wysilku z mojej strony, gdz powinny tu wystarczyc same suche fakty: powracajacy do miasta Aquelus zastal je ziejace pustka. Na zadnym bulwarze, w zadnej bocznej uliczce, alei, ani w zadnym domu, na zadnym dziedzincu czy w budynku uzytecznosci publicznej nie dalo sie dostrzec zywej duszy.

Statki Aquelusa wplynely do portu, gdzie jedynym witajacym je dzwiekiem byl odglos fal uderzajacych o drewno przystani. Powracajacy przybyli wczesnym rankiem, gnajac w kierunku domu wrecz na zlamanie karku, by zdazyc przed narzuconym sobie przez Aquelusa nieprzekraczalnym dwutygodniowym terminem powrotu. Kappan zastal miasto oswietlone slabym blaskiem poranka i otulone klebami nadciagajacej znad rzeki mgly. Niewatpliwie byl to eteryczny widok. Widok ten byl rownoczesnie najprawdopodobniej przerazajacy.

Poczatkowo nikt nawet nie zauwazyl srogosci panujacej wokol ciszy, ale gdy statki zarzucaly kotwice, a ich zalogi schodzily na brzeg, wielu uznalo za osobliwy fakt, ze nikt nie wyszedl im na spotkanie, ze nikt ich nie wital. Wkrotce zauwazono rowniez, ze rzeczne budowle obronne staly pozbawione zalog, a wszystkie zacumowane przy nabrzezu lodzie, kiedy juz wylonily sie z oparow mgly, okazaly sie dryfowac, zupelnie niekontrolowane przez ludzi.

Kiedy Aquelus dostrzegl te nieprawidlowosci, zaczal obawiac sie najgorszego – inwazji Brueghelitow, do jakiej moglo dojsc podczas jego nieobecnosci – rozkazal wiec natychmiastowy powrot na poklady statkow. Wszystkie pozostale okrety, procz tego, ktorym sam podrozowal, wplynely na srodek rzeki, gdzie przyczaily sie w pelnej gotowosci bojowej, z ladowniami pelnymi kalamarnic.

Nastepnie, pelen trwogi, nekany pragnieniem odnalezienia swej swiezo poslubionej malzonki, osobiscie poprowadzil do miasta wyprawe skladajaca sie z piecdziesieciu ludzi⁷⁹. Jego obawy dotyczace inwazji zdawaly sie zupelnie bezpodstawne, gdz wszedzie, gdzie tylko sie ruszyl, nie dostrzegl nawet najmniejszego sladu ani wrogow, ani przyjaciol.

W rzeczywistości możemy mówić o wielkim szczęściu, gdyż w szeregach tej ekspedycji znalazł się niejaki Simon Jersak, szeregowy żołnierz, który pewnego dnia miał zostać naczelnym poborca podatkowym zachodnich prowincji. Jersak pozostawił nam wyczerpujący opis tamtej wyprawy do wnętrza miasta, pozwól więc sobie hojnie zacytować tu fragment z tego właśnie źródła: Gdy mgła okrywająca prawdziwy rozmiar panującej wokół pustki rozproszyła się, a każda ulica, budynek i narozny sklep okazały się trwać porzucone, sam Kappan zadrzał i jeszcze szczerzej otulił się płaszczem. Rozesłaliśmy ludzi do różnych, losowo wybranych miejsc rozrzuconych po całym Ambergris – jak się okazało, tylko po to, by wrócili z wiadomością, że wszędzie wokół znajdują się jedynie kolejne miejsca całkowicie oddane w posiadanie pustki. Miejsca, gdzie gotowe do spożycia posiłki czekają na stolach, gdzie zaprzężone w konie wozy stoją spokojnie po obu stronach alei, które normalnie, nawet o tak wczesnej porze, kipiały zgiełkiem, gwarem i wrzawą. Lecz nigdzie nie dostrzegliśmy najmniejszego nawet śladu żywej duszy. Wszystkie banki były otwarte i opustoszałe, w Dzielnicy Religijnej wciąż słabo łopotąły na wietrze wywieszane tam flagi, a gigantyczne szczury wleczyły się po dziedzińcach miasta. Nigdzie jednak nie byliśmy w stanie wypatrzeć najmniejszego choćby śladu żywej duszy. Nawet wszelki grzyb, będący naszym dopustem bożym, zupełnie rozplynął się w powietrzu. Bez zwłoki przeszukaliśmy publiczne łazienki, spichlerze, portyki, szkoły – nie odnajdując tam nikogo. Gdy dotarliśmy do Palacu Kappana, ten również świecił pustkami – nie zastaliśmy tam ani kappanessy, ani choćby najmniejszego śladu po kims z swity dworskiej. Kappan otwarcie zapłakał wtedy na oczach swych towarzyszy, lecz mimo wszystko wylewane przez niego łzy spływały po twarzy znieruchomiałej w wyrazie oznaczającym tylko jedno – wojnę. Nie był jedynym mężczyzną, któremu nie pozostało nic poza łzami, gdyż wkrótce stało się jasne, że pozniwały również nasze żony i dzieci, całe rodziny, pozostawiając po sobie multum śladów dowodzących ich istnienia, przynajmniej mieliśmy więc pewność, że nie wysniliśmy sobie naszego przeszłego życia, że tamci żyli naprawdę, a tylko nie było ich już w tym mieście... Tak więc zrozpaczony, ograbiony z wszelkiej siły, by móc zrobić cokolwiek, jakos wystąpić przeciwko wrogowi, którego tożsamość wciąż nie była mu znana, Kappan usiadł na stopniach palacu, skąd przenikliwym wzrokiem wpatrywał się w otaczające go miasto... Wreszcie jeden z rozesłanych wcześniej ludzi wrócił z wiadomością dotyczącą pewnych znalezisk na dawnym ołtarzu szarych kapeluszy. Słyszac taką wiadomość, Kappan poprawił swój płaszcz, starł łzy z twarzy, by następnie dobyć miecza i pośpieszyć we wskazanym kierunku. Kiedy tak podążaliśmy za nim ulicami miasta, niegdys tak tętniącego życiem, a teraz opustoszałego niczym grobowiec, nie było w naszych szeregach nikogo, kto w głębi duszy nie obawiałby się tego, co rychło mieliśmy odkryć na prastarym ołtarzu...

I co takiego odnaleźli na ołtarzu? Stary, wyblakły dziennik i dwie ludzkie galki oczne, zachowane na drodze nieznanego nam obecnie procesu w bryle szescianu z bliżej nieokreślonego przezroczyściego metalu. Pomiedzy dziennikiem a szescianami z galkami ocznymi ktoś wyrysował krwią następujący symbol⁸⁰:

Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że owo legendarne zejście, swego czasu zaslepione i zabite deskami, stało teraz otworem, i dokładnie te same schody, które kiedyś skusiły Manzikerta I, wzywały teraz Aquelusa.

Dziennik, co oczywiste, był tym, który szesćdziesiąt lat temu zniknął wraz z Samuelem Tonsure'em. Oczywiście, nieznosnie intensywnie niebieskie, mogły należeć tylko i wyłącznie do jednej osoby – Manzikerta I. Pochodzenia krwi nikt nawet nie starał się odgadnąć, lecz Aquelus, stojący wreszcie w obliczu wroga – ktoż bowiem mogłoby teraz wątpić w powrót szarych kapeluszy i ich związek ze zniknięciem obywateli miasta?81 – zadziałał zdecydowanie.

Zlekceważył decyzje swych wojskowych dowódców, domagających się ataku na podziemia siłami zbrojnymi i – w obliczu niemal druzgoczącego sprzeciwu – zarządził ich całkowity odwrót na pokłady statków, gdzie mieli dopilnować i przyspieszyć rozładunek kalamarnic, by wraz z zajmowaniem pozycji obronnych na terenie miasta można było rozpocząć przetwarzanie ich mięsa, które w przeciwnym razie zgniłoby w ładowniach. Aquelus zdawał sobie sprawę, że Haragck, gdy tylko dowiedza się o rozwoju wypadków w mieście, mogą zaatakować, a tuż za nimi mogły pojawić się również siły Brueghelickie. Co gorsza, jeśli Kappanessa nie zostanie odnaleziona, polityczne konsekwencje, niezależnie od siły uczucia, jakie Kappan żywił do swej żony, byłyby z pewnością katastrofalne. Czy bowiem król Menitów nie winiłby Aquelusa za śmierć córki?

Kiedy już przywódcy opuścili Aquelusa i ruszyli, by wykonać jego rozkazy, ten przekazał całą swą władzę w ręce ministra finansów, niejakiego Thomasa Nadala82, po czym ogłosił, że zamierza samotnie zejść do podziemi83. Decyzja Kappana przerażała jego ministrów84. Zwążywszy ich osobiste przywiązanie do władcy, obawiali się teraz – po wszystkim, co do tej pory im odebrano – również możliwości utraty swego kochanego Kappana. Wielu, w tym również i Nadal, dodatkowo obawiało się ataku ze strony Brueghelitów i Haragck, lecz Aquelus odparł ich obawy, argumentując – zgodnie zresztą z prawdą – że wojskowi dowódcy z łatwością mogli poprowadzić każdą konieczną operację związaną z obroną miasta, gdyż plany na taką okoliczność sporządzono już przed wieloma miesiącami. Gdy jednak Nadal zapytał go wówczas: "Tak, to prawda, ale kto, jeśli nie Ty, będzie w stanie nas poprowadzić, stanąć na czele działań mających na celu odbudowę morale tak potężnie zdruzgotanego miasta?", Aquelus zupełnie zignorował te kwestie. Było bowiem oczywiste, że tylko on lub jego zaginiona małżonka mogą poprowadzić Ambergris ku odbudowie, rozwojowi i przywróceniu mu statusu żywej metropolii. Nie przeszkodziło mu to jednak w wyruszeniu w kierunku podziemi, zniknięciu w czeluści i pozostaniu w jej otchłani przez kolejne trzy dni85.

Tymczasem, gdyby nie powrót Irene zaledwie w dwanaście godzin po zejściu Aquelusa do królestwa grzybian, pozostali na powierzchni przywódcy wojskowi mogli równie dobrze jeszcze pierwszej nocy dokonać zamachu stanu. Jakims osobliwym

zrzadzeniem losu, zarazem okrutnym i laskawym, wyjechała ona z miasta na dwudniowa wyprawę łowiecką po okolicznych terenach⁸⁶.

W obliczu podwójnego horroru – zarówno samej Ciszy, jak i podziemnej wyprawy meza – kappanessa nie zawahała się ani przez chwilę i podjęła natychmiastowe, zdecydowane działania. Zbuntowani przywódcy – Seymour, Nialson i Rayne – zostali wtraceni do lochow. Równocześnie wysłała szybka łódź w kierunku Morrow z wiadomością dla swego ojca, w której prosiła go o niezwłoczne wojskowe wsparcie⁸⁷. Prawdopodobnie sądziła, że pomoże to położyć kres jej bieżącym problemom, ale zdecydowanie nie doceniła nastrojów panujących wśród tych, którzy powrócili do miasta. Żołnierze, strzegący przywódców buntu, uwolnili swych więźniów⁸⁸, a ci poprowadzili pijany tłum, składający się głównie z kadetów marynarki, przed frontowe stopnie palacu.

Znajdujący się wewnątrz ministrowie kappana poddali się panice – palili dokumenty, wypruwali złote nitki z fresków oraz przygotowywali się do porzucenia miasta pod osłoną nocy. Gdy ruszyli do kappanessy z wiadomościami o powstaniu i ostrzeżeniem, że również i ona jest w niebezpieczeństwie, ta odmówiła ucieczki i – jak opisuje nam to sam Nadal – odpowiedziała im tymi słowami: Każdy człowiek narodzony do życia w świetle dnia musi wcześniej czy później umrzeć; jakże więc mogłabym pozwolić sobie na luksus takiego tchórzostwa, skoro mój mąż wziął na swe barki ciężar naszych grzechów i samotnie zszedł do podziemi? Obym nigdy ochoczo nie porzuciła kolorów Ambergris ani nie dożyła dnia, w którym nikt nie będzie się do mnie zwracał moim tytułem. Jeżeli wy, moi szlachetni ministrowie, życzyście sobie ocalić własną skórę, nic nie stanie wam na przeszkodzie, by tak uczynić. Spłodowaliście już wszelkie bogactwa tego palacu, a z odrobina szczęścia u boku zdolacie dotrzeć na nabrzeże, gdzie już czekają na was zacumowane łodzie. Rozważcie jednak wcześniej, czy przypadkiem, kiedy już dotrzecie w bezpieczne miejsce, nie będziecie wtedy żałować, że jednak nie wybraliście śmierci. A tych, którzy przy mnie pozostaną, chce tylko prosić o jedno – zapanujcie nad własnym strachem, gdyż jeśli tylko mamy przetrwać tę noc, odwaga nie może opuścić naszych twarzy.

Nadal i jego współpracownicy, zawstyżeni tymi słowami, nie mieli innego wyboru, jak tylko podążyć za nią ku frontowym schodom palacu. To, co dalej nastąpiło, należy uznać za koronne osiągnięcie wczesnego ambergrianskiego nacjonalizmu – owa chwila do dziś "wywołuje dreszcze" u najmniej nawet patriotycznie nastawionych mieszkańców miasta. Ta cora Menitow, kappanessa pozbawiona swego kappana, wygłosiła tam bowiem słynne przemówienie, w którym wezwała tłum do złożenia broni "w służbie większemu dobru, ku większej chwale miasta, tak unikalnego w całej historii znanego nam świata. O ile bowiem zdolamy obecnie rozstrzygnąć spor, który nas dzieli, już nigdy więcej nie będziemy musieli się niczego obawiać. Nigdy więcej"⁸⁹. Następnie ze szczegółami i absolutnie zimną krwią opisała, kogo dokładnie buntownicy będą musieli zgładzić, by zyskać władzę, i roztoczyła przed nimi pełen wachlarz reperkusji, jakie spadną na tak dotkliwie podzielone Ambergris,

czyli natychmiastowe unicestwienie z rak Brueghelitów⁹⁰. Dodatkowo obiecała wzmocnienie pozycji wybranego w powszechnym głosowaniu burmistrza⁹¹ oraz zapewniła, że nie będzie dążyła do działań odwetowych na całym tłumie, a jedynie na jego przywódcach.

Tak wielka była charyzma i pasja, z jaką dokonała tej magnetyzującej przemowy, że tłum odwrócił się od swych przywódców i sprowadził ich skutych lancuchami przed jej oblicze. Był to najpoważniejszy kryzys wewnętrzny w krótkiej historii Kappanstwa, zazegnano przez Irene – core innego państwa, w którym kultywowano heretycką (względem truffidianizmu) religię. Lud miał jeszcze długo o niej pamiętać.

Ale kappanessa i jej ludzie nie mieli nawet chwili, by zaczerpnąć oddechu, bowiem już następnego dnia po zniknięciu Aquelusa siedmiotysięczna armia Haragck przekroczyła nurt Moth i zaatakowała miasto⁹². Siły kappanessy, mimo iż wzięte zaskoczenia, zdołały jakoś powstrzymać atakujące je wojsko Haragck i utrzymać je na obszarze doków, prócz dwutysięcznego oddziału, któremu Irene pozwoliła przedrzeć się na teren miasta, słusznie rozumując, że rozerwanie atakującego je wojska na dwie części da jej własnej armii w labiryncie miejskich ulic znaczącą przewagę⁹³.

Oskrzydlona za plecami przez ambergriańską flotę, której z niezrozumiałych przyczyn nie starała się przejść przed ustaleniem swego ładowego czoła ataku, resztką sił Haragck miotana się w matni, gdyż pozbawieni swych kuców, zmuszeni zostali z jednej strony do bezpośredniej walki na brzegu, gdy z drugiej w tym samym czasie znaleźli się w zasięgu wypuszczanych przez marynarzy strzał i płonących wiązek chrustu. Gdyby tylko wojskom Haragck udało się podpalić okręty, wtedy najprawdopodobniej zdołaliby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, co pozwoliłoby im wygrać własnie toczoną bitwę; miast tego starali się jednak je zdobyć (słusznie rozumując, że bez marynarki nigdy nie zdołają podbić całego regionu). Broniacym (i tak z wielkim trudem) udało się utrzymać swe pozycje przez noc. Lecz o świcie trzeciego dnia nadciągnęła awangarda kawalerii z Morrow, która przechyliła szalę zwycięstwa na stronę obrońców, którzy, zmęczeni i przygnębieni stratami, wkrótce bez wątpliwości ulegliby naporowi sił Haragck.

Nim zapadł zmierzch, ocalali Haragck usiłowali bądź pokonać nurt rzeki Moth, używając w tym celu swych napompowanych skorowierzycy, bądź zbiec na północ lub południe. Ci, którzy popłynęli, zostali co do jednego wybici przez ambergriańską marynarkę (napompowane skory zwierzece nie były ani szczególnie odporne na ogień, ani nie dało się nimi dobrze manewrować⁹⁴). Ci, którzy zbiegli na południe, skonczyli jako niewolnicy w rękach arcyksięcia Malidu⁹⁵ (który z kolei sam rychło został niewolnikiem nadciągających Brueghelitów). Natomiast ci, którzy zbiegli na północ, zdołali uniknąć maszerującej na południe menickiej armii, lecz wpadli za to prosto w ręce dzikich i straszliwych Skamoo, uzbrojonych w lodowe włocznie⁹⁶.

Tej nocy wrocil wreszcie z podziemnych czelusci Aquelus, czolgajac sie na dloniach i kolanach, o wlosach w kolorze nieskazitelnej bieli i pustych oczodolach⁹⁷; wyrwane mu oczy nigdy, nawet posmiertnie, nie mialy do niego wrocic⁹⁸. Oslabiony glodem, dreczony delirium, wkrótce mial jednak dojsc do siebie pod osobista kuratela swej zony, bedacej rowniez znakomitym i cenionym chirurgiem. Podobnie jak Manzikert I, nigdy nie chcial rozmawiac o tym, co spotkalo go w podziemiach. Lecz w przeciwienstwie do Manzikerta I, mial ponownie zasiasc na tronie i rzadzic. W ciagu trzech dni jego nieobecności doszlo jednak do radykalnego przesuniecie dynamiki władzy. Kappanessa udowodnila, ze umie rzadzic, demonstrujac rownoczesnie nadzwyczajna wytrzymalosc psychiczna w obliczu katastrofy. Rowniez pomoc udzielona im przez menickiego krola stala sie zobowiazujacym dlugiem.

Co wiecej, nie tylko Aquelus utracil swoj wzrok, lecz wielu sposrod jego ministrow doszlo do wniosku, ze jego podziemna eskapada byla aktem lekkomyślności, zakrawajacym wrecz na tchorzostwo. I juz nigdy wiecej nie bylo mu dane samodzielnie sprawowac władzy; od tej pory to jego zona z poparciem wlasnego ojca podejmowala decyzje w sprawach obronności i dyplomacji zagranicznej. Aquelus zas w coraz wieszszym stopniu dogladal wszelkich projektow budowlanych, rownoczesnie sluzac swej zonie cenna rada. Bylo wyjatkowo malo prawdopodobne, by Irene kiedykolwiek miala uzurpowac sobie władze⁹⁹, lecz kiedy ta juz wpadla w jej rece, poddani nie chcieli pozwolic na jej abdykacje¹⁰⁰.

Problem siegal jednak o wiele glebiej. Mimo iz Aquelus poswiecil dla narodu swoj wzrok – w rzeczywistosci wielu snulo spekulacje, ze zawarl on potajemny pakt z grzybianami, majacy na celu ocalenie miasta – ludzie przestali mu ufac i nigdy juz nie udalo mu sie odzyskac dawnej milosci, jaka darzyli go wczesniej. Zszedl pod ziemie i przetrwal, gdy tak wielu stamtad nie wrocilo – to dla przecietnego kadeta marynarki bylo wystarczajacym dowodem, ze kappan potajemnie spiskowal z wrogiem. Krazyly opowiesci o jego rzekomym potajemnym wymykaniu sie z palacu o polnocy by radzic z grzybianami. Powiadano, ze powstal specjalny tunel laczacy jego prywatne komnaty z podziemna kryjowka tamtych. I, co bylo juz skrajnie niedorzeczne, niektorzy upierali sie, ze Aquelus w rzeczywistosci jest stworzonym z grzyba sobowtorem, znajdujacym sie pod calkowita kontrola mieszkancow podziemi; wydal bowiem calkowity zakaz atakow na grzybian¹⁰¹.

Schylek "rzadow" Aquelusa naznaczony byl coraz to bardziej rozpaczliwymi probami odzyskania szacunku poddanych. Do samego konca swych dni wladca wymykal sie do miasta przebrany za slepego zebraka, by wsluchiwac sie w glos rozmow pospolitych robotnikow czy kupcow, mijajacych pieszo jego przygarbiona postac. Rozdawal tez biednym olbrzymie sumy pieniedzy, do tego stopnia nadwerezajac zawartosc panstwowego skarbcza, ze Irene zostala zmuszona polozyc kres jego wydatkom, te bowiem – w polaczeniu z obietnicami majacymi na celu zachecenie ludzi do osiedlenia sie w Ambergris – doprowadzily do wyprzedazy praw wlasnoscowych do gruntow oraz tytulow, co w pozniejszych latach zrodzilo

arystokracje ziemskiej, będąca nieustannym źródłem zdradzieckich ambicji.

Mimo tych potknięć Aquelus zdołał częściowo odkupić swe winy, płodząc z Irene czworke dzieci, choć z pewnością zauważał ironie faktu, że to właśnie Kappanessa stała się instrumentem jego zbawienia. Te dzieci – Mandrel, Tiphony, Cyril i Samantha – były oczkiem w głowie Aquelusa i jego głównym powodem do życia. Gdy Irene rządziła, on nieprzerwanie otaczał je miłością, mimo wszelkich ich potknięć, podobnie jak względem niego czynili to jego podwładni. W miłości Aquelusa do własnych dzieci Ambergrianie dostrzegali cień swej wcześniejszej miłości do władcy, a wielu wybaczyło mu nawet jego związki z grzybianami – zarzut niemal z pewnością i tak wyspany z palca.

Choć pod wieloma względami tragiczne, partnerstwo Kappanessy i Kappana definiowało i przeddefiniowało Ambergris – zarówno w jego granicach, jak i w szerokim świecie – przez kolejne trzydzieści lat¹⁰². Miały to być jednak lata udreki, bowiem spuszczona pozostawiona przez Ciszę przenikała miasto przez całe następne pokolenia – nagłym odebraniem Ambergris głosów dzieci, kobiet i mężczyzn pozostałych w mieście podczas pamiętnego polowu. Dla mieszkańców, którzy utracili rodziny i przyjaciół, miasto stało się jedynie gigantyczną kostnicą, i niezależnie od tego, jak próbowali się nawzajem pocieszać, z jaką niemal nadludzka siłą przykładali się do swych zadań, jak bardzo pragnęli wyprzec i blokować wszystkie wspomnienia, już nigdy nie mieli umknąć Ciszy gdyż "Miasto – Pomnik Pamięci", jak nazwał je kiedyś pewien poeta, osaczało ich z każdej strony¹⁰³. W tych wczesnych, straszliwych latach widok mężczyzny czy kobiety wybuchających nagle nieoczekiwanym potokiem łez na środku ulicy wciąż doświadczanego głodem – mimo tak poważnego zmniejszenia populacji – miasta był dość powszechny.

Truffidianski kapłan Michael Nysman, który w rok po Ciszy przybył do Ambergris jako przedstawiciel misji humanitarnej, widząc, co zastał na miejscu, doznał wstrząsu. W liście do swej diecezji w Nicei zapisał: Budynki są szare, a ich okna często przypominają smutne, puste oczy. Odgłos płaczu jest jedynym dźwiękiem, który niesie się po ulicy. Doprawdy, w tym mieście zieleń wielka próżnia, jak gdyby jego serce przestało bić. Tutejsi mieszkańcy stali się posepnym i podejrzliwym typem ludzi. Ledwie uchyla ci drzwi na szparę, odrzwia wyposażone zresztą w tyle zamków, ile tylko można sobie wyobrazić... Ledwie garstka z nich przesypia więcej niż dwie, trzy godziny naraz, a i to tylko wtedy, gdy ktoś inny znajduje się w pobliżu, gotów przypilnować ich w czasie snu. Czują wstret do piwnic i kamieniami blokują wszelki dostęp do tutejszych podziemi. Ponad ich siły jest również świadomość, że choćby najmniejszy fragment ściany może stać się ostoją dla jakiegokolwiek gatunku grzyba, natychmiast go stamtąd zdrapują, a nawet jeszcze chętniej oddają płomieniom. Mieszkańcy niektórych ulic zorganizowali nocne strażę, które uzbrojone w pochodnie przechadzają się po zmroku od domu do domu, upewniając się, że wszyscy zamknięci wewnątrz ludzie są bezpieczni. Co najbardziej upiorne i niepokojące, obywatele tego posepnego miasta zostawiają na noc zapalone latarnie,

i to w tak ogromnej liczbie, że zalewają one miasto potężnym potokiem ostrego, ujawniającego każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia, światła o tak wielkiej sile, że aż trudno oprzeć się wrażeniu, iż Ambergris pochłonęły już płomienie ognia piekielnych i teraz miasto jedynie oczekuje przybycia władcy piekieł, by ten objął tu swój tron, chwycił za berło, a następnie wyszedł na spacer jego ulicami. Nie dalej jak wczoraj pewien chcący okraszczać zegarmistrza pechowiec został rozdarty na strzępy, nim odkryto, że nie jest szarym kapeluszem... A najgorszy ze wszystkiego jest zupełny brak dzieci; opustoszałe szkoły stoją zamknięte; promienne, niewinne głosiki dzieci nie rozbrzmiewają już w kościelnych chórach. Miasto jest bezdzietne, jałowe – zostały mu jedynie wyobrażenia o szczęśliwej przeszłości, a jakże to rodzic zdecyduje się na dziecko w mieście, które stało się schronieniem dusz tak wielu dzieciaków? Niektórzy rodzice – mimo iż zazwyczaj udało się przeżyć zaledwie jednemu z nich – wierzą, że ich dzieci kiedyś powrócą; są i tacy, którzy nawet starali się odblokować wyrwę przy starym ołtarzu, nim jeszcze kappanessa uczyniła z tego przestępstwo karane śmiercią. Jeszcze inni wciąż czekają w porze obiadowej przy drzwiach domów, pewni, że znajomy mały kształt pojawi się na horyzoncie i zacznie do nich zbliżać. Na widok tego wszystkiego peka serce. Czy takie miasto zdoła kiedykolwiek pozbyć się tego nieokreślonego dotyku okrucieństwa, melancholii, cienia pozostałego po makabrze, która wciąż unosi się tu w powietrzu? Czyżby przybrał tu namacalną formę smutek szarych kapeluszy sprzed siedmiu dekad? Obawiam się, że niewiele mogę dziś pomóc, bowiem i mnie przejął smutek tych ludzi, a co za tym idzie, nie jestem w stanie nikogo pocieszyć, mimo iż pozbawieni skrupułów księża sprzedają "dyspensy", mające – przynajmniej według ich zapewnień – chronić właściciela przed grzybianami, dając równocześnie odpuszczenie grzechów zaginionym.

Jakież to wnioski możemy wyciągnąć, w naszych czasach, ze stwierdzenia, że dwadzieścia pięć tysięcy ludzi najzwyczajniej w świecie rozplynęło się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie najmniejszego nawet śladu walki? Czy można w to uwierzyć? Czy gdyby dotyczyło to zaledwie tysiąca, stałoby się bardziej wiarygodne? Odpowiedz, ku jakiej niechętnie skłania się uczciwy historyk, brzmi następująco: W powyższej historii należy uwierzyć, ponieważ miała miejsce. Grzybianom nie wymknęła się ani jedna osoba. I co jeszcze bardziej bolesne, Ciszka pozostawiła za sobą pokolenie znane po prostu jako Wydziedziczeni¹⁰⁴. Miasto podziwignęło się na nogi, jak to zwykle z miastami bywa, lecz mimo wszystko co najmniej przez kolejne sto lat¹⁰⁵ owa pustka, poczucie braku i nieobecności oraz panująca cisza dawały się odczuć w najszcześniejszych historycznych chwilach i uroczystościach: podczas koronacji i ślubów kolejnych kappanów, mimo zadziwiająco wysokiego przyrostu naturalnego (i niskiej śmiertelności), a także zwycięstw zarówno nad Haragck jak i Brueghelitami. Ocaleni z pewną obawą wracali i zasiedlali swe domy, o ile w ogóle do tego dochodziło, gdzieś bowiem stały one porzucone przez następne pokolenia i nikt nigdy do nich nie zaglądał, a podane jeszcze przed Ciszka obiady gnily tam na talerzach, pokrywając się pleśnią, by wreszcie zamienić w kamień¹⁰⁶.

Wśród tych, którym udało się przetrwać, panowało okrutne i mroźne przekonanie, że sami sprowadzili to na swoje głowy, że wszystko, co ich spotkało, zawdzięczają masakrze szarych kapeluszy dokonanej przez Manzikerta I i podpaleniu Cinsorium przez Sophie. Trudno było nie myśleć, gdy tak obserwowało się niszczoną duszę po duszy Ambergris, że mamy do czynienia z Sadem Bożym¹⁰⁷.

Najgorszy ze wszystkiego był fakt, że nigdy nie pojawiła się najmniejsza nawet wskazówka dotycząca losu Odeszłych, a wobec braku jakiegokolwiek informacji wyobraźnia – jak zwykle w podobnych przypadkach – podsuwała ludziom najczarniejsze scenariusze. Wkrótce w popularnych opowieściach tamtych czasów Odeszli nie tylko zostali zabici, ale i poddani okrutnym torturom, po czym jeszcze zbezczeszczone ich zwłoki.

I choć niektórzy wciąż upierali się, że to Brueghelici są odpowiedzialni za uprowadzenie dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, większość i tak była absolutnie przekonana, że winę należy grzybian. Teorie wyjaśniające, jak udało im się tego dokonać, pojawiały się o wiele częściej niż teorie starające się tłumaczyć ich motyw, ponieważ, poza zemstą, nikt nie był w stanie zgłębić problemu "dlaczego?". Powiadano, że wszedobylski grzyb uwolnił spory, które wdychane z powietrzem uspiły wszystkich mieszkańców miasta, po czym grzybianie wylonili się z ukrycia i zawlekli wszystkie ciała do swych podziemi. Inni twierdzą, że spory nie tyle uspiły Odeszłych, ile wskutek jakiejś reakcji chemicznej uformowały mgiełkę rozkładającą ludzkie ciała i mieszkańcy Ambergris powoli rozpuszcili się w niebyt. Faktem jest jednak, że jeśli sami grzybianie nie zechcą się z nami podzielić prawdą, wtedy nigdy jej nie poznamy.

IV108

A CO Z DZIENNIKIEM SAMUELA TONSURE'A? CO tez on zawieral po wszystkich latach, ktore uplynely w miedzyczasie? Aquelus roztropnie powierzył go opiece Biblioteki Pamieci Manzikerta¹⁰⁹, wskutek czego ksiazka znikla z pola widzenia po raz kolejny i – ukryta i znana jedynie nielicznym – nie stala sie przedmiotem publicznej debaty¹¹⁰. Aquelus pod grozba smierci wymusil na bibliotekarzach przysiege nieujawnienia zawartosci dziennika, a nawet to, by w ogole nie wspominali najmniejszym chocby slowem o jego istnieniu. Dziennik trzymano w panczernej kasetce zamknietej na klucz, ktora z kolei umieszczono w innej, wiekszej kasetce. Z pewnoscia latwo zrozumiec, dlaczego Aquelus utrzymywal go w tajemnicy, gdyz dziennik opowiada nam historie zarowno makabryczna, jak i przerazajaca. I gdyby tylko owczesna opinia publiczna miala poznac jego zawartosc, ta z pewnoscia nie pozostawilaby jej zadnych powodow, by dluzej bac sie sama tylko sila wyobrazen, a jedynie potwierdzilaby najgorsze z koszmarow. Brzemie Aquelusa i Irene dotyczace decyzji, by nie upubliczniac zawartych w dzienniku informacji, bylo potworne – Nadal, dopuszczony do wiekszosci tajemnic panstwowych, donosi, ze rządzaca Ambergris para czesto dyskutowala zawziecie, czy dziennik powinien zostac upubliczniony, czy nie, zazwyczaj zmieniajac zdanie w polowie takich dysput.

To na naczelnego bibliotekarza, Michaela Abrasisa, spadlo zadanie przestudiowania dziennika, i na nasze szczescie sporzadzil on notatki. Opisuje w nich dziennik jako:

...Oprawiony w skore, wielkosci pietnastu na dwadziescia trzy centymetry, zawierajacy przynajmniej trzysta kartek, z ktorych niemal wszystkie zostaly zapisane. Skore okladki zanieczyscil pewien gatunek zielonego grzyba, ktory jak na ironie, pomogl w zachowaniu ksiazki; w rzeczywistosci, gdybysmy tylko sprobowali go usunac, okladki rozpadlyby sie w proch, gdyz owe zielone "gonty" byly tak bardzo jednolite i tak w nich zakorzenione. Co do atramentu, przez pierwsze siedemdziesiat piec kartek zdaje sie on czarny, latwy do zidentyfikowania jako destylat tranu. Jednak wszystkie pozniejsze fragmenty zapisano juz atramentem fioletowym, ktory po dokladniejszym zbadaniu wydaje sie produktem jakiegos blizej nieokreslonego gatunku grzyba. Te pozniejsze sekcje wydzielaja silny slodki zapach¹¹¹.

Abrasis kazal wykonac kopie dziennika, ktore nastepnie potajemnie wyniosl z gmachu biblioteki – co wyjasnia istnienie tekstu Tonsure'a poza jej murami az po dzis dzien – lecz, niestety, oryginal zostal zastawiony u Kalifa podczas ostatnich tragicznych dni panowania Trilliana.

Rozwazalismy juz wczesne dni Ambergris wedlug opisu zawartego w dzienniku Tonsure'a, ale co tez przekazuje nam mnich w koncowej jego czesci? Pierwszy z dokonanych przez niego wpisow, zaraz po zejsci do podziemi¹¹², brzmi nastepujaco: Juz trzeci dzien z rzedu otacza nas coraz bardziej poglebiajaca sie ciemnosc. Zgubilismy sie i nie jestesmy w stanie odnalezc drogi powrotnej ku swiatlu. Kappan wciaz sciga szare kapelusze, lecz sa one jedynie niezmiennie cieniami smigajacymi na tle bladej, martwej poswiaty grzybow, grzybow

wydzielających przenikliwy smród, wijących się, a nawet takich, które wydają się coś do nas mówić. Jedzenie już dawno nam się skończyło, teraz pozostało tylko spożywanie grzybow wyrastających w mijanych jaskiniach na takich wysokościach, że zmuszeni jesteśmy szukać pożywienia jedynie na samych ich nożkach – wściekle świadomi istnienia soczystych skorzastych płatów hen, wysoko w górze, daleko poza naszym zasięgiem. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy obserwowani, a to wyprowadza nas jeszcze bardziej z równowagi, jedynie najsilniejsi pozostałoby obojętni. Nie możemy już dłużej pozwalać sobie na sen, chyba że na zmianę, bowiem zbyt często budzimy się i odkrywamy, że kolejni członkowie naszej wyprawy po prostu rozplynęli się w powietrzu. Wczoraj, gdy coś przebudziło mnie wcześniej niż zwykle, dostrzegłem, jak jeden z szarych kapeluszy zakradł się do nas po cichu; był już o krok od zamordowania Kappana, kiedy jednak wszcząłem alarm, istota uśmiechnęła się jedynie w wyjątkowo mroźny sposób, a następnie wydała cykający odgłos i umknęła korytarzem. Ruszyliśmy w pogon, ja, Kappan i jeszcze dwudziestu innych ludzi. Szary kapelusz wymknął nam się jednak, a gdy wróciliśmy do obozowiska, okazało się, że znikły nie tylko wszystkie nasze zapasy, ale i kolejnych piętnaście osób, które tam zostawiliśmy. Zachowanie szarych kapeluszy pod ziemią różni się od znanego nam z powierzchni, podobnie jak noc różni się od dnia – tu na dole są szybcy i przebiegli, ledwie jesteśmy w stanie ich dostrzec, gdy przemykają tuż obok nas przed zadaniem kolejnego ciosu. Nie żywie nawet najmniejszej nadziei, że uda nam się żywcem wydostać na powierzchnię.

Opanowanie Tonsure'a jest z pewnością godne podziwu, mimo iż jego poczucie upływu czasu, co nie ulega najmniejszej wątpliwości, szwankuje – mówi bowiem, że minęły trzy dni, a wciąż przecież musi jeszcze trwać pierwsza noc, gdyż Manzikerta I odnaleziono w bibliotece zaraz kolejnego ranka¹¹³. Kolejny wpis, datowany zaledwie kilka dni później, jest bardziej chaotyczny i – jak można odnieść wrażenie – przesiąknięty wręcz namacalnym przerażeniem: Straciliśmy kolejne trzy osoby. Zabrano je. Noca. Teraz jest już rano. I co widzimy? Porozstawiane wokół nas niczym jakieś kukielki? Świat odsłonił przed nami głowy wcześniej wprowadzonych towarzyszy. Ramkina, Starkina, Weatherby'ego i pozostałych. Wpatrując się w nas, lecz niemożąc nic zobaczyć. Pozbawiono je bowiem oczu. Też wiele bym dał, by nie mieć oczu. Kappan dawno już porzucił nadzieję na wszystko inne, wierzy tylko w to, że jednak uda nam się stąd uciec. Ale i to za wiele. Szanse możemy wręcz poczuć na naszych językach – powietrze czasem staje się świeższe, tak więc zdaje się nam, że znaleźliśmy się tuż-tuż przy powierzchni, lecz wciąż możemy być setki kilometrów pod ziemią! Musimy uciec tym gapiącym się na nas ślepym głowom. Jemy grzyby, ale mam wrażenie, że to one nas pochłaniają. Kappan znalazł się prawie na skraju rozpacz. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Zostało nas siedmiu. W pułapce. Kappan spogląda jedynie na otaczające nas głowy. Mówi do nich, nazywa po imieniu. Nie, nie jest szalony. Nie oszalał. I tak łatwiej przychodzi mu przemierzanie otaczających nas tuneli niż mnie¹¹⁴. I wciąż nieustannie mamy świadomość, że jesteśmy obserwowani...

Następnie Tonsure przechodzi do opisu śmierci pozostałych towarzyszy – dwóch zatrutych grzybem, dwóch usmierconych dmuchanymi strzałkami; kolejny traci swe życie we wkopanej w ziemi pulapce, która odcina mu nogi i wiezi, by wykrwawił się na śmierć. Pozostali już tylko sam kappan i Tonsure, i w jakiś niepojęty sposób mnich zebrał się w sobie i zapisał: Zastanawiamy się teraz, czy kiedykolwiek istniał taki sen jak życie na powierzchni ziemi, czy może to miejsce, w którym teraz przebywamy, zawsze było naszą jedyną rzeczywistością i tylko sami się mamiliśmy. Wleczemy się, powłócząc nogami, przez ciemność dławiacą cuchnacymi oparami wyziewów grzyba, niczym dwie zagubione dusze blakające się po piekle... Dzisiaj zaklinalismy ich na wszystko, by skończyli z nami, lecz usłyszeliśmy jedynie dochodzący z każdej strony śmiech i kątem oka dostrzegliśmy cienie wywoływane ich przemykaniem wokół nas. Przekroczyliśmy już prog strachu. Skończcie z nami, nie zabawiajcie się dłużej. Jasno i wyraźnie widac, że tutaj, teraz, na swoim terenie, to oni są naszymi Panami i Władcami. Zeszłej nocy przeglądałem moje wcześniejsze notatki i chichotałem, czytając dowody świadczące o mojej olbrzymiej naiwności. "Zdegenerowane pozostałości niegdys potężnej cywilizacji". Zaprawdę, w rzeczy samej. Przebyliśmy już tyle dziwnych i złowrogich komnat, wypełnionych nieziemskimi wręcz budynkami i widokami – jakież to cuda tam widziałem! Grzyby pulsujące w ciemności purpurową jasnością. Istoty, które można było dostrzec jedynie gdy się uśmiechały, gdyż ich skóra odbijała otoczenie. Bezokie, pulsujące ślepe salamandry, powoli chłonące pozostałymi zmysłami otaczająca je martwa ciemność. Mówiace, skrzydlate zwierzęta. Bezglowe istoty, szeptem wypowiadające nasze imiona. I wszędzie, za każdym razem, szare kapelusze. Mogliśmy je nawet oglądać podczas zabaw, tylko dlatego, że nas lekcewżyły i ignorowały. Tak, i widzieliśmy też pomniki wykute w litej skale, przycmiewające budynki stawiane nad ziemią. Czego nie oddałbym za choćby jeden haust świeżego powietrza... Manzikert opiera się nawet takim fantazjom; stał się posepny, na me słowa odpowiada jedynie pochrzakiwaniami, gwizdami i młasnieciami... A co jeszcze bardziej niepokojące, musimy po raz wtóry iść po własnych śladach; wnioskuje więc, że ta podziemna kraina jest kilkakrotnie większa niż znajdująca się nad powierzchnią miasto, podobnie jak zanurzona część lodowca jest większa od czubka widocznego nad wodą dla marynarza.

Jasno widac, że Tonsure nigdy nie odzyskał poczucia upływu czasu, bo w tym dniu, który oznaczył jako szósty, pozbawiony oczu, lecz żywy Manzikert od pięciu dni znajdował się już na powierzchni. Być może mnich okłamywał samego siebie, że kappan wciąż trwa u jego boku, by w ten sposób umocnić własne postanowienia, lub też, czego wcale nie można wykluczyć, ortodoksyjnie skrajni historycy przynajmniej w tym jednym przypadku okazali się nadmiernie konserwatywni: to nie golema kappana podrzucono na powierzchnię, to podziemny Manzikert został podmieniony. Tonsure mniej więcej po dziewiątym dniu milknie na zawsze na temat swego władcy; jego dalsze wpisy nie zawierają ani słowa o Manzikercie. Dwunastego dnia notatki stają się odrobine pozbawione ładunku i składu, a ostatni spójny wpis, nim dziennik rozpada

się na niepowiązane ze sobą fragmenty, jest takim oto wzruszającym akapitem: **Ida po mnie. Sa coraz bliżej. Zabawili się już wystarczająco – teraz więc mnie wykończą. Do mojej matki: Zawsze starałem się być posłusznym synem. Do mojego syna z nieprawego łóżka i jego matki: Zawsze was kochałem, mimo iż nie zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. Do świata, który kiedyś być może przeczyta moje słowa: Wiedźcie, że byłem przyzwoitym człowiekiem, że nigdy nikomu nie chciałem zrobić krzywdy, że być może i żyłem mniej pobożnie, niż powinienem, jednak i tak o wiele lepiej niż wielu innych. Boże, miej litość nad moją duszą**¹¹⁵.

Jak się jednak wydaje, nie "wykończyli go"¹¹⁶, ponieważ po powyższym fragmencie następuje w dzienniku jeszcze sto pięćdziesiąt kolejnych wpisów, z których pierwsze dwie wypełnione są osobliwymi bazgrołami rozdzielonymi niezbyt licznymi zrozumiałymi dygresjami¹¹⁷, wszystkie zaś zapisane tym dziwnym purpurowym atramentem, który Abrasis opisuje jako uzyskiwany w procesie destylacji jakiegoś gatunku grzyba. Strony, o których mowa, dostarczają obciążających dowodów, świadczących o nagłym postradaniu zmysłów przez Tonsure'a, jednakże następuje po nich sto czterdzieści osiem zupełnie zrozumiałych kartek, wypełnionych klarownymi esejami omawiającymi truffidianskie rytuały religijne, niezbyt często przerywanych krótkim zagłębieniem w opis niewoli mnicha. Eseje okazały się wręcz bezcenne dla współczesnych truffidian, szczególnie tych pragnących zapoznać się z pochodzącą z początków ich kościoła relacją "naocznego świadka", lecz zbija z tropu wszystkich, którzy instynktownie chcą otrzymać odpowiedzi na wszelkie tajemnice nieodłącznie powiązane z Ciszą i samym dziennikiem. Najbardziej oczywiste pytanie, jakie pierwsze przychodzi na myśl, brzmi następująco: **Dlaczego grzybianie wciąż pozwalali Tonsure'owi żyć? Na ten temat już sam mnich podsuwa nam tu pewną teorię, wyjaśnienie umieszczone w samym środku akapitu o truffidianskim poglądzie na temat obrzezania**¹¹⁸: **Z czasem, stopniowo, kiedy tak przychodzili do mnie raz za razem i pocierali moją łysinę, uderzyło mnie, dlaczego akurat ja zostałem oszczędzony. Otoż odpowiedź na to pytanie jest tak prosta, tak banalna, że niemal samo jej rozważanie budzi mój śmiech. Wyglądem przypominam grzyb. Szybko! Powiadomcie władzę! Muszę jakos przesłać tę wiadomość na powierzchnię – kazać im wszystkim zgolić sobie głowy! Nawet teraz z trudem powstrzymuję śmiech, co zdumiewa moich ciemziejeli i sprawia, że trudno mi czytelnie zapisywać kolejne słowa.**

Dalej, upchnięte gdzieś między rozważaniami dotyczącymi boskich właściwości zab a diatryba przeciwko małżeństwu międzygatunkowemu, Tonsure dostarcza nam kolejnej obserwacji świata grzybian, który przyciąga i nęci czytelnika niczym błysk szczerego złota: **Wprowadzono mnie do przepastnej komnaty, w niczym nieprzypominającej żadnej z widzianych przeze mnie czy to na ziemi, czy pod nią. Stałem tam oto przed palcem ze lśniącego srebra, stworzonym wyłącznie ze szczepionych ze sobą grzybów, przyozdobionych zielonobłękitnymi porostami i mchami. W powietrzu unosił się słodki, drażniący nozdrza zapach. Kolumny,**

podpierające budynek, były chyba zrobione z żywej tkanki, ponieważ uginały się pod dotykiem dłoni... Zza drzwi wyszła władczyni tej krainy, będąca zaledwie pospolitym piechurzem w porównaniu z najpotężniejszymi szeregami, jakie można tu spotkać. Wszystko lśni niezwykłym wręcz splendorem, a suplikanci jeden po drugim podchodzą i klekają przed nią, prosząc o błogosławieństwo. Dają mi do zrozumienia, że i ja muszę podejść i pozwolić, by w geście błogosławieństwa potarła moja głowę. Muszę już ruszać. Podchodzę więc.

Inne zapiski sugerują, że Tonsure podjął przynajmniej dwie próby ucieczki, a każda z nich zakończyła surowa kara, przy czym druga być może nawet doprowadziła do częściowego osłepienia mnicha¹¹⁹, a przynajmniej jedno ze zdań sugeruje, że po wszystkim potajemnie poprowadzono go ku powierzchni: "Och, co za tortura jest słyszeć plusk rzeki tuż pod stopami, czuć powiew nocnego wiatru na twarzy, a w nozdrzach słony zapach rzecznej muli, lecz niczego nie widzieć". Jednakże równie dobrze ciemnozyciele mnicha mogli mu przewiązać oczy jakąś opaską lub sam Tonsure mógł być tak stary i tak długo przebywać w ciemności, że jego oczy nie były w stanie przystosować się już do panującego na powierzchni dnia czy nocy. Skoro i tak podejrzliwie spoglądamy na dokonywaną przez niego rachubę czasu, możemy się jedynie domyślać jego wieku w momencie dokonywania powyższego wpisu.

Wreszcie pod sam koniec dziennika Tonsure opowiada o serii wydarzeń będących z pewnością snem na jawie, wywołanym długotrwałą dietą opartą tylko i wyłącznie na grzybach i towarzyszącymi im wyziewami: Wwieziono mnie do stalowej komnaty i nieoczekiwanie na jednej ze ścian pojawiło się okno, w którym dostrzegłem tuż przed sobą wizję miasta, co przeraziło mnie bardziej niż cokolwiek, co dane mi było wcześniej zobaczyć. Kiedy się przyglądałem, miasto rozrosło się z samych tylko dąków, zbudowanych jeszcze przez mojego biednego, utraconego kappana, do tak niebosieżnych struktur, że przysłaniały połowę nieboskłonu. Samo niebo przeszło płynnie z jasności dnia w mrok nocy, by następnie po raz kolejny, równie płynnie, zamienić się w jasność, a w szybko następujących po sobie przemianach chmury gnały po nim rozmazanym tumanem. Przyglądałem się wielkiemu pałacowi wzniesionemu w przeciągu kilku minut. Widziałem wozy poruszające się bez koni. Widziałem bitwy, toczone zarówno na terenie miasta, jak i poza jego granicami. A wreszcie, na koncu, zobaczyłem, jak rzeka wylewa z koryta, zalewając miasto, a szare kapelusze po raz kolejny wychodzą na światło dnia, by odbudować na powierzchni swoje miasto, tak by wszystko było jak poprzednio. Ten, którego nazywam moim Straznikiem, zapłakał na ten widok, więc z pewnością i on musiał to wszystko dostrzegać, czyż nie?¹²⁰

W tym właśnie miejscu rozpoczyna się ostatnie dziesięć kartek dziennika, zapelnionych tak rzeczowym i zapamiętałym opisem truffidijskich praktyk religijnych, że jedynym, co możemy przyjąć podczas ich lektury, jest fakt, że mnich spisał te akapity jako bastion mający go chronić przed obłędem i że, w końcu, gdy skończył mu się papier i tym samym opuściła nadzieja, albo zaczął pisać po

scianach¹²¹, albo poddał się rozpacz, która i tak musiała być wręcz namacalna częścią każdego kolejnego dnia jego życia pod ziemią. W rzeczywistości ostatnie zdanie dziennika brzmi następująco: "Przesadne uwielbienie rytuału może szkodzić duszy, o ile oczywiście nie mamy z nim do czynienia w czasach wielkiego kryzysu, kiedy to rytuał może ocalić ją przed rozdarciem".

I tak oto rozplywa się w ciszy głos jednej z najbardziej wpływowych i tajemniczych postaci w całej historii Ambergris. To z powodu Tonsure'a truffidianizm i Kappanstwo już na wieki, aż po dziś dzień, stały się nierozłączne. Jego nauki natchnęły administracyjny geniusz Manzikerta II, a jego rady zarówno rozpały, jak i stopowały Manzikerta I. Aquelus z zacieciem studiował bez końca jego dziennik, być może doszukując się w nim wskazówek, w które tylko on, w związku ze swoim pobytem pod ziemią, czuł się wtajemniczony. Zarówno biografia Manzikerta I pióra Tonsure'a (wciąż nieustannie wznawiana), jak i jego dziennik pozostają jedynymi źródłami, po które mogą sięgnąć historycy w poszukiwaniu informacji zarówno o wczesnym Ambergris, jak i truffidianizmie.

Jeśli w ogóle dziennik cokolwiek dowodzi, to faktu, że pod właściwym, znanym z nadziemi, miastem istnieje inne; że Cinsorium nigdy tak naprawdę nie zostało zniszczone, a Sophia jedynie zmiotła z powierzchni jego nadziemna manifestacja. Niestety, wszelkie próby eksploracji podziemi kończyły się wielką porażką¹²² – a już szczególnie teraz, gdy nasze miasto nie jest zarządzane centralnie, podjęcie kolejnych prób wydaje się mało prawdopodobne, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że obecne władze ze względu na napływ turystów woląby, by tego typu tajemnice pozostały niezglebione¹²³. Wygląda na to, że dwie różniące się i tak skrajnie odmienne społeczności wciąż mają rozwijać się tuż obok siebie, rozdzielone jedynie kilkoma metrami cementu. W naszym naziemnym świecie możemy dostrzec czerwone flagi grzybian, jak i fakt dokładnego sprzątania przez nich naszego miasta, lecz nam samym nie jest dozwolony żaden podobny wpływ na ich świat, jeśli nie liczyć odprowadzanych pod powierzchnię nieczystości.

Na przestrzeni mijających lat kilkakrotnie kwestionowano wiarygodność dziennika – po raz ostatni uczynił to wybitny pisarz Sirin, który stwierdził, że dziennik jest w rzeczywistości fałszerstwem stworzonym w oparciu o biografię Manzikerta I. Jako winnego Sirin wskazał pisarza Maxwella Glaringa, zamieszkującego w Ambergris około czterdziestu lat po Ciszy. Owego Glaringa, jak upiera się Sirin, dokładnie przestudiował spisana przez Tonsure'a biografię, po czym, wykorzystując jej fragmenty w swym fałszerstwie, wymyślił podziemną część akcji, a pisząc drugą połowę użył dziwnego purpurowego atramentu otrzymanego ze słodkowodnych kalamarni¹²⁴. Po wszystkim "sprokurował" owego "dziennik" dzięki pomocy mieszkającego w dzielnicy administracyjnej przyjaciela, który rozpuścił pogłoskę, jakoby Aquelus przez pół wieku nie wypuszczał dziennika na światło dzienne. Teoria ta ma swój powab – Glaring mimo wszystko podrobił przecież szereg dokumentów państwowych, mających pomóc wspomnianemu wcześniej przyjacielowi

zdefraudować pieniądze z państwowego skarbcza, a jego powieści wyjątkowo często zawierają opisy rozpaczliwie heroicznych czynów, mających sens w połączeniu z rozsądnymi fragmentami narracji, które można odnaleźć w drugiej części dziennika¹²⁵. Morderstwo Glaringa, któremu podcięto gardło, gdy szedł ciemną uliczką na pocztę, niedługo po tym, jak dziennik ujrzał światło dzienne, tylko dołalo oliwy do ognia dysputy.

Sabon opowiada się za alternatywną teorią, w której Glaring istotnie sfalszował pewne części dziennika, lecz były to jedynie fragmenty dotyczące mało znanych truffidianskich praktyk religijnych¹²⁶ – te strony według niej wstawiono później, by zastąpić nimi kartki usunięte przez rząd ze względów bezpieczeństwa narodowego. Glaring został następnie zamordowany przez szpiegów kappana, by tajemnica została zachowana. Nieszczęśliwym zrzadzeniem losu ogień strawił tę część palacu, w której mieścił się rdzeń administracyjny, niszczyć tym samym wszelkie istniejące dokumenty mogące rzucić chociażby odrobine światła na pytanie, czy Glaring figurował na państwowej liście plac. Sabon spekuluje dalej, że sprzeniewierzenia Glaringa wyszły na jaw, a następnie użyto ich jako haka mającego zmusić pisarza do podrobienia stron dziennika, gdyż w przeciwnym razie, biorąc pod uwagę fakt, że stracił on swych bliskich podczas Ciszy, nie byłby jakos specjalnie entuzjastycznie nastawiony do zatajenia dowodów świadczących o zaangażowaniu we wszystko grzybian¹²⁷. Sabon interpretuje też kilka rozdziałów związanych z opisem niewoli Tonsure'a jako przejaw geniuszu Glaringa, świadomego faktu, że każde dobre fałszerstwo winno odnosić się do kwestii własnej autentyczności – a co za tym idzie, dziennik musi zawierać dowody świadczące o podziemnych doświadczeniach Tonsure'a. Lacond natomiast upiera się, że akurat te akapity są autentyczne i zostały wyrwane z prawdziwego dziennika¹²⁸.

Kolejne twierdzenie, które przybrało status popularnego mitu, sugeruje, że grzybianie zrecznie przepisali i podmienili szereg kartek, by utrzymać w tajemnicy wiele własnych sekretów, ale ta teoria jest już niedorzeczna przez sam fakt, że dziennik pozostawiono na ich ołtarzu – co potwierdza nam Nadal, ówczesny minister finansów. To doniesienie naocznego świadka obala również pierwsza z teorii Sabon, jakoby cały dziennik był fałszerstwem¹²⁹.

By jeszcze bardziej wszystko skomplikować, pewna mało znana sekta truffidian zamieszkujących w zrujnowanej fortecy Zamilon, leżącej w pobliżu wschodnich granic Imperium Kalifa, upiera się, że ma w swym posiadaniu ostatnią autentyczną kartkę dziennika Tonsure'a. Zgodnie z legendą, gdy ludzie Trilliana zatrzymali się tam na noc w drodze na dwór Kalifa z dziennikiem, który – jak być może uważny czytelnik pamięta – Kappanstwo zastawiło u Kalifa, jeden z tamtejszych mnichów zakradł się nocą do pomieszczenia, w którym trzymano dziennik, skąd wykradł jego ostatnią kartkę, najwyraźniej w akcie zemsty za potajemną kradzież lewej kostki udowej ich przywódcy, której jakieś trzysta lat wcześniej dokonali agenci Manzikerta II.

Pierwsza strona tej kartki stanowi kolejny fragment opisów truffidianskich rytuałów religijnych, ale już druga zawiera następujące słowa: Przeszliśmy przez szereg pomieszczeń. Pierwsze z nich były tak małe, że musiałem się do nich wczolgiwać, a i nawet wtedy ledwie byłem w stanie się przez nie przecisnąć, uderzając głową o sufit. Te pomieszczenia cechowała subtelność i jakość bogactwa zdobień godnych iluminowanego manuskryptu, czy też jednej z tych malarskich miniatur, tak cenionych przez Kalifa. Złoty porost pokrywał ściany zawilgocionymi wzorami, poprzecinany tu i ówdzie czerwonym królewskim grzybem, tworzącym gwiazdziste kształty. Co dziwne, czułem się w tych pomieszczeniach, jakby oferowana mi przez nie przestrzeń nijak nie była ograniczona i istniał w niej nadmiar powietrza, którym mogłem oddychać. Każde z dalszych pomieszczeń, do których wchodziliśmy, było większe i bardziej wyszukane od poprzedniego – jednak nigdy nie miałem wrażenia, by ktokolwiek kiedykolwiek je zamieszkiwał, mimo stojących w nich krzesel, stolów i polek na książki – byłem więc oslepiany zalewającym je światłem, ozdobnikami, rycinami w suficie. Wciąż jednak, co wyjątkowo dziwne, w miarę jak otaczające mnie niezwykle pokoje stawały się coraz większe, wraz z nimi narastało we mnie poczucie klaustrofobii, aż w końcu nie byłem w stanie myśleć o niczym innym... Trwało to całe dni, dopóki nie stałem się znieczulony na ich wspaniałość, a moje zmysły nie uodporniły się na poczucie klaustrofobii. Kiedy byliśmy głodni, ularmywałem sobie do jedzenia kawałek ścian. Kiedy tylko byliśmy spragnieni, wyciskaliśmy oparcia krzesel i zachłannie spijałem skapujące z nich krople eliksiru. Wreszcie pchnęliśmy tak ogromne drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia, że gdy stała przed nami otworem przestrzeń rozciągająca się pomiędzy nimi a przeciwna ściana, wydawała się ona wręcz niezmierną... Wtedy, kiedy już mi się wydawało, że moja podróż nigdy nie dobiegnie końca – a z pewnością nie mogła trwać dłużej – przeprowadzono mnie przez kolejne, ostatnie drzwi (równie wielkie jak kilka pomieszczeń, które wcześniej pokonałem). Po drugiej stronie panowała noc, rozświetlana jedynie niewyraźnym światłem gwiazd. Wyszliśmy na wzgórze pełne masywnych kolumn, między którymi daleko w dole dostrzegliśmy rozległe, otoczone lasem miasto, które osobiście przypominało Cinsorium. Świeży, ożywczy podmuch wiatru napłynął pomiędzy drzewami i unosił trawę porastającą zbocze wzgórza, na którym się znajdowaliśmy. Ponad nami rozciągało się nieograniczone niczym niebo, pomyślałem więc, że oto wreszcie wyprowadzono mnie na powierzchnię, gdyż cały ten świat zdawał się rozciągać przede mną. Lecz nie, uświadomiłem sobie prawdę i zamarło mi serce, gdyż oto wysoko nade mną, zmrużywszy oczy, dostrzegłem na tle ciemności jasniejący błękit. Były to linie dziwacznych konstelacji, które wytyczono tam za pomocą bliżej nieokreślonych instrumentów, precyzyjniejszych od wszelkich znanych nam na powierzchni. I wszystkie te gwiazdy poruszały się fosforescencyjnymi szlakami błękitu, zieleni, czerwieni, żółci i fioletu, lecz po krótkiej chwili odkryłem, że owe "gwiazdy" są w rzeczywistości olbrzymimi ciałami, szybującymi w panującej tam ciemności... Moi ciemniacy zamierzali mnie tutaj zostawić: dano mi do zrozumienia, że oto dotarłem do kresu swej wędrówki – skończyli już ze mną i jestem wolny. Dano mi kilka minut, bym mógł zapisać to w

swym dzienniku, zanim mi go odbiora. Co teraz mam czynic? Nie podaze za swiatlem rzucanym przez cmy, bo jest ono zludne i wedruje po niebosklonie, gdzie tylko przyjdzie mu ochota. Ale na rozciagajacej sie przede mna rowninie wzywa mnie w oddali niewielkie swiatelko. Czyste, swiecace rownomiernie, a poniewaz swiatlo wciaz oznacza dla mnie powierzchnie, zdecydowalem sie ruszyc w jego kierunku z nadzieja, ze po calym czasie spedzonym pod ziemia odzyskam wreszcie tak dawno utracony swiat. Bardzo mozliwe, ze kiedy juz dotre do zrodla tego swiatla, odnajde tam jedynie kolejne drzwi, ale rownie dobrze moze tak nie bedzie. Tak czy inaczej, zycze sobie, niech Bog mnie prowadzi.

Podobne wizje bezsprzecznie wskazuja na postupujace delirium Tonsure'a, lub tez – co nawet bardziej prawdopodobne – dokonane przez mnichow falszerstwo, ale mozna miec pewnosc, patrzac na naboza czesc, z jaka mieszkancy Zamilonu przechowuja te kartke, ze znaczy dla nich o wiele wiecej niz ktorakolwiek z relikwii bedacych w ich posiadaniu, i nawet teraz, po niezliczonych lekturach, niejednego mnicha doprowadza do lez130.

Usilujac wyciszyc wszystkie narosle i pietrzace sie kontrowersje131 – sam Tonsure z powodu swej wiary w obliczu przeciwnosci wszak stal sie swietym truffidian – dwadziescia lat temu do ziem Kalifa, korzystajac z gwarancji bezpiecznego przejazdu, ruszyla pod przewodnictwem wybitnego wykladowcy Cadimona Signala132 delegacja z Religijnego Instytutu z siedziba w Morrow133, ktorej celem bylo przebadanie dziennika w miejscu jego kultu w Lepo.

Warunki, na jakich delegatom pozwolono przejrzec dziennik, ustalono juz po przyjezdzie i nie mogly byc surowsze: mogli bowiem badac ksiazke zaledwie przez godzine, a ze wzgledu na jej kruchy stan nie wolno im bylo jej dotykac; musieli pozwolic, by robil to za nich urzednik sprawujacy piecze nad dziennikiem. Co wiecej, mial on poczatkowo przerzucic wszystkie strony naraz, a nastepnie delegacja miala miec mozliwosc blizszego przyjrzenia sie dziesieciu wybranym przez siebie stronom, z zastrzezeniem, ze nie wolno im przekroczyc tej liczby. Juz na podstawie pierwszego przekartkowania dziennika musieli podac numery stron, o ktore im chodzilo134. Delegacja nie miala wiec innego wyjscia, jak tylko zaakceptowac te niedorzeczne warunki135 z postanowieniem, ze wykorzystaja przekazany im czas najlepiej, jak tylko to mozliwe. Po polgodzinie odkryli, ze pokazywane im fragmenty ksiazki zastapiono zupełnie innymi kartkami, jak rowniez i to, ze charakter pisma wydawal sie, przynajmniej gdzieniegdzie, odmienny niz pismo Tonsure'a (przynajmniej to, jakim zostala spisana biografia). Co gorsza, gdy mijala wlasnie polowa czasu odgornie przeznaczonego na ich badania, do Kalifa przez golebia pocztowego dotarly wiesci o powaznym zniewazeniu go przez burmistrza Ambergris, totez wladca niezwlocznie podjal decyzje o wydaleniu delegacji z czytelnicy i odeslaniu jej w trybie natychmiastowym do granic swego panstwa, gdzie bezceremonialnie zrzucono ich wraz z bagazami z konskich grzbietow. Tam tez odebrano im sporzadzone wczesniej notatki, tak ze nie potrafili sobie przypomniec zadnych

uzytecznych czy istotnych szczegolow dotyczacych ogladanej strony. Do czasu, gdy pisze te slowa, nie wydano zadnej zgody na kolejne zbadanie dziennika.

Mimo iz posiadamy jego kopie, mozemy juz nigdy sie nie dowiedziec, dlaczego podmieniono strony w tym bezcennym pierwotnym zrodle na temat dawnej historii miasta. Postawiono przed nami trudny dylemat, musimy badz wyprzec sie calego dokumentu, badz tez, do czego sam jestem przekonany, uznac go w calosci za prawdziwy. Jesli jednak wierzycie w prawdziwosc dziennika Samuela Tonsure'a, wzrosnie wasza przyjemnosc zarowno podczas przechadzki obok konnego pomnika Manzikerta I136, stojacego na Dziejzincu Bankierow, jak i podczas zwiedzania ruin akweduktu na bulwarze Albumuth, ktore to ruiny, obok samych grzybian, sa jedynym pozostalym sladem po Cinsorium, miescie poprzedzajacym Ambergris137.

Czysta rzeka na pieknej lacy

Wyobrazona w jego umysle

W umysle dobrego Malarza; kiedys ja namaluje

Comanimi

Jesli bylem kims dziwnym, i czym dziwnym byla moja sztuka,

Z dziwnosci tej brala sie laska i moc,

A jesli ktos przydaje dziwnosci swemu stylowi, tu i tam,

Daje zycie, sile i dusze swoim obrazom...

Napis wyryty na zyczenie Lake'a na jego pomniku przy placu Trilliana

ALARZE Z RZADKA POJAWIAJA SIE znikad w stopniu az takim jak Martin Lake, i niewielu z nich identyfikuje sie z jednym obrazem i jednym miastem w stopniu az takim jak on. Tajemnica pozostaje nadal, nawet dla osob, ktore go znaly, w jakiz to niezwykly sposob Lake przeobrazil sie z malarza przyjemnych, lecz powierzchownych kolazy i akryli w tworce olsniewajacych obrazow olejnych: fantastycznych i mrocznych, nastrojowych i figlarnych – ktore mialy stac sie kwintesencja artysty i Ambergris.

Informacje o dzieciństwie Lake'a sa szczatkowe; przypominaja pusta muszle, z ktorej ktos wczesniej wydlubal mieso. W wieku szesciu lat zachorowal na rzadkie schorzenie kosci, a sytuacje pogorszyl jeszcze wypadek, jakiemu ulegl majac dwanascie lat: zostal uderzony przez pojazd silnikowy manzikert. Kierowca zbiegl. Od tego czasu Lake musial uzywac laski. Nie mamy zadnych informacji o jego dzieciństwie poza tym, co wiemy o rodzicach: Theodorze i Catherine Lake. Ojciec

pracował jako łowca owadów niedaleko Stockton, gdzie cała rodzina żyła w niewielkim wynajętym mieszkaniu. Z niektórych uwag wygłoszonych przez Lake'a, zanim jeszcze stał się sławny, i z dyskretnych napomknien w późniejszych wywiadach można wywnioskować, że między nim a ojcem istniał jakiś konflikt, związany z miłością Lake'a do sztuki i pragnieniem ojca, by chłopiec odziedziczył po nim fach łowcy owadów.

Brak danych o matce Lake'a, a on sam nie wspomniał o niej w żadnym z nielicznych wywiadów. Nieprofesjonalna historyczka Mary Sabon wystąpiła z teorią, że matka Lake'a była ludowa artystka o wybitnym talencie i zarliwa wyznawczyni truffidianizmu – i to ona zaszczepiła w Lake'u skłonności do mistycyzmu. Sabon uważa, że wspaniałe freski na ścianach truffidianskiej katedry w Stockton to anonimowe dzieło matki Lake'a. Nikt jak dotąd nie potwierdził tej teorii, jeśli jednak okazałaby się ona prawdą, wyjaśniłaby skłonności do mistycyzmu i makabry, które przewijają się w twórczości Lake'a – oczywiście odarte z aspektu religijnego.

Jest nieomal pewne, że to matka Lake'a dawała mu pierwsze lekcje rysunku i posłała do miejscowej szkoły, oddając go na naukę do pana Shores, który niestety zmarł, zanim ktokolwiek zdołał go zapytać o prace jego najsłynniejszego (a właściwie jedyne go słynnego) ucznia. Lake brał w młodości także lekcje anatomii: nawet w jego najbardziej surrealistycznych obrazach postaci są często hiperrealistyczne, jakby były na nich warstwy niewidzialnej farby, pod którą kryją się żyły, arterie, mięśnie, nerwy, ścięgna. Ta hiperrealność kłóci się ze stwierdzeniem Lake'a, który głosił, że "wielki artysta polyka otaczający go świat, aż jego własne ego wchłonie całe otoczenie".

Lake, przybywający do Ambergris ze Stockton, był zapewne postacią pełną sprzeczności: z jednej strony doskonale zaznajomiony z czysto technicznym światem anatomii, z drugiej – dzięki matce dobrze orientujący się w rzeczach cudownych i nieracjonalnych. Ten konflikt podsycił poczucie winy, spowodowane rezygnacją z rodzinnej profesji. Te właśnie elementy przywiózł Lake do Ambergris. W zamian otrzymał wolność zostania artystą, któremu otworzyły się oczy na możliwości, jakie daje kolor.

Niewiele wiemy o trzyletnim okresie życia Lake'a w Ambergris przed zdumiewającą przemianą w jego twórczości; wiemy tylko, że zaprzyjaźnił się z kilkorgiem artystów, z którymi konkutował z różnym skutkiem, kiedy stał się sławny. Wśród nich wyróżniał się Jonathan Merrimount, który był jego przyjacielem przez całe życie. Poznał także Raffe Constance, która – jak wielu uważa – była towarzyszką życia Martina. Lake, Merrimount i Constance stali się najbardziej dostrzegalnymi i wpływowymi artystami swojej epoki. Niestety, ani Merrimount, ani Constance nie chcieli rzucić odrobiny światła na życie Lake'a – jego inspiracje, rozczarowania, triumfy. Ani też, co ważniejsze, na to, jakim cudem typowy przedstawiciel klasy średniej mógł stworzyć takie przygnębiające, jakby żywcem wyjęte z koszmaru

dziela.

Musze wiec podzielic sie szczegolami dotyczacymi moich wlasnych doswiadczen z Lake. Z pewnym wahaniem pozwole sobie ujawnic, ze Lake po raz pierwszy pokazal swe dzieło w mojej Galerii Ukrytych Fascynacji, jeszcze zanim przemienil sie w artyste najwyższej klasy. Choc osobiscie nie bylo mi dane byc swiadkiem tej przemiany, przynajmniej moge przedstawic czytelnikom portret rzadko pokazujacego sie publicznie artysty z okresu poprzedzajacego jego slawe.

Lake byl wysokim mezczyzna, choc wygladal na czlowieka sredniego wzrostu, bo garbil sie, uzywajac laski – przez to zawsze tez robil wrazenie, jakby z wielka uwaga przysluchiwal sie rozmowcy, choc w rzeczywistosci byl kiepskim sluchaczem i zawsze niegrzecznie przerywal, kiedy mowilo sie cos, co uwazal za nudne.

Rysy twarzy mial nieciekawe; rownowazyl je mocno zarysowany podbrodek, zgrabny ksztalt ust i oczy, ktore wydawaly sie zmieniac kolor, ale w rzeczywistosci mialy intensywna, przykuwajaca uwage barwe zieleni. Jego twarz zawsze byla jak bron, czy to w zlosci, czy w przyplywie dobrego humoru: gdy sie zloscil, waskie oczy stawaly sie jeszcze wezsze i przeszywaly rozmowce; kiedy sie smial – cala jego twarz stawala sie szersza, a niesamowite oczy zaszczycaly cie swoja otwartoscia. Przewaznie jednak byl w nastroju pomiedzy smiechem a zloscia; w nastroju, ktory imitowal styl "znekanego artysty", rownoczesnie dystansujac sie od samego siebie i wszelkich podobnych emocji. Lake byl niesmiały i inteligentny, przebiegly i arogancki – innymi slowy, niczym sie nie roznil od innych artystow, z ktorymi mialam do czynienia w mojej galerii.

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake 'a i jego Zaproszenia na egzekucje, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piate. Pewnego wietrznego wiosennego dnia, w legendarnym miescie Ambergris, malarz Martin Lake otrzymal zaproszenie na egzekucje.

Otrzymanie takiego zaproszenia nie zwiastowalo niczego przyjemnego i idac na poczte Martin Lake bil sie z myslami. Przede wszystkim, Czerwoni i Zieloni byli w stanie wojny: niebezpieczne potyczki rozprzestrzenialy sie po ulicach jak zaraza, docierajac nawet do samego bulwaru Albumuth.

Lake zawsze podchodzil do Czerwonych i Zielonych jak do zjawiska: z mieszanina fascynacji i odrazy. Krotko mowiac, Zieloni postrzegali niedawna smierc (wielkiego) kompozytora Vossa Bendera jako tragedie, Czerwoni zas uwazali niedawna smierc (despotycznego) kompozytora Vossa Bendera za powod do swietowania. Nazwy przyjeli od ulubionego i najbardziej znienawidzonego koloru Bendera: zielony byl barwa mlodosci, spedzonej w lasach otaczajacych Morrow; czerwony – barwa sztandarow autochtonicznego ludu grzybian, ktory, zdaniem Bendera, porwal jego kuzyna.

Nie ulega wątpliwości, że te dwa stronnictwa polityczne miały zniknąć równie szybko, jak się pojawiły, wtedy jednak Lake nosił w prawej kieszeni flagę Zielonych, a w lewej – Czerwonych, żeby moc prawidłowo wyrazić swe polityczne sympatie niezależnie od okoliczności. (Na poziomie wyłącznie słuchowym Lake sympatyzował z Czerwonymi, tylko dlatego, że Zieloni generowali nieustanny hałas, odtwarzając niezliczone utwory Bendera rankiem, w południe i wieczorem. Lake prawie nie słuchał Bendera, kiedy kompozytor jeszcze żył; nie miał ochoty zmieniać nawyków po jego śmierci).

Postawiony w obliczu takiego dylematu Lake podejrzewał, że jego przyzwyczajenie do cotygodniowego marszu na pocztę sugeruje paskudną cechę charakteru, fatalną ciekawość artystyczną. Wiedział bowiem, że nim minie dzień, na pewno wyciągnie z kieszeni niewłaściwą flagę. A mimo to kustykał aleją Truff, choć nawet wyglądające jak skrzepy krwi psie lilie, rosnące w schludnych rzędach wzdłuż chodnika, przypominały mu o konflikcie – jakże inaczej miałby ćwiczyć swoją chora nogę? Poza tym, żaden wynajęty pojazd nie dowiozłby go do miejsca przeznaczenia przez ogarniętą walką dzielnicę.

Lake skrzywił się na widok młodzieńca w stroju przybranym czerwonymi guzikami, powiewającego czerwoną flagą. Daleko za sztandarem dostrzegł zarys budynku poczty, oblanego niezwykle jasnym światłem poranka, spływającym falami złota.

Drugi zestaw powodów z rodzaju: "Dlaczego nie powinienem był wychodzić dziś z domu" dotyczył, ku rozdrażnieniu Lake'a, samego budynku poczty. Nie żył sympatii do jego archaicznej architektury i umiarkowany szacunek dla jego funkcji; jakość zmonopolizowanych prywatnych usług pocztowych była kiepska, a większość zleceń przesyłano kurierem. Brzydziła go także makabryczna historia budynku i stosy skrzynek pocztowych, które zwał "pudelkami na ciała". Pudła te, ustawione jedno na drugim na całej długości i szerokości budynku, wznosiły się aż do sufitu. Niewątpliwie dzieci, które kiedyś były tam przechowywane, w drodze do nieba zatrzymały się na brzydkim, żółtym suficie i do dziś waliły o niego malenkimi ektoplazmowymi główkami.

Budynek poczty ukazał się wreszcie w całej okazałości – wyniosły i łsniący jak potężna, wiekowa ciotka – żadna z tych cech nie miała jednak aż takiego znaczenia jak niedawna zmiana jego nazwy na "Poczta imienia Vossa Bendera". Była to przerazająco pośpieszna zmiana, jako że (wielki, despotyczny) kompozytor i polityk zmarł zaledwie trzy dni wcześniej – w plotkach pojawiały się różne przyczyny, od ataku serca do otrucia – a jego ciało zabrano w tajemnicy, by dokonać kremacji i rozsypać prochy na rzece Moth, zgodnie z życzeniem samego Bendera. (Wspomnieć należy o tym, że mała odszczepiencza frakcja Zielonych zasypała miasto broszurami i wielkoformatowymi odezwami, w których głoszono zmartwychwstanie ich ukochanego Bendera: miał się wcielić w pierwsze dziecko urodzone po północy dokładnie za rok. Lake zastanawiał się, czy dziecko ma się urodzić wyspiewując arie

jak słowik).

Juz sama zmiana nazwy przyprawiała Lake'a o zgrzytanie zębami. Dla jego zazdrosnego oka wyglądało to – wiedział, jakie to jest absurdalne, ale nie panował nad swoimi odczuciami – jakby na co trzecim budynku o jakimkolwiek znaczeniu nagle znalazło się nazwisko kompozytora, niedbale narzucone na nazwisko poprzedniego patrona, bez żadnego wyczucia perspektywy ani smaku. Nie dość, że Bender, gdy żył, był tyranem sztuki, tłamszącym całą operę i teatr, jeśli nie odpowiadały jego przestarzałej, melodramatycznej wrażliwości? Nie dość, że stał się faktycznym władcą miasta, które jednocześnie holdowało kultowi jednostki i wzdrygało się na samą myśl o nim? Czy teraz musiał uzurpować sobie prawo do całego miasta – do każdego kamienia – które już na zawsze i na wieki miało stać się jego mauzoleum? Najwyraźniej tak. Najwyraźniej wszyscy niedługo będą się gubić w mieście, bo każda aleja, każda ulica, każdy bulwar i zaułek będą nosić imię Bendera. Noworodkom też będzie się nadawać imię "Bender", albo, dla odmiany, "Voss". A całe nowe pokolenie Benderów i Vossów będzie bładzić i snuć się po mieście, które będzie szydzić z nich, podtykając im pod oczy ich imiona na każdym rogu ulic.

Coż, podsycił własną złość Lake; gdyby inny manzikerł rozjechał mnie podczas przechodzenia przez te oto ulice, miałbym szczęście, gdyby wyryto moje imię choćby na nagrobku! Nic dziwnego, zżymał się kwasno, ale nie bez satysfakcji, postukując łaską w stopnie schodów przed pocztą: miejsce jego ostatecznego spoczynku miałoby napis "Kamień Nagrobny Pamięci Vossa Bendera", z małym dopiskiem pod spodem "zajęty przez Martina Lake'a".

W budynku poczty, przekroczywszy próg wielkiej sali, Lake podreptał w smugach przyćmionego światła rzucanego przez oddalone okna i przedstawił się urzednikowi, mężczyźnie o twarzy przypominającej noz. Lake nigdy nie zadał sobie trudu, żeby zapamiętać jego nazwisko.

Podał mu klucz.

–Poproszę numer 7768.

Urzednik, z nogami przycisniętymi do biurka, unosił wzrok znad gazety, skrzywił się i odparł:

–Jestem zajęty.

Zdumiony Lake zamarł na sekunde, po czym machnął łaską i rzucił urzednikowi klucz na biurko.

Urzednik spojrział na klucz, jakby ten był padłym karaluchem.

–Tak, proszę pana, to jest pański klucz. Dokładnie tak. Alez proszę się nie

krepowac. Zycze powodzenia.

Zaszelescil gazeta i uniosl ja tak, zeby nie widziec Lake'a.

Lake wpatrzyl sie w palce trzymajace gazete i zastanowil sie, czy w jego najnowszym zleceniu znalazloby sie miejsce na ostre rysy tego mezczyzny: moglby uniesmiertelnic te niechec do niesienia pomocy, tepa jak kostki jego dloni. Po dlugim, nuzacym marszu przez wrogie terytorium to byla juz przesada.

Lake uniosl laska gazete i spojrzal na urzednika.

–To pan jest urzednikiem, prawda? Czyzbym przez te wszystkie miesiace dawal panu moj klucz nieswiadomy, ze jest pan po prostu gorliwym wolontariuszem?

Mezczyzna zamrugal i odlozyl gazete, prezentujac krzywy usmiech.

–Tak, jestem urzednikiem. To jest panski klucz. A pan jest kaleka.

–W czym wiec problem?

Mezczyzna obrzucil Lake'a niechetnym spojrzeniem.

–W panskim wygladzie. Jest pan odziany nieco... Niejednoznacznie.

Lake sam juz nie wiedzial, co zaskoczylo go bardziej: odpowiedz czy wygodne uzycie slowa "niejednoznacznie". Mimo to spojrzal na swoje ubranie. Nosil blekitna kamizelke na bialej koszuli, blekitne spodnie, czarne buty i takiez skarpetki.

Urzednik mial na sobie stroj barwy przejrzalych pomidorow.

Lake wybuchnal smiechem. Urzednik usmiechnal sie krzywo.

–To prawda – stwierdzil. – Nie zdeklarowalem sie. Musze sobie przygotowac specjalne ubrania na wyjscie. Czym jestem? Roslina czy mineralem?

Z chlodem i pustka w oczach urzednik oznajmil pelnym rezerwy tonem:

–Chodzi o to, czy nalezy pan do Czerwonych, czy do Zielonych.

Lake przestal sie smiac. Ten bufon mowil powaznie. Ten sam mily, choc nieco nieobecny czlowiek, ktorego ogladal co tydzien przez ponad dwa lata, ulegl mrocznemu szalenstwu zwiazanemu ze smiercia Vossa Bendera. Lake patrzyl na urzednika i widzial w nim kogos obcego.

–Jestem zielony z zewnatrz – zaczal mowic Lake, powoli i spokojnie – bo jestem rownie mlodziencyz jak obrana przeze mnie profesja, a czerwony od srodka, gdyz

jestem, jak wszyscy, zwykłym śmiertelnikiem. – Wyjął obie flagi. – Mam waszą flagę i flagę drugiej strony. – Pomachał nimi przed urzędnikiem. – Czy nie przepadałem za Vosselem Benderem i z niechęcią patrzyłem na zamordyzm, jaki wprowadził w miasto? Tak. Czy życzyłem mu śmierci? Nie. Czy to nie wystarczy? Dlaczego muszę się opowiadać po którejkolwiek stronie, skoro najchętniej wrzuciłbym te wszystkie głupie flagi do rzeki Moth i stanął z boku, patrząc, jak wasze kohorty miotają się na wszystkie strony i wyrzynają? Drogi panie, jestem neutralny. – Lake pomyślał, że doskonale mu wyszło to przemówienie.

–Dlatego, proszę pana – odparł urzędnik, wstając z wysiłkiem i sięgając po klucz Lake'a – że Voss Bender żyje.

Obrzucił Lake'a spojrzeniem, od którego temu zjeżyły się włoski na głowie, po czym ruszył w stronę skrzynek, a Martin miotł się w duchu jak kiepsko rozpalona świeca. Czy całe miasto miało zamiar bawić się w te gierki? Czy następnym razem, gdy uda się do sklepu spożywczego, starsza pani za ladą zacznie się od niego domagać, by zaspiewał arie Bendera, zanim poda mu bochenek chleba?

Urzędnik wspiał się po jednej z licznych drabinek, które opierały się o kolumny skrytek jak podniszczone drewniane owady. Lake miał nadzieję, że nie przybył tu na próżno; niech będzie tam chociaż list od jego matki, który odsunie od niego widmo tęsknoty za domem. Jego ojciec był nadal, bez dwóch zdań, zamknięty w pancerzu milczenia, który pokrywał go jak egzoszkielet cykade.

Urzędnik wyciągnął skrzynkę Lake'a, wyjął z niej coś i zszedł na dół z kopertą w dłoni.

–Proszę – rzekł, patrząc na niego z niechęcią, i podał mu kopertę; Lake chwycił ją wraz z kluczem z niezamierzona delikatnością, czując, jak jego gniew przechodzi w oszłomienie.

Na niezdradzającej miejsca ani czasu kasztanowej kopercie nie było adresu nadawcy ani jego własnego adresu. Jeszcze bardziej tajemniczy był fakt, że nie było tam również śladu znaczka pocztowego, co mogło oznaczać tylko to, że ktoś doreczył ją osobiście. Na odwrocie Lake odkrył dziwną pieczęć, odcisniętą w pomarańczowym wosku, który pachniał miodem. Pieczęć przypominała maskę o kształcie sowy głowy, kiedy jednak ją odwrócił, dostrzegł, że wygląda jak ludzka twarz. Zawily wzór przypominał Lake'owi jeden z podpisów Trilliana Wielkiego Bankiera na monetach.

–Czy pan może wie, jak ten list został doreczony? – Lake już wypowiadał to zdanie, ale kiedy odwrócił się w stronę biurka, okazało się, że urzędnik znikł, pozostawiając po sobie tylko ciszę i cien wielkiej sali, stęchłe powietrze filtrujące kurz sprzed setek lat przez miedziany polysk, otwarte drzwi jak prostokąt złotego światła. Ograniczeni

tak skromnym materialem biograficznym, musimy teraz przejść do opisu dzieła, które STALO SIĘ Martinem Lakiem: Zaproszenia na egzekucje. Obraz ten stanowi początek groteski i kontrolowanej dzikości jego obrazów olejnych: pociągnieć szmaragdu rozcinających niebo, zwinnej, intensywnej zieleni przyglądających się okien, mszystej zieleni ścian zewnętrznych; słowem – Lake'a w najlepszym wydaniu.

Tematem obrazu jest oczywiście Poczta imienia Vossa Bendera, słusznie zaliczana do najbardziej imponujących budynków Ambergris. Jeśli wierzyć słowom Broneta Radena, uznanego krytyka sztuki, który pisze: Cudowność nie jest taka sama dla wszystkich okresów historycznych – w jakiś nieuchwytny sposób żywi się okruchami objawienia ogólnego, z którego docierają do nas jedynie fragmenty: są to romantyczne ruiny, współczesne manekiny i wszelkie inne symbole zdolne oddziaływać na ludzką wrażliwość przez pewien czas.

Jednym z pierwszych osiągnięć Lake'a było rozbicie budynku poczty na fragmenty i odtworzenie go z "romantycznych ruin" w gmach ze snu; gmach, który przez trzydzieści lat przerazał i zachwycał odwiedzających pocztę.

Uważny obserwator na pewno dostrzeże, że ściany budynku poczty na obrazach Lake'a namalowano delikatnymi, starannymi pociągnięciami pędzla, tworzącymi siatkę na tle stłumionej bieli. Po bliższym przyjrzeniu się widać, że ta biel to setki kości: czaszek, kości udowych, zeber – stłoczonych i oddanych ze wzruszającą delikatnością, która cieszy oko.

Ten sposób obrazowania na poziomie powierzchniowym na pewno stanowi symboliczny ukłon w stronę dawnej funkcji budynku. Obszerna budowla, która potem stała się Poczta imienia Vossa Bendera, została zbudowana dla Kappana i jego rodziny, a następnie opuszczona po likwidacji Kappanstwa, by wreszcie zostać przekształcona w składowisko kości grzybian i miejscowych dzieci. Po jakimś czasie przestano z niej korzystać – co Lake wspaniale ukazuje dzięki powierzchniom ukrytym pod innymi powierzchniami: białe kolumny powoli przybierają szarozieloną barwę, wykrzywione w grymasie zaniedbane gargulce są poczerniałe, cała zaś wierzchnia warstwa budynku pokrywa pleśń i porosty.

Lake często odwiedzał budynek i musiał wiedzieć, do jakich celów używano go dawniej. Kiedy stara siedziba poczty splonęła i jej funkcje przejęła obecna, był on nieomal opuszczona kostnica; opowiadano, że gdy pierwsi klienci nowej instytucji otwierali swoje skrytki, znajdowali w nich stare i dziwnie delikatne kości – kości, które Lake wplotł w osnowę budowli.

Najlepiej jednak udało się Lake'owi oddać psychiczny, czy też duchowy, charakter gmachu poczty. Znany malarz i nauczyciel Leonard Venturi ujmuje to tak: Przyjrzyjmy się dwóm obrazom o tej samej tematyce: jeden może zostać zdegradowany do rangi ilustracji, jeśli jest zdominowany tylko przez tematykę i nie

ma poza nią uzasadnienia; drugi można nazwać obrazem, jeśli tematyka zostanie całkowicie pochłonięta przez styl, który jest swoim własnym uzasadnieniem, bez względu na temat, i ma właściwą sobie wartość.

Wizja budynku poczty u Lake'a jest zdecydowanie obrazem w rozumieniu Venturiego, gdyż tematyka jest tam przefiltrowana przez tunele stylu i warstwy znaczeniowe.

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucje, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piąte. Lake mieszkał w dzielnicy najbardziej oddalonej od doków i rzeki Moth, na wschodnim krancu bulwaru Albumuth, gdzie arteria ta łączyła się z plataniną burżuazyjnych uliczek, które pracowicie, a zdaniem niektórych zdradliwie, opadały do położonej niżej doliny. Okolica, zabudowana ciasnymi domami pełnymi tanich mieszkań i kafejek, roiała się od pisarzy, malarzy, architektów, aktorów i wszelkiej masy artystów. Dwa lata temu pachniała świeżością i była najmodniejsza jeśli chodzi o Nową Sztukę. Uliczne imprezy trwały do szóstej nad ranem, a niesamowite dyskusje o Nowej Sztuce trafiały na strony wpływowych dzienników i wypełniały przesycone kawą i miętą powietrze, otaczające wszystkie jadalnie. Teraz jednak pochlebcy i pieczeniarze złapali w zągle wiatr małego cudu i zaczęli krzepnąć w formie bezpiecznej, stabilnej "społeczności". W końcu odor zgnilizny – gnijących idei, gnijących związków i gnijącej sztuki – wypędził prawdziwych artystów, którzy odeszli wytyczać nowe granice. Lake miał nadzieję, że kiedyś odejdzie za nimi.

Mieszkaniem Lake'a, znajdującym się na trzecim piętrze starej kamienicy przypominającej ul. zarządzała legendarna gospodyni, znana jako "Madame Tuff" albo "Madame Truff" w zależności od przekonania religijnych mówiącego. Lokal był małą kawalerką wypełnioną lososioowymi, szafranowymi i szafirowymi dziełami krzykliwej sztuki: sztalugami z okorowanymi gałęziami brzozy; pustymi płótnami, domagającymi się uwagi; stolkami pochłapanymi farbą; krzesłem przyduszonym sterta koszul, które cuchnęły terpentyną – a spośród tego wszystkiego, jak oblezona wyspa, wylaniała się jego prycza, pokryta pozwijanymi na brzegach akwarelowymi szkicami i pedzłami sztywnymi od niestaranego mycia. Wrażenie szalenczego bałaganu sprawiało Lake'owi przyjemność; zawsze wszystko wyglądało tak jakby właśnie skończył walkę z jakimś nowym dziełem sztuki. Czasem dodawał coś do tego chaosu tuż przed przybyciem gości, ale nie oszukiwał się do tego stopnia, żeby nie śmiać się radośnie, kiedy to robił.

Wraciwszy do swego mieszkania, Lake zamknął drzwi na klucz, rzucił w ścianę łaskę, zrzucił koszulę z krzesła i usiadł, by przyjrzeć się listowi. Z całego pokoju patrzyły na niego twarze powycinane z różnych czasopism, czekając, aż przerobi je na kolację do jeszcze nie zatytułowanej autobiografii napisanej w trzeciej osobie (i wydanej nakładem własnym) przez pana Dradina Kashmira. Kolacje miały wartość miesięcznego czynszu i był już spóźniony z ich wykonaniem. Unikając twarzy, we

wszystkich dopatrywał się grymasu ojca.

Czy w kopercie było jakieś zamówienie? Wyjął ją z kieszeni i zważył na dłoni. Nie była ciężka. Jedna kartka? W neutralnym świetle mieszkania kasztanowa koperta wyglądała na prawie czarna. Pieczęć lśniła tak pięknie, że w jego artystycznym sercu pojawił się ból na myśl o złamaniu jej. Niechętnie – palce aż omdlewały mu przy tej czynności – złamał pieczęć, odgął tył koperty i wyjął kawałek pergaminu przetykanego szkarłatnymi niciami. Na pergaminie wydrukowano coś pomarańczowymi literami, a pod tekstem znajdował się symbol maski, identyczny jak na pieczęci. Lake przebiegł wzrokiem po tekście, kilkakrotnie, jakby szybkie czytanie mogło ujawnić jakieś tajemne przesłanie, ukryta wskazówkę. Tymczasem słowa niczego nie wyjaśniły, wręcz przeciwnie: Zaproszenie na egzekucje Niniejszym zapraszamy Pana na ul. Archmont 45 o 7: 30 wieczorem w 25. dzień miesiąca Prosimy o przybycie w kostiumie

Lake wpatrywał się w tekst. Jakas maskarada, ale po co? Stłumił w sobie impuls, by się rozesmiać. Podszedł do balkonu i otworzył drzwi, by wpuszczyć trochę świeżego powietrza. Nagły chaos dobiegających z dołu dźwięków, szorstkich odgłosów ruchu ulicznego – pieszych, koni, pojazdów silnikowych – sprawił, że Lake poczuł spokój, doznając uczucia wspólnoty, jakby rozprawiał ze światem o tajemnicy zawartej w liście.

Przez drzwi balkonowe dostrzegł po prawej stronie barwiony na zielono skrawek doliny, na wprost zaś plonęły biała, złotem i srebrem wieże i kopuły Dzielnicy Religijnej. Po lewej widac było czerwona cegła i pomarańczowy marmur kamienic.

Lake uwielbiał ten widok. Przypominał mu o tym, że udało mu się przeżyć trzy lata w mieście ciesząc się zła sława pozeracza niewiniątek. Nie był sławny, to prawda, ale nadal żył i nie poniósł klęski. W rzeczywistości odczuwał perwersyjną przyjemność z przeciwstawiania się i opierania niezliczonym drobnym okrucieństwom miasta, gdyż wierzył, że to go hartuje. Pewnego dnia może będzie rządzić miastem, skoro na pewno ono nie rządziło nim.

A teraz to – list, który wyglądał, jakby napisał go samo miasto. Było to raczej dzieło kogoś z jego przyjaciół malarzy – Kinsky'ego, Raffe, albo tego zepsutego lajdaka, jak mu było, Sonter? Zwykły żart, może nawet robota Merrimounta? Zaproszenie na egzekucje. Co to może oznaczać? Chyba kiedyś czytał książkę o tym tytule, powieść autorstwa Sirina, jakos tak? Sirin. Jego pseudonimy rozprzestrzeniały się po kartach czasopism literackich jak jakaś szalona, ale dziwnie cudowna zaraza.

Może jednak nie znaczyło to nic, a "ich" zamiarem było, by zmarnował trochę czasu i nie był w stanie ukończyć na czas zamówionych prac.

Lake podszedł z powrotem do krzesła i usiadł. Złoty atrament był kosztowny, a koperta, gdy przyjrzał jej się bliżej, ujawniła płatki złota; również pergamin był przetykany złotymi nitkami i pachniał woda kolonska o lekkim aromacie skorki pomarańczowej. Lake zmarszczył brwi, a jego spojrzenie błądziło po połyskliwych dachach Dzielnicy Religijnej. Koszt takiego zaproszenia przekraczał równowartość jego tygodniowych zamówień. Czy jego przyjaciele byłiby skłonni wydać tyle dla żartu?

Grymas na jego twarzy pogłębił się. A może, i to byłby najlepszy dowcip ze wszystkich, list został błędnie doreczony, a nadawca użył złego adresu. Tylko że tam nie było adresu. Znowu pomyślał o przyjaciółach. A może urzędnik – gdyby tak wrócić na pocztę – przypomniaby sobie, kto wsunął list przez szczelinę jego skrytki? Westchnął. To beznadziejne. Takie domysły tylko drażniły...

Przez otwarte okno balkonowe wleciał kamyk i upadł mu na kolana. Lake wzdrygnął się, po czym wstał z uśmiechem, stracając kamyk na podłogę. Podszedł do balkonu i spojrzał w dół. Stała tam Raffe i patrzyła na niego z ulicy; odważna Raffe w swoim sarkastycznym czerwono-zielonym zakiecie.

–Dobry rzut – zawołał.

Przyjrzał się jej twarzy, szukając oznak spisku; nie znalazł nawet śladu figlarności, ale uswiadomił sobie, że to nic nie znaczy.

–Bedziemy dziś wieczorem "Pod Cielaczką"! – Krzyknęła Raffe. – Idziesz z nami?

Lake skinął głową.

–Idźcie. Zaraz dołączę.

Raffe uśmiechnęła się, pomachała mu i ruszyła ulica.

Lake wycofał się w głąb pokoju, włożył list do koperty, wetknął go do wewnętrznej kieszeni i poszedł do łazienki po drugiej stronie korytarza, by odświeżyć się przed nocną rozrywką. Umył twarz i spojrzał w lustro barwy mchu, zastanawiając się, czy zaprosić też innych, czy też nie puścić pary zębów. Wychodząc na ulicę, w ostre światło późnego popołudnia, nadal nie mógł podjąć decyzji.

Zbliżając się do kawiarni "Pod Czerwonogardłym Cielaczką", Lake odkrył, że jego koledzy artyści, dzięki znacznym ilościom alkoholu, uznali, iż najlepszym podejściem do wojny Czerwonych z Zielonymi jest nonszalancja. Gdy przebiegała obok nich banda Czerwonych, odziana w szkarłatne szaty ze szmatek, jego przyjaciele wstali, wyjęli czerwone flagi i pomachali nimi dumnie, jak na meczu. Lake usiadł, ignorując całe to zamieszanie, a kiedy po chwili nadciągnęli Zieloni, towarzystwo znowu wstało, tym razem z zielonymi flagami w rekach, i zawyło z aprobatą.

Lake usmiechnal sie. Raffe szturchnela go lokciem pod zebra, zanim wrocila do rozmowy, a on pozwolil, by zapach kawy i czekolady zrobil reszte. Bolala go noga; tak czasem bylo, gdy byl zdenerwowany, bo poza tym nie mial powodow do narzekania. Pogoda byla przyjemna, nie bylo ani za cieplo, ani za zimno, a ciepla bryza szelescila w galazkach posadzonych w doniczkach drzew zindelowych o nefrytowych lisciach. Drzewka tworzyly miniaturowy las dookola stolikow, tlumiac szum rozmow, ale nie zaslaniajac widoku od ulicy. Artysty siedzieli w swobodnych pozach na zdobionych zelaznych krzeslach lub opierali sie o okragle stoliki ze szkla ujetego w czarne ramy, raczac sie egzotycznymi napojami i roznymi rodzajami kawy. Wlasnie zapalono latarnie, ktore rzucaly nastrojowe swiatlo na cala ich grupe, otoczona listowiem i kojacym pomrukiem rozmow.

Cztery osoby siedzace obok Lake'a zaliczaly sie do jego najblizszych przyjaciol: byli to Raffe, Sonter, Kinsky i Merrimount. Reszta zmieniala sie rownie czesto jak cegly w licznych faktoriach handlowych firmy Hoegbotton i Synowie i uznawal ja za rownie jak one interesujaca. W tej chwili X, Y i Z, niczym tyrani okupujacy male wyspy, zajmowali zewnetrzne stoliki, bladymi twarzami i blyszczacymi oczyma spogladajac na grupe Lake'a i przysluchujac sie jednym uchem wewnetrznej rozmowie, a rownoczesnie probujac zachowac watla autonomie.

Merrimount, przystojny mezczyzna o dlugich, ciemnych rzesach i szerokich blekitnych oczach, laczył w swoich dziełach elementy malarstwa i spektaklu, a samo jego zycie przypominalo spektakl. Od czasu do czasu bywal kochankiem Lake'a, ktory teraz rzucil mu nonszalanckie spojrzenie, majace sugerowac, ze moze niedlugo znow beda razem. Merrimount zignorowal go. Gdy sie ostatnio widzieli, Lake doprowadzil Merriego do placzu. "Za duzo zadasz"- powiedzial mu Merri. "Nikt nie bylby zdolny dac tyle milosci i pozostac istota ludzka. Ani przy zdrowych zmyslach". Raffe powiedziala Lake'owi, zeby trzymal sie od Merriego z daleka, ale – musial to przyznac z bolem – chciala przez to powiedziec, ze to on nie dosc dobrze traktuje przyjaciela.

Raffe, ktora siedziala obok Merrimounta – jako bufor miedzy nim a Lake'em – byla wysoka kobieta o dlugich, czarnych wlosach i ciemnych, wyrazistych brwiach, ktore nadawaly jej jasnozielonym oczom wyraz dziwnej intensywnosci. Raffe i Lake zostali przyjaciolmi juz w dniu, gdy Lake przybyl do Ambergris. Znalazla go na bulwarze Albumuth, jak obserwowal tłum z zachwyconym, niemal oniemiałym wyrazem twarzy. Pozwolila mu mieszkac u siebie przez trzy miesiace, zanim znalazl swoje miejsce w miescie. Malowala wielkie, sklezione pejzaze miejskie, na ktorych ludzie wygladali, jakby zostali uchwyceni w pol kroku w jakims zawilym i nieslychanie wdziecznym tancu. Doskonale sie sprzedawaly, nie tylko wsrod turystow.

–Czy sadzisz, ze to rozsadne zachowywac sie tak... Nieostroznie? – Zwrocil sie Lake do Raffe.

–A co masz na myśli, Martinie? – Raffe miała gęboki, bardzo kobiecy głos; uwielbiał jej słuchać.

Zanim Martin zdołał odpowiedzieć, siedzący po drugiej stronie Merrimounta Michael Kinsky odezwał się mocnym, ponurym i dudniącym tonem:

–On ma na myśli to, że nie boimy się ani osłów znanych jako Czerwoni, ani małp znanych jako Zieloni.

Kinsky miał zylaste ciało i rzadka ruda broda. Tworzył mozaiki z wyrzuconych przez innych kawałków kamieni, biżuterii i innych błyskotek, znajdujących na ulicach miasta. Cieszył się powazaniem Vossa Bendera i Lake przypuszczał, że śmierć kompozytora była poważnym ciosem dla kariery Michaela, choć – jak zwykle – powściągliwe zachowanie Kinsky'ego sugerowało raczej, że to smutne wydarzenie w ogóle go nie obchodzi.

–My się niczego nie boimy – odezwała się Raffe, unosząc podbródek i biorąc się pod boki w geście udawanej brawury.

Edward Sonter, siedzący po prawej stronie Kinsky'ego, a po lewej Lake'a, zachichotał. Miał paskudną tendencję do wydawania bardzo wysokich dźwięków w momentach rozbawienia, co stanowiło jaskrawy kontrast ze zmysłowością jego sztuki. Sonter tworzył abstrakcyjną ceramikę i rzeźby o lekko obscenicznym charakterze. Jego tyczkowata sylwetka i twarz, która wyglądała, jakby swobodnie unosiła się nad nią para oczu, często widywano w Dzielnicy Religijnej, gdzie jego dzieła znakomicie się sprzedawały.

Chichot Sontera posłużył za sygnał: zaczęli rozmawiać o pracy, opisywać fortunne i niefortunne wydarzenia dnia. Tym razem mieli nieciekawy temat do rozmowy: nieznanego Lake'owi właściciela galerii, który sprzedawał powierzchownie wystawowa w zamian za usługi seksualne. Lake zamówił kawę z czekoladową zakaską i słuchał bez entuzjazmu.

Wyczuwał znajome nuty ukrytego napięcia, każdy z artystów próbował bowiem wywieszyć coś na temat swoich kolegów – cwaniaki, o plonących oczach, gotowe zabić, żeby tylko ich własne cwaniackie ego mogło zapłonąć jak najjasniej. To napięcie zniszczyło już niejedną rozmowę, zastępując ją nagłą ciszą pełną podszytej zazdrością nienawiści. Takie okrutne i niszczące milczenie pożarło już niejednego artystę. Lake osobście lubił to napięcie, gdyż rzadko skupiało się ono wokół niego; był zdecydowanie najmniej widowiskowym członkiem wewnętrznego kregu, dopuszczonym tam dzięki władzy, jaką zapewniał patronat Raffe. Teraz jednak poczuł zupełnie inny rodzaj napięcia, skupiający się wokół listu, który spoczywał w wewnętrznej kieszeni na piersi jak drugie serce i nie dawał o sobie zapomnieć.

Cienie pociemniały, przechodząc we wczesny zmierzch, a łagodne światło latarni na urokliwie zdobionych słupach z brązu dawało odpor nocy. Podsycona winem rozmowa stała się w uszach Lake'a kuszaco anonimowa, jak to często ma miejsce w towarzystwie ludzi, z którymi dobrze się czujemy, więc Lake nigdy nie był w stanie zapamiętać, co kto dokładnie powiedział ani za jakim stanowiskiem się opowiadał. Zastanawiał się później, czy oni w ogóle coś mówili, czy też po prostu siedzieli, milcząc pięknie, a cała rozmowa miała miejsce w jego głowie, między Martinem a Lakiem.

Spędził trochę czasu na rozmyśleniach o przyjemnościach, jakie mogłoby dać pogodzenie się z Merrim – czerpaniu cudowności z jego doskonałych ust i krepkiego, zylastego ciała. Lake nie mógł jednak zapomnieć o liście. To uczucie i narastająca nuda sprawiły, że próbował skierować rozmowę na bardziej aktualne tematy.

–Słyszałem, że Zieloni wypruwają niewinnym ludziom flaki niedaleko doków, zaraz koło Albumuth. Jeśli krwawia na czerwono, uznają ich za zwolenników Vossa Bendera, jeśli zaś na zielono, napastnicy przepraszają za kłopot i próbują ich opatrzyć. Oczywiście, jeśli krwawia na zielono, pewnie i tak wylądują w kolumbarium.

–Próbujesz przyprawic nas o obrzydzenie?

–Nie byłbym zaskoczony, gdyby to była prawda – to mi pasuje do samego Bendera, samozwanczego Dyktatora Sztuki, z naciskiem na "Dyktatora". Wszyscy wiemy, że był geniuszem, ale ludzie cieszą się, że już nie żyje... Chyba że są Zielonymi z nożem w garści.

–Bardzo zabawne.

–Pewnie, to rzadkie zjawisko, żeby jeden artysta zdominował tak całkowicie życie kulturalne miasta...

–Ze nie wspomne o polityce...

(- A tak w ogóle, kto zaczął te hece z Czerwonymi i Zielonymi?)

–I żeby tyle się o nim mówiło, w tyłu kawiarniach...

(- Zaczęło się od kłótni na temat wartości muzyki Bendera między dwoma profesorami muzykologii na ulicy Trotten. Wojne o muzykę powinni wszczynać muzycy; jak już wiesz, o co chodzi, słuchaj, na łaskę boską!)

–Właśnie, że nie wspomne o polityce. Czy to przypadkiem nie jest ostrzeżenie dla nas wszystkich, że sztuka i polityka są jak olej i woda? Można to skomentować...

–...Olej i woda? To teraz wiem, czemu zajmujesz się malarstwem.

–Sprytnie.

–...Mowie, ze mozna to skomentowac jesli jest sie zmuszonym, ale chyba nie trzeba brac w tym udzialu?

–A jak nie Bender, to jakis biurokrata biznesmen w rodzaju Trilliana Wielkiego Bankiera. Nazywa sie jak reklama, a nie przywodca. Pewnie, Merrimount, w kazdym przypadku mamy pecha. A moze miasto mogloby sie rzadzic samo?

–Och, jak dotad doskonale sobie radzilo...

–Odbieglismy od tematu. Znowu, do licha?

–Ach, ale wy dwoje nie dostrzegacie, ze w rzeczywistosci to namietny zwiazek odbiorcow z jego sztuka – fakt, ze ludzie stawiaja znak rownoscii miedzy operami a czlowiekiem, wywolal ten kryzys!

–To zalezy. Chyba jego smierc spowodowala kryzys?

W tej chwili przebiegla grupa Zielonych. Lake, Merrimount, Kinsky i Sonter z pelna zaciekawienia mieszanina szyderstwa i pijackiego zapalu wyjeli zielone flagi. Raffe wstala i krzyczala za nimi:

–On nie zyje! On nie zyje! On nie zyje!

Twarz jej plonela, wlosy miala szalenczo splatane.

Ostatni z Zielonych odwrocil sie na dzwiek glosu Raffe; w swietle lamp jego twarz wygladala zlowieszczco blado. Lake dostrzegl, ze jego dlonie ociekaja czerwienia. Zmusil Raffe, by usiadla.

–Badz cicho, prosze!

Mezczyzna omiotl spojrzeniem stol, po czym pobiegl za swoimi towarzyszami i znikl z pola widzenia.

–Coz, to nie jest takie oczywiste.

–Szpiegzy sa wszedzie.

–Tak, znalazlam jednego dzis rano w swoim nosie, kiedy go dmuchalam.

–Szpiega czy nos?

Zasmiali sie, a jakis glos spoza wewnetrznego kregu, stlumiony przez gesty zywoplot, podsunal:

–To wcale nie jest pewne, że Bender nie żyje. Zieloni twierdza, że wcale nie umarli.

–Ach, tak.

Wewnętrzny krąg zrecznie przywłaszczył sobie temat, jakby nieuprzejmym gestem zatrzasnął ciężkie drzwi przed zewnętrznym.

–Tak, on żyje.

–...Albo nie żyje i wraca za dwa tygodnie, tylko trochę nadgnily. Nadpsuty?

–...Nikt tak naprawdę nie widział ciała.

–...Wszystko w najgłębszej tajemnicy. Nawet jego przyjaciele nie widzieli...

–...A to, co obserwujemy, to zamach stanu.

–Kuku!

–Zamknij się, dumny golebiu.

–Nie jestem golebiem, tylko kukulka.

–Bender nienawidził golebi.

–Kukulek też.

–Sam był kukulka.

–Buu! Buu!

–Jakby ktokolwiek rządził tym miastem...

–O wielka płodna matko matrono, Ambergris, skapana we krwi odmian pod przewartym gangrena księżycem... – Melodramatycznego zaspiewu Merrimounta nie dało się z niczym pomylić, aż Lake się ocknął.

–Czy ja dobrze usłyszałem? – Potarł uszy. – Czy to poezja? Wiersz? Ale coś tam zgrzyta: "skapana w krwi odmian"? Drogi marny mecie, chyba miałes na myśli krew dziewczyc? Każdy z nas kiedyś był dziewczycą – albo miał dziewczycę.

Z galerii dało się usłyszeć szum aprobaty.

–Nie, nie, mój drogi Martinie – zaproponował Merrimount. – Protestuje. Odmian. Skapana we krwi wielu odmian samej siebie.

–Ladnie z tego wybrnales – to znów Sonter – ale i tak myśle, że jesteś zalany.

W tym momencie Sonter i Merrimount wypadli z orbity konwersacji i utknęli na orbicie "odmiana czy dziewczyna", która ze wszelkim prawdopodobieństwem miała trwać do chwili, aż słońce i księżyc spadną z nieba. Lake poczuł ukłucie zazdrości.

Kinsky zaprezentował uprzejmy uśmiech, wstał, przeciągnął się i rzekł:

–Idę do opery. Ktoś do mnie dołączy?

Rozległo się choralne buczenie, a po nim seria "odwal się!"

Kinsky z poczerwieniałą twarzą rzucił na stół kilka monet na poczet rachunku i pokustykał ulicą, pełną pieszych mimo późnej pory.

–Uważaj na Czerwonych, Zielonych i Niebieskich – krzyknęła za nim Raffe.

–Niebieskich? – Spytał Lake, zwracając się do Raffe.

–Tak. Niebieskich. Wiecie, tych smutnych.

–Zabawne. Myślę, że Niebiescy są bardziej niebezpieczni niż Zieloni i Czerwoni razem wzięci.

–Tylko Brazowi są bardziej śmiertelnie.

Lake zaśmiał się i spojrzał za Kinskym.

–On nie mówi poważnie, prawda?

–Nie – odparła Raffe. – W końcu, jeśli już dojdzie do masakry, wydarzy się ona w operze. Sądziłam, że właściciele teatru, czy nawet aktorzy, mają więcej rozsądku i zamkną interes na co najmniej miesiąc.

–Nie powinniśmy wyjechać z miasta? Tylko my dwoje – może jeszcze Merrimount?

Raffe prychnęła.

–Może jeszcze Merrimount? A dokąd mielibyśmy jechać? Do Morrow? Na dworzec Kalifa? Wybacz, ale jestem splukana.

Lake uśmiechnął się pogardliwie.

–I dlatego tyle pijesz.

–Serio. Chcesz powiedzieć, że zapłacisz za podróż?

–Nie. Jestem tak samo biedny jak ty. – Lake odstawił drinka. – Ale chętnie zapłacę za jakąś radę.

–Jedź zdrowa żywność. Wywiąż się ze zlecen na czas. Nie pozwól, żeby Merrimount znowu się wpackował w twoje życie.

–Nie, nie za taką radę. Bardziej konkretna.

–Jaka?

Pochylił się i rzekł cicho:

–Dostałaś kiedyś anonimowe zamówienie?

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–W twojej skrytce pocztowej pojawia się list. Nie ma na nim adresu nadawcy. Nie ma na nim twojego adresu. Widac, że wysłał go ktoś bogaty. Zaprasza cię, żebyś poszła w jakieś miejsce o określonej godzinie. Wspomina coś o maskaradzie.

Raffe zmarszczyła brwi, kąciki jej oczu zżeszły się.

–Ty mówisz serio.

–Tak.

–Nigdy nie dostałam takiego zlecenia. A ty coś takiego dostałaś?

–Tak, chyba tak. To znaczy, myślę, że to zamówienie.

–Może zobaczyć ten list?

Lake spojrzał na nią, swoją najbliższą przyjaciółkę, i poczuł, że nie chce jej pokazywać tej koperty.

–Nie mam go przy sobie.

–Kłamiesz!

Już miał zaprotestować, ale wzięła go za rękę i rzekła:

–Nie, wszystko w porządku. Rozumiem. Nie chce cię wykorzystywać. Ale pewnie mam ci doradzić, czy powinieneś tam pójść?

Lake pokiwał głową, zbyt zawstydzony, by unieść wzrok.

-To moze byc cos przelomowego – jakis powazny kolekcjoner, ktory woli pozostac anonimowy, dopoki nie zdominuje rynku oryginalami Lake'a. Albo...

Zamilkla na sekunde i Lake poczul, jak ogarnia go wielki strach; strach, ktory zawladnal nim tak szybko, bo w gruncie rzeczy byl w nim przez caly czas.

-Albo...?

-To moze byc... Specjalne zamowienie.

-Co?!

-Nie wiesz, co mam na mysli?

Pociagnal lyk swojego drinka, odstawil go, po czym odparl:

-Tak, musze sie do tego przyznac. Nie mam pojecia, o czym mowisz.

-Martynie, jakis ty naiwny – mruknela i pochytila sie, by zburzyc mu wlosy.

Zaczerwienil sie, cofnal.

-Po prostu mi powiedz, Raffe.

Raffe usmiechnela sie.

-Martynie, czasem ktos bogaty wpada na bardzo sprosny pomysl w sprosnym katku swojego mozgu – a tym sprosnym pomyslem jest posiadanie spersonalizowanej pornografii autorstwa jakiegos artysty.

-Ach, tak.

-Ale pewnie to nic takiego – odparla szybko. – A jesli nawet tak, to takie rzeczy sa bardzo oplacalne. Moze nawet pozwoliloby ci to na jakis czas przestac zajmowac sie zamowieniami i zajac sie wlasna praca.

-Wiec powinienem isc?

-Sukces mozna odniesc tylko ponoszac ryzyko. I to wlasnie chcialam ci powiedziec, Martynie, jako przyjaciolka i kolezanka malarka...

-Co? Co takiego chcialas mi powiedziec?

Lake doskonale zdawal sobie sprawe z tego, ze Sonter i Merrimount zamilkli.

Objela jego dlon swoimi.

–Twoje dzieła są małe.

–Masz na myśli miniatury? – Spytał z niedowierzaniem.

–Nie. Jak mam to powiedzieć? Małe, jeśli chodzi o ambicje. Twoja sztuka stąpa ostrożnie. Musisz robić większe kroki. Musisz malować większy świat.

Lake spojrzal na chmury, próbując nie dać po sobie poznać, że zraniło go to tak bardzo, aż poczuł ucisk w gardle:

–Mówisz, że jestem do niczego?

–Mówię, że to ty nie uważasz, abyś nadawał się do czegoś. Bo niby dlaczego miałbyś marnować taki talent na powierzchowne portrety i tysiące mniejszych dyscyplin, które nie wymagają żadnej dyscypliny. Ty, Martinie, mogłbyś zostać Vosselem Benderem malarzy.

–I patrz, co się z nim stało. Nie żyje.

–Martinie!

Nagle poczuł się bardzo, bardzo zmęczony, bardzo, bardzo... Mały. Miał wrażenie, że słyszy w głowie głos swojego ojca. Jakże to niemile.

–W tym mieście jest coś ze światłem, czego nie mogę uchwycić w obrazach – mruknął.

–Co?

–Jakość światła jest fatalna.

–Nie rozumiem. Złoscisz się na mnie?

Zdołał się słabo uśmiechnąć.

–Raffe, jak mogłbym się na ciebie złościć? Muszę tylko mieć trochę czasu, żeby przemyśleć to, co powiedziałas. To nie jest coś, na co mogę się po prostu zgodzić. Ale tymczasem skorzystam z twojej rady. Pojde tam.

Twarz Raffe rozpromieniła się.

–Dobrze! A teraz odprowadź mnie do domu. Muszę się przespać.

–Merrimount będzie zazdrosny.

–Nie, nie będę – wtracił Merrimount z miną, która była w połowie grymasem, a w

polowie usmieszkiem. – Chcialbys, zebym bym.

Raffe uscisnela Lake'owi reke i powiedziala:

–W koncu zawsze mozesz odmowic, bez wzgledu na to, co to bedzie. Teraz, kiedy juz zinterpretowalismy analize Lake'a dotyczaca poczty jako budynku i metafory, czy choc troche zblizyliśmy sie do prawdy? Niespecjalnie. Jesli biografia jest zbyt skromna, by mogla nam pomoc, a budynek poczty zbyt powierzchowny, musimy siegnac do innych zrodel – zwlaszcza pozostalych znaczących obrazow Lake'a, gdyz roznice i podobienstwa do Zaproszenia moga pozwolic nam poznac prawde.

Mozemy najpierw, mozliwie najogolniej, omowic dzieła Lake'a pod wzgledem architektury, w swietle milosci do jego adoptowanego domu. Jesli Zaproszenie na egzekucje oznaczalo wkroczenie Lake'a w wiek dojrzaly, inaugurowalo takze jego fascynacje Ambergris. Miasto jest czesto wylacznym tematem dzieł Lake'a, a w prawie kazdym przypadku owo miasto otacza, dlawi lub zamyka w labiryntach ludzi goszczacych na plotnach. Co wiecej, miasto wykazuje prawie namacalna obecność w dziełach Lake'a, nieomal wcinajac sie w zycie swoich obywateli.

Doskonale znany tryptyk Lake'a Bulwar Albumuth sklada sie z czesci, ktore podobno ukazuja – o swicie, w poludnie i o zmierzchu – scene z okna czwartego pietra, wychodzacego na kilka kamienic, za ktorymi widac kopuly Dzielnicy Religijnej (blyszcza dzieki transcendentnej jakosci swiatla, ktore Lake po raz pierwszy udoskonalil w Zaproszeniu na egzekucje). Obraz sprawia dosc mocne wrazenie; dominuja w nim zolc, czerwien i zielen. Wszystkie trzy czesci laczy obecność tej samej sylwetki ludzkiej: otoczonego przechodniami mezczyzny, stojacego na bulwarze w dole. Początkowo architektura wyglada na identyczna, gdy sie jednak przyjrzec dokladniej, ulice i budynki wyraznie zmieniaja sie lub przekształcaja w kazdej scenie, w kazdej kolejnej czesci, coraz bardziej osaczajac mezczyzne. O zmierzchu budynki maja gargulce tam, gdzie wczesniej przysiadly golebie. Ludzie otaczajacy mezczyzne staja sie coraz bardziej podobni do zwierzat, maja kanciaste glowy, nosy przypominajace ryje, wystajace kly. Wyraz ich twarzy jest coraz bardziej smutny, melancholijny i tragiczny, a mezczyzna, obojetny, zwrócony do nas plecami, nie ma twarzy. Same fasady budynkow, na odmiane, przypominaja smutne twarze, wiec ogolne wrazenie wywierane przez ostatnia czesc tryptyku jest niesamowite... A mimo to – co dziwne – czujemy smutek nie z powodu ludzi czy budynkow, ale tego jednego niezmiennego elementu serii: pozbawionego twarzy mezczyzny, ktory stoi tyłem do widza.

Tam i wtedy wlasnie Lake rozstaje sie z takimi symbolistami jak wielki Darcimbaldo – odrzuca pomysl zatracenia sie w groteskowych budowlach czy rezygnacji z samego siebie na rzecz wyobrazni bez zwyczajnych ograniczen. Wszystkie jego dojrzale obrazy emanuja poczuciem porazajacego smutku. Ten smutek wynosi jego dzieła ponad dzieła wspolczesnych mu malarzy i jest zrodlem glebi, tajemnicy, ktora

tak przykuwa uwage publiczności.

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucje, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piate. Lake przespal smacznie cala bezksiezycowa czesc nocy, kiedy jednak sie obudzil, ksiezyc rozkwital bezwstydnie jasny i czerwony przy jego lozku. Posciel w purpurowym swietle zmienila sie w fioletowe fale pomietej tkaniny, sliskiej od jego potu. Poczul zapach krwi. Sciandy nia cuchnely. Na tle otwartych drzwi balkonowych stal jakis mezczyzna, prawie calkowicie przycmiony swiatlem ksiezycza za plecami. Lake nie widzial jego twarzy. Usiadl na lozku.

–Merrimount? Merrimount? W koncu do mnie wrociles.

Mezczyzna stal z boku lozka. Lake stal przy drzwiach balkonowych. Mezczyzna lezal na lozku. Lake wykonal krok w kierunku balkonu. Teraz mezczyzna i Lake stali w niewielkiej odleglosci od siebie na srodku pokoju, a polmroczny, skapany we krwi ksiezyc swiecil za Lakiem i dyszal mu w kark szkarlatnym oddechem. Lake nadal nie widzial twarzy mezczyzny. Stal dokladnie naprzeciwko niego i nie widzial jego twarzy. Mieszkanie, zastygłe w doskonalej jaskrawosci krwawiacego swiatla, krzyczalo do niego wyrazistoscia detalu. Kazdy wlos na jego wyschnietych pedzlach ujawnial najmniejsza niedoskonalosc. Kazde plotno demonstrowalo swoja porowatosc z otepiajaca szorstkoscia gipsu.

–Ty nie jestes Merrimount – rzekl do mezczyzny.

Oczy tamtego byly zamkniete.

Lake stal twarza do ksiezycza. Mezczyzna stal twarza do Lake'a.

Otworzył oczy i wystrzelilo z nich czerwonobrazowe swiatlo ksiezycza, tworzac dwie rdzawe plamki na szyi Lake'a, jakby te oczy byly tylko dziurami przechodzacyimi na wylot przez czaszke mezczyzny.

Ksiezyc zgasl. Swiatlo nadal saczylo sie z oczu mezczyzny, ktory usmiechnal sie usmiechem przypominajacym polksiezyc, a wtedy spomiedzy zebow takze zaczelo sie saczyc swiatlo.

Mezczyzna ujal lewa dlon Lake'a, obracajac ja wnetrzem do gory.

Noz przeszył srodek dloni. Lake poczul, jak ostrze rozpruwa skore, wchodzi w powiez i lezacy pod nia miesien, i dalej, w sciegna, naczynia krwionosne i nerwy. Skora odchodzila na boki, az cala dlon zostala z niej odarta, obnazona. Dostrzegl, jak noz rozcina miesien od dolnego kranca wiezadla pierścieniowego, a nastepnie poczul, nieomal uslyszal, jak mniejsze miesnie odpadaja od kosci, odcinane – szesc dla palca srodkowego, trzy dla serdecznego – noz krazyl teraz w okolicach kosci

promieniowej, a następnie nadgarstka, rozcinając ścięgna mięśnia prostującego, nerwy, najbardziej skrajne elementy tętnicy promieniowej i łokciowej. Lake widział wszystko: cienkie, żółte warstwy tłuszczu, biel kości przycmiona matowa czerwienią mięśni i szarość ścięgien, jakby chciano pokazać mu te ręce w każdym detalu. Kapła z niej gesta, ciężka krew, sącza się ze wszystkich kranców, aż nieprzyjemne odczucie dotarło do piersi. Ból był niewyobrażalny, tak niewyobrażalny, że Lake nie próbował nawet przed nim uciec; uciekał tylko przed czerwonym spojrzeniem mężczyzny, który masakrował mu rękę, gdy on stał spokojnie, nie broniąc się. Jak zalobne zawołanie, jak epitafium, objęła mu się po głowie myśl: Już nigdy nie będę malował.

Nie mogli uciec. Nie mogli uciec.

Dłoń Lake'a zaczęła mruczeć, jeczeć...

Mężczyzna odpowiedział jej śpiewem, dziwnym, smutnym, z niezrozumiałymi słowami.

Dłoń zaczęła krzyczeć: wydawała długie, przeciągłe jęki, coraz wyższe, jakby rana zmieniła się w usta, w które mężczyzna nadal zagłębiał nóż.

Lake obudził się z krzykiem. Był cały zły potem, prawa ręka obejmowała lewy nadgarstek. Próbował uspokoić oddech, chwycił łapczywie powietrze, ale wiedział, że to nic nie da. W panice wyjrzał przez okno. Nie było tam księżycy. Nikt tam nie stał. Lake zmusił się, by spojrzeć na swoją lewą dłoń (nie zrobił nic, zupełnie nic, kiedy mężczyzna mu ją masakrował) i odkrył, że jest cała.

Nie przestał krzyczeć. W Zaproszeniu na egzekucję smutek przybiera formę dwóch postaci: łowcy owadów na zewnątrz i mężczyzny widocznego w górnym oknie samego budynku poczty. (Jeśli w tym miejscu czytelnik odniesie wrażenie, że zachowałam te dwie postaci w tajemnicy, aby przedstawić je jako prawdziwe objawienie, jest to wrażenie słuszne, bo dla widza istotnie są one objawieniem: z powodu dużej liczby otaczających je szczegółów dostrzega się je zwykle na samym końcu, a wreszcie, z racji swej intensywności, stają się jedynymi dostrzeganymi elementami.

Łowca owadów, w przycmionych barwach z wyjątkiem jednej pomarańczowej iskry, biegnie po frontowych schodach z uniesioną ręką, jakby chciał odpedzić mężczyznę w oknie. Czy ta postać jest dosłownie ojcem Lake'a – tym konkretnym Łowcą Owadów? Czy też może Lake postrzega ojca jako postać mistyczną? Z moich rozmów z Lakiem można wnioskować, że bardziej prawdopodobna jest ta druga interpretacja.

Jak jednak należy interpretować jedno wyraźnie zarysowane okno na górnej

kondygnacji budynku, przez które widzimy człowieka doznającego strasznego cierpienia, z głową odrzuconą w tył, ku niebu? W jednej ręce mężczyzna trzyma list, druga jest podtrzymywana przez niewyraźny, przypominający bociana cien, przebijający ją nożem. Scena ta czerpie całą energię z widoku za oknem: zielen promieniuje na zewnątrz z pulsujących szkarłatnych plam, które znaczą miejsca, gdzie noż wbił się w ciało. Do uzyskania tego efektu przyczynia się jeszcze warstwowa technika nakładania olejnej farby przez Lake'a, sztuczka sprawiająca, że perspektywa tworzy się dzięki temu, iż postać istnieje równocześnie wewnątrz i na zewnątrz okna.

Choc budynek, będący miejscem tak złożonej sceny, poddaje się fantastycznej interpretacji, a być może pojawia się też opinia, że Lake odtworzył jakąś historyczną scenę w fantasmagorycznym wydaniu, postać z przebitą dłonią to jednoznacznie mężczyzna, nie dziecko ani grzybiano, a list w prawej dłoni mężczyzny sugeruje, że w budynku rzeczywiście mieści się urząd pocztowy, nie zaś kostnica (chyba że na fali czarnego humoru zostaniemy zmuszeni do przyznania, że dokonują w nim żywota niedoreczone listy).

Dalsza analiza twarzy mężczyzny ujawnia dwa niepokojące elementy: (1) jest to twarz uderzająco podobna do twarzy samego Lake'a; (2) jeśli dokładnie się jej przyjrzy, na przykład przez szkło powiększające, dostrzeżenie drugiego zespołu rysów, prawie przezroczysty, nałożony na pierwszą twarz. Ta "maska", której istnienie kwestionują niektórzy krytycy, naśladuje rysy pierwszej jak odcisk – z dwoma wyjątkami: mężczyzna ma zęby z odłamków szkła i w przeciwieństwie do swego odpowiednika uśmiecha się z drażniącą brutalnością. Czy jest to oblicze pozbawionej twarzy mężczyzny z Bulwaru Albumuth? Czy jest to oblicze śmierci?

Niezależnie od zamiarów Lake'a, wszystkie te elementy łączą się, wywołując u widza – nawet u widza, który postrzega mniej widoczne elementy jedynie podświadomie – autentyczne uczucie niepokoju i przerażenia, jak również uwolnienie tego przerażenia poprzez pełen bólu, bezgłosny krzyk mężczyzny w oknie. Mężczyzna w oknie to jedyny ruch na obrazie, gdyż odchodzący pośpiesznie łowca owadów, podobnie jak kości budynku poczty, należy już do przeszłości. Tylko opuszczona postać w oknie żyje, schwytna na zawsze w teraźniejszości. Ponadto, choć jest opuszczona przez łowcę owadów i przeszyta przez cien, który może być manifestacją własnego strachu, światło nigdy jej nie zdradza ani nie opuszcza. Tonacja Lake'a jest, jak notuje Venturi, "raczej wyrazista niż jaskrawa, a zawarte w obrazie światło jest raczej światłością psychologiczną niż fizyczną".

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piąte. Lake spędził cały następny dzień próbując zapomnieć o nocnym koszmarze. Chcac uciec od nieprzyjemnej atmosfery, wyszedł z mieszkania – dopiero jednak po wysłuchaniu poważnej przemowy Madame Truff o tym, jak to głośne

halasy po polnocy sa wyrazem braku szacunku dla pozostalych najemcow. Za Dama stalo kilku sasiadow, ktorzy bynajmniej nie przyszli mu z pomoca, ale najwyrazniej slyszeli jego krzyki i teraz gapili sie na niego z zaciekawieniem.

Kiedy juz kara dobiegla konca, Lake wyszedl i zaczal przedzierac sie z teczka pod pacha zatloczonymi ulicami do Galerii Ukrytych Fascynacji. Teczka zawierala dwa nowe obrazy; oba przedstawialy rece jego ojca, takie, jakimi je zapamietal, rozpostarte jak skrzydla, jak rog obfitosci wypelniony pelzajacymi owadami – mrowkami aksamitnymi, cykadami, cmami, motylami, pajeczakami, modliszkami. Bylo to studium, nad ktorym pracowal przez lata. Ojciec mial wspaniale zniszczone rece, pogryzione i pokasane niezliczona ilosc razy, ale byly jak wypolerowane, gladkie jak bialy marmur.

Wlascicielka galerii, Janice Shriek, przywitala go w drzwiach; byla powazna, zgarbiona kobieta o wyrachowanych, chlodnych, niebieskich oczach. Tego ranka miala na sobie fircykowate meskie spodnie i marynarke, a pod nia biala koszule, ktorej rekawy konczyly sie mankietami, wygladajacymi, jakby zrobiono je z wycinanych papierowych serwetek. Shriek wspiela sie na palcach, by ceremonialnie cmoknac Lake'a w policzek, rownoczesnie wyjasniajac, ze niski, zazywny mezczyzna, ktory wlasnie rzucal swoj okragly cien w odleglym kacie galerii, wyrazil zainteresowanie jednym z dzieł Lake'a; jak dobrze, ze Lake akurat sie pojawil, bo wlasnie podsycala zainteresowanie klienta – czy ona rzeczywiscie uzyla slowa "podsycac"? Niech Lake odlozy te teczke, odczeka chwile, podejdzie i przedstawil sie, z laski swojej – po tych slowach podreptala do potencjalnego klienta, zostawiajac Lake'a oszolomionego jej zachowaniem. Nie mozna bylo powiedziec, ze Janice Shriek brakowalo energii.

Odlozyl swoja teczke na pobliski stolik, a dzieła niezliczonych konkurentow patrzyly na niego ze scian. Jedynym dobrym obrazem (oczywiscie poza pracami Lake'a) byla miniatura Bursztyn w miescie autorstwa malarza bedacego wielkim odkryciem Shriek, Rogera Mandible'a, ktory – o czym Shriek nie wiedziala – stworzyl te delikatne bursztynowe cienie z woskowiny slynnej divy, ktora miala pecha zasnac przy kawiarnianym stoliku, przy ktorym Mandible mieszal swoje farby. Lake rechotal za kazdym razem, gdy widzial to dzieło.

Po chwili Lake podszedl do Shriek i dzentelmena i wdal sie w niezobowiazujaca pogawedke, od ktorej dostawal mdlosci.

–Tak, to ja jestem autorem.

–Maxwell Bibble. Milo mi pana poznac.

–Mnie rowniez, panie Bibble. To rzadka przyjemnosc moc poznac prawdziwego wielbiciela sztuki.

Bibble cuchnal burakami. Lake nie mogl tego zniesc. Bibble cuchnal burakami. Lake z trudem powstrzymywal sie przed powiedzeniem: Bibble z bulgotem spija butelkowane buraki...

–Wiec pan sobie tak swietnie radzi z tym, no, kolorem? – Rzekl Bibble.

–Jakiz pan spostrzegawczy. Janice, slyszalas, co pan powiedzial? – Zwrocil sie do Shriek Lake.

Shriek pokiwała nerwowo glowa i rzekla:

–Pan Bibble jest czlowiekiem interesu, ale zawsze chcial byc... – "Burakiem?" – Pomyslal Lake, ale okazalo sie, ze nie:

–...Znawca sztuki – dokonczyla Shriek.

–Tak, wspaniale kolory – rzekl Bibble, tym razem z wiekszym przekonaniem.

–To nic wielkiego. Prawdziwy artysta potrafi zmusic nawet najbardziej uparte swiatlo, zeby pracowalo na jego korzysc – odparl Lake.

–Tak przypuszczam. Myslalem, ze ten obrazek dobrze wygladalby w kuchni, kolo haftu zony.

–W kuchni, kolo haftu zony – powtorzyl obojetnym tonem Lake i zaprezentowal lodowaty usmiech.

–Tylko zastanawiam sie, czy nie jest za duzy... – Jest mniejszy, niz wyglada – podsunela Shriek, zdaniem Lake'a zalosnie.

–Moze moglbym go jakos przerobic, przyciac – rzekl, piorunujac ja wzrokiem.

Bibble skinal glowa, po czym przylozyl dlon do podbrodka, w milczeniu kontemplujac rozne mozliwosci.

–A moze po prostu rozetne go na cztery czesci, a pan sobie wybierze te cwiartke, ktora mu sie najbardziej spodoba? – zaproponowal Lake. – Czy moze na osiem bardziej by panu odpowiadalo?

Bibble gapil sie na niego przez chwile z tupa mina, az interweniowala Shriek:

–Ach, artysci! Zawsze musza zartowac! Wie pan, naprawde nie przypuszczam, zeby okazal sie za duzy. Zawsze moze pan go kupic i oddac, jesli nie bedzie pasowal – pieniedzy, co prawda, nie zwracamy, ale moze pan wtedy wybrac cos innego.

Dosc, pomyslal Lake i wylaczyl sie z rozmowy. Pozwolil Shriek rozwodzic sie

przekonująco o podstępnej potędze jego pociągnięć pedzła: był to stek cwanych nonsensów, którym Lake równocześnie pogardzał i który uwielbiał. Nie mógł narzekać na to, że Shriek zaniedbuje jego promocje – była jedyną właścicielką galerii, która przyjmowała jego prace – ale nienawidził tego, że przywłaszcza sobie jego sztukę, mówiąc o niej tak, jakby stworzyła ją sama. Shriek, niespełniona malarka i początkująca historyk sztuki, założyła galerię dzięki szczodrości swojego słynnego brata, historyka Duncana Shrieka, który podsylał jej także licznych spośród jej pierwszych i najlepszych klientów. Lake miał wrażenie, że jej ped do przodu był związany z jakimś poczuciem winy, spowodowanym tym, że nie musiała zaczynać od zera jak wszyscy inni.

W końcu, na widok wymuszonego uśmiechu Lake'a, nadal cuchnący burakami Bible ogłosił, że nie może w tej chwili podjąć decyzji, ale wróci później. Alez oczywiście, że wróci – jakże to przyjemność poznać samego artystę.

Na co Lake odparł, i pozalował tego już w chwili, gdy otworzył usta:

–Przemijność to BYC artysta.

Shriek rozesmiała się nerwowo. Nieprzyjemny rechot wydobył się także z ust niedoszłego nabywcy, którego reke Lake starał się z całej siły zmiażdżyć w pożegnalnym uścisku.

Gdy Bible odszedł, Shriek zwróciła się w jego stronę i oznajmiła:

–To naprawdę cudowne!

–Co takiego?

Oczy Shriek przybrały chłodniejszy niż zwykle wyraz.

–Ta pełna samozadowolenia, arogancji i wywyższania się postawa. Oni to uwielbiają, wiesz – wtedy mają poczucie, że nabyli dzieło dobrze zapowiadającego się geniusza.

–A nie jest tak? – Spytał Lake. Czy ona powiedziała to z sarkazmem? Wolal udawac, że wcale tak nie bylo.

Shriek poklepała go po plecach.

–Wszystko jedno, czy tak jest rzeczywiście, czy nie. Rob tak dalej. A teraz przyjrzyjmy się nowym obrazom.

Lake przygryzł wargi, ratując w ten sposób swoją karierę przez ostatecznym ciosem, po czym podszedł do stołu i sięgnął po dwa płotna. Rozłożył je z teatralnym

gestem.

Shriek wpatrzyła się w niego z zagadkowym wyrazem twarzy.

–No i jak? – Spytał wreszcie Lake, a w uszach brzęczały mu słowa wypowiedziane poprzedniego wieczora przez Raffe. – Podobają ci się?

–Hmm – mruknęła Shriek, odrywając wzrok od obrazów, jakby jej myśli były daleko stąd.

Lake'owi w tej chwili objawiła się instynktownie prawda, której dotąd doświadczał jedynie intelektualnie: był tylko jednym z potencjalnych dostawców Shriek i pewnie ją nudził.

Mimo to naciskał, oczekując upokorzenia:

–Podobają ci się?

–Ach! Obrazy?

–Nie... – "Woskowina na twojej ścianie? Buraki?" – Pomyślał. – Tak, obrazy.

Shriek zmarszczyła brwi i dotknęła reka podbrodka, mimowolnie naśladowując nieobecnego już Bibble'a.

–Sa bardzo... Interesujące. Interesujące!

–To rece mojego ojca – rzekł Lake, świadom, że oto wdaje się w zwierzenia zarówno niestosowne, jak i zbędne, jakby mógł sprawić, że obrazy spodobały jej się bardziej dzięki temu, że on powie: to się wydarzyło naprawdę, to jest osoba, którą znam osobście, to jest prawdziwe, zatem musi być dobre. Nie miał jednak wyboru i brnął dalej: – Mój ojciec to strasznie mało mowny człowiek, jak większość łowców owadów, i miał tylko jeden sposób porozumiewania się ze mną, Janice: przychodził do domu ze złożonymi rękami, a kiedy je rozkładał, okazywało się, że ma tam jakiś żywy klejnot, jakiś rzadko spotykany cud ze świata owadów – Isniaco czarny, albo czerwony, albo zielony – a jego oczy również Isniły. Mówił mi, jak się nazywa, cichym, stłumionym głosem, i z taką miłością; opowiadał, jak bardzo różni się między sobą, i podkreślał, że choć się je zabija, a w ciężkich czasach nawet zjada, trzeba to robić z szacunkiem i wiedzą. – Lake wbił wzrok w podłogę. – Chciał, żeby ja też został łowcą owadów, ale ja nie chciałem. Nie mogłem. Musiałem zostać malarzem. – Przypominał sobie, jak wszelka radość uszła z ojca, gdy uświadomił sobie, że syn nie pójdzie w jego ślady. Obserwowanie, jak samotny jest jego ojciec, schwytany w sidła swej profesji i własnej powściągliwości, sprawiało Lake'owi przykrość, ale wiedział, że ojcu jest jeszcze bardziej przykro. Tesknął za nim; odczuwał dziwny ból w piersi.

–To wspaniała historia, Martinie. Naprawde wspaniała.

–A wiec wezmiesz je?

–Nie. Ale historia jest piekna.

–Widzisz, jak wspaniale udaly mi sie owady? – Rzekl Lake, wskazujac na nie.

–Tak, udaly sie, ale mamy martwy sezon, a ja nie mam miejsca. Moze jak sprzedam ktoreś z twoich dzieł. – Jej ton mowil mu wyraznie, ze nie powinien zanadto nalegac.

–Rozumiem – odparl Lake, angazujac w te slowa cały wysilek woli. – Przyjde za pare miesiecy.

Zaproszenie na egzekucje zaczynalo wygladac coraz lepiej.

Gdy wrocil do swojego mieszkania, by pracowac nad zamowieniem od pana Kashmira, byl stanowczo nie w sosie. Nie dosc, ze wizyta w galerii okazala sie wielkim rozczarowaniem, to jeszcze po drodze wydal pieniadze na tlusta kielbaske, ktora zalegala mu w brzuchu jak dodatkowa petla jelit. Nie mogl sie pozbyc obrazu mezczyzny z koszmaru; jego wizerunek wciaz powracal, bez wzgledu na to, jak bardzo Lake staral sie o tym zapomniec.

Mimo to, z obowiazku, siegnal po ilustracje, ktore wydarl z przeznaczonych do wyrzucenia ksiazek, kupionych tanio na tyłach Księgarni Borges. Zaczal je ciac zardzewialymi, zachlapanymi farba nozycami. Podczas realizacji zleceń pomysly przychodzily mu do glowy bynajmniej nie w formie przeblyskow podsylanych przez jego muze, ale jako spokojne odtwarzanie w pamieci dawnych prac. Wiedzial, ze ostatnio sie troche lenil, produkujac w swoich zleceńiach dosłowne "przekłady" i tlumiac wszelkie przeblyski własnej wyobrazni.

To jednak wcale nie wyjasnialo, dlaczego – po chwili pracy – spojrzal na spoczywajaca na sztalugach koperte z zaproszeniem, po czym odkryl, ze wyciawszy starannie trzy postacie tanczacych dziewcząt, rownie starannie odcial im glowy i wycial na piersiach gwiazdziste motywy.

Z obrzydzeniem cisnal nozyczki do kata i pozwolil, by resztki tanczacych dziewcząt opadly na podloge jak egzotyczne konfetti. Coz, zlecenie od pana Kashmira bedzie musialo poczekac na chwile natchnienia. A tymczasem, jako ze dzien byl jeszcze mlody, Lake mial zamiar skorzystac z rady Raffe i popracowac nad czymś własnym.

Podszedl do zagraconych sztalug i oproznil je, kladac cztery albo piec plocien na juz ogarnietym chaosem lozku; przysunal sobie taboret, znalazl czyste plotno i przybil je do sztalug. Powoli zaczal nakladac farbe na plotno delikatnymi pociagnieciaми pedzla. Choc ostatnie trzy lata minely mu na realizacji niezliczonych

zamowien, znajomy zapach farby podrażnił zmysły, a co ważniejsze, Lake dostrzegł, że światło jest ostre i nie będzie musiał pożyczac latarni od Madame Truff.

Nie mając pojęcia, jaki ma być temat obrazu, ani nawet – jak najlepiej klasz farby olejne, nie ustawał w nakładaniu kolejnych warstw farby, świadom dotyku pędzla o płotno. Raffe zmusiła go do malowania olejami wiele miesięcy temu. Wtedy obrzucił ją zdumionym, pełnym wyższości spojrzeniem, gdyż jej ostatnim prezentem były specjalne farby wyprodukowane z mieszaniny naturalnych barwników i atramentu słodkowodnej kalamarnicy. Używał ich przez tydzień, aż zauważył, że jego obrazy zaczęły blaknąć; po paru dniach płotna były znowu puste, jak nowe. Raffe, która zawsze próbowała odnaleźć we wszystkim element dobra, powiedziała mu, gdy następnego dnia spotkali się w kawiarni, że może zostać sławny, sprzedając "znikające obrazy". Rzucił w nią farbami. Na szczęście chybił i uderzył jakiegoś przypadkowego przechodnia – zdumionego i zdumiewająco przystojnego mężczyźna nazwiskiem Merrimount.

Tym razem jednak pomysł Raffe okazał się nie taki zły. Minęło kilka lat, odkąd Lake ostatnio malował olejami; zapomniał już, jak łatwo można ich używać do tworzenia tekstur, jak kolejne warstwy farby układają się na sobie. Szczególnie podobał mu się sposób, w jaki można mieszać kolory, uzyskując gradacje cienia. Zakładając, że jego kłopoty były chwilowe – i że do tej pory wystarczała mu płachta malarska – pracował nad budowaniem koloru, nawet teraz nie przestając oglądać się przez ramię: szmaragd, jaszka, mech, limetka, grynszpan. Mieszał wszystkie odcienie, aż uzyskał Isniace, polyskujące tło. Potem, na ciemnej zieleni, zaczął malować twarz...

Dopiero dobiegające z Dzielnicy Religijnej wezwanie na modlitwę – pięć ponurych uderzeń dzwonu ze starej truffidianskiej katedry – wytraciło Lake'a z transu. Zamrugnął, odwrócił się w stronę okna, po czym przeniósł wzrok z powrotem na płotno. Ze strachem i przerażeniem wypuścił pędzel z ręki.

Ze zwierzęcych ust postaci wystawały zęby z potrzaskanego szkła, przez które mężczyźna uśmiechał się z okrucieństwem, a nad zmasakrowanym nosem Isniły, niczym bliźniacze płomienie, oczy. Lake patrzył na postać z koszmaru.

Przez długą chwilę przyglądał się swojemu dziełu. W pierwszym odruchu chciał wszystko zamalować i zacząć od nowa; dopiero po chwili przyszedł drugi, głębszy impuls: skończyć je. Będzie o wiele lepiej, pomyślał, jeśli twarz pozostanie na obrazie, niż gdyby – usunięta – miała rozgospic się w jego myślach. Poczł dreszcz, gdy uswiadomił sobie, że jest to niepodobne do czegokolwiek, co dotad stworzył.

–Schwytałem cie – oznajmił z tryumfem.

Postać gapila się na niego niezmiernymi oczami i milczała. Na obrazie może się uśmiechać, ale nie może już uśmiechać się tylko do niego. Teraz będzie się

usmiechac do calego swiata.

Popracowal nad postacia jeszcze przez kilka minut, tworzac zarys powiek i zwezajac kosci policzkowe, z ulga, gdyz teraz dotarło do niego, ze twarz nalezy do calego swiata, moze zawsze istniala gdzies na swiecie; chcial namalowac ja z największym bogactwem szczegolu, zeby zaden jej element juz go nie scigal.

Gdy cienie zgestnialy i sciemnialy, odlozyl palete, wyczyscil pedzle terpentyna, umyl je w zlewie po drugiej stronie korytarza i szybko ubral sie przy muzyce ulicznego grajka. Wlozyl marynarkę, po czym wetknal do kieszeni na piersi szkicownik i dwa zaostrome olowki – a nuz jego tajemniczy gospodarz zacznie sie domagac jakiegos pokazu jego talentu. Przesunal palcami po ozdobnej pieczeci i wlozyl tam rowniez zaproszenie.

Po chwili grzebania pod lozkiem wyjal stamtad skladana maske: gumowy zabi leb, ktory nosil podczas Festiwalu Slodkowodnych Kalamarnic rok temu. Powinna wystarczyc za przebranie. Upchal maske w bocznej kieszeni; jej niezgrabne oko patrzylo na niego groteskowo. Dalsze grzebanie pozwolilo znalezc plan. Kazdy rozsadni obywatel Ambergris nosil przy sobie plan miasta, gdyz skladalo sie ono z niezliczonych ulic, ktore sprawialy wrazenie, jakby co chwila z wlasnej woli zmienialy kierunek.

Poswiecil kilka nerwowych sekund na poprawianie krawata, po czym zamknal za soba drzwi mieszkania. Wzial gleboki oddech, zszedl po schodach i ruszyl bulwarem Albumuth, a niebo plonelo pomaranczem i zielenia, spotykanymi w Ambergris i tylko w Ambergris.

Ten rodzaj iluminacji odnajdujemy w prawie wszystkich obrazach Lake'a, ale w zadnym nie jest tak uderzajacy jak w prowokacyjnym Plonacym domu, gdzie zazebia sie z komentarzem na temat jego leku przed ptakami – jedynym obrazie, gdzie mozna znalezc nawiązanie do ptakow, poza Zaproszeniem na egzekucje i Jego oczami, ktory wktrotce omowie. Plonacy dom to mieszanina czerwieni, zolci i pomaranczu – tak jak Zaproszenie na egzekucje jest mieszanina zieleni, ale z calkowicie odmiennym efektem. Na obrazie widac dom, ktory odartło z dachu i frontowej sciany, odslanjajac sowe, bociana i kruka, ktore plona zywcem, a caly plomien przybiera ksztalt ognistego ptaka, namalowanego w stylu Lagacha. Lake juz nigdy nie zblizyl sie bardziej do czystej fantazji niz w tym dziele, wyrazajacym spelnione zyczenie, w ktorym jego strach przed ptakami zostaje unicestwiony przez ogien. Jak napisal Venturi, "Urok tego obrazu wiaze sie z tajemnicza sila sugestii: westchnieniem fatum, ktore wieje nad dziwnie poskrecanymi postaciami". Byc moze to jest ow kawalek ukladanki, ktory opisuje proces przemiany Martina Lake'a. Jesli tak, nie wiemy za bardzo, gdzie nalezaloby go umiescic – ani czy nalezy go umiescic blisko, czy daleko od kawalka, ktorym jest Zaproszenie na egzekucje.

Mniej niejednoznaczne powiązanie z Zaproszeniem można znaleźć w osobie Vossa Bendersa, sławnego twórcy oper, z domu polityka, i w zamieszaniu, jakie nastąpiło po jego śmierci: śmierci, która miała miejsce zaledwie trzy dni przed rozpoczęciem przez Lake'a pracy nad Zaproszeniem. W udzielanych później wywiadach zwykle mało mówny Lake wyznawał, że żył dla Vossa Bendersa najwyższy szacunek, ba, nawet traktował go jako inspirację (choć nie przypominam sobie, by Lake w ogóle wspominał o Benderze w czasach, kiedy go znał). Wielu historyków sztuki zauważyło powtarzający się motyw Bendersa w dziełach Lake'a i zastanawiało się, czy Lake miał obsesję na punkcie zmarłego kompozytora. Być może, jak sugeruje Sabon, Zaproszenie jest dziełem upamiętniającym Vossa Bendersa. Jeśli tak, jest ono pierwszym dziełem z trylogii; dwa pozostałe to Jego oczami i Aria do lamliwych kości zimy, które wyraźnie stanowią hołd dla Bendersa.

Fragment z Krótkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucję, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piąte.

Zmierzch pachniał mieszanką krwi i skórki pomarańczy, a zamierające światło zostawiało delikatny złoty osad na mosiężnych galkach u drzwi wejściowych banków, na miedzianych masztach przy ambasadach zagranicznych dygnitarzy i na fontannie Trilliana, gdzie na szczycie obelisku przysiadł smutny cherubin z różanego marmuru, opierając się jednym łokciem o czarna, podstępnie lypiąca czaszkę. Tłumy zbierały się na oświetlonym latarniami placu przy fontannie, by wysłuchać stojących na drewnianych skrzynkach poetów, deklamujących swoje wiersze. Z pobliskich tawern w równych proporcjach dobiegała muzyka i syczało się światło; światło załamywało się cienkimi snopami na kocich łbach, a stojący na chodniku sprzedawcy kusili przechodniów wszelkimi rodzajami zakasek, od niefortunnych kielbasek – takich jak ta, którą zjadł Lake – po razaco grzeszne wypieki. Niewiele osób poza Ambergris zdawało sobie sprawę z tego, że malowane przez Darcimbalda twarze z owoców i morskich rybek były z życia wzięte: podpatrzone u sprzedawców, którzy układali pomarańcze, jabłka, figi i melony tak, by tworzyły twarze, z czarnymi winogronami udającymi oczy, albo układali dumne oblicze burmistrza z warstw raków, pstrągów, krabów i niewielkich kalamarnic. Sprzedawcy ci cieszyli się nieomal taką samą popularnością jak uliczni poeci i zaczęli wieszac przed swoimi kramami latarnie, rzucające światło pod dużym kątem, by przechodnie mogli podziwiać ich ulotną sztukę. Przez ten ciasno zbity tłum przebiegały pojazdy konne i silnikowe, hamując gwałtownie przed pijanymi i nieostrożnymi, którzy popychali je i kolysali przy każdej okazji.

Tutaj, teraz, twarze pokryte wypiekami, mieszanina ciemności i światła, klebiące się, cieniaste fasady budynków odgrywały tysiące scen, które były cenne dla oka artysty, ale Lake, skupiony nad mapą, postrzegał je w tej chwili tylko jako niedogodności.

A nawet coś gorszego od niedogodności. Trudność, z jaką przychodziło Lake'owi przedzieranie się przez tłum z łaską w dłoni, przekonała go, że powinien zatrzymać jakiś pojazd silnikowy do wynajęcia. Stary, kosztowny model, nieomal wygodniejszy od jego mieszkania i przezornie udekorowany czerwonymi i zielonymi flagami, miał jedynie dwie wady: trząsał się (przyczyna tego stanu była prawdopodobnie woda w benzynie) – i wiozł dużą, bardzo brudną owcę, z którą Lake był zmuszony dzielić tylne siedzenie. Mężczyzna i zwierze przyjrzeni się sobie z niepokojem, a kierowca uśmiechnął się i przeprasząco wzruszył ramionami (czy ten gest był przeznaczony dla Lake'a, czy dla owcy?) i pojazd popędził wąskimi uliczkami. Lake i tak opuścił go jako pierwszy, wysiadając na skraju zadanej dzielnicy. Nerwowy kierowca ruszył z największą prędkością, gdy tylko Lake mu zapłacił. Nie ulegało wątpliwości, że z powodu okrzętej trasy, jaką musiał pokonać, by zawieźć Lake'a, owca spóźniła się na umówione spotkanie.

Lake rozejrzał się po okolicy – był to południowo-wschodni skraj Dzielnicy Religijnej – i doszedł do wniosku, że rzadko widywał coś tak ponurego. Budynek wznosił się na wysokość czterech albo pięciu kondygnacji i miał niewiele okien, przez co wyglądał, jakby odwracał się od niego, zwracając się w kierunku plataniny domów i kamienic, gdzie znajdowało się miejsce, do którego zmierzał. Oglądając takie ponure budowle Lake miał wrażenie, że widzi obraz z przyszłości – obraz rozkładu, który czeka kamienicę mieszczącą jego obecne lokum, gdy Nowa Sztuka wyprowadzi się, zostawiając po sobie jedynie niespełnione obietnice. Na ścianach widac było ślady ognia, drzwi na parterze były przegniłe albo wyrwane, a poczerniałe od rdzy balkony zwisały się złowieszczo. W niektórych miejscach Lake dostrzegał kości domieszane do zaprawy: kiedyś zmarłych grzebano w ścianach ich własnych domów.

Wyjął zaproszenie, przesunął dłoń po kasztanowozłotych nitkach. Może to jednak był po prostu dowcip. A może zapraszający chciał być dyskretny. Lake zadrzał, zawahał się, po czym przypomniał sobie o swojej rozmowie z Raffe; wreszcie stanęła mu przed oczami denerwująca twarz Shriek z tym jej: "Interesujące". Westchnął, zadrzał i ruszył między dwa wysokie budynki, czując się nieswojo w rzucanym przez nie cieniu, blisko pustych lub powybijanych okien, w których pokrytych kurzem szybach czaiło się coś drapieżnego. Jego łaska postukiwała po kamieniach; dźwięk brzmiał w tym otoczeniu melancholijnie.

W końcu wynurzył się z wąskiej uliczki i wkroczył na szerszą, zasypaną śmieciami ulicę. Kilka chrząkających guzów z zakrzywionymi klami walczyło o resztki z anemicznymi grzybianami. Światło zbladło i było teraz ciemnobłękitne, przez co odnosiło się wrażenie, że jest chłodniej, niż rzeczywistość było. Odległe wezwania na modlitwę, dobiegające z Dzielnicy Religijnej, brzmiały jak krzyki ludzi topiących się piętnaście metrów pod wodą.

W niewyraźnym świetle ulicznej latarni Lake wypatrzył nazwę ulicy: ul. Salamandry,

ale nie zdołał znaleźć jej na mapie. Przez dłuższy czas wędrował samotnie, w ciemności rozdzieranej nieregularnie rozmieszczonymi lampami, przyglądając się tabliczkom i nadal nie mogąc odszukać na mapie żadnej z tych ulic. Usiłował nie dopuszczać do siebie myśli, że się zgubił, rozmyślając, jak najlepiej byłoby oddać na płotnie otaczające go cienie.

Po jakimś czasie uswiadomił sobie, że ciemność, która choć trochę rozjasniały lampy, nabrała jakiegoś mglistego charakteru, w wyniku którego przestał cokolwiek widzieć. Mgła nadciągała z nad rzeki Moth. Przeklął swój pech. Najpierw znikły gwiazdy, zaciemnione cieniem i metną, pelzająca dzikością mgły. To była jakaś zła mgła, usmiechająca się złośliwie, wygryzająca sobie drogę po niebie, przez przestrzeń między różnymi rzeczami, zasłaniająca noc. Pachniała rzeka: mulem i słoną wodą, rybami i namorzynami. Przetoczyła się przez Lake'a, jakby w ogóle nie istniał. I z tego powodu uczyniła go istotą bezcielesną, gdyż nie widział już swoich rąk ani nóg, nie czuł nic poza ocieplającą wilgocą mgły, która przyłgnęła do niego i oblepiła go. Był wolny. W tym opanowanym przez mgłę świetle nie było niczego rzeczywistego. Gdy w nim przebywał, nie mógł doświadczyć niczego prawdziwego.

Zagubiony, i zagubiony ponownie, obracający się pośród bieli, niewiedzący, czy posuwa się do przodu, czy też idzie po własnych śladach, Lake poczuł, że uczucie wolności zmieniło się w strach – strach przed nieznanym, strach, że może się spóźnić. Kiedy więc dostrzegł przycmione światło przed sobą, ruszył szybko w jego kierunku, nie zważając na przeszkody, z powodu których mógł skreślić kostkę czy upaść na twarz.

Przecznice dalej dotarł do źródła światła: wysokiej, odzianej w zieloną szatę z kapturem postaci łowcy owadów; jego wielka, okrągła szklana płyta była przymocowana do wiszącej poniżej latarni o kształcie boi. Jak większość łowców owadów, których głód zmusił do zajęcia się tym fachem, także i ten był chudy, o koscistych, lecz silnych ramionach. Szkło było tak wielkie, że mężczyzna trzymał je obydwojema odzianymi w rękawice dłońmi, a koniki polne, cmy, zuki i królowe mrowek uderzały o nie, próbując dostać się do światła.

Płyta szklana działała jak lepka soczewka wstawiona w okrągłą, mosiężną ramę; kiedy wypełniała się owadami, soczewkę zdejmowano i umieszczano w worku. Łowca owadów wkładał wówczas nową soczewkę i powtarzał całą operację. Po powrocie do domu całą lupę delikatnie odklejało od soczewki, by ją następnie ugotować, upiec lub zakonserwować w soli, a potem nanizac na przypięte do pasa sznurki i sprzedać następnego dnia. Lake spędził wiele wieczorów nawlekając owady na sznurki i zawiązując specjalne węzły, których nauczył go ojciec.

Zanurzonemu we wspomnieniach i we mgle Lake'owi przez sekundy przyszło do głowy, że ten mężczyzna to jego ojciec. Czemu nie miałby to być on? Obaj byłiby duchami, zeglującymi pośród nocy.

Pierwsze słowa, jakie skierował do łowcy owadów, były niepewne, pełne szacunku dla jego własnej przeszłości.

–Przepraszam! Przepraszam pana!

Mężczyzna obrócił się wolno, z gracją, by spojrzeć na najnowsze lupy. Faldy szaty łowcy owadów zakrywały mu twarz, wystawał tylko sterczący nos w kształcie kosy.

–Tak? – Łowca miał głęboki, dzwieczny głos.

–Czy zna pan drogę do ulicy Archmont? Moja mapa okazała się bezużyteczna.

Łowca owadów unosił koscisty palec i wskazał coś w górę. Lake podniósł wzrok. W świetle lampy łowcy widniała tam tabliczka: ul. Archmont. Lake stał właśnie na tej ulicy.

–Och – odparł. – Dziękuję panu.

Łowca owadów znikł jednak we mgle, stając się tylko cieniem pod latarnią, której blask już zaczął przygasac...

Teraz znalezienie numeru 45 było łatwe – w przeciwieństwie do drzwi z prawej i z lewej to wejście nie należało do zbyt zaniedbanych, a nad brama świeciła się lampa. Cyfry "4" i "5" wymalowano błyszczącym złotem, same drzwi były pomalowane na kolor kasztanowy, schody starannie zmieciono, kolatka miała taki sam kształt jak pieczęć na kopercie – a wszystko pachniało mydlinami.

Czując się nieco pewniej na widok schludności tego miejsca, z radą Raffę nadal rozbrzmiewająca w uszach, Lake unosił kolatkę i opuścił ją – raz, dwa, trzy.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, światło chlusnęło na ulicę i Lake dostrzegł dzikie, gapiące się na niego oko, otoczone spekana czerwienią. Było to oko zwierzęcia; w czarnej zrenicy odbijała się jego własna, zniekształcona twarz. Lake szybko się cofnął.

Głos, gdy rozbrzmiał, był nierealny, zniekształcony:

–Czego chcesz?

Lake unosił zaproszenie.

–Mam to. Mrugnięcie straszego oka.

–Co tam jest napisane?

–Zaproszenie na...

–Szybko! Włóż maske! – Wysyczał głos.

–Moja maske?

–Maske na maskarade!

–Ach! Tak. Przepraszam. Chwileczkę.

Lake wyjął z kieszeni gumową maske zaby i włożył ją na głowę. W dotyku przypominała śliska galarete. Nie miał ochoty zbliżyć jej do skóry. Gdy poprawiał maske, żeby widzieć przez umieszczone w nozdrzach zaby otwory, drzwi otwarły się, ukazując wspaniałą sien i wyciągnięte ramie człowieka o zniekształconym głosie. Mężczyzna stał z boku, a Lake, który widział tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nim, musiał włożyć trochę wysiłku w to, by dostrzec kiwającą na niego dłoń w białej rękawiczce; usłyszał wysyczone "Wejdz!" I ruszył. Mężczyzna zatrzęsł się za nim i zamknął drzwi na klucz.

Przed sobą, przez oszklone drzwi, Lake dostrzegł klatkę schodową z polerowanego różanego drewna, a u podnoża schodów globus, na stole z błyszczącego mahoni, z nogami w kształcie ław. W kandelabrze płonęły świece, a w ich migoczącym świetle było coś, co kojarzyło się z religią. Po lewej stronie Lake dostrzegł kątem oka wysokie sterty książek na licznych stołach, po prawej zaś widac było salon obwieszony portretami. Na twarze i tabliczki z podpisami narzucono czarne zasłony: poza sienia witał go szereg szyj i ramion. Zapach mydła osłabł, ustępując miejsca niewyraźnej woni zgnilizny albo pleśni.

Lake odwrócił się w stronę drzwi i osoby, która go wpuszcila – jak przypuszczał, kamerdynera – by znaleźć się naprzeciwko mężczyzny z głową bociana. Oczy z czerwonymi obwódkami, okrutny dziób i tepla biel pokrytej piorami twarzy łączyły się z dziwnie bladą szyją wieniecza wychudzone, odziane w czarno-biały garnitur ciała.

–Widzę, że pan już się przebrał – wyjął Lake, nieco wystraszony. – Ach, naturalny pogromca zab. Ha, ha. Może pan zdoła mi powiedzieć, w jakim celu mnie tu wezwano, panie...?

Zart nie został dobrze przyjęty, a próba poznania nazwiska mężczyzny nie powiodła się. Bocian patrzył na niego, jakby Lake przybył z jakiegoś dalekiego, barbarzyńskiego kraju. W końcu odezwał się:

–Poproszę pańską marynarkę i łaskę.

Lake nie był zachwycony perspektywą rozstania się ze swoją łaską, która już niejednokrotnie posłużyła mu do obrony przed potencjalnym napastnikiem, ale oddał ją Bocianowi wraz z marynarką. Po umieszczeniu ich w szafie Bocian rzekł:

–Prosze za mna.

Poprowadzil Lake'a obok schodow, przez biblioteke, do gabinetu z ozdobnym kominkiem, kilkoma wyscielаныmi krzeslami i paroma stolikami z blyszczacego czarnego drewna; na scianach znajdowalo sie osiem obrazow autorstwa mistrzow z poprzedniego stulecia: sceny myslivskie, miejskie widoki, martwe natury – wszystkie autentyczne i straszliwie banalne.

Bocian wskazal Lake'owi gestem kanape najbardziej oddalona od drzwi. Odgradzal ja olbrzymi, wrecz groteskowy, prostokatny skrzyniowy stol, rozciagajacy sie na jakies dwa metry na szerokosc pokoju. Mial ozdobne uchwyty, ale zadnych szuflad.

Lake usiadl, uwazajac, by nie uderzyc chora noga o stol.

–Kto jest wlascicielem tego domu? – Spytal.

Bocian wlasnie wychodzil. Na dzwiek glosu Lake'a odwrocil sie, przylozyl palec do dzioba i rzekl:

–Milczec! Milczec!

Lake wykonal przepaszajacy gest. Pan domu najwyrazniej cenil sobie prywatnosc.

Bocian przez chwile wpatrywal sie w Lake'a, jakby obawiajac sie, ze ten powie cos jeszcze, po czym obrocil sie na piecie.

Lake zostal sam, w swojej masce zaby, w ktorej bylo mu okropnie goraco, a do tego skora zaczela go swedziec. Maska pachniala znajoma woda kolonska, pewnie Merri nosil ja podczas festiwalu i potem jej nie umyl.

Klaustrofobia walczyła w nim z przyjemnym poczuciem anonimowosci. Ukryty za maska mial wrazenie, jakby byl zdolny do czynow obcych aroganckiemu, lecz spokojnemu Martinowi Lake'owi. Doskonale, w takim razie nowy Martin Lake obejrzy sobie pokoj, szukajac wskazowek dotyczacych gustu wlasciciela – lub jego braku.

Z oddalonego stolu patrzylo na niego popiersie Trilliana, biały marmur poprzetykany zylkami kamienia o barwie czeresni. Na tym samym stole lezala ksiazka pod tytulem Architekt ruin, a na niej – wypchana, ozdobiona drogimi kamieniami skorupa zolwia. Po przekatnej, na podwyzszeniu, stal teleskop, w nieco dziwaczny sposob zwrocony w strone wieszacej na scianie mapy swiata. Na stolach porozrzucano atlasy i mapy, ale Lake mial wrazenie, ze ta pozorna przypadkowosc to wynik chlodnej kalkulacji. W pokoju panowala atmosfera sztuczności, poczawszy od scian koloru burgunda po kuliste oprawy wydzielajace przyjemne, jakby rozowe swiatlo. Takie swiatlo nie sprzyjalo czytaniu ani konwersacji. Mimo to w gabinecie odczuwalo sie jakies obfite cieplo, zapewniajace relaks i komfort.

Lake rozsiadł się wygodnie, zadowolony. Komu przyszłoby do głowy stworzenie czegoś tak wyrafinowanego na tym pustkowiu? Wyglądało na to, że Raffe miała rację: jakiś bogaty mecenas chciał coś u niego zamówić, może nawet kolekcjonować jego obrazy. Zaczął się zastanawiać, jaka cenę powinien zaproponować; musiała być na tyle wysoka, by po ostrym targowaniu się nadal go zadowalała. Mogłoby kupic nowe sztalugi, wymienić stare, wystrzepione pedzle, może nawet przekonać jakąś ważną galerię, by zaczęła sprzedawać jego prace.

Do tych przyjemnych snów na jawie wdarło się w końcu jakieś postukiwanie – docierało do niego powoli, jakby były to pierwsze nuty muzyki tak delikatnej, że słuchacz na początku nie jest w stanie jej usłyszeć. Przewędrowało cały pokój i zapukało do jego uszu z przeproszającą natarczywością.

Usiadł prosto i spróbował ustalić jego źródło. Nie dochodziło ani ze ścian, ani z podłogi. Zdecydowanie jednak dobiegało z wnętrza pokoju, a choć było nieco stłumione, jakby spod ziemi, powstawało gdzieś blisko niego. Taki delikatny dźwięk – nie dość głośny, żeby go zaniepokoić: ostrożne, subtelne "stuk", minorowe "puk".

Przysłuchiwał się uważnie i na jego twarzy wykwitł uśmiech. Przecież ono dochodziło ze stojącego przed nim stołu! Ktoś albo coś było wewnątrz stołu i delikatnie postukiwało. Co za wspaniałe przebranie na maskaradę. Lake odpowiedział stuknięciem. To, co było wewnątrz, stuknęło dwa razy. Lake stuknął dwukrotnie i otrzymał odpowiedź w postaci trzech stuknięć. Stuknął więc trzy razy.

W stole coś zaczęło się szalenczo tłuc i walić w jego ścianki. Lake wstrzymał oddech i szybko cofnął rękę. Po kregosłupie przebiegł mu dreszcz przerażenia. Przyszło mu do głowy, że ta radosna zabawa może się ostatecznie okazać czymś zupełnie odmiennym od wesolej maskarady. Czarny stół, na którym położył zaproszenie, chyba wcale nie był stołem – ale nieozdobiona trumna, z której ktoś rozpaczliwie próbował się wydostać!

Lake krzyknął z przerażenia – i w tej chwili powrócił Bocian w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

Towarzysze Bociana byli słusznej wagi i postury, a z pewnej słabości widocznej w ich przyciekawych ruchach – które Lake przypominał sobie z lat, gdy szkicował modeli – uświadomił sobie, że są dość posunięci w latach. Obaj mieli na sobie ciemne garnitury, takie same, jak w przypadku Bociana, ale na tym kończyło się podobieństwo. Wyższy z dwóch mężczyzn – nie był gruby, ale po prostu szeroki – miał na własnej głowie oszalamiającą głowę kruką, wykonaną z prawdziwych, połyskliwych ptasich piór (tego charakterystycznego krukczego połysku nie dało się z niczym pomylić). Oczy Isnily przenikliwym, srogim spojrzeniem. Wykonany ze srebrzystego metalu dziób odbijał przycmione światło i błyszczał jak dalekie odbicie w sadzawce z metną wodą.

Trzeci mezczyzna nosil maske, ktora powtarzala motyw z zaproszenia Lake'a i kolatki: sowa, brazowozlote, niegdys nalezace do prawdziwego ptaka piora, zakrzywiony ciemnoszary dziob, ludzkie oczy wyzierajace z cieni pod namalowanymi orbitami. Najdalszy pasek niefortunnie zachodzil na szyje mezczyzny, a maska przylegala ciasno, ukrywajac podbrodek, ale sciskajac szyje, przez co tworzyła sie sterczaca falda. Ten ostatni szczegol nadawal przebierancowi szczegolnie paskudny wyglad: mezczyzna wygladal, jakby ktos oskubal go z pior na szyi, odslanjajac wyskubane cialo pod spodem.

Cala trojka stanela naprzeciwko Lake'a, po drugiej stronie trumny, ktorej wieko zaczelo podskakiwac, gdy to cos, co bylo ukryte wewnatrz, zaczelo w nie walic.

–Co... Co tam jest? – Spytał Lake.– Czy to taka dekoracja na maskarade? Czy to jakis zart? Czy przyslal was Merrimount?

–Bardzo ladne przebranie – rzekl mezczyzna Sowa, po czym, nadal patrzac na Lake'a, uderzyl piescia w trumne tak mocno, ze czarna farba przykleila sie do bialej rekawiczki. Lomot ustal. – Doskonale przebranie na maskarade. Zaba, ktora rownie dobrze czuje sie na ladzie, jak i w wodzie.

Glos Sowy, podobnie jak glos Bociana, byl zniekształcony, jakby mezczyzna wypchal sobie usta bawelna albo kamyczkami.

–Co tam jest? – Powtorzyl Lake, celujac drzacym palcem w trumne.

Sowa zasmiala sie. Byl to straszny, kaszlacy dzwiek.

–Nasz drugi gosc zostanie wkrótce uwolniony, ale najpierw porozmawiamy o panskim zleceniu.

–Zleceniu?

Przez mozg Lake'a znow przebiegla jak blyskawica mysl, ktora znikla rownie szybko, jak sie pojawila: "Raffe miala racje. Bede malowal jakies seksualne igraszki".

–Jest to dosc niezwykle zlecenie i zanim przekaze panu szczegoly, musi sie pan mu poddac calym sercem. Nie ma pan wyboru. Poniewaz jest pan tutaj, stanie sie pan naszym narzedziem.

Raffe nigdy nie sugerowala koniecznosci brania udzialu w jakiejś pornografii i Lake wzdrygnal sie na sama mysl: takiego zlecenia nie przyjalby za zadne pieniadze.

–Panowie – rzekl, wstajac. – Chyba zaszlo jakies nieporozumienie. Jestem malarzem i tylko malarzem...

-Malarzem – powtorzył Sowa, jakby to był nieistotny szczegół.

–...I zamierzam teraz wyjść. Proszę mi wybaczyć i nie czuć do mnie urazy.

Usiłował wyjść zza trumny, ale zatrzymał się, gdy drogie zastawił mu Kruk z długim nożem do sprawiania ryb w odzianej w rekawiczkę dloni, błyszczącym jak kopia dzioba kruka. Na ten widok Lake zamarł, po czym usadowił się powoli na środku kanapy, oddzielony od drapieżników trumna. Rece mu się trzesły, a maska zaby splywała potem.

–Czego chcecie? – Spytał, bezskutecznie próbując ukryć drzenie w głosie.

Sowa zatarł rece i przekrzywił głowę, przyglądając się Lake'owi jednym stalowoszarym okiem.

–Najprościej rzecz ujmując, pańskie zlecenie będzie zarazem wynagrodzeniem. Nie zapłacimy panu, chyba że zgodzi się pan na coś w rodzaju wypłaty w naturze: kiedy opuści pan ten dom, pańskie życie będzie takie jak przedtem, z jednym wyjątkiem – stanie się pan bohaterem, anonimowym obywatelem miasta, który naprawił straszliwe zło.

–Czego chcecie? – Spytał znów Lake, coraz bardziej przerażony.

–Morderstwa – zarechotał Kruk.

–Egzekucji – poprawił Bocian.

–Ściecia – uscisł Sowa.

–Morderstwa?! – Krzyknął Lake. – Morderstwa?! Oszaleliście?

Sowa nastroszył piorka, po czym rzekł:

–Proszę mi pozwolić opisać, jaka będzie panska reakcja, wtedy być może szybciej uda nam się osiągnąć cel. Po pierwsze, będzie pan szlochął. Jeczal. Może nawet próbował uciec. Będzie pan odmawiał, nawet wtedy, gdy pana upokorzemy. Będzie pan groził. Słabił. Potem znowu odmawiał, ale tym razem z tonu panskiego głosu będziemy mogli wydedukować, że zbliżył się pan do rzeczywistości, do czynu. I potem ten cykl się powtórzy. Aż wreszcie, na końcu, czy to po godzinie, czy po tygodniu, ze zdumieniem odkryje pan, że chce wykonać to zadanie, bo nawet najmarniejszy pies chce jeszcze w życiu zobaczyć słońce.

–Zaoszczędziłby nam pan mnóstwo czasu, po prostu godząc się z sytuacją i nie robiąc problemów.

–Nie.

–Otwórzcie trumne.

–Nie!

Czując, jak ciąży mu chora noga, Lake przeskoczył przez trumne-stół. Dotarł aż do popiersia Trilliana, ale tam Bocian i Kruk obalili go na podłogę. Wil się i wierzgał w ich uścisku, ale jego noga była mu równie posłuszna jak drewniany kłoc, albo może oni byli za silni. Zawlekli go z powrotem na miejsce przy trumnie. Bocian przytrzymał go na kanapie twarzą w dół, a maska zaby wpila mu się w usta tak boleśnie, że z trudem zdołał zaczerpnąć tchu. Kruk poderwał mu głowę i przyłożył do gardła noż. W takiej pozycji, z przesuniętymi otworami na oczy, Lake widział tylko wewnątrz maski i kawałek kasztanowo-żółtego sufitu.

Gdzies ponad nim odezwal sie Sowa, z czulym rozleniwieniem w glosie:

–Przyjmij zlecenie, moja droga zabo, bo inaczej zabijemy cie i wybierzemy innego obywatela.

Siedzacy na Lake'u Bocian szturchal go po nerkach, po czym mocno uderzyl w jakies bolesne miejsce. Lake jeknal z bolu. Kruk wylamal mu reke do tylu tak mocno, ze Lake mial wrazenie, iz kosc zaraz peknie.

Zawyl. Nagle obaj go puscili. Przewrocil sie na plecy, poprawil maske, spojrzal w gore – i dostrzegl cala trojke patrzaca na niego.

–Jak jest panska odpowiedz? – Spytal Sowa. – Musimy poznac ja natychmiast.

Lake jeknal i przewrocil sie na bok.

–Odpowiedz!

Co znaczy slowo? Czy jedno slowo naprawde cos... Znaczy? Czy moze wyslac na wygnanie cale swiaty dzialania, mozliwosci?

–Tak – powiedzial, a slowo zagrzechotalo mu w gardle jak charkot umierajacego.

–Dobrze – rzekl Sowa. – Otworz trumne.

Odsuneli sie, zeby mial dosc miejsca. Usiadl na kanapie, czujac pulsowanie w nodze. Zaczal manipulowac przy zamkach z boku trumny, by zrobic to jak najszybciej, by ten koszmar juz sie

zakonczył.

Zatrzaski wreszcie puscily. Sapnal i otworzyl wieko... By zajrzec do srodka i zobaczyc tak znane, charakterystyczne patrycjuszowskie rysy. Slynna grzywa siwych wlosow byla zmierzwiona, wystajace kosci policzkowe pociemniale od siniakow, z inteligentnych blekitnych oczu wyzieral strach, a z pieknych ust, z tych wrażliwych warg, wystawal czerwony szmaciany knebel, ktory wrzynal sie w twarz i pozostawial krwawa smuge. Krew saczyla sie spod wlosow w miejscu, w ktorym uderzyl glowa o wieko trumny. Na ramionach wycieto mu dziwne symbole, jakby byl ofiara dla jakiegos okrutnego boga.

Lake zatoczyl sie do tylu i upadl na kanape, zahaczajac o jej skraj, niezdolny stanac twarza w twarz z tym ostatecznym, obezwladniajacy odkryciem – niezdolny pojac, ze to Zieloni mieli racje: Voss Bender zyl. W jakaz gre on niechcacy sie wplatal?

Bender tymczasem usilowal wstac, gdy tylko zobaczyl Lake'a, choc byl zwiazany calymi zwojami sznura, ktore musialy utrudniac krazenie, po czym opadl, gdy zrozumial, ze Lake nie zamierza mu pomoc.

Kruk wetknal leb w pole widzenia i skrzeczal, skrzeczal, jak prawdziwy kruk. Bender zareagowal histerycznym spazmem strachu. Kruk poslal mu potezny cios w twarz. Bender skulil sie w trumnie. Mrugal; z trumny rozszedl sie zapach moczu. Lake nie byl w stanie odwrocic wzroku. To byl Voss Bender, tworca i niszczytel karier, politykow, teatrow. Voss Bender, ktory od dwoch dni nie zyl.

–Czemu? Czemu mu to zrobiliście? – Spytał Lake, choć nie miał zamiaru się odzywać.

Bocian prychnął szyderczo.

–Sam to sobie zrobił. Sam to wszystko na siebie sciągnął.

–On jest beznadziejny – oświadczył Kruk.

–Otoż to – przytaknął Sowa. – Wcielenie zła.

Voss Bender poruszył się lekko. Otworzył szeroko oczy pod władczymi szarymi brwiami. Bender nie był głuchy ani głupi – Lake nigdy nie uważał go za głupiego – i śledził ich rozmowę w napięciu, choć pewnie i ze znużeniem. Oczy błagały Lake'a, by go ocalił. Lake odwrócił wzrok.

–Pan Kruk da panu ten oto noż – oznajmił Sowa – ale proszę nie sadzić, że skoro ma pan bron, to ucieczka stała się możliwa.

Na poparcie swoich słów Sowa wyjął pistolet, jeden z tych zgrabnych, groźnie wyglądających modeli, które niedawno skonstruowali naukowcy Kalifa.

Kruk podał mu noż.

Czując, jak zmysły rozciągają mu się i przedefiniowują, Lake spojrzął na Vossa Bendera, potem na noż. Cienki promień światła zatoczył na ziarnistej, spiralnej rekojesci. Lake dostrzegł wyryte na ostrzu słowa, nazwę producenta: Hoegbotton i Synowie. Ten noż powinien mieć jakąś historię, jakiś rodowód, powinien być czymś więcej niż tylko nożem, a to, że on powinien o tym wiedzieć więcej niż trzech mężczyzn, uderzyło Lake'a jako

cos absurdalnego. Gdy patrzył na ostrze, na wyryte tam słowa, poczuł, jak spada na niego ciężar tego czynu, potworny, wielki. Odebrać życie. Pozbawić kogoś życia, a wraz z nim potężnej sieci miłości i uwielbienia. Wyrabac dziurę w świecie. Odebrać komuś życie to nie była mała rzecz, to wcale nie było nic małego. Widział przed sobą uśmiechającego się ojca, rozkładającego ręce, by uwolnić Isniace, zgrabne ciała martwych owadów.

–Na łaskę boską, nie zmuszajcie mnie, żebym go zabił!

Huragan śmiechu Sowy, Kruka i Bociana zaskoczył go tak bardzo, że zaczął się śmiać razem z nimi. Trząsnął się ze śmiechu, trzęsła się jego szczeka i ramiona; odprezył się, mając nadzieję, że to wszystko okaże się tylko żartem... Dopóki nie zrozumiał, że ich śmiech jest gardłowy, potworny, okrutny. Wtedy przestał się śmiać i zaczął szlochac.

Rozbawienie Kruka znikło, zanim jeszcze Sowa i Bocian przestali się śmiać.

–On już nie żyje. Całe miasto wie, że on nie żyje. Nie można zabić kogoś, kto jest już martwy.

Voss Bender zaczął jeczec i podwoił wysiłki zmierzające do uwolnienia się z wieżow. Trzej mężczyźni zignorowali go.

–Nie zrobię tego. Nie zrobię.

Słowa Lake'a brzmiały niepewnie, jakby wypowiadał je pod czyimś wpływem. Wiedział, że w obliczu własnej zagłady zrobi dosłownie wszystko, żeby ocalić życie, nawet jeśli będzie to oznaczało pogwałcenie, podeptanie i zniszczenie wszystkiego,

co czyniło go Martinem Lakiem. A mimo to widział przed oczami twarz swego ojca i słyszał słowa, które tamten wypowiadał na temat świętości życia.

Sowa wyjaśnił mu sytuację z bezlitosną precyzją.

–Wtedy poszarpiemy panu twarz, aż zostanie z niej tylko strzępy mięsa zwisające z głowy. Odetniemy palce u rąk i nóg, jak marchewki do zupy. Stanie się pan tylko krwawą zagadką, którą jakiś pies będzie rozwiązywał w małej uliczce. A Bender nadal będzie martwy.

Lake patrzył na Sowę, a Sowa odwzajemnił spojrzenie; maska nie zdradzała ani cienia słabości.

Jego oczy wyglądały jak zimne, pomarszczone kamienie, pełne zaniepokojenia i odwieczne.

Lake wziął noż wręczony mu przez Kruka. Pokryta laką drewniana rękojeść miała słuszną wagę i gładkość, która zdawała się świadczyć o łatwości zabijania.

–Szybki cios w gardło i będzie po wszystkim – rzekł Kruk, Bocian wziął długą, białą tkaninę i zakrył nią ciało Bendera, zostawiając odsłoniętą tylko głowę i szyję. Ile to już razy Lake wodził pedzlem po namalowanej szyi, gdy przed nim siedziała zupełnie znudzona modelka? Zależał, że tak pilnie uczył się anatomii. Przylapał się na tym, że liczy i nazywa mięśnie na szyi Bendera, kataloguje żyły i tętnice, mięśnie i ścięgna.

Kruk i Bocian cofnęli się za trumny, pozostawiając Lake'owi sporo przestrzeni. Noż w jego ręce był zimny i ciężki. Lake

dostrzegal delikatne platki rdzy, ktore skazily wnetrze kazdej z wrytych liter napisu Hoegbotton i Synowie.

Opuscil glowe i spojrzal na Vossa Bendera. Kompozytor mial wytrzeszczone, nabiegle krwia, wodniste oczy. Zebral o litosc przez knebel slowami, ktore Lake rozumial tylko czesciowo. Nie... Nie... Co ja... Pomocy... Lake czul szacunek wobec potegi Bendera, a mimo to, stojac nad swoja potencjalna ofiara, odkryl, ze wladza, jaka ma nad nim, sprawia mu przyjemnosc. Miec taka wladze. To byl czlowiek, ktorego dopiero co przeklinal, czlowiek, ktory tak odmienil miasto, ze jego smierc je podzielila.

Voss Bender zaczal sie rzucac, a wtedy – jakby ten ruch przelamal jakis czar – poczucie tryumfu zmienilo sie w odrazę podszyta mdlosciami. Lake rozesmial sie z wysilkiem.

–Nie moze tego zrobic. Nie zrobie tego.

Probowal wypuscic z reki noz, ale dlon Kruka zacisnela sie na jego rece i zwinela ja w piesc, po czym skierowala w strone trumny, zmuszajac Lake'a, by sie pochylil w chwili, gdy noz znalazl sie obok gardla Bendera. Bocian trzymal glowe ofiary prosto, pieszczac zakola nieszczesnika z jakas dziwaczna czuloscia. Sowa stal na boku, obserwujac cala te gre namietnosc jak przycupniety na galezi ptak. Lake chrzaknal, walczac z niezlomnym naciskiem Kruka. Kiedy juz sie wydawalo, ze musi sie ugiac, szarpnal w bok. Ostrze opadlo pod bezsensownym katem, a Bender usilowal sie uchylic. Noz odcial tylko plat skory po lewej stronie szyi. Krew chlusnela obficie.

Jakby ten cios mial byc jakimś sygnałem, Kruk i Bocian cofneli sie, dyszac ciezko. Bender zabulgotal, jakby sie zachlysnal

własna krewia.

Lake zakolysał się i upadł na kolana.

–Stracicie rozum. Chcecie mieć jego krew na rękach? – Rzeki do swoich towarzyszy Sowa.

Lake spojrzał na noż, na niefachowo rozcięte gardło Bendera, potem znowu na noż.

Krew zasłoniła prawie cały napis, widac było tylko "Hoeg" w słowie "Hoegbotton". Splamila mu cała lewa reka. Nie wygladała jak farba: była za jasna. Zaczelo go swedziec tam, gdzie zasychala.

Zamknal oczy i odniosl wrazenie, ze sciany gabinetu pedem oddalaja sie od niego, a on stoi na brzegu nieskonczonej ciemnosci. Z wielkiej odleglosci zabrzmial glos Sowy:

–On teraz umrze. Tylko ze powoli. Bardzo powoli. Bedzie coraz slabszy, az – w potwornych mekach – podda sie po paru godzinach czy dniach. A my nie kiwniemy piorem ani palcem, zeby mu pomoc. Bedziemy tylko patrzec. Nadal masz wybor: wykonczyc go i zyc albo dac mu zyc, a samemu umrzec. Zabicie go teraz bedzie aktem milosierdzia.

Lake uniosl wzrok na Sowe.

–Dlaczego ja?

–Skad wiesz, ze jestes pierwszy? Skad wiesz, ze zostales wybrany?

–Taka jest wasza odpowiedz?

–Taka jest jedyna odpowiedz. Innej nie bedzie.

–Co on wam zrobil, ze jestescie tacy bezduszni?

Sowa spojrzal na Kruka, Kruk na Bociana – i nagle cos zadrzalo, cos sie przetoczylo miedzy nimi, i Lake pomyslal, ze chyba zna odpowiedz. Widzial taka sama wymiane spojrzeń miedzy artystami obsiadajacymi kawiarnie przy bulwarze Albumuth, ktorzy dokonywali werbalnej wivisekcji jakiegos mlodego geniusza.

Zasmial sie gorzko.

–Boicie sie go, tak? Zazdroscicie mu i pragniecie jego wladzy, ale przede wszystkim boicie sie go. Boicie sie go tak, ze nawet nie zabijecie go sami.

–Wybieraj – odezwal sie Sowa.

–A najzabawniejsze jest to – mowil dalej Lake – najzabawniejsze jest to, rozumiecie, ze kiedy juz bedzie martwy, uczynicie go niesmiertelnym.

Plakal? Mial mokra twarz pod maska. Patrzyl w milczeniu na krew saczaca sie z gardla Bendera. Patrzyl na dlonie Bendera, ktore drzaly jak dotkniete jakimś porazeniem.

Co ten genialny kompozytor widzial w swoich ostatnich chwilach?
– Zastanawial sie pozniej Lake. Czy widzial noz, reke, ktora go trzymala i opadla, czy samego siebie w Morrow, nad rzeka, spacerujacego po zielonym polu i nucacego cicho? Czy widzial

twarz kochanki w namietnym grymasie? Jakas chwile z czasow, zanim zdobył slawe, która go zniszczyła? Moze nie widział niczego, skapany w crescendo swojej najpotężniejszej symfonii, która przetaczała mu sie przez mozg fala krwi.

Pochylając się nad Vossem Benderem, Lake dostrzegł w oczach mężczyzny odbicie czarnej maski Kruka, który podszedł bliżej, by obserwować mord.

–Cofnij się! – Zasyczał Lake, wymachując nożem.

Kruk odskoczył.

Lake przypomniał sobie, jak mężczyzna z koszmaru sennego rozciął mu reke – tak metodycznie, tak starannie. Przypomniał sobie rece ojca, rozłożone, by pokazać ukryte w nich świetliste skarby, reakcje Shriek na namalowane przez niego dłonie ojca. Ach, ale Shriek nic nie wiedziała. Nawet Raffe nic nie wie. Nikt z nich nie wiedział tego co on.

Nagle, klnąc i szlochając, z ustami ściagniętymi w strasznym grymasie, chłasnął nożem po gardle Bendera, napierając na ostrze całym ciężarem, i patrzył, jak z najsłynniejszego kompozytora na świecie uchodzi życie. Nigdy w życiu nie widział tyle krwi, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Na zawsze miał zapamiętać moment, w którym jego wzrok napotkał wzrok Bendera i nadciągnęła nijakość śmierci, gasząc iskry, która kiedyś była życiem. Jego oczami jest próba przedstawienia niezwyklej dla dzieł Lake'a perspektywy, gdyż zostało namalowane z punktu widzenia martwego Vossa Bendera, leżacego w otwartej trumnie (to apokryficzne zdarzenie, ciało Bendera poddano bowiem kremacji), patrzącego w gore na

osoby zgromadzone nad trumną, które z kolei patrzą na niego w dół, a perspektywa stopniowo traci na znaczeniu, więc za spoglądającymi w dół ludźmi widzimy rzekę Moth nalożona na niebo i zalobników stojących na jej brzegach. Jedną z osób patrzących na Bendera jest Lake, inna – zakryty kapturem łowca owadów, a trzy mają na twarzy maski – to powtórzenie motywu sowy, kruka i bociana z Plonacego domu. Patrzą na niego jeszcze cztery inne postacie, te jednak nie mają twarzy. Sceny w tle tego monstrualnego płotna istnieją w świecie, który zakrzywił się wokół samego siebie, a szczegóły zmagają się, by nas przekonać, że widzimy równocześnie niebo, zielone pola, drewniane miasto i brzegi rzeki.

Zacytujmy Venturiego: "Kolory pogłębiają tajemnice: właśnie zapada zmierzch, rzeka ciemnieje; czerwienie są intensywne lub posępne, żółcie i zielenie głębokie; złowieszcze, zielonkawe niebo jest kosmetycznym odbiciem ziemskiej śmierci". Cały obraz otacza cienka czerwona linia, która krwawi na jakieś dwa centymetry w głąb. To niezwykle obramowanie sugeruje świeżość, jakże niestosowną w zestawieniu z trumną, zaś sceny w tle mają w zamierzeniu przedstawić wyobrazoną przez Lake'a idealną młodość Bendera, spędzoną na łonie natury, wśród pól i rzek. Dlaczego Lake zdecydował się na przedstawienie Bendera w trumnie? Dlaczego zastosował taki montaż? Po co ta czerwona linia? Mary Sabon sugeruje, że powinniśmy zignorować trumnę i skupić się na czerwonej linii oraz klebowisku obrazów, ale nawet ona nie podsuwa spójnego wyjaśnienia.

Jeszcze bardziej zagadkowa i niewatpliwie niezwykła jest Aria do lamliwych kości zimy, obrazująca równowagę między dźwiękiem i kolorem: muzyczna skala oparta na intensywności kolorów, w

ktorej, zdaniem Sabon, "kolor maprzemawiac martwym jezykiem". "Bohater" jedzie przez rozsypujacy sie cementarz w strone zamarnietego jeziora. Niebo jest ciemne, ale po powierzchni jeziora slizga sie odbicie ksiezyca, bedace zarazem odbiciem twarzy Vossa Bendera. Trzciny otaczajace brzegi jeziora skladaja sie z nut, tak sprytnie wplecionych, ze fakt, iz sa to nuty, nie od razu jest widoczny. Pada snieg, a jego platki takze sa nutami – blednace nuty na tle niebieskoczarnego nieba, nieomal jakby aria Bendera rozpadala sie, zanim jeszcze zostanie wykonana.

W tym najbardziej niejednoznaczny z wszystkich obrazow Lake stosuje subtelne gradacje bieli, szarosci i blekitu, by imitowac rozwoj samej arii: pociagniecia pedzla, krotkie i dlugie, szorstkie lub gladkie, w istocie imituja rozwijanie sie arii, jakby czytaly nuty z pieciolinii.

Caly ten ruch posrodka pozornie nieruchomego krajobrazu pedzi w kierunku jezdzca, ktory – niczym kontrapunkt albo glos protestu – dazy w kierunku przeciwnym do kierunku arii. Swiatlo ksiezyca oswietla twarz jezdzca, ale takze i w tym przypadku jest ono zaledwie odbiciem, wiec rysy twarzy sa oswietlone od spodu, nie z gory. Ten wymizerowany, osuwajacy sie w siodle jezdziec to bez watpienia Lake. (Venturi opisuje jezdzca jako "rytmiczne tetnienie niewypowiedzianego zalu"). Wyraz twarzy ma abstrakcyjny, plynny, szczegolnie w odniesieniu do ponurego realizmu reszty obrazu. Wydaje sie zatem niejednoznaczny, niezdecydowany, bez mala niedokonczony – i rzeczywiscie, w chwili powstawania obrazu, i w odniesieniu do Vossa Bendera, Lake niewatpliwie BYL niedokonczony.

Fakt, ze Aria do lamliwych kosci zimy nie jest az tak popularna

jak choćby eksperymentalne dzieło Jego oczami może być spowodowany tym, że Lake użył ikonografii zbyt osobistej i znaczenie obrazu jest znane wyłącznie jemu. O ile w przypadku Zaproszenia czy Plonącego domu widz ma wrażenie, że upowazniono go – czy wręcz zaproszono – do podzielenia się swoimi osobistymi odczuciami, Aria stwarza wrażenie zamkniętego systemu, jakby artysta zwrócił oczy w głąb samego siebie. Nawet odwołanie do nazwiska twórcy, kiepski żart, który zwraca uwagę widza na to, że nazwisko autora oznacza po angielsku jezioro, nie jest pomocny w zrozumieniu podtekstów tego dzieła. Jak napisał Venturi: "Choć płótna Lake'a raczej nie narzucają nam nowego języka, jeśli już tak się stanie, nie otrzymujemy żadnego przewodnika, który pomógłby nam je przetłumaczyć". Kontrowersyjny krytyk sztuki, Bibble, posunął się aż do tego, że napisał na temat Arii: "Obrazy [Lake'a] to nierzadko kamienie nagrobne, nierzadko małe śmierci – na płótnach, które ledwo skrywają tłumioną przemoc, przez co są zbyt wielkie, by nadawać się na ściane".

Bez względu jednak na to, jak jest w istocie, w Zaproszeniu, Jego oczami i Arii istnieją pokrewne motywy. Powiązania te są wątkami, może nawet tajemniczymi, ale nie możemy ich przeoczyć.

Lake pojawia się na wszystkich trzech obrazach – i tylko na tych trzech. Łowca owadów i Bender pojawiają się razem wyłącznie na drugim obrazie, Jego oczami. Łowca owadów pojawia się w Zaproszeniu, ale nie w Arii (gdzie, trzeba to przyznać, stanowiłby dziwaczny i niemile widziany dodatek). Bender pojawia się w Arii, i jego obecności można się domyślić w Jego oczami, ale nie pojawia się, w sposób domyslny ani żaden inny, w Zaproszeniu. Rodzi się pytanie: czy łowca owadów zamieszkuje również Arię,

niedostrzegalny dla oczu zwykłego obserwatora – może nawet spoczywa na skutym lodem cementarzu? Oraz, co ważniejsze, czy duch Vossa Bendera w jakis sposób nawiedza plotno zatytułowane Zaproszenie na egzekucje?

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucje, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piąte. Już po wszystkim Lake wytoczył się w ciemną noc. Mgła rozproszyła się, a gwiazdy wisiały na niebie jak blade rany. Lake zerwał z głowy maske zaby, zwymiotował do rynsztoka i pokustykał w stronę publicznego zrodelka ze słonawą wodą, gdzie bezskutecznie szorował dłonie i ramiona: krew nie chciała schodzić. Gdy przerwał te szalencze wysiłki, zobaczył, że grzybianie zaprzestali walki ze swiniami i patrzyli na niego szerokimi, rozumnymi oczami.

–Odejdźcie! – Krzyknął. – Nie patrzcie na mnie!

Potem ruszył, nie wiedząc, dokąd idzie; po jakimś czasie zaswitała mu w głowie niewyraźna myśl, że powinien udać się do swojego mieszkania. Umył ręce w publicznej toalecie.

Wyszorował dłonie zwirem. Obgryzał je. Nic nie pomagało: odor krwi robił się coraz bardziej intensywny. Niszczyło go coś większego niż on sam, coś, co nadal tkwiło schwytnie gdzieś w nim samym.

Włoczył się po ulicach, alejkach i zaułkach, na tyłach dzielnicy urzędników, a potem zszedł w zieloność doliny, aż jakiś powarkujący chart zagnął go z powrotem do dzielnicy kupców. Sklepy były pozamykane, latarnie i lampy przygaszone. W połyskliwym świetle ulice wyglądały na śliskie i lepkie, ale były

suche jak kreda. Nie widział prawie nikogo, tylko raz grupa Czerwonych i Zielonych przebiegła obok niego, rozdając sobie ciosy w biegu z wyrazem słusznego oburzenia na twarzach.

–To nic nie znaczy! – Krzyknął za nimi Lake. – On nie żyje!

Zignorowali go, a po chwili, jak jakas chaotyczna bestia walcząca sama ze sobą, znikli mu z oczu, pedząc ulicą.

Szlochając i rozpaczając, Lake cały czas widział przez wszystko inne twarz Bendera, z której uchodziło życie; oczy zwrócone ku niebu, jakby szukały odkupienia, piers w ostatnim pełnym oddechu, ręce nagle zacisnięte na sznurach, które je petaly, nogi walące o dno trumny, a potem... Bezruch. Ambergris, okrutne, bezwzględne miasto, nie dawało mu zapomnieć o tym czynie; z każdego rogu – z plakatów, ulotek, szyldów – patrzyła na niego twarz Vossa Bendera.

W końcu ulomna noga zaczęła sprawiać dotkliwy ból; Lake upadł na szkarlatnym progu domu uciech i spał tam, pod obojętną na wszystko kopułą nocy, pod okrutną pustką gwiazd, przez godzinę czy dwie – aż madame wypędziła go stamtąd przekleństwami i ciosami miotły.

Gdy mizerne światło słońca wypelzło na miasto, ujawniając w takim samym stopniu Czerwonych i Zielonych, Lake odkrył, że jest w miejscu, którego już nie pojmuje, na ulicach wypełnionych twarzami, których nie chce oglądać, ale które niewatpliwie patrzyły na niego: od ulicznych sprzedawców kanapek w ich szpiczastych pomarańczowych czapkach i fartuchach w pomarańczowe paski po bankierów w rdzawoczerwonych garniturach, z ciemnymi tęczkami ozdobionymi skorupą żółwia;

od dobrze odkarmionych nian o białych twarzach po przedstawiciele złotej młodzieży ze szkarlatnym makijażem na twarzach, którzy wyglądali, jakby z niego wyrosli.

Wraz ze świadomością innych wrocila świadomość samego siebie. Zauważył szczecinę na policzku, osad na zębach, kwasny odor brudnych ubrań. Oglądając świeckich obywateli miasta, Lake poczuł nagle ogromne pragnienie znalezienia się w Dzielnicy Religijnej, a wszelkie myśli o powrocie do mieszkania wyparowały mu z głowy.

Szedł coraz szybciej i pewniej, aż tam dotarł: chodził między wyznawcami, pielgrzymami i kapłanami, gapiąc się niemo na niezliczone odmiany świętych grot, wież, kopuł, luków katedr niezliczonych wyznań, jakby nigdy dotąd ich nie widział. Czerwoni i Zieloni nie pokazywali się tutaj, więc ulice pełne były uciekinierów zbiegłych przed ich szalenstwem.

Kościół Siedmioramiennej Gwiazdy miał prawdziwy konfesjonał dla grzeszników. Lake stał długo przed skromnymi drewnianymi drzwiami świątyni (nad którymi wznosiła się równie skromna kopuła), rozdarty między potrzebą spowiedzi, strachem przed odwetem, jaki może go dosięgnąć, a przekonaniem, że nie powinien otrzymać rozgrzeszenia. Wreszcie poszedł dalej, gnany okropnym palącym uczuciem, które miało stać się jego ciężarem na wiele lat. Nikt nie mógł mu udzielić odpowiedzi. Nikt. Dzielnica Religijna wprawiała go teraz w zakłopotanie, gdyż nie oferowała ani odpowiedzi, ani ulgi. Wędrował bez celu, tak jak noca włożył się po mieście. Był spragniony, głodny, a noga dygotała mu ze zmęczenia.

Wreszcie, na skraju Dzielnicy Religijnej, w miejscu, gdzie łączyła

się ona z Dzielnica Biurokratów, Lake wkroczył na otoczona drzewami polane i stanął twarzą w twarz z olbrzymią marmurową głową Vossa Bendera. Głowe uszkodził trochę ogień i zarosła winoroślą, a jednak nigdy dotąd linie ust i nosa nie jawiły się Lake'owi tak heroiczne, a oczy nie patrzyły tak szczerze. Pod ciężarem tego spojrzenia Lake poczuł, że nie może już dalej iść. Upadł na miękką trawę i leżał nieruchomo w cieniu marmurowej głowy.

Dopiero późnym popołudniem znalazła go tam Raffe i zaprowadziła do jego mieszkania.

Mówiła coś do niego, ale nie rozumiał. Błagała go. Plakała i tuliła. Uznał jej troskliwość za tak zabawną, że nie mógł powstrzymać śmiechu. Nie chciał jej jednak nic powiedzieć, więc wmusiła w niego trochę jedzenia i picia, po czym poszła odszukać Merrimounta.

Pozostawiony samemu sobie Lake podarł na strzepy swoje nieukończona dzieła na zamówienie. Wydawały mu się pełne głupkowatego samozadowolenia, a to doprowadzało go do szalu. Oszczędził tylko obraz z rękami ojca i olejne dzieło, które zaczął malować dzień wcześniej. Odkrył, że nadal jest zauroczony zielonością, z której tak groźnie sterczy głowa mężczyzny z koszmaru. Odnosiło się wrażenie, że Lake uchwycił w obrazie duszę miasta z całym jego przekлетym zepsuciem, gdyż mężczyzna z nożem był, rzecz jasna, on sam, a uśmiech był w istocie grymasem. Nie mógł się pozbyć obrazu, nie mógł też zmusić się do skończenia go. Czasem to, czego malarz decyduje się nie malować, może być równie ważne jak to, co maluje. Czasem nieobecność pozostawia po sobie donosne echo. Czy Bender krzyczy do nas dzięki swej nieobecności?

Wielu krytyków sztuki przypuszczało, że Lake musiał spotkać Bendera w ciągu pierwszych trzech lat pobytu w Ambergris, ale brak dowodów na zaistnienie takiego spotkania; jeśli istotnie spotkał Bendera, nie powiedział o tym żadnemu ze swoich przyjaciół czy znajomych, więc wydaje się to bardzo mało prawdopodobne. Poszlaki, przedstawione przez Sabon, wskazują na przypominający bociana cien w Zaproszeniu, gdyż jest powszechnie wiadome, że Bender chorobliwie bał się ptaków; ponieważ jednak Lake także chorobliwie bał się ptaków, nie mogę zgodzić się z Sabon w tej kwestii. (Sabon uznaje także za znaczące, że zmarły niedawno Lake został poddany kremacji, podobnie jak Bender, a jego prochy rozsypano po rzece Moth, podczas gdy jego przyjaciel Merrimount wypowiadał słowa: "By podać za toba, w zalu i w pokorze").

Z braku bardziej szczegółowych informacji biograficznych na temat Lake'a w tym okresie, musimy oprzeć się na skąpych danych z podręczników historii. Jak powszechnie wiadomo, po śmierci Bendera miały miejsce walki między Czerwonymi a Zielonymi, z punktem kulminacyjnym w postaci oblężenia Poczty imienia Vossa Bendera, która Czerwoni zajęli siłą, by wkrótce potem, po krwawych walkach, ulec wyparciu przez Zielonych.

Czy takie, jak uważają niektórzy krytycy, mogło być przesłanie Zaproszenia? Twarz krzyczącego człowieka, ostrze noża przebijające dłoń podtrzymywana przez Śmierć, która właśnie zabrała Vossa Bendera? Być może. Wole jednak wierzyć w bardziej osobistą interpretację. Dla kogoś, kto wie tyle co ja o relacji Lake'a z jego ojcem, znaczenie osobiste jest aż nadto widoczne. W tych wszystkich trzech obrazach, począwszy od Zaproszenia, oglądamy odrzucenie Lake'a przez jego

naturalnego ojca (łowca owadów) i przyjęcie go przez Bendera, jego prawdziwego ojca artystycznego.

Coż w takim razie przekazuje nam Zaproszenie? Ukazuje ojca Lake'a, metaforycznie opuszczającego swego syna. Ukazuje zrozpaczonego syna z listem od ojca – listem z pisemnym powiadomieniem o odrzuceniu. "Egzekucja" w Zaproszeniu na egzekucje to detronizacja króla – jego ojca... A jednak, gdy król zostaje stracony, zawsze nastaje nowy król.

Po kilku dniach od tego duchowego odrzucenia Voss Bender umiera, i te dwa wydarzenia – odrzucenie przez ojca i śmierć wielkiego artysty – nierozzerwalnie się u Lake'a łączą, a jedynym wyjściem staje się kult zmarłego artysty; wejście na tę ścieżkę było możliwe dzięki wychowaniu przez religijną matkę mistyczkę. A zatem Jego oczami opowiada o życiu i śmierci Bendera i metaforycznej śmierci prawdziwego ojca. Aria nadaje Benderowi wskrzeszoną twarz, wskrzeszone życie, jako że potęga i światło leżące u źródeł sukcesu wymizerowanego jeźdźcy – pogrążonego w żalu, gdyż właśnie pogrzebał swego prawdziwego ojca na skutym lodem cmentarzu – pozwoliły, by mitem, siłą jego nowego ojca, księżyca, odbicia jego samego – Bendera – zaczęły naturalnego ojca.

I wreszcie, obrazy te opowiadają o tęsknocie Lake'a za ojcem, którego nigdy nie miał. Bender jest bezpiecznym ojcem, gdyż już nie żyje i nie może odrzucić syna, który go adoptował. Jeśli omawiane obrazy będą coraz trudniej dostępne, przyczyną niewątpliwie będzie fakt, że ich znaczenie staje się coraz bardziej osobiste.

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego

Zaproszenia na egzekucje, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piąte. Dni płynęły w normalnym tempie, ale Lake egzystował poza ich wpływem. Czas go nie dotykał. Godzinami siedział na balkonie, gapiąc się na chmury czy przebiegłe jaskolki, które przecinały powietrze jak srebrnoblekitne nożyce. Słońce go nie ogrzewało. Bryza nie chłodziła. Czuł się pusty w środku – tak powiedział Raffe, gdy go spytała, jak sobie radzi. "Czuł" także nie było właściwym słowem, gdyż nie czuł niczego. Był nierzeczywisty. Nie miał duszy – już nigdy nie miał pokochać, nigdy nie miał się z kimkolwiek związać, tego był pewien, a ponieważ nie odczuwał takich emocji, nie tęsknił za ich spełnieniem. Były nieistotne, nieważne. Po prostu był, ani w mniejszym, ani w większym stopniu niż martwa galazka, grudka brudu, bryłka węgla. (Raffe: "Nie mówisz tego serio, Martinie! Nie możesz mówić tego serio..."). Więc nie malował. W ogóle niewiele robił, a później zdał sobie sprawę z tego, że gdyby nie bliźniacza miłość Raffe i Merrimounta, miłość, której nie musiał odwzajemnić, pewnie umarłby w ciągu miesiąca. Oni mu pomagali, a on nienawidził tej pomocy. Nie zasługiwał na pomoc. Powinni zostawić go w spokoju. Ignorowali jednak jego nienawistne spojrzenia, napady złości. Co gorsza, nie domagali się wyjaśnień. Raffe przynosiła mu jedzenie i placila czynsz. Merrimount dzielił z nim łóżko i tulił go, gdy noce, w przeciwieństwie do nudnych, nieobfitujących w wydarzenia dni, były pełne koszmarów, szczegółowych i odrazajających: biała, odsłonięta szyja, struzka potu na cieniu rzuconym przez podbródek, drobne włoski rozstępujące się przed ostrzem noża...

Tydzien po tym, jak Raffe go znalazła, Lake zmusił się, by pójść na pogrzeb Bendera, a Raffe i Merrimount uparli się, żeby mu

towarzyszyc, choc chcial isc sam.

Pogrzeb byl wystawnym wydarzeniem: kondukt przewedrowal w strumieniach Konfetti przez caly bulwar Albumuth az do dokow. Glowna czesc konduktu stanowila istna reklame firmy Hoegbotton i Synowie, importera i eksportera, ktory zdominowal wiekszosc handlu w Ambergris w ciagu ostatnich lat.

Zorganizowana pozornie na wzor oper Bendera parada skupiala sie wokol motywu wiosny, a poza galazkami, wypchanymi ptakami i ogromnymi trzmielami, ktore uczestnicy konduktu mieli przyczepione do siebie jak dziwaczne wypustki, grala absurdalnie wygladajaca orkiestra na platformie zaprzegnietej w konie pociagowe.

Za parada jechal manzikertem kabrioletem Hoegbotton senior; oczy mial jak dwie Isniace czarne lzy na straszliwie bladej twarzy i spogladal na swiat, jakby wlasnie kandydowal na jakis urzad polityczny. I tak w istocie bylo: Hoegbotton, ze wszystkich mieszkancow miasta, mial najwieksze szanse na zastapienie Bendera na stanowisku nieoficjalnego wladcy Ambergris...

Na tylnym siedzeniu nalezacego do Hoegbottona manzikerta siedzialo dwoch mezczyzn o gadzim wygladzie: waskich oczach i okrutnych, zmyslowych ustach. Miedzy nimi stala urna z prochami Bendera: wystawny, ociekajacy zlotem kicz. To wlasnie ich liczba – trzy – i hoegbottonskie manierzmy wzбудzily w Lake'u podejrzenie, ale podejrzenie to pozostalo podejrzeniem, gdz nie mial dowodu. Zadne zlowieszcze piora, ktore gdzies utkwily tydzien temu, by teraz opadajac wolno i wirujac opasc do stop Lake'a, nie wypadly z kieszeni winowajcow.

Reszte ceremonii Lake zapamietal jak przez mgle. W dokach

liderzy społeczności, w tym Kinsky (Hoegbotton był ostentacyjnie nieobecny) wygłosili kojace frazesy, mające w zamierzeniu upamiętnić nieboszczyka, po czym wzięli urne z podstawki, otworzyli wieczko i rozsypali prochy największego kompozytora na świecie po błękitnobrazowych wodach rzeki Moth.

Voss Bender nie żył. Czy moja interpretacja jest poprawna? Chciałabym móc tak uważać, ale jednym z największych wyzwani, największych uroków sztuki jest to, że wymyka się ona analizie albo dostarcza różnorodnych teorii na temat swego istnienia. Ponadto nie potrafię wyjaśnić obecności trzech ptaków w powiązaniu z czerwoną obwódką i formatem montażowym.

Bez względu na to, jaka jest geneza i przesłanie Zaproszenia na egzekucję, wyznacza ono początek spektakularnej kariery Lake'a. Przed namalowaniem tego obrazu był nieznanym nikomu malarzem. Po jego namalowaniu został uznany za jednego z największych artystów południowych miast, a jego popularność jako malarza miała wkrótce dorównać popularności Bendera jako kompozytora. Lake miał projektować niezwykle oryginalne scenografie do oper Bendera, w ten sposób przyczyniając się do interpretacyjnego renesansu jego twórczości. Zatrudniono go, choć efekt był katastrofalny, do namalowania dzieł upamiętniających Henry'ego Hoegbottona, faktycznego władcy Ambergris po śmierci Bendera. Jego ilustracje do słynnego truffidianskiego Dziennika Samuela Tonsure'a były uznawane za cudenka sztuki rytowniczej. Wystawy jego dzieł zaszczycał nawet dwór Kalifa, a prawie co roku wydawano nową książkę z jego popularnymi grafikami i rysunkami. Na setki sposobów odnowił życie kulturalne Ambergris i uczynił to miasto cudem południa (choć zawsze wydawał się dziwnie rozdrażniony, nieomal

udreczony tym sukcesem). Te fakty sa bezsporne.

I wreszcie, czy w liscie trzymanym w rece przez krzyczacego czlowieka w Zaproszeniu na egzekucje tkwi jakas tajemnica – tego mozemy sie nigdy nie dowiedziec.

Fragment z Krotkiego zarysu sztuki Martina Lake'a i jego Zaproszenia na egzekucje, autorstwa Janice Shriek, Hoegbottonski przewodnik po Ambergris, wydanie piate. Minal rok, podczas ktorego – jak to czesto zauwazala Rafie i inni przyjaciele – Lake robil wrazenie, jakby pokutowal za jakas ezoteryczna zbrodnie. Spedzal dlugie godziny w Dzielnicy Religijnej, wloczac sie po ciemnych uliczkach i ciasnych zaulkach, szukajac w brudnym, antycznym swietle scen, ktore najlepiej oddawaly jego zal i okrutna, beznamietna pasje miasta, ktore stalo sie jego domem. Slyszal za plecami szepty, plotki, ze oszalal, ze nie jest juz malarzem, ale kaplanem nienazwanej religii, ze uczestniczyl w jakims niesamowitym rytuale grzybian, ale ignorowal takie gadanie, a wlasciwie w ogole go nie slyszal.

Szesc miesiecy po pogrzebie Bendera Lake, z nowa laska w drzacej dloni, poszedl na ulice Archmont 45. Znalazl tylko wypalona skorupe, a jedynym przedmiotem, jaki udalo mu sie rozpoznać w ruinach, bylo popiersie Trilliana, poczerniale, ale nietkniete. Podniosl je z zamiarem zabrania do swojego mieszkania, ale gdy tak wedrowal wsrod ruin, szukajac jakichs sladow tego, co sie tam stalo, pomysl ten wydal mu sie nagle niesmaczny; zostawil wiec popiersie na stercie gruzow, z obojetnymi oczami patrzacymi w bezkszaltne niebo. Nic nie zostalo, ale nozdrza draznil mu lekki zapach padliny i dymu. Zreszta moze to byl tylko sen.

Jeszcze tego samego miesiąca Lake poprosił Merrimounta – cudownego, najdroższego Merrimounta – żeby przeprowadził się do niego na stałe. Nie zaplanował tego, ale kiedy już wypowiedział te słowa, wydaly mu się stosowne, a Merri ze łzami w oczach zgodził się; uśmiechnął się po raz pierwszy od ciężkiej próby, jaką przeszedł Lake. Świetowali w kawiarni; Raffe wyraziła ostrożną aprobatę, a Sonter i Kinsky przyniesli prezenty i życzyli im wszystkiego dobrego.

Potem wszystko zmieniło się na lepsze. Choć koszmary senne nadal go nawiedzały, Lake odkrył, że obecność Merrimounta pomaga mu zapomnieć, a przynajmniej nie pamiętać. Poszedł do galerii Shriek i zabrał wszystkie swoje obrazy, a potem spalił je w beczce na tyłach kamienicy. Zaczął znowu odwiedzać "Pod Czerwonogardłym Cielaczkiem". Ojciec przyjechał do niego pod koniec zimy i spotkanie przebiegło w lepszej atmosferze, niż można było się spodziewać, nawet wtedy, gdy pełen rezerwy starszy pan pojął istotę związku swego syna z Merrimountem. Był szczerze wzruszony, kiedy Lake pokazał mu bliźniacze obrazy, przedstawiające jego własne ręce wypełnione owadami, a Lake poczuł, że dzięki tej aprobacie on sam stał się mniej obojętny. Łódź zaczęła pekać. Pośród cieni zapłonęło światelko.

Tylko Ambergris – miasto odmian i miasto dziewic – robiło, co mogło, żeby przypominać mu o mrokach. Wszędzie pojawiły się wyrazy czci dla Bendera, a kompozytor nigdy wcześniej nie cieszył się taką popularnością. Można by rzec z pełnym przekonaniem, że zaskarbił sobie trwale miejsce w pamięci. Pod mściwym spojrzeniem pomników i plakatów Bendera, pośród budynków jego imienia, Czerwoni i Zieloni z czasem stracili zainteresowanie i znudzili się. Niektórzy przyłączyli się do

tradycyjnych frakcji politycznych, ale wielu zginelo w ostatecznym starciu w budynku Poczty imienia Vossa Bendera. Gdy nadeszla wiosna, Ambergris niewiele sie roznilo od miasta sprzed smierci kompozytora.

Wiosna, pewnego chlodnego poranka, Lake usiadl przed niedokonczonym obrazem przedstawiajacym czlowieka z koszmaru. Mezczyzna usmiechal sie, ukazujac polamane zeby, jakby ostrzegal, ale nie byl juz przerazajacy. Byl samotny i smutny, schwyty w pulapke zielonej farby otaczajacej twarz.

Lake wysliznal sie z lozka, by nie obudzic spiacego jeszcze kochanka, ale po chwili i tak poczul na plecach wzrok Merriego. Ostroznie wzial do reki pedzel i nowa tube ciemnozielonej farby. Trzonek pedzla byl szorstki, ziarnisty, tubka z farba gladka i smukla. Lake trzymal pedzel niepewnie, lecz mocno. Farba przyjemnie pachniala i czul, jak ta obietnica budzi do zycia jego zmysly. Slonce z balkonu otoczylo go cieplem.

–Co ty robisz? – Mruknel Merrimount.

Lake odwrocil sie; swiatlo, ktore naplywalo przez okna, bylo prawie nieznosne.

–Maluje – powiedzial z cierpkim, udreczonym usmiechem.

Rzeczy wywolane w pamieci gromadza sie, zbiegaja z roznych stron, a czyniac to, niektore z nich musza pokonac nie tylko odleglosc w przestrzeni, lecz rowniez i w czasie. Mozna wiec zastanawiac sie, z czym wiekszy klopot, z owym koczownikiem, z tamta mloda topola rosnaca niegdys w poblizu i juz dawno scieta, czy jakimis dowolnie wybranym podworzem, co wciaz

istnieje, lecz znajduje się daleko stąd. Zdecydujcie, proszę.

Władimir Nabokow, Leonardo

(tłum. Teresa Truszkowska) ORANEK BYŁ NIEPRZYJEMNIE wilgotny. Z matowo pochmurnego nieba metodycznie i z wolna opadała ku ziemi drobna mżawka. Kiedy tak szedł, niemal wydawało mu się, że to ledwie efemeryczny, ulotny deszczyk, lecz otaczające go budynki, trwające w swych okopconych szeregach – wyplowiałe, szerniałe, nasączone zapachem benzyny i siana zmieszany z smrodem odchodów – na tle spadających z nieba kropel wody wyglądały ledwie na zarys, na wyczerpane przez nią do cna. A już z pewnością były z nią co najmniej pojednane i pogodzone. Nieliczni mijani na ulicy przechodnie drżeli z chłodu. Byli przyciszeni, anonimowi, i wyglądali chęlnie. Ich buty wydawały w kaluzach chlupoczące odgłosy – dźwięk, który wręcz wstrząsał w panującej wokół ciszy, przygnębiając go jeszcze bardziej. Z radością i ulgą przywitał więc chwilę przybycia na miejsce, gdy zamykające się za nim szklane drzwi odcięły go od zapachu deszczu.

Wewnątrz, jak na ironię, otoczył go za to słodkawy zapach stęchlizny i chorej sterylności. Kichnął, odłożył aktówkę. Ściągnął kalosze i postawił je przy drzwiach. Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy, który wyglądał, jakby sciekające po nim strumienie deszczu wryły w nim bruzdy, a następnie zawiesił go na absurdalnie złowieszczym stojaku, przyozdobionym głowami rozwscieczonych gargulców. Otrzepał się, rozpryskując wokół siebie zblakane krople wody, po czym wyprostował krawat i przyglądał czarne włosy. Ubolewając nad brakiem kawy, wyciągnął z kieszeni marynarki swistek papieru. Pokój numer 54. W dole. Daleko w dole. Wiele, wiele prowadzących w dół

schodow.

Rozejrzal sie po pustym westybulu wylozonym bialymi i szarymi plytkami. Po niczym nie wyrozniajacych sie drzwiach. Wnetrze oswietlaly padajace z gory warstwy matowego swiatla, wiekszosc z nich migotala anormalnoscia. Znajdowaly sie tu stworzone specjalnie dla biurokratow zegary uzbrojone w matowe wskazowki. Tworzyly one rozmieszczone niewinnie co kilka metrow cicho tykajace nieszkodliwe szare kregi. Byl w stanie uslyszec wydawane przez nie dzwieki wylacznie dlatego, ze wiekszosc personelu udala sie na urlopy. Panujaca wokol pustka nadawala stojacemu przed nim zadaniu pewna latwosc wykonania. Nie zamierzal sie spieszyc. Ani troche.

Podniosl aktowke i przeszedl przez westybul. Jego buty skrzypialy na lsniacej, pokrytej plytkami podlodze, ku jego zdumieniu najwyrazniej swiezo nawoskowanej.

Minal trzy kolejne stojaki na plaszczce, kazdy rownie banalnie powtarzajacy formy gargulcow, a zaden z nich, nawet w najmniejszym stopniu, nie przystawal do marzen snutych przez przelozonych tej placowki, by wygladala ona, jak przystalo na nowoczesna instytucje. W kolejnych drzwiach dostrzegl przed soba stojacego na baczosc samotnego straznika. Czlowieka tak bardzo wychudzonego, ze znajdujacego sie niemal na granicy glodu. Straznik nie spogladal ani w prawo, ani w lewo. Nawet nie mrugnal okiem w odpowiedzi na kiwniecie. Czyzby byl martwy? Wydzielal zapach starej skory i dziegciu. Czy on sam po smierci bedzie pachniec dokladnie tak samo? W jakis niepojety sposob rozbawily go takie rozmyslania.

Skrecil w lewo, w kolejny pozbawiony kolorow, cuchnacy

stechlizna korytarz, ktorego mrok niechetnie rozswietlaly owalne zarowki wkreczone w znajdujace sie w scianach instalacje kinkietow, pochodzacych niewatpliwie z jakichs niezmiernie odleglych czasow. Kiedys byc moze i mialy one mosiezny kolor, lecz obecnie sprawialy wrazenie obrzydliwie czarnych.

Idac dalej, zarejestrowal w myslach kapiaca z sufitu wode – lepiej by bylo, gdyby obsluga naprawila te przecieki zamiast pastowac podlogi. Nim sie czlowiek obejrzy, plesn pooblepia wszystkie sciany, a grzyb zacznie wyrastac w najbardziej nawet nieoczekiwanych miejscach budynku.

Doszedl do odcinka korytarza, w ktorym naniesiono na butach tak wiele blota, ze kazdy przygladajacy sie znajdujacym sie tu odciskom stop detektyw (ktorym, rozwiejmy tu wszelkie watpliwosci, nie byl) przyjalby, ze w szeregach dosc pokaznej grupy niechlujnych, a rownoczesnie rozszalalych i zdeterminowanych osobnikow, wywiazala sie jakas przepychanka. Byc moze tak wlasnie bylo – pacjenci niezbyt przepadali za przyklejaniem im latki pacjenta.

Zapach blota zageszczal powietrze, lecz uwage zwracala zupełnie inna won, zaplatana i zakorzeniona w powietrzu, zapach zarowno swiezy, jak i wyjatkowo nieoczekiwany. Zatrzymal sie, zmarszczyl czolo, kilkakrotnie wciagajac powietrze w nozdrza. Odwrocil sie, spojrzal w lewo, przesuwajac wzrokiem w kierunku podlogi. Tam, w peknieciu pomiedzy sciana a podloga, na samym srodku splachetka czegos, co moglo byc jedynie ziemia, rozkwitala malutka roza o buntowniczo krwistoczerwonym kolorze.

Nachylil sie nad kwiatkiem. Jakze niespotykanym. Jakze

pięknym. Zamrugnął powiekami, szybko rzucając spojrzenie w obie strony korytarza. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Ani żywej duszy.

Zrecznie, uważając na okalające lodyge kolce, wyrwał kwiat. Prostując się, wetknął go sobie w butonierkę i przyglądał na miejscu. Wreszcie ruszył w dalszą drogę wzdłuż korytarza.

Wkrótce dotarł do rozwidlenia, w którym rozchodziły się promienście trzy korytarze: jeden na wprost, a dwa kolejne na prawo i lewo. Bez najmniejszego wahania wybrał prowadzący na lewo, schodzący skosem w dół. Powietrze szybko się oziębiło, stając się równocześnie bardziej stęchłe; dalo się w nim wyczuć słabą won... Pstrąga? (Czyżby koty przechowywały tu sobie jakąś rybę?). Światło stopniowo stawało się coraz bardziej przytłumione. Miał nadzieję, że uda mu się przejrzeć akta Iksa, nim dotrze do pokoju numer 54, ale w panującym wokół mroku tak postawione zadanie okazywało się niemożliwe. (Czyżby kolejna uwaga do tutejszej obsługi technicznej? Może lepiej nie. Ta była bowiem dość nieposłuszna i niezdyscyplinowana gromadka, niezbyt przyzwyczajona do wszelakich reprimend, gotowa w każdej chwili zacząć stwarzać bliżej nieokreślone trudności. Poza tym i tak nie to było teraz najważniejsze – wciąż rozbrzmiewały mu bowiem w głowie słowa współpracowników: "Iks został uwieczniony między polkulami własnego mózgu"; "Iks to twardy orzech do zgryzienia"; "Iks jest doskonałym tematem pracy naukowej dotyczącej winy").

Tak, nie to było teraz ważne. I choć podzielał zdanie ogółu, że budynek należy odnowić, tak by mógł dzięki temu spełniać wszelkie współczesne standardy i normy, to jednak rozkoszował się pokonywaną właśnie wolnym tempem drogą, tą wywołującą

aure tajemniczosci przechadzka, rozsiewajaca atmosfere eksploracji i odkrywania nieznanego. Zawsze uwazal, ze – w pewnym sensie oczywiscie – podczas tak dlugiego spaceru zrzuca z siebie niepotrzebne fragmenty wlasnego ja, ze staje sie wtedy o wiele bardziej funkcjonalny w swej doskonalej efektywnosci.

Skrecil w lewo, nastepnie w prawo, przez caly czas nieprzerwanie schodzac w dol. Mial wrazenie, ze cos zamigotalo mu w powietrzu, cos tuz-tuz, niemal muskajac skore. Przenikajacy powietrze miedziany posmak wywolywal wrazenie, jakby sie lizalo metalowe galki u drzwi badz slupki lozek. Punkty swiecacych zarowek staly sie nieregularne – na jedna kulke jasniejaca maslanym swiatlem przypadaly trzy wypalone. Jego buty zachrzescily na nieodgadnionych rzeczach skrywajacych sie w polykajacej mu stopy ciemnosci.

Dotarl wreszcie do czarnych, spiralnych schodkow, prowadzacych bezposrednio do drzwi pokoju numer 54. Byly one przykladem prawdziwie barokowej potwornosci, stworzonej w duchu i stylu mijanych wczesniej stojakow z gargulcami. Wily sie i dziwacznie, niemal zlosliwie wykrecaly, prowadzac wprost w ogarnieta mrokiem studnie, ktorej ciemnosc rozpraszaly jedynie przypadkowe refleksy odbijanego na poreczy schodkow swiatla pojedynczej, zwisajacej tuz nad nimi slabej zarowki. Uwazal, ze ze wszystkich osobliwosci budynku wlasnie one zachwycaja najbardziej. Schodzil nimi powoli, smakujac dlonia dotyk kutego zelaza poreczy, badajac chropowatosc miejsc, w ktorych odprysla lub wyblakla czarna farba tworzyla wzory w ksztalcie porostow. Schody pachnialy historia, przodkami, zupełnie innym swiatem.

Nim dotarł na sam dół, pozbył się resztek własnej radości, rozkoszowania się chwilą, poczucia własnej korzyści, egoizmu, nieważnych maluczkich rozdrażnień, własnej przeszłości. Wszystkim, co pozostało, była ciekawość, współczucie, instynkt oraz roza – drobna plamka żywego koloru, rekwizyt nieprzystający do wymogów otaczającego go decorum.

Zaczął szperać w poszukiwaniu włącznika światła i gdy wreszcie na niego natrafił, stęchła zółć zalała niewielką przestrzeń skrywaną w dole schodów. Siegnął po klucze. Otworzył drzwi. Wszedł do środka. Zamknął je za sobą.

Już wewnątrz zamrugał powiekami i przysłonił dłońmi oczy, osłaniając je przed rozlewającą się w pomieszczeniu jasnością intensywniejszą od tej panującej na korytarzu. Doszedł do niego kwasny zapach ubrań przebywającego tu człowieka. Słabo wyczuwalny zapach moczu. Czyżby Iks znaczył w ten sposób swój teren?

Gdy jego oczy przyzwyczaiły się już do panującej wewnątrz jasności, dostrzegł biurko, maszyny do pisania, łóżko, niewielki zapas puszkowanej żywności oraz jeszcze jedno, oddzielne pomieszczenie służące za toaletę. Okna – kwadratowe, wykonane z grubego, gęstego niczym syrop szkła – rozciągały się na wysokości oczu, ale jedynym, co można było za nimi dostrzec, była pustka ziemi, zaprawy murarskiej i cementu.

Na rozklekotanym, znajdującym się za biurkiem krzesle siedział pisarz. Lecz w tej właśnie chwili nie pisał. Kiedy wszedłem, akurat wpatrywał się we mnie.

Uśmiechnąłem się, odłożyłem aktówkę. Sciągnąłem marynarkę i

ostrożnie, by nie naruszyć rozy, zawiesiłem ją na oparciu najbliższego z krzesel.

–Dzień dobry – przywitałem się, nie przestając się uśmiechać.

Nie oderwał ode mnie wzroku. Bardzo dobrze, skoro tak, to poobserwujemy się nawzajem. Zaczeliśmy krążyć wokół siebie samymi tylko oczami.

Przyglądając się, jak luźno zwisa na nim skóra, wydedukowałem, że kiedyś musiał być tegi, co dawno jednak było już za ledwie melodia przeszłości; człowiek ten osiągnął obecnie jedyny możliwy w swoim przypadku stan szczupłości, stan raczej ja sugerujący, za ledwie robiący do niej aluzję, nawiązujący do niej, który w najlepszym przypadku był jedynie bladą kopią prawdziwej. Miał na sobie za dużo skóry, a towarzyszyły temu szerokie ramiona i baryłkowata klatka piersiowa. Jego wargi ułożyły się w coś pośredniego pomiędzy szerokim lakonicznym uśmiechem a melancholijnym wykrzywieniem ust. Na jego policzkach zaczynały się przebijać ślady świeżego zarostu (akurat w jego przypadku nadawało mu to pewnej atrakcyjności), nad którym górował niewielki, niemal kobiecy nos, a spoza złotych oprawek okularów przeszywały światło jego niebieskie oczy. Miał na sobie to, co dostał już od nas: nijakie spodnie, biała koszula i włożony na nią brązowy sweter.

Jak pachniał? Obcością, której nie byłem w stanie zidentyfikować. Była w tym delikatna nuta bzu kwitnącego na wiosnę. Powiew wiatru znad zmoczonej deszczem łodzi rybackiej, która wypłynęła na rzekę. Podmuch wpadający zza drzwi prowadzących do pomieszczenia wypełnionego starymi książkami.

Wreszcie przemówił:

–Przyszedles, by mnie przesłuchać. Po raz kolejny. A ja odpowiedziałem już na wszystkie pytania. I to wielokrotnie. – Głos mu zadrzał. Ledwie powstrzymywał trawiąca go od środka frustrację.

–Musisz mi odpowiedzieć raz jeszcze – powiedziałem i wciąż trzymając w rękach aktówkę, ruszyłem w jego kierunku, stając tuż przed samym biurkiem.

Siedział wygodnie, rozpostarty na krzesle, z rękami założonymi za głowę.

–I co to niby ma nam dać?

Zupełnie nie podobała mi się jego bez troska. Nie podobał mi się jego komfort psychiczny, ten wyraźnie widoczny luz i nonszalancja. Postanowiłem, że czas z tym skończyć.

–Nie będę cię zwodził – przyszedłem tu, by móc podjąć ostateczną decyzję o twoim losie. Czy powinniśmy cię zamknąć na piec, czy może na dziesięć lat? A może powinniśmy jednak poszukać jakiegoś innego rozwiązania? Ale niech ci się nie wydaje, że kłamstwem możesz otworzyć sobie drzwi i wkręcić się w ten sposób w moje łaski. Mimo wszystko odpowiedziałem nam już na wszystkie pytania. I to na każde po kilka razy. Musimy wspólnie dojść dziś do porozumienia opartego tylko i wyłącznie na twoim obecnym stanie umysłu. A ja chciałbym, byś zdał sobie sprawę, że wysmienicie potrafisz wyczuć kłamstwa. Być może wyglądem przypominają one słodką melasę, lecz cuchną jak trucizna.

Ta stara tyrada, wypowiedzana przeze mnie tak wiele razy w tej lub innej, bardzo zbliżonej wersji, przyszła mi aż nazbyt łatwo.

–Pozwól więc, że nie będę cię zwodzić – odparł, prostując się na krzesle. – Obecnie jestem nieugięcie przekonany, że zarówno samo Ambergris, jak i wszystko, co się z nim łączy, jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. W tej chwili nie wierzę już w jego istnienie.

–Rozumiem. Taka informacja w żaden jednak sposób nie sprawi, że natychmiast spakuje swoją aktówkę i od razu wypuszcze cię na wolność. Muszę ci zadać kilka pytań.

Spojrzał na mnie, jakby już zamierzał się przeciwstawić. Zamiast tego jednak odparł:

–W takim razie pozwól mi ogarnąć trochę moje biurko. Chcesz może, bym zaczął od złożenia oświadczenia?

–Nie. Zadawane przeze mnie pytania zapewnia ci później taką możliwość. – Uśmiechnąłem się, wypowiadając te słowa, bowiem mimo iż nie powinienem żywić zbyt wielkich nadziei, nie chciałem go wpędzić w bezdenne rozpacz.

Iks nie należał do jakichś mocarzy, pomogłem mu więc przenieść stojącą na biurku maszynę do pisania – stary, toporny model, którego klawisze zaprotestowały metalicznie, gdy stawialiśmy ją na podłodze.

Kiedy wreszcie usiedliśmy, sięgnąłem po pióro i notatnik.

–Zacznijmy może tak – zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteś i

dlaczego sie tu znalazles?

–Jestem na oddziale szpitala psychiatrycznego w Chicago, poniewaz cierpiałem na halucynacje, ze swiat powstaly w mojej wyobrazni jest w rzeczywistosci prawdziwy.

–Gdzie i kiedy sie urodziles?

–W Belfont w Pensylwanii. W 1968 roku.

–Gdzie dorastales?

–Moi rodzice sluzyli w Korpusie Pokoju... Czy masz zamiar spisywac to wszystko po raz kolejny? Drazni mnie odglos gryzmolenia piora po papierze. Przypomina mi chrobot rozpierzchajacych sie karaluchow.

–Nie przepadasz za karaluchami?

Przyjrzał mi się z grymasem niezadowolenia na twarzy.

–Rob, jak uwazasz.

Wyjalem akta z teczki. Rozlozylem przed soba zapisy poprzednich sesji. Kilka slow rzucilo mi sie w oczy: ogien... Proces... Oczywiscie, ze ja kochalem... Kontrola... Rzeczywistosc... To bylo ze mna w pokoju...

–Po prostu sprawdze uzyskane wczesniej odpowiedzi. Zapisze tylko odbiegajace od tych uprzednio uznanych za prawdziwe, ktorzych byles uprzejmy nam udzielic. Zaczniemy wiec raz jeszcze – gdzie dorastales?

–Na wyspach Fidzi.

–Gdzie to jest?

–Na południowym Pacyfiku.

–Rozumiem... Jaka była twoja rodzina? Masz braci? Siostry?

–Rodzina była patologiczna. Rodzice nieprzerwanie ze sobą walczyli. Mam jedną siostrę – Vanesse.

–Jak ci się z nią układało? Na czym dokładnie polegała patologia, o której mówisz?

–Z siostrą układało mi się o wiele lepiej niż matce czy ojcu. A rodzina była wyjątkowo patologiczna. Wolalbym raczej o tym nie opowiadać. I tak masz już to wszystko w papierach. Poza tym, wyjaśnia to załedwie, dlaczego pisze, a nie, dlaczego cierpię na urojenia.

W stenogramach wyczytałem, że nazywał to "dziesięcioletnim rozwodem". Niekonczące się walki. Przemoc, i to zarówno słowna, jak i psychiczna. Naprawdę paskudne sprawy, ale jakos nic wybitnie nadzwyczajnego. Powszechnie stosowana metoda zakładała, by na początku sesji przeanalizować dzieciństwo pacjenta, ustalić przyczynę jego traumy, ową pojedynczy okrutny, niewybaczalny incydent, który ukształtował – czy też zrujnował – mu całe dalsze życie. Ale wcale mnie nie obchodziło, czy jego dzieciństwo pełne było odleżyn cierpienia, czy też było zgorzela smutku. Znalazłem się tutaj, by określić w co dokładnie wierzy obecnie. Tylko dlatego zamierzałem mu zadać wszelkie konieczne pytania o przeszłość, bowiem w większości

przypadkow zdawaly sie one uspokajac pacjentow. A to, czy odpowie mi na nie, czy nie, jak dla mnie i tak nie mialo najmniejszego znaczenia.

–Czy w dzieciństwie miewales jakies wizje? Halucynacje?

–Nie.

–Zadnych?

–Zadnych.

–Wyczytalem tu, jak wspominales o pewnej halucynacji. Wydawalo ci sie, ze z okna pokoju hotelowego dostrzegles dwa kopulujace w locie kolibry. Byles wtedy chory i podzieliles sie z nami tym wspomnieniem w dosyc melodramatyczny sposob: "Wydawalo mi sie, ze moglbym je utrzymac w powietrzu samym tylko spojrzeniem, by juz na zawsze moc napawac swe oczy ich pieknem. Ale w koncu musialem jednak zawolac siostre i rodzicow, odwrocic sie od okna, a kiedy ponownie na nie spojrzalem, swiatlo bylo juz inne, zmienil sie swiat, a ja zdawalem sobie sprawe, ze ptakow juz tam nie ma. Lezalem sam, wysoko nad poziomem morza, pod tlenem..."

–...Ale przeciez to nie bylo halucynacja...

–...Nie przerywaj, prosze. Jeszcze nie skonczylem: "...Pod tlenem i nagle, nieoczekiwanie, w chwili mojej największej bezbronnosci, swiat odkryl przede mna najpelniejsza glebie swych lask i piekna. Chwila ta byla dla mnie wrecz natchniona, boska, rownie fantastyczna, jak gdyby te kolibry wyfrunely wprost z mych ust, oczu, a nawet prosto z mysli". Ty nie uwazasz

czegoś takiego za halucynacje?

–Nie. Jest to tylko deklaracja piękna. Naprawdę je widziałem...
Te kolibry...

–Czy piękno odgrywa ważną rolę w twoim życiu?

–Tak. Jest bardzo ważne.

–Czy uważasz, że kiedy dostrzegłeś te kolibry, wkroczyłeś do innego świata?

–Zaledwie symbolicznie. Wiesz, jestem bardzo zrównowagowana osoba, tkwie gdzieś pośrodku, pomiędzy moim logicznym ojcem a kompletnie nielogiczna matka. Doskonale rozróżniam, co istnieje naprawdę, a co nie.

–Nie tobie to określać. Czym zajmują się twoi rodzice? Jak mi się zdaje, nikt jakos nie zadał ci takiego pytania.

–Ojciec jest entomologiem – bada robactwo, a nie słowa. Matka – artystka. A przy tym również pisarka. Napisała książkę poświęconą sztuce cmentarnej.

–Ach! – Siegnąłem po dwie rzeczy, które miał przy sobie, gdy go tu przywieziono – książkę zatytułowaną Miasto szalenców i świętych oraz pojedynczą kartkę papieru z szeregiem szkiców animowanych postaci. – Jesteś więc pisarzem. Masz to po matce.

–Nie. Tak. Być może.

–Sądze, że to wyjaśnia, dlaczego dano ci maszyny do pisania –

jestes pisarzem. W porzadku, tylko zartowalem. Zachowaj sie, jak nalezy, i zasmiej z mojego zartu. Dobrze, co ostatnio napisales?

–"Nie bede juz wierzył w halucynacje". Przepisywalem to tysiac razy.

–Teraz, jak widze, moja kolej, by zachowac sie grubiansko i nie rozesmiac z tak doskonałego zartu. – Unioslem Miasto szalencow i swietych. – Napisales te ksiazke.

–Tak. Rozeszla sie w przeszlo milionie egzemplarzy na calym swiecie.

–Zabawne. Dopoki ten oto egzemplarz nie wpadl mi w rece, nigdy o niej nawet nie slyszalem.

–Szczesciarz z ciebie. Sam wolalbym nigdy o niej nie uslyszec.

–Patrzac jednak na to z drugiej strony, bardzo rzadko siegam po wspolczesnych autorow, a kiedy juz to robie, to z reguly zaglebiam sie tylko i wylacznie w thrillery. Zyje na takiej prostej dreszczowcowej diecie czytelniczej. Zadna tam poezja, to nie dla mnie, mimo iz sam odrobine param sie pisarstwem... Koniec koncow przeczytalem jednak twoje Miasto szalencow i swietych, gdy juz przydzielono mnie do twojego przypadku. Chcesz uslyszec, co o nim mysle?

Iks prychnal.

–Nie. Dostaje, to znaczy dostawalem, przeszlo sto listow od fanow dziennie. Po pewnym czasie chcialem najzwyczajniej w

swiecie uciec od tego wszystkiego na jakas bezludna wyspe.

–I dokładnie tego, moim skromnym zdaniem, udalo ci sie dokonac. Oczywiscie metaforycznie. – Tyle tylko, ze jego bezludna wyspa okazala sie byc zamieszкана. Co w jego przypadku jedynie pogorszylo sprawe.

Zignorowal moje sondowanie i zapytal:

–Wydaje ci sie, ze chcialem to napisac? Po wydaniu ksiazki kazdy oczekiwal tylko kolejnych opowiesci ze swiata Ambergris. Nie bylem w stanie sprzedac niczego innego, zadnego utworu, ktory dzialby sie gdzie indziej. A kiedy juz ucichla poczatkowa wrzawa, okazalo sie, ze nie jestem w stanie pisac niczego innego. To bylo przerazajace. Spedzalem po dziesiec godzin dziennie nad maszyna do pisania po to tylko, by sprawiac, ze swiat, ktory sam kiedyś stworzyłem, stawal sie coraz bardziej realny w otaczajacym mnie na co dzien swiecie. Czulem sie jak jakis wywolujacy demona czarnoksiężnik.

–A to? Co to jest? – Unioslem kartke, zawierajaca szkice animowanych postaci.

–Przykladowe szkice Disneya – bez watpienia stworzone tylko po to, by stac sie marzeniem niejednego kolekcjonera – do animowanego filmu bedacego adaptacja napisanej przeze mnie noweli Zakochany Dradin. Premiere filmu zaplanowano na przyszly miesiac. Z pewnoscia o tym slyszales?

–Nie chodze do kina.

–To co ty robisz?

–Wypytuje chorych ludzi o ich schorzenia. Dobrze byloby, gdybys zaczal myslec o mnie jako o tabula rasa, niezapisanej tabliczce, kims, kto nie ma o niczym najmniejszego pojecia. Dzieki temu latwiej ci bedzie uniknac pominięcia jakichs istotnych fragmentow swych odpowiedzi... Zakladam, ze twoje ksiazki sa bardzo popularne?

–Tak – odpowiedzial, wyraznie dumny z tego faktu. – Stworzono platforme RPG Krasnoludy i Misjonarze, wygaszacz ekranow z Gigantyczna Kalamarnica, plyty CD z "najwiekszymi przebojami" arii Vossa Bendera w wykonaniu Trzech Tenorow, plastikowe kolekcjonerskie figurki grzybian, a nawet odbywaja sie konwenty milosnikow Ambergris. To wszystko jest tak bezmiernie glupie.

–Zarobiles na tym niesamowicie duzo pieniedzy w stosunkowo krotkim czasie.

–Skoczylem z pietnastu tysiecy dolarow rocznie do mniej wiecej pieciuset, i to juz po opodatkowaniu.

–I przez caly ten czas otaczaly cie produkty wlasnej wyobrazni, zazwyczaj przyjmujace fizyczna forme dzieki wysilkom innych ludzi?

–Tak

Ostre jak brzytwa szpony przesluchujacego wysunely sie na zewnatrz, gotowe. Nakierowalem sie na cel, stajac sie zaledwie seria pytan w przebraniu czlowieka, stajac sie rownie finezyjny niczym logarytm. Wyszarpie z niego cala prawde i niewazne, czy wszystko pojdzie gladko, czy bedzie musiala polac sie krew.

Przesluchujacy: Kiedy zaczales czuc, ze cos jest nie tak? X: W dniu, w ktorym przyszedlem na swiat. Jakis malutki fragment tkanki plodowej nie uformowal sie jak nalezy i – presto?! – U podstawy kregoslupa pojawila mi sie cysta, ktora dwadziescia cztery lata pozniej nalezalo usunac. P: Pozwol, ze ci przypomne – moje przedwczesne wyjscie z tego pomieszczenia moze zaowocowac tym, ze sam nigdy sie z nim nie pozegnasz.

X: Prosze mi nie grozic. Niezbyt dobrze reaguje na grozby. P: A kto reaguje na nie dobrze? Zacznij raz jeszcze, ale tym razem caly sarkazm zostaw wylacznie dla siebie. X:...Wszystko zaczelo sie tego dnia, gdy rozmyslalem nad fabula historii, ktora stala sie pozniej Przemiana Martina Lake'a. Szedlem sobie ulica w centrum Tallahassee – tam wlasnie wtedy mieszkalem – mijajac po drodze stare ceglane budynki. Otaczajace mnie ulice byly waskie i nastrajaly klaustrofobicznie, staralem sie wiec wyobrazic sobie, jak wygladaloby zycie w Ambergris. Mijal wlasnie rok od publikacji pierwszego amerykanskiego wydania Miasta szalencow i swietych, zazadano wiec ode mnie kolejnej porcji opowiadania, by mozna je bylo dorzucic do przygotowywanego wlasnie kolejnego wydania. Szedlem, gleboko pograzony w myslach. I wtedy, mijajac rog, unioslem wzrok i przez jakies szesc sekund – zbyt dlugo, by wziac to za miraz, ale zbyt krotko, by moc miec pewnosc – dostrzegalem przed soba oblepiona tlumem przechodniow Ksiegarnie Borges, i akwedukt, za ktorymi widac bylo maszty cumujacych w dokach okretow. Wszystkie te miejsca pochodzily z mojej ksiazki. Czulem slony powiew wiatru znad rzeki, niosacy zapach mulu, a ludzie znajdowali sie tak blisko, ze moglbym wyciagnac dlon i ich dotknac. Lecz gdy ruszylem w ich kierunku, wszystko nieoczekiwanie wrocilo do rzeczywistosci. Ot, tak po prostu przeskoczylo, w mgnieniu

oka...

P: Wiecej tamto wydawało ci się prawdziwe. X: Czulem zapach ulicy – mocz, won przypraw, koniski odor. Czulem smakowity aromat kurczaków pieczonych na porostawianych wzdłuż ulicy piecykach ulicznych sprzedawców. Czulem smagająca mi twarz bryze z nad rzeki. A światło... Światło było zupełnie inne.

P: Jak to? X: No inne. Lepsze. Bardziej przejrzyste. Czystsze. Po prostu inne. Nagle zdałem sobie sprawę, że mówię sam do siebie: "Jakosci tego światła nie można uchwycić farbami", i wiedziałem już, że oto w pełni dojrzała we mnie centralna myśl – najważniejsze pytanie życia mojego bohatera, Martina Lake'a. P: Ta postać, że pozwolę ci sobie przerwać, nie interesuje mnie nawet w najmniejszym stopniu. Chce się dowiedzieć, dlaczego zacząłeś iść w kierunku tego, co zobaczyłeś. Przynajmniej trzy razy – jak moge ci to wyczytać – potwierdziłeś, że ruszyłeś w kierunku tej wizji.

X: Nie mam pojęcia dlaczego.

P: Co poczułeś, gdy zobaczyłeś ją przed sobą? X: Zmieszanie, to oczywiste. A po chwili przerażenie, gdyż uswiadomilem sobie, że muszę być chory, że muszę mieć guza mózgu albo coś podobnego.

Wpatrywałem się w niego, marszcząc twarz, dopóki nie spuścił wzroku.

–Wysmienicie zdajesz sobie sprawę, do czego zmierza ta rozmowa – stwierdziłem otwarcie. – Wiesz, do czego musimy dojść. Być może ci się to nie podoba, ale musisz stawić temu

czola. – Wskazalem dlonia na lezace na stole kartki z zapisami poprzednich sesji. – Istnieja sprawy, o ktorych tam nie wspominasz. Pofolguje ci jeszcze przez chwile, jedynie drażniac interesujacy nas temat po bokach, ale musisz sie przygotowac na bardziej bezceremonialne podejscie do sedna. Ono musi po prostu wkrótce nastapic.

Podniosl moja kopie Miasta szalencow i swietych i zaczal ja wertowac.

–Wiesz – zaczal – jak tak patrze na te ksiazke, to mam jej serdecznie dosyc. Oczekiwalem, ze krytycy nie pozostawia na mnie suchej nitki, ze poczatkowa fala zainteresowania czytelnikow powoli wygasnie i oslabnie. Naprawde tego chcialem. Nie moze pojac, jak tak olbrzymi sukces mogl mi przyjsc tak zupełnie bez najmniejszego... Wysiłku. Wyobraz sobie moja rozpacz, gdy odkrylem, ze swiat, na ktory nie bylem juz w stanie patrzec, czeka na mnie tuz za rogiem.

–Klamiesz! – Krzyknalem, wstajac i tak nachylajac sie nad nim, ze moja twarz znalazla sie zaledwie kilka centymetrow od jego twarzy. – Klamiesz! Ruszyles w kierunku tej wizji, poniewaz cie fascynowala! Poniewaz nie potrafiles sie jej oprzec! Poniewaz dostrzegles w niej cos z prawdziwego swiata! A kiedy bylo po wszystkim, wcale nie bylo ci przykro. Nie bylo ci przykro, ze ruszyles w tamtym kierunku, ze wykonales te kroki. Przeciwnie, wydawaly ci sie one jedyna rozsadna rzecz, ktora nalezalo wtedy wykonac. O calym incydencie nie wspomniales nawet swojej zonie... Swojej zonie... – Gdy przegrzebywalem zascielajace stol papiery, popatrzył na mnie, jakbym stal sie wcieleniem gargulca ze stojaka na plaszcz. – ...Swojej zonie Hannah. Sam to przyznales. Czyz nie prosilem cie, zebys nie

klamal?

Również i te mowy wygłaszałem już wielokrotnie, w wielu różniących się wersjach. Moje słowa najwyraźniej głęboko nim wstrzasnęły.

X: Czy nigdy nie chciales... Czy nigdy nie chciałbys żyć w miejscu, które kryłoby w sobie więcej tajemnic? Miałoby więcej kolorytu? Byłoby bardziej żywe? O otaczającym nas świecie wiemy wszystko. Wszystko możemy zrobić. Sam przez pięć lat pracowałem jako redaktor techniczny, którego zadaniem było składanie w jedną całość w formie książkowej uchwał rady miasta. W swoim biurze nie miałem nawet okna. Czasami, gdy kodyfikowałem pięćdziesiątą, siedemdziesiątą piątą, setną uchwałę dotyczącą ścieków płynnych, chciałem już tylko wstać, roztrzaskać komputer i podpalić swe biuro. Być może to cholerne, przegniłe miejsce splonęło do szczytu... Nasz świat jest zbyt ograniczony. Czy nie chciales nigdy, nie czules takiej potrzeby, by w twoim życiu zaistniało, pojawiło się więcej tajemnic? P: Na pewno nie kosztem zdrowia psychicznego. Kiedy zacząłeś sobie uświadamiać, że – jak sam powiedziałeś – "Nie stworzyłem Ambergris, a jedynie opisywałem istniejące już miejsce, które na dodatek, okazało się prawdziwe i rzeczywiste"?

X: Kawal sukinsyna z ciebie, wiesz o tym?

P: Taka już moja rola. Opowiedz mi teraz, co wydarzyło się później. X: Na szczęście miesiąc wszystko wróciło do normy. Wydano drugą książkę, która okazała się jeszcze większym sukcesem niż pierwsza. Byłem wniebowzięty. Niemal zapomniałem o tych sześciu sekundach w Tallahassee... Az razem z żoną wybraliśmy się na wakacje do Nowego Orleanu –

po czesci, by odwiedzić naszego przyjaciela, pisarza Nathana Rogersa, po czesci na zjazd pisarzy. Zazwyczaj podczas takich wyjazdów staramy się odwiedzać tyle księgarń, ile tylko jesteśmy w stanie – istnieje multum niewznawianych już obecnie książek, które chciałbym posiadać w swych zbiorach, a Hannah, co oczywiste, lubi sprawdzać, ile z nowych księgarń posiada na polkach jej magazyn, a jeśli go nie mają, stara się naprawiać podobne niedopatrzenia. Byłem więc z żoną w takiej starej księgarni w Dzielnicy Francuskiej, a by w ogóle do niej trafić, trzeba było pokonać istny labirynt uliczek; już samo takie poszukiwanie miejsca było połową zabawy. A kiedy w końcu tam trafiłem, bardzo chciałem coś kupić, cokolwiek, byle tylko cały mój wysiłek nie poszedł na marne. Nie mogłem jednak znaleźć niczego, co chciałbym dołączyć do swojej biblioteczki. Okropnie mnie to przygnębiło, gdyż czasem po prostu czulem przymus kupienia książki. Zdaje się, że to dla mnie swego rodzaju forma "zaworu bezpieczeństwa". Ale kiedy tak przeglądałem pudło z książkami z lamusa, wyszperałem w nim kieszonkowe wydanie *The Seven Who Fled* Fredericka Prokoscha, i to je właśnie kupiłem od stojącego za ladą właściciela tej księgarni, niesmiałego, starszego człowieka, zupełnie pozbawionego brwi.

P: To właśnie ta książka przyniosła ci opis Ambergris? X: Nie, ale papier, w który on mi ją zapakował, okazał się plachtą wyblakłej wielkoformatowej odezwy wydanej przez Hoegbottona i Synów, eksportera-importera z moich opowieści.

P: Czy przypadkiem nie wydają oni także przewodników turystycznych? X: Tak. Masz dobrą pamięć... Nawet nie zauważyliśmy tej plachty dopóki nie wróciliśmy do hotelu. To Hannah dostrzegła wtedy, czego dotyczy, nie ja.

P: Hannah? X: Tak. Pomyslała sobie, że to moj kolejny przygotowany pod nia wkret, że specjalnie dla niej sprokurowalem cos takiego. Przyznaje, że wczesniej robilem juz podobne rzeczy, ale nie tym razem.

P: Kiedy ona to odkryla, zapewne nie posiadales sie z radosci. X: Oczywiscie. Znaczylo to przeciez, że mam zarowno fizyczny dowod na istnienie Ambergris, jak i niezaleznego swiadka. Co przekladalo sie na to, że nie jestem szalony.

P: Niestety, nigdy nie udalo sie wam trafic ponownie do tej samej ksiegarni.

X: Scislej mowiac to ona nigdy wiecej nas nie odnalazla.

P: Ale zona uwierzyla ci.

X: Przynajmniej wiedziala, że wydarzylo sie cos naprawde osobliwego.

P: Ale teraz juz nie posiadasz tej plachty.

X: Splonela wraz z domem. P: Tak, bardzo czesto wspominasz o tym ogniu, który rowniez wielce wygodnie dla ciebie pochlonal wszelkie pozostale dowody. Co jeszcze udalo ci sie zgromadzic?

X: Nie ma najmniejszego sensu o tym opowiadac, poniewaz zaden z tych przedmiotow juz nie istnieje.

P: Chcialbym jednak, bys pokrotce je omowil – ze wzgledu na mnie. X: W porzadku. Na przyklad jakis czas pozniej odwiedzilismy British Museum w Londynie. W szklanej gablotce, stojacej w zapomnianym zakatku ekspozycji poswieconej

Egiptowi, znajdował się bardzo mały, niemal miniaturowy, starożytny ołtarzyk. Wszystko stało skryte za jednym z sarkofagów. Przedmiot ten nie był w żaden sposób opisany, ale z pewnością nie wyglądał na pochodzący z Egiptu. Cała jego powierzchnia pokrywała płaskorzeźby grzybow, wśród których dostrzegłem także symbol opisany przeze mnie w jednym z opowiadań. Wszystko pokrótce sprowadza się do tego, że wyglądało mi to na obiekt kultu religijnego grzybian. Przypominasz ich sobie z Miasta szalenców i świętych?

P: Tak, wiem, o kim mówisz. X: Z czegoś, co normalnie można by uważać za dziurki na kieszonkę, wystawały dwie małe czerwone flagi. Całość inkrustowano klejnotami układającymi się w scenę, która, co nie ulegało najmniejszej wątpliwości, nie mogła być niczym innym jak tylko sceną składania przez grzybian krwawych ofiar. Zrobiłem zdjęcie. Zapytałem o przedmiot opiekuna sali. Nie miał o nim najmniejszego pojęcia. A kiedy wróciliśmy tam następnego dnia, eksponat rozplynął się w powietrzu. Ani też nie mogliśmy odnaleźć osoby, z którą rozmawialiśmy zaledwie dzień wcześniej. Typowy przykład z całego szeregu podobnych zdarzeń.

P: Pragnęles uwierzyć w Ambergris.

X: Być może wtedy jeszcze tak było. P: Pozwól, że powrócimy do pytania o tamtą plachtę odezwy. Wierzysz, że była prawdziwa?

X: Tak.

P: Czego dotyczyła? X: Rzekomo wydrukowano ją u Hoegbottona i Synów w imieniu grupy zwanej "Zielonymi". Potępiali oni "Czerwonych" za to, że w bliżej nieokreślony sposób

doprowadzili do śmierci kompozytora Vossa Bendera.

P: Już wcześniej pisałeś o Vossie Benderze, prawda? X: Tak, ale nigdy do tamtej pory nie słyszałem ani o "Zielonych", ani o "Czerwonych". Bardzo było mi to akurat na rękę, gdyż z powodu braku pomysłów zarzuciłem opowiadanie pod tytułem Przemiana Martina Lake'a, a ta plachta pozwoliła mi ruszyć z nim dalej i je dokończyć. Owi "Czerwoni" i "Zieloni" stali się integralnym elementem opowiadanej historii.

P: Czy na pierwszy rzut oka nic w tej plachcie nie uderzyło cie jako znajome?

X: Nie jestem pewien, że nadążam za tobą. Co masz na myśli, mówiąc "znajome"? P: Czy nic, intuicja, a może jakiś wewnętrzny głos, nie powiedział ci, że widziałeś ją już wcześniej? X: Uważasz, że sam ją stworzyłem, a następnie wymazałem z pamięci wszelkie wspomnienia, że tak zrobiłem? Ze w jakiś sposób sam umieściłem ją w tamtej księgarni? P: Nie. Mam raczej na myśli coś takiego, że czasem jedna część mózgu przesyła drugiej wiadomość – ostrzeżenie, znak, symbol. Niekiedy pojawia się wtedy pewne... rozdzielenie.

X: Nie wiem nawet, jak się odnieść do takiej insynuacji.

Westchnąłem, wstałem z krzesła i przeszedłem na drugą stronę pokoju. Kiedy tam doszedłem, zacząłem mu się przyglądać. Siedział z głową ukrytą w dłoniach. Jego oddech sprawiał, że głowa wolno unosiła się i opadała. Czyżby płakał?

–To oczywiste, że cały ten proces jest stresujący – stwierdziłem.
– Ale muszę otrzymać pewne rozstrzygające odpowiedzi, by móc

na ich podstawie podjąć właściwą decyzję. Nie mogę cię oszczędzać.

–Zdajesz sobie sprawę, że od przeszło tygodnia nie widziałem się z żoną? – Wszeptał. – Czy takie odbieranie mi prawa do odwiedzin nie jest aby sprzeczne z prawem?

–Jak tylko skończymy, będziesz mógł się zobaczyć, z kim tylko zechcesz, niezależnie od orzeczenia, które wydam. Tyle mogę ci obiecać.

–Chcę się zobaczyć z Hannah.

–Tak, często o niej wspominałeś w czasie poprzednich rozmów. Chyba już sama myśl o niej dodaje ci otuchy.

–Jeżeli ona nie jest prawdziwa, podobnie jest ze mną – wymamrotał. – A ja jestem przekonany co do jej rzeczywistości.

–Kochasz ją, prawda?

–Nadal Kocham moją żonę.

–A mimo to tak nieustępliwie trzymałeś się własnych urojeń?

–Czy uważasz, że chciałem, by okazały się prawdą? – Zapytał, podnosząc wzrok. Miał zaczerwienione oczy. Czulem napływający od niego słony zapach łez. – Wydawało mi się, że jestem w stanie wydłubać je ze swej wyobraźni co do najmniejszego kawałka. I tak też zrobiłem, ale wtedy... Chyba zgubiłem wątek tego, co chciałem ci powiedzieć...

Nieoczekiwanie całe to tak widoczne u niego zmieszanie i stres

dziwnie poruszyły mnie do glebi. Z pewnością mogłem stwierdzić, że jakas jego część jest zdrowa, że naprawdę zmagają się i szamocze z dwiema różnymi wersjami rzeczywistości. Ale widziałem też, że prawdopodobnie na zawsze ma już pozostać w otchłani, gdzie w przypadku każdej innej osoby szalenstwo już dawno wzięłoby górę... Bądź też to zdrowe zmysły wykonałyby podobny krok.

Ale, bardzo niefortunnie, taka jest właśnie natura pisarza – musi kwestionować wiarygodność swego świata, a z drugiej strony polegać na opisie dokonywanym przez własne zmysły. Z jakich to innych konfliktów i napięć mogłaby się rodzić wielka literatura? Co za tym idzie, znalazł się w pułapce, skazany przez własną naturę, te same dary i talenty, które osobiście wyostrzał i doskonalił w pogoni za wykonywanym rzemiosłem. Czy był dobrym pisarzem? Odpowiedź nie miała tu najmniejszego znaczenia – nawet najgorszy pisarz czasem dostrzegał świat w swych własnych barwach, we własnym świetle, przez swój własny pryzmat.

–Potrzebujesz przerwy? – Zapytałem. – Chcesz, bym wrócił tu za jakies pół godziny?

–Nie – odpowiedział, nieoczekiwanie znowu nieugięty i opanowany. – Kontynuujmy.

P: Czy po tym incydencie z odezwa zacząłeś często dostrzegać Ambergris? X: Tak. Trzy tygodnie po przygodzie w Nowym Orleanie pojechałem w interesach do Nowego Jorku, jeszcze nim przeprowadziliśmy się na północ. Mieszkalem w domu mojego agenta. Pewnego ranka, gdy brałem prysznic i właśnie splukiwałem sobie głowę, przymknąłem na chwile oczy. A kiedy

Je otworzyłem, stałem nago w kroplach spadającego deszczu w jakimś brudnym zaułku Dzielnicy Religijnej.

P: Nowego Jorku? X: Nie – oczywiście, ze Ambergris. Czulem chłodny i odświeżający dotyk deszczu na skórze, a wpatrując się we mnie grupka chłopców chichotała. Pod stopami wyczuwałem szorstkość kamieni bruku. Włosy wciąż miałem gęste i posklejane szamponem... Przez pięć minut siedziałem tam skulony, a chłopcy przez cały ten czas nawoływali przechodniów mijających wylot alejki. Byłem eksponatem. Osobliwością. Kuriozum. Uznali mnie za Żywego Świętego, no wiesz, takiego, który wymknął się z kościoła, a co za tym idzie, wciąż nieprzerwanie wypytywali mnie, do którego należy. Rzucali mi monety i książki – książki! – Jako opłatę za udzielenie im błogosławieństwa, a ja przez cały czas wrzeszczałem, by dali mi święty spokój. Wreszcie wymknąłem się z tego zaułka i skryłem przy jednym z publicznie dostępnych ołtarzy. Stałem tam, otoczony tłumem tysięcy zebraków; wielu z nich miało na sobie jedynie przepaske biodrowa, a wszyscy bez wyjątku ile sił w płucach, chórem, intonowali coś, co przypominało skandowanie jakichś niezrozumiałych obsceniczności. W pewnym momencie zamknąłem oczy, a kiedy ponownie je otworzyłem, znowu byłem pod prysznicem.

P: Miales jakies namacalne dowody, ze w rzeczywistosci gdzieś sie przeniosles?

X: Ublocone stopy. Przysięgam, że miałem ublocone stopy.

P: Może opuszczając Ambergris zabrales coś ze sobą? X: Nic, z czego bym sobie wtedy zdawał sprawę. Później jednak uświadomiłem sobie, że coś ze mną stamtąd przybyło...

P: Opowiadasz o tym, jakbys byl wtedy przerazony. X: Bo bylem przerazony! Widziec Ambergris z dala lub poznawac dotyczace go szczegoly z plachty papieru, w ktora zapakowano ci ksiazke, to jedno, a cos zupełnie innego zostac tam bezposrednio przeniesionym. I to nago.

P: Czy Ambergris przerazalo cie bardziej niz Nowy Jork?

X: Co przez to rozumiesz? P: To chyba taki moj zart. Opowiedz mi cos wiecej o Nowym Jorku. Nigdy tam nie bylem. X: A co tu opowiadac? Brudne i szare miasto, a mimo wszystko bardziej tetniace zyciem niz jakiegokolwiek inne z wyjatkiem...

P: Ambergris? X: To juz ty powiedziales. Moze i tak pomyslalem, ale przeciez miasto bedace wytworem wyobrazni musi bardziej pulsowac zyciem niz kazde inne, prawda? P: Niekoniecznie. Chcialbym uslyszec cos wiecej o Nowym Jorku z twojej wyjatkowej perspektywy, ale chyba jestes poruszony i...

X: I w najmniejszym nawet stopniu nie ma to zwiazku z tematem naszej rozmowy.

P: Niewatpliwie. Co zrobiles potem, po calym tym incydencie w Nowym Jorku? X: Wrocilem samolotem do Tallahassee, nie doprowadziwszy nawet do konca swoich spraw... Co sie stalo? Co takiego powiedziales? Wygladasz na zaskoczzonego. P: Nic. Nic takiego. Kontynuuj. Wrociles samolotem do domu, nie doprowadziwszy nawet do konca swoich spraw i... X: I powiedziales zonie, ze wyjezdzamy na wakacje, i to natychmiast, na cale dwa tygodnie. Polecielismy na Korfu, gdzie bardzo miło spedzilismy czas z moim greckim wydawca. A wiesz dlaczego? Bo nikt mnie tam nie rozpoznawal. Sara, corka

Hannah, uwielbia nurkować z rurka. A woda była tam naprawdę cudowna. Czysty błękit z przeswitującym piaszczystym dnem.

P: Co Sara sądziła o Ambergris? X: Nigdy nie czytała moich książek. Tak naprawdę mówiąc, była na nie za młoda, ale zawsze dość demonstracyjnie chciała mi pokazać, jak to mój sukces zupełnie nie zrobił na niej wrażenia. Nie mogę jej za to winić. To samo okazywała matce, jeśli chodziło o sukces jej magazynu.

P: Czy wakacje coś zmieniły? X: Tak się wydawało. Przez dość długi czas wszelkie wizje dały mi spokój. Procz tego podjąłem też pewną decyzję – nigdy więcej nie napisze ani słowa o Ambergris.

P: Czy Hannah popierała twoją decyzję? X: Bez wątplenia. Widziała, jak roztrzesiony wróciłem z Nowego Jorku. Chciała jedynie tego, co sam uznałem za najlepsze.

P: Zdziało? X: Oczywiście, że nie. Siedzę tu przecież i rozmawiamy, prawda? Ale na początku tak, działo. Naprawdę myślałem, że Ambergris rozplynie się i przestanie istnieć, jeśli tylko zarzucę pisanie o nim. Ale moja choroba sięgała o wiele głębiej. P: Obawiam się, że właśnie dotarliśmy do punktu, w którym muszę podrażyc o wiele głębiej. Opowiedz mi o pozarze.

X: Nie chce o tym mówić.

P: W takim razie opowiedz mi o tym, co przed nim pojawiło się w twojej pracowni.

X: A nie można z tym jeszcze poczekać? Choćby przez krótką chwilę?

Dochodzący do mnie odgłos kapania wody nieustannie mnie drażnił. A skoro tak się działo, znaczyło to tyle, że nie udaje mi się wystarczająco mocno koncentrować. Nie zostawiłem dostatecznie dużo własnego ja za drzwiami tego pomieszczenia. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze potrwa ta sesja, a dokładniej – na jak długo jeszcze starczy mi cierpliwości. Mówiąc zupełnie szczerze, jeśli chodziło o przedstawicieli mojej profesji, należało przyznać, że nasze osady w dużej mierze opierają się na naszej wytrzymałości. Na tym, jak długo jesteśmy w stanie drażnić temat, nim docieramy do jej granic, punktu, w którym nie możemy już dłużej słuchać, i wychodzimy za drzwi. Zazwyczaj sam pacjent – przedmiot naszych badań i dociekań – nie miał najmniejszego wpływu na naszą decyzję.

– Czasem słyszę muzykę – powiedział Iks, wpatrując się w sufit.
– Dochodząca z góry. Brzmieniem przypomina mi jakieś piekielne arie operowe. Jest tu może w pobliżu opera? A może to ktoś z pracujących w budynku słucha sobie arii?

Nie spuszczałem z niego wzroku. Nieprzerwanie wpatrywałem się w niego. To zawsze był ten najtrudniejszy moment. Ale czy mogło być inaczej?

– Unikasz spraw, które pojawiają się nam w zasięgu ręki.

– Co sądzisz o mojej książce? – Zapytał. – Porozmawiajmy jak pisarz z pisarzem – dodał, niezupełnie będąc w stanie pozbyć się z głosu śladów protekcjonalności.

Co wyjątkowo dziwne, pierwsza nowela w książce – Zakochany Dradin – uderzyła mnie na bardzo podstawowym poziomie, jako dowód podstawy jego zdrowych zmysłów, gdyż Iks najwyraźniej

stworzył postać Dradina jako szalenca. Nie kryły się za tym żadne urojenia, gdyż Dradin po prostu był szalencem. Miałem nawet teorie, że Iks odbiera Dradina jako własne alter ego, ale odrzuciłem ten pomysł, gdyż nierozwaznie było łączyć wydarzenia rozgrywające się na kartach literatury z wydarzeniami z prawdziwego życia autora.

Oczywiście, że wcale nie uważałem za przydatne dzielenie się z kimś z tych myśli z siedzącym za biurkiem pisarzem, wzruszyłem więc jedynie ramionami, po czym stwierdziłem:

–Na swój sposób wyszukana twórczość. Niektóre z aspektów snuty przez Ciebie opowieści są niemal równie realistyczne jak w znanych mi bezlitosnych thrillerach. Uważam jednak, że Zakochany Dradin za wolno się rozwija. Poświęcasz tam cały rozdział na opis powrotnego spaceru bohatera do jego pensjonatu.

–Nie, nie, nie! To swego rodzaju zwiastowanie. Symbolizm. Przedstawianie czytelnikowi początku rzezi w postaci śpiących grzybian.

–Coż, być może nie przemówiło to do mnie tak silnie, jak sobie zamierzyłeś. Ale musisz pamiętać, że czytałem, poszukując wskazówek.

–Co do stanu mojego umysłu? Czy to aby nie jest niebezpieczne?

–Odpowiedzi na oba pytania są, rzecz jasna, twierdzące. Lecz muszę również zdecydować, czy bardziej identyfikujesz się z Dradinem, Karłem Dvorakiem, księdzem Cadimonem, czy może

nawet z Żywym Świątym.

–To ślepy zaulek. Nie identyfikuje się z żadną z wymienionych przez Ciebie postaci. Ale za to każda z nich zawiera jakąś część mnie.

Wzruszyłem ramionami.

–Muszę zbierać wszelkie wskazówki. Gdziekolwiek to możliwe.

–Chcesz powiedzieć, o ile sam nie przekazę Ci koniecznych i wystarczających informacji.

–Niektórzy przekazują mi je zupełnie bezwiednie.

–Nie jestem do końca pewien, czy mogę Ci dać to, czego ode mnie oczekujesz.

–Faktycznie – powiedziałem, podnosząc Miasto szalenców i świętych. – Odkryłem tu jednak pewien akapit, który bardzo mnie zaintrygował. Ale nie w Zakochanym Dradynie, w zupełnie innym opowiadaniu. W ucząc się, jak opuścić swe ciało. We wstępie do tej historii zaznaczasz, że... Nazywasz ją prekursorem całego ambergrińskiego cyklu, a równocześnie podczas wszystkich dotychczasowych przesłuchań twierdziłeś, że napisałeś ją całkiem niedawno.

–Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że pisarz może stworzyć pierwszą opowieść cyklu, będącą pierwowzorem całego opisywanego świata, już po tym, jak napisał wszystkie chronologicznie następujące po niej opowieści; równie dobrze można napisać końcową historię serii, nim ukończy się pisanie

jej poprzednikow.

Wyraz poruszenia znow wykwitl mu na twarzy, jak gdyby niemal zdawal sobie sprawe, ze po raz kolejny sprowadzam nasza rozmowe w kierunku jej pierwotnego celu.

–Tak, to prawda – powiedzialem, rownoczesnie przerzucajac kartki ksiazki. – Ale jest tu pewien wyjatkowo intrygujacy akapit. Dotyczy karla Davy'ego Jonesa. Och, tu go mam. Scena, kiedy to Jones nawiedza u stop lozka glownego bohatera. Mozesz mi ja przeczytac?

Podalem mu egzemplarz. Wzial go z moich rak z nieukrywanym zapalem. Mial mily dla ucha glos, ani zbyt przenikliwy, ani brzmiacy zbyt profesjonalnie.

A wtedy on pojawia sie u stop mego lozka i stoi tam z wbitym we mnie wzrokiem. Zimna niebieska poswiata otula jego cialo, jak gdyby przypalala go luna ekranu telewizora. Marmurowy odlew jego twarzy jest niemal rownie perfekcyjny jak wiekszosc najdoskonalszych zdan, ktore kiedykolwiek udalo mi sie zapisac w mym zyciu. Jego oczy sa tak smutne, ze nie jestem w stanie spojrzec mu w twarz, nie jestem w stanie napotkac jego wzroku. Ta twarz nosi w sobie slad wszystkich przezytych lat bolu, lat pragnien, by opuscic swe cialo. By pozostawic je za soba. Mowi do mnie, a choc nie jestem w stanie go uslyszec, wiem, co chce mi powiedziec. Znow placze, tym razem lagodnie, cichutko, delikatnie. Glosy dobiegajace z ulicy staja sie coraz glosniejsze, a dzwiek dzwoneczkow stopniowo niknie w ciszy. P: Bardzo przyjemny akapit, wyrwany z wyjatkowo ekscentrycznej opowiesci. Skad wzial sie ten karzel? Wymaszerowal prosto z twojej wyobrazni? A moze z twojego zycia? X: Poczatkowo z zycia.

Kiedy studiowałem na University of Florida, znalazłem się w jednej grupie z jakimś Davidem Wilsonem, który był karłem. Uczeszczaliśmy razem na zajęcia ze statystyki. Udzielał mi korepetycji z tych naprawdę trudnych zagadnień. Był biedny i niezbyt stać go było na naukę, a jego ogólne oceny nie wystarczały, by mógł się starać o stypendium. Wynajmował się więc w miejscowych barach do konkursów w ciskaniu karłami. Miał wyjątkowy talent matematyczny, ale, rozumiesz, wynajmował się w tych barach, a czasem również i w okregowym wesołym miasteczku, kiedy tylko zawitało do okolicy. Pewnego dnia nie przyszedł na zajęcia, a kilka dni później dowiedziałem się z raczej drastycznego artykułu w lokalnej gazecie, że zapisał się na śmierć.

P: I on nachodził cię w nocy? Stawał u stop twego łóżka? X: Pamiętasz może, jak postanowiłem, że nigdy więcej nie napiszę ani słowa o Ambergris? Moje pierwotne postanowienie zakładało jednak, że w ogóle nigdy więcej nie napiszę już ani słowa. Tak więc nie pisałem. Na pięć miesięcy zupełnie to zarzuciłem. To było prawdziwe piekło. Musiałem wyłączyć pewną część swojego ja. Przypominało to nieustępujące swędzenie w mózgu. Musiałem oduczyć się dokonywania obserwacji. Albo nie, inaczej, musiałem raczej ignorować wszelkie nabyte odruchy. Tak więc rozmyślałem o Davidzie Wilsonie, ponieważ zawsze chciałem o nim napisać, a nigdy nie potrafiłem tego zrobić. Wydaje mi się, że po prostu doszedłem do wniosku, iż jeśli tylko siadać i porozmyślać nad historią, której nigdy i tak nie byłem w stanie napisać, to w ten sposób uda mi się podrapać i załagodzić to swoiste swędzenie, i to na dodatek w całkiem nieszkodliwy sposób. I to właśnie wtedy ten karzeł – czy też to, co uważałem za karła – zaczął mnie nachodzić. Stawał u stop łóżka i... Coz,

wiesz, co było dalej, przecież przeczytales opowiadanie. Wreszcie, by powstrzymać go przed nawiedzaniem mnie po nocach, uległem i zasiadłem do napisania tego, co ostatecznie zatytułowałem Ucząc się, jak opuścić swe ciało.

P: Ale przecież już wcześniej stworzyłeś postać Dvoraka. X: Nie. Dvorak był zaledwie karłem. Nie miał w sobie nic z Davida Wilsona. David Wilson był zycziwa i delikatna osoba, nikomu nie szkodził.

P: Wspominasz w tym opowiadaniu bulwar Albumuth. X: Tak, to prawda. Nie tylko złamałem przysięgę, że nigdy nic nie napiszę, lecz również w jakiejś wypaczonej formie Ambergris z powrotem wkradło się na strony moich utworów.

P: Widziałeś jeszcze kiedyś tego karła? X: Tylko raz. Zreszta po raz ostatni. Kiedy stał się manta. Wtedy właśnie uswiadomilem sobie, że sprowadziłem ze sobą coś z Ambergris. Przeraziło mnie to do szpiku kości. P: Wspominales już o mancie podczas poprzednich sesji, ale nigdy jej nie opisales. Tak w ogóle – co to takiego?

X: Nigdy nie slyszales o mantach?

P: Być może i slyszalem, ale pod jakas inna nazwa. Co to jest? Opisz mi ja, prosze. X: Wielka, czarna, slonowodna... Ryba, jak mi sie zdaje, ale taka szeroka, z polami przypominajacymi olbrzymie, pelne wdzieku skrzydla. Lsniace i gladkie. Wygladem przypomina bardzo duza plaszczke czy fladre.

P: Ach! Fladra! Wybacz moja ignorancje.

X: Najwyraźniej zbyt wiele czasu poświęcasz pracy. P: Być może masz rację, ale wróćmy do tematu: otrzymałeś te ryby pod postacią Karla. To bardzo ważne, bośmy właściwie ułożyli tu sobie całą symbolikę. X: Nie. Ta "ryba" od samego początku była Karlem, wywodząc mnie tym samym w pole. To Karzeł stał się manta.

P: Jak to się stało? X: Chciałbym teraz powiedzieć, że Hannah też to widziała, ale właśnie zasnęła. Mielismy bardzo zimną noc i zupełnie rozbudzony leżałem w łóżku z napreżonym każdym mięśniem ciała. Nagle, podobnie jak wcześniej, David Wilson pojawił się u stóp łóżka. Najzwyczajniej stał tam sobie i z uśmiechem na twarzy przypatrywał mi się przez dość długą chwilę... A kiedy sam zacząłem mu się przyglądać, stał się obrysem, konturem wykonanym za pomocą piórka i tuszu, szkicem własnej osoby, zaledwie kilkoma liniami z przeswitującym wypełnieniem. Aż wreszcie cały ten szkic zaczął się wypełniać mgiełką czarnego atramentu, pochodzącego jakby od kalamarnicy; wiesz, czym jest kalamarnica?

P: Tak. X: A kiedy czern tego atramentu wypełniła go całkowicie, zaczęła wyciekać na zewnątrz, poza jego ciało, dopóki w pełni nie przesłoniła go istota wyglądająca dokładnie jak manta. Miała małe czerwone oczka i płynęła w powietrzu. Struchlałem, przejęty grozą. Bo to stworzenie było Ambergris, miastem, które przybyło, by po raz kolejny wziąć mnie w posiadanie. Czern jego ciała rozpraszały rozbłyski i refleksy świetlne, w których mogłem dostrzec sceny z życia miasta. Było to coś w rodzaju tatuazy, ruchomych, poruszających się tatuazy. Skryłem się pod kołdrą, a kiedy ponownie stamtąd wyjrzałem, mielismy już rano, a istoty nie było.

P: Opowiedziales o tym zonie? X: Nie! Powinienem, ale nie opowiedzialem. Czulem sie, jakbym popadal w szalenstwo. Nie moglem spac. Nie bylem w stanie nic przelknac.

P: To wtedy wlasnie tak bardzo straciles na wadze?

X: Tak. P: A tak dokladnie to czym, wedlug ciebie, byla owa czarna istota? Z pewnoscia nie "Ambergris", jak sam to ujales. X: Pomyslalem, ze sprowadzilem ja stamtad ze soba – ze byla fizyczna manifestacja mojej psychozy. P: Wydawalo ci sie, ze jest czescia ciebie. Rozumiem, przerazala cie, ale czy kiedykolwiek, chocby przez chwile, rozwazales taka ewentualnosc, ze moze byc jednak czymys dobroczynnym?

X: Nie! P: Rozumiem. Wiem z doswiadczenia, a ma tu ono istotne znaczenie, ze niektorzy ludzie ucza sie tak panowac nad wlasnym szalenstwem, iz nawet gdy otaczaja ich i atakuja najprzerozniejsze halucynacje, nie reaguja na nie w najmniejszym stopniu. Zyja w swiecie, w ktorym nie mozna zaufac wlasnym zmyslom, a kazdy obserwujacy z zewnatrz ich opanowanie nie moglby posadzic ich o cos takiego.

X: Nie naleze do tych ludzi. Bylem przerazonny do szpiku kosci.

P: A z drugiej strony ludzie, o ktorych mowa, odbieraja swe halucynacje jako blogoslawienstwo, gdyz ostrzegaja ich one przed wypaczona rzeczywistoscia. O ile bowiem gorzej poslizgnac sie – ledwie poslizgnac, jak podczas wygodnego rozkladania sie w fotelu, jak gdyby mrugajac okiem – i popasc w szalenstwo, jesli nie zostal ci przekazany zaden bezposredni znak, ze cos podobnego ma miejsce. Tak wiec raczej bede sie upieral, ze zadaniem twojego goscia byla pomoc, a nie destrukcja. Mial byc – ze tak to nazwe – pomocnikiem, a nie

niszczycielem. X: Możesz go sobie nazywać, jak tylko ci się zwykle podoba. Jakiegokolwiek nazywanie go nawet przez myśl mi nie przemknęło.

P: Co zrobiłeś po całym tym zajściu, by przywrócić równowagę psychiczną? X: Zaczęłem znów pisać. Spędzałem od osmiu do dziesięciu godzin dziennie w swojej pracowni, gryzmoląc tam sobie do woli. Teraz odbieram to tak, że moim jedynym zbawieniem było pisanie. Zaczęłem pisać opowiesci dla dzieci. Sara w Krainie Westchnien była pierwsza z nich i wyszła mi całkiem niezle. Spodobala się mojemu agentowi. Dobrze się sprzedala. A wreszcie zdobyła nawet honorowe wyróżnienie Caldecott. Tak więc napisałem więcej tych historyjek, z takim tylko wyjątkiem, że w pewnym momencie – a wciąż nie wiem, kiedy dokładnie to się stało – manta pojawiła się ponownie.

P: Jak zareagowałeś?

X: Strachem. Czystym, niczym nieskalanym strachem.

P: Opowiedz mi, jak do tego doszło. X: Nie będziemy o tym rozmawiać. Ale napisałem o tym. Jest to, można powiedzieć, fragment większej całości.

Iks sięga pod blat swojego biurka i podaje mi wyciągnięty stamtąd cienki plik kartek. Odbieram je od niego z ledwie maskowana niechęcią.

–Fikcja kłamie.

Iks prychnął.

–Podobnie jak ludzie.

–Przeczytam to z pewnymi zastrzeżeniami.

–Dobrze. Ale teraz musisz mi na chwile wybaczyć... –

Powiedział i wywedrował z pokoju w kierunku toalety.

Pozostawiając mnie sam na sam z manuskrypcem. Noszącym tytuł Niezwykły przypadek Iksa.

Zaczalem go czytać. Siedzacy w pokoju mezczyzna pisal w notatniku. Pomieszczenie bylo malutkie i swiatla bylo w nim jak na lekarstwo, ale mezczyzna mial dobre piora, niezbyt wiec zwracal uwage na takie niedogodnosc. Byl pisarzem. Dlatego wlasnie pisal. Poniewaz byl pisarzem. Siedzial samotnie w pozbawionym okien pokoju i zapisywal swa opowiesc. Raz na jakis czas wsluchiwal sie w muzyke, poniewaz byla jego zrodlem inspiracji. Historia, ktora wlasnie zapisywal, nosila tytuł Sara w Krainie Westchnien i byla podjeta z jego strony proba zaprzyjaznienia sie z corka obecnej zony, dziewczynka, ktora nie byla jego wlasnym dzieckiem. Jego potomstwem byly bowiem historie, zapisywane opowiesci, a te nie zawsze okazywaly sie jakos szczegolnie dobrze ulozoneymi dziecmi. Sara w Krainie Westchnien byla wlasnie jedna z takich niezbyt dobrze sprawujacych sie historii. Nie miala nic wspolnego ze swiatem Ambergris, o ktorym mezczyzna pisal dla doroslych (wszyscy pisarze posiadaja oddzielne swiaty, o ktorych pisza dla roznych grup wiekowych, nawet ci, ktorzy uwazaja, ze ich nie maja). Tego dnia, jak zawsze, po skonczeniu pracy przeczytal, co napisal, i odkryl, ze rowniez i w tej opowiesci tu i owdzie pojawily sie przeblyski Ambergris. Nie mial najmniejszego pojecia, w jaki sposob wkradly sie do snutej historii, ale poniewaz byl pisarzem, a co za tym idzie rowniez i bogiem – malenkim bogiem,

malutkim, nieważnym bogiem, ale tak czy inaczej bogiem – chwycił za pióro i usuwał wszelkie przebłyski i aluzje odnoszące się do Ambergris, wszystkie, które tylko udało mu się wychwycić w tej opowieści dla dzieci, a zanim z tym skończył, zapadł już zmierzch. Wiedział, że tak jest, ponieważ wyczuwał go w swoim wnętrzu, wyczuwał, jak dławili mu płuca, jak porusza się w tej części ciała, która skrywała jego wyobraźnię. Wykaszczał odrobiny ciemności, ale jakos nie zwrócił na to zbyt dużej uwagi. W każdym z pisarzy kryje się odrobina mroku. Zasiadł więc do kolacji razem z żoną i jej córką, a one zapytały go, jak mu dzisiaj poszło pisanie. Odpowiedział: "Okropnie! Beznadziejnie! Nie jestem pisarzem. Jestem piekarzem. Stolarzem. Kierowcą ciężarówki. Wcale nie jestem pisarzem". A one śmiały się, ponieważ wiedziały, że był pisarzem, a wszyscy pisarze kłamią. I kiedy wykaszczał kolejną drobinę ciemności, zignorowały to, ponieważ wiedziały, że wewnątrz każdego z pisarzy drzemie odrobina więcej ciemności niż w innych ludziach. Przez całą noc pisarz wykaszliwał kawalczki ciemności – Isniacej ciemności i chropowatej ciemności, ciemności zarówno gładkiej, jak i matowej – i tak, nim nastal świt, wszelka ciemność opuściła go zupełnie. Obudził się wypoczęty. Z uśmiechem na twarzy. Ziewnął. Zjadł śniadanie. Umył zęby. Ucałował żonę i jej córkę, gdy pierwsza wychodziła do pracy, a druga do szkoły. Zupełnie zapomniał o ciemności. Dopiero wchodząc do swojej pracowni przypomniał sobie o niej i o tym, ile jej z niego wyszło. Tam bowiem ta ciemność przybrała kształt, miała teraz skrzydła, wleciała pod sufit, do rogu, gdzie ściana łączyła się z sufitem, by wreszcie rozplaszczyc się nieruchomo tuż przy murze, gdzie jedynie koniuszki jej skrzydeł nieznacznie trzepotały. Nim zasiadł do pisania, przez krótką chwilę przyglądał się istocie. Była mrokiem. Była piękna. Wyglądem przypominała Isniacę czarna

mante o kocich, bursztynowoczerwonych oczach. Była również ucielesnieniem bombowca, niewidocznego dla radarów. Wyglądała jak najwytworniejsza, najmadrzejsza istota na świecie. A przecież wyszła z niego, z jego wnętrza, wydała ja jego ciemność. Pisarz należał do bojaźliwych ludzi, lecz teraz wydawało mu się, że powinien poczuć dumę, zdecydował się być mile polechtany tym faktem, zadowolony że pomógł w stworzeniu tak przepięknej zjawy. Oprócz tego – przestał męczyć go kaszel. Jego płuca uwolniły się od czerni. Był pisarzem. Bedzie pisał. I to też robił – przez cały dzień. Mijały tygodnie. Ukończył Sare w Krainie Westchnień i zabrał się za kolejne opowiesci. Przyciemnił światło w pracowni, by było w niej jeszcze mroczniej niż do tej pory, a zrobił to, by podczas swych krótkich wizyt w pracowni jego żona nie była w stanie dostrzec rozległego cienia wczepionego w róg pomieszczenia, tam gdzie ściana stykała się z sufitem. Ale ona jakos nigdy i tak go nie widziała, nieważne jak rozświetlone było pomieszczenie, więc przestał przyciemniać światło. Przecież i tak nie miało to znaczenia – żona nie była w stanie dostrzec precudnej ciemności. A ta jasniała mu czernia, pulsowała ta czernia, gdy siedząc pod nią nieustannie zapisywał kolejne historie. I chociaż istota nie robiła mu żadnej krzywdy, i jak się okazało, wyjątkowo go fascynowała, coraz to wcześniej zaczął kończyć wieczorami swe pisanie, by przenosić się do salonu z pracą wykonaną podczas dnia. Tam właśnie po raz kolejny czytał to, co napisał. Był pisarzem. Pisarze piszą. Ale pisarze również redagują to, co napisali. I gdy tak siedział tam pewnego dnia, z zacisniętymi wargami, zmarszczonymi brwiami, zaabsorbowany, pochłonięty narodzinami dopiero co powołanej do życia istoty, zauważył jeden bardzo niepokojący fakt. Niektóre ze zdań nie pochodziły od niego. Na ten przykład to tutaj. Wyraźnie pamiętał, jak zapisał: "Glupiutka Sara nie wypytywała

placzacego zolwia, lecz – ufajac jego madrym, starym oczom – z radoscia podazyla za nim do nieznanego miasta". Lecz zdanie zapisane na czytanej stronie brzmialo nastepujaco: "Glupiutka Sara nie wypytywala grzybianina, a kiedy tylko odwrocila sie do niego plecami, ten schwycil ja z okrzykiem radosci i zabral ze soba z powrotem do Ambergris". Byly tez i inne przyklady – tu jakis pospiesznie skreslony szkic postaci, tam przypadkowy opis, jedna czy dwie wrzucone nazwy tamtejszych miejsc. Ambergris przejel tworzona przez niego historie. Miasto przywlaszczilo sobie pisana przez niego opowiesc. Jak moglo do tego dojsc? Pisarze ciezko pracuja, czasem zbyt ciezko. Byc moze taki wlasnie byl powod – pracowal za ciezko. Tak, tak wlasnie musialo byc. Oto odpowiedz. Zaledwie przelotnie pomyslal o pieknej, lsniacej mancie. Wszyscy pisarze posiadali w sobie niewielka ciemnosc. I nawet wbrew temu, ze jego ciemnosc zostala uzewnetrzniona, wciaz byla tylko niewielka ciemnoscia, ciemnoscia, ktora obecnie nie oblepiala i nie zatykala mu pluc, nie dusila od srodka. Pisarz rozmyslal o kojacym milczeniu tkwiacej w bezruchu istoty. Bo byl to bezruch, jesli nie liczyc nieznacznych falowan i marszczen jej masywnych skrzydel. Gdy siedzial w fotelu, mars wykwitl mu na czole, lecz nie przestawal poprawiac napisanej wczesniej historii. Czyzby bylo mozliwe, ze cos, czego jego zona nie byla w stanie nawet dostrzec, moze wywierac wplyw na otaczajacy go swiat? Na jego osobe? Nastepnego dnia, gdy zapisywal kolejna opowiesc, poczul na swym ramieniu ciezar ciemnej istoty, ale gdy uniosl wzrok, ta wciaz wtulala sie w miejsce, gdzie sciana stykala sie z sufitem. Powrocil do pracy, ale jak wktrotce sie przekonal, calkowicie pochloniety myslami o Ambergris. Z pewnoscia, jak podpowiadaly mu te mysli, na zbyt dlugo porzucil tamto miasto. Z pewnoscia nadszedl juz czas, by wrocic do domu, do

Ambergris. Pióro niemal wbrew jego woli zaczęło opisywać miasto: pnie winorośli porastające ściany budynków w wypalonych dzielnicach biurokratów; smutne samotne twarze pomników stojących przy placu Trilliana, nierówne uderzenia fal o doki. Jego pióro pisało na czarno. Pisarze zawsze piszą czarnym atramentem. Odłożył pióro i chwycił za inne, piszące na niebiesko, takie, którego używał do korekty swoich tekstów, lecz jedynym, co był w stanie zrobić, gdy starał się jedną, długą i zamaszystą linią przekreślić wszystko, co właśnie napisał, okazały się drobne poprawki błędów ortograficznych. Pisarze może i piszą, być może i redagują, ale są przy tym beznadziejni, jeśli chodzi o zagadnienia związane z ortografią. Po raz kolejny spojrzał na miano. Wpatrzył się w przytuloną do sufitu ciemność i stwierdził: Jesteś ciemnością, a wszyscy pisarze noszą w sobie odrobinę mroku, ale nie wszyscy oni posiadają go również na zewnątrz. "Czym jesteś? Kim jesteś?" - Zapytał, ale ciemność nie odpowiadała. Ciemność potrafiła tylko pisać. I redagować. Jak gdyby i ona była pisarzem. Nie minęło zbyt wiele czasu, a pisał wyłącznie o Ambergris. Opisywał każdy najdrobniejszy szczegół dotyczący jasniejących nad miastem iglic zalewanych promieniami porannego słońca. Opisywał szczegółowe zasady truffidianskiej religii, tak bardzo dominującej w duchowym życiu miasta. Opisywał domy i sieroty, umeblowanie tych domów i obyczaje społeczne. Pisał opowiadania i pisał eseje. Pisał opowiadania, wyglądem przypominające eseje. Jakas jego cząstka była zachwycona szybkością, z jaką pióro mknęło, zupełnie bez wysiłku, niczym utalentowany lyżwiarz figurowy, po czystej tafli kartki papieru. Jakas jego część pompatycznie wzdążyła do opowieści dla dzieci, nad którymi pracował tuż przed przemianą. Z kolei jakas inna jego część była tak przerażona, że nie mogła nawet wyartykułować swojego strachu.

Kolejna czastka wrzeszczala, belkotala i miotala wsciekle obelgi skierowane przeciwko ciemnosci. Wydawalo sie, ze Ambergris zamierza sie urzeczywistnic w swiecie, ktory sam autor uwazal za prawdziwy i rzeczywisty; ze ma zamiar go uwiesc, zwiesc, by uwierzył, ze istnieje bez jego udzialu. Ale pisarz pisze, nawet kiedy nie chce tego robic, tak wiec i ten pisal, co niekoniecznie zawsze odbywalo sie bezbolesnie. Towarzyszył mu rowniez strach. Przez cale dni nic nie jadal, karmil tylko wszystkim, co posiadal, tkwiaca na scianie istote, z nadzieja, ze ta odkryje przed nim jeszcze jeden, kolejny drobny fragment Ambergris. Zona zaczela sie o niego martwic, ale niecierpliwie jej powtarzal, ze wszystko jest w najlepszym porzadku, kompletnym porzadku, zupełnie w porzadku. Zaczal wszedzie nosic ze soba maly notesik, w ktorym zapisywal swe spostrzezenia i to w najbardziej kłopotliwych chwilach spotkan towarzyskich. Wkrotce zaczal sypiac w pracowni, z jasna ciemnoscia tuż nad glowa – ciemnoscia, ktora sluzyla mu za lampke nocna. Bycie pisarzem uzaleznia. Bycie pisarzem jest uzaleznieniem. Wszystkie te slowa, slowa, slowa. Sam akt pisania jest uzalezniajacy. Ale pisarz nie czul sie teraz pisarzem. Czul sie jak zwykly cpun uzalezniony od narkotyku. Czul sie jak uzalezniony cpun na niekonczacym sie glodzie kolejnego strzalu. Pytanie tylko, czy kolejny strzal mogl go uleczyć? Czy jego glod mogl w ogole zostac zaspokojony? Palce i nadgarstek nieustannie bolaly go od artretyzmu, ktory dotknal je z powodu przemeczenia i nadwrezenia. Jego umysl szybowal wysoko i gwałtownie w chmurach, obracajac sie niczym wozki rollercoastera euforii i strachu. Kiedy istota zatajala przed nim jakas informacje, badz tez kiedy to jego zona lub potrzeba wykonania najprostszych czynnosci zyciowych skazywaly go na banicje i wypedzaly zza biurka, drzal na calym ciele i oblewal sie potem. Wymiotowal. Byl

kompletnie wycienczony Ambergris. Miasto było wirusem skrywającym się w jego wnętrzu, wirusem atakującym jego czerwone i białe krwinki. Nowotworem, pozerającym jego ciało. Była wielka, czarna i głęboka ciemność, skrywająca się w jakimś zakamarku jego umysłu. Upijał się innym światem. A to coś na ścianie za każdym razem stawało się coraz większe i większe, wpatrywało się w niego z góry, a po skrzydłach istoty rozchodziły się delikatne zmarszczki fal, gdy kwiliła o coraz więcej pozywienia, które oczywiście składało się z kawalczków duszy pisarza. Całe jego życie stało się wędrówką w poszukiwaniu Ambergris, wędrówką, której celem było sprawienie, by miasto stało się bardziej rzeczywiste, bardziej realne. Zdarzało mu się odnajdywać porozrzucone po całym domu notatki dotyczące miasta, których zapisywanie zupełnie nie potrafił sobie przypomnieć; trafiały się wśród nich nawet manuskrypty librett napisanych przez Vossa Bendera czy opowieści Sirina. Jego żona uważała, że stworzył je własnoręcznie, ale on dobrze wiedział, jaka jest prawda. Zdawał sobie sprawę, że napisała je tkwiaca na ścianie istota, po czym porozrzuciła je, to tu, to tam, niczym okruszki, by mógł podążać ich śladem do domku z piernika, do czekającej tam na niego czarownicy, wprost ku własnej śmierci. Wreszcie, pewnego bladego jesiennego dnia, gdy liście na zewnątrz zabarwiły się na złoty brąz i same rozmiotły po całym przydomowym trawniku, pisarz doszedł do wniosku, że musi zniszczyć istotę, gdyż w przeciwnym wypadku to ona go zniszczy. Było mu smutno, że musi to zrobić, wiedział bowiem, że zniszczy w ten sposób jakąś część samego siebie. Wszak ona pochodziła z jego wnętrza. Wyszła z niego. Sam ją stworzył. Ale był przecież pisarzem. Wszyscy pisarze piszą. Wszyscy pisarze redagują to, co napisali. Wszyscy pisarze z pewnością muszą również, od czasu

do czasu, niszczyć własne kreacje, nim kreacje, o których mowa, straca świeżość i niszcza ich samych. Pisarz nie żywił już miłości do tej istoty, żywił jedynie nienawiść. Tak naprawdę kochał tylko swą żonę i jej córkę, i wydawało mu się, że taka właśnie miłość jest najwspanialszym usprawiedliwieniem, jakie tylko mogłoby wymyślić dla tego, co zamierzał zrobić. Wszedł więc do swojej pracowni i zaatakował ciemność. Jego żona usłyszała dochodzące z wnętrza przerażające odgłosy – krzyki mężczyzny, wrzaski, łomoty o ściany; i czyżby poczuła również dochodzący stamtąd ślad spalenizny? – Nim jednak zdołała ruszyć mu na ratunek, pisarz zataczając się wypadł ze środka z twarzą ogarniętą wyraźnym przestrawieniem i poczuciem porażki. Zapytała: "Co się stało?", i zamknęła go w swych ramionach. "Wszyscy pisarze piszą", wyszeptał. "Wszyscy redagują to, co napisali", wymamrotał. "Wszyscy oni noszą w sobie odrobine ciemności", zaskakał. "Wszyscy pisarze muszą czasem zniszczyć swe dzieła!", wykrzyczał. "Ale tylko jeden pisarz posiada ciemność, której nie można zniszczyć", pomyślał już sam do siebie, gdy kurczowo sciskał swą żonę, całował ją i szukał w niej ukojenia, gdyż była najdroższą mu rzeczą na świecie i obawiał się – obawiał się straty, obawiał się ciemności, a co najważniejsze – bał się samego siebie.

Kiedy skończyłem czytać, odwróciłem się do niego i stwierdziłem łagodnie:

–Na swój sposób to bardzo interesująca alegoria, mimo iż zakończenie wydaje mi się odrobine... Melodramatyczne? Ten tekst jest również ze wszech miar wartościowym dokumentem. Rozumiem, dlaczego ludziom podoba się twoje piśmarstwo.

Pisarz ponownie zasiadł za biurkiem.

–To nie alegoria. To moje życie. – Wyglądał na pokonanego, jak gdyby po raz kolejny przeczytał mi przez ramie całą historię.

–Czy nie uważasz, że już najwyższy czas, by zacząć zajmować się szczegółami pożaru? – Zapytałem. – Czyż to wszystko nie prowadzi nas właśnie tam?

Odwrocił głowę na bok jak kon stawiający opór.

–Być może. Być może i tak. Kiedy pozwolicie mi zobaczyć się z żoną?

–Na pewno nie, zanim skończymy naszą rozmowę – odparłem. Kto też mógłby wiedzieć, kiedy zobaczy się z żoną? Z doświadczenia wiedziałem, że muszę klamać bądź ukrywać prawdę, po to, by utrzymać w głowie pacjenta pewien stan równowagi. Niezbyt mi się to podobało. Wcale nie czułem ku temu jakiegos szczególnego pociągu, ale mimo wszystko to robiłem.

–Musisz zrozumieć – powiedział – że nie pojąłem w pełni tego, co się wydarzyło. Mogę się tylko domyslać.

–Z przyjemnością zaakceptuję najlepsze z twych domysłów.

Wbrew całemu opanowaniu na wargach wykwitł mi ponury uśmiech. Wyczuwałem trawiająca go rozpacz: pachniała zeschnięta trawa, niczym czerstwe ciasteczka, skwasniałe mleko. X: Manta stopniowo rozrastała się, aż wreszcie pokrywała przeszło trzy metry ściany. Wraz z jej wzrostem zaczęło się zmieniać samo pomieszczenie. Początkowo nie były to jakies widoczne zmiany, ale zaczął do mnie dochodzić zapach dżungli,

po jakimś czasie również smród z rur wydechowych samochodów, aż wreszcie dało się dosłyszeć odgłosy przypominające ruchliwe, lecz znacznie oddalone miasto. Stopniowo manta wkomponowała się w swój róg i przygłębła do ściany niczym druga skóra. Zaczęła też śmierdzieć, co nie było zbyt przyjemne, gdyż zapach przypominał gnijące owoce.

P: I trwało to, aż...? X: Az pewnego dnia obudził mnie wcześniej rano przerażający koszmar, koszmar, w którym jakiś człowiek bez twarzy dzgał czymś moją dłoń, a ja nawet nie starałem mu się wyrwać... Wszedłem do pracowni, a tam z rogu, z tego miejsca, gdzie wcześniej tkwiła owa istota, było bardzo ostre światło. Była tam wyrwa dokładnie o kształcie manty, przez którą do środka mojej pracowni zaglądało Ambergris. Widziałem w niej Dzielnicę Religijną z mrowiem ikon i pielgrzymów, dochodziły stamtąd niekonczące się wezwania do modlitw.

P: Co wtedy poczułeś? X: Złość. Chciałem rozedrzeć Ambergris na strzepy, kawalek po kawalku. Chciałem stanąć na czele potężnej armii i zetrzeć w proch bramy miasta, co do jednego wybić wszystkich jego mieszkańców, zrównać je z ziemią. Złość jest zbyt słabym słowem, by opisać, co czułem. P: I wierzysz, że takie właśnie było zadanie manty, gdy przekazała ci dar powrotu do Ambergris? X: "Dar"? To z pewnością nie był żaden dar, chyba że twoim zdaniem można tym słowem określać szalenstwo. P: Wybacz mi. Nie miałem zamiaru cię niepokoić. Czy wierzysz w klatwę rzuconą na ciebie przez mantę, przekazująca ci moc zniszczenia Ambergris? X: Nie. Zawsze gdzieś w głębi miałem inne cele niż owa istota. Ona zniszczyła mi życie. P: Co zrobiłeś, kiedy już stanąłeś twarzą w twarz z tym widokiem Ambergris? Czy też, by być bardziej dokładnym: jak ci

sie wydaje, co wtedy zrobiles?

X: Wspialem sie na sciane i przeszedlem do tamtego swiata. P: I wlasnie od tego momentu, przynajmniej wedlug tego, co powiedziales podczas poprzednich sesji, twoje wspomnienia staja sie coraz bardziej niepewne i watpliwe. Czy stwierdzenie, ze twoje wspomnienia staja sie "mgliste", bedzie tu odpowiednie?

X: Tak. P: W takim razie skieruje nas teraz na zupełnie inne tory, by wrocic do tego tematu za jakis czas. Opowiedz mi o Janice Shriek. X: Przeciez juz... Niewazne zreszta. Byla fanka moich dzieł. Zarowno Hannah, jak i ja przepadalismy za nia i pozwalalismy jej pomieszkiwac u nas w domu – akurat wtedy byla na urlopie naukowym. Malowala, ale zarabiala na zycie jako historyk sztuki. Jej brat, Duncan, rowniez slynny historyk, zbil fortune piszac o Cesarstwie Bizantyjskim. Duncan przebywal w tamtym czasie w Stambule, przeprowadzajac tam jakies badania naukowe, gdyz w przeciwnym razie z pewnoscia tez przyjechalby nas odwiedzic. Niezbyt czesto widywal sie z siostra.

P: A ty wkomponowales ich w swoje opowiesci? X: Tak, dalem w nich obojgu pewne role i byli tym zachwyceni. Janice nawet pomogla mi wygladzic w Przemianie Martina Lake'a fragmenty zwiazane z historia sztuki.

P: Czules animozje czy niechec do Janice Shriek? Do jej brata?

X: Nie. Dlaczego mialbym je czuc?

P: Opisz mi, prosze, Janice Shriek. X: Byla drobna kobieta, moze nie tak filigranowa jak na przyklad ta aktorka Linda Hunt, ale niewiele wieksza. Odrobine sie garbila. Miala odpowiednia

wage ciała. Jakies pięcdziesiąt cztery lata. Czolo pokrywała jej gesta siateczka zmarszczek. Lubila ubierac sie w kobiece garnitury w stylu bizneswoman i palila jakies okropne cygara sprowadzane z Syrii. Silna osobowosc, roztaczala wokol siebie wyrazista aure. Dowcipna. Wladala kilkoma jezykami. P: Podczas jednego z wczesniejszych przesluchan wspomniales: "Czasem mialem wrazenie, ze istnieje w dwoch miejscach rownoczesnie, i zastanawialem sie, czy jednym z tych swiatow nie jest przypadkiem Ambergris". Co miales wtedy na mysli? X: Zastanawialem sie, na ile sam wpisalem ja w Ambergris, a na ile miala juz tam wczesniej wlasne zycie. Sprowadza sie to do tego – czy moje historie, slowo w slowo, byly prawda o tamtym miescie, jak rowniez o jego mieszkancach, czy tez moze jedynie opisywane przeze mnie plenery byly prawdziwe, a postaci byly ledwie wymyslem mojej wyobrazni?

P: Zapytam cie po raz kolejny – czules niechec do Janice Shriek?

X: Nie! P: I nigdy nie czules do niej urazy z powodu droczenia sie z toba w kwestii realnosc Ambergris?

X: Czulem, ale to przeciez nie jest wystarczajacym motywem, by... P: Nie czules zawisci, ze – jesli rzeczywiscie istniala w obu swiatach – wydaje sie tak opanowana, posiadajaca nad tym tak silna kontrole? Czy sam nie chciales rowniez posiadac podobnego rodzaju opanowania, kontroli sytuacji? X: Zawisc nie jest niechecia. I powtorze tu po raz kolejny, nie jest tez wystarczajacym motywem, by... By zrobic to, co sugerujesz. P: Miales jakies empiryczne dowody – jakie tylko mogles posiadac – ze istnieje w obu swiatach? X: Dala mi to do zrozumienia w zartach, pomiedzy wierszami – co do tego masz racje. Co

oczywiste, przeczytała wszystkie moje powieści, mogła więc nawiązywać do Ambergris, jakby naprawdę istniało. Kiedyś powiedziała mi, że jedynym powodem, dla którego chciała mnie poznać, był fakt, że opisywałem prawdziwy świat. Jeszcze przy innej okazji podarowała mi dosyć osobliwy prezent urodzinowy.

P: Co takiego? X: Hoegbottonski przewodnik po Ambergris. Dala mi go, twierdząc, że to autentyk. Ze po prostu wpadła sobie w Ambergris do Księgarni Borges, gdzie go kupiła – i oto, proszę bardzo, dostaje taki prezent. Niezle mnie tym wkurzyła, ale nie przyznała się nigdy do kłamstwa. Hannah twierdziła, że Janice jest fanatyczka. Ze musiała go stworzyć własnoręcznie i że lepiej byłoby bądź uznać to za komplement, bądź zacząć wypytywać prawników na tematy dotyczące naruszenia praw autorskich.

P: Dlaczego wtapiles w słowa żony? X: Przewodnik był tak kompletny i doskonały. Tak szczegółowy. Nie mógł być żadna podrobka ani oszustwem. P: Z pewnością taka poliglotka, i na dodatek historyk sztuki, jak Janice Shriek byłaby w stanie stworzyć coś takiego? X: Nie mam pojęcia. Byc może. Tak czy inaczej, stąd właśnie wpadł mi do głowy ten pomysł dotyczący jej osoby. P: Pozwól, że wrócimy do twojego wypadu do Ambergris. Manta stała się wrotami do tamtego świata. Zdaje sobie sprawę, że nie możemy teraz polegać na twoich wspomnieniach, ale czy przypominasz sobie, co odkryłeś po drugiej stronie? X: Szedłem bulwarem Albumuth. Było dosyć chłodno. Ulica była zatłoczona zarówno pieszymi, jak i pojazdami silnikowymi. Co oczywiste, tym razem nie trafilem tam nago, mogłem więc uważnie rozglądać się wokół, i wtedy... Po prostu zagubiłem się w tłumie. Nie myślałem o niczym. Niczego nie analizowałem. Po prostu szedłem przed siebie. Ruszyłem w kierunku doków, by przyjrzeć

sie zacumowanym tam statkom. Napawalem oczy widokiem parady odbywajacej sie w poblizu placu Trilliana. Nastepnie przez jakis czas odkrywalem place targowe, na ktorych handlowano zywoscia. Po chwili przeszedlem do Dzielnicy Biurokratow.

P: Gdzie dokladnie to sie stalo?

X: Nie... Nie potrafie... P: Oszczedze ci wiec wspomnien. I tak mam juz to wszystko tutaj zapisane. Twierdzisz, ze zobaczyles przechodzaca przez ulice kobiete oraz jakis zblizajacy sie do niej z wielka predkoscia pojazd i ze – jak mowisz – wyrwales ja ze szponow niebezpieczenstwa. Czy przytaczam poprawnie?

X: Tak.

P: Jak wygladala ta kobieta? X: Widzialem ja tylko od tyłu. Byla dosyc niska. Raczej starsza niz w srednim wieku. Odrobine powloczyla nogami. Jak mi sie wydaje, miala przy sobie teczke, moze portfolio albo cos podobnego...

P: Jakiego koloru byl pojazd?

X: Czerwony.

P: A co stalo sie juz po tym, gdy ja zepchnales z drogi pojazdu?

X: Wyminela nas furgonetka, przejezdzajac miedzy mna a kobieta, a ja znalazlem sie z powrotem w prawdziwym swiecie. Na twarzy poczulem silny, opalajacy mi brwi skwar. Padlem na podloge tuz przed drzwiami podpalonej przez siebie pracowni. Wkrotce plomienie ogarnely caly dom. Hannah zdazyla juz wyprowadzic Sare na zewnatrz, a teraz, w chwili mojego

"przebudzenia", starała się wywlec z płomieni również i mnie. Wrzeszczała mi do ucha: "Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?!".

P: Co takiego niby miałeś zrobić?

X: Pchnąłem Janice Shriek w podłożony przez siebie ogień.

P: Zamordowałeś ją.

X: Pchnąłem w płomienie. Przypatrywaliśmy się sobie nad blatem biurka znajdującego się w małym, ogolonym ze sprzętów pomieszczeniu, a w wyrazie jego twarzy wyraźnie mogłem dostrzec, że wciąż nie dochodzi do niego sedno całej sprawy. Że nie rozumie, co tak naprawdę przydarzyło się Janice Shriek. Ile miałem mu teraz powiedzieć? Bardzo niewiele. Tyle co nic. Dla jego własnego dobra. Bezlitosnie jednak kontynuowałem przesłuchanie, świadom, że teraz odbiera mnie już tylko jako ciemność, jako swego zdrajcę. P: Jak bardzo byłeś szczęśliwy, zadowolony z siebie, po ocaleniu życia kobiety w Ambergris, porównując to ze smutkiem, który poczułeś po zabiciu Janice Shriek?

X: To nie jest takie proste. P: Alez to jest właśnie aż tak proste. Czy czujesz winę, wyrzuty sumienia bądź skruche dlatego, że zamordowałeś Janice Shriek?

X: Oczywiście!

P: Czy czułeś się odpowiedzialny za swe czyny?

X: Nie, nie od razu.

P: A teraz?

X: Teraz tak.

P: Czy czules się odpowiedzialny za ocalenie życia tamtej kobiety w Ambergris? X: Nie. Dlaczego miałbym się czuć za to odpowiedzialny? Ambergris nie istnieje przecież naprawdę. P: A jednak, jak stwierdzasz w posiadanych przeze mnie zapisach z poprzednich sesji, podczas procesu, do którego doszło w związku ze śmiercią Shriek, upierałeś się, że Ambergris jest prawdziwe! Jak więc to teraz wygląda? To miasto jest prawdziwe czy nie?

X: Wtedy było. P: Wydajesz się przesadnie dumny z faktu, że – jak sam to ujales – ława przysięgłych podczas pierwszego z procesów nie była w stanie wydać wyroku. Ze potrzebą było kolejnej ławy i kolejnego procesu, by udało się wreszcie cie skazać. Byles wręcz nieprzyzwoicie z tego dumny, że pozwolisz sobie na takie stwierdzenie.

X: To zaledwie duma autora z powodu perfekcji i piękna oszustwa własnych zmysłów. P: "To zaledwie duma autora z powodu perfekcji i piękna oszustwa własnych zmysłów". Posłuchaj sam siebie. Twoja duma jest obrzydliwa i koszmarna. Zamordowano człowieka. I to ty stanales przed sądem za to morderstwo. A może wydaje ci się, że Janice Shriek wiodła bardziej prawdziwe życie w Ambergris? I tak właściwie to zabiłeś zaledwie jakies echo, cien, zaledwie refleks jej prawdziwego bytu? X: Nie! Nie uważam, że Ambergris jest bardziej prawdziwe. Wtedy nic nie było dla mnie prawdziwe. Arogancja, duma, wszystko to było murem, sciana, sposobem, bym mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Sposobem, by nie myśleć. P: Jak też udało ci się przekonać niektórych członków ławy przysięgłych, by uwierzyli w Ambergris? X: To nie było łatwe. Proste nie było

nawet przekonanie własnego adwokata, by poprowadził sprawę w ten raczej szalony sposób, który mu zasugerowałem. Przystał na to, ponieważ wierzył, że ława przysięgłych i tak uzna mnie za szalenca, a następnie odda pod opiekę szpitala psychiatrycznego. Jestem przekonany, że sam uważał, iż tego właśnie wymagam. To, że zostanie skazany, nie ulegało żadnej dyskusji – przecież świadkiem oskarżenia była moja własna żona.

P: Ale udało ci się przekonać niektórych z członków ławy. X: Być może. A być może nie spodobał im się oskarżyciel. Zapewne bardzo pomógł mi fakt, że prawie każdy z nich czytał moje książki bądź przynajmniej o nich słyszał. Dowodziło to tylko tego, że moja wyobraźnia zapiera dech w piersiach. Stworzony przeze mnie świat był tak kompletny, tak w pełni urzeczywistniony, że, czego jestem pewien, stał się niemal równie prawdziwy dla ławy przysięgłych jak odrapany i śmierdzący stęchlizną pokój jej obrad. P: Przekonałeś więc ławę potęgą swej wizji. Oraz szczerością – tym, że sam wierzysz w prawdziwość Ambergris. X: Nie mów tak. Jak już powiedziałem ci wcześniej, nim jeszcze zaczęliśmy, ja już nie wierze w Ambergris.

P: Czy możesz mi opisać członków ławy przysięgłych podczas pierwszego procesu?

X: Co? P: Poprosiłem, byś opisał mi członków ławy przysięgłych. Jak wyglądali? Jeśli tylko uznasz to za konieczne, posilkuj się swą słynną wyobraźnią. X: Byli po prostu członkami ławy przysięgłych. Grupa ludzi mniej więcej w moim wieku. Wyglądali jak... Jak zwykli ludzie.

P: Więc nie jesteś w stanie przypomnieć sobie ich twarzy.

X: Nie, tak właściwie to nie. P: Skoro przekonałeś ich, by tak mocno uwierzyli w Ambergris, że w efekcie nie doszło do skazania, dlaczego sam nie jesteś w stanie uwierzyć w to wszystko? X: Ponieważ Ambergris nie istnieje! Alicjo, to nie istnieje! Nie jest prawdziwe! Wymyśliłem je sobie. Czy też, by być bardziej dokładnym, to ono mnie sobie wymyśliło. A ono nie istnieje.

Iks oddychał ciężko. Lewa pięścią silnie uderzył w biurko.

–Podsumujmy więc teraz wszystko, ponieważ podczas dzisiejszej rozmowy pojawiły się dwa nowe kluczowe punkty. Co najmniej dwa. Pierwszy z nich dotyczy manty. Drugi – ławy przysięgłych. Zapytam więc po raz kolejny: Czy nigdy nie dopuściłeś do siebie myśli, że manta mogła mieć jednak na Ciebie jakiś pozytywny wpływ, że mogła okazać się zbawiennym impulsem?

–Nigdy.

–Ja dostrzegam ją tutaj jako manifestację Twoich zdrowych zmysłów – być może manifestację podświadomości, która pojawiła się, by poprowadzić Cię ku światłu.

–Poprowadziła mnie ku ciemności. Poprowadziła ku wymyślonej krainie.

–Po drugie, nigdy nie było żadnego procesu, przynajmniej poza Twoją głową podczas ucieczki z miejsca zbrodni. Twoja ława przysięgłych, ta, która uwierzyła w Ambergris, reprezentowała tę część Twojej osobowości, która wciąż kurczowo trzymała się myśli o prawdziwości tego świata. Nieważne, jak byś z nimi walczył, oni

– anonimowi i pozbawieni twarzy – wciąż nieustannie powtarzali ci, że Ambergris jest prawdziwe!

– Teraz to ty starasz się mnie podejść – powiedział Iks, drząc na całym ciele. Prawa dłoń, niczym w imadle, sciskał lewy nadgarstek.

– Pamiętasz, jak się tu dostałeś? – Zapytałem.

– Nie. Prawdopodobnie przez drzwi frontowe, nie sądzisz?

– Nie wydaje ci się dziwne, że tego nie pamiętasz?

– Dziwne w porównaniu z czym? – Zasmiał się gorzko.

Wpatrywałem się w niego bez słowa. W milczeniu tym, jak mi się zdaje, upatrywałem nadzieję, że w ostatniej chwili dokona swego odkupienia, że milczenie wymusi na nim dojscie do wniosku, iż moja decyzja nie będzie dla niego korzystna.

– Nie wierze w Ambergris. Ile razy mam ci to powtarzać? – Teraz już pot oblewał całe jego ciało. Cały też drzał.

Gdy nie odpowiedziałem mu nawet jednym słowem, zapytał:

– Masz jeszcze jakieś pytania?

Przez co pokręciłem głową. Schowałem do aktówki zapisy poprzednich przesłuchań, a następnie zamknąłem ją na kluczyk. Odsunąłem krzesło od biurka. Wstałem.

– W takim razie nic mnie tu już nie trzyma. Moja żona prawdopodobnie czeka na mnie w...

–Nie – odparłem, nakładając marynarkę. – Nie wolno ci stąd wyjść.

Zerwał się na równe nogi, po raz kolejny uderzając pięścią w biurko.

–Ale przecież powiedziałem ci, powiedziałem... Że nie wierze w moją fantazję! Jestem racjonalny! Logiczny! Wyzbyłem się szalenstwa! Zostawiłem je za sobą!

–Ale tu właśnie – powiedziałem z tak wielką dozą życzliwości, na jaką tylko byłem w stanie zdobyć, otwierając drzwi – dokładnie tu drzemie cały problem. Bo tym, co cie otacza, jest właśnie Ambergris. Znajdujesz się w tym miejscu.

Wyrazu jego twarzy nie dało się opisać słowami.

Kiedy zamykał za sobą drzwi i wspinał się po schodach, uswiadomił sobie, że to wszystko jest jednym wielkim wstydem i kompromitacją. Jasno i wyraźnie było widać, że pisarz utracił kontakt z rzeczywistością, i nieważne było, jak rozpaczliwie i usilnie ta rzeczywistość stara się zwrócić na siebie jego uwagę. A ta biedna kobieta, wciąż niezidentyfikowana, która Iks wepchnął wprost pod koła przejeżdżającego pojazdu (on po prostu nie potrafił się zdobyć na to, by uswiadomić Iksowi, jak błędne są jego wspomnienia) była wystarczającym dowodem świadczącym o jego chorobie. W ostatecznym rozrachunku fantazja okazała się zbyt trwała, zbyt silna. A jaka to była cudowna fantazja! Świat, w którym ludzie lataли w powietrzu i "krecili filmy". Disney, telewizja, Nowy Jork, Nowy Orlean, Chicago. Wszystko to było bardzo przekonujące i, w pewnych granicach, miało sens – dla Iksa. Ale jak doskonale wiadomo, ci pisarze byli przebiegła

gromadka i nie należało im wierzyć. Już teraz po ulicach chodziło zbyt wielu szalenców. Jak też Iks poradziłby sobie z własną wolnością? Ze swą podwójną fantazją, dotyczącą zarówno literackiego sukcesu, jak i szczęśliwego małżeństwa, które okazałyby się kłamstwem? (Istniała jeszcze kwestia ostatnich słów Iksa, które dosięgły go, kiedy już zamykał za sobą drzwi: "Wszyscy pisarze piszą. Wszyscy redagują to, co napisali. We wszystkich kryje się odrobina ciemności").

Po aresztowaniu nie odnaleziono w całym mieście najmniejszego zapisu, żadnego śladu dotyczącego jego osoby, zapewne więc Iks pochodził z zagranicy – być może z Wysp Południowych – skąd przybył, mając przy sobie jedynie te swoje żalną książeczkę, bez wątpienia opublikowana własnym sumptem przez jakąś oficynę o nazwie "Toruk", wydawnictwo mające na celu zaspokojenie jego prozności, sadząc chociażby po samym brzmieniu tego słowa. Sam znalazł podobne uczucia z powodu własnego skromnego parania się sztuką pisarską. W rzeczywistości, jak zastanawiał się teraz, jedyny prawdziwy pożytek płynący z przeprowadzonej właśnie rozmowy, jedyna różnica pomiędzy właśnie zakończonym przesłuchaniem a zapisami z poprzednich sesji, będzie dotyczyć jego własnego pisarstwa. Zyskał bowiem właśnie kilka bardzo interesujących fragmentów, na których mógłby zbudować własną opowieść. Dlaczego? Dostrzegł, że zapis z tej sesji byłby swego rodzaju literaturą, gdyż, jak doszedł do wniosku już dawno temu, żadne urojenia nigdy nie mogłyby tak naprawdę zostać zrozumiane. Mogłby nawet opowiedzieć te historie zarówno w pierwszej, jak i w trzeciej osobie, by równocześnie przybliżyć ją czytelnikowi przez monolog, jak i stworzyć dystans do wydarzeń dzięki głosowi przesłuchującego narratora.

Kiedy dotarł do miejsca, w którym zerwał roze, wyjął ją z butonierki i wetknął lodyżka z powrotem do szpary. Żałował, że w ogóle ją zerwał. Ale nawet gdyby tego nie zrobił, to i tak roza byłaby skazana na krótkie i płytkie życie w ciemności.

Na zewnątrz przestało już padać. Jednak zapach unoszącej się po deszczu wilgoci wciąż trwał w powietrzu, a południowe wezwania do modlitw, dochodzące z Dzielnicy Religijnej, odbijały się echem w wąskich uliczkach miasta. Mogł niemal poczuć w ustach cudowny smak gorących kielbasek sprzedawanych przez ulicznych sprzedawców. Po lunchu wybiore się gdzieś rozerwać, pomyślał. Opera i Teatr im. Manzikerta wystawiała w tym sezonie przegląd dzieł Vossa Bendera, a przy odrobinie szczęścia może uda mu się zdążyć na seans poranny i wrócić do czekającej na niego w domu żony mniej więcej w porze obiadu. Z takim właśnie zamiarem wyszedł na ulicę i wkrótce rozmyślił się na niej, znikając w tłumie ludzi, którzy w porze lunchu zaleali ulicę Ambergris.

Szpital Psychiatryczny im. Vossa Bendera Bulwar Albumuth
1314 Ambergris I 13-24 Do doktora Williama Simpkin
Centralne Biuro Ewidencji i Archiwum Oddział Badan
Psychiatrycznych Przy szpitalu im. Trilliana Aleja Trupiej Czaszki
8181 Ambergris M14-518 Drogi doktorze Simpkin! Zgodnie z
życzeniem znajdziesz dołączony do poniższego listu wszelki
pozostawiony u nas przez Iksa dobytek z wyjątkiem pióra,
pustego notatnika i zaczytanego kieszonkowego wydania Miasta
szalenców i świętych, które przez cały pobyt u nas przyciskał do
piersi niczym talizman. Pozwoliłem sobie bowiem zatrzymać
wymienione wyżej przedmioty w swych prywatnych zbiorach. (Jak
być może pamiętasz, przez lata pracy udało mi się zgromadzić
bardzo szeroki wachlarz pamiątek. Jeśli tylko kiedykolwiek znow

odwiedzisz nasza skromna placowke, wysunieta na przedmurze szalenstwa, z prawdziwa przyjemnoscia oprowadze cie po nich, gdyz ostatnio rozpoczałem katalogowanie mojej kolekcji, z niecierpliwoscia oczekujac dnia, gdy wreszcie otrzymam konieczne fundusze na jej wlasciwe wystawienie. Kazdemu z eksponatow towarzyszy obecnie fiszka przyblizajaca jego historie. Jesli tylko moge tak stwierdzic, organizacja i wyglad ekspozycji sa wyborne. Brak mi jedynie gablotek oraz pieniedzy koniecznych na jej utrzymanie i wszelkie niezbedne remonty). Wiekszosc nalezacych do Iksa rzeczy stanowią najprzerowniejsze teksty, ktore badz to wyszly spod jego piora, badz tez udalo mu sie je jakos zdobyc podczas krotkiego okresu, gdy jako wolny czlowiek przemierzal ulice naszego miasta. Zgodnie z zyczeniem dokladnie sie z nimi zapoznalem, nie zwazajac na to, ile czasu i uwagi pozbawilo to innych pacjentow, majacych mozliwosc pozostawiania pod moja osobista opieka. Chcialbym teraz pokrotce podzielic sie wszystkim, co udalo mi sie ustalic. (1) notatki Iksa. Notatki stanowią spisane na maszynie kartki, ktore dolaczam bezposrednio do niniejszego listu, zostaly one znalezione w jego koszu na smieci. Zawieraja serie przypomnien, obserwacji, szkicow slownych, rysunkow (Iks mial do swej dyspozycji zbyt wiele wolnego czasu na doskonalenie swych bazgrolow), jak rowniez krotki opis jednego z jego snow, ktory nazwalem "Maszyna", notatki wydaja sie mowic same za siebie i nie wymagaja zadnego komentarza. Natomiast owa "Maszyna" dowodzi skrajnej paranoi pacjenta, skierowanej przeciwko szarym kapeluszm, nie wolno nam tu jednak zapominac, by nie wczytywac sie zbytwno w koszmary – te zwykle nawiedzajace moja osobe wiaza sie zazwyczaj, w zwiazku z brakiem funduszy, z koniecznoscia likwidacji pewnych oddzialow, tak nieodzownych dla dzialania szpitala – lecz

zaryzykowałbym tu stwierdzenie, że Iksa dreczył niepokojem związanym z badaniami, którym go poddawaliśmy. Biorąc pod uwagę historię obserwowanego przypadku, jest to nawet wyjątkowo spójne i logiczne. (2) Uwolnienie Belacquy. Choć dołączona do tego manuskryptu notatka przypisuje go Sirinowi, sekretarka w biurze pisarza zapewniła mnie telefonicznie (nasz szpitalny aparat nie działa, przemierzylem więc piechotą piec przecznic, by skorzystać z domowego telefonu jednego z moich współpracowników), że Syrin jej nie napisał. Co za tym idzie, musimy przyjąć, że historię stworzył sam Iks. Zaden z jej fragmentów nie rzuca nam jednak nowego światła co do obecnego miejsca pobytu naszego pacjenta. O ile już coś nam przekazuje, to tyle tylko, że protagonista powyższej historii jest na równi z nami osłupiały i zaskoczony w kwestii Iksa. Zimne, krótkie odniesienie do Janice Shriek zadaje klam protestom pacjenta, który rzekomo czuł wyrzuty sumienia z powodu dokonanych przez siebie czynów. Przez całą opowieść autor komunikuje się z czytelnikiem "między wierszami" w raczej rozczulającym i patetycznym sposobie. Takie skrepowanie wpłynęło negatywnie, co widać dość wyraźnie, na jego piśmarstwo, osłabiając jego moc. (Sprawdziłem w posiadanej przez mnie skróconej wersji Trilliana Tessa Bendera – a zrobiłem to kierowany własną ciekawością – lecz nie udało mi się tam odnaleźć najmniejszej nawet wzmianki o jakimkolwiek "Belacqua"). (3) Krol Kalamarnic, napisany przez Fredericka Madnoka. Początkowo przyjąłem, że te cieniutka broszurka wydał własnym sumptem osobnik kryjący się pod pseudonimem Iks. Jednakże dalsze śledztwo odsłoniło zarówno fakt, że Madnok w rzeczywistości istnieje, jak również i to, że kilka miesięcy temu sprzedawał ją wraz z innymi wydanymi przez siebie osobliwosciami na rogu bulwaru Albumuth i ulicy

Dziobowej. Jego obecne miejsce pobytu także jednak nie jest nam znane. Choć posiadane przez nas informacje i zapisy w dokumentach mogą okazać się błędne, to jak się wydaje, nigdy nie był on naszym pacjentem. (Może mimo wszystko zechciałbyś użyć swych imponujących możliwości, by zweryfikować ten fakt, gdyż wiele ze znajdujących się w naszym posiadaniu dokumentów uległo zniszczeniu w wyniku przecieków dachu. W wielu przypadkach to właśnie znajdujące się u was kopie winno się obecnie traktować jako oryginały). Biorąc pod uwagę, że Iks nie jest autorem Kalamarnicy królewskiej, jak również i fakt, że brak w niej jakichkolwiek notatek, dopisanych przez niego na marginesach, nie jestem w stanie wywnioskować z tego utworu zbyt wiele na temat tak nas interesującego Iksa. Na dość powierzchownym poziomie można jednak przyjąć, że transformujące cechy prozy Madnoka budziły jego zazdrość. Być może postrzegał go jako pokrewną duszę. Jednak również i w tym przypadku brak nam obecnie personelu koniecznego do przeprowadzenia wnikliwej analizy, by podobne dokumenty, pochodzące z trzeciej ręki, mogły nam cokolwiek "powiedzieć" na temat stanu Iksa. (4) Historia rodziny Hoegbottonów. Ten dokument, mimo iż dla mnie osobście fascynujący, w najlepszym przypadku jest zaledwie czymś, co Iks przeczytał sobie jako tło konieczne, by czerpać przyjemność z punktu (5), opis poniżej. Znaleźliśmy tę opowieść wcisniętą pomiędzy materac a ramę łóżka. Istnieje możliwość, że należała ona do poprzedniego mieszkańca celi, niejakiego M. Kodfana, (5) Klatka. Również w sprawie tego manuskryptu zasięgnąłem języka u sekretarki Sirina, szczególnie biorąc pod uwagę nagryzmołony odrecznie przez Iksa przypis, dotyczący autorstwa utworu. (Zaluje, że nie odkryłem go wcześniej, jeszcze przed powrotem do naszego przybytku, gdyż w zaistniałej sytuacji

ledwo wrocilem, musialem obrocic sie na piecie i po raz kolejny wyruszyac, by skorzystac z telefonu mojego wspolpracownika). Tym razem jednak sekretarka Sirina potwierdzila jego rzekome autorstwo utworu. Za nadzwyczajny uznala rowniez fakt, ze w posiadaniu Iksa znalazla sie wersja przedkorektorska, szczegolnie biorac pod uwage, ze wspomniane opowiadanie dopiero czekalo na swa premiere, mialo sie bowiem ukazac w planowanym na przyszly miesiac zbiorze nowych opowiadani Sirina. Sekretarka, wyrazajac najwyzsze zaniepokojenie, zazadala zwrotu manuskryptu. Odpowiedzialem jej jednak, ze nie jest to mozliwe, dopoki nie otrzymam twojej pisemnej zgody. Co do powiazan miedzy Sirinem a Iksem – nie wydaja mi sie one jakos wielce wiarygodne. Bardziej mamy tu do czynienia z zaleznoscia okreslana jako "wielbiciel" – "uwielbiany autor". Jednak juz sam fakt, ze w posiadaniu Iksa znalazla sie powyzsza opowiesc, potwierdza nam jego obsesje zwiazana z szarymi kapeluszami. Nie mam zadnej pewnosci, czy Klatka jest nam jakos przydatna. Dokonana przez Sirina charakterystyka Hoegbottona uderza swa perwersyjnoscia. Lecz patrzac na to z zupełnie innej strony, osobiscie nie jestem fanem tworcosci autora, mimo iz uwielbiam jego zbior wierszy zatytulowany "Metamorfozy motyli". (6) W pierwszych godzinach po smierci. Iks wyrwal te opowiesc Nicholasa Spolendera z ubieglomiesiecznego wydania Plonacych lisci, literacko-kulturalnego periodyku, tak uwielbianego przez wielu naszych pacjentow. Moge potwierdzic, ze zalaczone tu strony w rzeczywistosci pochodza z naszej bibliotecznej kopii. Zostalo z niej rowniez wydarte kilka innych kartek, lecz zadnej z nich nie odnaleziono w celi Iksa. Chcialbym tu na poczatku pokrotce przyblizyc pozostale brakujace strony, gdyz ich dobor wprawia mnie w pewna konsternacje. Porownujac magazyn ze zbiorow

naszej biblioteki z nienaruszona kopia Plonacych list odkryłem, że w rece Iksa mógł wpasować materiał reklamowy damskiej bielizny, artykuł dotyczący pochodzenia wodnego teatru lalek, karykatura obecnego Przewodniczącego Truffidianskiego, krótka, eksperymentalna (i absolutnie niezrozumiała) opowieść Sarah Beeside zatytułowana "Pluskwy i zgiełk" oraz jeszcze jedna reklama damskiej bielizny. (Trzymając się jednak zaleceń przesyłanych w liście, nie przesyłam żadnego z powyższych wycinków, gdyż wyraźnie proszono mnie o rzeczy pozostawione przez Iksa, a nie o rzeczy, których "nie pozostawił, lecz być może wyrwał podczas swego pobytu z pewnego literacko-kulturalnego periodyku". Muszę tu dodać, że w związku z brakiem funduszy bardzo kurczowo trzymamy się litery otrzymywanych instrukcji: wszelkie dewiacje i odstępstwa, z wyjątkiem uwieczonych w naszych murach dewiantów i odszczepienców wszak swoje kosztują). "W pierwszych godzinach po śmierci" nie rzuca jednak żadnego światła na stan Iksa. Wskazuje jedynie na proste życzenie śmierci, zgodnie z czym jednak, tego wielce intrygującego poranka, gdy kierowany nagłym kaprysem zdecydowałem się porozmawiać z nim przed wyznaczoną wcześniej godziną, winniśmy byli raczej znaleźć w celi jego martwe ciało, a nie brak jakiegokolwiek ciała. (7) Zaszyfrowana opowieść. Kilka złożonych kartek, wetkniętych do Miasta szalenców i świętych, zawierało długą serię cyfr. By raczej tu nimi nie zanudzać, podjąłem się amatorskiej próby ich rozszyfrowania – uznałem bowiem, że jest to szyfr – mimo że nie jesteśmy tu w SPIVB jakos specjalnie szkoleni do takich zadań jak interpretacja kodowanych materiałów. (Jak zapewne pamiętasz, w ubiegłym roku straciliśmy nawet fundusze na tak podstawowe potrzeby jak etat szalologa, mogłoby więc być może szepnąć za nami słowo u Flautimera?). Po wielu wyjątkowo meczących eksperymentach

udalo mi sie wreszcie ustalic, ze kazda seria liczb odnosi sie do strony, akapitu, linii i slowa w ksiazce Iksa. Po dokonaniu tego odkrycia w pewnym pospiechu rozszyfrowalem manuskrypt, przez caly czas pamietajac o pilnosci twej prosby dotyczacej przeslania materialow do Centralnego Biura Ewidencji i Archiwum, by mogli je przebadac tamtejszy sledczy. Niektore z przetlumaczonych slow zdaja sie zupełnie pozbawione sensu w kontekscie, w jakim wystepuja, bowiem w pospiechu dokonalem tam kilku pomylek. Jednakze ostatni paragraf juz calkowicie oparl sie moim wysilkom. Jak sie zdaje, zastosowano w nim zupełnie odmienny rodzaj szyfru. Jednak z tego, co zdolalem rozszyfrowac, jasno wynika, ze Iks staral sie przyrownac szare kapelusze do nas – jego szpitalnych "ciemiezycieli". Tak niewyszukane porownanie pojawilo sie pod wplywem zwykłej dziecięcej chęci zemsty. Jestem pewien, że wasz ekspert wysunie tu własne teorie. (8) Wymiana. Ta festiwalowa historia napisana przez Nicholasa Sporlendera już od jakiegoś czasu znajdowała się w posiadaniu Iksa, lecz nie miał jej przy sobie, gdy się u nas pojawił. Jestem przekonany, że ktoś przekazał mu ją później. Na kopercie, w której znajdowała się broszura. Iks skreślił kilka notatek, a dokładnie: "Pod koniec znajomości Sporlender nienawidził Verdęna. Ale ja nie czuję jeszcze nienawisci do Erica. Zastanawiam się, kiedy, i czy w ogóle, pojawi się podobne "echo". A może jest to załedwie banalny oddźwięk, jaki nawzajem w sobie wywołujemy". Iks następnie ostrożnie powycinał strony i ponaklejał je na większe kartki papieru, dodając tam własne komentarze, dopisane na maszynie. (Intryguje mnie również insynuacja Iksa, który upiera się tutaj, że spotkał Madnoka już w murach naszego zakładu. Po raz kolejny zaznaczę, że nie wierzę, by była to prawda, gdyż nigdy nie mieliśmy w szpitalu pacjenta o takim nazwisku). Jasno

widac, ze powinienem byl znalezc Iksowi wiecej zajec w wolnym czasie. (9) Uczac sie, jak opuscic swe ciało. Mimo iz powyjsza historie odebralem Iksowi na samym poczatku jego pobytu w naszym czarujacym przybytku, dolaczam ja tutaj, wycinajac ostroznie ze zbioru Iksa, jako rzecz zaslugujaca na potencjalne zainteresowanie. Sam kilkakrotnie ja przeczytalem z nadzieja, ze uda mi sie ja rozszyfrowac. Mam bowiem nieodparte wrazenie, ze zawiera wskazowki co do jego obecnego miejsca pobytu (i to nawet powazniejsze niz same wypisane na maszynie liczby). Historia olsniewa – niemal jasnieje nam przed oczami w czasie lektury. Musze przyznac, ze wysylam ja glownie dlatego, by sie jej pozbyc. (10) Glosariusz ambergrianski. Punkt na liscie, ktory nasz pacjent otrzymal poczta zaledwie na tydzien przed swym zniknieciem. Jest to zadziwiajace polaczenie oryginalnych wpisow pochodzacych, z wczesnej historii miasta Ambergris piora Duncana Shrieka z tymi dodanymi juz przez Iksa, a sa one tak nawzajem ze soba poplatane, ze okreslenie rozmiaru zmian wprowadzonych w oryginalnym tekscie przez Iksa wymaga wyjatkowo szczegolowych porownan. Podobna analize skladam juz jednak w twe zdolne rece, wlasne mam bowiem tak pelne wielce intrygujacych decyzji, jak chociazbym: ktory z oddzialow zamknac z powodu kruszacych sie scian: farkologie czy inkrementologie? Fakty w tym przypadku, moj drogi Simpkinie, pozostaja niezmiennie! Iks zniknal bez sladu mogacego rzucic chocby odrobine swiatla na to, jak udalo mu sie tego dokonac, a tym bardziej, gdzie moglby obecnie szukac schronienia. Najwiecej mowiaca wskazowka jest fakt, ze pozostawil u nas swoj tak czczony egzemplarz Miasta szalencow i swietych. Lecz z pewnoscia nie udalo nam sie dokonac zadnego widocznego postepu w prowadzonym przez nas sledztwie. (Niektorzy kawalarze sposrod wielce cierpliwego personelu kuchennego –

obsługa naszej kuchni uciekla sie w ubieglym tygodniu, by miec co do garnka wlozyc, do kradziezy zwierzat z pobliskiego ogrodu zoologicznego – zauwazyli, ze Iks zabral ze soba wszystkie piora z wyjatkiem jednego, i na podstawie tego faktu wysnuli wniosek, ze musial on "wypisac sobie droge ucieczki". W punkcie, w ktorym obecnie tkwimy, powyzsza teoria jest rownie dobra jak kazda inna). Spostrzezenie, ze wiekszosc napisanych przez niego materialow wiaze sie z jakas transformacja badz przemiana, bedacymi wystarczajaco czestym obiektem zainteresowania ludzi pragnacych pozostawic za soba swe szalenstwo, zdaje sie nie przynosic nam wiekszego pozytku. Jak tylko bedzie mnie stac na zakup nowej wstazki do maszyny, z pewnoscia przedloze Radzie pelen raport. Jednakze w chwili obecnej przedziwny przypadek Iksa, jak mozna by go nazwac, wciaz pozostaje otwarty. Z powazaniem. Dr V. PS. Stwierdzilem wczesniej, ze pozostawiony w mych zbiorach notatnik jest pusty, i tak jest w rzeczywistosci, wyjatek stanowi tu jego tylna okladka, gdzie po wewnetrznej stronie odkrylem skreslone odrecznie nastepujace slowa: "Zamilon", "konwergencja" oraz "zielone swiatlo wiez". Zastanawiam sie, czy moga one byc jakas wskazowka? Powyzsze slowa w kontekscie, w ktorym wystepuja, nic dla mnie nie znacza. PPS. Kiedy tylko bedzie to mozliwe, prosze o zwrot rzeczy Iksa – chcialbym je wystawic w swej kolekcji.

NOTATKI

–Pisarz majacy trudnosc z praca nad swym majstersztykiem. Jest za stary? A moze jedynie pozbawiony motywacji? Zaczac od lektury Portretu artysty H.

–Pisarz tkwi w wiezieniu. Wiezieniem jest jego wlasna historia. Jak moglby sie z niej wyswobodzic?

–Poprosic kogos z obslugi o lepsza lampke nocna, nie wspominajac juz o kolejnej wstazce do maszyny.

–Tonsure prowadzil dwa dzienniki i chcial, by jeden z nich odnaleziono. Dlaczego jednak, tak naprawde, mialby chciec, by wazne bylo odnalezienie tego zawierajacego falszywa relacje?

–Zawsze cwicz zaraz po przebudzeniu!

–Z latwoscia moglbym teraz pokusic sie o napisanie biografii Vossa Bendera. Zaczac od mlodosci artysty. Tak go sobie wyobrazmy: siedzi w truffidianskiej katedrze, otoczony mrowiem ludzi, lecz kompletnie sam. Siedzi na honorowym miejscu na przedzie oltarza, ma lewa noge zalozona na prawa, a ramieniem i piescia podtrzymuje glowe – dzika grzywa gestych czarnych wlosow opada mu do ramion, ma oliwkowa skore, a zalegajace mu pod oczami cienie podkreslaja mrok jego oczu, oczu, ktore mimo iz nie daja tego po sobie poznac, dostrzegaja wiele. Grube usta, z cieniem usmiechu na wargach, gdy wszyscy zgromadzeni wokol nieprzerwanie cos choralnie wyspiwuja i recytuja. Jego stopa wystukuje rytm. Lecz nie jest to oznaka znudzenia. W myslach, juz wtedy, w wieku dwunastu lat, komponuje opere. Obok niego siedza: wysuszony i pomarszczony bialobrody dziadek, bezmyslnie spogladajaca przed siebie smutnooka matka i ojciec, w ktorym wszystko na tym swiecie budzi jedynie apatie i obojetnosc. W dalszej czesci ceremonii kazdy z zebranych w katedrze krewnych zbliza sie do niego, by mu cos powiedziec, wiekszosc kladzie nacisk na to, by "uzywawal swego talentu w imie dobra". On spoglada na nich zza zaslony swych czarnych wlosow, jak gdyby oni wszyscy zostali zrobieni ze strzepkow papieru. Przez caly ten czas, nieprzerwanie, jego stopa wystukuje rytm. Kiedy wreszcie otrzymuje z rodzicami blogoslawienstwo, a ich dlonie spoczywaja delikatnie na czubku jego glowy, stoi tam z rekami zlozonymi na plecach, tak scisnietymi ze soba, jakby mial je skute kajdanami... Wciaz nieprzerwanie wybijajac rytm stopa, wciaz podazajac za przybierajaca na sile fala symfonii, ktora rozwija sie w jego glowie... Zawsze juz taki bedzie – czesciowo w swiecie rzeczywistym, czesciowo zupełnie gdzie indziej. (Jak, w takim razie, przeszedl droge od tego mlodzienczego idealizmu do despotyzmu, objawionego w starczym wieku?)

–Zapamietac! Dyrektor potrzebuje listu do przelozonych, poruszajacego brak

funduszy.

–W przyszłości, nieważne, co napisze, szare kapelusze najprawdopodobniej przejmą miasto – jak mogłoby się wtedy zmienić? Jakie będą niebezpieczeństwa tworzenia prozy w takiej nowej scenarii? Proste uwięzienie? A może coś o wiele gorszego? Czy to warte ryzyka? Czy w ogóle taka scenografia jest dobrym tłem dla wydarzeń?

–Poprosić o nowe książki, nawet jeśli teoretycznie sam je wszystkie napisałem.

–Zakodowana wiadomość z przyszłości z kolejną ukrytą w swym wnętrzu zakodowaną wiadomością?

–Zostało coś jeszcze do opowiedzenia w historii Martina Lake'a? Być może późniejsze lata?

–natleniona krew kalamarnicy jest niebieska, a nie czerwona.

–"Jego sny, niczym bąbelki powietrza, uniosły się ku powierzchni, a gdy rozpryskiwały się tam, przebijając powierzchnię, wreszcie przypomniał sobie jedną jedyną rzecz, która – jak miał nadzieję – zapomniał, na wieki". Materiał na beznadziejny film klasy B?

–Ostatnio nawiedzają mnie koszmary. I nie do końca wiem, co z nich wynika. Sugerują odpowiedzi na niektóre z pytań dotyczących szarych kapeluszy. Zawsze dzieją się pod ziemią. Zawsze jest w nich ciemno. Stoi tam maszyna. Jej przód ma dodający otuchy charakter, przeswiecający, czy też odbijający światło. Nigdy nie zdecydujesz, który z nich, mimo iż stoisz tam z wbitym w nią wzrokiem przez całe dni, schwytany w sidła własnej głupiej nadziei, że oto pojawi się coś negującego przerazające zaprzeczenie wnętrza maszyny. Jej powierzchnie mać widma obrazów, jak gdyby raz za razem bezmyślnie scieranych do czysta nieostrożną dłońmi drobiazgowego i niecierpliwego artysty. Olbrzymia przewiewana wiatrem pustynia, ospala ciężarem swych wydm. Ocean, na którym nie dostrzeżesz nawet pojedynczej fali, napięcie jego powierzchni zakłócają jedynie cienie zwisających nad nim chmur, a woda ma tak doskonały turkusowy odcień, że aż rani oczy. Zachód słońca nad pasmem gorskim, gdzie odległe, leżące w ruinie wieże u stóp podpierają jego masywy. Widoki dżungli i bagien zamieszkiwanych przez przedziwne ptaki i osobliwe bestie. Obrazy te za każdym razem migotliwie dochodzą do doskonałości, by po chwili wycofać się w niepamięć, rozmyć w zapomnieniu. Miejsca, których – o ile tylko istnieją na świecie – nigdy nie widziałeś na oczy, nigdy też nie słyszałeś nawet słowa o ich istnieniu. Nigdy... Po kilku dniach twoje spojrzenie zaczyna błądzić i tracić ostrość. Mrugasz oczami. Powoli. Na samym dole lustra, tego szkła, zauważasz drzwi. Są niemal równie wielkie jak cała maszyna. Te drzwi są tak małe jak twój paznokiec. Odległość dzieląca cię od nich jest nieskończona. Odległość jest tak

niewielka, że mogłbys siegnac i ich dotknac. Sa przezroczyte – obrazy przepływające przez ekran przemykaja i przez nie. To, że w ogole je dostrzegasz pod przesuwajacymi sie przez ich powierzchnie obrazami pustyni, oceanu czy gor, zawdzięczasz ledwie dostrzegalnej rysie grubosci wlosa, ktora wykresla ich ksztalt. Te drzwi, uswiadamiasz sobie, same sa lustrem. I po zbyt dlugim czasie nie skupionego na niczym spojrzenia, pozwalania obrazom przebiegac przez ciebie, odkrywasz, że koncentrujesz sie na drzwiach, tylko i wyłacznie na nich. Ma wiele sposobow to zwykle drzwi, niemal nieistniejace drzwi. Lecz jednak, kiedy sie w nie wpatrujesz, fala strachu przenika twe cialo. Strachu tak oslepiajacego, że paralizuje, że nie jestes w stanie sie poruszyc. Trwasz unieruchomiony w miejscu. Mozesz poczuc cisnienie, poczuc ciezar ciala i metalu skrywajacego sie wewnatrz maszyny, napierajacego na znajdujace sie przed toba drzwi. To staje sie nieznośnym ciezarom u szyi, dlawiacy m ci gardlo. Jestes w tym zagrzebany, zakopany, w malym pudle, pod wiecznoscia skal i ziemi. Robaki nuca ci przez gruz swa piesn. Nie jestes w stanie myslec. Nie mozesz oddychac. Nie smiesz oddychac. Brak ci odwagi, by to robic. Glowe wypelnia ci krew.

Za tymi drzwiami cos sie czai.

Za tymi drzwiami cos sie czai.

Za tymi drzwiami cos sie czai.

Drzwi powoli zaczynaja sie otwierac do wewnatrz i cos plynne, wolne, lecz juz nie sniacego, zaczyna stamtad wychodzic, niepewnie kroczac mija ich krawedz. Uciekasz i biegiesz. Uciekasz, uciekasz, uciekasz od tego miejsca tak szybko jak tylko potrafisz, jak to tylko mozliwe, wrzeszczac poki gardla nie wypelni ci krew z glowy, ktora teraz z kolei staje sie pusta w srodku kula, gdy ty toniesz we krwi. I wciaz nie ma to zadnego znaczenia, poniewaz znow jestes w tym samym miejscu z oslizglymi robakami, czaszkami, bladymi marzycielami i maszyna, ktora i tak nie dziala jak trzeba, wiesz, że niedzialajaktrzeba wiesz zeniedzialajaktrzebawiesz niedzialatrzewiesz nidzitrzewie nidrzewi drzwi...

Pacjent 19-9-18-9-14 Szpital Psychiatryczny im. Vossa Bendera Bulwar Albumuth 1314 Ambergris 113-24 Uwolnienie Belacqy Byc moze cien samego wielkiego kompozytora Vossa Bendera otarl sie o Belacque gdzies na tylnych korytarzach opery; byc moze starzejaca sie krytyk Janice Shriek musnela go wzrokiem, dostrzegajac stoicki humor jego wykonania, a jedynie nie uznala go za wystarczajaco wazki, by wspomniec o nim w recenzji.

A wiele w jego osobie wyjatkowo glosno domagalo sie uwagi. Dlugie czerwone skarpetki, widoczne nad czarnymi butami, pasowaly wyłacznie do razacej oczy rozowo-niebieskiej szachownicy guzikow marynarki, nasladowanych w leniwie wiejski sposob przez zielone oczy zoltej koszuli.

Włosy – skrecone w postrzepiony na końcach czerwony warkocz – zwisały mu z przodu niczym lont wychodzący z głowy. Jego makijaż odzwierciedlał pewną zapobiegliwość, obserwowaną w trafnym i przebiegle niewłaściwym doborze ubioru. Łuki brwi (a wielu spośród wielbicieli opery uznawało, że ma ich o wiele więcej niż to stosowne, gdy ich uwaga zbaczala na niego z głównych postaci sztuki) skradziono ozdobnikom ciała skrzypiec: obezwładniały małe, wystraszone oczy, zlewając się w linie długiego, gadatliwego (sztucznego) nosa, który z kolei gorował nad rybiopapuzimi ustami (otoczonymi pionowymi liniami przypominającymi skrzela), te zaś czasem pod sam koniec przedstawienia zsuwały się w kpiacej uległości wobec sił grawitacji. Cała ta farsa miała kolor swinskiego rozu, tym bliedszego, im wyżej wznosiliśmy się ku rozrzedzonym wysokościami pojedynkujących się brwi. Równie przesadzona w opisie, jak w prawdziwym życiu.

Lecz wiedzielibyśmy to wszystko, gdybyśmy tylko udali się na przedstawienie. Jego kostium ryczałby bowiem na nas niczym sprośny i rubaszny rog. Belacqua, Belacqua, tak właśnie by trąbił – Oto Belacqua! Spójrz, jak przechodzi przez scenę. Spójrz, jak się po niej porusza. Patrz, jak krótko przemawia, a odwracając się, wypala nam w oczach swój obraz. Moglibyśmy nigdy nie odkryć, że mieszka na piątym piętrze paskudnego starego hotelu, w którym zajmował zagracone i ciasne mieszkanie, niepodzielnie rządzone przez obojętne jasnozielone tapety. Sąsiedzi, otaczający go z każdej strony, poruszali się niczym oszalone przedmioty ze stepionym poczuciem kierunku i celowości. Dzieci płakały tu w ciemności niczym jakieś poszarpane zjawy. Dochodzący zza szyby okna łopot skrzydeł, delikatny niby ruch rzes, szybko i bez najmniejszego śladu rozplywał się w powietrzu. Powtarzający się regularnie zza ściany łomot słupków łozka przypominał erotycznie zabarwione strzały z broni palnej, wymierzane wprost w jego serce. (Tuż obok trwała i czekała nekropolia, oferując wyjątkowo łatwą przeprowadzkę wszystkim zbyt wyziebionym w objęciach hotelu).

W sobotnie i niedzielne poranki siadywał na balkonie, uzbrojony w niezapalone cygaro w ustach. Ubrany w prosty biały szlafrok, wyrzekając się najmniejszego nawet śladu makijażu, czuł, jak wiatr na wskrosz przenika jego ciało, jakby wcale go nie było. Obserwował ludzi mijających go na leżącej w dole ulicy, ceremonialnie namaszczając ich tajemnymi zywotami, każdym swym oddechem nadając im cechy przystające do złotego światła, które pomiędzy dachami domów przesaczało się z nieba.

Czasem, gdy przypominał sobie własne sny, jego spojrzenie rozmywało się na filigranowych poręczach balkonu. A te sny nieodmiennie były niepokojącymi żartami o niezbyt zrozumiałych puentach. W jednym z nich widzi swego ojca: ciemna postać stojąca na odległym krancu zaulka, na mgnienie oka zaledwie rozświetlana błyskiem żarówki, który na wskrosz tnie panujący tam mrok. Dochodzi do niego odgłos leżącej się wody, a może piwa nalewanego z butelki. Gdy biegnie po kamieniach bruku, zascielające go odłamki szkła kaleczą mu stopy. Cały żart sytuacji polega jednak na

tym, że nieważne, jak szybko pobiegnie, nigdy i tak nie zdoła się zbliżyć na tyle, by móc cokolwiek wyczytać w oczach ojca. Nie poruszając ciałem, bez ruchu, bez najmniejszego tarcia, ojciec płynie w powietrzu, odsuwa się, przez cały czas siedemdziesiąt metrów poza zasięgiem jego ramion.

Filigranowe barierki balkonu początkowo wydają się ochroną przed snem, a nie zabezpieczeniem przed wypadnięciem. Odkłada cygaro, podnosi się, by przejść do wnętrza mieszkania, tam nakłada spodnie i koszulę w stonowanych barwach, a następnie schodzi po schodach i wychodzi na ulicę, gdzie gubi się, szczęśliwy, zadowolony ze swej anonimowości. Zostawia za sobą swoją operową rolę niczym zrzucona skóra – jest ona lupina, mająca z nim niewiele wspólnego, ledwie tyle co pierwsze lepsze ubranie.

Kiedy tak kroczy bulwarami Albumuth (być może, by kupić książkę w Księgarni Borges, być może za ledwie, by chwilę powłóczyć się ulicami miasta), wewnątrz wypala mu czarny płomień – rozpalając ogień w oczach i używając jego umiejętności mowy (tu słowo do sprzedawcy owoców, tam krótka wymiana zdań z bardziej utalentowanym, lecz bezrobotnym aktorem) – przygaszonej, lecz nieustannie zarzacej się w jego wnętrzu wściekłości. Każde wypływające z niego słowo ma przypalone krawędzie, jest zużyte, zniszczone. Jego matka mówiła dokładnie w ten sam sposób, równocześnie pozwalając, by to jego ojciec kształtował i kreował jej życie. Wielki aktor. Żalana pała. Pijak.

Nawet teraz nie jest w stanie całkowicie pozbyć się myśli o swej roli w najpopularniejszej z oper Bendera, ostatniej napisanej tuż przed śmiercią kompozytora, wystawionej już pośmiertnie pod krótkim tytułem: Trillian. Opera składa się z sześciu wrzaskliwych aktów, ciągnących się przez cztery długie godziny, i opisuje panowanie Trilliana Wielkiego Bankiera, nie pomijając żadnego, najdrobniejszego nawet szczegółu, przedstawiając każdą scenę w formie swego rodzaju obrazu, w którym tysiące jaskrawokolorowych szczegółów walczy ze sobą nawzajem o uwagę widza. Jego rola – Belacqy, szarego kapelusza, doradcy Wielkiego Bankiera – składa się za ledwie z czterech linijek tekstu i dwóch godzin zenujących upadków i pomylek.

Role oparto na pogłosce, herezji, insynuacji, gdyż żadne z historycznych źródeł, z którymi się zapoznał, nigdy nie wspomniało ani słowem o istnieniu doradcy Trilliana. Bender wymyślił sobie tę postać, a on teraz od dziesięciu lat dawał swym graniom świadectwo fałszowi; niesłabnąca popularność opery okazywała się równoczesnym przekleństwem i błogosławieństwem. Jego ojciec nigdy nie podjąłby się podobnej roli, ale on sam nie miał innego wyboru. Zawsze zdawał sobie sprawę zarówno z ograniczeń własnego stylu aktorskiego, jak i z faktu, że do zajęcia się czymś innym brakuje mu niezbędnej iskry talentu. Był Belacqua i już na zawsze miał nim pozostać. Tym samym był skazany na odtwarzanie swego drugiego ja, noc w noc, gdy duch ojca wygwizdywał go i wyl, zamroczony i oslepiiony alkoholem, z jednego z

najwyższych siedzeń balkonu opery.

Rola, mimo iż mała, wymagała wiele wysiłku, chociażby tylko z takiego powodu, że reżyserzy zadali od niego pracy bez narzekania. Mówili mu dokładnie, gdzie ma stanąć, a on tam stał. Mówili mu dokładnie, kiedy ma wykonywać te swoje absurdalne, drobne ruchy w pobliżu głównych aktorów wylewających z siebie perfekcyjne w tonie i brzmieniu słowa, które obecnie nie miały jednak dla niego najmniejszego znaczenia, gdyż ciągle powtarzanie zredukowało ich funkcje i treść do nicności. Również sam z siebie, kiedy tylko napotykał zalegające w bocznych alejkach rozłożone na ziemi ciała szarych kapeluszy, przyglądał im się uważnie, a nawet z pewnej odległości, gdy zaczynały się budzić o zmroku obserwował ich przygarbiony chód, charakterystyczny ubiór i głębokie, niepoznawalne oczy. Wziął nawet kilka lekcji aktorstwa z zagadnień dotyczących prezentowania się publiczności, dzięki czemu jego niemal sto siedemdziesiąt centymetrow wzrostu bardziej przypominało sto trzydziści (było to środkiem zaradczym, by nie wyrzuciono go z obsady).

W kieszeni trzymał pomietły skrawek papieru, na którym nagryzmolił wskazówki sceniczne oraz Kwestie. BELACQUA, trzymając w dłoni zakrwawiony sztylet, zbliża się do proscenium. Kiedy dochodzi do TRILLIANA, srogim i nieugiętym głosem śpiewa: To, czego nie znasz i czemu nie ufasz, Tu cie odnajdzie, tak właśnie być musi – Teraz rozplynie się, zniknie, mrok niosąc Na głowę Trilliana, zapytasz – co potem? Nic już.

Pod spodem dopisał sobie, co jego zdaniem Belacqua czuł w tej chwili: "Wszystko budowane przez tak długi czas – rozprasza się w kaluży krwi wypływającej z ciała Iksa". Wiedział, co czuł Belacqua, lecz nawet po dziesięciu latach nie miał pojęcia, co oznaczają te słowa. Przez dziesięć lat bowiem powtarzał te kwestie, przedstawienie po przedstawieniu, aż stały się dlań absolutnie niezrozumiałe. Nie wierzył nawet, by były jakos szczególnie istotne dla akcji opery. Zdawały się pochodzić z zupełnie innej opery, a Isniace ciemnością, zaplątane w głowie Bendera, trafiły do Trilliana jako potrzeba chwili, kaprys autora. Nie, żeby miało go to niepokoić tak bardzo, jak niepokoiło – w rzeczywistości nie on je napisał. Mimo że wołał być pisarzem, zawsze jednak pisali go inni. Pewnego późnego popołudnia wrócił do domu z bochenkiem świeżego chleba, zapiekana kalamarnica w cieście oraz butelka czerwonego wina sprowadzanego aż z Morrow. Ledwie przestąpił próg mieszkania, gdy zadzwonił telefon. Dźwięk zmroził go; początkowo nawet nie rozpoznał, czym jest. Telefony niezbyt często dzwoniły w tak wiekowym i sennym mieście jak Ambergris. Wtedy, jakby nieoczekiwanie przebudzony ze snu, upuścił torbę z zakupami. Wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę.

–Halo? – Powiedział. – Halo? – Powtórzył, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jedynie niski chlupoczący bulgot wody gdzieś w tle, zapytał więc: – Kto mówi?

Niczym jakies niedoskonale echo, zalamujące się na korozji szumów, doszedł do

niego głos kobiety:

–Halo. To ty, Henry? Henry, to ty? Niesprecyzowany, nieuchwytny zawod rozlał się w jego wnętrzu, zalegając tam niczym gładki, szary kamień.

–Nie. To nie on. Przykro mi... Dodzwoniłaś się pod zły numer.

–Ale nie mam innego numeru. To jedyny, który posiadam. – Rozpaczliwy ton wkradł się do jej głosu. Tak bolesnie pięknego głosu, tak rozdzierającego serce, nawet bez tego właśnie ujawnionego elementu straty, nawet mimo zakłocen w tle.

–Przykro mi – wykrztusił z wysiłkiem. – Nie jestem Henrym. – Chciałbym nim być, pomyślał. Ale nie mam nawet pewności, że jestem Belacqua.

Szумы w słuchawce rozszalały się, przygasły i właśnie rozszalały na nowo, gdy kobieta spytała:

–Mozesz mnie połączyć z Henrym?

–Nie znam Henry'ego – odparł, a w jego głos wkradł się cien rozpacz. – Ale gdybym go znalazł, z przyjemnością bym to zrobił.

Kobieta zaczęła płakać. Ale ileż piękna było w tym szlochu. Zapragnął jedynie moc sięgnąć przez kabel linii telefonicznej, by ją pocieszyć. Powstrzymało go skomlenie zakłocen. Teraz słuchał jej i nie miał odwagi przerwać choćby pojedynczym słowem.

–Konczy nam się czas – odpowiedziała. – Nie mamy go więcej. Nie mogę zadzwonić ponownie. Zbliżają się. Są już tuż-tuż. Muszę przekazać ci wiadomość i opuścić to miejsce. To bardzo ważne... Oni przechodzą przez podłogi. Przechodzą nawet przez metal, nawet przez stal; nic ich nie powstrzyma. Ukradkiem, w mroku nocy, skradają się po pokojach. Jeśli im się nie spodobaś, już jesteś martwy, Henry.

–Ale...

–Proszę. Nie przerywaj mi. Wiem, co chcesz powiedzieć, ale proszę, nie mów tego. Nie powinienes. Oto wiadomość: W ubiegłym tygodniu dostarczyłam Iksowi ostatnią z przesyłek. Mam wyjaśnić, że pisanie było w porządku, a zamek został otwarty wytrychem. Jeśli tylko zechce, może mnie odnaleźć. Spraw, by zechciał.

–Sprawie, że spróbuje – odparł, pogodzony ze swą rolą. – Otrzymałem wiadomość. Ale powiedz mi jedno. Jak masz na imię? Proszę, powiedz mi, jak masz na imię. Być może może ci pomóc. Proszę...

Odpowiedz, jeśli w ogóle kobieta jej udzieliła, zatonęła w maniackalnym zgrzycie niewidocznych silników nocy. Plusku wody w dokach. Stukocie klawiszy maszyny do

pisania o papier. Po całym wydarzeniu przez bardzo długi czas siedział, zaciągając się cygarem, w polciemności panującej w mieszkaniu. Zapomniana torba z obiadem leżała przy otwartych drzwiach, gdzie wino z rozbitej butelki czerwona wilgocia wyciekło na korytarz. To była najdłuższa rozmowa telefoniczna, jaka odbył w przeciągu ostatnich miesięcy. I to z zupełnie nieznaną osobą. Przyglądał się iskrze rozświetlającej koniuszek cygara. Czuł się we własnej skorze ciasno, niewygodnie. Jego głowa była mózdzierzem balansującym na szczycie tłuczka. Jego sciskające cygaro palce były grube i powolne. Wciąż jednak serce bilo mu tak delikatnie, jakby należało do oszłomionego drozda, którego kiedyś znalazł w drodze do teatru. Choć rozmyślał nad tym przez całą noc, nie potrafił nadać najmniejszego sensu słowom, które usłyszał. Coż mógł zrobić? Dlaczego miałby cokolwiek robić? Lecz wraz z nastaniem ranka pozostawił na karteczce w centralnej giełdzie wymiany informacji telefonicznych wiadomość zarówno dla Henry'ego, jak i dla kobiety. Tak wiele linii telefonicznych krzyżowało się obecnie, że musiano stworzyć specjalne tablice ogłoszeniowe, poświęcone rejestrowaniu tylko tego problemu. Zostawił swą notkę, przybijając ją do tablicy pinezka, biała cme zagubiona między innymi białymi cmami. Kiedy po przejściu zaledwie kilku kroków odwrócił się, by spojrzeć na tablice, wiadomość rozplynęła mu się przed oczami, ginąc w natłoku pozostałych rozpaczliwych sygnałów, świadczących o błędnej komunikacji międzyludzkiej.

Zaraz następnego dnia znow stał się Belacqua, który sztywnym krokiem przemierzał scenę opery, jak gdyby należał tam do niego bardzo mały kawałek podłogi. Gdy otworzył usta, wyrwały mu się stamtąd kwestie, lapidarne i zwiezłe, jak zwykle rzeczowe i nieważne. Kiedy spoglądał przez skrzace się i oslepiające światło gdzieś poza szalencze owadzie ruchy członków orkiestry, zastanawiał się, czy kobieta, z którą wczoraj rozmawiał, siedzi może w jednym z tamtych miejsc, a może widziała już ktoś z wcześniejszych przedstawień. Był bezradny, zagubiony, samotny.

Gdy nadszedł kolejny weekend, odwiedził tablice ogłoszeń. Pozostawiona przez niego wiadomość wciąż tam tkwiła, przybita pinezka, kolyszająca się na wietrze. Nikt na nią nie odpowiedział.

Pewnego dnia mroz scial miasto, a snieg spadal na nie, opatulajac puchem swych platkow. Jaszczurki okryly sie biela, rozwinely bowiem ochronna skore na oczach i wyroslo im grube biale futro. Hotel, nawet w sloneczne dni oswietlany swiatecznymi lampkami, nabral osobliwego blasku, bladej poswiaty, zwykle spotykanej jedynie na obrazach. Zarowno on sam, jak i Belacqua uwazali to za wyjatkowo smutne. Wyobrazal sobie zaskoczona, lapiace oddech ryby o luskach pokrytych mrozem, ktore dusily sie i tonely na sniegu. Krzyki unieruchomionych na rzece labedzi o lapkach uwiezionych w lodzie. (Jego wlasne nieme krzyki na widok trwajacej niezmiennie tablicy ogloszen). Pory roku zaczely przybierac w Ambergris najdziwniejsze formy. Jakos nie mialy pojecia, jak nalezy sie zmieniac, w podobnym stopniu jak telefony nie orientowaly sie, jak nalezy laczyc.

W samym srodku tych wydarzen dopadla go goraczka, zakopujac sie gleboko i ukrywajac mu w glowie niczym najbardziej przerazajace slowo okreslajace meki i tortury. Choc plonely mu konczyny, powlokl sie do teatru, gdzie przywdzial swoj niedorzeczny i glupi kostium. Przez cale przedstawienie, ktore zapisalo mu sie w pamieci jedynie w postaci rozmazanych smug cekinow i piosenek, bolala go glowa, a oczy lzawily jakby od dymu.

Kiedy bylo juz po wszystkim, kiedy wymamrotal pod nosem swe kwestie, nalozyl na siebie swe codzienne ubranie i, bezwiednie dryfujac, tylnym wyjsciem wyplynal z teatru. Snieg opadal na ziemie polepionymi grudkami. Zaden lisc nie przetrwal na galeziach drzew, rosnacych po obu stronach bulwaru. Lampy, stojace wzdluz ulicy, pokryte szronem, wiezily swiatlo w swym wnetrzu. Niebo przypominalo wymyslona przez autora wizje najgorszego rodzaju szarosci: cale pokryte bylo smugami cienia, poprzecinanymi jeszcze ciemniejszymi odcieniami. Zadrzal z zimna i wraz z oddechem wpuscil do pluc klujace zimno. Goraczka trawila go od wewnatrz tak niemilosiernie, ze poddal sie meczacemu niepokojowi. Nie mogl wrocic do mieszkania. Nie mogl stac w miejscu. Tablica ogloszen. Sprawdzi ja znowu, mimo iz minal ledwie dzien, odkad zrobil to po raz ostatni.

Ruszyl bulwarem, a goraczka nadawala wszystkiemu, co mijal, potworna wyrazistosc i ostrosc. Wypolerowany mosiadz lamp ulicznych jasnial tak, az ranil oczy. Mijajacy go chlopiec ciagnal za soba drewniany wozek, ktorego brudne kolka odslanialy wewnetrzne tajemnice swych wypolerowanych i wygladzonych sloi drewna. Rozowe twarze mijanych przechodniow z okrutna precyzja wzeraly mu sie w umysl. Opieral sie przed przyznaniem im tajemnego zycia; zadnemu z nich nie byl w stanie wybaczyc tego, co sam sobie zrobil. Jednak, kiedy tak szedl, pozwolil sobie na takie klamstwo. Zdecydowal, ze nigdy nie porzuci swej misji odnalezienia kobiety. Raz za razem bedzie wracal do tablicy ogloszen, az drozd, ktorym stalo sie jego serce, nie bedzie mogl dluzej tego zniesc.

A kiedy tak zblizal sie do pokrytej platkami sniegu tablicy, dreczylo go tak glebokie poczucie rozpacz, ze pewnie by w nim utonal, gdyby nie byl zamrozony. Bez

najmniejszego trudu odnalazł własną wiadomość, przybladła na krawędziach, szara od popiołu; atrament zapisanych na niej słów był rozmazany, lecz wciąż dało się go odczytać:

WIADOMOSC DLA HENRY'EGO I KOBIETY,

KTORA DO MNIE ZADZWONILA.

HENRY: OSTATNI PAKUNEK ZOSTAL

DORECZONY. PISANIE JEST W PORZADKU,

LECZ ZAMEK ZOSTAL OTWARTY WYTRYCHEM.

DO KOBIETY: ROZMAWIALEM Z TOBA

PRZEZ TELEFON. CHCIALBYM MOC

ZNOWU POROZMAWIAC. PROSZE,

PODAJ MI, JAK MOGLBYM SIE Z TOBA

SKONTAKTOWAC. MASZ PRZEPIEKNY

GLOS.

Chłód przeszył mu ciało, gasząc rozpalającą od środka gorączkę. Nikt nic nie dopisał. Nikt nigdy tego nie zrobił. Lecz wtedy jego zbladłe spojrzenie odkryło na tablicy zupełnie inną wiadomość, zapisaną na karteczce wiszącej tuż obok jego własnej. Ta była nowa. Niepokryta jeszcze śniegiem. Jej atrament wciąż był wilgotny i lśnił wspomnieniem formowania na niej słów.

ON NIE JEST POSTACIA. TO NIGDY

NIE BYŁA OPOWIEŚĆ.

TERAZ, KIEDY GO WPROWADZILISMY,

UWOLNIJMY GO. POZWOLMY MU

STAC SIE, KIMKOLWIEK SIE STANIE.

NIE POZWOLMY, BY DLUZEJ

BYL PISANY. IKS.

Stal tam ze wzrokiem wbitym w wiadomosc. Czy byla przeznaczona dla niego? To mogli byc czysty przypadek, tak peryferyjny dla jego istnienia jak tamta rozmowa telefoniczna. To moglo nic nie znaczc. Ale chociaz zdawal sobie z tego sprawe, poczul, jak cos rozluznilo sie w jego wnetrzu, jak cos topnialo i rozmrazalo sie, gdy czytaly te slowa. On nie jest postacią. To nigdy nie byla opowiesc. "Belacqua" zaczal blaknac, zanikac, a wraz z nim kwestie, kostium, opera. Twarz jego ojca. Glos kobiety.

Mrugnieciem oczu powstrzymywaly lzy, raz za razem czytaly wiadomosc, uczaly sie jej na pamiec. Jego palce zacisnely sie na pomietym skrawku papieru trzymanym w kieszeni. Jego krawedzie przecielaly mu dlon. W jakis dziwny sposob zdawal sobie sprawe, ze kiedy wyciagnie stamtad ten karteluszek, zapisane na nim slowa beda zupełnie, kompletnie, nieodwracalnie i bezapelacyjnie inne.

I. CZYM KALAMARNICA NIE JEST

II. CZYM JEST KROL KALAMARNIC

III. ZWIEZLE WYLOZENIE OSOBLIWOSCI KALAMALORU

IV. UJAWNIECIE TRAFNEJ NAUKOWEJ TEORII WYJASNIAJACEJ SZEREG POD KAZDYM INYM WZGLEDEM ZASTANAWIAJACYCH ZAGADNIEN, OD DLUZSZEGO JUZ CZASU DREZACYCH MYSLI AUTORA (W TYM WIZJA)

O autorze: Frederick Madnok przyszedl na swiat trzydziestci trzy lata temu w rodzinnej posiadlosci Madnokow i bardzo dlugo w swych zainteresowaniach nasladowal znakomitych przodkow. Jego ojciec, James Madnok, byl autorem wielu ksiazek zajmujacych sie badaniami grzybow; sklonnosci naukowe ojca rozwinely w synu dosc wczesne zamilowanie do analizy. Jego matka, Henrietta Madnok, stala na czele miejscowego choru, jak rowniez byla przelozona lokalnej galezi Kosciola Truffidianskiego. Jej oddanie sprawom ducha zaszczepilo we Fredericku discipline, tak konieczna do rozwijania jego kalamarologicznych zainteresowan. Jego ciekawosc napedzala rowniez, co nie ulega zadnej watpliwosci, obecność kalamaronow na terenie rodzinnej posiadlosci. Celujacy student Akademii w Blythe, ktora ukonczyl z najwyzszymi ocenami i stopniem naukowym z biologii ogolnej (podowczas nie byly bowiem dostepne stopnie z zakresu kalamarologii). Mimo przelotnego flirtu z

ilustracjami i komiksem wkrótce znalazł się w terenie, obserwując Krola Kalamarnic w jego naturalnym środowisku. Kilka jego bardziej interesujących obserwacji opublikowano w formie broszur wydawanych przez niego własnym sumptem i własnorecznie sprzedawanych na ulicach, jak również w formie wielkoformatowej (po więcej informacji odsyłamy do bibliografii). Po sprzedaży rodzinnej posiadłości w wieku dwudziestu siedmiu lat spadła na niego seria niefortunnych wypadków, aż wreszcie, koniec końców, osiągnął odosobnienie konieczne do zglebiania, rozwijania i wzbogacania swych prac naukowych. Przez ostatnie cztery lata szczodrość jego obecnych darczyńców pozwoliła mu dokonać jakże ważkich odkryć, które zawarł w poniższej monografii.

I – CZYM KALAMARNICA NIE JEST

› WSTEP ‹ o smutny fakt, lecz niepodlegający żadnej dyskusji – świat stoi w obliczu gruntownej i głębokiej ignorancji Krola Kalamarnic, jak również związanego z nim Festiwalu. Choć niektórzy mogą twierdzić, że jednak do wiadomości publicznej przedostało się więcej na temat tej istoty, niż zapisano w postaci pomylek opublikowanych w kilku przewodnikach przyrodniczych wydrukowanych za granicą, trudno szukać mnie w szeregach takich ludzi. Dla mego błądzącego oka podobne błędy ostatnimi czasy narosły, podobnie jak niedokładne szacunki liczby macek posiadanych przez wspomnianego Krola Kalamarnic, zwanego również kalamarnica krolewska. Po pierwsze, kalamarnica posiada bowiem zarówno macki, zwane ramionami chwytnymi, jak i ramiona. Po drugie, liczba jej ramion nie wynosi pięć, sześć, siedem, dziewięć, dziesięć ani nawet – co najbardziej absurdalne – czternastę, jak sugeruje to niewatpliwie wyjątkowo ograniczony do glebi ładu doktor Alfred Kubin, człowiek, który zapewne uważa również, że sam posiada siedem ramion i ani jednej nogi, na której mógłby oprzeć swe ciało. Właściwa liczba kończyn kalamarnicy wynosi dziesięć – osiem ramion i dwie macki – i dopiero na takim fundamencie faktu możemy zacząć stawiać całą resztę naszej budowli. Macki, co oczywiste, różnią się od ramion, posiadają bowiem pomysłowe haczyki, którymi chwytają ofiary w sposób niedostępny dla wspomnianych ramion.

Z powyższych przykładów, jak również z tak bolesnych i przykrych wypowiedzi ignorantów jak chociażby "kalamarnica to mój ulubiony gatunek ryb" – stwierdzenie zasłyszane z ust zarozumiałej córki Madame Tuff, wygłoszone zaledwie w ubiegły czwartek przy jednym z sąsiednich stolików w stolowce – winno być jasne, że nim chociaż zbliżymy się do szalenczo błędnych pojęć dotyczących zarówno historii Festiwalu, jak wszelkich związanych z nim zwyczajów, musimy nasamprzód rozproszyć jakże mocno panująca obecnie wśród laików mglistość samego zagadnienia kalamarnic¹.

Po pierwsze, kalamarnica NIE "składa na wiosnę jajeczek na brzegach metnej rzeki Moth, z których następnie pozna jesienią wykluwają się kalamarlatka, by korzystając

ze swego rodzaju protomacek oraz szczatkowych, malutkich dziobow wciagnac sie do wody", jak sugeruje to przygodny falszerz i hochsztapler Leo Pulling w klamliwej pracy naukowej pt. "Relacja z pierwszych godzin zycia kalamarlatek na brzegach rzeki Moth", opublikowanej przez "Ambergrianski Magazyn Zoologii Spekulatywnej", wydawnictwo uznawane powszechnie za drukujace stek klamstw i bzdur.

Po drugie, mimo iz postuluje to armia poswiadczonych kretynow, w tym Blas Skinder, Volmar Gort, Maurice Variety, Frank Blei czy Nora Kleyblack, Krol Kalamarnic nie jest w najmniejszym nawet stopniu spokrewniony z zadna pomniejsza kalamarnica. Nie wiaze go wcale pokrewienstwo ani z morrowianska kalamarnica szczekajaca, ani ze stocktonska kalamarnica zakopujaca sie w ziemi, eksplodujaca kalamarnica Kalifa, kalamarnica oddzielnoszczeka, truffidianska kalamarnica mnisioglowa, plowososna kalamarnica trabiaca, plonaca kalamarnica leopardzia, slovoriaska krotkowzrocza kalamarnica wyjaca, polnocna kalamarnica nietoperzoskrzydla, wschodnia czerwonopyska kalamarnica mangustowa, trzyoka kalamarnica lisciasta, kalamarnica mieniacoguzikowa, daffediaska szafirowa kalamarnica tanczaca, ani nawet z niceaska matwa2.

Nie jest on zadna z powyzzszych, ani w zaden sposob nie jest z nimi spokrewniony, co musze tu powtorzyc raz jeszcze dla wszystkich, ktorzy byc moze zgubili gdziez watek lub tez trudno im przychodzi czytanie ze zrozumieniem.

PIEKNE TEORIE PANNY FLOXENCE

W tym miejscu uswiadamiam sobie, ze niektorzy z czytelnikow moga uznac za wazne, bym raczej napisal, czym tez jest ow Krol Kalamarnic, nizli nieustannie opisywal, czym nieodmiennie nie jest. Jednak nie skonczylem jeszcze z zasadniczymi i tak podstawowymi ablucjami, ktorych nalezy dokonac, by oczyszcic czytelnika z brudu negatywnej energii, nagromadzonej i wytworzonej przez ogrom poronionych i ekscentrycznych teorii.

Musimy bowiem jeszcze zawczasu przyjrzec sie blizej patologicznie wrecz proznym i glupim, a rownoczesnie wyjatkowo wadliwym pod wzgledem naukowym wypowiedziom niejakej Edny Floxence, zapamietanej glownie jako niezrownowazony astrolog kappana-bankiera Trilliana, ktorej jednak, pod auspicjami samego wladcy, udalo sie w tak pelny sposob omamic i przekonac opinie publiczna, ze pewne mity nieprzerwanie az do dzisiaj groza zerowaniem na umyslach ambergrianskiej dziatwy szkolnej. Tajemniczy swiat slodkowodnych kalamarnic jest ledwie zmyslony w swych popedliwych i ozywionych odtrutkach na prawdy zawarte w Odslonie tajemnic slodkowodnych kalamarnic: na szesciuset stronach permanentnie, na kazdym kroku blednego tekstu, ktorego zaden prawdziwy kalamarolog nie jest w stanie obecnie zglebiac bez obfitych krwawien z nosa, uszu czy ust3.

Juz na samym początku problemem jawi się to, że osaczona kaftanami bezpieczeństwa zdrowego rozsądku zawieszonymi w garderobie swej (o) błędności panna Floxence stawia zadziwiające stwierdzenia, jakoby "codziennie przez całe długie letnie dni pływala z kalamarnicami", poznając ich tajemnice. Obwołute Tajemniczego świata słodkowodnych kalamarnic przyozdabia nawet drzeworyt przedstawiający panne Floxence w ujmująco ponętnej sukieneczce – stroju kąpielowym, składającym się wyłącznie z samych aplikacji i dyndających płatanin materialu.

Dlaczego stwierdzenia głupiutkiej panny Floxence zdają się aż tak bardzo zmyślone i fałszywe? Otoż z dwóch powodów. Po pierwsze – w czasie, gdy jak twierdzi, unosiła się na wodzie niczym ogrom intensywnego pluskania i chlapania w szeregach niewatpliwie zaniepokojonych i wstrząsnietych tym widokiem, jak również niewatpliwie na zawsze już traumatyzowanych kalamarnic, zawartość szlamu i mulu w rzece Moth miała wyjątkowo wysoki poziom, dużo, dużo wyższy niż obecnie od wielu lat, a co za tym idzie, nie można wierzyć w zapewnienia, że człowiek pływający w tych metnych i szalencych wodach byłby w stanie dojrzec coś więcej niżli własną ubłoconą dłoń, i to trzymając ją tuż-tuż przed oblepioną liśćmi twarzą, nie wspominając już o dokonaniu podowczas jakichkolwiek obserwacji, czy też udokumentowaniu przeszło setki złożonych rytuałów godowych, błysków alarmowych, szalu karmienia oraz "osobliwych zabaw przodków". Po drugie – ubrana w stroj kąpielowy składający się w głównej mierze z falbanek, ze swą bladą skórą i bulwiastymi oczami wyglądała ona jak wypisz, wymaluj najzwyklejsza falbiarena, ryba z rodziny toxicana. Ryba, która – z falbankowatymi płetwami i trupio białym kolorem skóry – jest ulubionym przysmakiem Króla Kalamarnic⁴. Można więc sobie tylko wyobrazić wytrzeszczone oczy i radosny slinotok pojawiające się u wygłodniałej sfory młodych kalamarnic królewskich, które przypadkowo napotykała na swej drodze falbiarene tak wspaniałych rozmiarów i proporcji.

Nie, obawiam się, że panna Floxence nigdy nie pływala z kalamarnicami – jej złudzenia bowiem nie są poparte żadnymi dowodami. Nawet przyjmując absolutną przejrzystość mothianskiego nurtu oraz kostium kąpielowy niepozwalający raczej na natychmiastowe obserwacje przyzwyczajen żywieniowych kalamarnic, i to bardzo bliskiego stopnia, czytelnik musi pamiętać, że Król Kalamarnic regularnie osiąga prędkość rzędu czternastu węzłów. Watpie, by otyła panna Floxence była w stanie osiągnąć chociaż jeden węzeł i to przy naprawdę ambitnym dniu.

Co więc za tym idzie, musimy pozbyć się wszelkich pięknych teorii panny Floxence – wyrzucić je za burzę i obserwować, jak znikają nam w oddali, być może poświęcając im wtedy dość krótkie pożegnalne machnięcie dłonią – począwszy od samego pomysłu, że kalamarnice regularnie co trzy miesiące zmieniają swych partnerów (co zresztą było w tamtym czasie dość rozpowszechnioną praktyką wśród mieszkańców Ambergris), a skończywszy na niedorzecznie złożonych rytuałach godowych, które łączyły w sobie najgorsze cechy spazmatycznych ataków z

odważnymi eskapadami wyrwanymi wprost z kart powieści romantycznych, wszystko zas jeszcze zostało wykonane bardzo optymistycznym wykorzystaniem najprzeróżniejszych narzędzi. (Przyznanie się do własnych win jest, jak powiadają, niezmiernie ważne przy ich odkupieniu. Droga panna Floxence wciąż jeszcze nie osiągnęła stanu łaski i mimo wszystkich jeszcze nieodkrytych notatek i listów być może nigdy go nie osiągnie).

DOPELNIAJĄCE ANEGDOTYCZNE DOWODY

Wczesne naoczne relacje świadków rozciągają się od najwyborniejszych smakolików aż po najgorsze, obrzydliwie śmierdzące wyrostki informacji. Takie niescisłości winniśmy jednak odłożyć na bok razem z klockami z literami alfabetu, maminymi zbyt częstymi pocalunkami na dobranoc oraz sesjami terapeutycznymi.

Do skatalogowania ogromu morskich anegdotek winien nam tu starczyć za ledwie jeden jedyny przykład. Poniższy fragment zaczerpnąłem z książki, której wydanie opłaciło Towarzystwo Morrowiańskich Naukowców za Granicą, zatytułowanej Kalamarologia Enocha Sighly i doktora Bernarda Dovela podróż w górę rzeki Moth miejscowym rodzajem czolna oraz siła tubylczej pomysłowości, zwieńczona całkowitym zniszczeniem łódki, niemalże ucieczką, alkoholizmem i kilku niefortunnymi negocjacjami ze wspomnianymi wcześniej tubylcami:

Ach, jakże to zdumiewająca i cudowna ryba, bestia czy też jakaś inna istota, tak niedawno zabita, przebita włócznią, a może zastrzelona, w każdym razie martwa, zmyta przez fale i osadzona na pobliskiej łasze piasku napotkaliśmy dwudziestego dnia naszej ekspedycji. Rzuciliśmy wtedy zastanawiająco radosnym tubylcom propozycję: "Zatrzymać łódź!". Gdy nie zareagowali, ponownie postawiliśmy pytanie, czy moglibyśmy przyjrzeć się bliżej temu okazowi. Miał on dwie głowy i dziesięć rogów, na osmiu z nich posiadał osiemset miesistych zgrubień, czy też narosli; a w każdej z nich można było odnaleźć pełen komplet zębów. Wspomniane wcześniej ciało było większe niżli trzy krowy, i to takie największych rozmiarów, a owe anormalne rogi miały przynajmniej czterdziestu kopyt długości. Większa głowa miała jedynie rogi i dwoje bardzo dużych oczu, w przeważającej mierze wydziobanych już przez pewien gatunek ptaków, który tubylcy nazywali Ptakami. Mniejsza zaś głowa posiadała, wraz z towarzyszącym jej niezdrowym smrodem rozkładającym się wokół, jakże wielce osobliwymi zapachami rozkładu i gnicia, cudownie zadziwiające usta, kryjące w sobie dwa języki posiadające nadnaturalną moc wsuwania się i wysuwania z ciała, gdy tylko zaszła ku temu konieczność. Wśród innych wartych wspomnienia rzeczy widocznych u potwora należy wymienić zabarwioną na czerwono osłonkę, przylegającą pewnie do tylnej części ciała, oraz luźne, w każdym najdrobniejszym szczególe białe-czerwone pęty, czy też fałdy, znajdujące się po obu stronach. Istota posiadała również wydętą, grubą skórę, której miejscowi nie dotykali. Miała też najbardziej monstrualny nos, jaki kiedykolwiek tylko widzieliśmy na tym świecie, czy

tez poza nim.

Z tego tak niespójnego i chaotycznego opisu "ryby, bestii, czy też jakiejś innej istoty", ze "zgrubien czy narosli", "rogow", "małej głowy" (najwyraźniej lejka), "językow" czy też "osłonki", nie wspominając już o komicznie błędnie nazwanych "polach", staje się jasne, że owa "ryba, bestia, czy jakaś inna istota", o której tu mowa, nie jest niczym innym jak kalamarnica królewska, oraz że Towarzystwo Morrowiańskich Naukowców za Granica niezbyt rozsądnie wybrało na swych obserwatorów ludzi "Fatalnie Niewidzących"⁵.

Jakiegokolwiek jednak byłyby takie relacje, przynajmniej zbliżamy się w nich do samej bestii, krwi życia Ambergris, hojności dostatku, mokrego snu każdego kalamarologa, słodkowodnego potwora znanego po prostu jako Krol Kalamarnic bądź kalamarnica królewska.

› PRZYPISY

II – CZYM JEST KROL KALAMARNIC

ZBLIZAJAC SIE DO PRAWDZIWEGO KROLA KALAMARNIC

Nadszedł oto wreszcie czas, by zająć się opisem, czym właściwie jest ów Krol Kalamarnic, miał nieustannie tłumaczyć, czymże nieodmiennie nie jest. Jest wspaniały i ogromny. Jest mityczny, a w oczach niektórych spośród błądzących, boski. Dla bardziej praktycznych dusz jest zaś smakowitym posiłkiem, serwowanym z przystawką ziemniaków i szklaneczka brandy.

To, że może on jawić się jako tak wiele rzeczy w oczach najprzeróżniejszych ludzi, da się wyjaśnić faktem, że kalamarolodzy zidentyfikowali przeszło szesćset gatunków kalamarnic. Wielkich, małych i średniego rozmiaru. Podługich, płaskich, przysadzistych, giętkich i długich. Wszelkie bowiem ich rodzaje zamieszkują oceany, rzeki oraz jeziora. Maja papuzie dzioby, płonące skóra i wnętrza o tak wielkiej mocy. W zależności od pory dnia i temperatury/mentu czasem bywają milczaco szare, czasem zaś przystrojone i rozświetlone, niczym trasa podczas festiwalowej nocy, samodzielnie wytwarzanymi światłkami. Niektóre są twarde, niektóre miękkie. Niektóre pełne mięśni, inne galaretowate. Niektóre są w stanie wyrzucić własne ciało ze swego wodnego dominium i niemal płynąć w powietrzu! Inne żyją w najgłębszych głębiach rzeki Moth. Niektóre, by oddać im tu sprawiedliwość, zbierają się wspólnie, niczym pozbawieni lusek pływacze eksperci. Niektóre zaś żyją samotnie i nie są w stanie znieść nawet własnego towarzystwa. Wciąż jeszcze inne muszą, w powodu własnej natury, znosić towarzystwo ostatnich gatunków, nim wreszcie na drodze metamorfozy zdolają przejść w wyższy stan szczęśliwości.

NIEZWYKLE CECHY CHARAKTERYSTYCZNE

Kiedy tak staram się wyliczyć w porządkowy sposób szereg wspólnych cech charakterystycznych kalamarnic, niczym wyuczona na pamięć dziecięca piosenka, muszę się przyznać, że im bardziej zbliżamy się do samej kalamarnicy, tym odczuwam większe podekscytowanie: płaszcz z przyjemności zabarwia mi się na kolor modry, lejek zaczyna sterczec bardziej znacząco, a moje przyssawki aż drżą. Ze się tak wyrażę.

Jak wie każdy początkujący kalamarolog – uwolniony, by móc szczęśliwie nachylać się nad pozostałymi po odpływie kaluzami (przebywając na Wyspach Południowych), czy też przyczajony tuż przy kolumnach doków (gdy jest w Ambergris) – niemal każda kalamarnica posiada osiem ramion i dwie macki, chwytające haczyki itp., o czym mogłem już wcześniej nadmienić. (Kalamarolodzy – mole książkowe odnajdą też przypadki dotyczące obecnie już wymarłej morrowiańskiej kalamarnicy blotnej, której macki, gdy osiągała dorosłość, znikają wchłaniane do wnętrza ciała, ledwie pozostawiając po sobie zwiotczone odrostki. Ten wielce wstydlivy stan nie dotyczy jednak kalamarnicy królewskiej).

Niektóre niedorozwinięte gatunki – cuchnaca kalamarnica skarłowaciałodzioba, stosownie zdiagnozowana stocktonska kalamarnica niepełnosprawna, czy też odrazająca saphancka kalamarnica dupowata – mają osiem ramion różniących się długością. Jednakże Król Kalamarnic jest w przeciwieństwie do nich paradygmatem dobrego zdrowia, wprost okazem takowego, gdyż każde z jego osmiu ramion ma dokładnie tę samą długość i grubość, a dwie z jego macek są od nich dłuższe zaledwie o metr.

Macki, ową cud inżynierii biologicznej, spełniają szereg pełnych wdzięku funkcji, lecz ich głównym zadaniem jest przyniesienie ofiary ku zgubie, która niosa usta kalamarnic. Nieszczególnie zresztą błyskawicznej, co należy dodać. Kalamarnica królewska, ową Król Kalamarnic, nie przelyka bowiem swego pożywienia w całości, jak czyni to chociażby kalamarnica nabrzmiałopłaszcząca, tak charakterystyczna dla regionu jeziora Alfar. Ani też nie grzmoci nim, chcąc go zmieknąć, o podwodnie skały, jak czyni to purpurowa kalamarnica byczogłowa, tak popularna wzdłuż wybrzeży Scathy. Miast tego kalamarnica królewska zmuszona jest do posiekania i zmiżdżenia swego pożywienia przy użyciu dzioba, zębów i pistolaro (organu przypominającego język).

Dlaczego musi tak robić? Niestety, jak wie każdy początkujący młody kalamarolog z aspiracjami, chrząstkowa kapsuła jej głowy nie należy do zbyt elastycznych. A skrywa już przecież w swym wnętrzu tak cudowny metlik innych współmieszkańców: błyszczące i lśniące oczy, wielki mózg, przelyk.

**Czyzby bylo to defektem? A moze jedynie wyrazu jakas zapobiegliwosc?
Kalamarologom nie udalo sie jeszcze tego rozszyfrowac.**

KROTKA DYGRESJA NA TEMAT OCZU KALAMARNICY

Oczy! Ach, te oczy! Gdyby sluzily za okno duszy, jak zdaje sie wierzyc tak wielu medykow⁷, tedy Krol Kalamarnic bylby istota wprost z Truffidianskiego Nieba. Po pierwsze, spojrzenie kalamarnic nie jest dwuoczne: kazde z oczu postrzega to, co znajduje sie po jego stronie glowy. W wyniku tego kalamarnica widzi i dostrzega dwa razy lepiej i wiecej niz czlowiek, a nawet cztery razy, jesli porownac ja z ludzmi noszacymi okulary. Po drugie, oczy kalamarnic moga byc wielce roznorodne, mozliwe sa tu wszelkie ksztalty i rozmiary, od wielkich niczym kola u wozu po male niczym guziczki. Podluzne, koliste, jajowate, waskie szpary, trojkatne, sferyczne, osmiokatne. Ich kolorystyka rozciaga sie od dokladnego odcieniu zielonozlotego zachodu slonca nad Ambergris, widocznego za oknem podczas wsluchiwania sie w rozchodzaca sie gdzies w poblizu muzyke klucza (wiolinowego) otwierajacego zamek (wielu taktow), az po widziane w porze odwiedzin czerwono-srebrne lsnienie sukni bogatej kobiety.

Krol Kalamarnic nie posiada jednego oka, jak cyklopowa kalamarnica nabrzmiala, ani dwojga, jak kazdy inny typ kalamarnic, lecz troje! Troje oczu! Trzecie, to najbardziej ekscytujace i intrygujace, spoczywa ukryte po spodniej czesci jego plaszcza. I pelni dwie wrecz nadprzyrodzone funkcje. Po pierwsze, odbiera tylko i wylacznie bioluminescencje. Po drugie, pewne wydzieliny siatkowki sugeruja, ze owo trzecie oko wytwarza rowniez promien swiatla majacy pomagac kalamarnicy w widzeniu w ciemnych i metnych wodach Moth.

Nie jestem tu w stanie rzucic na ten jakze wazki i gleboki temat wiekszego swiatla niz to wytwarzane przez sama kalamarnice krolewska.

CIAG DALSZY MNIEJ ZNANYCH NIEZWYKLYCH CECH CHARAKTERYSTYCZNYCH

Ale, jak juz wspomnialem, a musi to wiedziec kazdy przedsiebiorczy⁸ kalamarolog – o ile nie z przygod z pierwszej reki, to z wszelkich przeslodzonych, lecz tak uwielbianych komiksow o kalamarnicach dla dzieci, ktore, jak jestem przekonany, wciaz jeszcze sieja w swym szale zamet na lamach roznorakich dziennikow ambergrianskich.

Tak wiec zablocony i ochlapany woda maly lobuziak – milosnik bezkregowcow – moze nie byc swiadom pewnych szczegolow zwiazanych z fizjologia i zachowaniem, ktore odrozniaja kalamarnice krolewska od innych gatunkow kalamarnic. Co nie

powinno nikogo dziwić, biorąc pod uwagę niedostatek posiadających jakakolwiek wartość źródeł faktów dotyczących kalamarnic.

Po pierwsze, dorosły osobnik może osiągać nawet niemal pięćdziesiąt metrów długości, waga przy tym dwa i pół tysiąca kilogramów (gdybyz tylko Moth była szersza, głębsza, a co a tym idzie, bardziej gościnnie dla większych okazów). W wyniku tego ma większy dziób niż jakakolwiek znana kalamarnica. Dzioby, w porównaniu z ciałem, są zwykle małe, lecz gdyby wziąć wielce odważnego człowieka z szeroko rozłożonymi ramionami, to jednym z nich ledwie dotknie on górnej, a drugim dolnej rozwartej szczęki dzioba kalamarnicy królewskiej. A skoro wymaga to od wspomnianego człowieka wsunięcia głowy do wnętrza wspomnianych już wcześniej ust, nie polecałbym tej metody jako techniki pomiarów dzioba kalamarnic, za wyjątkiem tych przypadków, kiedy zbliżamy się do najbardziej martwych z okazów.

Lecz sam jej rozmiar nie może wyjaśnić życiowej fascynacji tym gatunkiem. W rzeczywistości nawet najbardziej szanowany kalamarolog amator nie rozpoznałby istoty w jej młodocianym stadium, gdyż przypomina wtedy larwy jakiegoś wodnego insekta⁹. W ciągu minionych lat spowodowało to kilka wielce niefortunnych pomysłów.

PRZYPADEK RICHARDA SMYTHE'A, KALAMAROLOGA AMATORA

Przykładowo bowiem nawet mający na swoim koncie szereg publikacji kalamarolog amator, jakim jest pan Richard Smythe – obwoźny sprzedawca, mieszkający na co dzień w zamkniętym w glebi ładu Leander – mógł popełnić taki błąd. Podczas jednej z wypraw do Nicei pan Smythe nabrał kiedyś szklankę wody z Moth, gdyż pełna była czegoś, co z pełnym przekonaniem wziął za larwy owadów. Po powrocie do domu wlał przyniesioną wodę do akwarium, by wspomnianymi larwami nakarmić pływające tam swe wielce cierpliwe rybki, po czym niezwłocznie wyruszył w pogoni za plotką o rzekomym niedostatku parasolek w pewnej krainie znajdującej się w wyjątkowo silnej parasolowej potrzebie. Gdy wrócił po trzech tygodniach, z pustego pod każdym innym względem akwarium przywitał go rozwścieczony Król Kalamarnic rozmiarów niewielkiego psa. Wyglodzona kalamarnica, młocąc i wywijając w powietrzu ramionami i mackami, w mgnieniu oka ruszyła na pechowego pana Smytha. Jedynie niesprzedane podczas podróży parasolki oszczędziły temu wielce nierozsądnemu człowiekowi losu pod każdym innym względem miazdzącego¹⁰. Fakt, że stali się później ze wspomniana kalamarnica najlepszymi przyjaciółmi, w niczym nie zmienia dwóch podstawowych nauk wypływających z powyższej historii: zawsze filtruj wodę, by pozbyć się kalamarlatek, oraz nigdy, ale to przenigdy, nie ufaj wodzie Moth.

WROGOWIE ORAZ CI ZDATNI DO SPOŻYCIA

Według Clyde'a Aldricha, okrzykniętego przez niescisłych, acz chelpliwych imbecyli" wiodacym ekspertem" w tematyce kalamarnic krolewskich, ta bestia między kalamarnicami nie posiada żadnych naturalnych wrogów. (Nie dotyczy to jednak jednego z najbliższych jej krewnych, południowej słonowodnej kalamarnicy saphanckiej, która musi się bronić przed zdradliwym atakami schizofrenicznego wieloryba saphanckiego – ze tak powiem, oto wieloryb, który z każdej strony otoczył Imperium).

Co do pozywienia Krola Kalamarnic, można tu stwierdzić z wielką dozą pewności, że jada on z większą różnorodnością niż wszyscy uwalniani o jednej wyznaczonej wcześniej godzinie do wypasania się na stolówkach, czy nawet w kuchniach. Krol Kalamarnic to entuzjastyczny miesożerca, bezustannie polujący na swe ofiary, które rozciągają się od owadów i skorupiaków poprzez ryby i pozostałe rodzaje kalamarnic, a nawet krowy (o ile tylko są one dostępne), aż po zawartość domów postawionych w wielu nieodpowiednich miejscach¹¹. Mówiąc w wielkim skrócie: Kalamarnica krolewska spożyje wszystko, wokół czego owinie swe ramiona, w tym również stanowiące śmiertelne niebezpieczeństwo, lecz wyjątkowo głupiego rekina słodkowodnego. Jednakże wbrew temu, co przedstawiono w spisanej przez George'a Edgewicka Studium powiązań bezkręgowców ze śmieciami, w związku z wysoce rozwiniętym zmysłem powonienia Krol Kalamarnic nie podąża śladem płaskodennych barek ze śmieciami, a przynajmniej nie bardziej, niż miałby ochotę coś sobie zamówić z którejkolwiek z ambergrianskich tawern¹².

ZABAWOWA STRONA KROLA KALAMARNIC

Odłóżmy teraz na bok wszelkie opowieści o drapieżnikach i ofiarach, Krol Kalamarnic objawia nam bowiem swą zabawową stronę, gdy tylko uwalnia się ze swego więzienia instynktów i odruchów. Ta chęć zabawy zwykle objawia się użyciem przez niego systemu odrzutowego. Do poruszania się kalamarnice używają lejka, krótkiego organu przypominającego wężyk, lekko odstający od płaszcza tuż pod głową¹³. Dzięki obracaniu się płaszcza kalamarnica posiada znaczną kontrolę nad lejkiem. Stąd właśnie wynika jeden z najbardziej wartych wspomnienia nawyków Krola Kalamarnic.

Chodzi mianowicie o to, że jest on powszechnie znany z wystrzeliwania z siebie długich, lecących wyjątkowo daleko strumieni wody w kierunku niczego niepodważających spacerujących nadbrzeżnymi ścieżkami podróżnych. Wspomniane kolumny wody, zresztą o dość znacznej szybkości, mogą ładować niemal dwadzieścia pięć metrów w głąb ładu, by tam wielce dosadna dawka mulistej wody przemoczyć pieszego do nitki, a taki człowiek niebawem nie dość że obcieka wodą, to jeszcze zaczyna pulsować ze zdenerwowania¹⁴.

Taka nadnaturalna celność wymaga zarówno doskonałego wzroku, jak również

znaczącej inteligencji. Powyższym manifestacjom zwykle towarzyszy odgłos "dyszenia", który, jak osobiście jestem przekonany, należy uznać za śmiech, wbrew wszystkiemu, co o moich teoriach sądzi mój sąsiad John. Tak zwani eksperci – którzy, biorąc tylko pod uwagę moje skromne zdanie, mogą przez wieczność gnąć sobie w zamknięciu celi – są przekonani, że jest to ledwie efektem wywołanym przez ponowne napełnianie lejka wodą, tak konieczną do oddania kolejnego strzału.

Jak by nie było, pociągnęło to za sobą niefortunne następstwa. Nadete i opasłe kleszcze zbierające się pod egidą Ambergrińskiej Ligi Bezpieczeństwa nakresliły bowiem projekt rezolucji asygnującej konieczne fundusze na trening kalamarnic do roli strażaków na obszarach Ambergris, gdzie możliwy jest bezpośredni dostęp z wody. Mniej śmiesznymi, mimo iż bardziej absurdalnymi, jawią się tu poronione "kalamarnicze chrzty" wykonywane w Kościele Dzieci Kalamarnic, które jakże często kończą się śmiertelnymi zejściami uczestników. Członkowie tego kultu starają się bowiem tak rozdrażnić kalamarnicę, by uzyskać od niej "święty akt rozgrzeszenia", a – jak można oczekiwać ze strony potwierdzonego wszak miłoścy – Król Kalamarnic z rzadka zaledwie zbliża się do czegokolwiek chociażby trochę przypominającego cywilizowane zachowanie.

DALSZE PRZYPUSZCZENIA DOTYCZĄCE INTELIGENCJI

KALAMARNIC – ORAZ OBSERWACJE BRONGA

W międzyczasie zaczynają wypływać nam na powierzchnię, objawiając się tam w formie falowania, kolejne przypuszczenia wiążące się z inteligencją Króla Kalamarnic. Mowa tu o przypadkach związanych z jego poznawczą zdolnością, dawno już ustalona i poparta fizjologicznymi dowodami¹⁵. Z pewnością nie jest dziełem przypadku, że dwa potężne serca kalamarnicy pompują krew nie tylko do jej potężnych skrzel, lecz również do wielkiego i złożonego mózgu? Mózg przeciętnej wielkości kalamarnicy królewskiej otrzymuje dziennie o dwanaście litrów więcej krwi, niż przeciętny mieszkaniec tutejszego przybytku – karmiony posiłkiem z wysuszonych skrawków ryb, zsiadłego jogurtu i budzącej wątpliwość zielonej fasolki szparagowej – otrzymuje w przeciągu tygodnia. Jedynym zwierzęciem posiadającym większy mózg od kalamarnicy królewskiej jest biały poltonski wieloryb bichoralny, którego jednak sam ciężar czaszki rzekomo przechyla na jedną stronę¹⁶.

Król Kalamarnic – podobnie jak niektóre z pomniejszych kalamarnic, lecz z wyjątkiem kalamarnicy spastycznie niepokojącej – zachowuje także bezpośrednią kontrolę nad własnym ubarwieniem i wzorami wyswietlanymi na skórze, które zdają się dostarczać nam kolejnych dowodów świadczących o jego sprycie. Widoczne noca nad rzeką fosforescencyjne manifestacje świetlne przywodzą na myśl przedziwne światła dostrzeżone przed niemal dziesięciu laty nad ruinami miasta Alfar, o wciąż nieustalonym pochodzeniu. (Uważny czytelnik być może zaczyna już

dostrzegac w tym miejscu przeblysk mych unikalnych teorii, z ktorymi jednak podzieli sie dopiero w Rozdziale IV niniejszej monografii).

Z podstawowej barwy przeswiecajacego srebra Krol Kalamarnic moze blyskac zielenia, blekitem, czerwienia, zolcia, pomarancza, fioletem i czernia, jak rowniez kazdym polaczeniem wszystkich wymienionych powyzej kolorow. Kalamarnice te moga sie kamuflowac na jakimkolwiek tl wykorzystujac w tym celu blyskawiczne zmiany ubarwienia skory¹⁷. Mimo iz takie zdolnosci mogly tak naprawde "wyewoluowac" – by uzyc tu tak przesadnie analizujacego slowa wypowiedzianego przez Xaffera Daffeda – celem przeszkodzenia atakom drapieznikow, czy tez do wykorzystania podczas rytualow godowych, obecnie zdaja sie tworzyc wysublimowany system komunikacji, i to bardziej efektywny niz dzwiek czy nawet migowy jezyk macek, ktory Maxwell Brong kiedys rzekomo zauwazyl podczas swego zbyt glebokiego zanurzenia w wodzie¹⁸.

REWELACYJNE ODKRYCIA FURNESSA I LEEPIN

Gdyby tylko ludzie nie byli z natury szaleni i odporni na samodoskonalenie oraz terapie, badania dokonane wspolnymi silami przez niedocenianych Raymonda Furnessa i Pauline Leepin juz dawno zastapilyby blazenady i wysilki kretynow podobnych do Bronga.

Pierwszy przeblysk natchnienia Furnessa i Leepin wiazal sie z obejsciem problemu mulu dzieki zastosowaniu przeslony podobnej do tych znanych nam juz z uzycia przy obserwacjach ptakow w terenie. Umieszczone w wydrazonym dnie lodzi mieszkalnej uwiazanej do lachy piasku na samym srodku nurtu glebszej czesci Moth, owo wykonane ze szkla urzadzenie przedstawia klasyczny juz postep, jakiego dokonano, jesli chodzi o narzedzia dostepne kalamarologom¹⁹.

Z biegiem czasu kilka kalamarnic krolewskich pokonalo wreszcie swa ostroznosc i zaciekawione zajrzalo przez szklo do srodka, gdzie wewnatrz Furness i Leepin, zamarli w absolutnym bezruchu, jak rowniez w pewnym stopniu przerazeni, odpowiedzieli im tym samym. Potrzeba bylo kilku miesiecy badan, przynajmniej zgodnie z zapiskami prowadzonymi w ich dziennikach, by wreszcie, koniec koncow, zauwazyli cos, co nazwali "blyskajaca komunikacja". W pozniejszym czasie oboje pionierzy zdolali skrzetnie wywnioskowac i spisac znaczenie owych "blyskajacych komunikatow" – a w rzeczywistosci porozumiec sie z kalamarnicami! Co za tym idzie, zostala przelamana bariera oddzielajaca kalamarnice od kalamarologow, nawet jesli zaledwie na krotka chwile, to jednak na zawsze juz zmieniajac relacje pomiedzy naukowcem a kaluza wody pozostala po odpływach, obserwatorem a przedmiotem obserwacji²⁰.

Nalezy zaczac od tego, ze Furness i Leepin nakreslili kilka podstawowych wzorow

komunikacji²¹, przytoczonych na stronie 2422.

Jak nawet mitoman łatwo może zauważyć, podobne sposoby komunikacji działają na o wiele wyższym poziomie złożoności niż wykorzystywane przez psa, kota czy nawet świnię, szczególnie biorąc pod uwagę najnowsze eksperymenty w tej dziedzinie.

Ale badania Furnessa i Leepin jeszcze nie osiągnęły ani nie odsłoniły pełnego drzemiaczego w nich potencjału. Przy pomocy lamp i krepiny zaczęli oni bowiem wyświetlać różne litery, rzucając je w wodę tuż obok ich kalamarniczego odpowiednika, początkowo w zupełnie przypadkowych strumieniach, jak choćby RIEKHIT-MLALFEYD, by następnie pokusić się o wyrazy i zwroty w stylu JESTEM KALAMARNICA czy JAK SIE MASZ?

Początkowo pływające kalamarnice nie odpowiadały. Jednakże po tygodniu wysyłania takich bodźców Furness i Leepin z najwyższym zdumieniem zauważyli, że kalamarnice wyświetlają na swej skorze dokładnie te same litery – i to nie wszystko, wprawiały je bowiem też w ruch, tak, że wyrażenia JESTEM KALAMARNICA i JAK SIE MASZ? okrazały ich ciała, wpadając na siebie i zderzając się niczym widma alfabetycznych pociągów z liter.

Takie odkrycia winny doprowadzić do kolejnych rewelacji, a na koncu tej drogi, tuż za rogiem, na oboje naszych naukowców winny czekać sława i fortuna, mające spasać na nich, jak tylko zanotują i opublikują dokonane obserwacje. Jednakże doszło wtedy do przedziwnego incydentu, który absolutnie zdyskredytował ich w oczach wszystkich pozostałych naukowców. Ową incydent wskazuje nam na o wiele większy poziom inteligencji kalamarnic, niż wskazywałyby na to wszystkie wcześniejsze raporty, nawet te publikowane w tak optymistycznie nastawionych wydawnictwach jak Mysli Kalamarnic. Już sam pochodzący z tego dnia wpis w ich dzienniku stanowi atrakcyjną i pasjonującą, lecz również wielce trapiącą lekturę. Do czego mogliby dojść i co osiągnąć, gdyby tylko zostali tam dłużej i nie odpuścili sobie dalszych badań²³?

Dzisiaj zdecydowaliśmy z Furnessem o porzuceniu naszych badań. Okazały się bowiem zbyt niebezpieczne. A wszystko przez kalamarnice. To one nas do tego zmusiły. Nigdy nie myślałam, że same kalamarnice mogą nam wyperswadować i wybić z głowy nasze zamiłowanie do kalamarologii, lecz niestety do tego właśnie doszło.

Juz wszystko dokładnie wyjaśnię...

Po zupełnie nieciekawym poranku powierzchnie wody tuż przy naszej łodzi mieszkalnej przelamała nieoczekiwana seria olbrzymich babelków. Powolna, ocieślała falą, jakby coś niesamowicie wielkiego zbliżało się do nas pod powierzchnią wody,

popchnęła i zakolysała łodzi. Natychmiast schwyciliśmy nasze pływaki ratunkowe ze skor zwierzęcych, przywdzialiśmy kuliste szklane kapsuły masek, jak również focze pletwy, by bezpiecznie (jak nam się zdawało) zejść do wnętrza szklanej przesłony znajdującej się na dnie łodzi. Zastaliśmy tam błyskające na czerwono i pomarańczowo kalamarnice królewskie, które nazwaliśmy wcześniej Kalamarnica nr 8, Kalamarnica nr 5, Kalamarnica nr 12, Kalamarnica nr 16 oraz Kalamarnica nr 135. ?

Rys.I. Wzory komunikacji określone przez Furnessa i Leepin. Przez krótką chwilę unosili się tuż przed nami, by wreszcie oddalić się i błyskawicznie przyspieszając zniknąć w metnej dali. Początkowo pomyśleliśmy, że wystraszył je nasz dziwny ubiór. Choć ich reakcja nas zaniepokoiła, nie ruszyliśmy się z miejsca, wciąż niezmiennie oddani Sprawie24... Lecz jak się okazało, trwalismy tam tylko po to, by wrzasnąć z przerażenia, gdy tuż przed szkłem przesunęła się macka rozmiarów naszej łodzi. A na powierzchni tego olbrzyma, na wrecz bezmiarze zieleni jego skóry, a Truff nam tu świadkiem, wyczytaliśmy, zapisane złotymi literami: SPADAC MI STAD, BO INACZEJ WAS POCHŁONE, WYSSE WASZ SZPIK, A KOSCI UZYJE, BY WYMOSCIC NIMI GNIAZDKO MYM MŁODYM. Przez chwilę tkwilismy schwytani w szpony przerażenia, kompletnie niezdolni do tego, by się poruszyć. Dopiero czysty, wyjątkowo nosny dźwięk uderzenia koniuszka macki o łódź wyrwał nas z tego stanu, gdyż wraz z nim niespodziewanie przybył odor amoniaku i dodatkowa skierowana do nas wiadomość na powierzchni macki: POSPIESZCIE SIE! Tak, właśnie to wyrwało nas z paraliżu, w który popadliśmy.

Trudno mi teraz odtworzyć dokładny przebieg kolejnych wydarzeń, lecz pamiętam, jak wbiegliśmy na pokład i zeskoczyliśmy na łache piasku, przez cały czas nieprzerwanie wrzeszcząc ile tylko sił w płucach, a tuż zza pleców dochodziły do nas kolejne chrupnięcia wydawane przez naszą łódź mieszkalną, która smagana młocącymi mackami ulegała zmiżdżeniu na wyjątkowo małe kawałeczki. W stanie kompletnej hysterii rzuciliśmy się w przepływający po drugiej stronie lachy nurt odmetów Moth, na oslep płynąc w kierunku brzegu, a wszędzie wokół nas przecinały powietrze małe odłamki polamanych desek z pokładu naszego statku. Maski mieliśmy umazane mulem i szlamem, włożone focze pletwy jedynie utrudniały nam postęp w kierunku brzegu, a – co było już najbardziej denerwujące ze wszystkiego – nasze pływaki wykonane ze skor zwierzęcych zaczęły napelnić się wodą, gdyż sciskaliśmy je tak mocno, aż zaczęły przeciekać w miejscach, gdzie je przedziurawiliśmy. A kiedy wreszcie udało nam się osiągnąć bezpieczeństwo oferowane przez brzeg, z naszej łodzi pozostało jedynie kilka widocznych tu i ówdzie na rzece odłamków drzewa. Wtedy nieoczekiwana fala, która ruszyła w naszym kierunku, przekonała nas, by szukać bardziej pewnego schronienia i to daleko, daleko w głąb ładu – skąd nie ruszyliśmy się aż po dziś dzień.

Niestety nieposiadające oleju w głowie, pusto brzmiące cymbały ze wszechmocnymi okularami uniesionymi wysoko w okolicy brwi, owi tepogłowi sędziowie-kluski z

zamarynowanymi mózgiami – a mam tu na myśli członków Establishmentu Kalamarologii – zmiotli na bok wszystkie dokonane przez Furnessa i Leepin odkrycia z równie wielką łatwością, co same kalamarnice lodz mieszkalna obojga pionierów nauki, a mieli oni przynajmniej tyle szczęścia, że wyszli z całej tej katastrofy z nienaruszoną spójnością całego wcześniejszego dorobku naukowego. Jednakże, mimo iż dokonali zapewne najważniejszego kalamarologicznego odkrycia od czasów rewelacji Rebekki Yancy związanych z określeniem współczynnika wymiany powietrza w skrzelach na granicy powietrze – woda, Furness i Leepin zostali później wrzuceni do skrzyni nikomu niepotrzebnych odrzutów, oznaczonej "Lunacy i szalency", zstępując w koszmar mrocznego świata pseudonauki i alkoholizmu, gdzie tak wielu naszych praktyków wkracza, by nigdy już stamtąd nie wrócić²⁵. (Po więcej informacji dotyczących związanych z tym okoliczności, opisujących nasze podstawowe utrapienie schorzenie, odsyłam do Chmiel a kalamarolog amator Alana Rucha oraz do Kalamarnice na naszych plecach, macki w naszych mózgach: Relacja z pogrążania się w otchłani szalenstwa piora Mackena Clarka).

PRZYGODY KALAMARNIC W GLEBI LADU

Odłożmy teraz jednak na bok wszelkie rzetelne prace naukowe, a przytoczmy przynajmniej dwa anegdotyczne dowody, zarówno wskazujące na inteligencję kalamarnic, jak na ich kreatywność.

Pierwszy z nich wiąże się z relacjami opisującymi ich powolne przechadzki po stałym lądzie! W sześciu zupełnie niepowiązanych ze sobą przypadkach pojedynczy osobnicy donoszą o napotkaniu wieloosobowych grup gigantycznych kalamarnic, które wyszły z wody, by "pospacerować" sobie po lądzie, używając w celach ochronnych przed nikczemnie zdradliwym powietrzem błyszczących kropeł wody, które osłaniały im skrzela i oczy. We wszystkich wspomnianych powyżej przypadkach napięcie owego klosza wody podtrzymywały cztery ramiona związające się nad głową, chroniące go przed peknieniem i trzymające mocno w miejscu. Pozostałe cztery ramiona i dwie macki służyły zaś do przeciągania ich ciała po trawie. A kiedy tak "haczykowały sobie" (sam wymyśliłem ten termin, eksperymentując na spacerunku z możliwościami sposobów poruszania się kalamarnic po lądzie), ich skóra błyskała intensywną komunikacją przypominającą ciepłe błyskawice, pulsujące od srebra i czerwieni, poprzez błękit, zielen i fiolet aż po czern, by następnie ponownie w przeciągu zaledwie kilku sekund powtórzyć całą wspomnianą kombinację. Naoczni świadkowie nie byli jednak w stanie określić, dokąd to zmierzały te zadne przygod kalamarnice²⁶, gdyż byli zbyt zszokowani samym napotkaniem tych jakże śmiałych bezkregowców-odkrywców na terror-firma, by zrobić coś więcej niż jedynie zabezpieczyć w panice i wziąć nogi za pas. Jeden z mężczyzn co prawda zdołał jeszcze upuścić fajkę, czym wzniecił pożar, ten jednak został szybko ugaszony pojedynczo, nonszalancko wyrzuconą przez kalamarnic strugą wody.

Kolejnym dowodem świadczącym o podstępności kalamarnic jest fakt, że każdy ze świadków doswiadczył opisanych wyżej kalamaropedycji w czasie samotnego spaceru o zmierzchu sporadycznie zaludnionymi terenami. W każdym przypadku zwodniczo balamutne miejscowe władze tłumaczyły te relacje jako wynik "słabego oświetlenia i złego wzroku". W jednym przypadku świadek został nawet bezpośrednio zapytany, czy aby przypadkiem nie widział tak naprawdę "jakiegoś balonu czy czegoś". Jednakże, jak zauważają zaawansowani i oddani sprawie kalamarolodzy, Krol Kalamarnic w swym naturalnym środowisku przejawia największą aktywność o zmierzchu – a z pewnością przypadki wypadków w głąb ładu sugerują nam na swój sposób bardzo wysoki poziom aktywności! Niestety, wszystkie doniesienia dotyczące tego zagadnienia są chronione osobliwym prawem zwanym tajemnicą lekarską, gdyż ich świadkowie zostali oddani pod opiekę szpitalną w związku z różnymi dolegliwościami psychiatrycznymi, z których za główną należy uznać kalamarotropię.

HELLATOSE BAUBLE: FAKT CZY FIKCJA?

Jeszcze większym problemem w oczach sceptyków jawi się zaropienie w postaci przypadku Bartona Bubbabaunce'a i jego zdumiewającej tresowanej kalamarnicy. Ta występująca wspólnie trupa, wystawiająca przedstawienia wodnego teatru lalek, jest kojarzona z wieloma cyrkami, od Kawalkady Zdziwiających Cudów Braci Dwugłowych Trylobitów począwszy, na Otchłani Grzesznie Dobrej Zabawy Wysokiego Księdza Dawida Thorntona skończywszy, a składała się z George'a Bubbabaunce'a (znanego również wśród przyjaciół jako "Bauble") oraz kalamarnicy królewskiej Hellatose'a Janglesa. Podczas przedstawień stojący z boku Bauble prowadził narrację, a Hellatose tworzył złożone psychodramy oparte na dawno zapomnianych dziełach dramaturga Hoffmenthola (mającego wpływ na wielkiego Vossa Bendera). Ow "teatr", otoczony z trzech stron odkrytymi siedzeniami na trybunach, składał się z prostokątnego basenu wypełnionego metnami wodą zaczerpniętą z Moth, na samym środku którego płaszcz i głowa Hellatose'a tworzyły wyspę – "scenę". Bauble zaopatrywał ramiona Hellatose'a w kukielki, dzięki czemu aż do dziesięciu bohaterów mogło brać udział w każdej ze scen, co prowadziło do wyjątkowo ekstremalnie wysublimowanych produkcji teatralnych²⁷, zarówno pod względem pompy, jak i jeśli chodziło o złożoność szczegółów dziejących się w nich wydarzeń, które mogły stawać w szranki ze sztukami napisanymi przez samego Machela czy Sporendera. Jak wspominają dwie z towarzyszek Bauble'a z Otchłani Grzesznie Dobrej Zabawy, wydawał się on nie panować nad ową współpracą artystyczną z kalamarnicą. Cytując słowa Czterotwarzkiego Jaszczurzego Chłopca, zapisane w Historii obwoznych szarlatanskich pokazów medycznych i innych niegodziwych prestidigitacji Snellera: "Każdej nocy z ich namiotu rozchodziły się dźwięki ognistych kłotni. Bauble zazwyczaj krzyczał, na co siedzący w swym podróżnym baseniku Helia odpowiadał wysokim w tonie kwikiem. Gdy paliło się u nich światło, można było dostrzec wijące się w powietrzu ramiona Helli, starającego

się coś dowiedzieć mowa ciała. Sam Bauble stał wtedy jedynie ze zwieszonymi, załamany ramionami, niczym jakiś maz-pantoflarz".

Trzyszczekowa Rekinopletwa Dziewczyna stwierdziła również, jakoby była świadkiem jeszcze bardziej obciążających dowodów, które świadczą o inteligencji kalamarnic. Pewnego bowiem razu weszła do namiotu Hellatose'a i Bauble'a, by zobaczyć, jak Bauble zapisuje pod dyktando kalamarnicy sceny nowych sztuk. Zapisujący kolejne wersy Bauble reagował z wielką irytacją na obiekcje Hellatose'a, a jednak wymazywał wersy i zapisywał od nowa. "Zdawało się" – stwierdza Trzyszczekowa Rekinopletwa Dziewczyna – "że Bauble jest jedynie pisarczykiem, skryba Hellatose'a, mistrza dramatu".

Z pewnością bardziej publiczna kłotnia kończąca ich współpracę, a dotycząca wyglądu scenografii, stanowi tu o wiele zwieźlejsze potwierdzenie inteligencji kalamarnic, gdyż Hellatose użył wtedy swych ramion, by wykonać w kierunku Bauble'a serie obraźliwych gestów. Po całej sprzeczce, dokładniej opisanej w artykule Elaine Feaster opublikowanym na łamach "Kalamarologa Amatora" (Patrz: Feaster Elaine), wszelki słuch zaginal zarówno po jednym, jak i drugim artyście²⁸.

Przez lata wiele napisano na temat Bauble'a i Hellatose'a, a wiedza o nich obrosła licznymi nonsensownymi stwierdzeniami. Najgorsze z nich obracają się wokół bezbrzeznie głupich plotek, jakoby zarówno sam Bender, jak i Sporlender zawdzięczali wiele swych najlepszych wersji "tajemniczemu panu H.", któremu podsylali swe martwe sceny, gdy ich kreatywność napotykała na mur nie do przebicia... By po dwóch tygodniach otrzymać przez anonimowego posłanca przepiękne korekty tych fragmentów... Dokonane wyjątkowo delikatnym charakterem pisma używającym kalamarniczego atramentu²⁹.

Nie ma potrzeby, by wykazywać tu niedorzeczność takich stwierdzeń – kalamarnica już raczej napisałaby coś własnymi wymiocinami niż użyła podobnego atramentu. Sama myśl o tym jest bowiem dla niej odrazajaca. › PRZYPISY ‹

III – ZWIEZLE WYLOZENIE

OSOBLIWOSCI KALAMALORU

OSTROZNY WSTEP DO ZAGADNIENIA FESTIWALU³⁰

Ci posiadający czerwie zamiast mózgu, których imię legion, a udaje się uleczyć z nich ledwie garstkę, zwykle mówią o "blednym pojmowaniu" Festiwalu, jakbysmy mieli do czynienia z jakąś wyjątkowo poważnie oczerniana istotą, która niesprawiedliwie poddana terapii elektrowstrzasami oraz zmniejszono jej racje żywnościowe, a wszystko w związku z występkiem, który, o ile tylko postrzegany w bardziej życzliwym świetle, mogłoby okazać się dobrym uczynkiem. Filister Bellamy

Paletorpe w swych cotygodniowych tyradach na lamach "Dziennika Ambergris", zatytułowanych Riposty Bellamy'ego, gdzie zabiera swej kolumnie jakże cenne centymetry – które w innym przypadku mogłyby przeznaczyć na rozpryskiwanie po nich krwi z arterii swych wrogów – by wspominać o Festiwalach czasów swej młodości, pełnych dogadzania sobie, a mówi o nich, używając określeń "niewinne", "cudowna zabawa" i "nieszkodliwa blazenada". Nawet wielki bezmózg, jakim jest Voss Bender, od czasu do czasu zwykł wzruszać ramionami i spoglądać w kierunku niebios, jakby Festiwal istniał niezależnie od jego uczestników. To właśnie ten rodzaj beczwalowatego myślenia, na które moja matka, wbrew wszystkim jej wadom, narzekała dość regularnie. Gdyby bowiem taka teoria o nieodpowiedzialności została powszechnie zastosowana, wielu z nieczułych i niewrażliwych krótkowzrocznych głupców, potykających się nieustannie, gdy idą przez życie w niezaspokojonej wolności, mogłoby żywić nadzieję na "odkupienie przez reinterpretację" – niezbyt zrecznie wymyślony fragment truffidianskiej teologii i ulubione marzenie wieźnia/ współmieszkanca domu wariatów.

"Prawda" – a każdy kalamarolog jest zawsze boleśnie świadomy, że to, co dziś jawi się prawdą, jutro może okazać się zaledwie resztkami służącymi do necenia ryb – jest następująca: Festiwal, jak określił to kiedyś Martin Lake, "istnieje jako całość, błyszcząc mrokiem w głowie każdego mieszkańca Ambergris". Posuwa się jeszcze dalej niż Lake i pozwoli sobie stwierdzić, że każda oddzielna wersja/wizja tworzy odłamowy Festiwal – i jeszcze jeden, i kolejny, aż, pojawiając się na odległej scenie, gdzie żadne gwiazdy nad głową nie przyniosą pociechy, człowiek znajdzie się uwięziony w sali pełnej popekanych lusterek, odbijających taki ogrom pojawiających się w nich Festiwali, że niemożliwy okazuje się wybór zaledwie jednego, tego prawdziwego Festiwalu, nawet gdyby uzależniono od tego naszą wolność³¹. Zebrane wspólnie najprzeróżniejsze rytuały i osobliwe zwyczaje, które następnie, nim jeszcze zadowoleni z siebie eksperci przedstawili je jako "doświadczenie festiwalowe", powykrecano, kształtując "pakiet dla biedaków", nie posiadają żadnej wewnętrznej wartości³².

Prawdziwego "doświadczenia festiwalowego" nie da się w pełni wyjaśnić, nawet gdy dokonują tego najbardziej szkolone głowy kalamarologii. U szczytu Festiwalu można się poczuć niemal jak w domu: w otoczeniu dryfujących w powietrzu kalamarnic, bawiących się wokół tłumów ludzi ubranych w maski kalamarnic, balonów o kształcie kalamarnic i unoszącego się nad tym wszystkim wszedobylskiego pizmowego zapachu świeżej ryby i wodorostów. Tak, można wtedy niemal udawać, że przyozdobiona światłkami ścieżka ulicy jest nurtem samej Moth, a bawiący się wokół – kalamarnicami słodkowodnymi, które zebrały się tu w celach towarzyskich. Oszalająca energia powoduje zawroty głowy, poczucie plynienia pod prąd, wywołane natłokiem zebranych wokół ludzi, o których trzeba się ocierać, chcąc poruszać się po chodniku, do tego jeszcze chlupot napojów w ich szklankach i kuflach, dziki ped toczonych wokół rozmów, niczym odgłos wody spływającej po

kamieniach w dol rzeki... Jakze wielka tesknota drzemie w takich wspomnieniach.

Po raz pierwszy doswiadczyłem Festiwalu przeszło piętnaście lat temu³³. Wreszcie uwolniony z domu rodzinnego, spod wnikliwego zainteresowania matki, pod którym tkwiłem niczym pod szkłem powiększającym, oraz gorączkowej energii ojca. Zaczęłem wtedy brać lekcje u darzonego wielką estymą kalamarologa Chamblee Gorta i oddychałem taką wolnością, jakiej jeszcze nie poznałem. Festiwal okazał się objawieniem. Przebudził we mnie wszelkie dawno tłumione emocje, które w czasach mojej spędzanej pomiędzy książkami młodości musiały kumulować się w moim wnętrzu, gdy siedząc w bibliotece wielkiej jak całe domy innych ludzi zajmowałem się lekturą jednej książki za drugą. Podobnie jak wielu innych, biegałem nago³⁴ przez bawiący się tłum, mając na sobie jedynie maskę kalamarnicy. Zupełnie zatraciłem się w tłumie. Dopiero później, gdy przypomniałem sobie przemoc obecną wszędzie wokół³⁵, uświadomiłem sobie, że Festiwal jest zaledwie kiepską namiastką prawdziwego doświadczenia³⁶.

PROBA ZMIERZENIA SIĘ Z TEMATEM MIMO WSZYSTKO

Jednak mimo dokonanego wstępu, czemu by nie podjąć próby (i pokusić się o niemożliwe)³⁷. Tak więc:

Festiwalu nie zapoczątkował, jak sugeruje tak wielki ogrom nieodpowiedzialnych historyków (z samym panem Shrikiem na czele), rozkaz kappana Manzikerta I, pierwszego władcy Ambergris, wydany w pierwszą rocznicę założenia miasta. Nie, Festiwal jest echem o wiele wcześniejszego święta obchodzonego przez miejscowe plemię nazywające się Dogghe³⁸.

Dogghe czcili zwierze znane nam obecnie pod nazwą mothianska matwa, srogiego rodzaju kalamarnicy, bardzo prymitywnej, patrząc na nią w standardach bezkregowców, gdyż za niczym bardziej nie przepada jak za tarzaniem się w mule zascielającym dno Moth, gdzie żywi się tym, co przetacza spośród gnijących tam odpadków.

Dogghe wierzyli – z powodów utraconych dla nas wraz z większością członków plemienia – że w ciele matwy drzemia moce regeneracyjne, jak również, że zwiększa ona miłośne zdolności tych, którzy ją spożyją. W kulminacyjnym punkcie ich corocznego świętowania, odbywającego się mniej więcej w tym samym czasie, co współczesny Festiwal, wybierano jedną osobę spośród wszystkich członków plemienia, która miała zapolować na matwę. Biorąc pod uwagę to, że przeciętna rozplaszczona na dnie rzeki mothianska matwa tworzyła tam mniej więcej dwumetrowy okrąg, oraz to, że jej podstawowym sposobem obrony było wpychanie tak wielkiej objętości swego bezkregowego ciała, jak tylko się dało, zarówno w usta, jak i w każdy inny dostępny otwór ciała atakującego, faktu, że zostało się wybranym,

nie mozna bylo uwazac za zaden zaszczyt. (Wyobrazcie sobie, ze zamiast utonac umieracie pod woda na skutek uduszenia).

Bez watpienia klan Manzikerta, zawsze wyjatkwowi oportunisty, uzurpowal sobie swieto Dogghe z tak praktycznych powodow jak ten, ze znaczylo ono poczatek najlepszego ("najlepsze" jest w tym kontekscie okiesleniem wieclce wzglednym) czasu polowu kalamarnicy krolewskiej, lecz rowniez po to, by zastapic rytualy kultywowane przez Dogghe czymys posiadajacym o wiele silniejsza "magie".

Z watpliwych zrodel, takich jak chociazby autobiografia Dradina Kashmira, spisana przez niego w trzeciej osobie liczby pojedynczej, Zakochany Dradin39, mozemy wyciagnac garsc dodatkowych "faktow":

Swieto pory godowej: gdy samce walczą zaciekle o samice swego gatunku, rybacki lud wyrusza na miesieczna eskapade po obszarach rozpusty w nadziei, ze przywiezie dosc miesa, by przetrwac do nastepnej zimy.

Poza oczywistymi bledami zawartymi w tym glupiutkim fragmencie, chcialbym zwrocic jedynie uwage na jakze zalosne logiczno-jezykowe falli-scislosci bitwy. Nic takiego nigdzie nie ma miejsca, z wyjatkiem sylab zapisanych na kartach podnieczonej ultradekadenccko kwiecistej i napuszonej prozy. Opis "pory godowej/ obszarow rozpusty" przywoluje tu na mysl wieclce zdeprawowany obraz orgii macek, z wielkimi blyskajacymi swiatlami rozswietlajacymi splatane i wijace sie ciala wsciekle mlocace mul. Niestety, kalamarnice krolewskie lacza sie w pary na cale zycie i nie gromadza sie celem rozplodu40. Jedynie "owdowiale" badz "kawalerskie" kalamarnice ruszaja w poszukiwaniu pary, a sa to i tak wylacznie samotne, sporadyczne rytualy dziejace sie podczas zupelnie innej pory roku.

Nie, w rzeczywistosci zgromadzenia kalamarnic, do ktorych dochodzi w czasie Festiwalu, wydaja sie stanowic zdyscyplinowane, spokojnie zwolane narady, podczas ktorych dochodzi do dosc znaczonego intensywnego blyskania, lecz niemal wcale nie pojawia sie zadna seksualna aktywnosc.

Nie moze wyolbrzymiac niebezpieczenstw zwiazanych z zaklocaniem takich spotkan celem polowu kalamarnic. Pewnego roku Ambergris utracilo dwadziescia statkow i przeszlo szesciuset marynarzy. Przecietnie sezon polowu kalamarnic konczy sie przynajmniej trzydziestoma ofiarami smiertelnymi i utrata przeszlo dziesieciu statkow41. Nawet przypadkowy badacz, gdy dokladniej przyjrzy sie statystykom, zaczyna zachodzic w glowe, czy to aby przypadkiem nie kalamarnice zbieraja sie, by zapolowac na ludzi.

Jaki tez pozytek czerpie Ambergris ze swej corocznej ofiary w ludziach i sprzecie? Odpowiedz brzmi "obfitosc bogactw", od skory uzywanej jako szczelne zbiorniki i miesa sprzedawanego do Imperium Kalifa poczawszy, a na eksperymentalnych

paliwach dla nowych typów pojazdów motorowych opracowywanych przez Galaz Przemysłowa Hoegbottona i Synów na bazie oleju kalamarniczego i atramentu skonczywszy. Najmniejszy nawet fragment kalamarnicy jest przerabiany. Nawet jej zmielony dziób stanowi kluczowy składnik wysyłanych za granicę perfum, które ostatnimi laty przyniosły ekonomii Ambergris tak potężny zastrzyk pieniędzy (choć ledwie znikoma jego część zasilila fundusze badań nad bezkręgowcami).

KALAMARONY CZASÓW MEJ MŁODOŚCI

Nieco na marginesie połowów – być może, by wynagrodzić sobie ich nieprzewidywalną naturę – Ambergris, jak również wiele innych nadrzecznych miast Południa, przez pewien czas eksperymentowało z kalamaronami. Takie próby rozmnażania kalamarnic w częściowej niewoli były z góry skazane na porażkę: wymagały bowiem zbyt wielkich przestrzeni i zablokowania ruchu rzeczno-ego, a ponadto same rzeczono kalamarnice, mówiąc jak najbardziej ogólnie, nie były jakos wyjątkowo skore do współpracy.

Przygrybiająco znany scenariusz względem obiektu mego pożądanego powtarzał się wielokrotnie na przestrzeni mego życia, a tak dokładnie zapamiętałem kalamarony, gdyż początkowo nie wolno mi było się do nich zbliżyć na wystarczająco bliską odległość, by móc zaspokoić swą ciekawość (a kiedy wreszcie mi na to pozwolono, nie byłem w stanie czerpać z tego doświadczenia najmniejszej nawet przyjemności).

Widok rozposcierający się z ograniczonego ramy okna zamkniętej na klucz biblioteki mieszczącej się na drugim piętrze naszego domu odsłaniał Moth, wijącą się przez otwarte przestrzenie rozciągające się na zachód. Wszystkim, co byłem w stanie dostrzec nieuzbrojonym okiem, skupiając się na kalamaronach, był ledwie błysk słońca odbijającego się od ich metalu i towarzysząca temu sugestia ruchu. Ale już przy pomocy lunety, którą przemycałem do biblioteki ze swego pokoju, dało się wyróżnić niezauważone fragmenty kalamaronów: szczyty olbrzymich metalowych klatek oraz wielkie białe pontony, które je rozdzielały i podtrzymywały. Wokół wspomnianych klatek, gdzie często w swoich fantazjach dostrzegałem powoli wysuwający się koniuszki macki, widziałem krocących zamaszycie kalamarników w ich wysokich czerwonych buciorach, specjalnych kombinezonach, grubych rękawicach oraz kapeluszach o szerokim rondzie. Ich skupiona, niczym nie rozpraszana uwaga, poświęcana tylko i wyłącznie znajdującemu się przed nimi zadaniu, uwypuklała niebezpieczeństwo płynące z hodowli kalamarnic.

Mężczyźni przydzieleni do głębszych części rzeki, zawierających całkowicie zanurzone klatki z kalamarnicami, używali "kamarudel" – długich, grubych szczudła, których obsługa wymagała znacznej teźżny fizycznej, tak koniecznej do manewrowania nimi w mulistej i gęstej wodzie. Górna połowa kamarudel można było odczepić i użyć jako broni, skierowanej bądź to przeciwko uwięzionym

kalamarnicom, badz przeciwko dzikim bestiom, ktore tak czesto podejmowaly proby uwolnienia swych wspolbraci.

Z mojego miejsca widokowego, przez wybiorcze oko lunety, mozolnie stapajacy w glebszych czesciach rzeki kalamarnicy na calkowicie zanurzonych w odmetach kamarudlach zdawali sie cudownie "kroczyć" po wodzie ze wzrokiem wbitym w wirujacy im pod nogami mul. Sama praca kalamarnika wymagala kolosalnej wrażliwosci, gdyz "wyczuwali" oni kamarudlami otaczajaca ich wode, poszukujac wibracji mogacych pochodzic od zyjacych dziko kalamarnic, od czasu do czasu przeczesujac wode specjalnym hakiem trzymanym w dloni z nadzieja uchwycenia gumowatego ciala⁴². Gdy uzywano zamknietych w klatce kalamarnic jako przynety na zyjace dziko mlodociane kalamarnice krolewskie, kalamarnicy wylacznie za pomoca hakow i kalamarudel zaganiali te dzikie bestie do sieci. Przy jednej okazji zaobserwowalem nagly szalency rozbryzg wody, sugerujacy olbrzymie, ciemne cialo wystrzeliwujace z dna rzeki, po czym kalamarnik nieoczekiwanie rozplynal sie w powietrzu, pozostawiajac po sobie jedynie sterczace z wody kamarudla, wciaz jeszcze nieznacznie drgajace w powietrzu.

Nie nalezy sie wcale dziwic, ze wyrazenia "przejsc przez kalamarony" wciaz uzywa sie wzgledem uzdolnien i umiejetnosci osiagnietych dzieki zmudnej, a rownoczesnie niebezpiecznej pracy. Zwykle, gdy w drodze do Truffidianskiej Katedry⁴³ przejezdzalismy przez pobliska wies, dochodzil do mnie spiew dzieci kalamarnikow:

Och, wstrzymac prace, o to sie modle

Gdy po dniu ciezkim czuje sie podle

Glowa mi peka, gdyz spadl na nia grad

Gumiastych macek, bolesnych tak

Nog zas nie czuje, tak wedrowalem

Dzionek dzis caly, o swicie wstalem

Och, wstrzymac prace, zawrzec wierzeje

Rozpacz mnie trawi, caly boleje

Och, juz, natychmiast, zawrzec wierzeje

O ulge prosze, gdy cialo mdleje

Bardzo dlugo, gdy przez tak wiele miesiecy, zgodnie z zakazem matki dotyczacym wychodzenia z domu, tkwilem zamkniety w bibliotece, chcialem byl kalamarnikiem.

Niestety, koniec koncow spelnilo sie zyczenie wyspiwywane przez wioskowe dzieci i kalamarony zupełnie wymarły i wygasły, a ja zwróciłem się ku kalamarologii. Biblioteka zaś od tej pory kojarzyła się nie z kalamaronami, lecz z seria innych banalnych wydarzeń.

POWIAZANY KALAMALOR

Wiele z ludowych leków przypisywanych pomniejszych kalamarnicom nie sprawdza się w przypadku Krola Kalamarnic, który jest wielce oporny na to, by stać się dla nas jakimkolwiek pozytykiem. Przykładowo wiekowe już remedium, w którym "na stopach nekanego przypadłością kładziono kalamarnice", by leczyć w ten sposób ból zęba czy głowy, przyjęłoby wręcz koszmarny kontekst, gdyby niemal dwutonowa kalamarnica uniesiono, a następnie opuszczono na pacjenta. Podobnie też utarty i zmieszany z winem dziób Krola Kalamarnic wcale nie stymuluje seksualnej jurności ani też nie wyciąga z ciała trucizn pochodzących od ugryzieni jadowitych węży.

Odnosi się to również do "kalamaryszeczki" – popularnego ludowego leku zbawiającego od bólu głowy i bezsenności, uniesmiertelnionego w następujących wersach jednej ze sztuk Machela:

...kalamaryszeczke

Niechże tu wniososa, lecz ogolon tedy musisz być, Panie,

A zaraz jak rason, padniesz sniac na posłanie...

Tradycyjna "kalamaryszeczka" umieszczana na niezliczonych głowach nieszczęsników dreczonych wspomnianymi wyżej przypadłościami składała się z zamkniętej w gorącym kompresie mieszaniny surowego mięsa pochodzącego z macek kalamarnic, mleka, miodu, ryżu i wina. Pokrewne określenie "mieć kalamarnicza głowę" oznacza "być przeziębionym" – wielce stosowna i trafna metafora, gdyż przypadłości tej często towarzyszą lodowate zimno i dreszcze, odbierane, jakby kalamarnica wyciągała swe ramiona w głąb czaszki człowieka. Niestety, owa kalamaryszeczka nigdy nie została rozreklamowana jako lek na tak częste dolegliwości jak właśnie kalamarnicza głowa. Ubolewam również nad faktem, że niektórzy ludzie cierpią na permanentną postać kalamarnicznej głowy. (Nie wspominając już o "kalamaroguciku", wyjątkowo odstającej fryzurze).

W rzeczywistości przepisy na potrawy z kalamarnic krążyły po świecie od wielu wieków, co zilustrowano chociażby w dziecięcym wierszyku, który można odnaleźć w Kalamarnicznym elementarzu Akademii w Blythe:

Gdy kalamarnica w ciście

Trysnie cie woda, nie ciesz sie

Twoj przysmak bowiem jest niezbyt gotow

Gdy macki mu drgaja i rwie sie do lotu

By ciebie dopasc, dziob jej rozwarty

I klap, klap, klapie, kres niosac uparty

Ambergrianskie Towarzystwo Smakoszy spisalo niemal tysiac siedemset piecdziesiat dwa przepisy na potrawy z kalamarnic (i to tylko i wylacznie pochodzace z samego Ambergris).

Wiele powiazanych z kalamarnicami slow wkroczylo do ambergrianskiego slownictwa. "Ambilokwentny" wciaz znaczy co prawda byc zrecznym w pustoslowiu, lecz "kalamarokwentny" jest juz o wiele mocniejszym "komplementem". "Kalamarczyni" sprzedaje kalamarnice, a "kalamarczyk" jest – w przeciwnienstwie do "kalamarnika" – czlowiekiem zajmujacym sie kalamarnicami celem zapewnienia innym rozrywki (dobrym przykladem kalamarczyka bylby Bauble). "Kalamarniczowka" to popularna kalamarnica blotna umieszczana w pokojach hotelowych podczas Festiwalu, majaca przyniesc szczescie ich mieszkancom. Slosa "kalamarniacz", rzadko stosowanego obecnie, gdy kappani przestali rzadzic Ambergris, zwykle sie uzywac wzgledem czegos, co mozna jedynie opisac jako pewien rodzaj zdobionego ochronnego akcesorium nakladanego na ubranie, ktorego zadaniem jest oslona genitaliow. "Abkalamarokwidium" zas odnosi sie do slownego aktu oddania wyrazanego w modlitwach Kultow Kalamarnicznych.

Oczywiscie najslynniejszym aspektem calego kalamaroloru jest jednak kalamarotropia.

KALAMAROTROPIA

Kalamarotropia nie jest, jak niektorzy blednie sadza, domena kalamarnicznych filantropow, lecz raczej forma domniemanego pomieszania zmyslow, w ktorym czlowiek wyobraza sobie, ze jest kalamarnica. Moze sie to skonczyc tym, ze dotkniety nia wyrusza w strone wody, probujac polaczyc sie ze swymi kalamarnicznymi wspolbracmi, co czesto owocuje smiercia, jesli juz mam byc tu absolutnie szczery. Badz tez jest to ledwie kwestia zaburzonej fizjologii: cierpiacy moze wierzyc, ze tonie, wciaz jednak znajdujac sie na suchym ladzie, czy tez odczuwa brak skrzeli, plaszcza, badz utrate zdolnosci chodzenia, i nieoczekiwanie odkrywa, ze plywa w publicznych fontannach.

Najbardziej oddani sprawie kalamarolodzy amatorzy zawsze beda czuc empatie

względem ukrytego, podskornego pragnienia kalamarotropii. To nie tylko pusta obietnica, żadna pogrozka dziwaka. To po prostu jedyny sposób, by spełnić marzenie z dzieciństwa: zrozumieć kalamarnicę we wszelkich jej przejawach. Jakiz kalamarolog nie wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby tylko posiadał płaszcz? Jakiz kalamarolog w dzieciństwie, podczas ochlapywania wodą przyjaciół – i nieważne, czy miał ich wielu, czy ledwie znikoma garstkę – nie rozmyślał, o ile zabawniej byłoby posiadać lejek? To nieuniknione, że w pogoni za przedostaniem się w skórę Króla Kalamarnicy kalamarolog uczy się myśleć jak kalamarnica. Tak, jak detektyw prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa traci się i gubi swe jestestwo, zatracając się w tożsamości mordercy, czasem i kalamarolog może zatracić się w tożsamości kalamarnicy (która, co przyznaje tu zupełnie szczerze i otwarcie, nie popełniła żadnej zbrodni). Fakt, że garstka spośród tych, którzy znaleźli się po drugiej stronie, nie wraca do "zdrowych zmysłów", jest czymś, czego należy oczekiwać – i czemu, być może, należy się pokłask. Ci, którzy przez całe swe życie ścigają pojedynczą obsesję, nie powinni być strofowani i karceni za osiągnięcie swego celu. Czyz ukaralibyśmy artystę za to, że w ostatnim przebłysku splamionego szalenstwem geniuszu stworzył swe arcydzieło, na które cały świat czekał od samego początku jego kariery? By wszystko było jasne – w kalamarotropii kalamarolog amator marzy o wykonaniu ostatniego, synergistycznego skoku, pokonując przestrzeń, która oddziela obserwatora od obserwowanego, pacjenta od lekarza. Lekarz zglebia, czym stał się pacjent, a pacjent tęskni i wzdycha, by rozgryźć i zrozumieć samego siebie. Współzależność i następstwa zdają się tutaj wyjątkowo jasno widoczne⁴⁴... > PRZYPISY <

CZESC IV – UJAWNIEŃ TRAFNEJ NAUKOWEJ TEORII, WYJASNIAJĄCEJ SZEREG POD KAŻDYM INNYM

**WZGLEDEM ZASTANAWIAJĄCYCH ZAGADNIENI, OD
DLUŻSZEGO**

TEORIA

Teraz, gdy wreszcie dotarliśmy do krytycznego punktu, winieniem zacząć od rzucenia z tekstu, niczym skory, mej przerazająco okropnej rozwlekłości. Me słowa, co obiecuje, stana się teraz zarówno pewnie brzmiące, jak i raczej, jakby me stopy różniły się od tych znanych wszystkim poetom (taka to kalamorologiczna przelotna fantazja⁴⁵). Uświadamiam sobie bowiem, że do tej pory, w większości tego, co napisałem, dokumentowałem raczej niedorzeczne teorie innych ludzi, z nadzieją, że wyperswadowuje czytelnikom wszelkie pokładanie w nich wiary. Jednakże błagam teraz wszystkich czytających te słowa o odrobinę tolerancji i wyrozumiałości, gdyż zaraz również i ja podzielę się z wami własną, popartą badaniami naukowymi teorią dotyczącą Krola Kalamarnic oraz wytłumacze jej podstawy. Wynika ona z mego nieustannego i wyczerpującego zglebiania tej wielce fascynującej istoty⁴⁶, zarówno w jej naturalnym środowisku, jak i w płaskim, dwuwymiarowym istnieniu na kartach różnorodnych książek. (Przez cały czas starałem się powstrzymać przed tym tematem, by zabrac się za niego pełnym glosem dopiero pod sam koniec niniejszej monografii, gdy czytelnik jest najbardziej podatny i gotowy na to, co raczej w świetle dnia, którym jawi się początek tego eseju, niż w zmroku jego końca, mogło zdawać się absurdalne. Lecz teraz jestem już zobligowany, by to przedyskutować).

Wszelkie wstępy są zbędne. Pokroć chodzi o to, że jestem przekonany, iż Krol Kalamarnic, owa kalamarnica krolewska, służy szarym kapelusiom jako nosiciel hodowanego przez nie grzyba zwanego Krolem Grzybów – to właśnie owe purpurowe kliny zła, tak rozpowszechnione na ulicach i w budynkach mieszkalnych Ambergris tuż przed wielkim morderstwem zwanym Cisza. Nie sugeruje tu, jak niektórzy, że to tylko i wyłącznie spory szarych kapeluszy powodują przemoc i dezorientację, jaka jawi się Festiwal. Nie, prawda, drogi czytelniku, jest bardziej podstępna i napastliwa. Bowiem to właśnie owa jakże unikalna symbioza grzyba i kalamarnicy powoduje, że wciąż pozostajemy w podświadomej niewoli szarych kapeluszy⁴⁷. Nie powinniśmy jeszcze mieszać kalamarnic, gdyż zostało ono zainfekowane grzybem. (A mówię te słowa, odsuwając chwilowo na bok własne obowiązki adwokata kalamarnic). Czy też, by być bardziej specyficznym, grzyb rozwija się po cichu w ciele kalamarnicy. Grzyb w kalamarnicy.

Laikowi zapewne wyjątkowo trudno zrozumieć czy zaakceptować taki pomysł, ale opieram się na bardzo przekonującej i niepodważalnej intuicji bezkregowców. Kalamarologom już od dawna nie dawało spokoju pytanie, jak Krol Kalamarnic jest w stanie osiągnąć tak jaskrawe natężenie czerwieni i zieleni, która płonie światłem, gdy znajduje się pod wpływem stresu, głodu czy też w trakcie załotów – widoczne wtedy natężenie koloru jest nieosiągalne u żadnej innej kalamarnicy, a tak osobliwie podobne do światła obserwowanych nad ziemią Alfar bezpośrednio przed masowym morderstwem, jakim była Cisza. Nie wspominając już o dowodach świadczących

o inteligencji kalamarnic, ich wypadach w glab ladu oraz wiadomosciach zapisywanych na ich pulsujacej skorze, ktore przeslali kalamarologom.

Jako ze wszystkie wyzej wymienione zdarzenia mialy miejsce w przeciagu ostatnich stu lat, jestem absolutnie przekonany, ze dopiero niedawno szare kapelusze rozpoczely, uzywajac do tego celu swych metalowych lodzi podwodnych, karmienie Krola Kalamarnic specjalnym grzybem. To karmienie zwiekszylo zarowno intensywnosc koloru skory kalamarnic, jak rowniez ich pomyslowosc, rownoczesnie tak zakazajac ich mieso, ze my, Ambergrianie, stajemy sie coraz bardziej podatni na spory szarych kapeluszy w czasie (tak ironicznie nazwanego) Festiwalu Slodkowodnych Kalamarnic. Od kalamarnicznych stekow poczawszy, na potrawkach z kalamarnicy skonczywszy, z kazdym kolejnym mijajacym rokiem zatruwamy sie coraz bardziej. Co za tym idzie, festiwalowa przemoc coraz bardziej przybiera na sile, zataczajac coraz szersze kregi⁴⁸.

O ile niniejsza monografia ma posluzyc jakiemukolwiek pozytecznemu celowi poza prozaicznymi i przyziemnymi, to ma za zadanie ostrzec przez spozywaniem miesa kalamarnic.

WIZJA

Podobna Wizja nie powinna zajmowac miejsca w tak powaznej monografii, lecz skoro posunalem sie juz tak daleko, dosc niechetnie spogladam na wstrzymanie sie w miejscu. Owa wizja nawiedzala mnie, gdy jeszcze spozywalem mieso kalamarnic. Niestety, nawet w chwili obecnej, wiedzac to, co wiem, i bedac tym, kim jestem, nie potrafie porzucic spozywania ich miesa, tak mocny jest bowiem przymus narzucany nam przez drzemiacy w ich wnetrzu.

Wizja, ktora nawiedzila mnie podczas snu w ostatnich miesiacach, warta jest tych pokroju Hellatose'a: podrozuje w niej poprzez wielki bezmiar pustki Czasu, ktory, przelatuje obok mnie rownie szybko jak chmury przelewajace sie przez niebo podczas burzy, a gdy tak przeplywa, dostrzegam, jak kalamarnice zajmuja coraz to wieksze polacie suchego ladu. Ich czarujace oczy okryte sa sferami wody, a skora ma kolor polprzezroczystego srebra, podczas gdy prawdziwi mieszkancy Ambergris, karmieni sporami i miesem zwierzat bardziej od nich inteligentnych, staja sie coraz bardziej wodnisci i chorzy, ich ciało zaczyna byc wilgotne, nabiera ziemistego koloru i staje sie coraz bardziej pozbawione wszelkich kosci, az wreszcie kalamarnice zajmuja ich miejsce, a obecni Ambergrianie wycofuja sie z powierzchni, by zniknac w wodach, jakby nigdy nie byli w tym wielkim miescie niczym innym jak jedynie fikcja, wymyslem, widmami, kuleczkami zakazanej skory i tluszczu – sa zbyt oszolomieni i dekadency, by stanac twardo, przeciwstawic sie i walczyc, gdy szare kapelusze zalewaja miasto, a my, tak dlugo przygotowujacy sie do inwazji, wpadamy i rozpraszamy sie po Ambergris, nasze ramiona i macki owijaja sie wokol budynkow i

pojazdow, tych kamieni poznaczonych pazurem i przyssawka, gdy ludzie, blada, podprzedna klasa, biale podbrzusze miasta, staja sie ledwie slugami naszej woli.

Przednia straz i zwiadowcze wypadki rozpoczely sie dawno temu – czymze innym mogly byc owe kalamarnice otoczone kroplami wody, ktore opuszczaly swe podwodne krolestwo? Nie bylbym wcale zdziwiony, gdyby Krol Kalamarnic znalazl sie juz pomiedzy nami, w naszych szeregach, ich szpiedzy wszak na tyle udoskonalili sztuke kamuflazu, by moc replikowac zarowno otoczenie, jak i ludzi.

Istnieja idioci, ktorzy jednak umkna swemu przeznaczeniu w sposob bardziej doslowny, jak rowniez z wielkim pospiechem. Ich srodki sa niemal rownie proste jak oni sami, a jednak sa ich cale miriady – skradajacy sie do szafek z lekami, ostrzacy lyzki, przygotowujac sie do podciecia sobie nadgarstkow, zdzierajacy z siebie ubrania, by zawiazac je w petle. Widac ich wszedzie. Widac ich przez caly czas. Zaden z nich w obliczu smierci nie pojmie tajemnic wlasnego zycia, a ja nie zazdroszcze im tego stanu, nawet jesli moja transformacja wciaz nieustannie zdaje sie tak bardzo odlegla. › PRZYPISY ‹

› BIBLIOGRAFIA ‹ (SPORADYCZNIE ZAOPATRZONA

W KOMENTARZE)

Ponizsza bibliografia pozwoli czytelnikowi szerzej przesledzic tematyke wylozona w niniejszej monografii. Wiele z ponizszych ksiazek przywolalem calkowicie i zupelnie z pamieci; ich oryginaly nawiedzaly polki mojej dawno juz porzuconej domowej biblioteki, tak dobrze zapamietanej z czasow dzieciinstwa. (Co za tym idzie, ponizsza bibliografia sluzyc jako swego rodzaju memorial tej jedynej zalety tamtych czasow). Jesli chodzi o daty publikacji, nawet ksiazki odnalezione w tak banalnej i zalosnej bibliotece, do ktorej mam obecnie dostep, z wielkim prawdopodobienstwem sa wrecz beznadziejnie antykwarycznymi wydaniem. Wiekszosc stanowia badz ogolnie dostepne tomy, badz tez okazy tak rzadkie, ze kwestia ich daty wydania staje sie wielce sporna i dyskusyjna, nawet gdybym byl w stanie ustalic takowe daty z czymkolwiek chocby zbliozonym do jakiegokolwiek spojnosci. Gdzie wydawalo sie to konieczne, umiescilem (w nawiasach tuz po podstawowej informacji bibliograficznej) wlasne komentarze na temat poszczegolnych ksiazek, z nadzieja, ze kilka dodatkowych slow z mojej strony doda niniejszej bibliografii pewnej uzupelniajacej, mimo iz niekoniecznie znaczacej, wartosci. **Absence Thrasher T.: Kamuflaz Kalamarnic: Co tez one staraja sie ukryc? Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron. Aldrich Clyde: Kalamarnica? Wydawnictwo Odlegle Dzwony. Alians John: Hoegbottonski przewodnik po nimfomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Alsop Seymour: Amoniak miedzy starymi dziobami: Eseje i idylle milosnika kalamarnic. Wydawnictwo Dyfold.**

(Precyzyjna, jeśli chodzi o zawarte w niej dane, będąc równocześnie kompletnie fałszywa, jeśli chodzi o konkluzje). Anonim: Hoegbottonska księga absurdalnych synonimów. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Anonim: Hoegbottonska księga mało znanych obelg i zniewag. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Anonim: Hoegbottonski przewodnik po terminologii psychologicznej. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Babbit Cynthia: Książeczka pełna kalamarnic do kolorowania dla dzieci, zawierająca również trzy urojone kalamarnice. Wydawnictwo Libyrrinth. Barmardot Allison: Kalamarcha i jego wodny świat. Wydawnictwo Niceanskie.

(Interesujący wywód i dyskusja surowo nakreślonej formy rządów kalamarnic). Batton Sarah (red.): Magazyn Obserwacji Kalamarnic, roczniki 1-23. Wydawnictwo Odstępczego Mieczaka. Bender Voss: Bender dla przybrzeznej lektury. Frankwrithe Lewden. Bender Voss: Libretto z kalamarnica. Frankwrithe Lewden. Bender Voss: Obalenie zarzutów, jakoby kilka spośród mych oper powstało przy pomocy arii stworzonych kalamarnicza macka, "Przegląd Teatralny Ambergris", rocznik 234, numer 12. Publikacje z Pierwszego Rzędu.

(Gdybyz były). Bentinck Bargin: Biblioteka Roberta Quilla jako przykład kalamarofilii. Wydawnictwo Księgarni Borges.

(Biblioteka Benticka znacznie przewyższała należąca do moich rodziców, szczególnie pod względem książek podejmujących tematykę kalamarnic. Jedną z większych tragedii mojego życia jest fakt, że nie byłem w stanie jej odwiedzić. Gdybym tylko to zrobił, z pewnością blogo przycmiłaby me wspomnienia związane z tomami o czerwonych grzbietach zaskielającymi polki naszej rodzinnej biblioteki). Blade Jeremy: Hoegbottonski przewodnik po oikomani. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Blei Frank: Zaborcze kalamarnice z zagranicy: Goście, którzy nas nigdy nie opuszczają, "Morrowianski Kwartalnik Dzikiej Przyrody", rocznik 400, numer 4. Mandible Crossclaw. Bordman Ann K.: Kalamaropolis. Gwar i Szum Press.

(Powieść, bo tym jest ta książka, jest dziełem fikcji, bliźniakiem mych prac naukowych i, przy braku kwiecistości i napuszenia charakterystycznego dla mojej prozy, ta lepsza połowa). Brecht Richard Jr: Kalamarnie niezłomna postać: Życie kalamarniczego boksera. Powab Press. Breitenbach Joseph A.: Domowe ćwiczenia pletwy ogonowej, opublikowane "Kalamarolog Amator", rocznik 19, numer 7. Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarnicze.

(Całkiem poręczne i przydatne – te ćwiczenia istotnie wzmacniają ramiona). Breitenbach Joseph A. (red.): Hoegbottonski przewodnik po codziennych manierach glowonogów (broszurka). Hoegbotton i Synowie. Breitenbach Joseph A.: Hoegbottonski katalog cenowy kolekcjonerskich ceramicznych figurek kalamarnic (broszurka). Hoegbotton i Synowie. Breitenbach Joseph A. (red.): Hoegbottonski katalog części do słodkowodnych filtrów klasy kalamarniczej. Hoegbotton i Synowie. Breitenbach Joseph A.: Księga zmysłów kalamarnic. Konsorcjum Wydawnicze Alfar.

Breitenbach Joseph A.: Rytuały godowe kalamarnic słodkowodnych (wydanie ilustrowane). Hoegbotton i Synowie.

(Książka tak zdeprawowana, jak to tylko możliwe. Sprośna i lubieżna – dodatkowo uzupełniona o trudne do przesłania diagramy). Brek George: Kalamarnica a głowa rzucająca cień: Filozoficzne centra Nowej Sztuki. Wydawcy Tarzii.

(Bardziej przypadają mi do gustu poglądy na Nową Sztukę ogłoszone w książkach autorstwa Rogers z serii Dreczających kalamarnic). Brisk Susan: Ilustrowana księga kalamarnic. Hoegbotton i Synowie. Brisk Susan: Kompendium wszelkich dźwięków wydawanych i powiązanych z kalamarnicami. Wydawnictwo Miast Południowych.

(Czym, mogłobyś zapytać, są owe dźwięki powiązane z kalamarnicami? To niespodziewany strumień wody wylatujący z lejki. Mokry odgłos uderzenia macki o poręcz balustrady. Przyssawki zaciskające się na skorze). Brong Maxwell: Klasyczne błędne rozumowanie zawarte w dziełach Jonathana Madnoka. Wydawnictwo Demaskator.

(Wpisałem tu ten zupełnie zniekształcony i potworny tekst jedynie po to, by dostarczyć czytelnikowi zrównoważonej bibliografii. Żadne, nawet pojedyncze słowo w tej książce, z wyjątkiem być może pewnych spójników i przyimków, nie zawiera ni ziarna prawdy). Burden Rosetta: Monogramy i emblematy głowonogów. Dom i Ogród. Burke K. Craddock: Krótkie życie kalamarnicznych kultów. Annale długiego dziedzictwa. Hoegbotton i Synowie.

(Kalamarniczne kultury wpływały na nas od czasów wzrostu znaczenia plemienia Dogghe. Ta fascynująca książka śledzi ich rozwój i jakże częste upadki. Najbardziej interesujący rozdział wyjaśnia złożoność Kultu Głowy Kalamarnicy, który wyłonił się podczas miejscowych zamieszek wywołanych przez Czerwonych i Zielonych). Burlveener William Barnett: Encyclopedyja Cephalopodia. Frankwrithe Lewden. Burlveener William Barnett: Podrecznik przewodnik wytwórcy atramentu. Wydawnictwo Księgarni Borges.

(Pozycja najbardziej istotna ze względu na mniej znana kapryśną stronę Hellatose'a tresowanej kalamarnicy). Burlveener William Barnett: Wyborny kalamarnik. Wydawnictwa Przygod na Świeżym Powietrzu. Butterhead R.G.: Podrecznik poskramiacza kalamarnic. Wydawnictwo Wedkarskiego Haczyka. Butterhead R.G.: Podwójne folio głowonogów: Historia wystawy Daffeda "Kalamarnice Ambergris". Hoegbotton i Synowie. Cane Albert: Kalamarotropia: Powody i właściwe reakcje. Wydawnictwo Współczesnej Psychiatrii.

(Jeden z kilku lekarzy, którzy uchwycili i zrozumieli prawdziwą naturę tego tragicznie błędnie pojmowanego zjawiska). Chisler John: Hoegbottonski przewodnik po antomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Chisler John: Hoegbottonski

przewodnik po paramanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Clark Machen: Kalamarnica na naszych plecach, macki w naszych mózgach: Relacja z pogrążenia się w otchłani szalenstwa. Wydawnictwo Skarg i Krzywd. Cram Louis: Biblia kalamarofilii. Wydawnictwo Miłośników Kalamarnic. Cram Louis: Spis ambergrianskich klubów kalamarnicznych (z opisem). Wydawnictwa Czarnorynkowe.

(Kalamarnicze kluby, wyjaśnienie dla niewtajemniczonych, stanowią jedną z najbardziej nieprzyzwoitych tajemnic Ambergris. Znacznie różnią się między sobą pod względem degeneracji, od takich, w których zaledwie można obstawiać walki kalamarnic, po takie, w których wprost na twoich oczach gotują ci kalamarnice. W niektórych z najmniejbezpiecznych miejskich przybytków można nawet wziąć udział w rozpuszczeniu, którą najlepiej pozostawić tu w cieniu niewypowiedzianych słów). Cram Louis: Wielka księga glowonogów. Wydawnictwo Miłośników Kalamarnic. Cross Templeton: Analiza wezwań i krzyków godowych kalamarnicy karmazynowobyczej, "Biuletyn Nauk Historii Mieczaków", rocznik 676, numer 6. Wydawnictwo Libyrinth. Cross Templeton: Maestrowie glebi: Propozycja mająca na celu skorygowanie naszych poglądów dotyczących inteligencji kalamarnicy karmazynowobyczej,

"Biuletyn Nauk Historii Mieczaków", rocznik 678, numer 4. Wydawnictwo Libyrinth. Cross Templeton: Sugestia dotycząca dokonanej przez Rooka błędnej interpretacji wezwań i krzyków godowych kalamarnicy karmazynowobyczej, "Biuletyn Nauk Historii Mieczaków", rocznik 679, numer 12. Wydawnictwo Libyrinth. Ditchfield Marc: Kalamarnice niosące śmierć swoim właścicielom. Frankwrithe Lewden.

(Ze zdziwieniem przeczytałem o tym, jak wiele kalamarnic w całej długiej historii Ambergris przyniosło śmierć swoim właścicielom). Dormand Samuel T.: Hoegbottonski przewodnik po bruksomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Dormand Samuel T.: Hoegbottonski przewodnik po patomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Drabble Smocke: Kompletny słownik wszelkich typów kalamarnic, z niewielkimi, lecz zrozumiałymi szkicami ramion i dziobów. Wydawnictwo Wielkiej Różnorodności.

(Słownik – to prawda – jest kompletny. Niestety wspomniane w tytule szkice nie są nawet w najmniejszym stopniu zrozumiałe, zwykle bowiem składają się z serii spazmatycznych bazgrołów). Dribble Larken: Atramenty kalamarnic: Katalog glowonogiej osobistej i politycznej satyry ze zbiorów Ambergrianskiego Departamentu Licencjonowania Publikacji Prasowych. Wydawnictwo Ambergrianskiego Departamentu Licencjonowania Publikacji Prasowych. Dundas Elayne: "I doszły mi słuchy o mieczakach w twoim uchu": Humor ludowy wśród polawiaczy kalamarnic w delcie rzeki Moth. Publikacje Tarzii.

(Tak to więc właśnie mówili do siebie kalamarnicy doglądający kalamaronów! Odkrycie tej książki pewnego lepkiego od potu, upalnego dnia w środku lata, gdy tkwiłem uwięziony w bibliotece, było dla mnie prawdziwym objawieniem, niosącym i

blogosc, i udreke. Nadala ona bowiem glos tym jakze odleglym mezczyznom widocznym dla mnie wylaczenie dzieki lunetce). Enamel George: Hoegbottonski przewodnik po cheromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Enamel George: Hoegbottonski przewodnik po faneromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Evens Langerland: Aktywnosci godowe kalamarnic poludniowej nadbrzeznej rowniny w poznym okresie pretrillianskim. "Przeglad Kalamarologiczny", rocznik 29, numer 11. Morrowianskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Everlane Brian: Kalamari Jenkins: Wielcy zawodowi bokserzy lat bylych, tom 9. Wydawnictwo Miast Poludniowych.

(Gerald Jenkins otrzymał swój przydomek "Kalamari" z powodu błyskawicznego zadawania ciosow, które czasem sprawialy wrazenie, ze jego ramiona rozmnozyly sie do liczby bardziej kojarzonej z glowonogami). Everlane Brian: Kalamarnica dzentelmen. Frankwrithe Lewden.

(Ryzykowna, acz rownoczesnie pikantna powiesc opisujaca ze szczegolami upadek wielce obiecujacego mlodego architekta, który stara sie, bez powodzenia jednak, zapanowac nad swa wlasna obsesja zwiazana z kalamarnicami. W przywolaniach w tekscie owianego wyjatkowo zla slawa kalamarniczego klubu Oleander – zamknietego dwadziescia lat temu – drzemie wielka sila). Fain Corbett: Analiza, kalamarnicznych odchodow zebranych w rozmaitych i wielce roznorakich miejscach wokol miasta, opublikowane "Kalamarolog Arnator", rocznik 10, numer 5. Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

(Im mniej powiedziane, tym lepiej). Fain Corbett: Osobliwosci matwy niceanskiej odkryte w drugim portfolio tabliczek Kalamarnicznych Louisa Verdena. Wydawnictwo Miast Poludniowych. Farmore Arhtur: Babelki unoszace sie ku powierzchni: Przypadki nietaktow wsrod Kalamarnic, opublikowane "Kalamarolog Amator", rocznik 19, numer 7. Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

(Farmore, a nie mam co do tego najmniejszych nawet watpliwosci, z prawdziwa przyjemnoscia pewnie zamienilby slowko z Fainem – obaj zabierali sie za temat od tej samej strony kalamarnicy). Feaster Elaine: BH: poszlakowe dowody, "Kalamarolog Amator", rocznik 44, numer 4. Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Feeney Dora: Hoegbottonski przewodnik po poriomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Fisher Marian T: Aporia Wrede'a: Obalenie hydroterapii uzaleznionej od plci, "Wspolczesne Remedia Pochodzace z Glowonogow", rocznik 21, numer 7. Wydawnictwo Libyrinth. Fisher Marian T.: Rozlany atrament: Dekonstrukcjonistyczna krytyka wredianskiej metodologii, "Wspolczesne Remedia Pochodzace z Glowonogow", rocznik 21, numer 11. Wydawnictwo Libyrinth. Flack Harry: Arkusz przyjec Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera. Flack Harry: Dzikie i brutalne przygody Lowcy Kalamarnic w dziczy. Hoegbotton i Synowie. Flack Harry: Formularz ewaluacji pacjenta Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera. Flack Harry: Formularz rejestracji w klinice Instytutu Psychiatrycznego

imienia Vossa Bendera. Flack Harry: Kolejne smiertelne, lecz prawdziwe przygody Lowcy Kalamarnic. Hoegbotton i Synowie. Flack Harry: Najnowsze, przerażające, acz wciąż dziwacznie wspaniałe przygody odwznego Lowcy Kalamarnic. Hoegbotton i Synowie.

(Najprawdopodobniej najlepszy tom całej serii o owym twardzielu. Jak na ironie, naprawdę zaczytywałem się nimi jako dziecko, by w zupełności je odrzucić już jako dorosły). Flack Harry: Powrót Lowcy Kalamarnic i jego przerażająco niebezpiecznej profesji. Hoegbotton i Synowie. Flack Harry: Przewodnik po regulacjach wewnętrznych Instytutu Psychiatrycznego imienia Vossa Bendera. Flack Harry: Tropienie kalamarnic w kraju i za granicą. Wydawnictwo Niebezpiecznych Działan. Flaunt Contense T.: Jak uporządkować bibliografię celem wywarcia jak najmocniejszego wrażenia na czytelniku. Konsorcjum Życie z Pisania. Flex Drednaught: Ujawnienie tajemnic słodkowodnych kalamarnic. Wiara sp. z o.o. Floxence Edna: Tajemniczy świat słodkowodnych kalamarnic. Wiara sp. z o.o. (Bezowocne!) Forrest Hayden A.: Dzioby w zlewkach: Historia nauk kalamarnicznych. Wydawnictwo Medycyny Mieczaków.

(Kłopotliwy i wielce meczący tom, w którym elektryczne eksperymenty na kalamarnicach oraz szarpnięcie nerwy badania sprawiają, że nawet w chwili obecnej kule się ze współczucia dla ich podmiotów). Forrest Hayden A.: Głównogopodektomia w teorii i praktyce. Wydawnictwo Medycyny Mieczaków. Forrest Hayden A.: Zapasy kalamarnicze dla zabawy i zarobku. Klub Wydawnictwa Engelbrechta. Forrest Hayden A.: Otwarte i szczere potępienie zapasów kalamarnicznych. Wydawnictwo Szesciu Drzwi.

(Umysłowo niedorozwinięci teoretycy nie powinni się nawet tykać kalamarologii!) Forrest Hayden A.: Słynni mackofeliacy. Snark i Corki.

(Nawet sam Trillian, jak się okazuje, był jednym z nich – podobnie zresztą jak większość jego Bankierów-Weteranów). Forrest Hayden A.: Świt Krakena: Badania postcelebracyjnych wzorów snu wśród uczestników Festiwalu. Inwestygacje Wrya sp. z o.o. Fragnall Dibdin: Taplanie się w wodzie przy dokach: Ekstaza płynąca ze zbieractwa. Frankwrithe Lewden.

(Tom zaprawdę potwierdzający powołanie dla każdego kalamarologa z aspiracjami. Dibdin rozumie kalamarniczą subkulturę lepiej niż ktokolwiek inny spośród żyjących autorów). Fragnall Dibdin: Popularna księga kalamarnicznych fałszerstw. Frankwrithe Lewden. Furness Raymond, Leepin Paulina: Kilka interesujących metafor przekazanych nam przez Krola Kalamarnic (broszurka). Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Furness Raymond, Leepin Paulina: Krol Kalamarnic i jego taktyki nocnego skradania się do ofiar. Wydawnictwo Myszołów. Furness Raymond, Leepin Paulina: Moc przyssawek u młodocianych osobników kalamarnicy krolewskiej. Niceańskie Wydawnictwo dla Rozwoju Nauki. Furness Raymond, Leepin

Paulina: Porozumiewanie się kalamarnic w warunkach metnej wody (broszura). Wydawnictwo Kolektywu Leopolda. Furness Raymond, Leepin Paulina: Przerazający Król Kalamarnic przemawia. Wydane własnym sumptem. Furness Raymond, Leepin Paulina: Socjologiczne znaczenie rozmiaru dzioba w społeczeństwach kalamarnic królewskich. Wydawnictwo Miast Południowych. Furness Raymond, Leepin Paulina: To, czego nie można powiedzieć na głos: Prawdziwy powód inteligencji kalamarnic. Wydawnictwo Głównog.

(Mimo iż jest to niezbyt często cytowane dzieło na kartach mej monografii, jednakże to właśnie ta książka w głównej mierze wpłynęła na argumenty mojego wyводу dotyczącego inteligencji kalamarnic). Furness Raymond, Leepin Paulina: Utrata godności w obliczu przesładowan: Naukowcy zmuszeni do zebrania o jedzenie (wydanie wielkoformatowe). Wydane własnym sumptem. Furness Raymond, Leepin Paulina: W mrok atramentu kalamarnic: Nasza osobista wyprawa w zapomnienie (broszura). Wydane własnym sumptem. Furness Raymond, Leepin Paulina: Zdyskredytowani: Dlaczego staliśmy się celem niesprawiedliwego wysmiewania i przesładowan ze strony innych kalamarologów (broszurka). Wydane własnym sumptem. Furness Raymond, Leepin Paulina: Żywoćne podobieństwa pomiędzy kalamarnicą królewską a skamoonką kalamarnicą lodową obszarów najdalej wysuniętych na północ. Wydawnictwa Nieobecne. Gambol Nils: Błyskody: Wpływ macek kalamarnic na ambergrianskie salony fryzjerskie. Publikacje Obgryziesz Paznokcie Az Do Krwi.

(Można rozważać widoczne ostatnio przelotne mody w stylach fryzur i innych przystrojen głowy jako swego rodzaju pasywna kalamarotopie – mimo iż dla kogoś w pełni dotkniętego powyższą przypadłością bez wątpliwości zda się to brutalnym nasmiewaniem). Gervers Nicholas: Pierwsza i ostatnia kalamarnica. Wydawnictwo Johannes. Giflank Henry: Hoegbottonski przewodnik po kresomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Giflank Henry: Hoegbottonski przewodnik po pseudomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Gort Joan: Dane dotyczące sprzedawców Kalamarnic pobierających zapomogi z budżetu według numeru licencji oraz statystyk morskiej fratrii: tom 7 statystycznego przeglądu mothianskiej samorządności, z liczbami przedstawiającymi zmiany na stanowiskach państwowych w okresie rozdziału władającego rządu. Archiwa Dokumentów Publicznych Tarzii. Gort Marmy (red.): Hold dla kalamaromana: Eseje dotyczące Głównogów zapisane przez Clyde'a Aldricha z okazji jego 75. urodzin. Wydawnictwo Ambergrianskiego Towarzystwa Kalamarologicznego. (Miałem niewątpliwie wielką przyjemność osobiście spotkać się z Clyde'em Aldrichem podczas tego przyjęcia. Cokolwiek można myśleć o jego nedorzecznych teoriach, pasja tego człowieka do kalamarologii zrobiła o wiele więcej dla usankcjonowania tej jakże szlachetnej nauki niż setki o wiele bardziej logicznych teoretyków). Gort Marmy: Siedem bluznierczych właściwości atramentu Króla Kalamarnic, opublikowane "Kalamarolog Amator", rocznik 15, numer 3. Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Gort Marmy: Szczegółowy

pamiętnik plesni. Wydawnictwo Wielkich Chwil w Nauce.

(Ten nudny tom opisuje nam ze szczegółami, na ponad trzystu długich kartkach, życie grzyba rosnącego na brzegu rzeki; jednakże wreszcie w koncówce zawartej tu relacji pojawia się pewne wynagrodzenie tej jakże długiej lektury dla kalamarologa amatora, gdyż na krótką chwilę wystrzeliwuje wtedy z wody macka, a następnie znów znika w toni). Gort Marmy: Uwagi i komentarze skierowane do ignorantów-miłośników kalamarnic, opublikowane "Kalamarolog Amator", rocznik 11, numer 5. Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

(To wystąpienie jest bodajże najzabawniejszym odparciem ignorancji, jakie kiedykolwiek wydrukowano. Ma formę rozmowy toczonej między dwiema kalamarnicami, które przeprowadzają autopsje utopionego człowieka. Ich błędne określenie zarówno części ludzkiego ciała, jak i wykonywanych przez nie funkcji – serce określa tu mianem nowotworu, wątroba zaś staje się dla nich niewłaściwie ułożonym językiem – wciąż wywołuje mój chichot). Gort Volmar: Historia istot posiadających macki. Wydawnictwo Miast Południowych.

(Lektura być może odrobine zbyt wyszukana – na przykład, osobiście nie uważam za istoty posiadające macki, no chyba że urodzą się zdeformowane). Griffin Magni: Kalamarnica, której już nie ma: Eksploracja wymarłych kalamarnic białozjawnych. Wydawnictwo Walfer-Barrett. Halme J.P.: Kalamarnice, które osiadły na mieliznie. Wydawnictwo Miast Południowych. Halme J.P.: Obdarzona komentarzem bibliografia odnosników wiążących się z biologią, polowaniami i zarządzaniem kalamarnicami. Wydawnictwo Miłośników Kalamarnic. Halme J.P.: "W tej rzece czają się giganty": Potwory i tajemnice związane z rzeką Moth. Frankwrithe Lewden. Hatepool J.D.: Słownik zapomnianych obelg i zniewag. Wydawnictwa Wprost Ci w Cztery Litery. Hewn Reese: Dekadencja dekapodów. Wydawnictwo Prawdziwych Głowonogów. Hewn Reese: Dziewięć ramion to za mało. Publikacje o Głowonogach.

(Mój bliski przyjaciel Reese myli się – dziewięć ramion to o wiele za dużo. Siedem natomiast to za mało). Hoegbotton Henry (red.): Kalamarniacz elementarz Henry'ego Hoegbottona. Hoegbotton i Synowie. Hortent Nigel: Hoegbottonski przewodnik po dipsomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Hortent Nigel: Hoegbottonski przewodnik po doramaniu. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Hortent Nigel: Hoegbottonski przewodnik po piromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Hortent Nigel: Hoegbottonski przewodnik po siderodromomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Jadowitokielną-Szczyt Eliza: Kalamarnice w mitach, magii i medycynie. Frankwrithe Lewden.

(Zarówno mity, jak i magia, o ile też nie medycyna, wszystkie one, moim skromnym zdaniem, mają coś wspólnego z niebezpiecznie nietaktownym i nierozważnym nazwiskiem autorki). Jakes Laura: Byłam kalamarnicą. Wydawnictwo Miłośnika

Kalamarnic. Jitterness Jonathan: Hoegbottonski przewodnik po sitomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. John Samuel: Wyznania współmieszkanca z celi psychiatryka (broszurka). Biblioteka Sensacyjnych Historii z Życia Wziętych. Keater Mathew: Raport ministrów kappana dotyczący sporadycznego występowania przedziwnych wypadków związanych z pewnymi typami nieustepliwych i niesfornych kalamarnic. Wydawnictwo Strzepki i Zbitki.

(Dla Keatera, przewodniczącego Ambergrianskiego Towarzystwa Lakomczuchów, każda kalamarnica opierająca się przebiciu harpunem, a następnie zjedzeniu, staje się "nieustepliwa", jak również "niesforna". Jednakże jestem tu w pełni przekonany, że każda kalamarnica smakowana przez jego gumowate usta musi przynajmniej poczuć się niemal jak w domu). Keensticker Harrod: "Złotliwy ci to potwór": Rozpalone oralne ejakulacje doświadczanego wilka morskiego dotyczące zbliżającej się walki między ludźmi a kalamarnicami. Wydawnictwo Morskich Opowieści. Kickleback John: Hoegbottonski przewodnik po drapetomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Kickleback John: Hoegbottonski przewodnik po kalamaromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Kleyblack Nora: Kalamarnice Wysp Południowych, skrócony opis glowonogów i innych mieczaków Saphantu, Nicei, Briandu i Wrayly, uporządkowany według systematyki naturalnej. Produkty Ognia Pulsacyjnego. Kron Michael: Sensotycznie-mototyczne umiejętności zranionych kalamarnic, "Magazyn Kalamarologii", rocznik 1, numer 1. Wydawnictwo Miast Południowych. Kron Michael: Pogrzebowe tańce kalamarnic oraz ich zwyczajowe formy zaloby. Wydawnictwo Miast Południowych. Laglob E.A.: Historia mego dzieciństwa wśród kalamarnic i co z tego powodu ze mnie wyrosło. Wydane własnym sumptem.

(Historia Lagloba, mimo iż wyjątkowo źle napisana, jest pasjonująca, a chwilami wręcz łamiąca serce. To opowieść o akceptacji i ostatecznej zdradzie. Zbyt intensywna, bym zdołał ją skończyć). Larsen David: Zasadzki okresu godowego w delcie rzeki Moth. Wydawnictwo Źródło. Larsen David: Zupa na dziobach: Sezon tropienia kalamarnicy byczej, zawiera dodatek odnoszący się do działań nocnych oraz ostrożności przy asygnowaniu miejsc działań nad brzegiem rzeki. Wydawnictwo Źródło. Lawler L. Marie: Kalamarokterie: Doglobne spojrzenie na kalamarnicze zaburzenia osobowości. Glowonog i Matwa. Lawler L. Marie: Niewidzialny atrament: Macki ciemnej strony. Publikacje o Glowonogach. Lawler L. Marie: Rozstrzygające płamienie atramentem. Frankwithe Lewden. Lawler L. Marie: Wielce intrygujący przypadek zmian profesji: Tragedia Harty'ego Flacka, pisarza – wolnego strzelca, byłego Łowcy Kalamarnic. Hoegbotton i Synowie. Lawler L. Marie: Zmagania ze sciskaniem. Publikacje o Glowonogach.

("Sciskanie" jest zwykle poważniejszym problemem dla piszących eseje kalamarologów niż dla samych kalamarnic). Lorstain Michael: Hoegbottonski przewodnik po ekutromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Lorstain Michael: Hoegbottonski przewodnik po timbromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie.

Madnok Frederick: Kalamarotropia – cicha zaraza, opublikowane w Kieszonkowym przewodniku Thackery'ego T. Lambsheada po ekscentrycznych i zdyskredytowanych chorobach, M.A. Roberts (red.). Wydawnictwo Chimeryczne.

(Patrzac na to obecnie, wybralem tam niewlasciwy tytul. Choroba, o ktorej mowa, nie tyle jest "cicha", co "niewlasciwa"). Madnok Frederick: Niepewne macki: Porazka i zawod nerwow w szeregach kalamarologow amatorow (broszurka). Wydane wlasnym sumptem.

(Publikacja, po ktorej Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologii wykluczilo mnie z udzialu we wszystkich przyszłych spotkaniach. Ale i tak, nieustannie i mimo wszystko, obstaje przy kazdym z zapisanych tam stwierdzen). Madnok Frederick: Pewne subtelne aspekty kalamarotropii (broszurka). Wydawnictwo Madnok.

(To, z czego wielu nie zdaje sobie sprawy, to niepokoje i zdenerwowanie zwiazane z naglym niedwuocznym sposobem widzenia wsrod cierpiacych na te dolegliwosc – nie wspominajac juz o utracie kontroli miesniowej, gdy czyjas tylna dolna czesc ciala "stapia sie" w lejek i plaszcz, a nogi "rozpuszczaja" w osiem ramion). Madnok James: Eksperymenty z transformacyjnym zagadnieniem absorpcji fragmentow ciala grzyba. Wydawnictwo Miast Poludniowych.

(Najbardziej zdumiewajaca transformacja, jakiej kiedykolwiek dokonal moj ojciec, wiazala sie z alchemia polaczenia metalu i grzyba, ktorej wynik byl wielce osobliwy. Przez wiele dni ojciec powoli odzwyczajal czerwocetkowany gortianski kapelusznik od jego zwykłej diety opartej na komposcie i martwych zukach, zastepujac mu to pozywienie opilkami zelaza. Po miesiacach ostroznej kontroli grzyb stal sie Isniacy, szary i twardy w dotyku. Po roku byl niemal calkowicie metaliczny, z kilkoma zaledwie, i to dosc nielicznymi, cetkami czerwieni i bezu, wskazujacymi na jego wczesniejsza jadalna nature. Zmienil sie w ozdobe. [Moje wlasne eksperymenty mialy wprost przeciwna nature: chodzilo o zamiane martwej ozdoby w cos wijacego sie i miesistego...] Ojciec podarowal go matce na urodziny, a wktrotce potem matka przekazala go mnie. I wciaz jeszcze gdzies go mam posrod swoich rzeczy). Madnok James: Niewidzialny swiat. Frankwrithe Lewden.

(Arcydzielo mojego ojca: przepieknie rozpisana czterystustronicowa ksiazka, tak nieslusznie zignorowana po wydaniu przez krytykow i czytelnikow, lecz obecnie szeroko doceniana w pewnych kregach, gdzie uchodzi za rozstrzygajace i ostateczne oswiadczenie na temat grzybow Poludnia. Wciaz posiadam jej egzemplarz. Sarkastyczne szpileczki wtykane w truffidianskie "teorie" dotyczace szarych kapeluszy zdolaly wbic klin pomiedzy moich rodzicow). Madnok James: Znaczenie grzybow. Wydawnictwo Pomruk.

(Juz wtedy nasz dom rozpadal sie i kruszyl. Wiele z najwspanialszych eksperymentow ojca wiazalo sie z rosnacymi cialami grzybow umieszczonymi w

setkach ciemnych zakamarków naszej piwniczki na wina. Moja matka, oddana wyplenieniu tej zgnilizny, z całego serca nienawidziła takiej sytuacji – szczególnie odkąd ojciec czasem przechodził samego siebie w animowaniu dalszego rozrostu owej zgnilizny ["Lecz bynajmniej nie smieci" – jak zwykle mawiał]. Kiedy ojciec wpadał w najbardziej złośliwy nastrój, matka mogła otworzyć szafkę w kuchni i zastać w niej oplatające wici szaro-purpurowego grzyba, wyglądające na świat z za każdego perfekcyjnego spodeczka). Madnok James: Zunifikowana teoria migracji spor. Frankwrithe Lewden.

(Chciałbym moc wierzyć, że mój ojciec znalazł się tu, w swej ostatniej, wydanej już pośmiertnie książce, na właściwym tropie – niestety, został zmuszony do wycofania się; książka nigdy nie trafiła do drukarni Miast Południowych – a on nie poczuł już bólu). Mannikan A.: Wielki głowonóg (fikcja). Hoegbotton i Synowie. Marmont E.D.: Ochrypli, lecz wciąż handlujący: Życie na brzegach Moth. Studium. Wydawnictwo Funta Klaków. Midan Pejora: Architektoniczne cudo, jakim jest głowonóg, opublikowane w "Architekturze Miast Południowych", rocznik 95, numer 12. Wydawnictwo Barqologii. Midan Pejora: Kalamarnicza ikonografia wyrażona w ambergrianskiej architekturze. Wydawnictwo Projekt.

(Zasłepienie Pejory kalamarnicami nie trwało długo. Jego zaplanowany Pałac Mieczaka i Dom Macek nigdy nie zostały zrealizowane; wszystkim, co nam po tym pozostało, są jedynie stworzone przez niego projekty takich cudeniek). Midan Pejora: Podwodne ogrody mieczaków jako Zamyśl Boży. Wydawnictwo Projekt. Mipkin Siffle: Hoegbottonski przewodnik po entomomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Morge Ralph: Kalamarnicze teorie związane z, sabotażem pływaków Haragck (broszurka). Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne.

(Postulaty Morge'a, jakoby to kalamarnice sabotowały Haragck, dziurawiąc ich pływaki podczas słynnego ataku, zdają się w najlepszym wypadku oparte wyłącznie na poszlakach). Nanger D.T.: Rybie preferencje słodkowodnych kalamarnic w kontrolowanych eksperymentach wykorzystujących haczyk, przynęty i naprawdę wielką łódź, z pomocą silnej linii dociekanki, "Kwartalny Raport z Badan Instytutu Hablonga". Wydawnictwo Hablong. Nick Robert: Na krawędzi szalenstwa. Frankwrithe Lewden. Nick Robert: Rola szalenstwa i kreatywności. Frankwrithe Lewden.

(To, że kalamarotrofia może być tak niewłaściwie i niestosownie przytaczana w tym kontekście, dyskredytuje te książki, nim jeszcze czytelnik skończy choćby przelotne zapoznanie się ze spisem treści). Norman Hugh: Strzeż się przypadkowych liter: O historii sposobów porozumiewania się różnych gatunków. Frankwrithe Lewden. Nymblan Kever: Hoegbottonski przewodnik po erotografomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Parsons Kevin: Przewodnik połowy po słodkowodnych kalamarnicach. Wydawnictwo Miast Południowych. Pickleridge Timothy: Poważne wezwanie do pobożnego i świętego życia, zaadaptowane do stanu i warunków

wszelkich obrzadkow religijnych, bedace wezwaniem do czczenia naszego ojca Krola Kalamarnic (broszurka). Wydane wlasnym sumptem. Plate S.N.: Osiem dlawiacych ramion miec: Samobojstwo kalamarczyka (wiersze). Publikacje Tarzii. Pond Samuel: Hoegbottonski przewodnik po florimanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Povel Bernard, Sighly Enoch: Wicekalamarologa Enocha Sighly i doktora Bernarda Dopela podroz w gore rzeki Moth miejscowym rodzajem czolna oraz sila tubylczej pomyslowosci, zwieczona calkowitym zniszczeniem lodki, niemalze ucieczka i kilku niefortunnymi negocjacjami ze wspomnianymi wczesniej tubylcami. Wydawnictwo Towarzystwa Morrowianskich Naukowcow za Granica. Pulling Leonard: Relacja z pierwszych godzin zycia kalamarlatek na brzegach rzeki Moth, "Ambergrianski Magazyn Zoologii Spekulatywnej". Wydawnictwo Fungoid. Quiddity Teresa: Przypadek dotyczacy autorstwa Hellatose'a roznorakich i rozmaitych sztuk teatralnych. Publikacje z Pierwszego Rzedu.

(Pozostawmy ten problem zainteresowaniu Quiddity'ego, ktory przegrzebujac sie przez archiwa roznych ambergrianskich teatrow pozostawil po sobie niemal trzysta stron, a doszedl w nich zaledwie do wniosku, ze "dowody swiadczace o autorstwie Hellatose'a w przypadku jakiegokolwiek produkcji teatralnej innej niz sponsorowane w ramach karnawalow czy cyrkow, z ktorymi byl zwiazany badz wspolpracowal, sa – i to w najlepszym wypadku – jedynie poszlakowe"). Quiddity Teresa: Uderzeni mackami. Wydawnictwo Slabe Beczenie. Quork Corvid: Hoegbottonski przewodnik po ornitomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Rariety Maurice: Amberggris Jamesa Kinkela Lightnera: Jego gatunki i typy, zebrane miejscowe osobliwosci, bibliografia i wybrane reprinty prac Guyerdama. Publikacje Archiwum Historycznego.

(Pierwszy z przekletego gatunku "kalamarologow dzentelmenow". Lightner wynajmowal innych, by obserwowali za niego kalamarnice w swych naturalnych habitatach, sam zas uczeszczal do klubow bankierow i innych legowisk sprawiedliwosci i cnot wszelakich. W zadymionych tylnych pomieszczeniach wspominal tam wtedy, snujac barwne opowiesci, jakby doswiadczył ich z pierwszej reki, wyczyny i niebezpieczenstwa, ktore tak naprawde przydarzaly sie jego podwladnym. Guyerdam, najwiekszy sposrod ekspertow Lightnera, pewnej nocy nie wytrzymal i zamordowal go w polowie zdania, uzywajac w tym celu jedynie czegos tak malo skomplikowanego jak niceanska kalamarnica blotna, ktora bez problemu okrecila sie wokol szyi staruszka. Jak sie jednak niefortunnie zlozylo, odbior Lightnera jako wielkiego naukowca nie skoncal rownie latwo jak sam bohater). Redfern Kathryn: Osobliwa relacja o Blissbanie z Malfour i jego Kalamarnicy Strachu. Frankwrithe Lewden.

(Goniace za sensacyjnoscia opowiesci dla mlodziezy i wielce wrażliwych doroslych). Redfern Kathryn: Przedziwna historia Ronalda Battlebussa i jego Siedmiu Kalamarnic Zaglady. Frankwrithe Lewden. Redfern Kathryn: jeszcze dziwniejsza historia Bartleya Gangreny i jego Trzech Kalamarnic Przeznaczenia. Frankwrithe Lewden. Riddle William: Hoegbottonski przewodnik po hamartomanii.

Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Riddle William: Konflikt nauki i religii: Osobiste eksploracje. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

(Pewnego dnia moj ojciec wkroczył do swojej pracowni i odkrył, że matka sziela wszystkie rosnace w niej manifestacje Krola Grzybow, tak istotne i podstawowe dla prowadzonych przez niego badan. Ich wyhodowanie w sztucznym srodowisku laboratorium zabralo mu siedemnascie lat pracy zmudna metoda prob i bledow. Matka metodycznie przyciela je wszystkie mala kosa, po czym umiescila w koszu na smieci, ktory nastepnie podpalila. Wszystkim, co pozostalo, byla kupka popiolow i przeszywajacy nozdrza drażniacy zapach. Wyobrazam sobie ojca wpatrujacego sie w tlacy sie i dymiacy okrag, dopoki lzy nie stanely mu w oczach. Wtedy podniosl sie i ruszył do biblioteki). Roberts M.A.: Przedziwny przypadek Hellatose'a i Bauble'a (broszurka). Wydawnictwo Chimeryczne. Roberts M.A.: Wielka ksiega kalamarnic. Wydawnictwo Chimeryczne.

(Cala pod kazdym innym wzgledem znakomita autentycznosc tej ksiazki psuje ilustracja przedstawiajaca dojrzała morrowianska kalamarnice blotna posiadajaca zaledwie dwie macki). Roberts M.A.: Zaawansowana kapitanska telemetria kalamarnic slodkowodnych. Wydawnictwo Morskich Opowiesci. Rogers Vivian Price: Przyczajka Dreczacych Kalamarnic. Korporacja Male Ksiazeczki/Wielkie Marzenia.

(Dreczace Kalamarnice na zawsze juz pozostana moimi ulubionymi postaciami ksiazkowymi. Ksiazka rozpoczyna sie zalozeniem, że piatka zarozumialcow pograzonych w bagnie drobnego bandytyzmu dzięki medium kalamarotropii zostaje zamieniona przez szare kapelusze w kalamarnice krolewskie. Cala piatka, juz jako kalamarnice – nazywajace sie obecnie Kalamarniaszek Johnson, Kalamarniaszek Macken, Kalamarniaszek Slakes, Kalamarniaszek Taintmoor i Kalamarniaszek Barck (bedacy hersztem bandy) – nie utracila nic a nic ze swych dawnych kryminalnych sklonnoscí. Przejmuja swe dawne tereny grasowania w chylacej sie ku upadkowi Dzielnicy Biurokratow, siejac spustoszenie wsrod jej mieszkancow. W tej odslonie ich przygod Kalamarniaszek Taintmoor sugeruje, by Dreczace Kalamarnice przyczaily sie na jakis czas, gdyz ich tropem podazaja ludzie kappana. Pod koniec tej zlowrogiej i pelnej czarnego humoru powiesci "przyczajka" konczy sie wlamaniem, podpaleniem, napadem z bronia w reku i wieloma innymi wykroczeniami przeciwko prawu). Rogers Vivian Price: Powrot Dreczacych Kalamarnic Korporacja Male Ksiazeczki/Wielkie Marzenia.

(Kalamarniaszek Barck i jego kolesie decyduja sie odwiedzic mamusie, czego efekty okazuja sie wrecz katastrofalne. Ojczymowie dosc bolesnie dostaja w kosc, podobnie jak niemal caly niepisany kodeks kryminalisty). Rogers Vivian Price: Dreczace Kalamarnice i magnetyczna lodz wioslowa. Korporacja Male Ksiazeczki/Wielkie Marzenia.

(Kalamarniaszek Macken odnajduje magnetyczna lodz wioslowa,

najprawdopodobniej porzucona przez szare kapelusze, i cała banda Dreczacych Kalamarnic zabawia się, stawiając ją w pobliżu jednej z głównych arterii miasta i zasmiewając się do rozpuku, gdy mijające ją pojazdy motorowe nieoczekiwanie są przez nią przyciągane – a szkło ich szyb pryska w każdą stronę – po czym kierujący tymi pojazdami muszą stawić czoła zadaniom uzbrojonych w noże Kalamarniaszka Barcka, Kalamarniaszka Johnsona i Kalamarniaszka Slakesa. W zakończeniu uprowadzają oni jeden z pojazdów, który następnie rozbijają na drzewie, zasmiewając się przy tym i nie zwracając nawet najmniejszej uwagi na wszelkie odniesione stłuczenia i siniaki). Rogers Vivian Price: Dreczące Kalamarnice tłuka księży. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Pewnego razu Kalamarniaszek Slakes wspomina, jak nikczemnie i podle traktowali go zwykle wychowujący go w sierocincu księży. Kalamarniaszek Johnson sugeruje, by zemścić się na nich, która to propozycja popiera Kalamarniaszek Barck. Dreczące Kalamarnice krąży po Dzielnicy Religijnej, tłukąc zebraków oraz wykradając datki z puszek ofiarnych. W zadziwiającym zakończeniu, gdy po rozbiciu witraży w Katedrze Truffidianskiej siła wymuszają na samym Przedśionie przyznanie się do sodomii, Kalamarniaszek Slakes zalamuje się i wybuchając płaczem – lecz nie, to nie płacz, on rzyje ze śmiechu. Kalamarniaszek Slakes wystrychnął bowiem wszystkich na dudka – wcale nie jest sierota i nigdy nie wychowywał go żaden ksiądz. Dreczące Kalamarnice – wszystkie co do jednego – wyjątkowo zasmiewają się do łez). Rogers Vivian Price: Dreczące Kalamarnice upijają się na placu Trilliana. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Pewnego ranka Kalamarniaszek Barck budzi się w znajdującej się na zachód od bulwaru Albumuth kryjówce Dreczacych Kalamarnic i odkrywa brak Kalamarniaszka Johnsona. To okropne! Czyżby odnaleźli go i aresztowali ludzie kappana? Kalamarniaszek Barck wraz z resztą członków gangu Dreczacych Kalamarnic rozprasza się po mieście, by przetrzasnąć leżące w pobliżu ulice. Jednakże bez rezultatu. Nigdzie nie śladu po Kalamarniaszku Johnsonie. Gdzie też mógł on się podziąć? Gdy Dreczące Kalamarnice coraz bardziej rozpaczliwie przeszukują okolice w poszukiwaniu kompana, zaczynają – co nieuniknione – odczuwać pragnienie. Wiele pubów staje wtedy w obliczu ich gburowatych i ostro postawionych zadań alkoholu, aż wreszcie, po licznych przygodach – w tym jednej wiązanej się z klubem kalamarnicznym – Dreczące Kalamarnice zbierają się o umówionej wcześniej godzinie na Placu Trilliana. I kogoś tam odnajdują, jak nie Kalamarniaszka Johnsona, zwinietego na jednej ze stojących na placu ławek i pielęgnującego olbrzymiego kaca, gdyż uprzedniej nocy wymknął się po cichu na "jeden szybki kufelek". Dreczące Kalamarnice wyrażają swą irytację, kopiąc go do nieprzytomności). Rogers Vivian Price: Dreczące Kalamarnice łupia Wieże Kalifa. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(W tej odrobinie mniej udanej powieści Rogers zabiera nasz gang ze znanej mu do tej pory scenerii Ambergris, by wyruszyć z nim na wyprawę, której celem jest

złupienie skarbow Kalifa. Nim docierają do bram stolicy ziem Kalifa, tak upijają się tanim winem, że przez pomyłkę tamtejsi strażnicy biorą ich za rozbawionych pielgrzymów i wpuszczają do miasta. Już na miejskich ulicach gang przystępuje do podszczyptywania kobiet, wykradania owoców z ulicznych stoisk, napadów na bogatych kupców i ogólnego naprzykrzania się wszem i wobec. Koniec końców naszych bohaterów aresztują żołnierze Kalifa, którzy następnie torturami otrzewiają ich w lochach, by wreszcie nago wypuścić na wolność, wprost na leżące odlegim tereny tuż za murami miasta. Może i zostali pozbawieni ubrań, lecz są teraz o wiele mądrzejsi. Dreczące Kalamarnice smutno włoka się w kierunku domu. Jak zauważa Kalamarniaszek Johnson: "Zagraniczne podboje nie są tak ekscytujące, jak by się zdawało"). Rogers Vivian Price: Dreczące Kalamarnice zabierają się za Nową Sztukę. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Kalamarniaszek Macken zauważa pewnego ciepłego i słonecznego poranka, gdy Dreczące Kalamarnice sacza leniwie napoje odświeżające w Czerwonogardłym Cielaczkę, że – jako grupa – są wyjątkowo niewyedukowane. I tak istotnie jest. Kalamarniaszek Barck co prawda spędził jako sprzątaczą jeden semestr na Akademii w Blythe, co daje mu konieczne kwalifikacje do przewodzenia Dreczącym Kalamarnicom, ale tak ogólnie brak im jakiegokolwiek wyrafinowania. Już po tym, jak Kalamarniaszek Slakes przywalił kilka razy Kalamarniaszkowi Mackenowi, Kalamarniaszek Barck decyduje, że Kalamarniaszek Macken jednak ma rację. Lecz jak można się stać lepiej wyedukowanym? Po kilku głębszych przemyśleniach Kalamarniaszek Barck sugeruje, aby udali się na retrospektywną wystawę Nowej Sztuki wystawianą w Galerii Ukrytych Fascynacji. Tak więc Dreczące Kalamarnice przyodziejają swe najlepsze, odświeżające stroje, ostrza noże, przylizują włosy i ruszają w kierunku wystawy. Gdy przybywają na miejsce, są jednak poważnie zawiedzione. Większość wystawionych płócien zdaje się niedokonczona – jedno z nich to zaledwie błękitna plama pokryta kilkoma mniejszymi białymi cętkami. Kalamarniaszek Barck, zazenowany całą zastaną na miejscu sytuacją, postanawia podjąć próby dokonczenia kilku z wystawionych obrazów, by pokazać pozostałym Dreczącym Kalamarnicom odrobinę prawdziwie wysokiej kultury. Niestety, starają się go powstrzymać strażnicy muzealni i w całej sali rozpetuje się długotrwała szamotanina, nad którą unosi się towarzyszący jej dźwięk noży rozdzierających wystawione płotna. Gdy strażnicy wreszcie przestają stanowić dla nich problem, Dreczące Kalamarnice odwracają się tyłem do samej galerii – jak również wszelkiego "wyrafinowania" – mimo iż, jak wyczytały następnego dnia w "Dzienniku Ambergris", odwiedzający odebrali ich performance jako "wielce i osobliwie pociągające"). Rogers Vivian Price: Dreczące Kalamarnice podpalają podziemny tunel. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Jedną z najprostszych książek Rogers, gdyż już sam jej tytuł dostarcza nam dokładnej wiedzy o tym, co można w niej odnaleźć – otoż Dreczące Kalamarnice podpala podziemny tunel. Pierwsze pięćdziesiąt kartek mija im na planowaniu

podpalenia. Kolejne pięćdziesiąt na podpalaniu wspomnianego wcześniej tunelu. A jeszcze następne pięćdziesiąt mija na wynikłej z tego wszystkiego ucieczce przez ludzi kappana. Wielu krytyków jest świecie przekonanych, że Rogers zleciła komus napisanie tej powieści, a następnie wydała ją pod swoim nazwiskiem). Rogers Vivian Price: Dreczące Kalamarnice dewastują restaurację. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Jeden jedyny raz, kiedy to nie Dreczące Kalamarnice wzniesają złośliwości wokół siebie. Kalamarniaszek Barck i Kalamarniaszek Johnson siedzą sobie spokojnie w restauracji Rzeka Moth, zajmując się tam własnymi sprawami, gdy zostają rozpoznani przez członków rywalizującego z nimi gangu, Cmogłowych znad Moth, którzy całkiem przypadkowo akurat przechodzili w pobliżu. Wywiązuje się walka, podczas której Kalamarniaszek Barck trzyma na dystans siły Cmogłowych, rzucając w nich krzesłami i naczyniami, a Kalamarniaszek Johnson znika za rogiem, by sprowadzić posiłki. Gdy Kalamarniaszkowie Slakes, Johnson i Taintmoor przyłączają się do całej burdy, Cmogłowi znad Moth wkrótce stają w obliczu zbyt wielu rąk, by można je było zliczyć, i kończą ściągani przez Dreczące Kalamarnice. Niezbyt zadowolone z przebiegu wypadków tego dnia Dreczące Kalamarnice ruszają i wysadzają w powietrze piekarnię oraz puszczają z dymem pojazd silnikowy. Jak zauważa Kalamarniaszek Johnson: "To wszystko przez tych Cmogłowych. To oni nas do tego sprowokowali"). Rogers Vivian Price: Odsiadka Dreczących Kalamarnic: Wspomnienia nieludzkich dziecinstw. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Być może książka ta jest arcydziełem Rogers, bowiem opowiada, w sześciu rozdziałach, o doświadczeniach z dziecinstwa Kalamarniaszków Johnsona, Mackena, Slakesa, Taintmoore'a i Barcka – równocześnie prezentując dziejącą się współcześnie historię, w której cała piątka tkwi w jednej więziennej celi. Ku zaskoczeniu czytelnika, z całej piątki jedynie Kalamarniaszek Barck miał autentycznie złe dziecinstwo [jego matka była prostytutką, ojciec nieznany, a on sam wylądował na ulicy w wieku dziesięciu lat]. Reszta gangu to synowie uprzywilejowanych rodzin, którzy najwyczejniej w świecie przedłożyli rozboj nad uczciwą pracę. W rozdziale szóstym Dreczące Kalamarnice, po zatłuczeniu strażników niemal na śmierć, uciekają z więzienia, a wtedy cały widoczny do tej pory nostalgiczny nastrój pryska, przekształcając się w zwykły i radosny chaos siania wokół siebie przemocy i zametu). Rogers Vivian Price: Ostatni punkt oporu Dreczących Kalamarnic. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia.

(Kappan, rozwścieczony kryminalną aktywnością Dreczących Kalamarnic, zbiera niewielką armię przeznaczoną tylko i wyłącznie do wytrzebienia naszych bohaterów. W klimatycznej scenie finałowej Dreczące Kalamarnice, otoczone w stojącej już za opłotkami miasta stajni, wymykają się z niej dzięki samopodpaleniu i biegowi ku wolności oferowanej im przez nurt Moth wprost przez szeregi zaskoczonych i zszokowanych żołnierzy kappana. Koniec końców uwolnione wreszcie do swego naturalnego środowiska, nigdy nie powracają do miasta, "mimo iż nawet obecnie

matki opowiadają swym maluczkim kandydatom na rzeźmieszkiw historii o wyczynach Dreczających Kalamarnicach"). Rook Alan B.: Msza kameralna za Nautilusa i Requiem dla kalamarnic białozjawnych: Dwie liturgiczne partytury stworzone w noramskiej i stagińskiej tonacji. Wydawcy Płochliwych Nut.

(Na całym świecie nie ma drugiej tak pełnej i całkowitej błogoci jak ta, która ogrania człowieka, gdy słucha Requiem dla kalamarnic białozjawnych [opartego na klasycznej powieści Spacklenesta]. Szczególnie wysublimowane i wzniosłe, gdy wysłuchiwane z fonografu podczas relaksu w niewielkim baseniku). Rook Alan B.: Pasja w szkarłacie; Miłość Pelagianina; Rozane macki; Dido i kalamarnica: Cztery libretta i partytury dla niezrealizowanych oper. Wydawcy Płochliwych Nut. Roper Frederick: Incydenty wtargnięcia kalamarnic pomiędzy społeczeństwa dolnej Moth: Anegdotyczne dowody potwierdzające potrzebę istnienia obszarów zabezpieczonych przed kalamarnicami. Wydawnictwo Niezbyt Przystępnych Publikacji. Roper Frederick: Znaczenie polek na książki podczas domowych sprzeczek. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

(W bibliotece, gdzieś dzięki sztuczce padającego światła, książki tkwiły w swych szeregach, zalane i pochłonięte czerwienią. Czerwone były ich okładki. Czerwona była też podłoga). Roundtree Jessica: Meżowie, którzy zabili swe żony. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron. Rowan Iain: Kalamarnica jak każda inna: Transgresywny wstęp do hegemonicznych dwoistości, "Magazyn Wodnej Hermeneutyki", rocznik 34, numer 1. Rowan Iain: Tentaculon: Wprowadzenie do sposobów komunikacji między człowiekiem a kalamarnicą, "Magazyn Badan Kalamarnic", rocznik 52, numer 3. Ruch Alan: Chmiel a kalamarolog amator. Publikacje Tornelaina. Savant Charles: Historyczne szkice dotyczące związku pomiędzy Krolem Kalamarnic a pożarami w cichych portowych miasteczkach. Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Savant Charles: Zachód słońca nad kalamaronami. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

(Musiał zdawać sobie sprawę, że ja tam odnajdę. Każdego lata, gdy wracałem do domu z Akademii w Blythe bądź ze swych ekspedycji, zaraz na samym początku kierowałem się właśnie tam, mimo iż dawno już stały porzucone – ledwie drewniane lupinki w miejscach, gdzie kiedyś kalamarnicy ze swistem poruszali się tam i z powrotem na swych kalamarudłach. Jej głowa kołysała się delikatnie na przegniłym pontonie, jej złotoszare włosy rozlewały się wokół polkoliscie. Jej spojrzenie zdawało się ogarnięte spokojem, mimo iż w oczach niczego nie dało się wyczytać. Echo słów było teraz tak delikatne jak jej pieśczęty. Przeszło tydzień tkwiła w wodzie. Niemal jej nie rozpoznałem). Savant Charles: Zaproszenie do obserwacji kalamarnic: Przyjemności i praktyka: Zaopatrzone w pokrewna z tematem dyskusje dotycząca map, tabel głębokości i tablic fizjologicznych (broszurka). Ambergriańskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Shannon Harold: Adaptacje głowonogów do środowisk niesłonowodnych. Wydanie Woode-Holly. Shannon Harold: Bolesne przebudzenie kalamarnicy matki: Przywiązanie młodocianych kalamarnic

krolewskich. Wydawnictwo Grobowe. Shannon Harold: Godowe zachowania glowonogow (Slodkowodne rytualy uwodzenia). Wydanie Woode-Holly. Shriek Duncan: Hoegbottonski przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris. Hoegbotton i Synowie. Shriek Janice: Kalamarniczny elementarz Akademii w Blythe. Wydawnictwo Akademii w Blythe. Sidlewhile Henry: Zycie i czasy Thackery'ego Woodstockinga, Kalamarologa amatora. Ashbrain Press. Simpkin A.L.: Wyrabnicy, kalamarczyki, ksiezycowka i wachacze. Candon Press.

(Swawolna przygoda, ktora w nalezyty sposob uniesmiertelnia ciezkie i samotne zycie zarowno kalamarczykow, jak i ubezpieczajacych ich wyrabnikow). Sirin Vlodya: Macka co wers: Antologia poezji z kalamarnica przez wieki – od Imperium Saphanckiego po Williama Bucketwheata. Wydawnictwo Biezaca Woda. Skinder Blas: Niewymownie popularne zludzenia, urojenia i szalenstwa wsrod festiwalowych tłumow. Wydawnictwo Miast Poludniowych. Slab Thomas: Anatomia szalenstwa. Wydawnictwo Trzcinka. Slab Thomas: Matnia odkupienia: Przyjecie i odbior pomyslow doktora R. Tinta Takklego dotyczacych społecznej dyscypliny, zakladow psychiatrycznych, szpitali oraz wszelkiej medycznej profesji w powiazaniu z probami samobojczymi o podlozu kalamarnicznym. Wydawnictwo Trzcinka. Slay Jack: Glowonogi: Podrecznik gramatyki dziesieciornic. Frankwrithe Lewden. Sleeter M.J.: Hoegbottonski przewodnik po hippomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Sleeter M.J.: Przewodnik po grzybach poznego lata: Te trujace i te niegrozne. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron.

(Zbieral grzyby w lesie tuz za domem, nucac sobie cichutko pod nosem. Przystanalem na chwile, zadziwiony jego spokojem, chociaz poznopopoludniowe slonce, pstrzace tu i owdzie gleboka cisze panujaca wsrod jodel, rzucalo moj cien daleko na spotkanie jego wzroku. Musial wiedziec, ze go tu znajde). Smutney Jones: Bogactwo, prawosc i dary morza: Kształtowanie politycznej ekonomii w Ambergris. Wydawnictwo Kalamarnicznych Archiwaliow. Smutney Jones: Kalamarnica, ktora zabila wlasnego ojca: Powiesc o zemscie glowonogow. Wydawnictwo Historii z Zycia Wzietych. Smythe Alan: Psychologia i fizjologia Krola Kalamarnic (ilustracje: Louis Verden). Frankwrithe Lewden. Sneller Daniel: Historia obwoznych szarlatanskich pokazow medycznych i innych niegodziwych prestidigitacyj. Wydawnictwo Spektakularne. Sourby Pipkick: Karuzela kalamarofilii: Bogactwo opowiesci, gawed, piosenek, epigramow i rozmaitych ciekawych badan powiazanych z jakze szacownym zagadnieniem. Wydawnictwo Ksiegarni Borges. Sourby Pipkick: Madry jak mieczak, glupi jak mieczak. Wydawnictwo Ksiegarni Borges. Spacklenest Edgar: Lord Kaptur i niewidzialna kalamarnica. Frankwrithe Lewden.

(Ksiazka ta opowiada historie niceanskiego arystokraty, ktorego nawiedza duch zabitej podczas polowu kalamarnicy. Opowiesc kryje w sobie zarowno wielka bolesc, jak i sile. Otoz lord Kaptur zyje samotnie w domu nalezacych kiedys do jego przodkow. Przez kilkoma laty rodzice lorda zostali zamordowani w przerazajacej podwójnej tragedii. Raz do roku opuszcza jednak mury swej posiadlosci, by wziac

udział w wyprawie wedkarskiej wraz ze swymi kompanami lordami. Na jednej z takich ekspedycji przebija płaszc młodej kalamarnicy królewskiej. Kalamarnica umiera, stając się tej nocy posiłkiem wedkarzy-arystokratów... Zaraz następnego dnia, gdy czytający lord Kaptur siedzi w swej jakże rozległej bibliotece, pojawia się przed nim zjawa samicy kalamarnicy królewskiej, blagając i zaklinając go swym żalnym spojrzeniem. Początkowo lord Kaptur ucieka przerażony, lecz z czasem, gdy odwiedziny stają się coraz częstsze, przyzwyczajają się do towarzystwa ducha kalamarnicy. Gdy czytelnik dowiaduje się coraz więcej o dreczacej Kaptura przeszłości i o losie jego rodziców, staje się jasne, że jest on na równi z kalamarnicą ledwie duchem nawiedzającym własny dom. Koniec końców zaczyna się w nim budzić uczucie do nawiedzającej go kalamarnicy i lord Kaptur przechodzi na poziomie emocjonalnym kalamarotropiczną transformację. Odkrywa, że coś go przyciąga do przepływającej w pobliżu rzeki Moth – a gdy duch jego kalamarnicy objawia się coraz częściej w pobliżu jej nurtu, lord Kaptur zaczyna spędzać coraz więcej czasu w rzece. Wreszcie stopniowo odkrywa, że jest coraz mniej przywiązany do ziemi. W rozdzierającej serce scenie finałowej lord – nie w pełni pobłogosławiony kalamarotropia – zanurza się w wodzie i tonie... Tylko po to, by uwolnić swego ducha, który odnajduje wreszcie jedność z duchem kalamarnicy). Stang Napole: Edykt Piąty: podejmujący kwestię, czy aby kalamarnice winny być obdarzone duszą, spisany przez dwunastego Przewodniczącego Ambergris, Napole'a Stanga. Truffidianskie Księgi Religijne Inc. Stark Rokham: Szersze przygody w kalamarologii. Publikacje Tannakera. Starling Lee D.: Kalamarnicze zwoje. Frankwrithe Lewden. Starling Lee D.: Potrawy z kalamarnic: Książka kucharska ezoterycznego miłośnika darów morza. Wydawnictwo Haczyk i Przyneta. Stiffy Madeline: Intrygujący przypadek Manzikerki VII i kalamarnicy, która bekała. Wydawniczy Kolektyw Arkan i Plenerowego Rynku.

(Niegodna i przesmiewcza, a przy okazji zupełnie bezwartościowa fuzja pogłosek, potwarzy i zniesławień). Stiffy Madeline: Wywód w sprawie nowej nauki znanej powszechnie jako kalamarologia (broszurka). Ambergrianskie Towarzystwo Kalamarologiczne. Stim Zyth: Sarah Volume (I) i wielka migracja kalamarnic. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stim Zyth: Sarah Volume (II) i tajemnicza kalamarnica z Zortu. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stim Zyth: Sarah Volume (III) i skarb kalamarnic. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stim Zyth: Sarah Volume (IV) i bezimienna kalamarnica. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stim Zyth: Sarah Volume (V) i podwodna dolina kalamarnic. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stim Zyth: Sarah Volume (VI) radzi sobie bez kalamarnic. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stim Zyth: Sarah Volume osmioramienny tom historii z kalamarnicami do poduszki. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Stindel Bernard: Obalenie teorii Jessiki Roundtree. Biblioteczka Wydawnictwa Kalamaron. Stine Allison (red.): Miłośnik kalamarnic: Magazyn kalamarniczej tradycji, zbiór najprzeróżniejszych, acz wielce interesujących i powszechnie nieznanych faktów dotyczących wszystkiego, co związane z kalamarnicami i wszelkimi powiązanymi z nimi ludźmi; obecnie, po

zmianie układu wewnętrznego, ze sporadycznymi rozrywkami i odstępstwami od podstawowego tematu celem niesienia jeszcze bardziej radoszej lektury. Wydawnictwo Milosnika Kalamarnic. Sumner Geoffrey T.: Kalamarnica jako podwodny anioł w religijnych objawieniach. Wydawnictwa Katedry Truffidianskiej. Sumner Geoffrey T.: Matwy. Ecropol Press. Sumner Geoffrey T.: Wykonywanie bizuterii z polerowanych dziobów kalamarnic. Wydawnictwo Sztuka i Rzemiosło (seria Wydawnictwo Rzemiosła Kalamarniczego). Sumner Geoffrey T.: Za chmura atramentu: Biografia enigmatycznego A.]. Kretchena, Lowcy Kalamarnic. Firma Wydawnicza Miast Południowych. Tanthe Meredith: Smak i technika w zbiorach kalamarnic (broszurka). Towarzystwo Gastronomiczne Miasta Ambergris. Tribbley Jane: Hoegbottonski przewodnik po hipomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Umthatch Wiggins: Hoegbottonski przewodnik po mentulomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Ungdom George: Anatomia kalamarnicy dla laika (ilustracje Louis Verden). Frankwithe Lewden. Vielle C.M.: Klnacy Złosiłowargi i kalamarnica: Polip dyptyk. Frankwithe Lewden. Viper Arnold: Hoegbottonski przewodnik po mesmeromanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Vosper Robert: Kolekcja Pausebacka rzadkich książek kalamarnicznych dla dzieci. Korporacja Male Książeczki/Wielkie Marzenia. Willis Sarah: Księga małych kalamarnic. Powab Press. Willis Sarah: Księga średniej wielkości kalamarnic. Powab Press. Willis Sarah: Księga wielkich kalamarnic. Powab Press. Wortbell Randall: Hoegbottonski przewodnik po mitomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Wrede Christopher: Chroniczny kalamarotrop, lekarz, i gra medycznymi mocy, "Magazyn Psychologicznych Dolegliwości Powiązanych z Kalamarnicami", rocznik 377, numer 2. Odludek Press. Wrede Christopher: Demaskacja kalamarniczego znachorstwa. Odludek Press. Wrede Christopher: Plec, ideologia i ruch odnowy ciała w wodzie, "Współczesne Remedia z Głównogów", rocznik 21, numer 5. Odludek Press. Wrede Christopher: Histeria, kalamarnicza hipnoza i urok niewidocznego: Wzrost znaczenia głowomesmeryzmu w posttrillianskim Ambergris, "Biuletyn Historii Badan Głównogów", rocznik 699, numer 3. Odludek Press. Wrede Christopher: Instytucje ograniczenia wolności, szpitale, zakłady psychiatryczne oraz więzienia Miast Południowych. Odludek Press. Wrede Christopher: "Jak mi się zdaje, obaj jesteście konowalami": Kontrowersja wynikła pomiędzy doktorem Blentheem Skrillem a kalamarologiem Croakleyem Lettsomem, "Biuletyn Historii Nauk o Głównogach", rocznik 689, numer 7. Odludek Press. Wrede Christopher: Kalamarologia i spirytualizm w erze pretrillianskiej, "Biuletyn Historii Badan Głównogów", rocznik 700, numer 9. Odludek Press. Xyskander Melanie: Hoegbottonski przewodnik po nosomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Yit Florence: Hoegbottonski przewodnik po nudomanii. Wydawnictwo Hoegbotton i Synowie. Yowler John: Obecny nieobecny ojciec. Wydawnictwo Badan Nad Grzybami.

(Stary stojący zegar oszczędnie odmierzał mi moje przeznaczenie. Conocne "wezwania do modlitw", przed którymi nie mógł mnie uchronić). Yowler John: Zbity dzieciak: Istota niesprawiedliwości przemocy fizycznej. Wydawnictwo Z Mlekiem

Matki.

(Znany pisarz Sirin wypowiedział kiedyś następujące słowa: "Każda nieszczęśliwa rodzina jest taka sama. Każda szczęśliwa jest unikalna". Różne mogą być, ale nigdy aż tak poważne jak te, które tu przedstawiono). Zeel George H.: Księga kalamarotropii. Frankwrithe Lewden.

(To następuje wcześniej, niż mi się zdawało – transformacja, której tak bardzo chcę mi zabronić. Pewnej nocy, mimo iż nie wolno mi tego robić, przemknę pod bokiem strażników, wysunę się na podwórko, a następnie niepostrzeżenie przeskoczę przez płot i popłynę przed siebie, jak przystoi mojemu nowemu ja...) Zenith C.N.: Efektywne techniki budowania suspense. Frankwrithe Lewden. Zither Marianne: Triumf szalenstwa nad winą. Frankwrithe Lewden.

(...W świat oświetlany spadającym z nieba światłem księżycy, by z tą tak słodką, wywołującą dreszcze tęsknota ruszyć w kierunku Moth. Przez plataninę gałęzi i liści oświetlanych blaskiem księżycy pośpiesze w kierunku nurtu rzeki. Może ja poczuć, szaleję od zapachu mulu, słyszę, jak pluskają przepływające nad wodą. W końcu mam już pod sobą, tuż pod swymi mackami, błoto zasłaniające jej brzeg – miękki, a jednak jakże pewny grunt; trawa nie rani dłużej moich ramion. Przez krótką chwilę pozostaje na brzegu, spoglądając hen, w ciemne wody odbijające przepływające nad nimi chmury, i zaledwie obserwuje powolny prąd rzeki, sposób, w jaki woda faluje i płynie... Wspominam swoją matkę, ojca, kalamarony lat mojej młodości, obszerna, cicha biblioteka...) Zonn Crathputt: Jak utrzymać niepodzielne zaintrygowanie widowni aż do samego końca. Frankwrithe Lewden. Zzy Veriand: Satysfakcjonujące konkluzje: Epifanie w kalamarniczych transformacjach. Frankwrithe Lewden.

(...I wreszcie, z mającym mnie prowadzić migotliwym światłem bliskich mi kalamarnic, dokonam swego chrztu w tej wodzie, pozwolę jej ponieść się na dno, w kierunku mulu, namoczonych liści, a moje płuca napelnią się esencją życia, mój płaszcz wypełni się wodą, moje trzecie oko niezwłocznie zacznie przeczesywać otaczającą mnie ciemność, wypełniając się luminescencją. Woda pachnie tysiącem najcudowniejszych rzeczy. W jej objęciach jestem lekki niczym piórko. Chciałbym krzyczeć z radości, płakać z radości, gdyż to wreszcie się dzieje. Powoli, bardzo powoli kieruje się w stronę moich braci i siostr, znikając, niknąc i rozplywając się ze wzroku doktorów i opiekunów, nieczuły na ich rekryminacje i obwinianie, po raz kolejny stając się tym, czym zawsze miałem się stać...)

HISTORIA RODZINY HOEGBOTTONOW

spisana przez Orema Hoegbottona W starym mieście było nas dziewięcioro. Obecnie pozostała ledwie dwójka: ja i mój brat Myon. Nasi ojciec i matka wiedzieli, co znaczy posiadać ojczyznę, lecz żyli, by na własne oczy zobaczyć, jak odbiera ją Kalif.

Swego czasu, dawno temu, zjednoczeni byliśmy w Yakuda – długiej, szerokiej dolinie, która przecinała rzeka Dalquin. Obszar był gorzysty, więc moi przodkowie za niczym bardziej nie przepadali niż za przejazdka po rosnących tam gestych lasach na grzbiecie swych wytrzymałych koni. Nim osiedliliśmy się w tamtej dolinie, zajmowaliśmy tereny wysunięte jeszcze bardziej na zachód, gdzie przez pewien czas byliśmy członkami potężnego Imperium, znacznie przewyższającego obecny zasięg i możliwości Imperium należącego do Kalifa. Niektórzy nawet szeptem wypowiadali czasem słowo "saphanckie". Byliśmy również znani z naszych umiejętności tkania dywanów oraz złożonych ceremonii, mogących nawet rozciągać się na całe tygodnie, podczas których zegnaliśmy naszych zmarłych. Jednak nim przyszedłem na świat, armie Kalifa wypędziły nas z naszych domów i staliśmy się uchodźcami. Na samym początku utraciliśmy naszą dolinę. Następnie, gdy krazyliśmy po dalekiej północy, unikając w ten sposób śmierci z rąk Kalifa, mroz i lod odebrały nam nasze konie. Gdy wkraczaliśmy na wschodnie ziemie, utraciliśmy również nasze nazwisko – to wtedy właśnie "Hyggboutten" zamieniło się w "Hoegbotton", by mniej przypominać nazwiska naszych odległych kuzynów, rozmiłowanych w wojnie Haragck. W poniższej relacji starałem się opisać codzienne życie naszej rodziny oraz to, jak udało nam się przetrwać, a nawet rozwinąć skrzydła. Wczesne czasy. Moi bracia i siostry, w tym również i ja, dorastaliśmy w Ulskinder, na południu ziem Skamoo, lecz daleko na północ od Morrow. Ulskinder leżało na południowo-wschodnim brzegu rzeki Geberni, na terytorium, do którego co prawda rościło sobie prawa Imperium Kalifa, lecz które jedynie z rzadka płaciło władcy podatki czy też było odwiedzane przez jego wysłanników. Miasto zbudowano na niekonczącej się równinie, gdzie nie było żadnej ucieczki przed zimnym, wiejącym z nad rzeki wiatrem. Nasz dom stał przy ulicy ciągnącej się od brzegu Geberni do rynku, a później jeszcze dalej w kierunku większego miasta zwanego Orsha, położonego mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na północ. Moj ojciec, kiedy tylko mieliśmy pieniądze, dobudowywał do naszego domu kolejne pomieszczenia. Z tyłu urządziliśmy sobie olbrzymi ogródek, a na skrawku ziemi przed domem posadziliśmy dwie czereśnie. Nie mam pojęcia, ilu dokładnie ludzi mieszkało w Ulskinder, lecz pamiętam, że mieliśmy tam wysoki kościół otoczony pięcioma pomniejszych budynkami, a wszystkie one stanowiły najdalej wysunięte na północ przyczółki wiary truffidianskiej. Dziesięć tutejszych sklepów zaopatrywało nas we wszelkie konieczne artykuły, a miasta dopełniało dwadzieścia domów i trzy szkoły. Zawsze i wszędzie, nawet przy dokładnie opatulającym nasze miasto cichym całunem śniegu, niosącym tyle niedogodności i tak utrudniającym nam życie, dochodziły nas głosy uczniów, przez całe popołudnie recytujących teksty ze swych ksiąg. Przeważająca większość nas pracowała wówczas jako zwykli wyrobnicy; mieliśmy w swych szeregach ledwie kilku kupców, mimo iż w tamtym czasie wciąż rośliśmy w siłę. Większość zajmowała się jednak tkaniem szali modlitewnych, koszuli zasłon. Niektórzy parali się wytwarzaniem ikon religijnych, wykorzystywanych przez truffidian w tutejszym kościele, które często zresztą eksportowaliśmy do większych miejsc kultu, leżących dalej na południu. Niektórzy z nas uczyli się zapisywać święte słowa, które następnie wkładaliśmy do

wnętrza ikon. Najlepsi tkacze byli artystami potrafiącymi utkac od dwudziestu czterech aż do trzydziestu dwie nitki w każdym centymetrze materiału. Owi tkacze artyści, rozchwytywani wśród bogatych kupców, zawsze mieli pełne ręce roboty. Wszystko, co wyszło z ich pracowni, nieodmiennie znajdowało nabywcę. Nie było dnia, by na naszym ryneczku nie spotkało się kupców z odległych krain. Ich statki stały zakotwiczone na środku nurtu Geberni, a ich długie łodzie były tak częstym widokiem przy brzegu. W domu mieliśmy piec czy sześć stanowisk tkackich. Tak każdy dorosły, a wkrótce również wynajelismy do pomocy kilka dziewcząt, lecz niestety wykonywana przez nas praca nie należała do tych przynoszących stały dochód. Istniała ustalona cena potrzebnych nam surowców, a każdy sklep kupował je w zamian za wyprodukowany towar, lecz kiedy już włożyliśmy w to naszą ciężką pracę i stworzyliśmy szale modlitewne, ledwie garstka chciała je w ogóle od nas kupić. Dla nas niczym nie różniły się od innych szali. Lecz ludzie zdawali sobie doskonale sprawę, że nie są one truffidianskie. Kiedy dorastałem, dostrzegłem, jak chorym człowiekiem jest mój ojciec. Nie był w stanie pracować. W lecie przesiadywał w naszym frontowym ogrodku, starając się złapać oddech. W zimie nawet nie ruszał się z domu. Miał ambicję, by przynajmniej jedno z jego dzieci pozostawiło za sobą nasz dawny sposób życia i pobierało nauki na modłę truffidianskich księży. Chciał w ten sposób awansować rodzinę. To właśnie nasz dawny sposób życia, bardziej związany z ziemią i niebem niż z ideą Boga, odróżniał nas od pozostałych mieszkańców. Jakby tego było mało, ojciec musiał płacić za te nauki. Zdaje sobie sprawę, że wyjątkowo go to bolało, gdyż jedzenia zawsze było u nas w domu jak na lekarstwo. Nad naszym domostwem nieustannie unosiła się aura ubóstwa. Czasem wysyłano mnie do znajdującego się w pobliskim miasteczku przybytku dla ubogich, gdzie mogłem jadać "dniówki". (Znaczyło to tyle, że każdego dnia tygodnia miałem dostawać posiłek w domu innej bogatej rodziny. Było to zwyczajowym sposobem dopilnowania, by studenci – generalnie ubodzy – codziennie mogli spożyć pełnowartościowy posiłek). Zwykle brakowało mi jednak niektórych "dniówek" i musiałem wtedy chodzić głodny. Wstyd mi było się do tego przyznać i naprawdę głodowałem. Kilka razy, wiedziony nadzieją na zmrożoną rybę, ruszyłem zebrać od samotnych Skamoo, pojawiających się niczym duchy na zimnych obrzeżach miasta, lecz nieufność, jaką tamci nas darzyli, sprawiała, że znikali, rozmywając się w śniegu, nim zdążyłem się do nich zbliżyć. Pamiętam, jak ojciec, wychowany w dawnym stylu życia, każdego popołudnia czytał modlitwy ze swych wypłowiałych małych książeczek, mimo iż musiał to robić bardzo ostrożnie i ukrywać podobne lektury podczas obchodów truffidian. Często budził się w środku nocy, pogrążał w myślach i jęczał. Gdy kiedyś zapytałem go, dlaczego tak jęczy, odpowiedział mi, że wszystko to z powodu brzemiń, które musi nosić, a znaczyło to tyle, że odkąd Kalif zabrał nam nasze ziemie i zostaliśmy rozrzućeni po całym szerokim świecie, jego dusza nie mogła znaleźć ukojenia. Nasz ojciec był mądrym człowiekiem. Ludzie przychodzili do niego, prosząc o rozstrzygnięcie sporów. Jego wyroki zawsze były dobre dla wszystkich, mimo iż w czasach potrzeby matka złościła się na niego, że odmawia przyjęcia za nie zapłaty. Potrafił również porozumiewać się językiem Skamoo,

pomagal wiec mysliwym roztrzasac prawa zwiazane z uzytkowaniem ziemi. Za podobne uslugi przyjmowal juz jednak pieniadze. Kiedy spogladam teraz w przeszlosc, przypominam sobie, w jakiej wzajemnej harmonii zylyśmy jako dzieci, nim kazde z nas ruszylo wlasna, oddzielna droga zycia. Istniala w naszych szeregach specyficzna dyscyplina, gdyz bardzo staralismy sie, by ani slowem nie wspomnac o stanie naszego chorego ojca. Wzglem rodzicow czulismy wielki szacunek, polaczony z wyjatkowa empatia dla naszej matki, ktora nieustannie sie nami opiekowala, gotowala i piekla. Zawsze miala pelne rece roboty i ani chwili wytchnienia. Przypominam sobie spokoj panujacy podczas naszych zakazanych swiat, kiedy otwieralismy okna, a ci sposrod naszych sasiadow, ktorzy tylko mieli wystarczajaca odwage w sercach, przychodzili do nas, by wspolnie z nami spiewac, co czynilismy z wielka radoscia i przyjemnoscia. (Nigdy nie zapominajac o wyslaniu na dach ktoregos z chlopcow, by siedzial tam w ukryciu i ostrzegl nas w razie pojawienia sie w poblizu truffidianskich ksiezy). Po obiedzie nasz ojciec znikal, by odpoczac w swoim pokoju, a matka czytala dla garstki kobiet ze zniszczonej ksiazeczki modlitewnej. Juz wtedy nasz ojczysty jezyk ulegal zanikowi, gdyz zaledwie znikoma garstka mlodych potrafila w nim czytac, czy tez w ogole przejawiala ochote, by to robic. Buntowniczo natomiast, wrecz z otwartymi ramionami, przyjmowali wszystko, co przychodzilo z truffidianami. Czasem rowniez, pozno w nocy, gdy siedzielismy przy kominku, matka opowiadala nam historie o dawnej ojczyźnie, a szczegolnie o odwaznych atakach na szeregi wrogow, dokonywanych na grzbietach koni. Zdaje sobie sprawe, ze nie wszystkie te opowiesci o naszym oporze stawianym silom Kalifa mogly byc prawdziwe, gdyz inaczej nigdy nie zostalibysmy wygnani z Yakuda, lecz uwielbialem ich sluchac. Nim zmuszono nas do opuszczenia doliny, matka byla wysmienitym treserem i poskramiaczem koni. W naszym nowym, przybranym domu nie bylo potrzeby wykorzystywania takich umiejetnosci. Ojciec zmarl w wieku czterdziestu osmiu lat, w 7590 roku naszego kalendarza. W tamtym czasie moj najstarszy brat znajdowal sie juz w Kretchken, wiosce pod Zamilonem, gdzie zamieszkal z zona i dzieckiem. Tak wiec to ja bylem najstarszy, gdyz moj brat Myon byl ode mnie mlodszy. Stanalem zatem na czele rodziny. (Musialem wtedy porzucic swe nauki w wierze truffidianskiej i jakos specjalnie mi ich nie brakowalo). Lokalne ksiegi odnotowywaly, ze moi bracia Myon i Bestrill sa blizniakami. Zgodnie z prawem jako najmlodszy z braci jeden z nich musial wstapic do armii Kalifa i los ten przypadl w udziale Myonowi. Lecz Bestrill, przekonany, ze Myon okaze sie bardziej przydatny i pomocny w domu, zglosil sie za niego na ochotnika. Zginal w jednej z bitew przeciwko armii Stretchera Jonesa, w miejscu o nazwie Thraan. Jak dowiedzielismy sie pozniej, z listu przeslanego nam przez jednego z jego towarzyszy broni, Bestrill pognal na koniu wprost w ramiona smierci, gdy jego regiment ruszyl na lufy armat. Cieszyłem sie, ze ojciec nie dozyl tej chwili. Po smierci Bestrilla na miejsce martwego brata wojsko upomniało się o Myona. To wlasnie zlamalo serce mojej matki. Zmiany w naszym zyciu Krotko po smierci ojca, gdy bylem juz glowa rodziny, pewna organizacja dobroczyncow z Orshy podjela dzialania majace na celu pomoc biednym pracownikom z Ulskinder. Zbudowali oni wielki budynek

przeznaczony dla wspólnotowego tkactwa. Z Morrow przybył mężczyzna mający zarządzać pracownikami. Nazywał się Frederick Alsomb i był jednym z agentów szanowanych Frankwrithe'a i Lewdena. Podniósł nam stawki i płacił monetami, a nie papierami wymienianymi na żywność w tutejszych sklepach. Jakies dwa-trzy sele tygodniowo – tyle było nieodzowne dla rodziny, by mogła przetrwać w ubóstwie siedem dni, a on płacił nam po sześć, a nawet po siedem seli na tydzień. Brakowało im wykanczacza (człowieka przygotowującego wzor), więc zatrudnili mnie na to miejsce, gdyż wiedziałem wszystko o przygotowywaniu wzorów do tkania szali modlitewnych. Nie przypominam sobie, by ojciec kiedykolwiek zajmował się tkaniem jako takim, lecz umiał przygotowywać nici i te właśnie wiedzę mi przekazał. (Był wielkim mężczyzną i mimo iż w późniejszych latach życia zmizerniał i wynędzniał, jego dłonie zawsze pozostały szczupłe i zrečne). Wkrótce odkryłem znacznie szybsze sposoby wykonywania wzorów i Alsomb dał mi podwyżkę. Zatrudnił również u siebie moich krewnych. Mogliśmy więc pozbyć się z domu stanowisk tkackich, a matka musiała wtedy jedynie przygotowywać nam posiłki. Mówiono o nas na mieście: o tym, że kupujemy chleb w piekarni i że jadamy mięso nie tylko od święta. Ale najważniejszy dla mnie był szacunek, jakim nawzajem darzyliśmy się z Alsombem. Każdego ranka, gdy wychodził ze swego biura, dokonując porannej inspekcji pomieszczenia tkackiego, rozmawialiśmy ze sobą przez kilka minut. Kiedy jednak doszły do niego słuchy, że nie jestem truffidianinem, zaczął mnie ignorować. W tamtym czasie ze wszystkich mieszkańców miasta w szczególności młodzi wsłuchiwali się w słowa wszelkiej masy rewolucjonistów i wyrzutków religijnych. Pojawili się tacy, którzy chcieli zebrać armię i walczyć przeciwko Kalifowi. Tacy, którzy wzywali do świętej wojny przeciwko Morrow. Tacy, którzy chcieli, by burmistrz uznał truffidianizm za oficjalną religię regionu. Każdy był przeciwko Kalifowi, lecz w większości przypadków kończyło się na słowach. Wiedzieliśmy bowiem, że wcześniej czy później szpieg Kalifa zajmie się krzyżakami najgłośniejszymi, a ci rozpląną się w powietrzu. I tak też było – mężczyźni i kobiety znikali ze swych domów, by nigdy już do nich nie wrócić. Krazyły pogłoski, że rozbrzmiewający w więzieniach Kalifa dźwięk śpiewu naszych ludzi nieustannie przybiera na sile. Tego roku zima okazała się wyjątkowo ostra; z tego właśnie powodu, jak również z powodu niepokoju i zamieszek, otrzymaliśmy niższe wynagrodzenia. Niektórych, w tym i mnie, zwolniono z pracy. Wszystko obrocilo się na gorsze i pojawiły się głosy, by przenieść się do Morrow. Lecz taka podróż była wyjątkowo długa i zmudna. Wymagała też sporych pieniędzy. Miałem jednak odłożoną wystarczającą kwotę, by – gdy Myon zdezerterował z wojska – móc mu ją przekazać, tym samym finansując jego podróż do Morrow, gdzie sam miałem później do niego dołączyć. Zabrało mi to więcej czasu, niż myślałem, lecz koniec końców i ja dotarłem do Morrow. Życie w Morrow W Morrow zwykle nie było tak zimno jak w Ulskinder, a otaczające je lasy jako żywo przypominały mi te opisywane przez matkę w historiach o naszych dawnych ziemiach. Jeszcze w Ulskinder dowiedzieliśmy się, że komus takiemu jak my, na obcej ziemi, bardzo trudno będzie znaleźć pracę w zawodzie tkacza. Zaczęłem więc uczyć robienia płaszczy. Mój brat Myon był bardziej światowym człowiekiem niż ja, a co ważniejsze, był bardziej

wytrzymały i mocniejszy, gdyż zahartowało go wojsko. Pracował jako urzędnik u Frankwrithe'a i Lewdena, dzięki czemu mieliśmy nadzieję, że wkrótce uda nam się zaoszczędzić wystarczająco dużo, by móc sprowadzić do Morrow całą naszą rodzinę. Lecz po kilku miesiącach sytuacja znacznie się pogorszyła. Czasem agenci Frankwrithe'a i Lewdena, postrzegający nas jako konkurencję, otwarcie atakowali nas na ulicach. Myon stracił pracę, przyłączył się więc do mnie w produkcji wierzchnich okryc i podjął się przy tym obowiązków kuriera. Wciąż jednak byliśmy w stanie wysyłać pieniądze do domu. W tamtym okresie przy rynku w Morrow otworzono biuro. Pewni nasi rodacy utrzymywali je, by nieść pomoc pobratymcom chcącym wyruszyć jeszcze dalej na południe, tak by nie wszyscy musieli mieszkać w samym Morrow. Myon udał się tam i doradzono mu, by wyruszył do Nicei. Miał tam znaleźć pracę, bądź też zacząć się parac handlem na tamtejszych "terenach wiejskich". Zdecydowaliśmy, że teraz on uda się samotnie do Nicei, a ja być może wkrótce tam za nim podążę. W Nicei mój brat jeździł wozem, podróżując nim wiele kilometrów poza miasto, prowadząc po tamtejszych gospodarstwach rolnych handel obwoźny, sprzedając najprzeróżniejsze artykuły codziennego użytku. Kupował je na kredyt w Nicei, a następnie szukał na nie nabywców za gotówkę. Lecz z powodu wciąż panującego kryzysu, rolnicy kupujący jego towary płacili mu masłem, jajkami i kurami. Kolejna zima okazała się wyjątkowo długa i ostra. Myon nie zdołał wrócić do domu, by nam pomóc, a mój handel drobnymi artykułami od progu do progu rzadko przynosił wystarczającą ilość pieniędzy, by stać mnie było na chociażby jeden posiłek dziennie. Buty miałem w oplakany stan, lecz nie mogłem sobie pozwolić na zakup nowych. Oddałem moje miejsce noclegowe na poddaszu, za co zdołałem sobie kupić parę używanych butów i przez dwa kolejne miesiące ukrywałem się na tyłach truffidianskiej katedry. Czasem, kiedy już nie mogłem znieść uczucia głodu, kradłem chleb. Gdy dopisało mi szczęście, mogłem sobie pozwolić popołudniem na zakup jajka na twardo. Gdy zima wreszcie minęła, wróciłem do handlu. Przez pierwsze kilka dni tygodnia handlowałem po różnych częściach miasta, pod koniec jednak zawsze wystawiałem przy Dekkle Street, przed stojącymi tam antykwariatami i sklepami z meblami, starając się sprzedać swój towar mijającym mnie przechodniom. Po kilku miesiącach jeden z właścicieli tamtejszych sklepów wziął mnie na bok i powiedział: "Z tego, jak się wysławiasz i zachowujesz, widzę, że jesteś wspaniałym młodzieńcem, chętnym do pracy. Chciałbym sprzedać swój sklep. Nauczę cię wszystkiego, a ty go kupisz ode mnie. Już chyba wystarczająco nahandlowałeś się na ulicy. Będziesz mi płacił tygodniowo bądź miesięcznie". Był to Wolf Shalzan, bardzo zyczący człowiek, któremu wszystko zawdzięczam. Gdy kilka tygodni później Myon wrócił do domu, wycieńczony i bez grosza przy duszy, wspólnie przedyskutowaliśmy ofertę Shalzana. Zdecydowaliśmy się ją przyjąć. Nie mieliśmy zresztą wyboru. Dzięki biurcu, prowadzonemu przez naszych rodaków, byliśmy w stanie otrzymać pożyczkę, której spłatę rozłożono nam na kilka lat. Kiedy kupiłem sklep, Myon kupił kolejny i zostaliśmy wspólnikami. Trwało to aż do jego ślubu. Były to dni, kiedy bardzo wielu wysiedlonych ludzi przybyło do Ulskinder; z niektórymi łączyły nas więzy krwi, inni byli naszymi północnymi sąsiadami, również zmuszonymi

do ucieczki pod naporem armii Kalifa. Rozeszły się wieści, że udało nam się zarobić więcej niż pozostałym, więc przybywający do miasta mężczyźni i kobiety przychodzili do nas w poszukiwaniu pracy. Nasza zdolność kredytowa prezentowała się całkiem niezle i dzięki małym bankom udało nam się pożyczyć niemal pięćset seli, które musieliśmy spłacić w przeciągu roku. A ponieważ większość nowo przybyłych stanowili młodzi mężczyźni stanu wolnego, kupowaliśmy im sklepy. Niekiedy również pożyczaliśmy im pieniądze, które, żyjąc oszczędnie, zwracali nam z biegiem czasu. W rezultacie zapewnialiśmy wszystkim nowo przybyłym z Ulskinder wikt i dach nad głową, dopóki nie stanęli na własnych nogach. Taki był właśnie początek i najistotniejszy powód tego, że tak wielu nowych imigrantów stawało się właścicielami sklepów w Morrow. Stopniowo nasza własna rodzina również przeprowadziła się z Ulskinder do Morrow. Kiedy przybyła nasza matka, z naszą siostrą Praidal i młodszym kuzynem Itchi, całe nasze życie odmieniło się na lepsze. W miejscu, gdzie nowo przybyłych poddawano kontroli, oficjele i lekarze rozmawiali z każdym z osobna w ich ojczystym języku. Praidal i Itchi natychmiast zostali przepuszczeni, lecz naszą matkę tam zatrzymano. Chwile bowiem zajęły im badania jej wzroku. Obawiano się, by napływający obcy nie przyniesli ze sobą do miasta jakiejś choroby. Wiedzieliśmy o tym i rozumieliśmy, byliśmy zadowoleni, a później o tym zapomnieliśmy. Kiedyś jednak, już jakiś czas później, mieszkająca z Praidal matka opowiedziała podczas jednej z rozmów z innymi kobietami, jak to w czasie badania lekarz zapytał, co też sprowadzają do miasta. Gdy odpowiedziała mu, że przyjechała do swoich synów, Hoegbottonów, natychmiast, bez żadnych przeszkód, puscili ją w dalszą drogę. Nie było to prawda, lecz pokazuje, jak bardzo była z nas dumna. Przygotowaliśmy dom, by Praidal i matka mogły w miarę komfortowo żyć. Jako że nie byłem żonaty, przyjąłem je do siebie. Byliśmy wtedy bardzo szczęśliwi. Gdy Praidal wyszła za mąż, matka przeniosła się do niej. Zwykle odwiedzałem ją w tygodniu. Matka z kolei często odwiedzała nas w naszych sklepach i przyjmowała od nas pieniądze, które wysyłała swej biednej siostrze mieszkającej z mężem w Nysimi (dalekiej zachodniej prowincji Imperium Kalifa). Jeszcze gdy mieszkaliśmy w Ulskinder, poczuwała się do obowiązku niesienia pomocy swej siostrze, której nie wiodło się tak dobrze jak nam. Kiedy wychodziła na rynek, zwykle w drodze powrotnej zatrzymywała się w pełnym dzieci domu siostry (nim ta jeszcze przeprowadziła się do Nysimi), gdzie przed wyjściem na ogół pozostawiała odrobinę żywności. Wszyscy z wyjątkiem naszego ojca zdawaliśmy sobie z tego doskonale sprawę, lecz nigdy żadne z nas, dzieci, nie zdradziło się tym przed nim ani słowem. Przez pewien czas nasza matka była całkiem zadowolona z życia. Wysyłała pieniądze i listy do siostry, otrzymywała od niej listy. Było tak do chwili wybuchu kilku wojen Kalifa, skierowanych przeciwko jego własnym poddanym. Wtedy właśnie korespondencja z Imperium gwałtownie się urwała. Z Ulskinder przestały nadchodzić listy, a matka zaczęła chodzić podenerwowana. Wszyscy zapewnialiśmy ją, że przerwa potrwa zaledwie kilka miesięcy. Tak właśnie wówczas sadziliśmy. Lecz z każdym kolejnym mijającym bez wieści miesiącem matka stawała się coraz bardziej zatroskana i zmartwiona. To zupełnie ją odmieniło. Przez długie godziny mogła

przesiadując w swoim pokoju, zwykle nie odzywając się wtedy ani słowem. Pewnego wieczora, gdy wszyscy miło rozmawialiśmy sobie, siedząc w jadalni, przygnębiona matka wyszła ze swego pokoju i ze łzami w oczach zapytała nas, jak to możliwe, że nie pozwalają jej otrzymywać listów od siostry. Poprosiła, byśmy wszyscy jak jeden mąż ruszyli bezpośrednio do Kalifa i zapytali, dlaczego dopuszcza do takich rzeczy, dlaczego to siostry przez tak długi czas mają pozostawać bez wieści od siebie. Jakże w ogóle mógł on pozwalać na coś takiego!? W jej pytaniu było aż tyle cierpienia i udreki, że wszyscy zostaliśmy schwyceni w szpony bólu, którego nie potrafiliśmy znieść. Kilka dni później po raz pierwszy od przybycia do Morrow doświadczaliśmy śmierci w rodzinie. Jakos już na zawsze w swej pamięci będę łączył ze sobą oba wydarzenia: śmierć, o której mowa, i cierpienie matki. Praidal zachorowała, gdyż zjadła pszenicę skażoną jakimś grzybem. Inni powrócili do sił, lecz u niej choroba się rozwinęła. Sprawiała, że chora nie była w stanie zatrzymać w sobie jedzenia, i zmieniła kolor jej skóry w przezroczystą wręcz białosność. Praidal zmarła po czterech dniach. Dla wszystkich był to szok. Oplakiwaliśmy ją przez wiele kolejnych dni. Przeżyliśmy razem tak wiele i przebyliśmy tak długą drogę, że chyba byliśmy przekonani, iż już wszystko uda nam się przetrwać. Obmywając jej ciało przed złożeniem do grobu, zdając sobie sprawę z trudów życia, jakie musiała znosić i cierpieć w Ulskinder, nie byłem w stanie jej zapomnieć. To właśnie wtedy, na cmentarzu, gdy mocno tuliłem do siebie matkę, po raz pierwszy oplakiwałem dawną ojczyznę. Co było potem? Obecnie wszyscy z pierwszego pokolenia Hoegbottonów doczekali się już potomstwa, a dzięki małżeństwom kolejni Hoegbottonowie wplekli się w rozległą tkaninę innych rodzin i miast. Z powodu nieprzyjaznego zachowania względem nas agentów Frankwithe'a i Lewdena musieliśmy ruszyć dalej i rozproszyć się jeszcze bardziej. Udalismy się do Nicei, do Stockton, a nawet, gdy piszę te słowa – dotarliśmy aż do Ambergris. Z dziewięciu osób w naszym pokoleniu większość odeszła już do wieczności, w tym również moja matka, która opuściła nas zaledwie przed dwoma laty. Nasze dzieci, jak również ich dzieci, nie wiedzą już, kim są, i nie mają nawet świadomości, skąd wzięły się w Morrow. Są tutaj i tyle w zupełności im wystarczy. Różnią się od nas – są bystrzejsze i mniej zycziwe (jednak zapewne śmiałyby się, gdyby tylko przeczytały te słowa). Niektórzy z nas wciąż jeszcze żyją w Yakuda, które od wielu już lat znajduje się pod panowaniem Kalifa. Nie dochodzą do nas od nich żadne wieści, lecz odkąd toczyła się tam wojna dobiegła końca, wysyłamy pieniądze mieszkającym tam bliskim. Pewnego razu podjęliśmy próbę przesłania większej sumy pieniędzy, korzystając z pomocy ministrów Kalifa. Powiedzieliśmy, że to dla wszystkich żyjących w Yakuda, nawet dla tych przesiedlonych z innych, bardziej odległych ziem, którzy pomogli w naszym wypędzeniu z tamtych terenów. Zrobiliśmy tak, by nie budzić w nikim urazy. Nie pamiętam dokładnie kwoty wysłanej sumy, lecz wiem, że była wysoka. Wiem również, że nigdy nie dotarła na miejsce przeznaczenia. Po jakimś czasie jeden z przywódców Yakuda – błądy człowiek, którego rodzina musiała pochodzić z bardzo dalekiego zachodu – przybył do nas do Morrow. Zwolaliśmy spotkanie. Był dobrym mówcą. Przemawiał bardzo, bardzo długo. Powiedział, że Kalif wie lepiej, kto jest w potrzebie,

i skoro ministrowie Kalifa nie przekazali tych pieniedzy ludziom w Yakuda, to z pewnoscia byly one bardziej potrzebne w jakims innym miejscu. Tacy bylismy naiwni. Wciaz nie doszly do nas doniesienia o okrucienstwach dokonywanych w imieniu Kalifa, wciaz nie wiedzielismy, ze wielu sposrod rzeszy pozostalych w Yakuda mialo zostac w ciagu najblizszych kilku miesiecy przesiedlonych badz pomordowanych. Wiele lat pozniej, gdy represje ucichly, staralismy sie czegos dowiedziec o Yakuda. Jako ostatnia deske ratunku slalismy listy do regionalnego administratora tamtych terenow. Jednak nie otrzymalismy zadnej odpowiedzi. Pozniej do naszych uszu doszla historia, jakoby Kalif zbudowal zapore na rzece, zatapiajac cala doline. To bylo bardzo dziwne uczucie, dowiedziec sie, ze nasza ojczyzna zostala oddana wodzie – nasze domy, miasta, to wszystko zostalo zalane i znalazlo sie po woda. Przez cale lata powtarzalem ludziom, ze ta historia nie jest prawdziwa. Lecz ostatnio uswiadomilem sobie, ze i tak nie ma to najmniejszego znaczenia. Nie pozostal tam bowiem zaden Hyggboutten. Ostatnio od wielu dni nawiedza mnie pewien sen, wlasciwie bedacy zapewne nie tyle snem, ile zyczeniem. Chcialbym moc sie nim podzielic z moimi dziecmi, ale nie wiem, czy cokolwiek by dla nich znaczyl. Obawiam sie, ze moglby nie znaczc nic. We snie, o którym mowa, jade konno u boku mych braci dolina, ktorej nigdy nie widzielismy. Nasze konie wspinaja sie pod gore wzniesien okalajacych rzeke. Nasi rodzice galopuja przed nami, staramy sie wiec ich dogonic. Slonce rzuca cien miedzy liscmi drzew. Jadac, smiejemy sie, a krzewy smagaja nas po nogach oslonietych skora. Rzeka jawi sie nam linia srebrnego swiatla, hen daleko w dole. Konie mkna wyjatkowo szybko. A my jestesmy szcieszliwi, tak bardzo szcieszliwi, gdyz jestesmy w domu.

1

W obszernym pomieszczeniu znajdowaly sie nastepujace rzeczy (niektore z nich zostaly pozniej skatalogowane na wyblaklych, tu i owdzie delikatnie poznaczonych plesnia, zoltych kartkach papieru, skrepowanych niebieskimi liniami): – 24 pudla do przeprowadzek, poustawiane w stopy po trzy. Na szczycie jednego z nich stoi – 1 wypchany czarny labez o obwiazanych krwistoczerwonych nogach i wydlubanych szklanych oczach. Z jego pustych oczodolow wyplywa zmierzwiona fala waty (a moze jednak grzyba?). Ptak ten jest zaledwie forpoczta dla – 5325 eksponatow pochodzacych z odleglych krain, porozmieszczanych na polkach biegnacych wzdluz wszystkich czterech scian pomieszczenia, jak rowniez wybiegajacych na przylegle don korytarze. Sa one oswietlone czymś, co mozna jedynie opisac slowami "czarne swiatlo", gdyz niby je oswietla, lecz nie rozprasza panujacego mroku. Opalizujace truchla drozdow, unoszace sie w bursztynowych butelkach, doglebnie zbadane szczatki cial meduz, jasnookie drobne ssaki o cialach zmrozonych w dosc kruchych pozach, ktorych spojrzzenie delikatnie wyraza pamiec o katastrofie. Smrod chemikaliow, slabo wyczuwalny zapach krwi oraz – 1 fonograf marki manzikert, w doskonalyim stanie, wetkniety pomiedzy ostre czarne zeby 11 polamanych plyt a – 8 oprawionych w ramki dagerotypow przedstawiajacych rodzine, ktora kiedys

zamieszkiwała te posiadłość. Wakacje na Wyspach Południowych. Rozstawieni przez fotografa przed żywopłotem. Blog o rozmarzeniach na frontowym ganku. Zdjęcie, które najbardziej przypadło mu do gustu, przedstawia siedmioletniego, może osmioletniego chłopca, który wystawia język. Twarz dziecka ożywia dzika radość. Ramka jest popekana, w lewym dolnym rogu widać smugę krwi. Fonograf, płyty i dagerotypy stoją na blacie – 1 długiego, wąskiego stołu przykrytego ciemnozielonym sukniem, które nie jest jednak w stanie ukryć wybrzuszenia rozlupanej powierzchni jego blatu. Wokół stołu stoi – 8 wąskich krzeseł o nogach osłoniętych srebrnymi łwimi łapami. Krzesła pochodzą jeszcze z okresu poprzedzającego panowanie Trilliana Wielkiego Bankiera. Gdy dostrzega ich zmaltretowany stan, wskazujący, przez co musiały przejść podczas użytkowania, nie jest w stanie się powstrzymać i wykrzywia twarz. Nie może też nie zauważyć – 1 stojącego zegara o popekanej, pochłapanej krwi szklanej tarczy, której wskazówki zamarły tuż przed północą. Z bliżej nieokreślonego miejsca wewnątrz zegara dochodzi słabe przytłumione tykanie, jakby wskazówki znów chciały się poruszyć. A tuż pod zegarem – 1 haftowany dywanik, najprawdopodobniej utkany na północy, zapewne gdzieś w okolicach Morrow, który być może nawet wyszedł spod ręki jednego z jego przodków. Przedstawia przybycie do Ambergris odsieczy kawalerii Morrow w czasie Ciszy. Zarówno konie, jak i jeźdźcy otoczeni są aureolą krwi, która w innym świetle można by uznać za fragment utkanej wzoru. Jednak żadne światło nie jest w stanie ukryć – 1 regalu na książki, wykonanego z lakierowanego drewna, zastawionego, zapchanego wręcz, poranionymi i zniszczonymi tomami, które wyglądają, jakby coś rozdarło im grzbiety, pozostawiając w powstałych w ten sposób szerokich bruzdach krew. Tuż obok regalu stoi – adwokat, ubrany na czarno. Nos i usta zasłania mu wykonana z materiału maska, będąca dość popularnym środkiem używanym przez wszystkich przekonanych co do istnienia "Niewidzialnego Świata", który to tak niedawno odkryli naukowcy Kalifa. Zdenerwowany, roztrzesiony i zmęczony, jego oczy gwałtownie mrugają znad maski. Stoi tuż obok – bladej i wyjątkowo szczupłej kobiety w białej sukni. Jej wąskie oczy nawet nie mrugają, a eteryczność jej spojrzenia gdzieś w oddali tką pajęczyny. Zupełnie niedawno odrabano jej dłonie. Za koniec zakrwawionego bandaża skrywającego jej lewy kikut trzyma – bladej, mizernie wyglądający chłopiec z tak szeroko otwartymi i drgającymi oczami, że przypominają bliźniacze zegarki kieszonkowe. Z końca drugiego ramienia chłopca zwisa niewielka, zielononiebieska walizeczka. Dziecko trzyma ją za uchwyt w sposób dorównujący delikatnością spojrzeniu matki. Jego nogi, ubrane w popielate spodnie, trzęsą się. Wpatruje się w – metalową klatkę niemal metrowej wysokości, której kształt jako żywo przypomina te przysadziste łuski armatnie, którymi tak niedawno wojacy Kalifa podczas nieszczęsnej Okupacji obsypali całe miasto. Jej wewnątrz kryje przed wzrokiem turkusowo-zielona narzuta. Spojrzenie, którym chłopiec obdarza klatkę, wymaga od niego wykreślenia ramion i szyi na prawo, któremu towarzyszy równoczesne uniesienie i odgięcie głowy do tyłu, czym zwraca na siebie uwagę – Roberta Hoegbottona, eksportera-importera, wiek trzydziści pięć lat; ani szczupłego, ani tegiego, ani przystojnego, ani brzydkiego. Ubrany w jednokolorowy

szary garnitur, który, jak ma nadzieję, nie demonstruje ani nadmiernej wyobrazni, ani jej braku, również przywdział wykonana z materiału maske, która przysłania jego (drobny) nos i (szerokie, sardoniczne) usta, choć nie nosi jej z tych samych powodów co adwokat. Hoegbotton uważa bowiem podobne maski za oznakę słabości, niewygodę, zwykły przesad. Jego spojrzenie podąza za wzrokiem chłopca w górę, ku wnęcie znajdującej się mniej więcej w połowie wysokości ściany, gdzie na parapecie stoi klatka. Ciemne, wąskie okno odbija igielki deszczu przez cylindryczne, zielone szkło. W znajdującym się na zewnątrz Ambergris króluje właśnie pora opadów. Padający deszcz nie popuści przez wiele najbliższych dni z rzędu. Niebo od panującej wilgoci przybrało niebiesko-zielono-szara barwę. We wszystkich zakamarkach miasta wychyna z ukrycia nabrzmiałe ciała grzybow, tak grube i tłuste, tak pełne spor. A nic na sinym niebie nie odsłoni przed mieszkańcami faktu, czy mają już ranek, południe, czy też może zapada właśnie zmierzch.

Adwokat coś mówił, a robił to od pewnego czasu, który Hoegbottonowi zdawał się raczej dłuższym.

– Ten czarny labedz, na przykład, jest w złym stanie – powiedział Hoegbotton tylko po to, by wybić tamtego z rytmu, by spowolnić to niekonczące się trajkotanie.

Adwokat przetarł swe zroszone potem czoło, używając w tym celu chusteczki zabarwionej bladą zielenią.

– A tak, ten ptak. Jest w doskonałym stanie – stwierdził. – Brak mu, tak, co prawda, oczu. Tak, tak, to prawda. Ale... – Tu ruchem dłoni omiotł otaczające ich ściany. – ... Z pewnością docenisz bogactwo kolekcji Daffeda.

Thomas Daffed. Ostatni z długiej linii słynnych zoologów. To właśnie jego żona i syn stali obok adwokata. Ostatni, którym udało się przeżyć z rodziny liczącej kiedyś szesć osób.

Hoegbotton zmarszczył czoło.

– Ale tak naprawdę nie potrzeba mi tej kolekcji. To piękny zbiór, w rzeczy samej wręcz doskonały... – I mówiąc te słowa, dokładnie tak myślał, bowiem doceniał i szanował człowieka, który z taką determinacją, a być może nawet wręcz obsesyjnie, potrafił zgromadzić tak różnorodną, a równocześnie tak spójną kolekcję. – ... Lecz przeciętny klient przychodzący do mojego sklepu potrzebuje garnka, parasola, ewentualnie piecyka. Od czasu do czasu trafiają mi się tam jakieś pojedyncze osobliwości czy różne ciekawostki, ale kolekcja tych rozmiarów? – Hoegbotton wzruszył ramionami w ten słynny już sposób, udoskonalony wieloma latami targowania się z innymi.

Adwokat wpatrywał się w Hoegbottona, jakby nie wierzył własnym uszom.

–Coz, jak wiec w takim razie brzmi twoja oferta? Co zamierzasz stad zabrac?

–Wciaz to jeszcze kalkuluje.

Adwokat gwałtownym szarpnięciem poluzował swój kołnierzyk.

–To trwa już przeszło godzinę. A widzisz przecież, że moi klienci nie czują się najlepiej! – Adwokat pocił się obficie. Jego skóra stawała się bladezielona. Jednak wbrew wylewanym z siebie strugom potu sprawiał wrażenie wręcz wysuszonego. Maskę wybrzuszała się i cofała pod wpływem samej tylko gwałtowności wypowiedzianych przez niego słów.

–Przykro mi z powodu waszej straty, z powodu wszelkich doznanych przez was strat – zwrócił się Hoegbotton do matki i syna, stojących tuż obok niego w niemej akceptacji własnego losu. – To nie potrwa już długo. – Podobne słowa nigdy nie brzmiały szczerze, niezależnie od tego, z jak szczerym zamiarem je wypowiadał.

Adwokat wydal z siebie odgłos plasujący się gdzieś pomiędzy jękiem a zadławieniem, którego Hoegbotton nie starał się nawet zaklasyfikować czy bliżej określić. Jego myśli powróciły do znajdujących się przed nim rzeczy – dywanika, zegara, regalu, fonografu, stołu, krzesel. Jaka też cena mogliby zaakceptować?

Hoegbotton nie dołączyłby klątki do dokonywanych właśnie kalkulacji, gdyby nie wzrok chłopca, który szalenczo, raz za razem, góra-dół, przeskakiwał w jej kierunku, przesuwając się w sposób wyjątkowo podobny do tego, w jaki spojrzenie kupca ślizgało się po rozłożonych przed nim pozostałościach sukcesu, który przeobraził się w kompletną klęskę. Ze wszystkich zgromadzonych tu niewiarygodnych rzeczy – do których należało zaliczyć też jego matkę – chłopiec najbardziej obawiał się klątki, przedmiotu, który nie mógł zranic go bardziej niż chociażby zwisająca mu z ramienia zielona walizeczka.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy ciało Hoegbottona przebiegła fala smutku z powodu dziecka, wychwycił on również delikatność srebrnych rytów na nogach krzesel; zdecydowanie były one pretrillijskie.

Wpatrywał się w chłopca, dopóki ten nie odpowiedział mu tym samym.

–Zdajesz sobie sprawę, że jesteś już bezpieczny? – Zapytał odrobine za głośno, choć wypowiedziane słowa przytłumił materiał zasłaniający mu usta. Echo poszybowało hen w górę, ku wysokiemu sufitowi, skąd odbijając się od świetlików, opadło w wyższym tonie.

Chłopiec nic nie odpowiedział. I miał ku temu pełne prawo. Właśnie bowiem na zewnątrz w ramach środków ostrożności palono ciała jego ojca, brata i dwóch siostr. Ciała te zresztą i tak były zbyt pokaleczone, by je wystawić na widok publiczny przed

ewentualnym pogrzebem. A również i dalszy los chłopca nie należał do pewnych i jasnych. Czasem bowiem i ci, którym udało się przetrwać, nie żyli później zbyt długo.

Nic nie mogło zapewnić bezpieczeństwa. Wśród mieszkańców miasta pojawił się coś prawdziwie potężnego – ped do kupowania domów pozbawionych piwnic, czy też tych stojących na kamiennych podlogach, lecz nikt, przynajmniej do tej pory, nie udowodnił, czy podjęcie takich kroków, lub jakichkolwiek innych, w ogóle cokolwiek dawało. Przypadkowa natura wydarzeń, połączona z ich sporadycznym występowaniem, narzuciła mieszkańcom Ambergris pewne poczucie fatalizmu.

Wreszcie cierpliwość adwokata wyczerpała się. Stał niewygodnie blisko Hoegbottona, który poczuł na sobie jego kwasny i ciężki oddech.

–Jestes wreszcie gotowy? Miałes więcej czasu niż to konieczne. Mam może jednak posłać po Slattery'ego i Ungdoma? – Jego głos zdawał się bardziej zniekształcony, niż mogłoby to wyjaśnić obecność maski na twarzy, jakby znalazł się właśnie w szponach nowego, prawdopodobnie śmiertelnego poruszenia.

Hoegbotton cofnął się o krok przed srogim spojrzeniem adwokata. Nazwiska głównych rywali wywołały u niego pulsowanie niewielkiej żyłki na lewej powiece. Szczególnie nazwisko Ungdoma – zwalistego i gorującego nad nim Johna Ungdoma, posiadacza szerokiego brzucha nasaczonego alkoholem i smalcem.

–Jeśli tylko chcesz, to ich tu sobie wzywaj – powiedział, odwracając wzrok.

Spojrzenie adwokata wwiercило się w jego policzek, a wtedy ta widoczna w jego wnętrzu zgnila i wstętna obecność rozplynęła się i znikła. Adwokat opadł na jedno z krzeseł. Stając się zaledwie wielką rozmazaną plamą człowieka.

–Zreszta i tak jestem niemal gotowy – dodał Hoegbotton. Żyłka na powiece nie przestawała mu pulsować. A pewne było, że ani Slattery, ani Ungdom nie pojawia się tutaj. Ze strachu. Bowiem ich oddanie wykonywanej pracy nie było ani pełne, ani wystarczające, ani adekwatne. Hoegbotton wyobraził sobie, jak jego najwięksi rywale wyruszają z domu wprost w strumienie zacinającego deszczu. Wyobraził sobie, jak ostre niczym brzytwa porywy wiatru rozrywają ich na strzępy.

–Opowiedzcie mi o klatce – zaczął nieoczekiwanie, sam zdziwiony i zaskoczony wypowiedzianymi właśnie słowami. – O tej, tam w gorze. – Wskazał dłonią. – Też jest na sprzedaż?

Ciało chłopca napreżyło się ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Ku wielkiemu zdziwieniu Hoegbottona, kobieta odwróciła się i spojrzała na niego. Miała czarne niczym otchłan oczy, które nie mrugały i niczego nie odbijały. Przez krótką chwilę poczuł się, jakby stał niebezpiecznie i niepewnie zrównowazony między

trwoga syna a uwaznym spojrzeniem matki.

–Klatka zawsze byla otwarta – powiedziala zgrzytliwym glosem, jakby cos utknelo jej w gardle. – Mielismy ptaszka. Zawsze pozwalalismy mu latac po domu. Byl piekny. Latal sobie po pokojach tuz pod samym sufitem. On... Nikt nie potrafil go znalezc. Kiedy bylo juz po wszystkim. – Przerazajace cisnienie slow "po wszystkim" okazalo sie dla niej zbyt wielkie i znow zamilkla.

–Nigdy nie mielismy klatki – powiedzial chlopiec, kolyszac swa ciemnozielona walizeczka. – Nigdy nie mielismy ptaszka. To oni ja tu zostawili. To ONI ja zostawili.

Dreszcz, ktory nie byl spowodowany przeciagiem, przebiegl cialo Hoegbottona. Jego wzrok przyciagnelo senne spojrzenie swinskih embrionow unoszacych sie w slojach. Czyzby to byla okazja? A moze raczej przeklenstwo? Wartosc pozostawionego przez NICH artefaktu bylaby znaczaca. Rownie wielkie jednak wiazace sie z nim ryzyko. Dzis po raz trzeci w przeciagu ostatnich dziewieciu miesiecy wezwano go do domu odwiedzonego przez szare kapelusze. Przy kazdej z poprzednich wizyt udalo mu sie wymknac bez szwanku. W rzeczywistosci zaczal wierzyc, ze pozne przybycie na miejsce zdarzenia jest bezpieczne i nie prokuruje zadnych efektow ubocznych. Lecz nawet i wtedy nawiedzaly go chwile niepokoju. Tak jak ostatnim razem, w poprzednim z odwiedzonych domow, gdy idac bialym korytarzem prowadzacych go do miejsca, w ktorym juz czekaly na niego rzeczy, dostrzegl serie ciemnych smug, sladow i plam krwi. W polowie drogi zauwazyl na podlodze lsniacy, ciemny ksztalt czegos, co przypominalo kawalek wysuszonego owocu. Kierowany ciekawoscia, chcac przyjrzec sie z bliska, nachylil sie nad nim – tylko po to, by sie wzdrygnac, zerwac na nogi i niezwlocznie odskoczyc z obrzydzeniem, gdy uswiadomil sobie, ze lezy przed nim ludzkie ucho.

Tym razem to adwokat przezyl gleboki wstrzas. Wedlug rozgadanego poslanca, ktory przyniosl Hoegbottonowi polecenie przybycia do tej posiadlosci, adwokat pojawil sie tu wczesnym popoludniem, by odnalezc zarowno martwe ciala, jak i tych, ktorym udalo sie przezyc. Rece i nogi, powtykane miedzy pelne okazow sloje, poustawiano w zlozone układy, swiadczace o wyjatkowo perwersyjnym poczuciu humoru.

Swiatlo odbijalo sie miekko od okna. Cisza poglebila sie, stajac wrecz absolutna. Wszedzie wokol, z kazdej ze scian, obserwowaly sie nawzajem martwe rzeczy – kakofonia spojrzeń, ktore widzialy wszystko, lecz niczego nie pamietaly. Na zewnatrz bezustannie padal deszcz.

Mrowiace uczucie podpelzlo ukradkiem w koniuszki palcow Hoegbottona. Cena zmaterializowala mu sie w glowie w lsniacych szczegolach.

–Dwa tysiace seli. Za wszystko.

Adwokat westchnal, niemal zapadł się w siebie. Kobieta zamrugła gwałtownie oczami, jak gdyby zdziwiona jego słowami, po czym wbiła w niego spojrzenie pełne nienawiści, tym bardziej prawdziwej, że tak odległej. Wszystkie uprzednie protesty adwokata, czy też nawet strach przejawiany przez chłopca, były niczym w porównaniu z tym spojrzeniem. Czerwien, która znaczyła koniuszki jej ramion, przybladła, jakby białe bandaż zaczęły goić rany.

–Trzy tysiące sili, jeśli dorzucicie do tego klatkę – usłyszał własny głos. I nieoczekiwanie sobie uswiadomił, że wcale nie kłamie: chciał ją mieć.

Adwokat, starając się teraz zamaskować jakieś bliżej nieokreślone wewnętrzne cierpienie, zachichotał i stwierdził:

–Sprzedane. Ale sam będziesz się musiał zająć transportem, bo ja nie czuję się najlepiej. – Material maski mężczyzny niemal niepostrzeżenie poruszał się tam i z powrotem wraz z jego oddechem. Do pomieszczenia wkradł się kwasny odor. Stojąc już na drabinie, poczuł chwilowy zawrót głowy. Cały świat zawirował wokół niego, a następnie zatrzymał się w miejscu, gdy Hoegbotton znów ruszył pod górę. Wyjrzał na parapet i tuż obok klatki napotkał spojrzenie dwojga wpatrujących się wprost w niego oczu.

–Do manzikerta! – Wysyczał. Odskokczył i niemal traciąc równowagę, zamachał rękoma w powietrzu; udało mu się jednak opaść, by oprzeć się o drabinę... I wtedy uswiadomił sobie, że ma przed sobą po prostu brakujące szklane oczy labedzia, które umieścił tu jakiś żartownik. Ani przez chwilę jednak nie rozważał, kim też mógłby się okazać taki kawalarz. Wstrzymał oddech, starając się przelknąć niepokój, tak bardzo ciążyący mu na ramionach, języku i powiekach.

Klatka znajdowała się na prawo od niego, w pewnym oddaleniu, więc wychylając się wolno w jej kierunku, był wyjątkowo mocno i wyraźnie świadom konieczności zablokowania swych nóg o boki drabiny.

W dole adwokat i chłopiec rozmawiali ze sobą, lecz ich głosy wydawały się przytłumione i odległe. Zawahał się. Co też mogło kryć w sobie wnętrze klatki? Jaka potworność o wiele większa niż odcięte ludzkie ucho? Ogarnęło go dziwaczne przekonanie, że gdy pociągnie za sznurek, odkryje w środku odcięta głowę Thomasa Daffeda. Lecz przecież dostrzegał pod nakryciem materiału prety klatki. Cokolwiek było w środku, musiało tam pozostać. Teraz, gdy klatka stała się jego własnością, jego nowym nabytkiem, nie zamierzał poddawać się tym samym nerwowym podszeptom co Slattery czy Ungdom.

Zasłonka klatki w przyciemnionym świetle zdawała się posypana świecącym zielonym pyłem. Posiadała również sznureczek, mający odsłaniać ją jak kurtynę. Nagłym pociągnięciem rozsunał ją na boki – i wzdrygnął się, po raz kolejny niemal

spadając z drabiny, gdy poczuł na twarzy podmuch powietrza spowodowany, jak mu się zdawało, jakimś poruszeniem wewnątrz klatki. Krzyknął. A wtedy uswiadomił sobie, że niczego w niej nie ma, że jest pusta. Na chwile zamarł i ciężko oddychając, wpatrywał się w klatkę. Nic. Pustka. Nic w niej nie było. Z najszybszych zakamarków jego ciała powoli zaczęła się wygrzebywać ulga, za którą tuż-tuż podążało jednak uczucie zawodu. Pusta. Ledwie kilka słomek zasłaniających dno. I zwisająca z tyłu niczym refleksja, kołysząca się tam i z powrotem zerdz, której ruch z pewnością wywołała gwałtowność, z jaką odsłonił zasłonkę. Zatrząskiwane drzewiczki, przesuwane po specjalnych szynach, ciągnęły się wzdłuż całej wysokości klatki, wynoszące metr od podstawy do zwieńczenia. Poplamione zielenią metalowe prety przyozdobiono bardzo misternymi złoconymi, bedacymi najbardziej finezyjną i kunsztowną robotą, jaką kiedykolwiek dane mu było widzieć – przedstawiały złożone, drobniawo wykonane kwiaty i pnacze winorośli, którym towarzyszyły małe postaci, wyglądające z pełnego grzybow tła. Mogł je spokojnie sprzedać za cztery tysiące seli, wystarczyło tylko odpowiednio je zaprezentować i zachwalić.

Spojrzał w dół, w mrok rozpraszany jedynie garstką świecących lamp.

–Jest pusta! – Wykrzyknął do stojącej tam trojki. – Nic w niej nie ma. Ale i tak ją biore.

Z dołu dopłynęła do niego niedająca się rozszyfrować odpowiedź. Gdy starał się zogniskować wzrok na rozgrywającej się pod nim scenie, odległym adwokacie siedzącym na krześle i nieustannie stojącej dwojce, przez krótką, przerażającą chwilę wydało mu się, że się roztopiają. Chłopiec zdawał się spajać z trzymaną w dłoni walizką, której zieleni była teraz wręcz nie do oddzielenia od bieli trzymającego ją drobnego ramienia. Kikuty kobiety stały się wręcz niemożliwie białe, jak gdyby wyrosły jej nowe kości. Sam zaś adwokat jawił się ledwie rozmazaną plamką zieleni.

Stanawszy ponownie na ziemi, Hoegbotton w żaden sposób nie był w stanie powstrzymać drżenia.

–Na jutro, jak tylko wszystko skataloguje, przygotuje konieczne papiery – rzekł.

A wszędzie wokół, na oparciach krzeseł, na stole, na szczycie biblioteczki, pojawiły się białe grzybki o cieniutkich nożkach i czerwonych blaszkach.

Siedzący na krześle adwokat chichotał, nie potrafiąc nad tym zapanować.

–Milo było was spotkać – powiedział Hoegbotton, wycofując się tyłem w kierunku drzwi prowadzących do pomieszczenia, które z kolei prowadziło do następnego pomieszczenia, to z kolei do jeszcze jednego, i następnego, i kolejnego, które, miał nadzieję, wyprowadzi go wprost na zewnątrz, lecz wówczas z pewnością będzie już biegł, ile tylko tchu w płucach i sił w nogach. Kikuty kobiety wypuściły białe wici,

które leniwie snuły się i oplatały wokół zaschniętej krwi, zupełnie ją przysłaniając. Jej oczy powoli wypełniały się bielą.

Hoegbotton wycofywał się tyłem, aż wreszcie wpadł na zniszczony stół, o który niemal się przewrócił.

– Tak jak już mówiłem, interesy z wami to czysta przyjemność.

– Tak, tak, tak, tak – odpowiedział mu adwokat i zachichotał po raz kolejny, a miał tak zieloną i pomarszczoną skórę, że wyglądała niemal jak skóra jaszczurki.

– W takim razie do zobaczenia wkrótce – oznajmił Hoegbotton, wykrecając, wciąż jednak tyłem, w kierunku drzwi, gdzie zaczął na ślepo poszukiwać za plecami klamki. – Być może w jakichś... W jakichś lepszych... – Lecz tak rozpoczęte zdanie nie chciało mu przejść przez gardło, po prostu nie był w stanie go dokończyć.

Ramiona chłopca stały się ciemnozielone, rozmazane i niewyraźne, jakby były martwą naturą wykonaną na sztalugach wyłącznie za pomocą malutkich kropek farby. Jego walizka, kiedyś niebieska, przybrała czarnozieloną barwę, a wszystko z powodu grzybow, które otoczyły ją niemal tak gęsto jak powoje bluszczu wschodnią fasadę posiadłości, w której właśnie się znajdowali. W oczach chłopca jasniała niczym nieskrepowana, przerażająca świadomość stanu, w jakim się znalazł, wciąż jednak nie puszczał dłoni matki, nawet gdy białe nici okrecały się im wokół kończyn, zwierając ich w coraz bardziej nierozzerwalnym objęciu.

Kiedy było już po wszystkim, Hoegbotton był niemal pewien, że sterczałby przy tych drzwiach przez całą wieczność, z dłonią na klamce i chichotem adwokata słyszalnym jako cichy jęk w tle, gdyby nie to, co się wtedy stało.

Zepsuty i zniszczony zegar zarzęził i wybił północ. Rozbrzmiewający dreszcz uderzeń rozwibrował całe pomieszczenie, przeszedł przez tysiące słoików z zakonserwowanymi zwierzętami. Adwokat z nagłym przerażeniem unosił wzrok i z ledwo słyszalnym pyknięciem eksplodował w powoli opadający w powietrzu ku ziemi deszcz turkusowych spor, które z niespiesznym wdziękiem dryfowały wokół niczym nasiona dmuchawca. Jak gdyby to dźwięk zegara rozerwał go na strzępy.

Gdy Hoegbotton wydostał się na zewnątrz, zerwał maskę i padł na kolana, a następnie wymiotował tuż przy basenie fontanny, która zastawiała drogę do ścieżki prowadzącej bezpośrednio do bulwaru Albumuth. Za jego plecami, po drugiej stronie ciemnozielonego trawnika, tliły się jeszcze szaro-czarne szczątki Daffeda, jego córek i drugiego syna. Śwad spalenizny mieszał się w powietrzu z pleśnią i deszczem, który pojedynczymi kroplami uderzał w plecy Hoegbottona. Jego ramiona i nogi drżały, obezwładnione słabością. Wysuszone usta paliły. Przez dłuższą chwilę trwał w tej

pozycji, obserwując tylko, jak spadające z nieba krople zakłocają jego odbicie w tafli wody. I sam drzał, podobnie jak powierzchnia, na którą patrzył.

Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko. Ludzie zawsze umierali na długo przed jego przybyciem, bądź na długo po jego wyjeździe. Płynny chichot adwokata wsaczał mu się w uszy wraz z ledwo słyszalnym odgłosem pekania spor. Zadrzał, odprezył się, zadrzał ponownie.

Gdy jego asystent, Alan Bristlewing, kwestionował, co zresztą czynił dość często, rozsadek podejmowania tak ryzykownych wypraw, Hoegbotton zwykle uśmiechał się i zmieniał temat. Nie był w stanie dokonać wyboru pomiędzy dwoma przeciwstawnymi impulsami: wzbierającym podnieceniem, które towarzyszyło takim wyprawom, a pozadaniem, by uciec z Ambergris i wrócić do Morrow, miasta, w którym przyszedł na świat. Gdy każda z podobnych przygod zacierała mu się w pamięci, wracała odwaga podejmowania ryzyka, i dziwnym trafem, za każdym razem była ona silniejsza.

Ramię chłopca znalazło się z trzymana przez niego walizeczka.

Opierając się o nakrapiana porostem kamienna krawędź fontanny, Hoegbotton zatopił głowę w gładkiej powierzchni wody. Wstrzasnął nim przejmujący chłód, klujący skóre, przenikający otepienie, patroszący wewnątrz nosa. Wyrwał mu się jęk, potem drugi, wreszcie kolejny, który zgwał go w pole, sprawiając, że głowa ponownie zanurzyła się pod wodę. Poczul nieoczekiwany chłód na karku. Gdy wyrwał się spod powierzchni, przyjrzał się swemu odbiciu w tafli wody; wtedy to właśnie rozplynęła się maska, nałożona, by ukryć trawiące go emocje. Ponownie był sobą.

Podniósł się. Po drugiej stronie placu ludzie kappana porzucili palce się ciała i zajęli się zabijaniem deskami drzwi oraz okien posiadłości, którą sam dopiero co opuścił. Nikt nie odsunął zasłon, by zaprotestować przeciwko uwięzieniu wewnątrz domu. Nikt nie zaczął łomotać w drzwi, błagając, by wypuszczono go na zewnątrz. Wszyscy w środku już dawno rozpoczęli swą podróż.

Jedno spojrzenie na jego twarz, kiedy tak szedł niepewnym krokiem w kierunku bezpieczeństwa oferowanego przez fontannę, powiedziało wszystkim ludziom kappana. Bez wątpliwości i jego uwięziliby wewnątrz posiadłości, gdyby nie łapówki i fakt, że udało mu się uciec z życiem w tylu poprzednich przypadkach.

Przetarł usta chusteczką. Rzeczy, które właśnie zakupił, pokryte są pleśnią, niewykorzystane i nigdzie niezanotowane, jeśli nie liczyć jego rejestru zatytułowanego "Potencjalne nabytki" z dopiskiem: "Utracone". W zależności od tego, jakie procedury kappan pod wpływem panującej w mieście hysterii przyjął w tym tygodniu za obowiązujące, jego ludzie bądź odgródzą ziemię, na której stała posiadłość, bądź też oddadzą płomieniom sam budynek.

Zegar wybil polnoc.

Tuz przy nim stala klatka, lsniaca w padajacym deszczu. Uciekajac z domu, tak mocno trzymal jej uchwyt – a z kazdej strony, z kazdego kata, obserwowaly go wtedy niewinne spojrzenia eksponatow piekielnej kolekcji Daffeda, skladajacej sie wylaczenie z martwych rzeczy – ze zostal nia napietnowany, oznakowany, w miejscach, gdzie nie starl sobie skory z dloni. Nosil na sobie znak pozostawiony przez uchwyt: misterny filigran nieznanym symboli, zza ktorych spozieraly dziwne oczy. W przyciemnionym swietle, przy coraz mocniej padajacym deszczu, wydawalo sie, ze grzyby zostaly splukane z nakrycia klatki. Perwersyjnie, fakt ten sprawil mu zawod. Z kazdym kolejnym zblizeniem, z kazdym kolejnym spotkaniem oczekiwal coraz to wiekszych objawien i rewelacji.

Mruganiem pozbyl sie zalewajacych oczy kropel deszczu, po czym wypuscil z siebie gleboki oddech, wepchnal maske do kieszeni, owinal zraniona dlon materialem, wreszcie podniosl klatke. Byla ciezsza, niz wydawalo mu sie wczesniej, i jakos wyjatkowo dziwnie zrownowazona. Dlatego tez, gdy wreszcie ruszyl sciezka prowadzaca do glownej drogi, przechylil sie na bok. Jesli tylko zamierzal znalezc sie w domu przed godzina policyjna, narzucona przez kappana, musial sie pospieszyc. Ambergris o zmierzchu, zamkniete w kokonie przyciemniajacego wszystko deszczu – uderzajacego o chodniki, grzechoczacego na dachach, bebniacego w okna – sugerowalo rozwiazlosc, budzaca niepokoj idacego ulicami Hoegbottona niemal w rownym stopniu co sposob, w jaki, gdy zatrzymywal sie, by przelozyc klatke z reki do reki, jej ciezar nigdy nie wydawal sie taki sam jak poprzednio.

Miasto, ktore za dnia rozkwitalo zdrowa aktywnoscia, w nocy stawalo sie swym calkowitym przeciwnstwem. Donoszono o orgiach odbywajacych sie w opuszczonych kosciolach. O wystawianych w okolicy dokow groteskowych i sprosnych przedstawieniach wodnego teatru lalek. Co tydzien rowno o polnocy odbywaly sie w dzielnicy kupieckiej aukcje malarstwa, a do opisu wystawianych tam obrazow pasowalo zaledwie jedno slowo: "obsceniczne". Dziwacznie ilustrowane ksiazki Collarta i Slothiana przezywaly obecnie w miescie popularnosc, ktora wrecz wynosila autorow do statusu o malutki zaledwie kroczek nizszego od kappana. W Dzielnicy Religijnej silnie naciskani truffidianscy ksieza starali sie odzyskac sila posiadany kiedys autorytet, wyrrywajac go z rak trwajacych w nieustannej walce prorokow Petersona i Strattona, ktorych pojedykujace sie nawzajem teologie trafialy na podatny grunt coraz bardziej porywczym wyznawcow.

A zupełnie niedawno u sedna calej tej niesmiertelnosci miasta na nowo zaznaczyla sie obecność szarych kapeluszy, które ostatnimi laty poczęły się pojawiać i znikać niczym przyływ i odpływ. Raz w podziemiach, raz na powierzchni, jak gdyby w niekonczącej się migracji między światłem a ciemnością, nocą a dniem. A miasto zawsze reagowało na ich obecność w nieprzewidywalny sposób. Jakież inny wybor mieli mieszkańcy Ambergris niż nie przerywać swych codziennych, zwykłych

interesow, ludzacz sie, ze to nie oni beda nastepnymi ofiarami na liscie szarych kapeluszy, i stajac sie slepi na wszystko z wyjatkiem wlasnych nieszczes? Od Ciszy, kiedy to bez najmniejszego nawet sladu rozplynely sie w powietrzu tysiace ludzkich istnien, minelo cale sto lat, wiec ludziom mozna bylo wybaczyć, ze zapomnieli. Większość z nich nie myslala już o niej codziennie. Jakos nie przystawala do zwyklych, codziennych smutkow czy problemow mieszkancow miasta, podobnie jak nie pasowala do cotygodniowych ceremonii truffidian czy zmartwien dreczacych kappana i jego ludzi.

Gdy Hoegbotton szedl do domu, lampy uliczne wylanialy sie z mroku, oswietlajac umykajace postaci: biegnacego ksiedza trzymajacego uniesione poly swej szaty, by nie potknac sie na jej rabku; dwoch czlonkow plemienia Dogghe, skulonych przy zamknietych drzwiach banku, w charakterystycznych spiralnych zielonych kapeluszach, gleboko nasunietych na ogorzale twarze. Wokol nie pozostal już nawet najmniejszy slad po niedawnej Okupacji, z wyjatkiem nakreslonych na murach graffiti wzywajacych najezdzcow do powrotu do siebie. Lecz od czasu do czasu Hoegbotton wciaz natykal sie na lekko jasniece w ciemnosci purpurowe okregi niemal dwumetrowej srednicy, znaczące miejsca, w ktorych jeszcze przed Ciszą zaniepokojone władze sciely olbrzymie grzyby. Gdy wspial sie na siodmy podest schodow i wszedl do swojego mieszkania, jego zona już spala. Przed snem wylaczyla swiatlo w calym mieszkaniu, gdyz dawalo jej to przewage w przypadku pojawienia sie jakiegokolwiek intruza. Slabo wyczuwalny zapach bzu i kapryfolium dal Hoegbottonowi do zrozumienia, ze Rebeke odwiedzil dzis mieszkajacy pietro wyzej kwiaciarz.

W przytlumionym blasku, dochodzacych ze znajdujacego sie na lewo salonu, odkladal klatke na podloge, zdejmowal buty i skarpetki, zawieszal na wieszaku swoj plaszcz przeciwdeszczowy. Na wprost przed soba mial jadalnie z oknem pokrytym warstwa plesni, ktorego blyszczaca powierzchnia, karmiona deszczem, plonela ciemna purpura. Sam zaledwie przed tygodniem sprawdzil domowe zabezpieczenia, majace chronic wnetrze przed grzybem i nie odkryl tam zadnych przeciekow, lecz zakodowal sobie w pamieci, by sprawdzic je ponownie zaraz nastepnego ranka.

Ze stojacej w korytarzu szafki wyjal recznik, by przetrzec nim twarz, wlosy, a nastepnie rowniez klatke z zewnatrz. Podnoszac ja, po raz kolejny poczul nietypowy i niepokojacy ciezar. Na paluszkach przeszedl do salonu, a dywanik pod jego stopami, mimo iz gruby, wydawal sie wrecz lodowaty. Przywitala go tam zbieranina ciemnych ksztaltow, z ktorych wiekszość stanowiły rzeczy ze sklepu: lampy i stoliki, kanapa, dluga niska lawa, biblioteczka, szafa stojacego zegara. Za nimi znajdowal sie balkon, już dawno temu zaanektowany przez grzyba, w wyniku czego przestali go uzywac i zamkneli na cztery spusty.

Niesmiale swiatlo niemal zamienialo stojace tu meble w bezcenne artefakty, ktorymi, jak powiedzial swej zonie, byly. Ale wybral je nie z powodu ich wartosci, lecz

dla dotyku, zapachu, dźwięków, które wydawały, gdy nimi poruszał, gdy na nich siadał, kiedy je otwierał. Ledwie garstka z nich przyciągała wzrok, lecz Rebeka uwielbiała wybrane przez niego do domu meble, co przekładało się na to, że najcenniejsze rzeczy mógł przechowywać w sklepie zapewniającym im bezpieczeństwo.

Odstawił klatkę na stół w salonie. Wnętrze dłoni miał rozpalone do żywego mięsa od dzwigania. Pozbył się reszty ubrań, przewieszając je przez oparcie kanapy.

Z leżancej na prawo od salonu sypialni dochodziło światło. Wszedł tam i skreślił w lewo. Zamknięte okno nad łóżkiem odbijało opalizujący blask pochodzący wyłącznie od niej. Rebeka leżała na plecach, pościel owijała jej ciało, a jednak odsłaniała widniejąca na jej lewym udzie długa, czarna blizna w kształcie mglisto przypominającym ize. Pozadliwie przesunął po niej wzrokiem. Błyszczała niczym obsydian.

Przeszedł na prawą stronę łóżka i położył się. Przysunął się do niej i przyglnął do mroku blizny. Przed oczami przemknął mu obraz kobiety z posiadłości.

Rebeka przez sen odwróciła się do niego i gdy układał się na plecach, położyła mu na piersi dłoń – ciepła i miękka, równie delikatna jak rozgwiazdy pływające w pływającej przy dokach. Jakże drobna zdawała się ta dłoń na jego piersi.

Otwarte oczy Rebeki rzuciły światło, choć był przekonany, że żona wciąż śpi. Srebrny poblask połączony ze słabymi fosforescencyjnymi iskierkami błękitu, zieleni i czerwieni: drzenia i błyski rozszczepionego światła, jakby w jej spojrzeniu wzbierało kilka małych burz. O jakich to wspaniałych światach śni? – Zapytał się w myślach. I po raz chyba tysięczny: Czym jest to światło? Co oznacza? Spotkał ją w Stockton, podczas jednej z podróży w interesach; miała za sobą pewną infekcję grzybiczą, która doprowadziła ją do utraty wzroku i pojawienia się tego dziwnego światła oraz blizny. Nigdy tak naprawdę nie poznał jej do końca. Nigdy nie poznał jej w pełni.

Kimże była ta nieznajoma? Tak blada, cicha i piękna? Wezbrał w nim radosny smutek, kiedy tak obserwował emanujące od niej światło. Za ledwie dzień wcześniej pokłócili się o to, czy powinni postarać się o dzieci. Każde słowo, które kierowały złością rzucił w jej kierunku, raniło go tak bardzo, że wreszcie, koniec końców, pozostał niemy, pozbawiony słów, i wszystko, co był w stanie zrobić, to ledwie stać bez ruchu z wbitym w nią wzrokiem. Lecz teraz, gdy tak na nią patrzył, na jej odsłoniętej i bezbronnej twarzy, na leżance tak blisko ciała, nic nie mógł poradzić i kochał ją z powodu blizny i oczu, nawet jeśli przekładało się to na pragnienie, by taka właśnie pozostała.

Następnego ranka Hoegbotton obudził się z bladym obrazem okrwawionych bandażów kobiety, a przywitały go dźwięki towarzyszące przygotowywaniu przez Rebeke śniadania. Znała ich mieszkanie lepiej niż on – poznała bowiem jego powierzchownie, krawędzie, dokładną liczbę kroków dzielącą stół od krzesła i drzwi – i uwielbiała przygotowywać posiłki w kuchni, która była jej bardziej znajoma i bliska, niż kiedykolwiek miała stać się dla niego. Przez cały czas prosiła również męża o znoszenie nowych mebli do salonu i sypialni, bądź też o przestawianie tych znajdujących się już w mieszkaniu. W innym przypadku zaczynała się nudzić. "Potrzebuje nieodkrytej przestrzeni. Potrzebuje powiewu nieznanego" – tak powiedziała mu kiedyś, a on przyznał jej rację.

Do pewnego jednak stopnia. Wolał, by pewne sprawy pozostały nieodkryte. Na przykład, na stojącym na wprost łóżku kominka leżały rzeczy należące kiedyś do jego babki, przesłane niedawno z Morrow przez jednego z krewnych: szpilka do włosów, seria portretów członków rodziny, zestaw łyżeczek, słabej jakości egzemplarz historii rodziny. Towarzyszący pamiętkom list opisywał ostatnie chwile życia kobiety. Pewnego wieczora, jakiś miesiąc temu, paczka czekała na niego na progu mieszkania. Babka zmarła sześć miesięcy wcześniej. Nie był na pogrzebie. Jakos nawet nie zebrał się w sobie, by podzielić się wiadomością z Rebeką. Wiedziała tylko tyle, ile zdradził jej szelest papieru wysuwanego z koperty oraz dźwięk wyglądania kartek, nim zabrał się do czytania listu. Być może wzięła do rąk szpile czy łyżeczki, zastanawiając się, po co przyniósł je do domu. Gdyby jej opowiedział, musiałby również wyjaśnić powody, dla których nie pojechał na pogrzeb, a to wiązało się z wyznaniem wzajemnej niechęci panującej między nim a jego bratem Richardem.

Zapach jajek na bekonie pobudził go do odrzucenia poscieli, poderwania się z łóżka i założenia szlafroka. Następnie, potykając się, z wciąż zaczerwienionymi od snu oczami, przeszedł przez salon i wszedł do kuchni. Pozbawione życia światło słońca – blade, zielone i ledwie letnie – przedzierało się przez zarastające kuchenne okno purpurową pleśnią, poprzecinaną tu i owdzie cienkimi żyłkami zieleni. Przez szybę przebijał znak wodny miasta: szare iglice, opuszczone flagi, niewyraźne kształty anonimowych budynków mieszkalnych.

Rebeka stała w kuchni z łyżką w dłoni, obramowana tym wpadającym do środka ponurym światłem. Jej czarne włosy błyszczą złowieszczo. Miała na sobie sukienkę, która leżała na niej luźno, układając się zielono-niebieskimi falami materiału. Stała tam – ze ściągniętymi ustami, nie mrugając powiekami – skupiona na stojącej przed nią patelni.

Gdy podszedł, stanął za jej plecami i objął ją ramionami, dreczące go poczucie winy zmarszczyło mu twarz. Zeszłej nocy znalazł się tak blisko, niemal równie blisko co tamten chłopiec, a nawet tamta kobieta. Czy była to jeszcze odległość wystarczająca, by zapewnić bezpieczeństwo...? Takie pytanie nawiedzało go przez całą wczorajszą

wedrowke do domu. Nieoczekiwanie ogarnęła go teraz głęboka fala poruszenia i poczuł, jak lzy stają mu w oczach. A co jeśli nie? Co wtedy?

Rebeka wtuliła mu się w ramiona i odwróciła do niego. Jej oczy w świetle dnia prezentowały się niemal normalnie. Jedynie niewielkie błyski fosforescencji leniwie przelatywały przez zrenice.

–Dobrze spałeś? – Zapytała. – Tak późno wczoraj wróciłeś.

–Dobrze. Przepraszam. Tym razem trafiła mi się wyjątkowo ciężka robota.

–Dochodowa? – Szturchnęła go łokciem, równocześnie odwracając ją łopatką.

–Nieźbyt.

–Naprawdę? Dlaczego?

Zamarł. Czy Rebeka uswiadamiła sobie, że posiadłość, która wczoraj odwiedził, okazała się śmiertelną pułapką? Czy wyczuwała od niego zapach krwi? Czuli jego strach? To on pełnił rolę jej oczu, był jej łącznikiem ze światem obrazów, lecz czy naprawdę pozbawiał ją czegokolwiek, nie opisując w najdrobniejszych szczegółach wszelkich przerażających rzeczy dziejących się wokół?

–Coż... – Zaczął. Zamknął oczy. Chore spojrzenie adwokata zadrgało mu przed oczami, nakładając się na wyimaginowaną scenę własnej śmierci. Nawet trzymając Rebeke w ramionach czuł, jak odległość pomiędzy nimi narasta.

–Nie musisz zamykać oczu, by zobaczyć – powiedziała, wyrывая się z jego objęć.

–Skąd wiedziałas? – Zapytał, mimo iż znał odpowiedź.

–Usłyszałam, jak je zamykasz. – Uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją.

–To było po prostu smutne – odparł, siadając przy kuchennym stole. – Nie było przerażające. Ledwie smutne. Zona straciła meza i musiała sprzedać posiadłość. Był z nią chłopiec, który przez cały czas nie wypuścił z dłoni małej walizeczki.

To, co zostało z adwokata, powoli płynąć w powietrzu, opadało ku ziemi, klebiąc się niczym konfetti. Spojrzenie chłopca bez przerwy przeskakujące to na niego, to na klatkę.

–Strasznie było mi ich żal. Posiadali kilka pięknych pamiątek rodzinnych, lecz większość obiecano już wcześniej Slattery'emu. Nieźbyt wiele udało mi się dostać. Mieli taki ładny dywanik z Morrow, jeszcze sprzed Cisy. Piękna robota, jeśli chodzi o szczegóły. Kawaleria Morrow przybywająca na ratunek Ambergris. Zaluje, że nie

udalo mi sie go kupic.

Ostroznie zsunela jajka z bekonem na talerz i przyniosla mu do stolu.

–Dziekuje – powiedzial. Przypalila bekon, a jajka byly za bardzo sciete. Nigdy sie jednak nie skarzyl, nigdy nie narzekal. Potrzebowala takich drobnych magicznych sztuczek, tych zludzen oswiecenia. A posilek byl przeciez jadalny.

–Pani Bloodgood zabrala mnie wczoraj do Muzeum Morhaimow – powiedziala. – Wiele z tamtejszych eksponatow nie znajduje sie w gablotkach i mozna ich dotykac. Mialy niesamowita fakture. Pozniej, jak moze sie domysliles, odwiedzil mnie kwiaciarz.

Ojciec Rebeki, Paul, byl kuratorem malego muzeum w Stockton. Paul lubil zartowac, ze Hoegbotton jest ledwie tymczasowym opiekunem rzeczy, ktore i tak wczesniej czy pozniej trafia w jego rece. Hoegbotton zawsze uwazal, ze muzea jedynie gromadza rzeczy, ktore powinny byc dostepne na wolnym rynku. Rebeka, nim choroba odebrala jej wzrok, byla asystentka ojca. Obecnie Hoegbotton czasem zabieral ja ze soba do sklepu, gdzie pomagala mu segregowac i katalogowac nowe nabytki.

–Zauwazylem kwiaty – powiedzial. – Ciesze sie, ze podobalo ci sie w muzeum.

Z jakichs powodow podczas jedzenia drzala mu dlon. Odlozyl widelec na stol.

–Nie smakuje ci? – Zapytala.

–Bardzo dobre – odparl. – Musze tylko napic sie wody.

Wstal od stolu i przeszedl do zlewu. Podlaczone ich do sieci wodociagowej zaledwie piec tygodni temu, po dwoch dlugich latach oczekiwania. Wczesniej musieli czerpac wode ze studni w dolinie, by nastepnie przynosic ja w dzbanach do domu. Z satysfakcja obserwowal, jak charkoczacy kran stopniowo napelnia mu szklanke.

–Calkiem ladny ptaszek, czy tez cokolwiek jest tam w srodku – uslyszal zza plecow jej glos.

–Ptaszek. – Nieokreslony strach przeszl mu cialo. – Ptaszek? – Szklanka zadzwonila o krawedz zlewu, momentalnie wypadajac mu z reki.

–No nie wiem. Moze to jaszczurka. Co tam jest? Odwrocil sie, opierajac o zlew.

–O czym ty mowisz?

–O klatce, ktora wczoraj przyniosles ze soba do domu. Nieokreslony strach

przemknął mu wzdłuż kregosłupa.

–Nic w niej nie ma. Jest pusta. – Czyżby żartowała sobie z niego?

Zasmiała się czystym, przyjemnym dla ucha dźwiękiem.

–To zabawne, ponieważ ta twoja rzekomo pusta klatka grzechotała sobie jakiś czas temu. Początkowo się wystraszyłam. Co szeleszcilo w jej wnętrzu. Nie byłam w stanie określić, czy to ptaszek, czy może jednak jakaś jaszczurka? Już, już miałam sięgnąć do środka i sprawdzić to dłońmi.

–Ale nie zrobiłaś tego?

–Nie.

–Tam w środku nic nie ma.

Jej twarz uległa subtelnej zmianie i zrozumiał, że Rebeka jest przekonana, iż zwątpił w coś, w czym była wyjątkowym ekspertem: w jej zdolność interpretacji dźwięków. Powiedziała mu kiedyś, że w cichy dzień jest w stanie dosłyszeć krzyk chłopca rzucającego kaczki w pobliżu doków.

Przez chwilę nic nie odpowiedział. Nie mógł jednak milczeć zbyt długo. Co prawda, nie dotykając go, nie mogła czytać mu z twarzy, lecz podejrzewał, że rozróżnia kilka rodzajów ciszy.

Zasmiał się.

–Żartuje. To jaszczurka. I to taka, która może ugryźć. Postąpiłaś więc bardzo rozsądnie, nie dotykając jej.

Rysy twarzy napiał jej wyraz podejrzliwości, lecz zaraz rozluźniła się i usmiechnęła do niego. Wyciągnęła lewą dłoń, by namacać nią talerz i wykręcić stamtąd kawałek bekonu.

–Wiedziałam, że to jaszczurka!

Wszystko ciągnęło go do salonu, tam bowiem na blacie stołu leżała klatka. Ale nie mógł tam pojsć, jeszcze nie teraz, nie tak szybko.

–Teraz ucichło – stwierdził cicho, niemal oczekując odpowiedzi, która nadeszła.

–Nie, wcale że nie. W najmniejszym nawet stopniu. Jest głośno.

Wykrzywił lewy kącik ust, odpowiadając jej bez namysłu tak często powtarzanym pytaniem:

–Co teraz słyszysz, kochanie?

Jej uśmiech poszerzył się.

–Coż, najgłośniej twój głos, kochany – miły dla ucha głęboki baryton. Potem mieszkająca pod nami pania Hobson, która słucha swego fonografu tak cichutko, jak to tylko możliwe, by nie przeszkadzać rodzinie Potaków, akurat w tej chwili kłocącej się o coś tak nieznaczącego, że nawet nie podam ci szczegółów. Z boku, tuż nad nimi... – Jej oczy zweziły się. – ...Jestem przekonana, że Smythowie też mają dziś bekon na śniadanie. A tuż nad naszymi głowami podpierający się laseczka staruszek Cox chodzi tam i z powrotem po swoim pokoju i mamrocze coś pod nosem o pieniądzach. Na jego balkonie zaś siedzi mały swiergoczący wroblek, co właśnie mi uświadamia, że zwierze w klatce rzeczywiście musi być jednak jaszczurka, gdyż dochodzące stamtąd odgłosy przypominają raczej młasnica i gdakanie, a nie swiergot – no, chyba że przyniosła tam jakiegoś kurczaczka?

–Nie, nie – to jaszczurka.

–Jaka jaszczurka?

–Saphancka plująca ogniem, która przybyła wprost z Wysp Południowych – odparł. – Żyje tylko w klatkach, które sama tworzy, przezuwając ziemię i zamieniając ją w metal, który następnie zwraca. Może jeszcze tylko zwierzęta, które jej nie widzą.

Zasmiała się, doceniając jego historyjkę, po czym wstała, by go objąć. Jej zapach pozwolił mu zapomnieć o pozerającym go strachu.

–Ladna opowieść, ale ci nie wierze. Wiem jednak jedno – jak tak dalej pójdzie, spóźnisz się do pracy. Gdy stanął już na parterze, gdzie w jego odczuciu nie miało większego znaczenia, że Rebeka może to usłyszeć, odłożył klatkę na ziemię. Sama świadomość, że niesie ją w dół spiralnych schodów, tak wyjątkowo dziwnie zrównowazona i kołysząca się z boku na bok, wytracała go z równowagi i odbierała wszelką drzemiacę w nim odwagę. Ciało, osłonięte płaszczem przeciwdeszczowym, zalewały mu strumienie potu. Oddychał ciężko i szybko. Dodatkowo, ani zapach stęchlizny unoszący się w lobby, ani małe rdzawe grzyby, które niczym ślady pozostawione przez myszy rozprzestrzeniły się tu po całej podłodze, ani też nakrapiana, zielonopomarańczowa pleśń szyby drzwi wejściowych nie wpływały na niego uspokajająco.

Ktoś zostawił tu podniszczoną parasolkę opartą o drzwi frontowe. Hoegbotton chwycił za nią i tak uzbrojony odwrócił się, by z uwagą i skupieniem wpatrywać się w klatkę. Czyżby właśnie nadeszła ta chwila, gdy wszystkie złe życzenia kierowane pod jego adresem przez Slattery'ego i Ungdoma miały się ziszczyć? Czyżby wreszcie padło i na niego? Wsunął czubek parasolki między prety klatki. Nakrycie lekko się ugięło i

pofaldowało, lecz po wycofaniu parasolki wróciło do swego poprzedniego stanu. Nic się na niego nie rzuciło. Spróbował ponownie. I tym razem bez żadnej widocznej reakcji ze środka.

–Jest tam coś? – Zapytał klatkę. Ta jednak nie udzieliła mu żadnej odpowiedzi.

Trzymając przed sobą parasolkę niczym jakiś miecz, pociągnął za materiał zasłaniający wewnątrz klatki – a wraz z wykonaniem tej czynności odskoczył do tyłu.

Klatka niezmiennie trwała pusta. Zerdz kołysała się szalenczo tam i z powrotem od samej gwałtowności, z jaką pociągnął, odsłaniając materiał. Powrócił do niego głos kobiety: "Klatka zawsze była otwarta". Powrócił głos chłopca: "Nigdy nie mieliśmy klatki". Adwokat nigdy nie wyraził żadnej opinii w tej kwestii. Kołysząca się zerdz i panująca w klatce pustka przygryzły go. Nie potrafił określić, dlaczego tak się działo. Z powrotem zaciągnął zasłonkę, zasłaniając wewnątrz.

Gdy usłyszał za sobą rozbrzmiewające na schodach kroki, okrecił się gwałtownie na piecie, po chwili jednak się rozluźnił. To tylko Sarah Willis, właścicielka domu, w którym wynajmował lokal, schodziła w dół ze swego znajdującego się na pierwszym piętrze mieszkania.

–Dzień dobry, pani Willis – przywitał ją, opierając się na parasolce.

Dopoki nie stanęła na wprost niego, przyglądając mu się zza grubych szkieł swych okularów, nawet nie zwracała sobie głowy odpowiedzi na jego powitanie. Jej lysiejacą głowę okrywał kapelusz w kwiatowy wzór. Pasująca do kapelusza wypłowiała suknia przysłaniała jej starcze ciało, zasłaniając również obute zapewne stopy.

–Tu nie wolno trzymać zwierząt – powiedziała.

–Zwierząt? – Zapytał zdezorientowany. – Jakich zwierząt?

Pani Willis wskazała głową na klatkę.

–A co masz tam w środku?

–Och, o to chodzi. To nie zwierze.

–Tu nie wolno trzymać zwierząt. Nieważne, czy jako pupilków, czy na mięso. – Pani Willis zarechotała i zakaszlała z własnego dowcipu.

–To nie... – Zaczął, lecz uswiadomił sobie bezsens tego, co starał się udowodnić. – I tak właśnie je stąd zabieram. Wziąłem je tylko na ten ranek.

Pani Willis chrzaknela i przepchnęła się obok niego.

Już stojąc w drzwiach, gdy wychodziła w bebnienie nowej fali deszczu, najwyraźniej licząc na osłonę oferowaną przez własny kapelusz, podrzuciła Hoegbottonowi następującą radę:

–Panna Constance? Ta z drugiego piętra? Urwie ci głowę, jak natychmiast nie odłożysz jej parasolki.

Sklep Hoegbottona stał przy bulwarze Albumuth, w połowie drogi między dokami a mieszkalną częścią miasta, schodząca w dolinę, która pozostawała w nieustannym zagrożeniu powodziowym. Sklep zajmował parter solidnego, dwupiętrowego drewnianego budynku, którego właścicielem był mnich z Dzielnicy Religijnej. Wisząca nad nim tablica stwierdzała: "Robert Hoegbotton i Synowie: importerzy wysokiej klasy rzeczy nowych i używanych, miejscowych i z zagranicy". Wyrażała ona optymizm, gdyż nie było żadnych synów. Jeszcze nie. Czasy bowiem nie były ku temu odpowiednie; sytuacja zdawała się zbyt niepewna, wbrew temu, co na ten temat sadyła Rebeka. Kiedyś, w przyszłości, jego sklep stanie się główną siedzibą wielkiego imperium kupieckiego, jednak na pewno nie nastąpi to w przeciągu kilku najbliższych lat. Zawsze gnęło go do przodu ukryte gdzieś głęboko w myślach przekonanie, że jeśli tylko powinie mu się tutaj noga, jego brat Richard spełni swą groźbę i rzuci się, wręcz zapikuje na Ambergris z resztą klanu Hoegbottonów, by ocalić nazwisko rodowe.

Okno wystawowe, chronione przed deszczem przez markizę, ukazywało zniszczoną biało-fioletową kanapę, bogato pokryte płatkami złota krzesło (wykradzione przez Hoegbottona wraz z kilkoma innymi caczuszkami podczas panicznego wycofywania się z miasta armii Kalifa), fonograf, olbrzymi czerwony wazon, nieprzystające do reszty umieszczonych tu rzeczy siodło oraz Alana Bristlewinga – jego asystenta.

Bristlewing kleczał właśnie na wystawie, ostrożnie umieszczając płyty na podstawce znajdującej się tuż obok fonografu. Zdążył już oczyścić szybę z grzybow, które zebrały się na niej w nocy. Na chodniku leżały zebrane w kupkę pozostałości wykonanej pracy: klebowisko czerwieni, zieleni i błękitu, z nad którego unosił się kwaśny zapach, łatwy jednak do rozproszenia przez deszcz w ciągu godziny czy dwóch.

Gdy Bristlewing zobaczył Hoegbottona, pomachał mu ręką, po czym jego sylwetka i szczupła postać zniknęła z okna wystawy. W chwili później, osłaniając gazetą głowę przed zacinającym deszczem, jego asystent otwierał już olbrzymi zamek żelaznej kraty, a usta układały mu się w znajomy lakoniczny uśmiech, także zdradzający obecność kilku antyków, zawdzięczanych ulicznymi dentystom. Gdy wyciągał klucz z

zamka, wyleciało stamtąd kilka płomiennie czerwonych grzybków w kształcie guzika, które potoczyły się po mokrym od deszczu chodniku.

Bristlewing był zaniedbanym, niskim i zwawym mężczyzną, od którego nieustannie dochodził zapach cygar. Długo regularnie znikal na całe dni. Historie opisujące jego rozpustę u boku prostytutek oraz długie tygodnie spędzane na wędkarskich rejsach po Moth krążyły wokół niego niczym roje much, choć nigdy bezpośrednio na nim nie siadały. Hoegbotton jednak ze względów finansowych nie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie bardziej odpowiedzialnej osoby.

–Dziendoberek – przywitał się Bristlewing.

–Dzień dobry – odpowiedział mu Hoegbotton. – Byli wczoraj wieczorem jakis klienci?

–Zadnych z pieniędzmi... – Uśmiech zniknął z ust Bristlewinga, gdy ten zobaczył klatkę. – Och, widzę, że znowu poszedł pan do jednego z tych domów.

Hoegbotton położył klatkę przed Bristlewingiem, równocześnie wyjmując mu z dłoni kluczyki.

–Po prostu zanieś ją do mojego biura. Czy księgi inwentarzowe są prowadzone na bieżąco? – Dłoni wciąż klula go w miejscach, gdzie odbił się uchwyt klatki.

–Oczywiście, że są na bieżąco – odparł Bristlewing, odwracając się sztywno i podnosząc z chodnika swe nowe brzemie. Drogi do mieszczącego się na tyłach sklepu biura strzegł, nieprzypadkowo, labirynt najprzeróżniejszych rzeczy, nad którym unosił się zbiorczy zapach wszystkich zebranych tu różności, dla samego Hoegbottona będący niczym najdelikatniejsze i najwspanialsze z perfum. Ten zapach antycznosci nadawał tutejszej kolekcji status antyków równie skutecznie jak wszelkie dokumenty mogące świadczyć o ich autentyczności. To, że jego klienci, poruszając się przypadkowymi ścieżkami, dość często potykali się i tracili orientację, niewiele dla Hoegbottona znaczyło. Przekazywana z pokolenia na pokolenie mądrość rodzinna stwierdzała bowiem, że otoczony z każdej strony klient nie ma innego wyjścia, jak tylko wybrać i kupić coś spośród rozciągających się w każdym kierunku stert krzesel, parasolek, zegarków, piór, wedek, ubrań, lakierowanych pudeł, wieszaków, gipsowych odlewów jaszczurek, eleganckich luster wykonanych ze szkła i miedzi, okularów do czytania, truffidijskich ikon religijnych, wykonanych z kłosa olifanta podkładek do gry w koszi, porcelanowych dzbanków na wodę, globusów, modeli statków, starych medali, laseczek skrywających w sobie ostrza, zegarków z pozytywką czy innych efemeryd pochodzących z lat przeszłych i miejsc odległych. Hoegbotton rozkoszował się świadomością, że jakiś klient szukający najwycyńniejszego w świecie kompletu talerzy może natknąć się na nabrzmiałe nozdrza i wyciągnięty, poszukujący język erotycznej maski wykonanej przez Skamoo.

Przejmujące poczucie tajemnej historii, emanujące od zebranych tu rzeczy, czasem było w stanie wywołać u niego stan przypominający trans. Na szczęście Rebeka w pełni rozumiała podobne doznania, gdyż była na nie wystawiona od najmłodszych swych lat.

Wylaniające się z bagien nieprzebranego wręcz bogactwa biuro Hoegbottona stało otworem na resztkę sklepu niczym oaza niedostatku. Piec stopni wiodło w dół do zapadniętego i oklapniętego dywanu, purpury wykanczanej złota nitka, który kupił ze starego Threnody Larkspur Theater, nim ten splonął doszczętnie, oraz prostego biurka z drzewa rozanego, którego jedynym ozdobnikiem były nogi wyrzeźbione w kształcie wijących się kalamarnic. Pasujące do biurka krzesło, dwa oparte o ściany stoliki oraz przeznaczona dla gości kanapa dopełniały umeblowania pomieszczenia. Na lewo od przestrzeni biurowej znajdowało się dwoje drzwi, z których jedno prowadziło do pracowniczej łazienki, dość niedawno zainstalowanej ku wielkiemu zachwytowi Bristlewinga.

Biurko zasklepiło zorganizowany chaos, narzucony ludzka reka, składający się z ksiąg inwentarza, rejestru, kilku wiecznych piór, papieru przyozdobionego logo HS, folderów wypełnionych rachunkami, metalowej kapsuły na wiadomości ze znajdującym się w środku zwiniętym i przewiazanym kawałkiem papieru, kawaleczka pomarańczowego grzyba zawiniętego w brązową papierową torbę, muszelki, którą Hoegbotton w wieku sześciu lat znalazł na wakacjach na Wyspach Południowych, oraz najnowszego wydania Tajemnicy Cinsorium pióra Blake'a Clockmoora, wydanej przez Frankwithe'a Lewdena. Dagerotypy Rebeki, jego brata Stephena (utraconego dla rodziny, gdyż w związku z potwornym, lecz historycznie popularnym kaprysem władcy, związanym z wywoływaniem kolejnych wojen, zaciągnął się do kawalerii Kalifa) oraz matki, Gertrudy, stojącej na trawniku przy rezydencji w Morrow, dopełniały wystroju wnętrza, nadając mu odrobinę osobistego charakteru.

Bristlewing tymczasem zdążył się ulotnić – do uszu Hoegbottona dochodził odgłos wyciągania przez tamtego czegoś zza rzędu starych regałůw na książki, zastawionych pod samym sufitem popekanymi doniczkami – a klatka stała już na jednym z bocznych stolików, jak gdyby trwała tam od zawsze.

Hoegbotton zawiesił swój płaszcz przeciwdeszczowy na jednym z sześciu wieszaków, ustawionych w dalekim kącie biura niczym stojący na baczność szereg żołnierzy. Następnie, biorąc ze sobą księgi inwentarza i zakupów za ostatnie kilka dni, ruszył w kierunku drugich drzwi, wiodących do pomieszczenia bezpośrednio sąsiadującego z łazienką. A były one wyjątkowo stare, przearte przez korniki i ponabijane dziwnymi metalowymi symbolami, które antykwariusz przywłaszczył sobie z porzuconego ołtarza manzistów.

Otworzył je i wszedł do środka. Drzwi cichutko zamknęły się za jego plecami, zupełnie odcinając go od świata zewnętrznego. Światło, rzucające na pomieszczenie

zoltawy poblask, pochodzilo od przybitej do przeciwleglej sciany staromodnej lampy na olej kalamarniczny.

Nic, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie odrozniato tego miejsca od jakiegokolwiek innego. Stal tu zniszczony stol jadalny, wokol ktorego rozstawiono cztery zdezelowane krzesla. Po jednej stronie znajdowala sie komodka z lustrem sluzacym za tylna scianke, gdzie porozkladano talerze, filizanki, miseczki i inne naczynia. Lustro komodki bylo pozylkowane purpurowym grzybem, ktory zdolal wnknac w drobniutkie pekniecia szkla. Hoegbotton zamartwial sie swego czasu, ze ludzie kappana mogliby zechciec ja skonfiskowac podczas jednej z cotygodniowych inspekcji w sklepie, lecz ci za kazdym razem ja ignorowali, byc moze rozpoznajac wiek lustra i sposob, w jaki plesn zaczela porastac grzyb.

Na stole staly trzy rozstawione nakrycia, wokol ktorych w przypadkowym nieładzie walaly sie wyblakle serwetki. Na samym srodku lezal pergamin pelen wyblaklych slow, tak stary, ze wygladal, jakby mial rozpasc sie w proch pod najmniejszym zaledwie dotykem. Butelka porto, w polowie pelna, stala tuz przy pustej przestrzeni towarzyszonej czwartemu krzeslu.

Zgodnie z niedawno ustalona tradycja Hoegbotton przesiadywal tu w czasie swego codziennego wertowania ksiag inwentarza. Oprawione w czerwona skore ksiegi sprowadzal specjalnie z Morrow. Ich kremowe kartki byly cieniotkie niczym bibulka, co mialo na celu zmieszczenie jak najwiekszej ich liczby pomiedzy okladkami. Obie zabrane przez Hoegbottona ksiegi odpowiadaly inwentarzowi za ostatnie trzy miesiace. Szesnascie innych, rownie masywnych i nieporecznych, zostalo owinietych w koc i ostroznie zlozonych pod drewniana podloga biura. (A jeszcze dwa inne notatniki, majace rejestrowac niefortunne, lecz konieczne kontakty z Ungdomem i Slatterym, stosownie w zolтым i brazowym kolorze, lezaly wrzucone do niezamykanej szuflady biurka).

Wczoraj nie bylo wiekszego ruchu – sprzedano zaledwie piec przedmiotow, z czego dwa okazaly sie plytami fonograficznymi. Zmarszczyl czolo, gdy zapoznawal sie z dokonanyim przez Bristlewinga opisem kupujacych – "Niska kobieta o laseczce. Nie podala nazwiska". Czy tez: "Chorobliwie wygladajacy mezczyzna. Cala wiecznosc zajelo mu podjecie decyzji. Po czym kupil zaledwie jedna plyte". Bristlewing nie przykladal wagi do systemu Hoegbottona. W przeciwnienstwie do wpisow asystenta, typowy opis, ktory wyszedl spod piora wlasciciela, byl rownie pelen szczegolow co raport policyjny: "Panna Glissandra Beckle, zamieszkala we Wschodnich Czyszowkach na Rzezeniach pod numerem 4232, wiek: okolo piecdziesiat lat. Poprzetykane srebrna siwizna szare wlosy. Zdumiewajaco przeszywajace spojrzenie niebieskich oczu. Ubrana w droga zielona suknie, ktorej towarzyszyly jednak tanie czarne buty, wyjatkowo zaniedbane. Z uporem zwracala sie do mnie per>panie Hoegbotton<. Obejrzala dokladnie bardzo drogi wazon pochodzacy z Okcydentu oraz wielce przychylnie skomentowala kosciana szpilke do wlosow, perlowa tabakierke,

jak również zegar będący kiedyś własnością prominentnego Trufndianskiego księdza. Kupiła jednak za ledwie owa szpilka do włosów".

O ile Bristlewing wykazywał wyjątkową niechęć do szczegółowych opisów wymaganych w księgach przez Hoegbottona, to jego niechęć do tego pomieszczenia okazywała się nawet większa. Trzy lata temu po dokładnym skatalogowaniu jego zawartości, gdy wszystkie stojące tu rzeczy przybyły do sklepu, Hoegbotton zadał Bristlewingowi następujące pytanie:

–Wiesz, co to jest?

–Zatechły stary pokój, gdzie nie ma czym oddychać.

–Nie. To wcale nie jest zatechły stary pokój, gdzie nie ma czym oddychać.

–Alez dałem się nabrac – odpowiedział mu Bristlewing i z grymasem niezadowolenia na twarzy zostawił go samego w środku.

3

Ale Bristlewing się mylił. A przede wszystkim nie rozumiał, dlaczego ten pokój w ogóle tu jest. Jakżeby mógł? I jak sam Hoegbotton miałby mu wyjaśnić, że to pomieszczenie jest najprawdopodobniej najważniejsze na całym świecie; że często znajduje się w nim nawet gdy spaceruje po mieście, czyta żonie w domu czy kupuje owoce i jajka na targu rolnym?

Historia pomieszczenia sięgała czasów samej Cisy. Jego praprapradziadek, Samuel Hoegbotton, jako pierwszy z Hoegbottonów przeniósł się do Ambergris, postępując całkowicie na przekór reszcie wielce rozległej rodziny, w tym również własnego dwudziestoletniego syna Johna, który pozostał w Morrow.

Jak na człowieka, który przesiedlił swą żonę i córkę, oddalając je od wszystkiego, co było im bliskie i znajome, oraz zmuszając, by zamieszkały w nieznanym, czasem okrutnym mieście, Samuel Hoegbotton odniósł nadzwyczajny sukces, zakładając trzy sklepy w pobliżu doków. Za ledwie kwestia czasu wydawało się przybycie do miasta kolejnych członków klanu Hoegbottonów.

Jednak nie to było im pisane. Pewnego dnia Samuel Hoegbotton, jego żona i córka zniknęli – za ledwie trójka w morzu tysięcy dusz, które rozplynęły się w powietrzu w Ambergris podczas wydarzenia znanego powszechnie jako Cisa – pozostawiając po sobie jedynie opuszczone budynki, puste place i domy oraz podejrzenie w sercach tych, którzy ich oplakiwali, że winne tragedii są szare kapelusze. Hoegbotton szczególnie zapamiętał taki oto fragment wyczytany kiedyś w pamiętniku Johna: "Nie jestem w stanie uwierzyć, że mój ojciec naprawdę zniknął. Przyjmuje do wiadomości,

ze mogło mu się przytrafić coś złego, ale żeby ot tak, po prostu, zniknął? Po prostu rozplynął się w powietrzu? I to razem z moją matką i siostrą? Nie potrafię pozbyć się myśli, że oni pewnego dnia wrócą, by wszystko mi wyjaśnić. W przeciwnym razie życie bez nich jawi mi się jako zbyt trudne”.

Siedząc z otwartym pamiętnikiem na kolanach w sypialni matki, młody Robert Hoegbotton poczuł, jak po karku przebiega mu dreszcz. Co też stało się z Samuelem Hoegbottonem? Wiele letnich popołudni spędził na stryżku, gdzie w otoczeniu antyków rozważał to zagadnienie. Przeczesał stare listy wysłane przez Samuela do domu jeszcze przed zniknięciem. Odwiedzał archiwum rodzinne. Pisał listy do krewnych w innych miastach. Jego matka nie pochwałała podobnych dociekań syna, lecz babka jedynie uśmiechała się, powtarzając ze smutkiem: "Sama często się nad tym zastanawiałam". Nie mógł o tym porozmawiać z ojcem, gdyż jego zimna i odległa postać bardzo rzadko pojawiała się w domu.

Tajemnica zaintrygowała również jego siostrę. Razem wymyślili możliwe scenariusze, a następnie je odgrywali. Zadawali pokojówkom pytania, których celem było zapełnienie luk we własnej wiedzy, dzięki czemu udało im się odkryć znaczenie takich słów jak "szare kapelusze" czy "kappan". Jego babka podarowała im nawet stary szkic, przedstawiający pokój gościnny w ich domu, a w nim postać Samuela Hoegbottona otoczonego wianuszkami uśmiechniętych krewnych podczas jednej z wizyt w domu rodzinnym. Lecz dla siostry wszystko to było zaledwie ucieczka od chwilowej nudy, a on sam wkrótce oddał się zajęciom związanym ze zglebianiem tajemnic i zawilosci rodzinnego interesu, więc tajemnica odeszła w zapomnienie.

Gdy osiągnął pełnoletność, zdecydował się wyjechać z Morrow. Wyruszył do Ambergris. Żaden członek jego rodziny nie postawił tu stopy od dziewięćdziesięciu lat i dokładnie z tego powodu Hoegbotton wybrał to miasto, a przynajmniej tak właśnie to sobie tłumaczył. W Morrow pod drapieżnym okiem Richarda czuł, że żaden z jego planów nigdy się nie spełni. W Ambergris rozpoczął jako biedak, lecz przynajmniej prowadził niezależnie działające uliczne stoisko z owocami i gazetami. Z rzadka zaledwie – gdy poszukiwał na aukcjach kosztowności przypominających mu rzeczy noszone przez matkę czy buszował po zakamarkach sklepu Ungdoma, gdzie przyglądał się rzeczom, które pod względem bogactwa wielokrotnie przewyższały wszystko, co mógł wówczas kupić – myśli o Ciszy wracają.

Zaraz następnego dnia po podpisaniu dzierżawy budynku własnego sklepu odwiedził mieszkanie Samuela. Adres znalazł w jednym z listów przodka. Sam budynek leżał w labiryncie innych porzuconych budowli, wyrastających z boku doliny na wschód od Dzielnicy Kupieckiej. Cała godzina zabrało mu znalezienie właściwego domu, a podróż rozpoczęta powozem kontynuował na piechotę. Wiedział, że jest blisko, gdy musiał się wspinać na drewniane ogrodzenie z tabliczką "Zakaz wstępu z rozkazu kappana". Niebo nad głową było całkowicie zasłane chmurami. Światło słońca, choć słabe, jednak jasniało, a kiedy przechodził między tutejszymi

budynkami, opadło na niego dziwne poczucie eteryczności i oddalenia. Tu i tam dostrzegał ściany, z których sterczały zmieszane z zaprawą kości, i bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że takie widoki towarzyszą miejscom, które zamieniono w cmentarze.

Kiedy wreszcie stanął przed domem Samuela – przodek mieszkał na parterze trzypiętrowego budynku – rozważył, czy nie powinien przypadkiem odwrócić się na pięcie i wrócić do domu. Dom stał bowiem zabity deskami, poczerniałymi od ognia i zaplamionymi brązowożółtym grzybem. Chwasty zatopiły wszelką roślinność przed nim trawę, jak również wszelkie pozostałe ślady mogące świadczyć o istnieniu tam trawnika. Powietrze przenikała won przypominająca słaby zapach octu. Stożące naprzeciw siebie rzędy budynków tworzyły korytarz światła, na końcu którego stał zablakany bezpanski pies, który obwąchując ziemię lapał jakiś zapach. Nawet z tak wielkiej odległości widać było, że zwierzęciu odstają zęba. Gdzieś zaczęło płakać dziecko; dźwięk był słaby, jakby rozcienczony, automatyczny; zarazem jednak tak nieoczekiwany i budzący przerażenie, że Hoegbotton pomyślał, iż to wcale nie musi być dziecko, lecz jedynie coś, co je naśladuje z nadzieją, że uda mu się zbliżyć go bliżej.

Po kilku chwilach wahania wreszcie podjął decyzję. Sygnal do torby po łom. Po godzinie później siła wywazył wszystkie deski, odsłaniając drzwi oznaczone wyblakłym, nakreślonym na ciemnym drewnie znakiem X. Uświadomił sobie, jak płytko oddycha, jak mocno odczuwa swe podszyte strachem oczekiwanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdy otworzy te drzwi i znajdzie się w kłopotach, nikt nie poda mu pomocnej dłoni, lecz wciąż pozadał tego, co kryło to wewnątrz. Mogł tam znaleźć wszystko, nawet kres swego życia, a jednak krząca w żyłach adrenalina wciąż nie dawała mu spokoju.

Pociągnął, otwierając drzwi. Wkroczył do środka, sciskając łom niczym bron.

Przez chwile jego oczy przyzwyczajały się do panującej wewnątrz ciemności. W powietrzu unosił się smród stechlizny. Znajdujące się w przedpokoju okna, mimo iż zabite deskami, wpuszczały do środka wystarczającą ilość światła, by zalegająca podłogi warstwa kurzu lśniła niczym kolonie malutkich, przygaszonych światełek. Przedpokój był wyjątkowo zwyczajny i niczym się nie wyróżniał; wszystko znajdowało się w nim na swoim miejscu. W jeszcze słabiej oświetlonym salonie widniały pozostałości po jakichś wólczech, którzy dawno temu utworzyli tam sobie tymczasowe schronienie, a następnie je porzucili. Sofa leżała przewrócona, koca użyto jako dachu dla prowizorycznego namiotu, zaś porzrzucone po podłodze plachty gazety miały służyć za posłanie. Psie odchody wydawały się stosunkowo świeże i niedawne, podobnie jak kości niewielkich zwierząt, złożone w stosik w kącie pomieszczenia. Truchło krowki, poskrecane i wysuszone, lecz pooblepiane zeschniętą krwią, mogło pochodzić zaledwie sprzed tygodnia. Tapeta rozpadła się w niedoleźniałym starczym mamrotaniu fragmentów i pasków. Wiszące kiedyś na

ścianach obrazy leżały na podłodze, gdyż już dawno temu puściły trzymające je haczyki. W powietrzu unosił się słabo wyczuwalny, nieprzyjemny zapach – kwasność, która odsłaniała potajemne negocjacje toczące się pomiędzy drewnem a grzybem, naturalny wynik gnicia i rozpadu. Hoegbotton odprezył się. Szarych kapeluszy nie było tu od bardzo dawna. Pozwolił, by łom zawisł mu luźno w dłoni.

Wkroczył do jadalni. Kruche fragmenty gazety leżały porozrzucane po wielkim stole, trzymane w jednym kawalku dzięki stojącej na nich butelce porto, tuż obok której znajdował się kieliszek. Na stole widniały też – skolonizowane przez pajęczyny, kurz oraz opadłe z sufitu poplamione kawalki drewna – trzy talerze wraz z towarzyszącymi im nakryciami. Stechle powietrze zachowało zawartość talerzy w zmumifikowanym stanie. Trzy talerze. Trzy porcje zamienionego w kosc kurczaka. Trzy zielone smugi dawno już wysuszonego, bliżej nieokreślonego warzywa. Samuel Hoegbotton. Jego żona Sarah. Corka Jane. Wszystkie trzy krzesła, rozklekotane i przezarte przez korniki, stały lekko odsunięte od stołu. Czwarte z kolei leżało przewrócone, roztrzaskane na kawalki samym ledwie upływem czasu bądź też jakimś bezpośrednim aktem przemocy.

Hoegbotton przez dłuższą chwilę wpatrywał się w krzesła. Czy poruszono nimi w przeciągu ostatnich stu lat? Czy przesunął je jakiś szalony, zablakany podmuch wiatru, który wpadł do środka pomiędzy szparami w zabitych deskami oknach? Skąd można było to wiedzieć? Mimo to jednak stojące w swej obecnej pozycji krzesła drażniły jego wyobraźnię. Wcale nie wyglądały, jakby zaalarmowana rodzina Samuela Hoegbottona zerwała się z miejsc – wciąż złożone serwety leżały na siedzeniach dwóch krzeseł. Trzecia – należąca do osoby czytającej gazetę – nie została nawet użyta, podobnie jak towarzysząca jej srebrna zastawa. Sztucce dwóch pozostałych nakryć leżały dziwnie rozłożone. Przy prawym nakryciu widelec leżał pod pewnym kątem względem talerza, jakby został tak rzucony. Z nabitym na zabki czymś ciemnym i wysuszonym. Czy to coś pasowało do nieregularności widocznej w skamieniałym kawalku kurczaka, leżącym na pobliskim talerzu? Noża w ogóle nigdzie nie było widac. Przy lewym nakryciu widelec wciąż trwał wbity w swą porcję kurczaka, a tuż obok niego noż ciał mięso.

Hoegbotton miał wrażenie, że rodzina najzwyczajniej w świecie jadła posiłek i po prostu... Zniknęła... W samym jego środku. Klujące zimne uczucie rozlało mu się po skórze. Widelec. Noż. Krzesła. Plachta gazety. Jeden posiłek nietknięty, drugi przerwany w połowie. Butelka porto. Tajemnica szarpała nim, nie dając mu spokoju, wgrzyzając się w niego coraz mocniej, nawet teraz, gdy stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Nic w ułożonych przez niego i siostry scenariuszach z czasów dzieciństwa nie mogło wyjaśnić tego, co tutaj zastał.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i nachylił się nad stołem. Ostrożnie odchylił na bok jedną z kartek gazety, sprawdzając widniejącą tam datę: dzień Cisy. Widok ten sparalizował go. Odsunął sobie krzesło, na którym z pewnością musiał siedzieć

czytajacy gazete Samuel Hoegbotton, i powoli osunal sie na nie. Jego wzrok powedrowal wzdluz stolu do miejsca, gdzie siedzialy zapewne zona i corka tamtego. Czytajacego gazete z artykulem o zgielku w dokach, przygotowaniach do zaplanowanego wkrótce powrotu floty rybackiej z dostawa tak wyczekiwanego miesa kalamarnic, z krotka wiadomoscia o bluznierstwie od PrzedSIONa Truffidianskiego, z krzyzowka. Nagly podmuch, przemieszczenie, zaskoczone spojrzenie zony, podnosi wzrok znad gazety i w ostatniej chwili swego zycia widzi... Coz takiego? Szare kapelusze? A moze cos o wiele bardziej przerazajacego? Czy Samuel Hoegbotton byl wtedy zaskoczony? A moze przerazony? Zdumiony? Czy tez zabrano go tak blyskawicznie, ze ani on, ani jego corka czy zona nie mieli nawet chwili, by jakkolwiek zareagowac?

Hoegbotton po raz kolejny spojrzal wzdluz stolu, tym razem skupiajac sie na czesciowo oproznionej butelce porto. Nachylil sie do przodu, przyjrzel blizej kieliszкови. Plyn znajdujacy sie w srodku z czasem wysechl, zamieniajac sie w osad na dnie. A jednak na brzegu kieliszka dalo sie dostrzec niewyraźne odbicie malych warg. Korek zostal mocno wcisniety w szyjke butelki. Kolejna tajemnica. Czyzby ktos nalal sobie porto juz na dlugo po Ciszy?

Jego wzrok padl na lezacy za butelka widelec z miesem. Pod tym katem nabity kes nie wydawal sie pasowac do lezacej na talerzu porcji kurczaka.

Odsunal sie od widelca, uderzony mysla, ktora nieoczekiwanie objawila mu sie w glowie. Jego wzrok przyciagnal wtedy nikly blysk, dobiegajacy z podlogi obok krzesla. Okulary Samuela Hoegbottona. Wykrecone w ksztalt przypominajacy okregi przylaczone do linii prostej, zakonczone ksztalem litery U na kazdym z koncow. Kiedy wpatrywal sie w okulary, poczul tylko, jak w glowie mnoza mu sie kolejne pytania, az wreszcie nie tyle siedzial na krzesle Samuela Hoegbottona, ile znalazl sie na miejscu tysiecy dusz spogladaajacych w ciemnosc, starajac sie dostrzec, co tez oni widzieli wtedy, co tez zobaczyli; starajac sie zrozumiec, czego bylo im dane sie dowiedziec.

Dziecko wciaz krzyczalo, gdy potykajacy sie Hoegbotton wychodzil na zewnatrz, gleboko wciagajac powietrze. Gleboko, lapczywie i zachlannie. Pobiegl po zascielajacych droge kawalkach cegly i gruzu. Przebiegl przez wybudajace chwasty. Minal budynek, gdzie z zaprawy murarskiej wystawaly kawalki kosci. Wspial sie na ogrodzenie, na ktorym wyraznie stwierdzono, ze wcale nie powinien sie tu znajdowac. I nie zatrzymal sie, dopoki nie dotarl do znajomych kamieni bruku zascielajacych najdalej wysunięte krance bulwaru Albumuth. A kiedy sie wreszcie zatrzymal, znow zachlannie wciagajac powietrze, cisnienie w skroniach nie zmialo mu ani o jote, jedynie pewna zblakana mysl usadowila sie w jego glowie niczym choroba. Coz takiego zobaczył wtedy Samuel Hoegbotton? I czy koniecznie musial zniknac, gdy juz to ujrzal? Tak wlasnie wszystko sie zaczelo – podazanie zimnym tropem sprzed niemal stu lat. Poczatkowo staral sie wierzyc, ze goni jedynie za

możliwością wyjątkowo udanego interesu: ot, wykupywał zawartość zabitych deskami domów i naprawiał wszystko, co popadło w ruinę, by móc to później sprzedać we własnym sklepie. Zaczął od mieszkania Samuela Hoegbottona, wynajmując ludzi, którzy wynieśli stamtąd zawartość jadalni i przenieśli ją – ba, wręcz przeszczepili – do pomieszczenia sąsiadującego z jego biurkiem. Poustawiali tam wszystko dokładnie tak, jak stało, gdy wkroczył tam po raz pierwszy. Mogł teraz do woli siedzieć sobie w tym pokoju, niemal bez końca analizując i taksując wzrokiem każdy najdrobniejszy szczegół – butelkę portu, talerze, srebrne sztucce, serwety przypadkowo porozrzucane na krzesłach – lecz nie objawiło mu się żadne głębsze zrozumienie. Nic. Po kilku miesiącach odkurzył przedmioty i naprawił meble, doprowadzając wszystko (z wyjątkiem gazety) do stanu, w jakim musiało być dokładnie w chwili Ciszy. Gdy napadały go mroczniejsze dni, uważał, że jego czyny mogą zainicjować kolejną Ciszę, lecz wciąż ani o krok nie zbliżył się do odpowiedzi na stawiane sobie pytania.

Wkrótce nawet porzucone po Ciszy pomieszczenia przestały go urzekać. Wchodził tam z wynajętymi pracownikami, a wewnątrz już czekały na niego stare, mroczne przestrzenie, w których coś, co kiedyś przez krótką chwilę nasyciło je swym upiornym napięciem – cokolwiek to było – i tak dawno je opuściło. Przestał gromadzić podobne rekwizyty, mimo iż w pewnym sensie było już na to za późno. Ungdom, Slattery i inni im podobni zaczęli go szkalować, rozpuszczając plotki mówiące o jego mrocznych zamiarach i pomieszaniu zmysłów. Utrudniali mu życie, lecz ignorując ich bolesne uwagi, jakos zdołał to przetrwać.

Hoegbotton nie złożył broni, nie poddał się. Kiedy tylko mógł, kupował rzeczy mające jakiś związek z szarymi kapeluszami, a wszystko to z nieustanną nadzieją, że kiedyś uda mu się odkryć odpowiedzi konieczne do zaspokojenia ciekawości, która tak nie dawała mu spokoju. Czytał książki. Rozmawiał z tymi, którzy wciąż jeszcze, z niemal zapomnianych historii opowiadanych przez dziadków, pamiętali przeszłe czasy, pamiętali Ciszę. Az wreszcie, koniec końców, nastąpił przełom: seria okrutnych aktów, do których zaczęło dochodzić w kolejnych posiadłościach Ambergris. To one zbliżyły go do odpowiedzi o wiele bardziej niż cokolwiek do tej pory. Hoegbotton zakończył lekturę rejestru, raz jeszcze lyknął portu z kieliszka, a następnie wyszedł z pomieszczenia, akurat na czas, by usłyszeć dzwonek oznajmujący przybycie klienta. Odłożył księgi na swoje miejsce i już-już miał zamknąć drzwi prowadzące do jadalni Samuela Hoegbottona, gdy oślniła go myśl, że klatka byłaby bezpieczniejsza w jej wnętrzu. Podniósł ją – a gdy to robił, gorący uchwyt niemal parzył mu dłoń – i wszedł ponownie do środka, gdzie odłożył ją po drugiej stronie stołu. Wtedy wreszcie zamknął za sobą drzwi na klucz, schował go do biurka i wreszcie ruszył zaspokoić potrzeby przybyłego klienta.

Tej nocy kochał się z Rebeką. Jej blizna Isniła i jasniała w świetle padającym z oczu, które – u szczytu jej uniesienia – rozbłysły tak jasno, że sypialnia zdawała się niemal przeniesiona z mroku nocy w blask dnia. Kiedy w niej doszedł, poczuł, jak jakaś część jej blizny wkracza w jego ciało. Odebrał to jako ekstatyczne drzenie, przenikające mięśnie, kości, serce. Wykrzyknęła jego imię, przebiegając mu dłońmi wzdłuż kręgosłupa, po twarzy, a jej oczy błyszczały i igrały przyjemnością. W takich chwilach, gdy jej obcość przesaczała mu się do wnętrza, doznawał uczucia naglej paniki, jak gdyby tracił siebie, jak gdyby gubił własne imię. Siadał wtedy zwykle sztywno, podobnie jak teraz, z napiętymi mięśniami pleców.

Znała go wystarczająco dobrze, by nie pytać, co się stało, lecz by – zamroczona snem, gdy światło padające z jej oczu osłabło do błysku zaspokojenia – stwierdzić po prostu:

–Kocham cie.

–Też cie kocham – odpowiedział. – Twe oczy są tak pełne światełek.

Zasmiała się, ale dokładnie to miał na myśli, dokładnie te słowa chciał jej powiedzieć: w jej oczach pulsowały bowiem całe miasta, całe światy, sugerując istnienie poza wszelką przyziemnością i doczesnością.

Cos w jej wzroku przypominało mu nieoczekiwanie kobiecie o odrabianych dłoniach. Odwrócił wzrok do okna, które, mimo iż zamknięte, wpuszczało do środka nieustający odgłos padającego deszczu. Tuż przy oknie, zatopione w cieniu, leżały na kominku rzeczy należące kiedyś do jego babki. Następnego dnia, gdy siedział w pomieszczeniu Samuela Hoegbottona i pisał faktury za eksport towarów z kilku ostatnich tygodni – saphanckie maski karnawalowe, rzadkie niceańskie meble wykonane z wegorskiego drzewa, naszyjniki będące dziełem ręką pewnego plemienia, które zupełnie niedawno odkryto w samym sercu wielkiej południowej dżungli, a wszystko to wysłane na rynek Morrow – zauważył coś dziwnego. Gwałtownie wciągnął powietrze. Odsunął krzesło od stołu. Wstał.

Dostrzegł bowiem rosnący pod kątem prostym od zielonego materiału osłaniającego wewnątrz klatki delikatny, mleczno-biały grzybek o czerwonych blaszkach, stojący na długiej, prostej nożce. Dokładnie taki sam jak te, które pojawiły się w posiadłości Daffeda. Ze wzrokiem wbitym w klatkę zaczął poszukiwać wokół siebie jakiegos broni. Pod ręką miał jednak jedynie butelkę porto. W stojącym za klatką lustrze grzyb, który wnikał w szczeliny szkła, zdawał się jakby ciemniejszy i bardziej zbity. Hoegbotton irracjonalnie zdecydował, że musi pozbyć się stąd klatki, gdyż to jadalnia spowodowała pojawienie się grzybow. Owinał uchwyt klatki serwetką, po czym wyniósł ją z pomieszczenia i odstawił na biurko.

Rozejrzył się po sklepie, starając się zlokalizować Bristlewinga. Jego asystent

znajdował się w odległym kącie, gdzie pomagał jakimś starszemu jegomościowi w doborze odpowiedniego krzesła. Hoegbotton ledwie widział tył głowy Bristlewinga, kiwającej potakująco na słowa potencjalnego klienta. Obu przyslaniała kolumna szkolnych ławek.

Powoli, jakby pod baczny spojrzeniem wyrastającego grzybka, przesunął dłoń w kierunku górnej szuflady biurka. Otworzył ją i wyciągnął stamtąd srebrny nożyk do otwierania listów. Trzymając go przed sobą, zbliżył się do klatki. W głowie rozbłysły mu obrazy kobiety i jej syna. Nie był w stanie powstrzymać drżenia rąk. Zawahał się. Przed oczami przebiegła mu wizja grzyba, który w myślach widział już nie jako jeden, lecz jako dwa, trzy, a nawet cztery. Nachylił się nad biurkiem i jednym cięciem pozbył się wyrastającego z klatki natreta. Ten upadł na biurko, pozostawiając po sobie na zielonym materiale zaledwie niewielki, okrągły, biały ślad, wyglądający tam równie niewinnie jak ptasie odchody.

Hoegbotton wyciągnął z kieszeni na piersi chusteczkę i zmiął grzyba w jej fałdach, uważając przy okazji, by go nie dotknąć. Po wszystkim wcisnął trzymana chusteczkę do stojącego przy biurku kosza na śmieci. Krótka chwila wahania i... Wylowił ją z powrotem. Kolejna chwila – i kolejna decyzja spowodowała, że chusteczka ponownie wylądowała w koszu. A po chwili raz jeszcze została stamtąd wyjeta.

Uswiadomił sobie, że zarówno Bristlewing, jak i klient stoją teraz zaledwie jakiś metr od niego, uważnie przypatrując się tym poczynaniom. Zamarł, po chwili jednak uśmiech wykwitł mu na twarzy.

–Mój drogi Bristlewingu – powiedział. – W czymże mogę ci pomóc?

Bristlewing obdarzył go wzrokiem pełnym wstretu i obrzydzenia.

–Stojący tu pan Sporlender jest zainteresowany kupnem biurka dla syna. Mamy w sklepie solidne drewniane krzesła, lecz nic odpowiedniego, jeśli chodzi o biurka. Czy nie znalazłoby się czegoś w naszych magazynach?

Hoegbotton uśmiechnął się, niezmiernie świadom faktu, że trzyma w dłoni zmiądzony grzyb. Podrażnienie, spowodowane uchwyceniem klatki, wybuchło mu teraz z pełną mocą. Dłoń pulsowała wściekle.

–Tak, rzeczywiście, panie Sporlender, gdyby zechciał pan nas odwiedzić jutro, to z pewnością udałoby się nam znaleźć coś odpowiedniego... – Albo i nie. To i tak bez znaczenia, byle tylko ten człowiek wyszedł z jego sklepu. Teraz. Natychmiast.

Hoegbotton odtracił łokciem stojącego mu na drodze Bristlewinga i poprowadził mężczyznę w kierunku drzwi przez tłoczące się wszędzie wokół stosy artefaktów – belkocząc coś o padającym deszczu, o znaczeniu posiadania odpowiedniego biurka,

o czymkolwiek, nieważne o czym, a przez cały ten czas pełne wstretu spojrzenie Bristlewinga wwiercało się w jego plecy i tył głowy. Jeszcze nigdy tak niecierpliwie nie pragnął dotrzeć do szorowanej strumieniami deszczu ulicy. A kiedy już tam dotarł, odebrał to jako fale – światła, świeżego powietrza – która uderzyła go z tak wielką siłą, że gwałtownie zaczerpnął tchu, ściągając tym samym na siebie czujne i ostre spojrzenie Sporlendera.

Kiedy już tam staneli, niemal na ulicy, za żelaznymi drzwiami, mężczyzna wpatrywał się w niego czujnie zwezionymi oczami.

–Czy naprawdę, panie Hoegbotton... Rzeczywiście powinienem przychodzić tu jutro? Naprawdę radzi mi pan tak uczynić?

Hoegbotton wbił wzrok we własną dłoń, która już niemal miała się sprzeciwić jego woli i odrzucić najdalej, jak tylko się dało, trzymana chusteczke wraz z ukrytym w niej grzybem. Niektórzy przechodnie mijający ich o tej wczesnopopoludniowej porze przyglądali im się ciekawie, gdy tak stali w drzwiach sklepu.

–Tak właściwie, jak mi się zdaje, to nie. Nie mamy w magazynie, czy gdziekolwiek indziej, żadnego biurka... Doznałem napadu naglej klaustrofobii, która, ot, pojawia się i znika. A ja nie jestem w stanie nad tym zapanować.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

–Widziałem, co ukrywałeś w chusteczce. Wiem dokładnie, co to było. Pytanie tylko, czy przekazesz tę wiadomość, komu trzeba? Po co jednak mam zwracać sobie tym głowę, skoro i tak wkrótce będziesz martwy?

Mężczyzna odszedł sztywnym krokiem.

Hoegbotton zaś natychmiast ruszył szybko w przeciwnym kierunku, mijając ulicznych sprzedawców, niewielki strumień pieszych, a nawet jeszcze mniejszy strumień wozów i powozów, objawiających się w padającym nieustannie deszczu zaledwie jako smugi i wilgotne zapachy. Dopiero po trzech czy czterech przecznicach, przemoczony do nitki, poczuł się na tyle swobodnie, by wyrzucić chusteczke wraz ze skrywaną w niej zawartością do kosza stojącego na chodniku. A w głowie wyświetlał już sobie następujący obraz: ludzie kappana przeszukują jego sklep w poszukiwaniu grzyba.

Jakis mężczyzna wymiotował do rynsztoka. Jakas kobieta wrzeszczała na meza. Niebo było jednolicie szare. Deszcz nie miał końca, był niemal równie codzienny w Ambergris jak powietrze, które ich otaczało. Tak właściwie to Hoegbotton nawet nie odczuwał już jego obecności, nie zważał na niego. Wszędzie wokół, w pęknięciach chodnika, w najmniejszych szczelinach pomiędzy ceglami frontów sklepowych wyrastały nowe grzyby. Zastanawiał się, czy to, co zrobił, miało w ogóle jakiegokolwiek

znaczenie. Gdy wrócił do sklepu, Bristlewing zrzędlawie przynosił jakieś pudła, poświęcając właścicielowi zaledwie jedno przelotne spojrzenie – czujne i ostrożne, wyraźnie pozbawione zaufania. Hoegbotton przemknął tuż obok niego, kierując się do łazienki, gdzie wyszorował sobie dłonie tak dokładnie, aż te przybrały czerwoną barwę. Wreszcie stamtąd wyszedł i ruszył, by po raz kolejny szczegółowo przyjrzeć się klatce. Wyglądała dokładnie tak samo, jak gdy wychodził. Zielony materiał nie posiadał żadnych nowych plamek z wyjątkiem tej pojedynczej białej kropki. Podczas jego nieobecności nie pojawiły się żadne nowe grzyby. To dobry znak. Znaczyło to, że postąpił właściwie. (Dlaczego w takim razie najzwyczajniejsze w świecie zaczerpnięcie oddechu przychodziło mu z takim trudem? Dlaczego tak trudno było mu powstrzymać drżenie ciała?).

Siadł za biurkiem ze wzrokiem wbitym w klatkę. Miał sucho w ustach i trudno było mu oddychać. Nic nie dzieje się bez powodu. Grzyby nie pojawiają się przypadkowo. W coś takiego nie potrafił uwierzyć. Jakżeby mógł?

Niemal wbrew własnej woli sygnalizował dłoń w kierunku klatki, odsłaniając materiał zasłonki. Ustupująca zielen odkryła przed nim delikatnie złobione metalowe prety, po których cieniach ślizgało się światło, ukazując lekko kołyszącą się wewnątrz żerdź, pod którą leżała... Biała dłoń. Błada, smukła i delikatna. Zakonczona zeschniętą krwią. Natychmiast opanowała ją taka oto wizja: był Samuelem Hoegbottonem, wpatrującym się poprzez zastawiony do posiłku stół w klatkę, w ostatnią rzecz, jaką miał zobaczyć w swoim życiu... Dłoń, bez wątpienia, należała do żony Daffeda. Jakże miał się jej teraz pozbyć?

Wtedy jednak jego umysł zarejestrował o wiele bardziej istotny szczegół – szczegół, na widok którego Hoegbotton mocno zagryzł dolną wargę, chcąc powstrzymać budzący się w jego wnętrzu krzyk. Drzwiczki klatki były otwarte, odsunięte na bok równie gładko jak zasłonka. Przez kilka sekund siedział tak, w absolutnym bezruchu, wpatrując się jedynie w ten drobny szczegół. Ze sklepu dochodziło do niego wszedobylskie tykanie miriadów wskazówek zegarów, odliczających kolejne sekundy. Teraz żadna maska na twarzy nie mogła mu już pomóc. Dłoń. Otwarta klatka. Nieziemski blask pretów klatki, błyszczących zapowiedzia śmierci. To falowanie i drżenie postrzegane na krawędzi pola widzenia.

Gdzieś jednak odnalazł w sobie konieczną odwagę. Sygnalizował i zasunął drzwiczki, używając do tego obu dłoni, zatrząskując je – dokładnie w tej samej chwili, gdy poczuł pedzający mu na spotkanie nieoczekiwany ciężar po drugiej stronie pretów. Coś otarło mu się o palce. Dotyk go zmroził. Odskoczył od klatki, gwałtownie łapiąc powietrze. Drzwiczki zagrzechotały, potem zrobiły to po raz wtóry, po czym zapadła cisza. Żerdź zaczęła kołysać się gwałtownie tam i z powrotem, jak gdyby coś ją popychało. Wtedy i ten ruch zamarł. Wielce nieoczekiwane.

Nie był w stanie zaczerpnąć oddechu. Nie był w stanie zawołać o pomoc. Serce bilo

mu tak szybko, że miał wrażenie, iż w każdej chwili może peknąć. Nie tak to wszystko sobie wyobrażał. Nie tak to sobie wyobrażał.

Cos niewidzialnego uniosło leżącą w klatce dłoń i wypchnęło ją pomiędzy pretami. Dłoń upadła na rejestr, zakolysała się na nim raz i drugi, wreszcie znieruchomiała.

Pięciu, czy nawet szesciu prób potrzebowały jego zwinne i zreczne niby kłody drewna palce, by odnaleźć sznureczek i zaciągnąć zasłonkę. Wreszcie odciął się od wnętrza klatki.

Przez dość długi czas siedział w absolutnym bezruchu, wpatrzony w zieloną zasłonkę. Nic się nie działo. Nic się nie stało. Nic złego. Poczucie ciężaru ciała przyczajonego po drugiej stronie pretów rozmyło się wraz z zaciągnięciem zasłonki. Dłoń leżąca na rejestrze nie była prawdziwa. Wyglądała na zrobioną z alabastru. Przypominała woskową. Była zaledwie świeca, która nie posiadała knotu. Fragmentem jakiejś figurki.

Minęła godzina, a może zaledwie minuta, nim odnalazł papierową torebkę, a następnie, posługując się nożem do listów, ostrożnie wsunął do niej dłoń. Wreszcie, zawijając brzeg torebki, zamknął ją.

Po jakimś czasie w jego polu widzenia pojawił się Bristlewing.

–Bristlewingu – zaczął Hoegbotton. – Jak się cieszę, że cie widzę.

–Slucham.

–Widzisz te klatki?

–Tak.

–Chcę, byś zaniósł ją Ungdomowi.

–Ungdomowi? – Twarz Bristlewinga wyjaśniała. Najwyraźniej uważał, że to jakiś żart.

–Tak. Ungdomowi. I przekaz mu również, że przesyłam ją z pozdrowieniami i wyrazami szacunku. Ze ofiarowuję mu ją jako symbol naszej odnowionej przyjaźni. – Gdzieś wewnątrz śmiało się, myślał o niepokoju, który miał wkrótce dopaść Ungdoma. Gdzieś w glebi krzyczał o pomoc. Bristlewing prychnął.

–Czy to aby rozsadne?

Hoegbotton wpatrywał się w niego, jak gdyby spoglądał przez kleby dymu.

–Nie. To nie jest rozsadne. Ale i tak chcę, żebyś to zrobił.

Bristlewing odczekał chwile, jakby sadził, że Hoegbotton coś jeszcze doda. Lecz gdy nie doczekał się kolejnych słów, podszedł do biurka i schwycił za klatkę. Gdy nachylał się nad nią, Hoegbottonowi zdawało się, że dostrzega nisko na szyi swego pomocnika, tuż pod lewym uchem, plamkę zieleni. Czyżby Bristlewing był zarazony? Czyżby stał się zagrożeniem?

–Ach, i jeszcze jedno. Daje ci wolne do końca tygodnia. Oczywiście, kiedy już dostarczysz klatkę Ungdomowi. – Skoro jego asystenta czekał rozpad na spory, to niech stanie się to gdzie indziej. Hoegbotton powstrzymał w sobie histeryczny chichot.

Bristlewing podejrzliwie zmarszczył czoło.

–A gdybym chciał pracować?

–Masz urlop. Tak, urlop. Nigdy nie dawałem ci wolnego. Oczywiście zapłacę ci za te kilka dni.

–W porządku – odparł tamten. Spojrzenie, którym obdarzał Hoegbottona, było teraz, przynajmniej w oczach tego ostatniego, wyjątkowo bliskie politowania i współczucia. – Zaniósł klatkę Ungdomowi, a później weźmie sobie wolne.

–Dokładnie coś takiego miałem na myśli.

–W porządku. Do widzenia więc.

–Do widzenia.

Gdy Bristlewing wymijał leżące w sklepie przeszkody, kierując się ku wyjściu wąską drożką otoczona najprzeróżniejszymi szczatkami, Hoegbotton nie mógł nie zauważyć, jak jego asystent przechyla się na bok, jakby klatka stała się niewytłumaczalnie ciężka.

Piec minut po wyjściu Bristlewinga zamknął za sobą drzwi prowadzące do sklepu. By tego dokonać, potrzebował zaledwie siedmiu banalnych prób.

5

W domu powiedział Rebecce, że wrócił tak wcześnie, ponieważ otrzymał właśnie informacje o śmierci babki. Wyglądało na to, że zinterpretowała drżenie i dreszcze jego ciała, załamywanie głosu, sposób, w jaki jej dotykał w poszukiwaniu tak potrzebnej mu teraz bliskości, jako związane ze smutkiem po utracie kogoś bliskiego. W milczeniu zjedli obiad, trzymając się za ręce.

–Opowiedz mi o tym – poprosiła go po obiedzie, a on wyliczył jej wszystkie swe symptomy strachu, udając, że to objawy smutku po śmierci osoby z najbliższej rodziny. Gdziekolwiek spojrzał, stawała mu przed oczami kobieta z posiadłości, której spojrzenie raz było pełne gniewu, raz znowu zalobne. Jej rany krwawiły obficie, a wypływająca z nich krew sypłała po sukni, lecz ona nawet najmniejszym ruchem nie starała się jej zatamować.

Wczesnie poszli do łozka i Rebeka trzymała go tam w ramionach, dopoki nie podążyła wąska ścieżka prowadząca w kierunku snu. Lecz i sen przyniósł mu zaledwie kolejne katusze i kalejdoskop dreczących obrazów. Siedział w nim bowiem po mieszkaniu Samuela Hoegbottona, aż wreszcie znalazł się w długim, wąskim korytarzu, którego nigdy wcześniej nie widział. Na drugim końcu korytarza stali kobieta i chłopiec, których spotkał w posiadłości Daffeda, otoczeni olbrzymim bogactwem, antykami zdającymi się w swym połyskującym i błyszczącym ogromie darem losu, wręcz mrugnięciem od Boga. Siedział w ich kierunku po dywanie z drobnych, poodcinanych dłoni. Czuł obrzydzenie, lecz nie mógł się zatrzymać: obietnica rozsiewana przez leżące przed nim rzeczy okazywała się zbyt wielka, zbyt kusząca. Nawet gdy dostrzegł własną głowę, ramiona i nogi, były jak przyczepione krwią do ściany, nie był w stanie powstrzymać swego marszu w kierunku końca korytarza. Dłonie były zimne, miękkie i błagalne. Wbrew snom, które go nawiedziły, następnego ranka obudził się pełen energii i spokoju. Klatka zniknęła z jego życia. Dostał kolejną szansę. Nie czuł potrzeby, by dalej podążać śladem Samuela Hoegbottona. Nawet wyryte w dłoni ślady pulsowały już mniejszym bólem. Bebnący na zewnątrz deszcz budził w nim radość z dość nieokreślonych i niezrozumiałych dziecięcych powodów – wspomnień, jak to wymykał się z domu wprost w rozszalałą burzę, by bawić się tam pod osłoną ciemnych chmur, czy też jak wyruszał rzeka na te rzadkie wyprawy wędkarskie z ojcem, podczas których krople rozpryskiwały ciemną, pozbawioną życia powierzchnię Moth.

Przy śniadaniu powiedział nawet Rebecce, że być może się mylił i powinni jednak pomyśleć o założeniu rodziny. Zasmiała się i wyciskała go, stwierdzając jednak, że z taką rozmową powinni poczekać, aż dojdzie do siebie po śmierci babki. Ponieważ nie spytała go o ewentualne przygotowania do pogrzebu, zastanowił się, czy przypadkiem nie przejrzała jego kłamstwa. A stojąc już w drzwiach, gotów do wyjścia, przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował. Jej usta miały smak kapryfolium i roz. Jej oczy jak zwykle stanowiły dla niego tajemnice, lecz nie miał nic przeciwko temu.

Już w pracy, wobec błogiej nieobecności Bristlewinga, przetrząsnął cały sklep w poszukiwaniu śladów grzyba. Założył długie rękawice i nową maskę, po czym spędził większość czasu w starej jadalni, przesuwał się w niej na kolanach pod stołem, poddając dokładnym oględzinom spod blatu, czyszcząc każdą dostępną powierzchnię. Grzyb zakorzeniony w lustrze utracił swój tak niedawno odzyskany wigor. Tak czy inaczej, Hoegbotton chwycił za szczoteczkę do zębów i noż, by

kolejne pol godziny spedzic na radosnym zdrapywaniu go stamtad.

Nastepnie, zdejmujac maske i rekawice, przeszedl przez swe codzienne rutynowe zajecia zwiazane z prowadzeniem ksiag, tym razem, korzystajac z nieobecności Bristlewinga, czytając sobie na głos znajdujące się tam wpisy. Jego pomocnik zwykle w takich przypadkach spoglądał na niego ze zmarszczonym czołem. Jakies fragmenty niepokojących obrazów przelatowały mu przez głowę niczym uwieszone w klatce ptaki, lecz ignorował je, zmuszając się do rutynowych czynności pozwalających mu na inne myśli.

Nim minelo południe, padający na zewnątrz deszcz zmienił się w lekka mżawka, odbierająca wielu klientom zapał do zakupów. Ci, którzy jednak wchodzili do środka, ładowali tu niczym kruki uciekające przed złą pogodą, strasząc polę skrzydeł swych płaszców przeciwdeszczowych, z małym prawdopodobieństwem dokonania jakichkolwiek zakupów.

Do pierwszej po południu zarobił zaledwie sto seli. Ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Było niemal wyzwalające. Zaczynał wierzyć, że udało mu się wymknąć ze szponów straszliwego niebezpieczeństwa, a nawet łapał się na myślach, czy aby jakaś kolejna bogata rodzina nie doznała odwiedzin szarych kapeluszy.

O drugiej po południu, wciąż w wysmienitym nastroju, przeżył szok, gdy do sklepu wkroczył jeden z członków sił ochrony kappana. Człowiek ten, o wyjątkowo ponurym spojrzeniu, był ubrany w kompletny stroj ochronny, zakrywający go od stop do głów, a jego szara maska zasłaniała każdy centymetr twarzy z wyjątkiem oczu. Czyżby wiedzieli? To nie była pora regularnej inspekcji w sklepie. Czyżby szukający biurka mężczyzna jednak z nimi porozmawiał? Hoegbotton podrapał się po zranionej dłoni.

–W czym mogę pomóc? – Zapytał

Mężczyzna przez moment jedynie wpatrywał się w niego.

Wreszcie powiedział:

–Szukam torebki na urodziny matki.

Słowa te wywołały wybuch śmiechu Hoegbottona, który następnie przez dłuższą chwilę, nim wreszcie sprzedał mu torebkę, musiał przekonywać mężczyznę, że nie śmiał się z niego.

Przez jakies pol godziny po jego wyjściu w sklepie nie pojawił się żaden inny klient. Hoegbotton wprowadził się w stan nerwowego i ruchliwego spokoju, w którym trwał do mniej więcej trzeciej po południu, kiedy to przed sklepem pojawił się posłaniec: chłopiec na rowerze, wynędzniały, zmizerowany i ubrany w brudne rzeczy, który zastukał do drzwi, a następnie czekał przy nich na pojawienie się Hoegbottona.

Dopiero wtedy wypuścił z dłoni kopertę, która z furkotem opadła na wycieraczkę. Chłopiec wystawił rower z powrotem na chodnik i oddalił się, pedałując i dzwoniąc dzwonkiem.

Hoegbotton, podśpiewując sobie pod nosem, nachylił się i podniósł kopertę. Otworzył ją. W liście przeczytał następujące słowa, zapisane koslawym pismem: Dziękuję ci, Robercie, za Twój wyjątkowo piękny prezent, lecz ptaszek odleciał do domu. Nie mogłem zatrzymać sobie takiego skarbu. Pozdrowienia dla żony – John Ungdom.

Hoegbotton wpatrywał się w listek, chichocząc z powodu tak jawnie widocznego sarkazmu. Lecz gdy przeczytał go ponownie, mars wykwitł mu na czole, zamykając usta i dławiąc śmiech. Odleciał do domu. Przeczytał go po raz trzeci i poczuł, jak żoladek zaczyna mu ciążyć niczym kamienie. Pozdrowienia dla żony.

Upuścił kartkę, narzucił płaszcz przeciwdeszczowy i nawet nie kłopotując się zamykaniem drzwi wejściowych na klucz, wybiegł na ulicę – wprost w oslepiający, zalewający mu oczy deszcz. Ruszył bulwarem Albumuth w kierunku domu, wprost przez Dzielnice Biurokratów. Czuli się, jakby biegł w miejscu. Każdy przechodzień stał mu na drodze i przeszkadzał. Każdy koni i wóz blokował mu drogę. Padający coraz mocniej deszcz wybijał kroplami rytmiczną wiadomość na jego ramionach. Krople brzmiały niczym stukanie palcami. Słabo widoczne przez deszczową mgiełkę kształty budynków stały się dla niego punktami orientacyjnymi, względem których określał swój rozchwiany postęp. Przechodnie wpatrywali się w niego, jakby postradał zmysły.

Gdy dotarł do holu budynku, w którym mieszkał, bolało go w boku i był zlany potem. Dłonie miał pokrwawione, gdyż podczas drogi raz za razem przewracał się na śliskim chodniku. Wbiegał teraz po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Pokonując korytarz prowadzący do mieszkania, wrzeszczał: "Rebeka!".

Drzwi były uchylone. Starł się złapać oddech, składając się niemal w pol i powoli pchając je, aż stanęły otworem. Tuż przy samej ziemi biegł przez cały przedpokój rząd białych grzybków. Grzybków o czerwonych blaszkach. W miejscu, gdzie dłoń trzymał się drzwi, również poczuł pod palcami miękki dotyk grzyba. Odskoczył ze wstrettem i wyprostował się.

–Rebeka? – Zapytał, zaglądając do kuchni. Pusto. Wnętrze kuchennego okna pokrywała purpurowa pleśń. Laska leżała obok stojaka na płaszcze, prezentu od ojca Rebeki. Podniósł ją i ruszył przez mieszkanie, torując sobie drogę między białymi grzybkami, a równocześnie podciągając płaszcz, by przysłonić sobie usta. Drzwi prowadzące do salonu znajdowały się zaraz na lewo, miał je tuż przed sobą. Do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk, jak gdyby głowę owinięto mu jakimś materiałem. Powoli wyjrzał za krawędź drzwi.

Pokoj gosciny jasnial od grzyba, bialego i purpurowego, zielonego i zoltego. Polki grzyba sterczaly ze scian. Grzyby w ksztalcie butelek w kolorze glebokiego burgunda kolysaly sie i falowaly niczym przyczepione do podlogi balony. Dlon piekla, jakby przypalano ja ogniem. To nie wczesniej, to teraz znalazl sie we snie.

Klatka, przypominajaca egzozkietet zrzuceny przez jakiegos tropikalnego zuka, stala na niskiej lawie. Nie byla zaslonieta i miala otwarte drzwiczki. Tuz obok niej lezala kolejna alabastrowa dlon. Z jakiegos powodu nie byl zaskoczony tym widokiem. Wlasciwie nawet go nie zarejestrowal. Za stolikiem bowiem staly otworem drzwi prowadzace na balkon. Tam zas zobaczył stojaca w deszczu Rebeke. Jej wlosy blyszczaly od spadajacych kropel. Miala mgliste spojrzenie. Porozrzucane wszedzie wokol niej, jak gdyby w holdzie, staly przedziwne rosliny, ktore dawno temu opanowaly caly balkon: lopoczace na wietrze pomaranczowe wlokna, sztywno stojace przezroczyte bulwy, mozaikowe wzory zlotozielonej plesni wytloczone na pordzewialej barierce. Za tym wszystkim bylo widac ciemnoszare cienie miasta oznaczonego smugami swiatla.

Rebeka stala ze spuszczoneym wzrokiem, wpatrzona w... Pustke... Dlonie, jakby w blagalnym gescie, zlozyla przed soba.

–Rebeka! – Wykrzyknal. Czy tez wydawalo mu sie, ze tak zrobil. Usta mial scisniete i suche. Ruszyl przez salon, a grzyby ciagnely go za buty i spodnie, zatrzymujac w miejscu. W powietrzu az roilo sie od spor. Zamrugal oczami, kichnal, zatrzymal sie przy balkonie. Rebeka wciaz nie podnosila na niego wzroku. Padajacy na zewnatrz deszcz zachlapywal jej buty.

–Rebeko – powiedzial, pelen obaw, ze kobieta nie doslyszy jego glosu, ze dzielaca ich odleglosc okaze sie w jakis dziwny sposob zbyt wielka. – Zejdz stamtad. Odsun sie. Tam nie jest bezpiecznie.

Rebeka drzala na calym cielem. Widzial wyraznie, jak cialem zony wstrzasaja dreszcze.

Odwrocila sie, by na niego spojrzec. Usmiechnela sie.

–Nie jest bezpiecznie? Sam to przeciez zrobiles, prawda? Nim wyszedles rano do pracy, otworzyles mi balkon? – Surowo zmarszczyla brwi. – Ale potem cos mnie zastanowilo. Przyslales z powrotem klatke, mimo iz pani Willis kategorycznie zabronila nam trzymania tu zwierzat.

–Nie otworzylem balkonu. To nie ja przyslalem te klatke. – Jego buty barwila zielen. Bolaly go ramiona.

–Coz, ktos ja przyniosl... I otworzylam ja. Z nudow. Mial przyjsc po mnie kwiaciarz, by zabrac mnie na bazar, ale sie nie pojawil.

–Rebeko, tam nie jest bezpiecznie. Zejdz z tego balkonu. – Jego słowa były stłumione, nieprzekonujące. Ciało zaczynało mu dretwiec. Opanowywał go jakiś letarg

–Chciałabym wiedzieć, co to jest – powiedziała. – Widzisz je? Tu, na wprost.

Juz miał zaprzeczyc, powiedziec, ze nie widzi, lecz nagle uswiadomil sobie, ze cos tam jednak jest. Kiedy tylko to zauwazyl, gwałtownie wciagnal powietrze. Zadlawil sie tym widokiem. Tak mocno zagryzl wargi, az krew zaczela sciekac mu po brodzie. Wszelka nagromadzona w nim determinacja, by ratowac Rebeke, rozplynela sie w powietrzu, rozproszyla i znikla.

–Chodz tu, Rebeko – tylko tyle zdolal z siebie wykrztusic.

–Tak. W porzadku – odpowiedziala mu cichutkim, lamiacym sie glosikiem.

PotykJac sie o grzyby, weszla do mieszkania. Spotkali sie przy niskim stoliku. Tam mocno przytulil ja do siebie, szepczac do ucha:

–Musisz stad wyjsc, Rebeko. Chce, bys zeszla na dol. Odszukaj tam pania Willis. Niech posle po ludzi kappana. – Czul na swej twarzy wilgoc jej wlosow. Delikatnie je pogladzil.

–Boje sie – wyszeptala, zarzucajac mu ramiona na szyje. – Chodz ze mna.

–Zrobie to, Rebeko. Obiecuje ci. Ale dopiero za chwile. Teraz, Rebeko, chce, bys stad wyszla. – Drzal z mieszaniny przerazenia, ktore zrodzila w nim mysl, ze moglby juz nigdy nie wypowiedziec jej imienia, i ulgi, ze wreszcie zrozumial, dlaczego ja kocha.

Ruszyla w kierunku drzwi, a gdy jej ciezar usunal mu sie z ramion, jak na ironie spadlo na niego kolejne brzemie.

To cos nie ruszylo sie z balkonu. Nie do konca bylo niewidzialne, jedynie kamuflowalo sie dzieki doskonalemu dopasowaniu do tla. Pretow klatki. Przestrzeni miedzy nimi. Zerdzi. Teraz mogl je niewyraźnie dostrzec wylacznie dlatego, ze istota nie byla w stanie wystarczajaco szybko nasladowac opadajacych wokol kropel deszczu.

Wyszedl na balkon. Spadajace mu na twarz krople budzily mile uczucie. Mial zdretwiale nogi, opadl wiec na stare, rozkladajace sie krzeslo, ktorego nigdy jakos nie mieli czasu pozbyc sie z balkonu. Siedzial na nim ze wzrokiem wbitym w miasto miedzy pretami poreczy balkonu, a istota obserwowala go wnikliwie. Deszcz sciekal mu po wlosach. Staral sie nie patrzec na dlonie, ktore wlasnie powoli ogarniala zielona barwa. Chcial sie zasmiac, lecz wydal z siebie zaledwie jakis chrapliwy gulgot.

Opanowała go myśl, że wciąż musi znajdować się w tamtej posiadłości, razem z tamtą kobietą i chłopcem, że tak naprawdę nigdy się z niej nie wydostał, nigdy stamtąd nie wyszedł, nigdy jej nie opuścił, gdyż, tak z reka na sercu, jakże można było umknąć przed takim horrorem? Jakże można było uciec przed czymś takim?

To coś podeszło do niego cichym krokiem. Zaspiewało. A ponieważ nie miało to już dłużej żadnego znaczenia, Hoegbotton odwrócił się i spojrzal na stojącą przed nim istotę. Przelknął wrywający się z gardła szloch. Nie oczekiwał bowiem, że zobaczy tam coś takiego. Ta istota była piękna. Jej pojedyncze oko, tak podobne do oczu Rebeki, lśniło niezwykłym światłem, gdy przebiegały przez nie błyski fosforescencji. Lustrzana skóra stworzenia lśniła deszczem. Jego usta, pełne noży, układały się w uśmiech, który bynajmniej, nawet w najmniejszym stopniu, nie znaczył i nie przekazywał tego samego co ludzki. Spoglądając w pojedyncze, piękne oko istoty, wiedział teraz, że tylko na tyle mógł się zbliżyć. Tylko na tyle. Być może było za tym jeszcze coś innego, coś więcej. Być może istniała wiedza bardziej tajemna niż ta, której teraz doświadczał, lecz on nigdy jej nie dostąpi.

Istota wyciągnęła w jego kierunku łapę pełną pazurów. Hoegbotton przyjął ją po chwili wahania

Doktorze Simpkin! Poniżej odnajdziesz moje (niemal kompletne) rozszyfrowanie szeregu liczb pozostawionych nam przez Iksa. Stawilem czoła temu zadaniu bez żadnej przyjemności. Coś, co rozpoczęło się jako niewinny żart, wkrótce stało się doświadczeniem wielce wytracającym z równowagi. Początkowo skupilem się na dwóch niedających mi spokoju przemyśleniach: (1) że Iks wprowadził podwójny odstęp w swej historii jedynie po to, by marnować papier, (2) że napisał ją powodowany jedynie chęcią wykorzystania wstążki w maszynie do pisania. Kiedy jednak odszyfrowałem pierwsze kilka zdań, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że sam Iks, z jakiegoś odległego miejsca, bacznie mi się przygląda, a zaglądając mi przez ramię śmieje się ze mnie. (Śmiechem tak przygnebiająco często słyszany podczas jego pobytu w naszych murach). Wszelka irytacja jednak rozpięzchła się, gdy zacząłem sobie uświadamiać samodyscyplinę narzuconą podejmowanym przez niego wysiłkom. Sam ogrom czystego uporu i wytrwałości koniecznych do przekształcenia tyłu słów w cyfry. To robi wrażenie. Jeżeli aż tak trudno było to odszyfrować – zaczęły mnie bowiem nawiedzać oslepiające bóle głowy – o ile trudniejsze było samo początkowe kodowanie tekstu? Gdyby jego ucieczka od nas wiązała się z usuwaniem dzień po dzień pojedynczego, małego kawałka cegły z jednej ze ścian celi, to nie wierzę, by mógł się wówczas wykazać większą cierpliwością. Z biegiem dni i postępem mej pracy zmechanizowało się banalne zadanie w ponure i mroczne objawienie. Cienie robiły się coraz dłuższe, światło opuściło tafle okna mojego ciasnego i zagraconego gabinetu. Ucichł widmowy śmiech Iksa, a jedynym pozostałym dźwiękiem był nieustający suchy skrzyp pióra, którym sunałem po kartce papieru. Ogarnęło mnie przekonanie, tak sprzeczne z racjonalnością wykonywanej przeze mnie profesji, że oto sam tworzę wydarzenia, odsłaniając je z każdym

odzyskanym i odkrytym słowem. To tak nieoczekiwane uczucie zaparło mi dech, a całe ciało ogarnęło drzenie, kładąc w dość gwałtowny sposób chwilowy kres moim wysiłkom. Dosłownie poczułem, że przywołuje do życia zupełnie nową, pełną przyszłość Ambergris – przyszłość tak przerażająca, że nie chciałbym jej przywoływać nawet za wszystkie na świecie wstążki do maszyn do pisania. Odrzuciłem pióro, by po chwili znowu za nie chwycić. Tym razem jednak tylko po to, by zgiąć je tak mocno, aż pekło na pół, jak gdyby starając się w ten sposób jakos zabezpieczyć przed możliwością kontynuacji swych działań. Powiem to wprost, nie byłem w stanie zmusić się do podjęcia prób rozszyfrowania ostatniego, finalnego paragrafu. Czulem, że następstwa takiego czynu okazały się zbyt druzgoczące dla całego świata. Gdy zebrałem się w sobie na tyle, by przejrzeć dokonany wcześniej wysiłek (tytuł Człowiek bez oczu pochodzi ode mnie), odkryłem, że "blednie przetłumaczyłem" co najmniej siedem słów. Wstałem od biurka i kierowany chęcią poprawienia błędów chciałem sięgnąć po książkę Iksa, która sam skazałem na odosobnienie na dnie szafki na akta, lecz natychmiast ponownie usiadłem, całkowicie sparaliżowany przerażeniem. Przez kilka długich minut nie byłem w stanie się poruszyć czy chociażby wykrztusić słowa. Zmroziło mnie przekonanie, że zmieniła się sama książka i że teraz to ona mnie pisze. Podczas tej jakże mrocznej epifanii otaczające mnie cienie zdawały się falować niczym jakies skrzydła. Powietrze w pomieszczeniu ochłodziło się i zgęstniało. Wreszcie wyrwałem się z tego przypominającego trans stanu z niezachwianym przekonaniem, że poprawienie tych siedmiu wyrazów okaże się wręcz niewyobrażalnie brzemiennie w skutkach. (Gdybym coś takiego usłyszał od jednego ze swoich pacjentów, z pewnością wystarczyłoby tego na piec, a nawet szesć sesji terapeutycznych). Teraz, pisząc poniższy krótki list, uświadomiam sobie, jakim nonsensem jest wiara, że słowa zapisane na kartce mogą wpływać na rzeczywistość i ją zmieniać. To tylko historia, opowiadanie. Załedwie ostatnie pożegnanie Iksa. Jednak nie jestem w stanie się przelamać, nie jestem w stanie się zmusić, by wraz z pozostałymi rzeczami Iksa przesłać ci również te książki. To prawda, jest mi ona niezbędna w mojej kolekcji, lecz o tym, że zostaje u mnie, zdecydowały o wiele bardziej wazkie powody. Powinieneś nas odwiedzić. Mogłbys przyjechać tu na kilka dni i pomóc nam w zadaniach, do których brak nam personelu. Być może przywiozłbys nam także jakies zapasy. Nie wydaje mi się, że tekst, który przeczytasz, zbyttno przypomni ci to, co może pamiętasz, lecz miejsce to jest dokładnie takie jak kiedys, tyle że popadło w większą ruinę. Zastanawiam się, czy istnieje już jakas nazwa określająca moja dolegliwość. Dr V. PS. Niektóre z przetłumaczonych słów zdają się nie mieć większego sensu – w pośpiechu popełniłem kilka błędów – jednak ostatni akapit całkowicie oparł się moim wysiłkom, z powodów, które postaram się poruszyć w późniejszym czasie. Człowiek bez oczu I nadszedł oto nieublaganie dzień, gdy szare kapelusze zmieniły bieg rzeki Moth i załala ona miasto Ambergris. Porzucając wtedy swój ZAPLANOWANY matecznik, wynurzyły się spod powierzchni i wyszły na światło dzienne, zmuszając do ucieczki obecnych władców miasta. Tak właśnie ponownie przejęły wyspy, które kiedys były Cinsorium. Przeznaczony czas dobiegł końca. Dzieło zostało dokonane. Początkowo

ludzie odkryli, że życie pod panowaniem nowych władców właściwie w najmniejszym stopniu nie różniło się od ich dawnego życia. Z pewnością nic nie zmieniło się dla jednego z najsłynniejszych pisarzy Ambergris, który, urodzony w mieście, używał go jako swej palety, naginając każde słowo na tym świecie do swej woli. W jego słowach drzemiała moc. Potrafił tworzyć akapity tak zasadnicze i istotne, że istnienie bez ich, gładkiej i mądrej formy przypominało życie bez duszy. Jeśli tylko dopadał go ponury nastrój, snute przez niego opowieści były tak samobójcze, że ich słowa rozciągały się w wąskiej przestrzeni pomiędzy "niemal martwy" a "zdecydowanie nieżywy".

Mógł, powiadam wam, tak opisać przedmiot, że już na zawsze od tej pory to jego opis, jego pisanie, jego słowa zastępowały oryginał. Być może gdyby tylko nie był tak utalentowany, byłby mniej ZMALPOWANY. A wychwalanie go rozkwitało wszędzie wokół tak naturalnie jak mgła, która nadeszła z nad Moth, zaczął więc uważać się za osobę nieograniczona żadnymi prawami z wyjątkiem praw swej fikcji. W ten oto sposób poczuł w sobie narastające pragnienie, by wylamać się spod złożonych i zawilganych rzędów szarych kapeluszy. O świecie zaśmiał się, stojąc przed zalanymi wodą ruinami truffidianskiej katedry. Po zmierzchu na dostępnych publicznie ulicach rozdawał za darmo swe opowieści, co wzbudzało wiele uwagi. Czytał swe dzieła, siedząc w łodzi unoszącej się nad zalanym, a obecnie ANONIMOWOSC posagiem Vossa Bendera. Napisał wiele akapitów poświęconych pamięci Pani w Blekicie (która, z podziemnych tuneli szarych kapeluszy, jasno przedstawiała im samym dowody świadczące o ich okrucieństwie). Wkrótce, po pięciu takich wykroczeniach, szare kapelusze odcięły mu język i wrzuciły go w OGNISKA rzeki Moth, ryby bowiem wielce upodobały już sobie takie przysmaki. Wydlubali mu oczy i użyli ich na pokładach swych barek. Odcięły mu dłonie i użyli ich jako świec w swych biurach administracyjnych. Okaleczyli mu klatkę piersiową, znacząc swym symbolem w zieleni grzybow. A wtedy odesłali go do stojącego na palach jednopokojowego domku na wodzie, w którym kiedyś przyszedł na ten świat, tak by w miejscu, gdzie dawno temu obserwował, jak latają jaskółki, chwytające w locie unoszące się w dole owady, gdzie dawno temu obserwował ich nieprzerwany lot. mógł teraz w ZACHWYCAJACY kontemplować własny los. Bardzo długo kierowani strachem mieszkańcy miasta nie odwiedzali pisarza. Opuszczała go żona, gdyż nie była wystarczająco OSLEPIAJACY. Co tydzień jednak pewien truffidianski kapłan zbliżał się dostatecznie, by na progu domu pozostawić mu żywność i wodę. Pisarz siedział w fotelu stojącym przed ścianą, a w jego wnętrzu nabrzmiewały kolejne historie. Wreszcie był ich tak pełny, że wydawało mu się, iż umrze od samego ich WARKNIECIA w swych płucach. Ale nie miał języka, którym mógłby przemawiać. Nie miał oczu, którymi mógłby oglądać otaczający go świat. Nie miał rąk, by mógł nimi zapisywać swe historie. Mieszkał wewnątrz pudełka, które na domiar złego umieszczono w kolejnym, większym pudle. Co też miał teraz zrobić? Przez wiele tygodni rozważał samobójstwo i równie dobrze mógłby go zresztą dokonać, gdyby nie wpadł pewnego dnia na stolik, na którym zwykle składował swe zapasy. A wtedy z blatu stolika stoczyło się jedno z jego piór, które upadło mu na lewą stopę. Dotyk był zimny i przeszywający. Uczucie rozlało mu się wzdłuż nogi, by następnie ruszyć

w gore i przejść do klatki piersiowej. Az wreszcie coś przebudziło się w pudłach skrywających się w jego głowie. Kolejne trzy tygodnie pisarz spędził na odkrywaniu dotykami każdego centymetra własnego pokoju, podobnie jak ty, drogi czytelniku, starasz się teraz wymacać na oślep własną drogę przez poniższą opowieść. Odsunął wszystkie rzeczy stojące przy ścianie, aż wreszcie stół, krzesło, łóżko i kilka książek znalazły się na samym środku pokoju. Wtedy, trzymając pióro pomiędzy palcami u nog, zaczął pisać po ścianie. Nauka pisania przy użyciu stóp zajęła mu wiele miesięcy. Minęło wiele kolejnych tygodni, nim odwiedzający go ksiądz zdołał odcyfrować chociażby pojedynczą literę, a miało upłynąć jeszcze wiele, wiele dni, nim na ścianach pojawiło się cokolwiek bardziej złożonego. Słowa układały się tam, nie przyjmując żadnej konkretnej formy: "rozbijając jestem martw zależy od ciągłość ziemi istnieje spadła zapisujesz może zwracają Zamilon będziesz". Każda litera stawiała się aktem woli – odgrywał sobie w myślach, jak one powinny wyglądać, a następnie zmuszał swe palce u nog, swe stopy i nogi, by przykładały na ścianę konieczny i odpowiedni nacisk, nie powodujący złamania trzymanego tak pióra, a kształt na ścianie przybierał należyte formy. Z biegiem czasu pisarz pokrył ściany pokoju wizjami rozkwitającymi w ciemnych ogrodach jego umysłu. Słowa układały się tam w zdania, zdania w akapity, te zaś w całe historie. Z każdym zapisanym słowem spadało z niego wielkie brzemie, aż wreszcie znowu zaczął się czuć jak dawniej, zaczął się czuć sobą. Później, dzięki kartkom papieru i kolejnym piórom wyblaganym od księdza, gdy kontynuował swą pracę, wypłynęło z niego w wielkim dzikim i spienionym pedzie wiele kolejnych stron, których czyste kartki zalała powódź o wiele większa i potężniejsza niż ta, która sprowadziły szare kapelusze. Sam na własne oczy widziałem jedną z nich, zapisaną na ścianie czerwonym atramentem, a historia ta była otoczona tysiącami innych, niepowiązanych ze sobą słów. Brzmiała następująco: Pewnego razu w pustym pokoju stała klatka. Z jej wnętrza dochodził ledwo słyszalny dźwięk przypominający słabnięcie kwilenie. Po pewnym czasie do pomieszczenia wszedł mężczyzna. Był szary i smutny. W dłoniach trzymał za uszy małe zwierzątko, które szamocząc się starało wyrwać na wolność. Klatka zamilkła, ucichła. Mężczyzna zbliżył się do niej. Otwierając klatkę, pociągnął za jej drzwiczki, po czym wrzucił tam zwierzątko i zatrzasnął drzwiczki. Kiedy przyglądał się wnętrzu klatki, zwierze zawył, a jego łapki ślizgały się po pretach, nie mogąc znaleźć w nich żadnego oparcia. Na lewej łapce pojawiła się rana. Po chwili kolejna wykwitła na jego lewym ramieniu. Powolutku zwierzątko było zjadane żywcem, dopóki nie pozostał z niego zaledwie stosik kości i odrobina krwi. Lkanie dochodzące z klatki stało się nieustępliwe. Wszystko, co mężczyzna w niej umieszczał, umierało. Za każdym razem odczuwał towarzyszący temu dreszcz radości. Lecz wreszcie nadszedł i kres podobnych dreszczy. To, co robił, stało się czymś zwyczajnym, czymś, co musiał robić. "Jeśli przestaniesz – to się skończy" – tak sobie wmawiał. Jednak czy kiedykolwiek przestanie? Nie był w stanie podjąć takiej decyzji. Ciągłe tylko pytał klatki: "Czym jesteś?" Pewnego dnia znudził się tym na tyle, że otworzył jej drzwiczki, chcąc wypuścić na wolność zamieszkującą ją pustkę. Oczekiwał, że ta nicosc go zabije, że w ten sposób jego życie dobiegnie kresu, skończy się, że

wreszcie będzie wolny, lecz nic takiego się nie stało. Pozwoliła mu żyć. Chodziła za nim wszędzie. Z czasem zabiła wszystko, co kochał, nie przestając przy tym kwilić ani na chwilę. A wtedy, gdy mężczyźni nie pozostała najmniejsza nawet rzecz, na której by mu zależało, porzuciła go. Mężczyzna siedział w swoim pokoju przy pustej klatce. I teraz to on wydawał z siebie te lękające, kwilące dźwięki, które kiedyś dochodziły z wnętrza klatki. Mimo szare kapelusze go okaleczyły, pisarz wydawał sny i marzenia. Publikował długie, absurdalne opowiesci, fałszywe historie i przewodniki turystyczne. Nie mogę tu napisać, że bardziej przypadło mi do gustu to, co pisał obecnie, mimo iż właśnie z tego powodu stał się tak sławny. Po niezbyt długim czasie z bardzo odległych stron zaczęli do niego przybywać czytelnicy, chcąc kupić jedną ze stron jego twórczości. Pisarz mógł kontynuować to, co robił zawsze. Załedwie pozbawiono go języka. Załedwie nie miał oczu. Po prostu nie miał dłoni. Czy naprawdę to było aż tak straszne? Wreszcie, oto opowieść napisana specjalnie dla mnie. Otrzymałem ją, gdy przybyłem do Ambergris – tuż po bliskim spotkaniu z gigantyczną kalamarnicą, która zatopiła mi łódź – i odwiedziłem go w jego pokoju. Później odkryłem, że taki właśnie się urodził, że pisze i tworzy, wykorzystując pomysły pochodzące ze starych książek napisanych przez dawno już zapomnianych autorów, nadal czytanych mu na głos przez przyjaciela. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, siedział przy oknie, z głową odrzuconą do tyłu, by jak najwięcej światła padało na jego ciało. (Teraz już dysponuje wiedzą, że bardzo bacznie wtedy nadsluchiwał). Był zły, miał twarz, która – ze wszystkimi nagromadzonymi na niej zmarszczkami oraz ustami zamaryłymi w wiecznym grymasie – dawała świadectwo tortur przekraczających wszelkie wyobrażenia. Jego ramiona rzeczywiście nie kończyły się dłońmi. Jego nogi, zwinięte pod nim, były zbite i twarde od mięśni, a zakończone umięśnionymi stopami. Jego palce u stóp wydawały się równie zwinne jak te, które ja miałem u dłoni. Kiedy wszedłem, uśmiechnął się do mnie. Rozwiniął stopy i unosił jedną z nóg w górę, zamierzając w dość cudacznej pozycji. Pomyślałem sobie, że chce się ze mną przywitać – "podać mi rękę" – ale nie, pomiędzy palcami wyciągniętej stopy trzymał kartkę papieru. Ponaglając mnie, pomachał nią w moim kierunku. Moment, podjęcie decyzji i... Wziąłem ją. I co też takiego było na niej napisane? Nie potrafiłem tego odcyfrować. Była to załedwie seria numerów. A co też oznaczają one dla kogoś takiego jak ja? Nic. 10:55 13:24 2:73 14:78, 2:33 15:39 4:41, 15:41 8:24 7:14 4:50 5:67 7:5 15:57 5:65, 4:54 8:21 5:86 5:88 5:95 5:87, 1:43 2:23 12:14 13:220 2:14 10:59 4:45 13:194 2:81 16:65 7:54 14:14, 16:136 2:12 13:253 2:13 13:250 10:51 4:78 6:28 2:53, 7:61 9:15. 9:16 9:17. 1:39 13:271 10:57. 5:87 10:96 16:26 15:33 2:89 5:101 5:102 10:51 7:26 16:155. 14:84 15:54. 2:109 1:29 6:2 4:31 13:185. 3:20 12:15 13:211 13:212. 10:61 11:61 13:55 2:119. 16:172 4:20 13:241 8:14 16:26. 2:75 9:20 13:157 – 10:56. 10:48 2:92 11:81 10:54. 13:256 8:11 16:164 15:51 9:49 6:7 13:217. (10:49 7:73 13:218). 14:84 10:61 11:61 4:47 1:51? (7:49 10:50 3:29). 13:180 4:68 13:171? (16:171 15:32 10:60). 1:48 1:47 9:45 16:140 13:174 5:1 1:4 13:211 1:50...

SPORLENDER, VERDEN I WYMIANA

Frederick Madnok opowiedział mi kiedyś, że Louis Verden wpadł na pomysł podczas współpracy z Nicholasem Sporlenderem nad Wymiana. Pytanie, czy wywołała go nagła i plomienna sprzeczka, czy może sama natura snutej opowieści – tego Madnok nie był w stanie określić...

...Sporlender był wyznawcą nauk Richarda Petersona, Walczącego Filozofa. Verden był natomiast od zawsze zaciekle stratonista – i jak się okazało, również strategiem. Przynajmniej jeśli wierzyć słowom Madnoka, który zdaje się rzetelnym źródłem informacji.

Madnok potwierdza, że strona z notką o prawach autorskich zawsze wyzwała w Verdenie wszystko, co najgorsze. Na jednym z przyjęć pijany Verden (zresztą nigdy niebedący zbyt miłym widokiem) przeklął dzień, w którym przyszedł na ten świat jako "Verden, a nie chociażby taki Aardvark". Na zawsze został wtedy bowiem skazany na to, że jego nazwisko będzie pojawiało się po nazwisku Sporlendera, a tym samym wielbiciele ich wspólnych wysiłków zawsze będą się gromadzili przy tym pierwszym.

Wymiana Tej nocy mrok opadł na Ambergris niczym podstępny złodziej, a ukosnie padająca na ziemię, niby warstwa za warstwą, ciemność odbijała się w sobie, dusząc i gasząc sama siebie. Zalewała ziemię fala za falą, niczym powódź. Podobnie pachniała. Rzeką. Błotem. Trzcinią. Niosła ze sobą przedsmak dymu. Gdzieś niesmiało mrugały okna budynków, a noc dławiała wszystko. To szczególnie boleło, gdyż to Verden dokonywał poprawek w tekście – dodając i zmieniając fragmenty – podczas gdy Sporlender zazwyczaj uważał, że jego odpowiedzialność kończy się wraz z dostarczeniem ostatecznej wersji maszynopisu, zaopatrzonego we wskazówki dotyczące wyglądu ilustracji. Jeśli chodzi o to, czego tak naprawdę dotyczy sam utwór. Sporlender nigdy tego nie skomentował, z jedynym wyjątkiem, gdy podczas jednego z wywiadów wypowiedział następujące słowa: "To wszystko tam jest, dla tych, którzy potrafią właściwie czytać". i wszystkich. Lecz nieswiadome tego budynki nie przestawały mrugać. Narastający wiatr, bezustannie przybierający na sile, przypominał mordercze zwierze. Używał drzew jako pazurów, nakłaniał gwiazdy do roli swych oczu. A tylko tyle potrzebował, by móc obedrzeć do kości bulwar Albumuth. W noc taka jak ta nikt nie wychodził na ulice. Nie uswiadczyłeś więc na niej ani żywej duszy. Nikogo, jedynie szalenców i szare kapelusze z nieodłącznymi krwistoczerwonymi flagami.

Na samym końcu bulwaru Albumuth, w małym mieszkanku na parterze domu wyglądającego na wyjątkowo zmęczony życiem, siedząca naprzeciw siebie przy wiekowym stole para staruszków spożywała właśnie kolację. Równie dobrze mogli mieć siedemdziesiąt, jak i siedemset lat, przynajmniej wnioskując z panującego na ich twarzach nieprzejeźdanego spokoju i opanowania. Mrok pomieszczenia rozpraszało ledwie sobie z tym radzące światło lampy gazowej. Jedzenie, zalegające na stojących przed nimi talerzach, wilo się w nieustannych

W Ambergris, wbrew wszelkim dziwactwom, jakie można tam spotkać, leżące na talerzu jedzenie Jakos nigdy się nie wiję, ani też nie uprawia ze sobą zapasów. W Ambergris wiele jest możliwe, ale nie coś takiego. Zastanawiam się nad naturą "jedzenia" przedstawionego w tym utworze. We wszelkich zgłębionych przeze mnie do tej pory źródłach na temat miasta wyszperałem zaledwie pojedynczy przepis kulinarny, i to nawet biorąc pod uwagę wszelkie przewodniki wydane przez Hoegbottona. A tutaj, proszę bardzo, otrzymujemy tak wyraźną wzmiankę dotyczącą wyglądu posiłku, i to w broszurce mającej służyć zaledwie jako swego rodzaju festiwalowy bilecik. Osobliwe.

Powyższa grafika wskazuje na oddanie Verdena ideom strattonizmu – widac to w układzie listów, w księzycu przesłoniętym chmurami oraz w wyglądzie macek kalamarnic. Liczba listów na prawym górnym panelu odpowiada liczbie strattonistycznych przykazań. Ich liczba na lewym górnym panelu odpowiada liczbie zalecanych aktywności przedłożonych w Księdze Strattona. A co z księzycem? Księżyc przypominający zasłonięte oko to tajemny symbol strattonizmu. Co do macek, wystarczy tylko się przyjrzeć, jak witają się ze sobą dwaj strattonisci. Niektórzy uważali, że Sporlender, nieważne – celowo czy nie, użył Verdena jako modelu postaci żony. Z pewnością rozjaśniło to samego Verdena, gdyż zbliżyło się niebezpiecznie do ujawnienia jednej z jego wielu tajemnic. Otoż, jak przekazał mi Madnok, że znajdujących się w Ambergris kalamarnicznych klubów najgorszego sortu wypłynęła plotka o kobiecie przypominającej Verdena, która zwykła odwiedzać najbardziej diaboliczne z tych miejsc. Po uiszczeniu opłaty za całonocne rozrywki, kobieta ta zwykle sięgała po szkicownik i zabierała się za rysowanie Otaczającej ją rozpusty i rozwiązłości. Z pewnością, przy pewnym upiększeniu, opis starego mężczyzny dość dobrze pasuje do Sporlendera. Z tego właśnie powodu wielu mniej ekscentrycznych ekspertów niż Madnok wierzy, że Wymiana powstała jako złożona alegoria – miała opisywać proces twórczy, przez jaki Sporlender i Verden przechodzili przy każdym wspólnym projekcie. Prawdopodobnie kluczowe znaczenie ma to, że Verden przypisuje sobie zasługi za zasugerowanie postaci ukrytego pierwszoosobowego narratora, który tu właśnie nieoczekiwanie manifestuje nam swoją obecność.

Madnok jest przekonany, że powyższa ilustracja przepowiada potworny czyn, do którego doszło w Ambergris. Czyn znany zaledwie garstce ludzi. Jego kolejną obserwacją, że kalamarnice "wydają się mniej nawzajem sobą rozdrażnione niż cielesnie skłonne ku sobie" odzwierciedla, jak wierze, jedyny zawód, jaki nam sprawia w roli godnego zaufania obserwatora. Sporlender zwykle był bardzo dumny z faktu, że posiadał zaledwie znikome umiejętności dotyczące zachowania się w towarzystwie, lecz redakcja Verdena, dokonana tutaj na oryginalnym manuskrypcie, wygładziła i stonowała kpiny ze starej kobiety. Madnok sugeruje, że Sporlender odsłania nam tu zasłone, pozwalając spojrzeć na tajemne rytuały Walczącego Filozofa. Nie mam możliwości, by zweryfikować podobną informację, szczególnie

biorac pod uwage nalozone na mnie obecnie ograniczenia zwiazane z przemieszczaniem sie z miejsca na miejsce. Domyslalam sie, ze "wymiana", o ktorej tu mowa, jest najwyrazniej wymiana idei. To, ze takie idee w ostatecznym rozrachunku okazuja sie nie do pogodzenia, moze byc nieistotne – o ile tarcia, do ktorych doszlo podczas konfliktu, sa rejestrowane, ze tak to ujme, w formie sztuki.

Czy to tak wlasnie Verden odbieral swa tworcza wspolprace ze Sporlenderem? Przywiazany do niego? Schwytany w pulapke? Czy Sporlender czul porownywalna potrzebe uwolnienia sie od osoby Verdena, co Verden od jego osoby? Ksiezyc jest niemal calkowicie przesloniety chmurami. Kalamarnice sa niemal gotowe na wszystko. I jak dla mnie, sa zadziwiajaco do siebie podobne, niemal identyczne. Czyzby Verden i Sporlender byli az tak bardzo do siebie podobni? Tutaj Sporlender droczy sie z Verdenem, opisujac istote przypominajaca zabe. Verden bowiem nienawidzil zab. Dorastal w starej, butwiejacej posiadlosci stojacej nad Moth. Piwnice i parter tego budynku czesto przez dlugie miesiace staly zalane woda rzeki. Do jego bezpiecznego schronienia na drugim pietrze przez cale lata dochodzilo nieprzerwane kumkanie i rechot zab – "jak gdyby wysmiewaly sie z mojej dotknietej dziedzicznym ubostwem rodziny". Sporlendera dreczyla obsesja zwiazana z polaczeniem ciala i metalu, gdyz widzial w niej sposob na odparcie smierci. Pod wieloma wzgledami jednak byl tchorzem i najbardziej zbлизyl sie do spelnienia wlasnych marzen, przyozdabiajac swe cialo metalowymi bransoletami, kolczykami i pierścieniami. W pewnym momencie zlecil nawet wielkiemu wynalazcy Porfalowi skonstruowanie metalowej "skory", lecz wykonanie tak postawionego zadania okazalo sie zbyt trudne nawet dla czlowieka tej miary co Porfal. Walka trwa! Dogghe kontra Manzikert II! Kalif kontra Stretcher Jones! Szare kapelusze kontra Ambergris! Festiwal kontra sam Festiwal! Oto mimikra dlugiej historii wszelkich konfliktow Ambergris. W noc poprzedzajaca wyjazd Sporlendera do Morrow, kiedy to na zawsze mial on porzucic Ambergris, pod brama domu pisarza zebrał sie tłum uzbrojony w plonace pochodnie. Skladal sie z hulajacej po nocy zgrai strattonistow, rozdrażnionych i gotowych na wszystko z powodu kilku ostatnich Festiwali o wyjątkowo lagodnym przebiegu. Wkrotce otoczyla ich i zaatakowala grupa przechodzacych akurat w poblizu zwolennikow Walczacego Filozofa. Verden, zgodnie z wlasna wersja swego alibi, w chwili wybuchu zazartej walki przebywal na drugim krancu miasta. Noc byla pochmurna. Wszystko skrywala ciemnosc. Miasto stalo sie obce nawet dla najbardziej zahartowanych z nocnych markow przemieszczajacych sie po zmroku ulicami. To, co rozpoczelo sie jako zorganizowana bitwa pomiedzy fanatykami dwoch obozow religijnych, wkrotce przekształcilo sie w zalosna bijatyke, chaos poplatanych cial i zadawania ran, znad ktorego unosily sie wrzaski i piski. Te wielka rzez udalo sie przezyc ledwie nielicznym z kazdej ze stron. Ale gdzie podczas calego zamieszania byl Sporlender? Garstka, ktora zadala sobie w ogole trud uniesienia wzroku znad swego wielce zajmujacego zajecia, dostrzegla w oknie salonu domu ksztalty dwu postaci, ktore zdawaly sie klocic ze soba. Wiekszosc jest przekonana, ze jeden nalezal do Sporlendera, a drugim z pewnoscia nie byla jego zona. Ta druga postac

sprawiała wrażenie siedzącej. Nikt nie był w stanie określić jej ewentualnej tożsamości. Z okna rozbłysło światło, a było tak jasne, że oslepilo wszystkich walczących. To światło z domu Sporlendera w mgnieniu oka zalało całą ulicę, wskutek czego nikt z walczących nie mógł już dostrzec znajdujących się w środku postaci. Światło zgasło. Postaci pozostały w oknie. A wtedy do uszu stojących w dole doszedł brzęk rozbijanej szyby i okno eksplodowało na zewnątrz, roztrzaskując się w drobny mak. Coś małego, okrągłego i ciężkiego potoczyło się, by zatrzymać u stop strattonistów i zwolenników Walczącego Filozofa...

W chwili później to coś rozpadło się, rozplywając w powietrzu. Każdy widzący to strattonista uznał je za coś zupełnie innego. Dla niektórych był to strak z nasionami. Dla innych – mały grzybek. Dla jeszcze innych – dziecięca piłka. Lecz wszyscy prawdziwi wyznawcy Walczącego Filozofa jak jeden mąż dostrzegli w tym czymś poskrepany kwiat ukryty wewnątrz dwunastocianu. W międzyczasie obie postaci zniknęły z okna. Kiedy po kilku minutach strattoniści szturmem wywazyli drzwi i wpadli do środka, wewnątrz nie znaleźli ani żywej duszy. Sporlendera, podobnie jak jego żony, nigdy więcej nie widziano w Ambergris. Madnok tak lubił mawiać o tej stronie! "Oto są tu tuż obok siebie, u swego boku jeden koło drugiego, mimo iż w prawdziwym życiu byli tak od siebie odlegli, jak to tylko możliwe". Czy Sporlender w rzeczywistości, jak twierdzi tak wielu, razem z żoną mieszka obecnie w Morrow? Co jakiś czas, dość jednak rzadko, nadchodzi list – bądź kolejna opowieść – opatrzony pieczęcią "Morrow", lecz nikt tak naprawdę nie widział go od owej pamiętnej nocy.

Hoegbotton ma zaszczyt z dumą zaproponować

AZYLE SPOKOJNEJ STAROŚCI

Jesli tylko opieka nad dziadkami Stala sie dla Ciebie – i to doslownie – zbyl wielkim ciezarem Prosimy, rozwaz nasze nowe Hoegbottonskie azyle spokojnej starosci Dla starszych i niedoleznych. Wstap do biur Hoegbottona i Synow A nasi pracownicy ABSOLUTNIE ZA DARMO oprowadza cie po jednym z tych budynkow.

ZAPOWIADAMY PRZYJAZD

WALCZACEGO FILOZOFA

Richard Peterson, Walczacy Filozof, wezmie udzial w paradzie festiwalowej oraz odpowie na zadane mu pytania. * Dowiedz sie, dlaczego strattonizm jest oszustwem * Odkryj klucz do samorealizacji * Poznaj tajemnice Dziennika Samuela Tonsure'a * Sam stan sie "walczacym filozofem"

Redaktorzy Plonacych lisci zaangazowali sie w dochodzenie majace na celu rozwiklanie tajemnicy osobliwych wydarzen tamtej nocy. Zarzucili zarowno Hoegbottonowi i Synom, jak i akolitom Walczacego Filozofa, zmowe, ktora w efekcie doprowadzila do znikniecia Sporlendera. Kiedy jednak nadszedl list od samego pisarza, sygnalizujacy, ze najzwyczajniej w swiecie przeprowadzil sie do Morrow, by w ten sposob "uwolnic sie od tego Verdena", Plonace liscie porzucily swe dochodzenie i opublikowaly opowiadanie dolaczone do wspomnianego wyzej listu – "W pierwszych godzinach po smierci" – ktore zaopatrzyly w stosowna note redakcyjna.

KAPSULY PAMIECI PORFALA

Wytrzymale – Metalowe – Niedrogie Zastanow sie tylko, jaka ulge mozesz sprawic swym bliskim, zaledwie zapisujac swe dane na skrawku papieru, ktory nastepnie zwiniesz i zamkniesz w kapsule schowanej do kieszeni. Ta tak banalna czynnosc moze zapobiec wielu pozniejszym dniom udreki i niepewnosc. Jesli tylko dojdzie do nieszczescia i w noc festiwalowa przydarzy ci sie bliskie spotkanie ze sporami, z latwoscia – wlasnie dzieki Kapsule pamieci Porfala – uda sie pozniej Ciebie zidentyfikowac. Te kapsuly wiedza, kim jestes.

Wyznawanie dwukomorowego mozgu Logika nauki Pociecha plynaca z wiary Empiryczne, lecz niedefiniowalne "I Ty mozesz kontrolowac glosy rozbrzmiewajace w Twojej glowie" Szukaj naszych emisariuszy podczas Festiwalu Jak przypomina mi Madnok, rowniez i Verden po owej nocy usunal sie w cien zycia towarzyskiego, mimo iz nie w az tak dramatycznych okolicznosciach. Obecnie rzadko mozna go zobaczyc w pelnej krasie, zazwyczaj chodzi bowiem szczelnie opatulony szata z kapturem, w związku z – jak sam to ujal – "choroba skory, ktora ograbila mnie z mego uroku, pozostawiajac go ledwie w tym, co wyjdzie spod mego piorka i olowka". Rowniez i on w ostatnich latach wykonal o wiele mniej ilustracji.

ZEGLUJAC PO WODZIE CZYNIA

CUDA NA UMYSLE

BLISKA Ci OSOBA ruszy naszymi lodziami w rejs rzeka Moth, by pod opieka najtezszych psychiatrycznych umyslow najbardziej uznanych instytucji wrocic po miesiacu jako nowa, zrownowazona i spokojna, w pelni wladz umyslowych. To relaksujaca PODROZ w polaczeniu z najbardziej zaawansowanymi formami ELEKTRYCZNEGO warunkowania, a wszystko pod dobroczynnym okiem i madra kuratela naszych szkolonych lekarzy. O ROZRYWKE zadbaja VanderMeer i Schaller* z "Nadzwyczajnym przedstawieniem Wodnego Teatru Lalek". Zadzwon do biur medycznych Beckmana, Ballandera i Wspolnikow pod numer 23149 lub odwiedz nasze biuro mieszczace sie przy bulwarze Albumuth 3150 (drugie pietro, zaraz nad elektrykiem) * powracajacy znow do swych sllynych rol Sporlendera i Verdena

Teatralna produkcja na barce, "nadzwyczajne przedstawienie Wodnego Teatru Lalek", jest wysmienita. Dwie glowne lalki stworzono na podobienstwo Sporlendera i Verdena. Przedstawienie zaklada, ze tej okrutnej w skutkach nocy zostali oni odwiedzeni przez szare kapelusze. Historia przedstawia powolna zamiane Sporlendera w grzyb w Morrow. Przedstawia rowniez Verdena na stale oszpeconego przez spory. W dramatycznej scenie finalowej, podczas odwiedzin Verdena w Morrow, dokad trafia on w poszukiwaniu starego przyjaciela, Verden i Sporlender spotykaja sie po raz ostatni. Wtedy to, padajac sobie w ramiona, stapiaja sie ze soba. Niezbyt polecane dla mlodszeo widza.

Wydawnictwo Hoegbottona ma zaszczyt zaprezentowac wyjatkowy – rozciagajacy sie od dyskusji historycznych po przewodniki turystyczne – wybor broszur dla przypadkowego podroznika po Poludniowych Miastach. Hoegbottonska seria broszur ambergrianskich Hoegbottonski przewodnik po ambergrianskich artystach Hoegbottonski przewodnik wycieczek po Ambergris sladami literatow Hoegbottonski przewodnik po miejscowych ambergrianskich dozorcach Hoegbottonski przewodnik po ambergrianskich barach, pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i azylach Hoegbottonski przewodnik po wczesnej historii Ambergris Hoegbottonski przewodnik po Dzielnicy Religijnej Hoegbottonski przewodnik po perelkach architektury bulwaru Albumuth Mam niemal wszystkie z powyzszych broszur. Przewodnik wycieczek po Ambergris sladami literatow zawiera rozdzial poswiecony Sporlenderowi. Trasa Jego sladami zawiera zarowno przystanki przy domu pisarza, Jak rowniez przy budynkach wydawnictw prezentujacych szerokiej publiczności jego tworczość. Za raczej wygorowana oplata moze wam towarzyszyć hoegbottonski przewodnik. Wedlug Madnoka, najlepsi sa weekendowi narratorzy, gdyz dostarczaja wam najbardziej rozrywkowej wartosci za wylozone pieniadze.

Hoegbottonska seria broszur Miast Poludniowych Hoegbottonski przewodnik po miejscowych gatunkach niewielkich ssakow Hoegbottonski przewodnik po najlepszych festiwalach maskowych Hoegbottonski przewodnik po uslugach towarzyskich Hoegbottonski przewodnik sladami literatow Hoegbottonski przewodnik po barach, pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i azylach Hoegbottonski przewodnik po historii rzeki Moth Hoegbottonski przewodnik po praktykach hazardowych Wysp Poludniowych Wszystkie powyzsze publikacje, podobnie jak wydane przez Hoegbottona mapy, ksiazki, wyposazenie ochronne i inne rzeczy, odnajdziesz w Ksiegarni Borges oraz innych dobrych sklepach na terenie Ambergris i calego Poludnia. Hoegbottonski przewodnik po barach, pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i azylach kilkakrotnie wspomina Verdena. Wszystko wskazuje, ze mial on niezla reputacje w takich miejscach.

AZYLE

HOEGBOTTONSKIE

Niewazne, czy tylko odwiedzasz nasze miasto, czy jestes jego mieszkancem, ktoremu nie daje spokoju obawa zwiazana z Festiwalem, rozwaz chociaz przez chwile HOEGBOTTONSKIE AZYLE Dbamy w nich o Twoje:

BEZPIECZENSTWO

OCHRONE

LUKSUS

ROZRYWKE

Dopelnieniem naszych uslug sa dostepni dla naszych drogich klientow zarowno uzbrojeni straznicy, jak i bron obronna. Szukaj naszych Zoltych Sloneczek na latarniach ulicznych. Lub tez po prostu zajrzyj do naszej glownej siedziby przy polnocnym bulwarze Albumuth 3129. Czekamy tam na Ciebie. Hoegbottonskie azyle wciaz rozdaja podczas Festiwalu zarowno podstawowa wersje Wymiany, jak i opowiesc w wersji deluxe, zapakowana w pudelko. Z powodu luki w kontrakcie ani Sporlender, ani Verden nie otrzymuja zadnych pieniedzy ze sprzedazy tej broszurki. Jednak szeroka popularnosc powyzszej historii z roku na rok nieprzerwanie zyskuje im szeregi nowych wielbicieli.

Kiedy juz stad wyjdziemy, Madnok obiecal mi pokazac niektore ze swych ulubionych miejsc festiwalowych. Jednak jesli mnie przeczucie nie myli, raczej nie nastapi to szybko.

UCZAC SIE,

Karlica wyrasta przede mną zupełnie nieoczekiwanie, gdy w poszukiwaniu pewnej książki dla mojej dziewczyny Emily przeglądam pozycje w Księgarni Borges. Wpadający przez frontowe okno snop światła uderza mnie z boku upałem późnego popołudnia, a gdy karlica odwraca swą dłoń, jej jasność rozświetla wszystkie zakłete w zmarszczkach bezkresne światy: blade linie dróg, doliny poprzecinane rzekami, pagórki skóry i ciała. Matryca przeznaczeń i celów.

Nim zdolałem jakos zareagować, kobieta chwyta moją dłoń i wbija w nią cierni przenikający głęboko do środka. Stekam z bólu, jak podczas pobierania krwi do badań. Opuszczam wzrok i spoglądam w wielkie, ciemne oczy karlicy, a dostrzegam w nich tak ogromny spokój, że cały ból nieoczekiwanie rozmywa się i znika jak nożem uciął, by powrócić dopiero, gdy jej zgarbiona, powłoczona nogami sylwetka wycofuje się ode mnie i wychodzi z księgarni.

Ściany błyskawicznie odsuwają się, a polki stają się tak odległe, że nie mam się ani czego chwycić, ani o co podeprzeć. Unoszę dłoń do światła. Cierni przebił mi powierzchnię skóry i gdybym mu tylko na to pozwolił, wniknąłby o wiele głębiej. Badawczo przyglądam się krwistemu pecherzykowi rany. Otwór pulsuje, a kiedy tak na niego patrzę, różowoczerwony kolor zimnym ogniem rozprzestrzenia się na wnętrzu mojej dłoni. Rana wydaje się miastem na mapie, cytadela rozdarta gniewnym pulsem działań wojennych, które o mały włos nie zawałdowały całego najbliższego otoczenia. Wojny, która toczy się w moim ciele.

Wychodzę z księgarni i pieszo wracam do domu. Bulwar Albumuth daje mi pewne poczucie bezpieczeństwa. Ledwie jednak mijam dwie przecznice, a już na zadławionych graffiti kładkach dla pieszych zaczynam dostrzegać nastoletnich przedstawicieli świetlanej przyszłości, którzy zabawiając się hałasliwie, krąży w mroku zapadającej nocy, zabiegając o przyjemności ciała i oddając się zepsuciu duszy. Albumuth jest tym, co trzyma mnie przy życiu, moja lina ratunkowa, arteria środkowej części miasta. To tutaj pracuje, tu robię codzienne zakupy, tutaj nawet kupuję książki. Bez niego całe to miasto stałoby się niebezpieczne. Gdyby ten bulwar nie istniał, zapewne nie miałbym żadnego pewnego zakotwiczenia we własnym życiu i mogłbym dryfować.

Powoli wracam do domu, powłoczając stopami po chodniku, przy każdej najmniejszej sposobności przesuwając palcami wzdłuż wzorów mijanych białych ogrodzeń, schylając się, by pogłaskać cocker-spaniele, rozmawiając z uśmiechniętymi starszuchami sprzedającymi jabłka, wpatrując się w głębokie oczy dzieci.

Nawet teraz, ledwie moment po incydencie, rana już rozpoczęła swą przemianę. Udaje mi się wyrwać z niej cierni. Coraz mniej przypomina już ogarnięte płomieniami miasto, a coraz bardziej część należącej do mnie dłoni. Naprawdę, wyjątkowo rzadko, którejkolwiek część mojego ciała intrygowała mnie tak mocno. Owszem, nie ulega żadnej wątpliwości, że Emily kresliła opuszkami swych palców linie między moimi piegami, odkrywała przestrzenie skrywane pomiędzy palcami u stóp czy przeczesywała kepkę włosów porastających mi klatkę piersiową, ale sam nigdy nie badałem własnego ciała z aż taką skrupulatnością. Nigdy nie wydawało mi się ono jakos zbyt związane z tym, kim jestem, z moim prawdziwym ja. Jedynym wyjątkiem od tej reguły było postanowienie, by utrzymywać je w dobrej formie, tak by nie oszukiwało mego umysłu.

Teraz jednak przyglądam się własnej dłoni dosyć krytycznie. Jej zmarszczki nie wydają się w najmniejszym nawet stopniu wzajemnie konsekwentne, jeśli chodzi o ich długość czy szerokość, a zgrubienia gromadzą się na niej niczym pakuły czy stopione nakretki z pasty do zębów. Otarcia i zarożowienia, którym towarzyszą nieliczne drobne blizny – wszystko to splatuje się na niej, nadając jej wnętrzu matowy wygląd. Dochodzę do wniosku, że moja dłoń jest tak szpetna, iż nawet chirurgia plastyczna nie oferuje mi większej nadziei na poprawę jej stanu.

Kiedy słońce chyli się na horyzoncie, kładąc się cieniem na dachach miasta i chaotycznie porozmieszczanych na nich tu i ówdzie kominach, docieram wreszcie do domu. Moje mieszkanie zajmuje parter dwupiętrowego budynku z brązowego piaskowca. Budynek, którego cegły są pomarszczone starością, a w niektórych miejscach okazują się miękkie niczym mokra glina. Anemiczny frontowy trawnik posypano piaskiem, by zapobiec zarastaniu trawą.

Moje mieszkanie składa się z kuchni i saloniku, który po lewej stronie sąsiaduje z sypialnią, po prawej zaś z łazienką. Z sypialni przez trójkątne, platerowane szkło wneki okiennej, w której można przysiąść, rozciąga się zaledwie widok na szary asfalt i opustoszały, wymarły pasaż handlowy.

W kuchni i salonie trzymam pieczolowicie hodowane roślinki, zachowujące się niczym irracjonalne, a równocześnie cudownie przepiękne zdania – pełzną mi po ścianach, a ich pnacze wystrzeliwiają z treliżami w każdym możliwym kierunku wbrew najlepszym staraniom z mojej strony, mającym temu zapobiec. Rosnie tu wisteria o kwiatach zbitych jak skaloczepty pelikanie, kokoloby o miękkich okragłych liściach, passiflora, pnacze trąbkowe oraz rozkwitający jedynie nocą jaszmin, którego kwiaty rozwierają się wtedy i pachną wata cukrowa zmieszana z bogatym, solankowym zapachem bryzy morskiej. Wszystkie te kwiaty despotycznie zazębiają się i łączą ze sobą, znacznie przescigając w tej czynności najsmielsze wyobrażenia trójkątów miłosnych, nawet tych obdarzonych wręcz nieskrepowaną wyobraźnią.

Emily nienawidzi moich kwiatów. Jeśli już się kochamy, to zawsze u niej w

mieszkanii. W jej perfekcyjnej, nieskazitelnej sypialni wychodzi nam to wrecz doskonale – monotonne ruchy naszych konczyn przypominaja suwanie pompujacych mechanicznych tlokw – az rownoczesnie szczytujemy. Po wszystkim bierzemy wspolny prysznic. Czasem, z rzadka, pozostawiajac po sobie ledwie klebek wlosow w odpływie.

II

Do tej pory ciernie nie zajmowal zbyt wielu moich mysli; dopiero teraz, gdy leze juz w lozku, nadsluchujac wycia tepakow oraz dochodzacych z drugiego kranca miasta przeklenstw w wykonaniu naszej swietlanej przyszlosci, rozbijajacej sie samochodami po calym miescie, rana pulsuje mi lomoczacym rytmem, ktory przenosi mnie do pierwszego prawdziwego wspomnienia tego swiata.

Zostalem sierota w bardzo mlodym wieku, kiedy moi rodzice zgineli w katastrofie morskiej. Nie bylem juz wtedy dzieckiem, ktore mozna bylo zostawic komus na progu. Z tamtego okresu przypominam sobie zaledwie taka oto scene: morze, odpływ i noc przesuwajaca sie nad calym swiatem niczym czarne drzwi rozposcierajacego sie mroku. Woda lize mi stopy, miedzy palcami wyczuwam chlod piasku, a twarz kasaja mi powiewy wiatru. Slysze zarowno nieustajacy plusk malutkich, srebrnych rybek uwiezionych w kaluzach pozostalych po odpływie, jak i Isniacych spomiedzy piasku rozgwiazd uwiezionych w wodorostach. Dostrzegam duchy krabow drepczace bokiem na swych skrzypiacych stawach z kawaleczkami miesa trzymanymi w szczypcach rownie delikatnie, co kurczowo.

Nie mam pojecia, ile moglem miec wtedy lat. Nie mam rowniez pojecia, jak znalazlem sie na tej plazy. Wiem tylko tyle, ze usiadlem na piasku, a swiatlo gwiazd bladlo na tle rozposcierajacego sie nade mna modrego bezmiaru nieba. A gdy zmrok zamienial sie w noc, czyjes rece chwycily mnie za ramiona i zaczely ciagnac w gore wydm, w strone klejacych sie traw i kokoloby, meczennic i kaktusow, poki nie ujrzałem przed soba diabelskiego kola krecacego sie przy namiocie nadmorskiego cyrku, poki nie doszlo do mnie unoszace sie stamtad w powietrzu buczenie i towarzyszacy mu stlumiony poglos szlochow, smiechu i krzyku bawiacych sie tam ludzi.

Czy to miejsce bylo prawdziwe? A moze bylo zaledwie wytworem mojej wyobrazni? Nie potrafie odpowiedziec na to pytanie. Lecz wspomnienie to nieustannie do mnie powraca, by skupic i polaczyc mnie z tym swiatem. Wtedy, gdy nie pozostaje mi juz nic mogacego wywolac we mnie poczucie przynaloznosci do tu i teraz. Wspomnienie to daje mi cos, co istnieje poza tym miastem, wykonywana w nim praca i zajmowanym mieszkaniem. Gdzies magicznie dawno, dawno temu, lezałem sobie pod gwiazdami, gdy noc rozposcierala sie nade mna. I snilem tam cudownosci.

Mam ledwie garstke przyjaciol. Przybrane dzieci, wedrujace z miasta do miasta,

wciąż w drodze do coraz to nowych rodzin, z rzadka tylko podtrzymują swe przyjaznie. Wszyscy przybrani rodzice przypominają mi obecnie zaciemnione smugi kurzu rozciągające się po tafli szkła. Mogę przypomnieć sobie ich twarze i imiona, ale w porównaniu ze wspomnieniem tego obracającego się nade mną luku nieba są dla mnie niesłychanie odlegli.

Teraz jednak mam ranę w dłoni. Ranę, która przenosi mnie z powrotem na tamtą plażę o zmroku, do dlawiacej mnie rozpaczki po śmierci rodziców, żalu, że nie utonałem wraz z nimi. Pozostałem żywy, lecz nieruchomy. Obserwujący otaczający mnie świat, lecz nie podejmujący żadnych działań. W głębi mojego ja jestem jedynie możliwością aktu, nie samym aktem. Nigdy nie jestem aktem. Nigdy czynem.

To moi rodzice działali. To oni robili różne rzeczy. Dlatego właśnie zgineli.

III

Mimo rany w dłoni, która i tak nie jest wystarczającą wymówką, jadę samochodem do pracy wzdłuż bulwaru Albumuth. Wreszcie skrecam z niego na parking, gdzie pomiędzy peknąc w bruku z czerwonej cegły wybija mrowie kepek trawy. Moje miejsce pracy zajmuje wąski skrawek jednego z miejskich placów. To budynek o szklanych oknach z ciemnozielonymi zasłonami, których zadaniem jest ochraniać jego wnętrze przed ciekawskimi spojrzeniami leniwie przechadzających się na zewnątrz przechodniów. Wewnątrz – kilka pieter, ze schodami prowadzącymi zarówno w górę – na strych, jak i w dół – do piwnic.

Wykonywana przeze mnie praca polega na tworzeniu doskonałych zdań dla dość różnorodnej klienteli. Nie jest to zaledwie jakiś tam przejaw dziennikarstwa, gdyż wymaga ode mnie przejrzystości szkła, a nie odbicia lustra, nie ma tam miejsca na najmniejsze chociażby pojedyncze odbicie. Przez całe godziny tkwię w swym kaciku na poddaszu, wyglądając stamtąd na świat zewnętrzny, spoglądając na setki dachów, otoczony świeżym trocinowym zapachem słow i gliniasta stechlizna spiętrzonych w stosy tekstów koniecznych do wykonania mej pracy.

To prawda, że jestem ledwie jedną spośród wielu pracujących tu osób. Niektóre z nich nie są artystami, a zaledwie technikami, pluczącymi swe gardła kamyczkami, by poprawić niedoskonałą dykcję w tworzonych przez siebie niedoskonałych zdaniach. Inni z kolei swobodnie wylawiają je, raz na jakiś czas szarpiąc za wędki w nadziei, że wydobędzie wtedy na powierzchnię zdania pełne, ukończone, posiadające wręcz nieprzebrane znaczenie. Jeszcze inni palą, piją, a nawet używają nielegalnych substancji, by tak właśnie skusić słowa do zaistnienia na dziewiczej kartce papieru. Wielu z nich jest nawet dosyć śmiesznych w stosowanych przez siebie określonych praktykach i procedurach. Znam imiona moich współpracowników, to Wendy, Carl, Daniel, Christine, Pamela, Andrea. Ale jesteśmy tak skupieni i sfiksowani na

tworzeniu własnych zdań, że równie dobrze moglibyśmy się minąć na ulicy jak zupełnie obce osoby.

Musimy jednak takimi pozostać, gdyż Kierownik – kolosalna inteligencja, ukradkowy lewiatan ociezale poruszający się wiele kilometrów pod powierzchnią – tego właśnie od nas wymaga. Otrzymujemy kilka płatnych zleceń dziennie, czy to z prośbą lirycznego opisu ukochanego meza, umierającego pieska, czy też wypowiedzi żony chcące przekazać mężowi jak bardzo, zupełnie nieswiadomie, zaniedbywał ją w ostatnim czasie. Na przykład: Obejmuje ją i mruczy, niczym zakochany w morzu marynarz, który idzie na dno bez słowa sprzeciwu, nie protestując nawet, gdy woda wciąga go coraz głębiej, i głębiej, i głębiej, dopóki nie wypełnia płuc, dopóki nie wiezi w niekończącym się śnie tonięcia.

Jeszcze dziesięć lat temu zapisywałem historie doskonale, lecz w przeciągu ostatnich kilku lat czas zdolności ludzkiej koncentracji niesamowicie się skurczył, aż w końcu wkroczyliśmy w schyłek epoki posiadania przez ludzką umiejętność czytania i pisanie.

Co oczywiste, nie tworzymy obiektywnie doskonałych zdań – czasem nasze zdania nie są nawet jakos wyjątkowo dobre. Gdybyśmy tylko byli w stanie tworzyć prawdziwie doskonałe zdania, zniszczylibyśmy otaczający nas świat, gdyż ten złożyłby się w sobie, zapadł niczym przekłuty balon wypełniony rozgrzanym powietrzem i przestał istnieć – bum! – Stałby się niedokończony, przekreślony, nieprzeżyty, zalany surowym lodowcowym światłem rzeczywistości prawdziwszej niż on sam.

Ale jestem perfekcjonista, który w zasciankowej stagnacji przerw na kawę współpracowników, w nieustających, równomiernych uderzeniach spadających na zewnątrz kropel deszczu usiłujących oderwać go od pracy, wciąż nie przestaje nawlekać czasowników na zaimki, popędzać tych samych czasowników w kierunku dopełnień dalszych, przyłączając do tego wszystkiego modyfikatorów, a wszystkiego rozkładać na kartce papieru niczym jakichś anielskich włosów strategicznie porozmieszczanych na galeziach choinki.

Tuż pod ręką zawsze mam spięty trzema pierścieniami notatnik zawierający moje wspomnienia, trzymam go przy sobie jako pomoc w przeżywaniu życia naszych klientów, w przedostawaniu się w ich skóre, poznawaniu ich niemal równie dobrze jak samego siebie. Wypełniłem w nim zaledwie dwanaście kartek, z czego większość i tak stanowią wspomnienia wydarzeń, które miały miejsce po moich piętnastych urodzinach. Wiele z zapisków to ledwie imiona. Na przykład taki Bobby Zender, przyjaciel i towarzysz sierota z domu poprawczego. Miał chromą stopę i przez cały rok dopasowywałem do niego swój krok, by nigdy nie wysforować się przed niego ani nie wybiec na plac zabaw, by pograć tam z innymi w piłkę. Zmarł na gruźlicę. Albo Sarah Galindrace, posiadaczka najciemniejszych oczu i najkrótszych spodnic, o

skorze niczym jedwab, porcelana; niczym niebo. Wyprowadzila sie, pozostawiajac po sobie jedynie echo w mym sercu.

Te wspomnienia czesto pomagaja mi pisac zdania, dzis jednak rozprasza mnie rana na dloni, niepokojaca i odsuwajaca mnie od nieskalanych, rozlozystych kartek papieru rozpietych na deskach kreslarskich. Piro, czarne gesie piro, ktore tak zywo drapie po papierze, stanowi teraz zagrozenie. Moi wspolpracownicy gapia sie na mnie – ich geste czarne brwi, grzywy blond wlosow, szalone oczy ogierow wprawiaja mnie w zdenerwowanie. Splywa po mnie pot. Wierce sie nerwowo na wysokim taborecie i staram sie nie wygladac przez okno w kierunku geometrycznie uspokajajacych i milych dla oka linii kabli telefonicznych, tnacych niebo na matryce punktow zainteresowania: koscielnych iglic, masztow flagowych, neonowych billboardow.

Kobieta, ktora wreszcie odkryla prawdziwa milosc, potrzebuje zdania, by przekazac swemu mezczyznie, jak bardzo go kocha. Gdy chwytam za piro, dlon zaczyna mi plonac, a piro w mojej rece rownie dobrze mogloby byc nozem, dlutem czy innym narzedziem o rownie zagadkowym dla mnie sposobie uzycia. Swedzi mnie skora, jakbym podraznil krawedzie strupa. Mimo wszystko jednak zapisuje nastepujace zdanie:

Gdy cie widze, moje serce rosnie niczym chleb w piecu.

Zdanie jest potworne. Kierownik nachyla sie nade mna i opierajac mi dlon na ramieniu, podziela moja opinie, z dezaprobatą krecac glowa. Smiertelnie powaznie mruczy: "Za bardzo sie starasz. Uspokoj sie. Wyluzuj".

Tak. Musze wyluzowac. Mysle o Emily. Mysle o ksiazce, ktora zamierzalem jej kupic w Ksiegarni Borges – Odbicie swiatla w wiezieniu. Byc moze, gdyby tylko udalo mi sie przeniesc na tworzone wlasnie zdanie cos z naszego związku, zdolalbym wymusic na tym zdaniu jego wlasciwe brzmienie. Rozmyslam o ostrej intonacji glosu Emily, sposobie, w jaki urywa koncowki slow, jak gdyby z trzaskiem lamala na pol lodyzki selera. Albo o tym, jak to swego czasu podraznila mnie wrecz do nieprzytomnosci na weselnym przyjeciu swej siostry i by jakos ukryc swe zazenowanie, musialem udawac, ze jestem kompletnie pijany. Albo o gladkim brzuchu, scisle przylegajacym w dotyku do moich ust, o cudownej plataninie blond wlosow.

Probuje po raz kolejny.

Gdy cie widze, moje serce rosnie niczym koliber smigajacy ku rosie pokrywajacej roze.

Dopiero w tym zdaniu staje sie prawdziwie beznadziejny. Aliteracja w "rosnie",

"rosie" i "roze" przebij a niczym noz wszelkie mozliwe opcje i swiecie mnie przekonuje, ze powinienem byl raczej zostac hydraulikiem, dentysta, a moze nawet pucybutem. Słowa, ktore same powinny sie ukladac w jedna spojna calosc, by wyzwalac namietnosc w sercach, staja sie brzydkie, zimne, puste. Martwy ciezar frazesu wywoluje bol glowy.

Gdy zmierzcha, prosze Kierownika o dzien wolnego. Dostaje go – z zakazem robienia czegokolwiek innego niz ewentualny spacer po miescie; byc moze jeszcze gra w pilke w starej, historycznej czesci miasta badz obejrzenie wystawy poswieconej Vossowi Benderowi w Muzeum Sztuki im. Teela.

IV

Caly kolejny dzien spedzam na kontemplacji wlasnej dloni u boku mojej dziewczyny, Emily Brosewiser, tej, o ktorej blond wlosach, soczystych ustach, namacalnym usmiechu i wilgotnym powabie juz wczesniej wspominalam. (Moje porownania staja sie tak plodne, ze wydaje mi sie, iz wolalbym raczej byc zakochany w jakimś owocu czy nawet warzywie).

Siedzimy na pokrytej porostami lawce w parku San Matador. Obejmuje ja ramieniem, rownoczesnie przygladajac sie kaczkom krzyzowkom nurkujacym w poszukiwaniu pozywienia w metach zascielajacych powierzchnie stawu. Usypia mnie zapach zielonej trawy i benzyny, zmieszany z upalem letniego slonca. Park wydaje sie wrecz zatloczony karlami – zbieraczami smieci uzbrojonymi w stalowe harpuny, pacjentami po lobotomii z pobliskiego szpitala, o spojrzeniach tak bezposrednich, jakbysmy byli kochankami; czy wreszcie tegimi i garbatymi osobnikami, ktorzy z polyskliwymi czerwonymi kosiarkami przechadzaja sie po tutejszych trawnikach. Oni wszyscy mnie rozpraszaja – sa bledna interpunkcja porozrzucana po nietknietej, dziewiczej kartce papieru.

Emily dostrzega w nich jedynie klaunowi traktuje mnie jako chorego. "Chory, chory, chory", tak mi powtarza. Jakze moglbym sie z nia nie zgodzic? Bije od niej tak swiezy i czysty zapach, a jej wlosy lsnia niczym odwirowane zloto.

–Zawsze tu przeciez byli, Nicholasie. To tylko ty jakos nigdy ich nie zauwazales. Dlaczego akurat dzisiaj mieliby miec jakiekolwiek znaczenie? Nie rozdrapuj tego. – Uderza mnie w dlon, ktora wybuchu pulsujacym bolem. – Dlaczego to cie tak opetalo? Masz dzisiaj wolny dzien, siedzimy sobie w parku, a ty wciaz nie potrafisz przestac o tym myslec, uwolnic sie od tego.

Emily pracuje w agencji reklamowej. Projektuje zdania, ktore maja za zadanie sprzedaz doskonalosci konsumentkiemu ogolowi. Zanim ja poznalem, dostrzeglem jej prace na billboardach porozstawianych na obrzezach miasta: "Odswiezacze powietrza Skuttles. Kupuj – my reczymy glowu, nie zawioda – wierz na slowo", czy "Pewnego dnia umrzesz i tak, lecz teraz kupuj, czego Ci brak – w Pasazu Mak". U dolu mozna bylo przeczytac zapisane drobnym drukiem: "Pomysl: Emily". Nie mialem w owym czasie dziewczyny na stale, zadzwonilem wiec do producenta billboardow i dzieki niemu, po nitce do klbka, dotarlem do agencji reklamowej, w ktorej pracowala, i umowilem sie na randke. Jej spodobala sie moja kolekcja zdan erotycznych i zaprezentowana przez mnie zrecznosc manualna. Ja natomiast polubilem jej delikatna pajecza linie wloskow biegnacych po przedramionach oraz krzywizne piersi zakonczonych malutkimi, rozowymi sutkami.

Ale jej zdania staly sie dla mnie zbyt przestarzale i staromodne, tak bardzo pozbawione wdzieku i uroku, zbyt nastawione na manipulacje ludzmi. Jak jednak moglem oczekiwac od niej czegokolwiek innego, biorac pod uwage charakter branzy, w ktorej tkwila?

Odpowiadam więc tylko: "Tak, skarbie", po czym wzdycham i znow zaczynam przypatrywać się własnej dłoni. Emily jest zawsze taka rozsądna. Zawsze ma racje. Ale nie jestem pewien, czy mnie rozumie. Zastanawiam się, co pomysłaby sobie o moim wspomnieniu dotyczącym tego luku nieba, rozposcierającego się nad moją głową w zapadającym mroku, gdy morze szumiało mi zewsząd, raz za razem uderzając falą o brzeg. Jakos zbyt nie sprzeczała, gdy nalegałem, byśmy mieszkali osobno.

Okrag roku rany na dłoni przeszedł w biel. Jestem zafascynowany sposobem, w jaki zmarszczki przechodzą w siebie. Odbieram te blizny jako malutką rysę, pęknięcie.

Emily chichocze.

–Nicholas, kiedy tak tu siedzisz z tym zauroczonym wyrazem twarzy, jesteś tak słodko głupiutki. Każdy, kto spojrzałby na ciebie, mógłby pomyśleć, że właśnie poroniles.

Zastanawiam się, czy z naszym związkiem jest wszystko w porządku. Jego pustota zdaje się dorównywać tej tak bardzo bliskiej mi z czasów, gdy byłem sierota. Poza tym wyraz "poroniles" jakos nie wydaje mi się szczególnie odpowiednim i prawidłowym logicznym przeskokiem, dotyczącym opisu wyglądu mej twarzy. Oczywiście sam również nie jestem w stanie wymyślić właściwej obrazy, przez którą mógłby przeskoczyć ten pieśń składni, wciąż jednak...

Wracamy. Każde do swego mieszkania. Wszystko, o czym jestem teraz w stanie myśleć, to karły, garbusy, kaleki. Zasypiam i snia mi się karły, zdeformowane i złosliwe, ze złowieszczymi szparami zamiast uśmiechów. Kiedy się budzę, wpada mi do głowy najbardziej niezwykła myśl. Wspominam ciężar ciała karlicy, stojącej u mego boku, gdy wbijała mi srebro w dłoń. Przypominam sobie jej zapach – słodki i przesywający niczym kapryfolium – dotyk jej dłoni, jej niesamowicie szczupłych i gietkich palców, ciała skrywanego pod ubraniem. Sposób, w jaki te fragmenty nie pasują do siebie i nigdy nie będą przystawać, równocześnie stanowiąc w jakiś sposób jedność.

V

Gdy następnego ranka docieram do pracy, na moim biurku czeka już na mnie najbardziej osobliwe zlecenie, jakie kiedykolwiek otrzymałem. Tak osobliwe, że zapominam o zranionej dłoni. Mam napisać zdanie o karle. Kierownik zostawił mi notatkę, że jest ono w zasadzie "na wczoraj". Pozostawił też zdjęcia, serie wycinków prasowych oraz fotokopie stron z pamiętnika. Pierwszy akapit leżący na wierzchu artykułu, wstrzasającego przykładu dziennikarskiego rzemiosła, brzmi następująco: David "Karli" Jones, 135 centymetrow wzrostu, zył, by płonąć, zył, by poświęcano

mu uwage. Czy to polykajac ogien w wesolym miasteczku, zabawiajac publike chodzeniem boso po szkle, czy tez pozwalajac soba ciskac podczas zawodow w rzucaniu karlami. Zawsze pragnal znajdowac sie w swietle reflektorow. W ubiegla niedziele odszedl jednak w ciemnosci. Zapijajac sie na smierc. Badania wykazaly w jego krwi poziom alkoholu rzędu 4,3 promila, 4-krotnosc ilosci, przy ktorej kierowca zostalby oskarzony o prowadzenie pojazdu w stanie nietrzezwym.

Podnosze lezaca na szczycie stosu dokumentow kolorowa fotografie wykonana na blyszczacym papierze. Przedstawia Jonesa na tle towarzyszacego cyrkowi wesolego miasteczka. Zdjecie jest przeswietlone, oczy karla lsnia na nim czerwonymi kropkami znad wijacych sie w grymasie polusmiechu warg. Z kazdej strony stoi przy nim olsniewajaca laska z blyszczaca gora bikini przycisnieta do jego twarzy. On sam wpatruje sie wprost w obiektyw, lecz laski wpatruja sie w niego, jakby byl jakimś cyrkowym bogiem wesolych miasteczek. Swiatlo na zdjeciu zalamuje sie wokol jego kreconych brazowych wlosow, lecz nie na jego ciele, jak gdyby reflektor wycelowano wprost w niego. Stoi na drewnianym pudle, obejmujac dziewczeta ramionami.

Czas wyzwalcza jest za krotki, by mozna bylo uchwycic szalencze wirowanie siedzen diabelskiego kola widocznego tuz za jego plecami, tak wiec swiatlo rozlewa sie na oslepiajacy blichtr lasek, na rowki miedzy ich piersiami. Za diabelskim kolem przetaczaja sie rozmyte piaszczyste wydmy, a jeszcze dalej, w dolinie pomiedzy wydmami, mozna dostrzec przypominajace zmruzone oko morze.

Zdjecie jest marnej jakosci. Kiedy przygladam mu sie blizej, dostrzegam cienka warstewke potu oblewajaca twarz Jonesa; dostrzegam jego wypieki. Piasek klei mu sie do napietych ramion i czola. Linie oczu, nosa i ust zdaja sie wykonane weglem drzewnym. Sa ledwie pierwszym, surowym i pospiesznym szkicem.

Odwracam fotografie i spogladam na jej odwrot. W prawym gornym rogu ktos napisal: "David Jones, wrzesien 19 – Zadziwiajacy Cyrk i Nadmorska Karnawalowa Ekstrawagancja Braci Mango. Sprzatal klatki ze zwierzetami i za 50 centow ciagnal za Wielkim Namiotem".

Jones to zwierze i brutal. Nie chce miec z nim nic wspolnego. Mimo wszystko musze jednak napisac o nim zdanie, bo tego wymaga ode mnie klient, ktorego nigdy nawet nie zobacze na oczy. Musze uchwycic Davida Jonesa w jednym zdaniu.

Czytam reszte artykulu, po kawaleczku, z przerwami. W swym najbardziej kontrowersyjnym zajeci, ignorujac wszelka krytyke, Jones opinal sie zmodyfikowana psia uprzeza, a nastepnie pozwalal barczystym i silnym facetom rzucac soba przez sale podczas wielce naglosnionych zawodow w ciskaniu karlami, organizowanych w pubie Pod Krolewska Glow. "Jestem slusarzem, co moze byc niebezpieczne. A jako ze sa oni rowniez czesto zwalniani z pracy, dorabiam sobie w cyrku. Polykam ogien, chodze boso po rozbitym szkle. Wspinam sie po drabinie z

ostrzy mieczy, klade na nabitym gwozdziami lozu fakira i pozwalam jeszcze wtedy stawac na sobie wysokim ludziom. To latwizna w porownaniu z tym, co musze robic na co dzien".

Wiele godzin schodzi mi na probach stworzenia zdania. Mimo stale wlaczonych, powolnie obracajacych sie wiatrakow klimatyzacji pot zaczyna mi sciekac po szyi. Nie przerywam i pracuje podczas przerwy na lunch, rozpraszany jedynie obecnościa karla zonglera (wykonujacego swa sztuczke przy uzyciu szesciu nozy i dziecka), ktory wywalczyl sobie krag wolnej przestrzeni od grupy samotnych mimow i ulicznych muzykow.

Zaczynam prosto.

Zycie karla okazalo sie tragiczne.

Nie, nie tak.

Zycie Davida Jonesa bylo tragiczne.

Zle.

Zycie Davida bylo niepotrzebnie tragiczne.

Niepotrzebnie tragiczne? Tragedia nie marnuje czasu na tego typu dylematy i watki poboczne. Zycia czlowieka nie mozna zredukowac do lacinskiej w stylu, jednowersowej sentencji czy tez haiku skladajacego sie zaledwie z jedenastu sylab. Jak mam sie zidentyfikowac z Davidem? Czy kiedys mieszkal moze w sierocincu? Czy znalazl sie kiedys, podobnie jak ja, na plazy po smierci rodzicow, ktorzy na zawsze mieli juz zniknac z jego zycia? Jak trudne moglo byc jego zycie? Zycie czlowieka anomalii, czlowieka niepasujacego do ogolu, bledu natury?

Nagle moja wyobraznia uwalnia zamki strzegace dostepu do zdania skrywajacego sie w jakiejś utajnionej, odleglej przegrodce umyslu:

David opuscil swe cialo w sposob tragiczny.

I znow, po raz kolejny, zaczyna mnie rozpraszac moja zraniona dlon, ale nie az tak bardzo. Dostrzegam wszelkie niedoskonalosci zycia Davida, a dziwnym trafem nie wydaja mi sie one tak ohydne jak wczesniej. David moze i byl ohydny, ale ja taki nie jestem.

Kiedy wracam samochodem do domu w kwasnym i zdlawionym wyziewami z rur wydechowych swietle zmierzchu, podziwiam deby rosnace po obu stronach bulwaru. Sa powyginane wiatrem, pozwijane, a mimo wszystko o wiele silniejsze i bardziej kojace dla oka niz wykalaczki sosen czy proste druty swierkow.

VI

Moje rośliny, pod sztandarem dwutlenku węgla, nawozu i fotosyntezy, podbiły już całe mieszkanie. Pozwalam im panoszyć się i wędrować niczym jakimiś zalotnym mutantom, odrzutom z filmów klasy B z lat 50. Równocześnie dają mi pewność, że Emily nigdy długo nie zagrozi w moich progach. Fioletowo-zielone meczennice, wręcz ociekające zapachem seksu, swymi delikatnymi wiciami kochają się z kanapą. Tu i owdzie błyszczą rozpryski czerwieni bugenwilli, kołyszącej i oplatającej kuchenny stół, by następnie odpelznąć ku lodowce, gdzie przy chrobotliwym dźwięku kolców swych pedów roślina chwytą i owijają się wokół drzwiczek. Razem z inwazją roślin w moje progi zawitali padlinozercy, gekony albinosy przypominające kleby rtęci czy białej czekolady. Nie mam jednak siły, by usunąć je z mieszkania.

Brak mi siły, siedzę w fotelu, w samej tylko wyblakłorozowej bieliznie; kolor ten zawdzięczam kapryśnym permutacjom cyklu prania. Czytam przy niebieskiej poświacie wyciszzonego ekranu telewizora.

David dorastał w Dalsohme, gwarnym, lecz pozbawionym większego znaczenia miasteczku portowym nad samą zatoką tuż przy ujściu rzeki Moth. Jego rodzice, Jemina i Simon Pultin, zarabiali na życie, obwoząc swą płaskodenną łodzią wycieczki po bagnach. Simon rozważał zainstalowanie w niej szklanego dna, co miałooby niby przynieść zwiększenie dochodów, ale Jemina upierała się, że nikt o zdrowych zmysłach nie będzie chciał przyglądać się metnej wodzie pod mikroskopem. Zamiast tego zaczęli sobie dorabiać połowem zebaczy i krewetek. David był niezły w łowieniu zebaczy, ale Jemina i Simon woleli, by długim, prostym drakiem sterował łodzią, bowiem kiedy tylko pojawiał się na pokładzie, turyści z otwartymi ustami gapili się na niego niemal równie często jak na rozciągające się wokół krajobrazy. Jemina wpadła więc na pomysł zwiększenia ruchu w interesie, nie ulegając pomysłowi meza ze szklanym dnem. Niektóre z przekazanych mi przez Kierownika dokumentów sugerowały wręcz, że Simon zaadoptował Davida wyłącznie po to, by zyskać sternika. Nie odnalazłem żadnego zapisu mowiącego, co też myślał o tym sam David. Wiadomo jednak, że gdy tylko skończył piętnaście lat, "uciekł z domu i przyłączył się do cyrku". Robił wszystko, co konieczne, by przeżyć w trasie objazdowej, łącznie z meską prostytutką, ale najwyraźniej nigdy nie odłożył wystarczającej sumy pieniędzy, by rzucić to w cholere. Mimo iż z biegiem czasu formułowane przez niego koncepty stawały się coraz śmielsze i bardziej złożone. "Większość niskich ludzi uważa, że świat jest im coś winien z powodu ich niewielkiego wzrostu. Większość z nich wbija sobie do głowy, że powinni być traktowani w jakiś szczególny sposób. Coż, świat nic nie jest nam winien. Bog chce, byśmy mieli pod gorke. I tylko do tego się to wszystko sprowadza".

Wkrótce słowa zaczynają mi się rozmywać na stronie. W matowej, bladej, niebieskozielonej poświacie telewizora rana na dłoni wydaje się mniejsza, za to jakby

bardziej zbita i poryta, niczym zywy, biologiczny odpowiednik Kamienia z Rosetty. Mimo to swedzenie z dnia na dzien staje sie coraz intensywniejsze. Narasta i ogrania coraz wkszy obszar ciala, w podobny sposob, w jaki rosliny opanowaly moje mieszkanie. Pochlania mi szpik kostny i czuje, jak infiltduje miejsce stanowiace schronienie mej duszy.

Tej nocy snie o tym, ze wszyscy ludzie sa "czysta energia". Obrazy w mym snie przypominaja te pochodzace ze starych telewizyjnych filmow o podrozach w kosmos – podrozach niemajacych byc czescia naszej swietlanej przyszlosci. Podroze wykonywane w tych filmach oparto na dykcie i kleju. To ograniczenia budzetu wymuszaly uzywanie w nich czystej energii jako substytutu makijazu i prawdziwych kostiumow. Snia mi sie takie obcujsze ze soba zolte sfery swiatla. Obcujsze umysl z umyslem, dusza z dusza. Sni mi sie swiat bez uprzedzen, poniewaz zaden z ludzi nie posiada w nim ciala. Ciala mogacego klamac otaczajacemu nas swiatu na temat naszej natury, tego kim naprawde jestesmy.

VII

W dniu, w ktorym moi rodzice zostawili mnie i wyplyneli w morze, zimowe niebo lsnilo biela porcelany na tle szaroblekitnej wody. Zimno draznilo mi palce rak, wysuszajac je. Moj ojciec zdjal rekawiczke wykonana z cieplej skory, by ujac moja dlon; jego wlasna wciaz byla spocona od ciepla panujacego we wnetrzu rekawiczki. Ciezar masywnego, cieplego ciala ojca zakotwiczal mnie na wietrze, kiedy tak szlismy w kierunku przystani i oczekujacej przy niej lodzi rodzicow. Ponad masztami statku morskie ptaki o pulsujacych czerwonych gardlach pozwalaly sie unosic i popychac powiewom wiatru, az wydawalo sie, ze juz nie leca, a jedynie nieruchomo tkwia w powietrzu.

Moja matka szla przy nas, silnie dociskajac dlonia kapelusz do glowy. Poly jej plaszczka z baraniej skory lopotaly na wietrze, co rusz ocierajac sie o moja kurtke. Roztaczala wokol siebie podazajacy jej sladem intrygujaco swiezy, czysty zapach, przypominajacy miete albo wanilie. Gdy wciagalem go w nozdrza, zimno na krotka chwile wycofywalo sie stamtad.

–To nie potrwa dlugo – powiedzial mi ojciec. Jego glos przedzierał sie do mnie, zstepujac w moim kierunku przez warstwy zimna i wiatru.

Zadrzałem i jeszcze mocniej scisnałem jego dlon.

–Wiem.

–To dobrze. Badz dzielny.

–Dobrze.

Matka dodala wtedy:

–Kochamy cie. Kochamy cie i chcielibysmy, zebys z nami poplynal. Ale to wyjatkowo dlugi i ciezkci rejs, na ktorym nie ma miejsca dla malego chlopca.

Matka nachylila sie, by mnie pocalowac, i poczulem na skorze policzka rozblysk zimna. Ojciec przykleknal, chwycil mnie za dlonie i zmierzyl od stop do glow swymi kamiennoszarymi oczami. Przycisnal mnie do siebie tak mocno, ze zgubilem sie w jego wiatrowce, niemal zapadlem w jego klatce piersiowej. Czulem, jak drzy, podobnie zreszta jak ja.

–Boje sie – wyszeptalem.

–Nie ma powodu do obaw. Wkrotce wrocimy. Wrocimy po ciebie. Obiecuje.

Nigdy tego nie zrobili.

Z usmiechem przymarznietym do twarzy przygladalem sie, jak wchodza na poklad. Mam wrazenie, ze stalem na molo bardzo dlugo. Stalem i nie spuszczałem wzroku z ich wielkich, lapiacych wiatr zagli, ktore powoli odsuwaly moich rodzicow w kierunku falowan horyzontu, az na powiekach i ubraniu nawarstwilo mi sie pelno platkow sniegu, a zimne powietrze zaczelo wgryzac sie miedzy lopatki.

Nie pamietam, kto mnie stamtad zabral, ani tez jak dlugo tak naprawde tkwilem tam w bezruchu. Nie jestem nawet pewny czy to prawdziwe wspomnienie, lecz trzymam sie go kurczowo.

Pozniej, kiedy juz dowiedzialem sie, ze moi rodzice zgineli w katastrofie morskiej, kiedy zrozumialem, co to oznacza, odnalazlem miejsce polozone jak najdalej od morza, by tam wlasnie osiasc.

VIII

W biurze mam multum pracy, co pozwala mi zapomniec o dloni. Przez dlugie minuty wpatruje sie we wlasnie zapisane w notatniku zdanie:

David opuszczal swe cialo.

Co ono znaczy?

Odrzucam je, ale i tak nieprzerwanie unosi mi sie gdzies na peryferiach mysli, rozpraszajac i uniemozliwiajac dalsza prace. Wreszcie przedziera sie zdaniem opisujacym smutek kobiety opuszczonej przez wybranka, ktora czuje, ze wcale nie ubywa jej lat: Lka niekonczacym sie deszczem poznej zimy, bez namietnosci czy

chociażby nadziei na nadejście ulgi, gdyż pozostał jej ledwie szum powolnych łez.

Kiedy je zapisuje, zaczynam płakać, a wstrzasające moim ciałem łkania wywołują ból gardła i pieczenie oczu. Moi współpracownicy spoglądają na mnie i wzruszając ramionami, wracają do pracy. Ale nie płaczę dlatego, że udało mi się stworzyć zdanie zbyt idealne i doskonale. Płaczę, bo zawarłem w nim coś, czego nigdy nie powinienem był ujmować w żadnym zdaniu. Jakże mój klient mógłby wymagać ode mnie pisania takich rzeczy?

IX

Emily odwiedza mnie podczas przerwy na lunch. Często przychodzi do mnie w ciągu dnia, lecz obecnie nocami nasze drogi nieustannie się rozmiągają. Czasem, jak sądzę, rozmyślnie.

Idziemy do tego samego parku co zawsze, ale tym razem oboje czujemy się w nim nie na miejscu, gdyż jesteśmy tam w mniejszości. Gdziekolwiek spojrzę, widzę karłów podających na lunch, karłów prowadzących samochody, karłów naprawiających ławki parkowe. A każdy z nich jest niczym niepowtarzalną linią papilarną, każdy jest tak unikalny, że w porównaniu z nimi Emily zdaje się zupełnie przeciętna i bezbarwna.

–Cos się z tobą stało. – Mówiąc te słowa, spogląda mi w oczy, a ja odczytuję w nich pewną szczególną wrażliwość.

–Cos się ze mną stało. Zraniono mi dłoń.

–Tu nie chodzi o ranę. Chodzi o rośliny, które wymknęły ci się spod kontroli. Chodzi o nasz seks. O wszystko. Zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja.

Emily ma zawsze rację, zawsze jest tak precyzyjna, tak dokładna. Zaczynam już czuć zmęczenie całą jej doskonałością. Czuje, jak coś we mnie peka.

–Nic nie rozumiesz – stwierdzam.

–Rozumiem, że nie jesteś w stanie wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności. Rozumiem również, że masz problemy z naszym związkiem.

–Pogadamy później – rzucam. Wstaje i odchodzę, zostawiając ją siedzącą na ławce, zdumioną, że słowami zamaryłymi w gardle.

X

Po lunchu odnośzę wrażenie, że wiem, gdzie leży moje sedno. Tajemnica tkwi w

zdaniu, które mam stworzyć dla Davida Jonesa. A tkwiac w tym zdaniu, równocześnie tkwi i we mnie. Ale nie chce pisać niczego doskonałego. Po prostu nie chce. Chce tworzyć bez zabezpieczeń i hamulców. Chce pisać ostro, prymitywnie, emocjami, które kłują, słowami, które zwisają nad bezdenną przepascią. Chce odnaleźć własną drogę prowadzącą mnie z powrotem nad morze, tam, gdzie mrok nocy powoli zapadał nade mną, a słony zapach wypełniał mi nozdrza. Chce wrócić do chwili, która istniała, nim jeszcze dowiedziałem się o śmierci rodziców. Nim jeszcze się narodziłem.

David Jones odnalazł swój sposób. Jeśli człowiek wypije za dużo alkoholu, jego ciało zmusza żołądek do zwrocenia wlanego w siebie nadmiaru, nim ten osiągnie poziom śmiertelny. Jones nie wymiotował. Podczas snu wypity alkohol powoli przeniknął do jego krwiobiegu, doprowadzając do śmierci.

Moje drżące palce chcą nedorzecznie gryzmolić, bładzić, przedzierac się i przetaczać przez złożone petle i ślepe uliczki języka. Bądź też brnąć w zdania samobójcze, wyrażające sentyment prowadzący od "niemal martwy" do "zdecydowanie nieżywy". Zamiast tego zapisuje:

Już od dnia narodzin David uczył się, jak opuścić swe ciało.

Nie wydaje mi się, by zdanie to było jakos szczególnie bliskie wielowarstwowej prozie. Nie ma w nim ani krzty jakiegokolwiek subtelności. Ale teraz mogę wreszcie poczuć uderzenia morskich fal i wabiący mnie smród owoców meczennicy.

Emily dzwoni, nim wychodzę do domu. Nie odbieram telefonu. Zbyt pochłania mnie poszukiwanie odpowiedzi na następujące pytanie: kiedy moi rodzice zaczęli sobie zdawać sprawę, że mogą zginąć? Kiedy dokładnie zaczęli myśleć o mnie, gdy wiatr i woda spiskowały, by zabrać ich ze sobą? Żałuję, że nie było mnie z nimi, że nie siedłem w ich ramionach na dno, kiedy woda wypełnia usta niczym ambrozją.

XI

Kiedy otwieram drzwi do mieszkania, dochodzi mnie chrobot setek lepkich palców. Powierzchnia lodowki wibruje i drga mlecznobiałym ruchem na tle ciemnozielonych liści. W kolejnej sekundzie dostrzegam, że po kretym i wijącym się polyskliwym tancu gekonów pozostała jedynie biała farba, gdy te, w doskonałym kamuflażu, rozbiegły się w poszukiwaniu kryjówki. Otwieram lodówkę i wyciągam z niej schłodzone wino. Moje stopy z chrzestem deptają setki zalegających podłogę skorozrzuconych przez liniejące gekony. Dochodzący do mnie dźwięk przypomina ten wydawany przez zeschnięte liście lub kruche poczwarki cykad.

W samej bieliznie siadam w fotelu i po raz kolejny w zbawiennej poswiacie z ekranu telewizora uważnie przypatruję się swojej ranie. Zagoiła się niemal tak doskonale, że

ledwie jestem w stanie ja dostrzec. Swedzenie natomiast nasililo sie i odczuwam je niemal wszedzie, w calym swoim wnetrzu. Moje zainteresowanie dlonia to zaslug jedynie owych wyjatkowo subtelnych niedoskonalosci: gradacji kolorow, elastycznej chropowatosci, zadrapan pozostawionych przez kota Emily.

Wchodze do sypialni. Klade sie w lezacej na lozku poscieli. Wyobrazam sobie wpadajacy przez okno powiew slonej morskiej bryzy. Gwiazdy przypominaja odlamki poszczerbionego szkla i tylko czekaja, by runac w moim kierunku. Nie mogac zasnac, rzucam sie na lozku. Leze na brzuchu. Po chwili klade sie na boku. W poscieli, pod ktora leze, jest mi za goraco, lecz kiedy ja zrzucam, zaczyna dawac mi sie we znaki przenikliwy chlod. To, co wypilem przed godzina, zalega mi na zoladku niczym gladki, bolesny kamien.

Wreszcie zimno sprawia, ze zapadam w polsen, w ktorym podpieram sie sennie na poduszce. Z zewnatrz od strony okna dochodza mnie odglosy i blyski swiatla, mogace pochodzic od wznoszacego sie i opadajacego diabelskiego kola. Jednak nie wstaje.

A wtedy on pojawia sie u stop mego lozka i stoi tam z wbitym we mnie wzrokiem. Zimna niebieska poswiata otula jego cialo, jak gdyby przypalala go luna ekranu telewizora. Marmurowy odlew jego twarzy jest niemal rownie perfekcyjny jak wiekszosc najdoskonalszych zdan, ktore kiedykolwiek udalo mi sie zapisac w mym zyciu. Jego oczy sa tak smutne, ze nie jestem w stanie spojrzec mu w twarz, nie jestem w stanie napotkac jego wzroku. Ta twarz nosi w sobie slad wszystkich przezytych lat bolu, lat pragnien, by opuscic swe cialo. By pozostawic je za soba. Mowi do mnie, a choc nie jestem w stanie go uslyszec, wiem, co chce mi powiedziec. Znow placze, tym razem lagodnie, cichutko, delikatnie. Glosy dobiegajace z ulicy staja sie coraz glosniejsze, a dzwiek dzwoneczkow stopniowo niknie w ciszy.

Wtedy wlasnie zrzucam ze swego wielkiego ciala swa wielka skore, moje olbrzymie dlonie, moj niezgrabny wzrost, by u boku Davida Jonesa wyjsc z tego mieszkania i dolaczyc do karnawalu, ktory nad brzegiem morza trwa w swietle ksiezycy. Gdzie nie jestesmy w stanie nikogo zranic. I gdzie nikt rowniez nie moze zranic nas samych. [Fragmenty artykulow pochodza z doniesien prasowych Michaela Koretzky'ego, opublikowanych w "The Independent Florida Alligator", oraz Ronalda DuPonta Jr. z "The Gainesville Sun", 1988-1989].

GLOSARIUSZ AMBERGRIANSKI

–AAANDALAY. Wyspa bedaca mityczna ojczyzna aanskich plemion pirackich. Zgodnie ze snuta przez nie opowiescia, w zamierzchlych czasach Polkule Poludniowa zajmowala pojedyncza masa ladowa – Aandalay – zamieszкана wylacznie przez szczesliwe, milujace pokoj Dzieci Aan. Dopiero w wyniku wielkiego kataklizmu –

ktorego istota z jednej opisujacej go historii na druga rozni sie bardziej niz pogoda w tamtym zakatku swiata – rozpadla sie ona na tysiace fragmentow, co wywolalo u jej mieszkancow wojenne ciagotki, gdzy kazdy z odlamow byl swiecie przekonany, ze to na nim wlasnie ciazy odpowiedzialnosc za poprowadzenie aanskich plemion ku zjednoczonej Aandalay. Co za tym idzie, piractwo zyskalo usprawiedliwienie jako misja majaca na celu odzyskanie jednosci ojczyzny. Niektorzy z Aancykow zaatakowali nawet lad kontynentu, upierajac sie, ze jest on zaledwie olbrzymim odlamkiem powstałym podczas podzialu ich ukochanej wyspy Patrz rowniez: kalendarz kalabrianski. ABRASIS, MICHAEL. Pierwszy naczelny bibliotekarz Biblioteki Pamieci Manzikerta. Obecnie znany glownie dzieki nagromadzonym za zycia zbiorom literatury i litografii o charakterze erotycznym. Po smierci – do ktorej doszlo podczas snu – wyniesienie z mieszkania ciala Abrasisa okazalo sie poczatkowo zadaniem niewykonalnym z powodu olbrzymich stert pornografii blokujacych jedyna droge z lozka do drzwi wejsciwych. Do wyjatkowo zagadkowych kwestii nalezy tu fakt, ze przybyli na miejsce krewni Abrasisa, chcacy zabrac pozostawiony przez niego dobytek, zastali mieszkanie ogolocene do czysta. W wolnym czasie Abrasis zajmowal sie rowniez hodowla kababari, ktore dosc czesto zdobywaly najprzerozniejsze laury w konkursach. Patrz rowniez: Biblioteka Pamieci Manzikerta; kababari. ALFAR. Ruiny. Nie liczac Zamilonu, jedyny znany przyklad charakterystycznego stylu architektonicznego przypominajacego budowie szarych kapeluszy. Wikszosc znajdujacych sie w Alfar i Zamilonie obiektow stworzono w formie okregow, zawartych wewnatrz innych okregow. Wspomniane powyzej budowle sa niewiadomego pochodzenia, lecz wsrod miejscowych pasterzy (w obu miejscach) krzy jeszcze inna, osobliwa opowiesc: otoz czasem noca Alfar i Zamilon Isnia opalizujacym zielono-czerwonym blaskiem, rozprzestrzeniajacym sie i narastajacym tak powoli, ze poczatkowo obserwatorzy tego zjawiska nie sa w ogole w stanie wychwycic tych zmian, jednak koniec koncow nie moga watpic swiadectwu wlasnych oczu. Powyzsze stwierdzenia nie zostaly jeszcze niezaleznie od siebie potwierdzone, nikt rowniez nie wpadl na pomysl, by owe chwile pojawiania sie i trwania "erupcji" koloru porownac ze soba pod wzgledem czasowym. Co tez mogloby wynikac z faktu, ze oba miejsca jasnieja dokladnie w te same noce? Patrz rowniez: Busker, Alan; Nysman, Michael; Zamilon. AMBERGRIANSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE. Kompletne przeciwienstwo Towarzystwa Ambergrian dla Rdzennych Mieszkancow Miasta. Szczytem przygod, jakie kiedykolwiek dotknely te grupke, okazala sie niedogotowana fladra na jednym z ich corocznych balow, ewentualnie sporadyczne naciecia skory papierem (o, slodka, czerwona ulgo rozpraszajaca chwile nudy!) przy otwieraniu korespondencji nadeslanej przez rownie bezbarwnych nudziarzy zamieszkalych w Morrow czy Stockton. Patrz rowniez: Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkancow Miasta. AMBERGRIS. Ambra. Substancja, ktora mozna znalezc na brzegu morza. W miejscowym folklorze powszechnie uwazana za "morskiego grzyba". W rzeczywistosci jest wytworem jelit wieloryba i powstaje w nich tylko wtedy, gdy w organizmie tego wielkiego ssaka znajduja sie czesciowo przetrawione dzioby kalamarnic. Od wiekow poszukiwana przez wielorybnikow, gdzy

używa się jej zarówno do produkcji perfum, jak i jako afrodyzjaku czy nawet ludowego leku. Jednakże od chwili założenia miasta jej popularność dramatycznie spada. Prędzion Truffidianski zarzucił swój zwyczaj namaszczenia przed świątecznymi kazaniami uszu, brwi i pach tynkturą ambry. Również i Kalif nie spożywa obecnie surowej ambry, mającej symulować jego męskie siły witalne, gdyż zastąpiły ją żywe ślimaki. Samce szczurów nieodmiennie jednak wpadają w szal chuci, gdy tylko wyczują jej zapach. Patrz również: Kalif; szczur księżykowy; szczury. ARCYKSIAŻE BANFOURS. Najbardziej znany z tego, że był pierwszym władcą, który doprowadził do ostrzału Ambergris kanonadą z armat, po czym rządził miastem dokładnie przez dwadzieścia jeden dni. Wtedy to bowiem arcyksięciu, siedzącemu w otoczeniu strażnicy przybocznej w jednej z przyulicznych kawiarenek na świeżym powietrzu, jeden z kelnerów od niechcienia i bez najmniejszego problemu poderżnął gardło. Zabójstwo to wydaje się nie mieć żadnego szczególnego motywu, nie licząc pospolitej, tak głęboko zakorzenionej w mieszkańcach miasta wyjątkowej niechęci do natretów z zewnątrz. Patrz również: Okupacja. ARCYKSIAŻE MALIDU. Dawno, dawno temu, gdy arcyksiążę Malidu był jeszcze małym chłopcem, zwykł torturować owady i niewielkie zwierzątka. Prowadził wówczas dzienniki, w których szczegółowo opisywał swe wyczyny i którym udało się przetrwać do naszych czasów (właśnie z powodu tych bardzo szczegółowych opisów stanowią dziś dość szczególne źródło zainteresowania dla wszelkiej masy zbieraczy owadów i wypychaczy zwierząt). Początkowo ojciec księcia przyklaskał jego pracowitości i pilności, przejawianej w prowadzeniu zapisków w dzienniku. Bez wątpliwości miał jednak zgola odmienne zdanie, gdy przeczytał na własne oczy – odrobine jednak za późno – na stronie 203 następującą notatkę: "Przypis na później: ponad blankami murów obronnych nabita na wlocznie zakrwawiona głowa mego ojca". Patrz również: myszów słonowodny; Szare Plemiona. AUTARCHA NUNKU. Postać historyczna, najszerzej jednak znana – zarówno dzieciom, jak i dorosłym – jako radosny głupiec, bohater nunkowych wierszyków autorstwa Vossa Bendera, wśród których można odnaleźć chociażby następujące strofki: "Ten autarcha Nunku/Nie krzyczał – Ratunku!/Gdy moc słuszną go mroczyła/Na pysk padał w brudne wyra", czy też: "Ten autarcha Nunku/Z hobby niegodnym szacunku/W śmieciach miłość jego wielka/Wszystkie kitrał do kuferka". Niektórzy krytycy narzekali, że mniej znana osobistość niż Bender nigdy nie byłaby w stanie wydać tak banalnej częstochowszczyzny, lecz ilustracje Kinsky'ego, zdobiące zbiorowe wydanie tych dziełek, z nawiązka rekompensują wielce uproszczoną poezję. Zupełnie niedawno, w niewielkiej stercie papierów odnalezionych po śmierci Michaela Abrasisa i przekazanych Bibliotece Pamięci Manzikerta, archiwisci odkryli całkowicie od nich odstający zbiór nunkowych wierszyków, w swej treści wyraźnie bardziej skierowanych do czytelnika dorosłego, jak wskazują chociażby poniższe wersy: "Ten autarcha Nunku/Był mistrzem fechtunku/Lecz cierpliwie wszem skora/Gdy kisil ogora" (choć niektórzy historycy są świeżo przekonani, że jest to jednak aluzja do jego jak najbardziej kuchennych umiejętności). Patrz również: Abrasis, Michael; Bender, Voss. AZYL. Miejsce, zwykle kontrolowane przez Hoegbottona i Synów, gdzie

znuzony podrozny moze szukac schronienia na czas Festiwalu Slodkowodnych Kalamarnic. Wiekszosc azylow ofiarowuje swym tymczasowym mieszkancom drobne zestawy bezuzytecznych produktow i informacji, ktorych zadaniem jest zlagodzenie ich przerazenia. W sklad takiego pakietu wchodzi zazwyczaj mdle i pozbawione smaku "opowiadanie" festiwalowe. Patrz rowniez: Verden, Lois. EKSPONAT 1: REPRODUKCJA KLASYCZNEGO LISTU POWITALNEGO AZYLU, DOLACZANEGO DO FESTIWALOWEJ OPOWIESCI SPORLENDERA VERDENA PT. WYMIANA. – BBANKIERZY WETERANI. Sekta skladajaca sie z najbardziej przerazajacych zwolennikow Trilliana, zawdzieczajaca swe powstanie rabunkom i napasciom, do ktorych dochodzilo na traktach. Rozwoj klasy kupieckiej spowodowal bowiem koniecznosc fizycznego transportu wielkich sum pienieznych pomiedzy poszczegolnymi miastami. Wedlug zasad podobnym transferom kazdorazowo musial towarzyszyc przedstawiciel banku. Jednakze pierwsze proby nieodmiennie konczyly sie katastrofalnie. Po wielu latach nieustajacych napasci na takie "przekazy pieniezne", badz tez placenia za to, by ich uniknac, postac przedstawiciela banku powoli ewoluowala z popychacza papierkowej roboty do zaprawionego w bojach weterana. I kiedy dzieki systemowi bankowemu wladze w Ambergris przejal Trillian, przedstawiciele bankowi stali sie potezna i budzaca przestrach profesja, slynaca ze swych uslug ochroniarskich. To wlasnie Trillian ochrzcił ich mianem Bankierow Weteranow, a nastepnie wykorzystal do konsolidacji swego panowania nad miastem. Mieli rowniez zaslugi w odpieraniu nieustannych atakow Kalifa. Jednakze koniec koncow, gdy z ich szeregow wykluczono kobiety, zostali wchloneci przez Ambergrianskie Sily Obronne. Kilka pan (w tym m. in. wybitna strateg Rebecca Gort, ekspertka w sprawach uzbrojenia Kathleen Lynch i mistrzyni szermierki Susan Dickerson) zalozylo wlasna siec bankow, wykupilo kilka pomniejszych spolek i przenioslo sie do Morrow, by stworzyc tam rdzen swej ochroniarskiej potegi, budzacej najwiekszy przestrach i przerazenie na calym kontynencie. Zas Ambergrianskie Sily Obronne wybito w pien podczas inwazji Kalifa. Patrz rowniez: Frankwrithe Gort, Marmey; Kalif; Okupacja; Trillian Wielki Bankier. BENDER, VOSS. Kompozytor oper, requiem, jak rowniez form pomniejszych, ktoremu udalo sie przelamac wlasny status ikony kultury, zostal bowiem politykiem i nieoficjalnym wladca Ambergris. Jego podejrzana i budzaca szereg watpliwosci smierc wywolala wojne domowa pomiedzy Zielonymi, najbardziej fanatycznymi zwolennikami jego osoby, a Czerwonymi, najbardziej zagorzalymi przeciwnikami. Zaslynal bezczelna i prowokujaca przemowa skierowana do baronow kupieckich, podczas ktorej mial rzekomo wykrzyknac: "Prawdziwa wartosc pieniadza tkwi w sztuce!". Sposrod wielu jego oper nalezy wymienic m.in. Tragedie Johna i Sophii, Krola w podziemiach, Hymny dla zmarlych, Zwiednieci niczym kwiat oraz prawdziwe arcydzieło – Trilliana. Napisał rowniez autobiografie Wspomnienia kompozytora, dzieło zawierajace szereg informacji o jego latach mlodzienczych. Patrz rowniez: Autarcha Nunku; Czerwoni; Polnoc Munfore'a; Zieloni. BIALY POLTONSKI WIELORYB BICHORALNY. Najinteligentniejszy ze wszystkich ssakow wodnych, czczony przez Kosciol Rybaka, ceniony rowniez przez samych zoologow. Procz tego posiadacz tak wielkiego mozgu,

ze az przekrzywia mu czaszke. Wieloryby te zawsze musza plywac ukosnie, z glowami spoczywajacymi na powierzchni wody i masywnymi pletwami ogonowymi bezustannie ubijajacymi za nimi wode. Gdyby przestaly plynac chociazby na chwile, ich masywna glowa sciagnelaby je na dno, doprowadzajac tym samym do utonienia. Z koniecznoscii gatunek ten zmuszony jest szukac pozywienia na powierzchni wody. Patrz rowniez: Kosciol Rybaka; ZOO Daffeda. BIBBLE, MAXWELL. Wlasciciel firmy zaopatrujacej restauracje, ktory w wieku 35 lat zmienil profesje i zostal krytykiem sztuki. Jego specjalnoscia bylo tworzenie glebokich psychologicznych profili artystow, opartych tylko i wylacznie na ich dzieiach. Najbardziej znany z blednych i niedorzecznych prob identyfikacji Martina Lake'a jako czlonka Kultu Kalamarnic. Przez pewien czas byl jednym z najbardziej wplywowych krytykow kojarzonych z Nowa Sztuka, mimo iz sami artysci tego nurtu niezbyt za nim przepadali. Dokonal swego zywota w ubostwie, uzywajac wlasnych recenzji, by podtrzymac plomien ogniska podczas jednego z dziwacznych i niespodziewanych napadow zimna, jakie zaatakowaly Ambergris. Rzezbierz William Blaze wykonal gipsowy odlew ciala Bible'a, poobklejal recenzjami autorstwa krytyka, a nastepnie wystawil tak powstale dzieio pod tytulem Wycienczenie krytycyzmu – rozbudzajac w ten sposob na nowo zainteresowanie pracami Bible'a. Patrz rowniez: Nowa Sztuka. BIBLIOTEKA PAMIECI MANZIKERTA. Przedziwnym jest fakt, iz zalozil ja nieudolny Manzikert III. On to bowiem polozyl kamien wegielny pod budynek majacy, zgodnie z zalozeniem, pomiescic nieustannie rosnaca kolekcje przepisow i ksiazek kucharskich. Od tamtego czasu biblioteka wciaz sie rozrasta, mieszczac obecnie w sobie pokazny zbior literatury pieknej, tajnych dokumentow oraz erotyki. Stanowisko Naczelnego Bibliotekarza ma rownie czesto procz bycia pozycja administracyjna konotacje polityczne, jak na przyklad mialo to miejsce podczas konfliktu Czerwonych z Zielonymi, kiedy to biblioteka stala sie schronieniem dla manuskryptow dziei muzycznych Vossa Bendera. Wzniesiona dokladnie w tym samym miejscu co slynna oryginalna "biblioteka" szarych kapeluszy, doswiadczyła kilku z najdziwniejszych atakow "epidemii" grzyba, jakie kiedykolwiek wybuchly na terenie miasta w calej jego dlugiej historii. Patrz rowniez: Abrasis, Michael; Czerwoni; Frankwrithe Lewden; grzyb; Zieloni. BIULETYN HISTORII NATURALNEJ. Skrajnie peryferyjna publikacja, umozliwiajaca wielu skazanym na emigracje historykom przemowic pod bezpieczna przykrywka pseudonimu. Patrz rowniez: Lacond, James; Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkancow Miasta. BLGKKYDKS, HECKIRA. Wojskowy przywodca Haragck, obecnie najlepiej znany z olejnych obrazow, pejzazy odleglych krain. Poniewaz czesto malowal podczas swych kampanii wojennych, jego plotna posiadaja zwykle rowniez pewna wartosc historyczna. W nocy poprzedzajacej wodno-ladowy atak Haragck na Ambergris ukonczyl szkice do dzieia wstepnie zatitulowanego Ograbienie wora Ambergris. W czasie pozniejszego pogromu jego wojsk szkice te wpadly w rece ambergrianskiej marynarki, a nastepnie przez dwadziescia lat mozna je bylo ogladac w Muzeum Morhaimow. Wreszcie tak nieodparcie zauroczyly tam kupca Michaela Hoegbottona, ze – juz po tym, jak Haragck kompletnie stracili swa range, i to zarowno jako potega polityczna, jak i kulturowa – ufundowal on

Blgkkydksowi roczny pobyt w Ambergris, majacy umozliwic mu dokonczenie na miejscu wlasciwych obrazow. Klepiacy biede, wiekowy juz general niechetnie wyrazil na to zgode, lecz po przybyciu na miejsce miasto zauroczylo go tak mocno, ze dozyl w nim kresu swych dni. Koniec koncow stal sie, ze swym pobruzdzone staroscia obliczem i rozklekotanymi sztalugami, tak nieodlacznym widokiem na bulwarze Albumuth, iz zaczeto go nawet zaznaczac na owczesnych mapach turystycznych miasta. Patrz rowniez: Grnnck, Haragcki chan; Muzeum Morhaimow. BRUEGHEL, MICHAEL. Wrog numer jeden Johna Manzikerta. To wlasnie jemu udalo sie pod swym przywodztwem wreszcie zjednoczyc wszystkie aanskie wyspy, mimo iz wielokrotnie byl ledwie o wlos od kompletnej porazki. W czasie swego piecdziesiecioletniego panowania nie tylko trzykrotnie w waznych historycznych bitwach morskich zmiotl z powierzchni ziemi wojska Kalifa, na zawsze obracajac w perzyne ambicje tego wladcy zwiazane z kontynentem, lecz ustanowil rowniez oligarchiczna forme rzadow, ktora sprawnie i z wielkim sukcesem sluzyla Aanczykom przez trzy nastepne pokolenia. A chyba najwiekszym jego osiagnieciem bylo zgromadzenie pod swa egida pozostalosci po Imperium Saphanckim, a tym samym ocalenie i zachowanie dla przyszlych pokolen jego naukowych i kulturowych zdobyczy, ktore w przeciwnym wypadku utracilibysmy na zawsze. W pozniejszych latach potomkowie Brueghela, nazywajacy sie Brueghelitami, przejmia olbrzymie polacie ladu lezace wzdluz brzegow Moth na poludnie od Ambergris, zagrazajac tym samym ambergrianskiej autonomii. Patrz rowniez: Imperium Saphanckie; kalendarz kalabrianski; Kalif; myszolow slonowodny. BUBBABAUNCE, BARON. Prawdziwe nazwisko artysty cyrkowego znanego powszechnie pod pseudonimem Bauble. Patrz rowniez: Hellatose Kodfan, M.; Madnok, Frederick. BULWAR ALBUMUTH. Wyjatkowo slynna arteria przecinajaca na wskros samo serce Ambergris. Miejsce, gdzie miesci sie zarowno Ksiegarnia Borges, jak i glowna siedziba Hoegbottona i Synow. Od wielu lat bulwar jest swiadkiem przygladajacym sie w milczeniu wewnetrznym zasadam funkcjonowania Festiwalu Slodkowodnych Kalamarnic. Podczas zamieszek obywatelskich miedzy Czerwonymi a Zielonymi sluzyl im za glowne pole boju. Z pewnoscia rowniez nigdy nie doszloby do niedawnych zbrojnych zmagagan pomiedzy galezia wydawnicza Hoegbottona a wyjatkowo nieodgadnionym Frankwritem Lewdenem, gdyby nie wydarzenia, ktorych pierwsza odslona tu wlasnie miala swe miejsce. Jesli chodzi o pochodzenie slowa "Albumuth", to nie ma tu najmniejszej nawet zgodnosci, podobnie jak nikt nie potrafi okreslic dokladnych granic zasiegu owej arterii. Jak to swego czasu stwierdzil sam Sirin: "Podobnie jak rzeka Moth, bulwar Albumuth posiada tysiace podrzednych doplywow i potokow, a co za tym idzie, ktoz bylby w stanie ostatecznie i precyzyjnie wytyczyc jego granice czy zakres wplywow?" Patrz rowniez: Czerwoni; Frankwrithe kapeluszerzy; Ksiegarnia Borges; Sirin; Zieloni. BUSKER, ALAN. Dosc dlugo znany jako fanatyczny (i dosyc krytyczny) podroznik przemierzajacy zarowno ziemie polnocy, jak i poludnia, choc rownie dobrze mogl byc szpiegiem Krolestwa Morrow. Z pewnoscia w pewnym czasie jego podroze po miastach polnocy konczyly sie katastrofalnie – zarowno Stockton, Belezar, Dometown, jak i Tratnor krotko po jego odwiedzinach zostaly przejezte przez

Morrow. Najbardziej chyba znany z prob wkroczenia do Swietego Miasta Kalifa w przebraniu samego wielkiego wladcy. Niektorzy historycy sa przekonani, ze spedzil wiele miesiecy w Alfar i Zamilonie, a pozostale podroze podejmowal jedynie celem zapewnienia sobie przykrywki dla swej prawdziwej aktywnosci – zglebiania powiazan miedzy szarymi kapeluszcami a mnichami z Zamilonu. Patrz rowniez: Alfar; Kalif; Stockton; Zamilon. – CCZERWONI. Grupa zalozona, by przeciwstawiac sie interesom kompozytora, z powolania polityka, Vossa Bendera. Resztki Czerwonych dozyly kresu swych dni, prowadzac mala tawerne lezaca na obrzezach Ambergris, w ktorej odbywaly sie zawody w rzutkach. Patrz rowniez: Bender, Voss; Biblioteka Pamieci Manzikerta; Ksiegarnia Borges; Zieloni. – DDAFFED, XAVER. Niedoscigly obserwator zachowan zwierzat, ktorego reputacja w ostatnich latach zostala powaznie nadszarpnieta oskarzeniami, jakoby zbyt intymnie zwiazal sie z jednym z przedmiotow swych badan. Opublikowal liczne ksiazki poswiecone zwierzetom poludniowych stref klimatycznych, wsrod ktorych nalezy wymienic chociazby Pamietnik mrownika, Moje zycie wsrod piaskowych zolwi delty Moth, Historie zwierzat (tomy I-X) czy Hoegottonski przewodnik po miejscowych gatunkach niewielkich ssakow. Odnaleziono go martwego – w wyniku oczywistego zawalu serca – w gorskich tropikach w poblizu Nicei. Lezal tam ubrany jedynie w kosmaty kostium wlochatej malpy, obserwowany z pobliskich krzakow przez kilka oslupialych autentycznych wlochatej malpy. Patrz rowniez: Hoegottonski przewodnik po miejscowych gatunkach niewielkich ssakow; kababari; ZOO Daffeda. DROZD. Statek nalezacy do ambergrianskiej marynarki, nad ktorym od poczatku ciazylo jakies fatum. Wykonanie go zlecono za panowania Trilliana Wielkiego Bankiera. W tamtych czasach statki, nawet te wykonane z debowego drewna, latwo ulegaly gniciu wskutek stosowania odmiennego sposobu impregnacji i suszenia drewna, ktory tworzyl dogodne warunki do rozwoju grzyba. Raporty wysylane z dowodztwa marynarki do samego Trilliana jasno stwierdzaly, ze "budowa i naprawa statkow za pomoca zielonego drewna i gwozdz stwarza widoczne juz na pierwszy rzut oka niebezpieczenstwa, bowiem upal panujacy wewnatrz kadluba w polaczeniu z zielonoscia oraz sokiem roslinnym powoduja niezwloczny rozklad i gnicie, a tym samym koniecznosc sciagniecia statku do dokow naprawczych po uplywie lat szesciu, choc powinien przetrwac lat dwadziescia". Tuz przed samym wodowaniem Drozda jeszcze bardziej dosadny raport stwierdzal, co nastepuje: "Deski w wielu miejscach rozsypaly sie w pyl, a burty statku zaslaniata wieksza liczba lat, niz zwykle mozna bylo spotkac na okretach wracajacych z morza po wielkiej bitwie. Ich ladownie nie byly ani sprzatane, ani wietrzone, stad (z powodu krat i zamkniecia ich lukow i wlazow) przegrzewaly sie, a w efekcie pochlaniala je plesn. Sam, wlasnymi rekoma, zebralem rosnace tam muchomory, z ktorych najwiekszy byl rownie wielki jak moje piesci". Wbrew wszystkiemu, Drozda zwodowano, by pozeglowlal rzeka Moth w kierunku Nicei. W ciagu pieciu dni zaloga zaczela sie uskarzac na swedzenie calego ciala. W ciagu dziesieciu dni statek pokryla tak gruba warstwa grzyba, ze uwiezila zaloge wewnatrz kadluba, gdzie, chcac przezyc, ludzie musieli go spozywac, w efekcie czego sami zaczeli plesniec, a statek rozpadl sie na kawalki i zatonal

daleko od brzegu w dwudziestym dniu rejsu. Patrz również: grzyb. – FESTIWAL SŁODKOWODNYCH KALAMARNIC. Obchody charakterystyczne dla Ambergris, które – od czasu do czasu – prowadzi do wielu nieprzewidzianych wypadków. FRANKWRITHE LEWDEN. Rodzinne wydawnictwo prowadzone przez L. Gaudy'ego, przebiegle i potajemnie maczające palce w wielu działaniach. Znane z raczej zdradzieckich i podstępnych strategii rynkowych, oskarżane przez niektórych o współpracy z szarymi kapelusznymi. Frankwrithe Lewden powstało w erze zmierzchu Imperium Saphanckiego i – jak twierdzą jego właściciele – jest najstarszym nieprzerwanie istniejącym wydawnictwem na Południowym Kontynencie. Publikowane przez niego książki były 43-krotnie wpisywane przez Przewodniczącą Truffidianskiego Ambergris na indeksy ksiąg zakazanych. Ostatnio, w związku z rozszerzeniem działalności na inne pola niż sprzedaż książek, wydawnictwo ogromnie zaangażowało się w wojnę z HS, a powodem tych działań są kwestie związane z prawami własności do Wyspy Sophii. Patrz również: Bankierzy Weterani; Biblioteka Pamięci Manzikerta; Bulwar Albumuth; Imperium Saphanckie; Polnoc Munfroe'a; Wyspa Sophii. – GALERIA UKRYTYCH FASCYNACJI. Często uważana za okret flagowy idei Nowej Sztuki. Po likwidacji Galerii Ruch Nowej Sztuki utracił cały swój impet i w efekcie rozpadł się na szereg odłamów, w tym Ruch Odnalezionej Sztuki, nurt Sztuki Ciała (entuzjastycznie przyjęty przez Żywych Świętych), czy też kontrowersyjny odłam Sztuki Cienia. Patrz również: Nowa Sztuka; Sztuka Cienia; Żywi Świeci.

EKSPONAT 2: LOUIS VERDEN: "WIDOK Z WYSPY SOPHII

NA FESTIWALOWY POKAZ SZTUCZNYCH OGNI",

OPUBLIKOWANE W "PLONACYCH LISCIACH";

WYSTAWIONE W MUZEUM MORHAIMOW,

GALERIA "SŁYNNY WIDOKI AMBERGRIS".

GLARING, MAXWELL. Autor Polnocy Munfroe'a, Problemu z Krotchem, Powrotu Munfroe'a, Krotch kontratakuje, Odrodzenia Munfroe'a, Odrodzenia Krotcha, Triumfu Krotcha, Dziedzictwa Munfroe'a, Świata Krotcha, Syna Munfroe'a, Przyczółka Krotcha, Świata bez Krotcha, Dziedzictwa Krotcha, Syna Munfroe'a II, Krotch i Munfroe: zagubione dzienniki oraz – wydanego już pośmiertnie – Kresu dziedzictwa Krotcha i Munfroe'a. Patrz również: Bender, Voss; Krotch; Munfroe; Polnoc Munfroe'a. GORT, MARMEY. Gort skrupulatnie prowadził drobniogłowe zapisy dotyczące sanitarnych przyzwyczajen mieszkańców miasta, opisując tam także te związane z przechowywaniem odpadków. W jego typowym wpisie można wyczytać: "Obiekt Z – wzrost użyt. pozadom.: przec. 7x dziennie (po 5 min); uwaga: produkcja smieci wzrosła do 3xtyg.: powiaz.?" Zdolał nawet wysledzić zwyczaje szarych

kapeluszy związane ze zbieraniem miejskich smieci, co doprowadzilo go do wniosku, ze jesli zuzywaja oni tak olbrzymie ilosci smieci jako pozywienie czy nawoz konieczny im do upraw, to w takim razie ich skryta pod Ambergris populacja mogla przekroczyc nawet trzysta tysiecy. Nikt go jednak nie sluchal. Nikt bowiem nie lubi zlych nowin. Ale sam Gort nie dbal o to, ze nikt go nie slucha – nieprzerwanie kontynuowal swe badania, by w chwili smierci w wieku siedemdziesieciu lat pozostawic po sobie przeszlo szesc tysiecy stron podobnych obserwacji. W pozniejszym czasie Kalif wykorzystala jego dzienniki, by z powodzeniem zajac Ambergris. Patrz rowniez: Bankierzy Weterani; grzyb; Okupacja. GRNNCK, HARAGCKI CHAN. Odpowiedzialny za przeprowadzony podczas Ciszy nieudany wodno-ladowy atak na Ambergris. Posiadacz zlozonych i niezbyt zrozumialych gustow. Absolutnie bezwzglydny, niemajacy sobie rownego na polu sztuki oszustwa, byl rownoczesnie bezbrzeznie rozkochany w zabach i wszystkim, co z nimi zwiazane. Najprawdopodobniej posiadacz najwiekszej na swiecie kolekcji sztuki poswieconej zabom, od obrazow po rzezby w kamieniu i drewnie. W mlodosci wyrwany z poludniowych bagien i sila przylaczony do armii Haragck, najezdzcow jego odleglej ojczyzny, szybko jednak awansowal w ich szeregach, az wreszcie dzieki niespotykanemu wrecz usmiechowi losu udalo mu sie pokonac w walce samego chana, dzieki czemu mogl zajac jego miejsce. Bez watpienia wlasnie to zamilowanie do zab, pozostalosc z czasow mlodosci, ktorej nie mial zamiaru sie wyrzec, okazalo sie przyczyna jego upadku i zguby. Ktoz bowiem moglby zywic jakiegokolwiek watpliwosci, ze to wlasnie owo zamilowanie podsunelo mu i uczynilo tak atrakcyjnym w jego oczach pomysl wodno-ladowej inwazji na Ambergris? Patrz rowniez: Blgkkydks, Heckira. GRZYBY. Rodzaj rozmnazajacej sie dzieki sporom "rosliny", zwykle raczej dosc nieszkodliwej. Jedno z ulubionych slow Samuela Tonsure'a, dosc czesto pojawiajace sie w jego dziennikach; czestotliwoscia ustępuje jedynie takim slowom jak "i", "to", "ze", "krew" oraz "przerazenie". James Lacond, podpierajac sie dowodami odkrytymi w nieprzebranych notatkach pozostawionych nam przez Marmeya Gorta, wysunal postulat, jakoby szare kapelusze wyhodowaly tuż pod poludniowa czescia miasta gigantyczna grzybnie. Wedlug Laconda grzybnia, o ktorej mowa, rozpoczela swe zycie od zaledwie jednej spory, lecz wykorzystujac swe czarne, sznurowkowate wlokna, rozprzestrzenila sie i majac obecnie okolo metra grubosci, pokrywa jakies 2 tysiace akrow powierzchni. Lacond, zaznaczajac na mapie skupiska zlitych grzybkow pojawiajacych sie na powierzchni po opadach atmosferycznych, fizyczna manifestacje "Monstrum" – jak ochrzcił ow podziemny organizm – wyrysowal budzacy wiele kontrowersji zarys obszaru zajmowanego przez podziemna grzybnie, uderzajaco podobny kształtem do znanych nam grzybow naziemnych (praca, o ktorej mowa, jest obecnie wystawiana w Muzeum Morhaimow). Wedlug Laconda wiele z rosnacych w miescie drzew w rzeczywistosci moze byc tylko wydrazonymi i pustymi w srodku lupinkami o wnetrzu opanowanym przez grzybowych szpiegow. Nie proponuje on jednak zadnej teorii tłumaczacej ewentualna celowosc istnienia tak olbrzymiej grzybni, czy to bedacej diabelska grozba, czy tez przynoszacej miastu jakies korzysci Patrz rowniez: Gort, Marmey; kababari; Lacond, James; Monstrum;

Muzeum Morhaimow; Wydziejcziczeni. – HHELLATOSE BAUBLE. Mimo iż istnieli naprawdę, ta składająca się z człowieka i kalamarnicy trupa cyrkowa sięgnęła szczytu popularności jako komiks autorstwa (zarówno rysunki, jak i scenariusz) odludka M. Kodfana. Patrz również: Kodfan, M.; Madnok, Frederick.

EKSPONAT 3: ORYGINALNY PANEL SLYNNEGO

KOMIKSU M. KODFANA, PUBLIKOWANEGO

W "DZIENNIKU AMBERGRIS"; WYSTAWIONE

W MUZEUM MORHAIMOW, GALERIA "ILUSTRACJE".

HOEGBOTTON, HENRY. Bliski przyjaciel i wspólnik. HOEGBOTTON, RICHARD. To właśnie dzięki jego staraniom klan Hoegbottonów po kilku falstartach założył wreszcie w Ambergris swój przyczółek. Potrzeba było dwudziestu lat, by Richard Hoegbotton stał w prochu swego głównego konkurenta, Slattery'ego Ungdoma, i zapoczątkował sieć handlową, obejmującą obecnie swym zasięgiem obszar rozciągający się od Wysp Południowych aż po ziemie należące do Skamoo. Patrz również: Hyggbouttenowie. HOEGBOTTONSKI PRZEWODNIK PO MIEJSCOWYCH GATUNKACH NIEWIELKICH SSAKÓW. Wyczerpujący przewodnik po fascynującej różnorodności miejscowych gatunków niewielkich ssaków, jakie można napotkać w południowych strefach klimatycznych, zawierający m.in. małpiatki, nietoperze faldowargie i szczury księżycowe. Długawy i wyjątkowo dramatyczny rozdział poświęcony tu tancom godowym małp wlochatch; fragment ten już od dłuższego czasu uważany jest za wyjątkowo ekscentryczny klasyk. Patrz również: Daffed, Xaver; kababari; Księgarnia Borges; szczur księżycowy; Trillian Wielki Bankier. HYGGBOUTTENOWIE. Klan wędrownych jeźdźców, pochodzący z leżących na dalekim zachodzie okolic Nysimii. Choć sami byli bezlitosni, zostali jednak przegnani na wschód przez jeszcze bardziej okrutnych i brutalnych Haragck. Hyggbouttenowie wymusili następnie na pokojowo nastawionych ludach Yakudy opuszczenie zamieszkiwanej przez nich doliny, przyswajając sobie niektóre z ich rzemiosł (w tym m.in. tkactwo). Kiedy armie Kalifa pozbyły się Haragck z ziem swego Imperium, uwagę skierowały na dolinę Yakuda, niszcząc w roli siły politycznej i kulturowej Hyggbouttenów wraz z podległymi im plemionami. Ocalenci salwowali się ucieczką na zmrożone ziemie północy, w efekcie czego w miejscach takich jak Urlskinder, Morrow czy Nicea udało im się zasymilować ze wschodnimi społecznościami. Niektórzy członkowie zmienili wtedy nazwisko na brzmiące bardziej wschodnio "Hoegbotton" i z biegiem czasu to właśnie ich potomkowie, w tym między innymi Richard Hoegbotton, mieli stworzyć imperium handlowe znane obecnie jako Hoegbotton i Synowie. Hyggbouttenowie słyneli głównie z talentu do poskramiania i tresury koni oraz ze złożonych rytuałów pogrzebowych. Ich przywódcy byli po śmierci obdzierani ze skóry, po czym usuwano im z trzewi organy wewnętrzne, by

dokonac mumifikacji. Kaplani oczyszczali pozostaly szkielet i cialo, rozkladajac je do wysuszenia na sciolce. Na skorze stosowano wowczas srodek konserwujacy, a artysta klanu tatuowal na niej sceny wyczynow, jakich za zycia dokonal zmarly przywodca. Zmumifikowane organy wkladano wreszcie z powrotem do wnetrza wysuszonego szkieletu, po czym na kosci i wykrzywiona w krzywym usmiechu czaszke naciagano skore. Kolejna faza pochowku byla rytualna rzez koni przywodcy, jego slug i malzonki. Konie przeistaczano wtedy w duchy bestii, doczepiajac im rogi do glow oraz kreslac swiete symbole na skorze. Hyggbouttenowie wykopywali nastepnie olbrzymi dol, na dnie ktorego stawiano maly domek, wokol niego zas sadzono krzewy i drzewa, az wreszcie umieszczano w jego poszczegolnych pomieszczeniach cialo przywodcy, jego martwe konie, sluzbe oraz wspolmalzonke. Po tym wszystkim nastepowal dziesieciodniowy okres zaloby, po ktorym wreszcie zasypywano dol, zakopujac tym samym zarowno sam dom, jak i ciala. Nastepnie odczekiwano kolejne dwa tygodnie, by wreszcie postawic na powierzchni budynek identyczny z zakopanym, i to dokladnie nad tamtym. Nowy dom wypelniano malymi otoczkami, dostarczonymi przez jezdzcow z pobliskiego morza czy rzeki, ktore wewnatrz budynku ostroznie i delikatnie umieszczaly dziewice, ktore nie mogly miec wiecej niz osiemnascie wiosen. Gdy dom byl juz wypelniony kamykami, hyggbouttenski kaplan konsekrowal ziemie, a budynek przykrywano namiotem zszytym przez tuzin hyggbouttenskich kobiet. Najstarszy syn lub corka przywodcy podkladali wowczas ogien pod material namiotu, a plomienie pochlanialy drewniane belki domu, pozostawiajac po sobie jedynie kupke okopconych kamieni. Kazdy czlonek klanu musial wziac wtedy po jednym, i to jeszcze goracym, kamyku – co mialo uswiadomic mu bol doznanej straty – i nosic go ze soba przez kolejne szesc tygodni, po skonczeniu ktorych wymagano od nich zakopania noszonego kamienia w miejscu aktualnego noclegu. Nastepnie kazdy czlonek klanu musial wystrugac kijek na podobienstwo "zwierzecia sily" niezujacego przywodcy i wbic go w ziemie, znacząc tym samym miejsce spoczynku kamienia. Jesli klan powrocil po roku w to samo miejsce i nie zdolano tam odnalezc wszystkich kamieni, czlonkowie byli zobligowani do powrotu w miejsce pochowku i wzniesienia tam kolejnego domu wypelnionego kamieniami, dokladnie w tym samym miejscu co uprzednio zniszczony. Pozniej nalezalo uszyc kolejny namiot i powtorzyc caly rytual. W okresie, gdy Hyggbouttenow rozpedzaly wojska Kalifa, porzucili oni swe rytualy najzwyczajniej z braku czasu koniecznego na ich kultywowanie. Patrz rowniez: Hoegbotton, Richard. – IIBONOF, IBONOF. Heretyk, nazywany swego czasu po prostu Ibonof. Byly czlonek Kosciola Truffidianskiego. Ekskomunikowany po ujrzeniu wizji, w ktorej objawil sie samemu sobie, oglaszajac sie "bogiem". Reszte zycia spedzil, widzac podwojnie i rozmawiajac z samym soba. IMPERIUM SAPHANCKIE. Imperia bywaja rozne, to jednak sprawia, ze zasieg wlosci Kalifa jawi sie nam wyjatkowo zalosnie. Imperium Saphanckie przetrwalo okolo pietnastu wiekow, a w okresie największego rozkwitu objelo swym zasiegiem przewazajaca czesc dwoch kontynentow. Jego wladcy, wybierani przez oligarchow, cechowali sie niesamowita wrecz umiejtnoscia laczenia negocjacji z bezlitosna sila zbrojna, co mialo na celu konsolidacje podbitych prezen

terenow. Scentralizowana stabilnosc Imperium, jak i niespotykany wczesniej rozkwit sztuki i obfita fala nowinek technologicznych, zagrozily przekształceniem Imperium we wręcz wieczna i nienaruszalna organizacje. Jednak seria wsobnych, slabowitych wladcow, w polaczeniu z nieustannymi oslabiajacymi atakami aanskich klanow pirackich na ich transporty morskie, doprowadzila koniec koncow do rozpadu Imperium na piec czesci. Glowny doradca ostatniego Imperatora, Samuel Lewden, zrobil wszystko, co w jego mocy, by utrzymac scentralizowana wladze, lecz piec wspomnianych wyzej czesci przeistoczylo sie wkrótce w trzysta autonomicznych regionow, z ktorych kazdy rychlo rozpadl sie na kilka pomniejszych krolestw. Az wreszcie z dni swietnosc pozostały tylko odlegle kulturalne echa unoszące się nad ziemiami niegdys ogromnego Imperium. Zainteresowanych szerzej tematem odsylam do jedynej wspanialej ksiazki Mary Sabon Saphanckie dziedzictwo. Patrz rowniez: Frankwrithe Plywajacy psychiatrzy; Sabon, Mary. INSTYTUT RELIGIJNOSCI. Patrz: Religijny Instytut w Morrow. – JJERSAK, SIMON. Nadzwyczaj aktywny społecznie osobnik, ktory z biegiem lat stal sie znany ze smiesznych i niezwykle wnikliwych broszurek traktujacych o zbieraniu podatkow i poborcach podatkowych. Słowa zwyczajowo przypisywane Sirinowi: "Dni, gdy opodatkowanie stanie się czymś pięknym" w rzeczywistosci napisal własnie Jersak. Jego rady, skierowane do zwyklych obywateli, zwykle skrzyly sie od lakonicznej satyry: "Gdy znuzony podroznik przybywa wreszcie do waskiej gorskiej przeleczy, zaskakuje go tam nagle stajacy mu przed oczami widok poborcy podatkowego, siedzacego wysoko w gorze niczym istota nie z tego swiata". Patrz rowniez: Sirin. JONES, STRETCHER. Kowal i poeta urodzony w Thajad, poludniowej prowincji Imperium Kalifa, ktory stal sie przywodca tlumu. Sprowokowany do walki dokonywanymi na biednych grabiezami – i to zarowno przez truffidianskich ksiezy, jak i przez wojska Kalifa – zgromadzil armie wyniszczonych i zlupionych pobratymcow, w wyniku czego na pewien czas udalo mu sie przejac poludniowy obszar Imperium Kalifa. Wspanialy taktyk, obdarzony rownoczesnie wyjatkowo delikatna dusza, ktorego udzialem stala sie wyjatkowo tragiczna historia, zbyt dluga, by ja tu przytaczac. Gdyby tylko Stretcher Jones odniosl zwyciestwo, poprowadzilby nas wszystkich ku lepszej przyszlosci. Wciaz bowiem istnieja na tym swiecie ludzie niezmiennie trzymajacy sie wyznawanych przez niego idealow. Swa najslynniejsza przemowe, bedaca rownoczesnie najkrotsza, skierowal z zadaniem sprawiedliwosci do satrapy Thajadu: "Czuje, ze czlowiek moze byc szczesliwy na tym swiecie. I jestem przekonany, ze otaczajacy nas swiat jest swiatem wyobrazni i wizji. Sam to wszystko dostrzegam, ale rownoczesnie bardzo dobrze zdaje sobie sprawe, ze nie kazdy widzi podobnie. W oczach poborcow podatkowych sel jest piekniejszy od slonca, a w wytartym mieszku kryja sie dla nich o wiele piekniejsze proporcje niz w wijacych sie pedach winorosli, ktore uginaja sie pod ciezarem winnych gron. Do oczu waszych zolnierzy lzy radosci sprowadza przelewana krew, a te same lzy poplyna u innych jedynie na widok drzewa brzemienneho owocami. Niektorzy w naturze ludzkiej dostrzegaja jedynie smieszosc, deformacje i ulomnosc, a ja z pewnoscia nie bede dostosowywal własnego poczucia proporcji do takich własnie ludzi; niektorzy w ogole pozbawieni

sa zdolności czynienia jakichkolwiek spostrzeżeń na temat natury człowieka. Lecz w oczach czystych i uczciwych nigdy tak nie jest. Człowiek postrzega otaczający go świat zależnie od tego, jaki sam jest w środku. Wraz z kształtowaniem się oka powstają jego moce. Z pewnością nie miałes racji, twierdząc, że takie wizje są kaprysem i nie ma na nie miejsca na tym świecie. Dla mnie otaczający nas świat winien być jedną nieprzerwaną wizją dobrą". Patrz również: Masouf; myszolak słonowodny; Nadal, Thomas; olifant. – KKABABARI. Parszywie cuchnące świni o długich ryjkach, grzebiące w ziemi i żywiące się grzybem, odegrały przewodnią rolę w detronizacji władcy Ambergris, Trillian Wielkiego Bankiera. Patrz również: grzyb; Trillian Wielki Bankier. KALENDARZ KALABRIANSKI. Cud niewydajności i nieefektywności, w którym za liczbę dni w roku przyjęto szacunkową liczbę różnorodnych wysp, na które rozpadła się Aandalay. Nazwy miesięcy pochodziły od niemal niemożliwych do wymowienia przydomków dawnych aandskich przywódców, lecz zmieniały się za każdym razem, gdy starzy władcy ustępowali, a nowi dochodzili do władzy, co spowodowało, że wiele aandskich miast musiało powołać specjalne stanowiska "określaczy miesięcy", których jedyną funkcją było rozplatywanie niesamowicie pogmatwanych węzłów nazwisk i przydomków. Wszystko pogarszał jeszcze fakt, że każda z aandskich grup na różnych wyspach zaczęła nazywać swe miesiące zupełnie inaczej. Tym samym tabele tworzone przez owych określaczy stawały się coraz misterniej złożone, aż często w swej złożoności przebijały tablice używane przez matematyków czy też kartografów. Przydział poszczególnych dni i miesięcy wywołał kilka wojen, w tym również słynna Wojna Trzydniowego Weekendu, która pozostawiła po sobie ponad dziesięć tysięcy ofiar, już po wsze czasy niezdolnych cieszyć się choćby zaledwie jednodniowym weekendem. Wreszcie za panowania Michaela Brueghela zjednoczeni Aandczycy porzucili kalendarz kalabriński na rzecz kalendarza Kalifa, opartego zresztą na dawnym kalendarzu Imperium Saphanckiego. Tysiące określaczy miesięcy musiało sobie poszukać nowych zajęć, lecz ich kolorowe diagramy po dziś dzień spoczywają w zbiorach wielu prywatnych bogatych kolekcjonerów sztuki, a największy z nich wciąż można podziwiać w Muzeum Morhaimow. Patrz również: Aandalay; Brueghel, Michael; Muzeum Morhaimow. KALIF. Każdy z osiemdziesięciu anonimowych, rządzących bezpośrednio po sobie władców wielkiego, rozciągającego się na zachodzie Imperium. Znany z podejmowania incognito wielkiego ryzyka. Często usmiercany w dość dziwacznych okolicznościach, których natura jest równie makabryczna, jak komiczna. Jedną z najbardziej absurdalnych teorii wysuniętych przez historyczkę Mary Sabon głosi, że Samuel Tonsure był działającym incognito Kalifem. Z biegiem czasu naukowcy Kalifa wynaleźli między innymi tak nowoczesne udogodnienia jak mikroskop, pistolet, telefon oraz tarka do sera. Patrz również: Ambergris; Bankierzy Weterani; Brueghel, Michael; Busker, Alan; Kucharze z Kalay; myszolak słonowodny; Nadworny Genealog. KAMPANIA OBYWATELA RYBY. Praktyczny żart, zaprezentowany podczas świątecznej elekcji (odbywających się co dekadę) przez pisarza Sirina. Miał on na celu próbe zastąpienia ówczesnego Przewodnika Truffidianskiego śmierdzącym słodkowodnym okoniem, martwym zresztą od pięciu

dni. Sirin i jego przyjaciele z ruchu Nowej Sztuki stworzyli plakaty wyborcze, przedstawiające martwego okonia, a następnie wygłaszali w jego imieniu płomienne przemowy rozpalające tłumy i paradowali po całym Ambergris z wozonym na wozku kandydatem. Kiedy zdechła ryba zajęła w wyborach drugie miejsce (na osmiu kandydatów, i to na dodatek jako kandydat odrecznie dopisywany na kartach do głosowania przez samych wyborców), Sirin i jego kohorta musieli na jakiś czas zniknąć z miasta w związku z kierowanymi pod ich adresem pogrozkami fizycznej przemocy. Wśród urazonych ich działaniami znaleźli się m.in. truffidianskie kapłanstwo i Kościół Rybaka (który uznał, że prawdziwym celem działań grupy Sirina było wystawienie na posmiewisko ryby, traktowanej przez nich jako świętość). Patrz również: Kościół Rybaka; Nowa Sztuka; Sirin. KAPELUSZERCY. Osobnicy najmowani do oczyszczania podziemnych kanałów ściekowych. Profesja ta wymagała zarówno stałowych nerwów, jak i sprytu, a wszystko przez wielkie prawdopodobieństwo napotkania na swej drodze szarych kapeluszy. Najniebezpieczniejszym obowiązkiem kapeluszerców było toczenie olbrzymiej metalowo-drewnianej kuli wzdłuż prostej głównej kanału ściekowego, biegnącego zresztą mniej więcej wzdłuż całej długości bulwaru Albumuth. Kule (nazwana "Monstrum", kolejny z wynalazków opracowanych przez Porfala) toczono, by usunąć ze światła głównego kanału wszystkie napotkane na drodze przeszkody. Od czasu do czasu toczący kule ze zdumieniem odkrywali częściowo zmiżdżone, lecz wciąż śmiertelnie niebezpieczne kawałki grzyba bądź szarego kapelusza. Ludzi stojących na czele zespołów kapeluszerców nazywano "martiganami". Patrz również: Bulwar Albumuth; Martigan, Red; Monstrum; Porfal. KAROLINA Z KOSCIOLA SIEDMIORAMIENNEJ GWIAZDY. Heretyczka z Nicei, która porzuciła Kult Siedmiobocznej Gwiazdy i powołała do życia własną religię. W przeciwieństwie do kultu Siedmiobocznej Gwiazdy, założony przez nią Kościół Siedmioramiennej Gwiazdy wierzył, że Bóg posiada raczej – podobnie jak ich święty symbol – siedem kątów, a nie siedem boków. Co za tym idzie, należało raczej czcić cele samorealizacji, symbolizowane przez ostre szpice ramion gwiazdy, a nie samą podróż w kierunku owej samorealizacji, symbolizowaną przez krawędzie. Do konkretnych celów, przy których obstawała, należało zaliczyć celibat (podczas ściśle określonych okresów w roku, o ile tylko było to absolutnie konieczne), prawdomówność, piękno, samorealizację, poczucie własnej wartości, umiłowanie innych ludzi oraz należyta higiena osobista (która w niektórych przekładach świętych pism była dosłownie wyrażana jako "negacja cielesnego odoru przez mydlane immersje"). Wyznawcy Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy używali ostro zakończonych mieczy, które jednak pozbawione były ostrych krawędzi, podczas gdy członkowie Kultu Siedmiobocznej Gwiazdy używali mieczy o ostrych krawędziach, pozbawionych natomiast ostro zakończonych szpiców. Niestety, w większości potyczek, do których dochodziło na ulicach Nicei, ostre krawędzie okazywały się o niebo lepsze od ostrych szpiców, a co za tym idzie, zwolennicy Karoliny zostali zmuszeni do popełnienia świętokradztwa i przerzucenia się na ostre krawędzie, gdyż jedyną inną dostępną im opcją sprowadzającą ich do roli karmy dla wszedobyjskich myśzłowców słonowodnych. Udowodniło to w sposób dobitny i – jak można by

stwierdzić – ostry sposób celowość i sens używania podobnych krawędzi. Patrz również: Mikal, Dray; myślowo słonowodny KODFAN, M. Autor popularnego komiksu Hellatose Bauble. Redaktorzy gazet, w których drukowano jego szkicowane piórkami błazenstwa – równie chętnie pochłaniane przez dzieci, jak dorosłych – nigdy nie widzieli go na oczy. Jeden z nich wspomina: "Każdego trzeciego dnia tygodnia przybywał do naszego biura posłaniec, zwykle z jakichś nieokreślonych powodów na monocyklu. Za każdym razem był to inny człowiek, być może dlatego, że wyjątkowo trudno nauczyć się jeździć na monocyklu. Samego Kodfana nigdy nie widziałem. Gdy pewnego razu spytałem posłanca wprost o wygląd rysownika, ten odparł mi, że Kodfan wygląda na "zakapturzonego". Gdy dopytałem, co też do cholery ma na myśli, odparł, że Kodfan ma kaptur na głowie. Nigdy nie udało mi się poznać żadnego szczegółu dotyczącego jego postaci, z takim tylko małym wyjątkiem, że przepadał za kalamarnicami. Pewnego razu posłaniec nie przybył. I nigdy od tej pory nie otrzymałem już żadnej, choćby najkrótszej wiadomości od Kodfana. To wtedy właśnie musieliśmy nająć do rysowania komiksu tego dziwaka Verdena. Lecz nigdy już nie było tak samo – Verden bowiem nieustannie dążył do tego, by Hellatose ze swadą perorował o stratonizmie. Wreszcie musiałem położyć temu kres i zaprzestaliśmy publikacji komiksu. Wtedy to właśnie zacząłem mieć te mechaniczne sny, ale to już jest z zupełnie innej beczki". Patrz również: Hellatose Madnok, Frederick; stratonizm; Verden, Louis. KOSCIOL RYBAKA. Czciociele ryb, wstrzymujący się od spożywania "naszych wodnych braci", lecz osiągnięci religijnej ekstazy w akcie wylapywania ich, a następnie wypuszczania na wolność. Choć biały poltonski wieloryb bichoralny nie jest rybą, a ssakiem, ograniczeni w znajomości biologii wyznawcy tej religii właśnie z niego uczynili centralny obiekt swego życia duchowego. Najwyższy Kapłan, zwany również Rybia Głowa, wygłasza kazania, stojąc na wykrzywionym marmurowym ołtarzu wyrzeźbionym na kształt i podobieństwo głowy wieloryba. W późniejszym czasie wyznawcy Kościoła Rybaka wplatali się w cały szereg przestępstw, poczynając od kradzieży martwych ryb ze straganów, które później wypuszczali w odmety Moth, aż po uwolnienie białych wielorybów z ich ekspozycji w ZOO Daffeda. Patrz również: biały poltonski wieloryb bichoralny; Kampania Obywatela Ryby; ZOO Daffeda.

EKSPONAT 4: ORYGINALNY SZKIC OLOWKIEM PANELU

KOMIKSU "HELLATOSE I BAUBLE"; WYSTAWIONY

W MUZEUM MORHAIMOW, GALERIA "ILUSTRACJE".

KRETCHEN, LOWCA SZARYCH KAPELUSZY. Mniej wiecej w okresie Ciszy zaczely sie szerzyc plotki o czlowieku, ktory pod oslona mroku, tajemnicy i czegos wyjatkowo modnie czarnego ze srebrna podszewka schodzil do podziemi, by zabijac szare kapelusze. Niektorzy powiadali, ze jest nim kierowany zadza zemsty kuzyn Red Martigana. Inni, ze mezczyzna ow jest po czesci szarym kapeluszem, szukajacym jedynie swej rodzicielki. Niezaleznie od tego, jaka byla prawda, Kretchen nigdy nie zadal sobie trudu wychylenia sie z cienia na wystarczajaco dluga chwile, by sklonic sie obserwujacej go publice, w zwiazku z tym historycy umiejscowili go w czysccu okreslanym mianem "mozliwe, lecz niezbyt prawdopodobne". Kapeluszerzy natomiast uznali go za swego swietego patrona, wystawiajac w podziemiach "strachy na szare kapelusze", ubrane w dlugie, czarne plaszcze. Patrz rowniez: kapeluszerzy; Martigan, Red; Wydiedziczeni.

KRISTINA Z MALFOUR, TREDOWATA SWIETA. Kazdy, najmniejszy nawet, odpadajacy z niej skrawek ciala zblizal ja coraz bardziej do stanu swietosci. Oprocz umiejtnosci pozbywania sie czesci wlasnego ciala z wyraznie widoczna nonszalancja zaden z historykow nie znalazl nigdy najmniejszego nawet powodu do ogloszenia jej swieta przez truffidian. Jej glownym zajeciem wydawalo sie przesiadywanie w jednym miejscu i unikanie jakiegokolwiek ruchu, czemu towarzyszylo pochlanianie setek porcji puddingu ryzowego i rownoczesne przygladanie sie harowce wlasnej rodziny na polu komunalnego gospodarstwa rolnego polozonego za Ambergris. Patrz rowniez: Zywi Swieci.

KROTCH. Czarny charakter stworzonej przez Maxwella Glaringa detektywistyczno-przygodowej serii Krotch i Munfroe. W pierwszym tomie serii, Polnoc Munfroe'a, Krotch opisywany jest jako "wysoki mezczyzna, tak smukly, ze widziany z boku moglby zlac sie z cieniem, ktory i tak przejal juz we wladanie nalezaca do niego dusze. Wystarczylo, ze jego spojrzenie ledwie musnelo czlowieka, a ten juz uswiadamiar sobie rozklad jego zasad moralnych, tak bowiem byly one martwe i sprochniale. Grzywa czarnych wlosow szczelnie otulala go w czynieniu zla". Jednakze na przestrzeni kolejnych tomow az do Przyczolka Krotcha autor opisuje go bardzo roznie, zarowno jako "tegiego", "korpulentnego", "wychudzonego", jak i jako "czarnego zuka pelzajacego tuz przy ziemi" oraz jako kogos, kto "w swym eterycznym wzroscie jawi sie niczym oddarty od wiatru powiew o brudnych blond wlosach". Pozniej u postaci pojawiaja sie takze "zabarwione na rudo loki, niczym weze opadajace mu do pasa". Byc moze jest to sygnal, ze z uplywem czasu Glaring stawal sie coraz bardziej znudzony kontynuowaniem serii. Patrz rowniez: Glaring, Maxwell; Krotch; Munfroe; Polnoc Munfroe'a.

KSIEGARNIA BORGES. Najstarszy na terenie Ambergris dostawca slowa drukowanego. Podczas swej dlugiej historii budynek ksiegarni trzykrotnie doszczetnie splonal. Ksiegarnie zalozylo dwoch pochodzacych z Nicei braci – Bormund i Gestrand Kubtekowie – a nazwe zawdziecza ona pierwszym sylabom ich imion. Na przestrzeni swego istnienia pelnila wiele funkcji, zarowno spolecznych, jak

z związanych z polityką. Podczas konfliktu Czerwonych z Zielonymi jej piwnice służyły za kryjówkę sympatykom Vossa Bendera. Przed każdym Festiwałem klienci mogą tu zarezerwować rozmieszczone wzdłuż polek "stanowiska czytelnicze", gdyż powszechnie wiadomo, że szare kapelusze nigdy nie przekrocza jej progów. Pochodzący z zachodu Kamal Bakar był świadkiem trzeciego pożaru Księgarni, kiedy to podczas Trzechsetnego Festiwalu Słodkowodnych Kalamarnic, jednego z najgorszych, jakie zapamiętano, rabusie podłożyli pod nią ogień: "Niebo pociemniało od dymu unoszącego się z książek, płonące strony wznosiły się wysoko, by następnie drgając i trzepocząc powoli opadać ku ziemi niczym jakieś spadające na miasto płatki czarnego śniegu. Ci, którym udało się schwycić taką stronę, czuli bijący od niej żar i przez krótką chwilę mogli przeczytać coś, co wyglądem przypominało jakiś dziwny, czarno-biały dagerotyp. Gdy ciepło bijące od strony rozpraszało się, ta kruszyła się i rozpadała w dłoń". Patrz również: Bender, Voss; Bulwar Albumuth; Czerwoni; Festiwal Słodkowodnych Kalamarnic; Płonące liście; Zieloni.

KSZTALTYZM. Odlam dewiacyjnej nauki zajmującej się grzybami, wykorzystujący kształt grzyba, by określić jego toksyczność. Niezbyt popularny. Patrz również: grzyb. KUBIN, ALFRED. Psycholog specjalizujący się w zgłębianiu natury kalamarotropii. Z czasem doszedł aż do zbyt dogłębnego zrozumienia wszelkich przyczyn tej przypadłości, gdyż został stałym klientem większości kalamarnicznych klubów najgorszego sortu. Gdy truffidiński ksiądz odmówił mu ślubu z poznana w jednym z klubowych basenów kalamarnica, rozpoczął swój jednonocny festiwal przemocy i szalu, w delirium wzniesając ogień w wielu punktach miasta. Kilka instytucji historycznych, w tym również najstarszy z azyłów Hoegbottona, zostało wtedy poważnie strawionych przez ogień. Po aresztowaniu, Kubina osadzono w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Vossa Bendera, gdzie za ścianą miał swych byłych pacjentów, spośród których wielu – przynajmniej według doniesień – ryczało ze śmiechu, tłukąc go na kwasne jabłko. Patrz również: Madnok, Frederick. KUCHARZE Z KALAY. Klan zawodowych kucharzy zamieszkujący w pobliżu górskiej fortecy Kalay na zachodnich kresach Imperium Kalifa. Z powodu często zagładającej im w oczy klęski głodu nauczyli się przygotowywać posiłki z tak niecodziennych produktów "żywnościowych" jak skorzane buty, paski, trawa, kwiaty, koszule, ziemia, dżdżownice, a nawet owady. Jak głosi legenda, mogli popisac się taką biegłością w sztuce kucharskiej, że gdy klęska głodowa odchodziła w zapomnienie, ludzie wciąż tam przybywali, by spożyć przygotowaną przez nich "zupa na gwoździu". Stali się tak sławni, że sam Kalif siłą przeniósł całą ich rodzinę do swego pałacu w Vonaril, gdzie z roku na rok marnieli w oczach, zmuszani, pokolenie za pokoleniem, do zaspokajania każdej najmniejszej nawet zachcianki Kalifa, czy to na posiłek w środku nocy, czy ledwie na popołudniową przekaske. Patrz również: Kalif. – LLACOND, JAMES. Ekscentryczny historyk, którego teorie na temat szarych kapeluszy w większości zlekceważyła (niesłusznie zresztą) cała pismienność, inni historycy, a nawet i bezrobotny stolarz, który przez wiele lat przesiadywał na chodniku leżącym bezpośrednio przed mieszkaniem Laconda z widokiem na Plac Pamięci Vossa Bendera. Broszury jego autorstwa rozprowadzało wyłącznie

Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta. Jedno z jego dzieł stanowi esej pt. Wywód w obronie szarych kapeluszy, a przeciwko naocznym dowodom Tonsure'a. Znany z częstych wizyt w Zamilonie. Patrz również: szczury; Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta; Zamilon. LEOPRAN, GEORGE. Scathadyjski pisarz i dyplomata, najbardziej znany z siedmiostronicowego opisu swej podróży do Ambergris i z powrotem. Także autor trzytysięcznostronicowej powieści Odlamek czasu, w której opisuje jeden dzień z życia samotnego pastucha koz. I to w najdrobniejszych szczegółach. Powieść zawiera dwustu-stronicową diatribę potępiającą Manzikerta III, przedstawiająca go jako przykład tyraństwa nadużywającego władzy. – LLUK TARBUTA. Richard Tarbut należał do tych bogaczy, którzy uwielbiali nazywać najprzeróżniejsze rzeczy swym imieniem. Luk Tarbuta jest właśnie jedna z nich. Tarbutowie przenieśli się do Ambergris z Morrow, gdzie między innymi sprzedawali piecyki i kanarki. Podał on zaledwie jeden warunek, od którego uzależnił przekazanie funduszy na budowę luku – po zakończeniu prac miał wraz z rodziną dostać się drabiną na jego szczyt, by urządzić tam przyjęcie. Do czego w rzeczy samej doszło, lecz Tarbut nekany przez błotną osę stracił równowagę i spadł wprost w ramiona śmierci, osiągając tym samym stan bardzo zbliżony do tego, w jakim skończył Brandon Map. Patrz również: Map, Brandon. – MMADNOK, FREDERICK. Wyjątkowo rzucający się w oczy kalamarolog amator o raczej niezbyt ciekawej reputacji, należący do religii spornych spor. Liczebność wyznawców tego kultu znacząco i nieustannie malała, odkąd oficjalnie ogłosili oni swe poglądy (było to związane ze znaczną liczbą niewyjaśnionych zniknięć). Zapadł na złamanie nerwowe po tym, jak chochlik drukarski w jednej z jego monografii, poświęconej kalamarnicom, umieścił ilustrację osmiornic. Patrz również: Hellatose Kodfan, M. MANDIBLE, RICHARD. Jeden z najbardziej znanych wczesnych ekonomistów i naukowców społecznych. Niestety, jak się niefortunnie złożyło, godna szacunku reputacja Richarda została zszargana przez wyczyny jego brata, Rogera, który znalazł się w samym centrum Wielkiego Woskownego Skandalu Nowej Sztuki, jak ochrzcił to jakiś kawalarz. Roger – jak się wtedy wydawało – pozyskiwał woskowninę ze smukłych uszu zasypiających u jego boku kochanek, po czym mieszał ją ze swymi farbami i stąd właśnie pochodziła słynna, cudownie bursztynowa barwa zachodów słońca na jego płótnach wystawianych w Galerii Ukrytych Fascynacji. Gdy tylko odkryto sekret bursztynowej barwy, kariera samego Rogera doznała zaledwie nieznacznego złamania, lecz stateczny Richard, zgorszony i oburzony, po całym zamieszaniu nigdy już w pełni nie wrócił do siebie. Patrz również: Galeria Ukrytych Fascynacji; Nowa Sztuka. MANZIKERT VI. Śmierć z rozkoszy. Gwoli sprawiedliwości i w obronie jego kregosłupa moralnego należy tu napisać, że nigdy tak naprawdę nie chciał być kappanem Ambergris. Tak więc z niesamowitą radością przyjął swe przejście na emeryturę w murach klasztoru, szczególnie że był to klasztor manzistyczny. W tamtych czasach jedyną różnicą między klasztorem manzistycznym a najzwyczajszym burdelem polegała na tym, że ten drugi przyciągał w swe podwoje o wiele więcej księży. Patrz również: Manzikert VII; Manzikert VIII; manzisci. MANZIKERT VII. Śmierć

w wyniku niezwykle poważnego błędu przy nitkowaniu zębów. Co do jego rządów – im mniej powiedziane, tym lepiej. Patrz również: Manzikert VI; Manzikert VIII; manzisci. MANZIKERT VIII. Śmierć pod bieżnikiem opony. Wyjątkowy ekspert i fachowiec w dziedzinie wystawiania spektakularnych ekstrawagancji, nie odniósł jednak w czasie swego panowania żadnych politycznych ani wojskowych sukcesów. Ma na swym koncie wątpliwe wyróżnienie, jakim jest pierwsza historycznie zanotowana śmierć pod kołami wczesnego modelu pojazdu napędzanego silnikiem parowym (doszło do tego oczywiście podczas jednego z Festiwali). Po całym wydarzeniu marke tych silnikowych wehikulów ochrzczono jego imieniem – "manzikert". Patrz również: Manzikert VI; Manzikert VII; manzisci. MANZISCI.

Heretycka religia czcząca szczury, założona zupełnie przypadkowo i niechcący przez Manzikerta I u samego schyłku jego życia. Ową kult miał bardzo niewielki, praktycznie żaden, wpływ na historię, lecz mimo to wciąż niewytłumaczalnie kwitnie, przynajmniej na terenie Ambergris. Nic bardziej nie staje ością w gardle truffidianskim księżom w Dzielnicy Religijnej niż widok szczonego biskupa, szczonej kleryki czy po prostu zwyczajnych starych, sukinkockich szczonej paradujących niespiesznie ulicą podczas Festiwalu Słodkowodnych Kalamarnic, odzianych w specjalnie wykonane na tę okazję połyskujące szaty i srebrne korony. Patrz również: Manzikert VI; Manzikert VII; Manzikert VIII; szczonej księżycowy; szczonej. MAP, BRANDON. Niefortunnie powstała mokra plama. MARTIGAN, RED. Przywódca skazanej na porażkę podziemnej ekspedycji skierowanej przeciwko szarym kapeluszą. Ofiara własnej ciekawości, która inaczej zapewne w ogóle nie zaistniałaby na kartach historii. A tak, dzięki jego wręcz zapierającej dech w piersiach głupocie, Ambergris zapamiętało go po śmierci jako znacznie ważniejszego, niż był za życia. Często postać we wszelkiego rodzaju opowieściach z dreszczykiem – w pewnym sensie po śmierci stał się bardziej namacalny i żywy niż podczas prawdziwego życia. Patrz również: kapeluszerzy; Kretchen; Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta. MASOUF. General, któremu udało się wreszcie pokonać armię Stretchera Jonesa, a nawet własnoręcznie zglądzić tego wielkiego przywódcę powstania. Powiadają, że lkał nad martwym ciałem swego przeciwnika. Po wielu latach zmagania był wielce poruszony, gdy wreszcie udało mu się pokonać jedyne go godnego siebie przeciwnika – i to takiego, który mógł się z nim mierzyć zarówno pod względem umiejętności militarnych, jak i taktycznych. Pochodzący z owego pamiętnego dnia wpis w jego dzienniku brzmi następująco: "Gdy tak wpatrywałem się w jego bladą, zakrwawioną twarz, i gdy złożyłem jego głowę w moje dłonie, a on wydał swe ostatnie tchnienie, poczułem, jakbym wpatrywał się we własną twarz, we własne nieszczęsne odbicie, a gdy życie opuszczało jego oczy, tak i ja przez krótką chwilę czułem się, jakby mnie opuszczało". Trzy dni później Masouf porzucił swe stanowisko dowódcze, by po nieudanej próbie samobójczej zostawić żonę i dzieci, a następnie dwadzieścia lat przeżyć jako pustelnik w dobrowolnie sobie narzuconym odosobnieniu w Zamilonie. Wreszcie przejął na siebie obowiązki samego Stretchera Jonesa i na krótką chwilę wyzwolił najbardziej wysunięte na zachód lenna Kalifa, nim został pokonany przez generała o umiejętnościach przewyższających nawet jego wielką osobę. Zginął, gdy

jego sploszony przez krolika kon, uciekajac z pola boju, zrzucil go z grzbietu. Patrz rowniez: Jones, Stretcher; Zamilon. MIKAL, DRAY. Przypadkowo wybrany przez ceremonialnego byka na petularche, co wciaz jest praktykowanym zwyczajem. Ceremonialny byk, wypuszczony na wolnosc przez kaplanstwo Kosciola Siedmioramiennej Gwiazdy, biega wolno po miescie, dopoki nie wybierze kolejnego petularchy. Proces wyboru dobiega konca, gdy byk da dowolny "znak" swiadczacy o swym wyborze, jaki w oczach ksiezy uznany zostanie za wystarczajaco rozstrzygajacy. W tym akurat przypadku ten "znak" zgubil sie nam gdzieś w stosie odpadkow malo istotnych faktow, wiadomo jednak na pewno, ze tuż przed przejeciem roli petularchy Mikal byl ulicznym sprzedawca warzyw. Przybyl do Ambergris z malej miesciny na polnoc od Morrow, Skaal. Na szczescie jednak od czasow obalenia przed kilkoma wiekami Kosciola Siedmioramiennej Gwiazdy pozycja petularchy byla i jest nadal pozbawiona wiekszego znaczenia. Patrz rowniez: Karolina z Kosciola Siedmioramiennej Gwiazdy. MONSTRUM. W zaleznosci od kontekstu, olbrzymia kula przepychana w kanalach pod miastem badz olbrzymia kula rosnacego grzyba, ktora tez znajduje sie w miejskich podziemiach. Patrz rowniez: grzyb; kapeluszerzy. MUNFROE. Stworzony przez Maxwella Glaringa wiecznie zmeczony antybohater serii Krotch i Munfroe. Nalezy on do postaci zmieniajacych swa forme, ktorych przeszlosc z ksiazki na ksiazke znacznie sie rozni. Poczatkowo byl synem prostych i uczciwych rolnikow wyruszajacych do miasta, by tam zostac ksiegowymi, pozniej staje sie synem ksiegowych wyruszajacych na wies, by wiesc tam proste zycie uczciwych rolnikow. Inne wcielenia rodzicow bohatera zmieniaja sie w zaleznosci od ksiazki – sa zarowno zwiazani zawodowo z cyrkiem, jak i z wojskiem, sa lekarzami lub stolarzami. Pewien jest tu zaledwie jeden fakt – Munfroe mial rodzicow. Patrz rowniez: Glaring, Maxwell; Krotch. MUZEUM MORHAIMOW. Przez wiele lat skladowisko olbrzymiej liczby przedziwnych i najbardziej ekscentrycznych skarbow, poczawszy od pierwszych wydan ksiazek z serii Dreczacych kalamarnic autorstwa Vivian Price Rogers, na nozach szarych kapeluszy konczac. Najwspanialszym klejnotem w calej chwalebnej koronie muzeum jest byc moze bezcenna kolekcja skladajaca sie z przeszlo pieciu tysiecy eksponatow zgromadzonych przez Thomasa Daffeda. Przez wszystkie lata swego istnienia rodzina Morhaimow pozostawala zdecydowanie apolityczna, a co za tym idzie, zyskala zaufanie wielu wplywowych postaci zycia publicznego Ambergris. Patrz rowniez: grzyb; Rogers, Vivian Price; Spacklenest, Edgar; ZOO Daffeda.

EKSPONAT 5: NOZ SZARYCH KAPELUSZY, RZEKOMO

UZYWANY W ICH "RELIGIJNYCH" RYTUALACH;

ZE ZBIOROW MUZEUM MORHAIMOW, GALERIA

"NIEZBYT PRAWDOPODOBNYCH BRONI".

MYSZOLOW SLONOWODNY. Glowny beneficjent wszelkich bitw pomiedzy Stretcherem Jonesem a Kalifem, Kalifem a Michaeliem Brueghelem, Michaeliem Brueghelem a Manzikertem I, Manzikertem I a szarymi kapeluszeniami, Brueghelitami a Szarymi Plemionami, Szarymi Plemionami a Arcyksieciem Malidu, Arcyksieciem Malidu a Kalifem, Kalifem a Ambergris, Ambergris a Haragck, Haragck a Morrow. Myszolow slonowodny jest padlinozerca, na cale zycie laczacym sie w pary. Srednia rozpietosc jego skrzydel wynosi trzy metry, przecietna dlugosc zycia – dwadziescia lat. Od pozostalych myszolowow odroznic go mozna dzieki czerwonym i zielonym refleksom polyskujacym na krancach smoliscie czarnych skrzydel. Patrz rowniez: Arcyksiaze Malidu; Brueghel, Michael; Jones, Stretcher; Kalif; Szare Plemiona. – **NNADAL, THOMAS.** Czlowiek zmarly w infamii, ktorego udzialem stal sie los zbyt smutny, by go tu przyblizac. Niech spoczywa w pokoju, skoro nie bylo mu to dane za zycia. Wierny swemu kochankowi. Wierny swemu miastu. Przekleci wszyscy znieslawiajacy go jedynie z powodu krotkiej chwili slabosci. Patrz rowniez: Jones, Stretcher. **NADWORNY GENEALOG.** Stanowisko w Imperium Kalifa, przyslониete wielkim calunem tajemnicy. Jedynie Nadworny Genealog zna prawdziwa tozsamosc Kalifa, lecz moze upubliczniac zaledwie najbardziej nieprecyzyjne szczegoly dotyczace aktualnie panujacego Kalifa. I choc nikt nie jest w stanie udowodnic tej teorii, to wielu historykow, nie wlaczajac w to jednak piszacego te slowa, wierzy, ze w rzeczywistosci to sam Nadworny Genealog byl niejednokrotnie Kalifem. Patrz rowniez: Kalif. **NIMBLYTODZI.** Plemie zylastych, acz silnych istot od wiekow zamieszkujacych drzewa poludniowych lasow tropikalnych, splatajacych w mocnych konarach swe przypominajace ptasie gniazda szalasy. Nieswiadomi staran truffidijskich misjonarzy, starajacych sie usilnie ich nawrocic, wciaz czcza swiete szczury ksiezycowe i ozdobnopiore drozdokurki. Czlonkowie tego plemienia potrafia bez pomocy instrumentow wydawac odglosy przypominajace dzwiek fletu, dzieki czemu urzadzaja koncerty zwykle zaklocajace cisze gaszczu tamtejszej dzungli. Koncerty "niczym piesni najpiekniejszych aniolow", jesli wierzyc slowom jednego ze wstrzasnietych nimi misjonarzy. Nimblytodzi potwierdzaja swa niezalezosc dmuchaniem strzalek ku kazdemu intruzowi wkraczajacemu na ich terytorium. (Wiekszosc ofiar w ostatnich latach stanowia manzisci). Trucizna uzyta w strzalkach wywoluje dlugotrwała goraczke, po ktorej trafiony zapada w apatie, przeistaczajaca sie w koncu w nieoczekiwane i intensywne pozadanie tego, co akurat trafiony strzalka osobnik ma przed oczami. Koniec koncow i tak, niczym dwaj posepni i ponurzy kuzyni, nadchodzi demencja i smierc. Patrz rowniez: manzisci, szczur ksiezycowy. **NOWA SZTUKA.** Oksymoron. Patrz rowniez: Galeria Ukrytych Fascynacji; Mandible, Richard; Plonace liscie; Sporlender, Nicholas; Sztuka Cienia; Verden, Louis. **NYSIMIA.** Zachodnie miasto znane ze smierci, kurzu, piwa i – juz ostatnio – z pozbawionych sensu teorii zwiazanych z dosiadajacymi kucow najezdzcami, pewnym staruszkiem i szarymi kapeluszeniami. Patrz rowniez: Hyggbouttenowie. **NYSMAN, MICHAEL.** Wysoko postawiony truffidijski kaplan urodzony w Nicei. Choc demonstracyjnie wyslano go do Ambergris, by lagodzil tam cierpienia ludzi oszczedzonych przez Cisze, to jednak dokumenty wydobyte na

swiatlo dzienne juz po jego smierci jasno dowodza, ze kosciol truffidianski wyslal go tam w zupełnie innym celu. Jego misja skladala sie z dwoch czesci. Po pierwsze – mial zbadac Cisze i ustalic, co ja spowodowalo, po drugie – mial opracowac psychologiczny profil ludzi egzystujacych w skrajnym cierpieniu i rozpacz, a nastepnie dostarczyc PrzedSIONowi Nicei pisemny raport dotyczacy sposobow wykorzystania ich cierpienia i rozpacz, celem nawrocen. Raporty Nysmana, opisujace psychiczna meke ludnosci, sa mniej interesujace od raportow zajmujacych sie analiza przyczyn samej Ciszy, w ktorych mozemy odnalezc takie oto fragmenty: "Z calym naleznym szacunkiem, ale nie mam najmniejszego pojecia, jakie korzysci moze nam przynieść odkrycie powodow cierpienia tych ludzi. Z pewnoscia prawda okaze sie dla nas wszystkich zbyt przerazajaca, byśmy mogli ja zatrzymac wylacznie dla siebie, nie zdradzajac tej wiedzy reszcie swiata. Jedyne slowa, jakich jestem teraz w stanie uzyc do opisanie bezdennej rozpacz, ktora zawladnela mna po przybyciu do miasta, brzmią opuszczony przez Boga. Czuje, ze jestem tutaj, w tym miescie, zupełnie i całkowicie pozbawiony Jego obecności". Dalej Nysman opisuje, jak to mniej wiecej podczas Ciszy kilku pastuchow owiec dostrzeglo w samym srodku nocy dziwne swiatlo emanujace od strony Alfar. Jego zdaniem fakt ten ma tu posiadac zasadnicze znaczenie, lecz zamiast zlozyc wizyte w Alfar, nieoczekiwanie zmienil plan podrozy i wyruszył – z zupełnie nam dzis nieznanym powodow – w kierunku Zamilonu. Patrz rowniez: Alfar, Zamilon. – OBRZADEK DEFEKACJI. Najbardziej napietnowany, choc niekoniecznie najohydniejszy z obrzadkow. Patrz rowniez: Zywi Swieci. OBRZADEK EJAKULACJI. Najprzyjemniejszy, choc nieakceptowany spolecznie obrzadek. Patrz rowniez: Zywi Swieci. OBRZADEK MIKCJI. Najbardziej irytujacy ze wszystkich obrzadkow. Patrz rowniez: Zywi Swieci. OBRZADEK WZDECIA. Najbardziej smiercionosny ze wszystkich obrzadkow. Patrz rowniez: Zywi Swieci. OKUPACJA. Terminem tym okresla sie studniowy okres zajecia Ambergris przez wojska Kalifa. Okres Ciszy byl najczarniejszym czasem ambergrianskiej historii. Gdyby nie pomyslowosc i hart ducha zwyklych obywateli miasta, Okupacja moglaby trwac o wiele dluzej. Jak pokazuje nam ponizszy list, napisany przez Davida Ampersa, wlasciciela lokalnej tawerny nazywanej Czerwonogardla Cafe, do mieszkajacego w Morrow kuzyna (owianego zla slawa "walczacego filozofa" Richarda Petersona), dla wojakow Kalifa owe sto dni wcale nie nalezalo do najlatwiejszych: Dlaczego? – To wlasnie pytanie skierowalem do mojego starego druha Steena Pottera (poznales go podczas twojej ostatniej wizyty – to ten obwozny sprzedawca zegarkow), kiedy popijajac sobie siedzielismy w kawiarni, ostrzac noze, by przywrocic je do stanu niezrownanej wrecz ostrosci. A pytanie to towarzyszylo wypowiedzianym chwile wczesniej slowom, w ktorych doszedlem do wniosku, ze nasze miasto, nasze ukochane Ambergris, wpadlo i utknelo nam tego lata w stanie obezwladniajacego i przejmujacego marazmu, niemocy, apatii i depresji. I co takiego odnajduje wtedy przybitego do wlasnych drzwi zarowno ja, jak i wszyscy inni obywatele miasta? Barbarzynsko okrutne pismo od Kalifa tej oto tresci: Najszlachetniejszy z Bogow, Pan i Wladca calego swiata, syn poprzedniego Kalifa, obecny Kalif, do Ambergris, swego nikczemnego i nieczulego niewolnika:

Odmawiając podporządkowania się naszym rządowi, śmiecie nazywać się władcą i panującym. Przejeżdżacie i rozprowadzacie między sobą należące do nas skarby, oszukaliście nasze sługi. Nigdy nie przestaniecie nas niepokoić i irytować waszymi bandami zbrojowców. Czyżbym jeszcze was nie zniszczył? Sądzę więc, że muszę to zrobić o wiele dobitniej niż ktokolwiek w przeszłości. Strzeż się więc, Ambergris! Strzeż się! Och, pomyślałem sobie, że zabrzmiało obiecująco. Ultimatum! Obietnica wybicia nas z naszej rutyny i zastoju – prawdziwe zagrożenie! I to poparte konkretnymi działaniami! Tak więc, co oczywiste, Ambergris rozpostarło szeroko ramiona w geście powitania agresora, by tym mocniej móc go kochać, aż do samej śmierci, kochać na śmierć... Posłanecem, który donosił nam o inwazji, był chłopiec, sprzedawca gazet, który biegnąc ulicami wrzeszczał wniebogłosy: "Armia Kalifa przekracza rzekę, miazdząc wolne armie Kappana!". W mgnieniu oka Ambergris padło, po pięciu latach podgryzania naszych flank przez wojska Kalifa – co za dreszcz podniecenia. W porządku, dalo się z tym przecieżyć, ale czy ten chłopak musiał o tym krzyknąć wszem i wobec całemu światu? I to na dodatek na całe gardło? Istnieje coś takiego jak duma, mój drogi kuzynie, i choć może Steen wykazał się odrobinę przesadną reakcją, nikt jednak nie wypowiedział ni słowa skargi, gdy wycelował i cisnął kamieniem, a celnie ugodzony nim w głowę chłopiec padł na bruk. Duma ma tu dla nas w mieście bardzo istotne znaczenie, choć nie zrozumiesz tego, wszak nie urodziłeś się między nami... Tak więc, skoro wojska Kalifa dokonały udanego najazdu, zebraliśmy się wszyscy wzdłuż bulwaru Albumuth, by obejrzeć obowiązkową Paradę Zdobywców. Dzień był słoneczny, wiał lekki wietrzyk, a jaskółki przecinały niebo nad naszymi głowami lotem przypominającym ruch kosy scinającej lany zboża. Ludzie Kalifa uformowali po obu stronach ulicy rzekomo nieprzeniknioną barierę, uzbrojeni we włocznice, miecze, a nawet małe armatki. Wyglądało to, jakby uważali, że możemy sprawić im jakieś kłopoty. Steen i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Wszystkim, czego obecnie pragnęliśmy, było gorące przywitanie w Ambergris naszych najjeźdźców. General Kalifa, zwany Najwyższym, stanowił zaiste imponujący widok, w swym szmaragdowym turbanie przystrojonym białymi strusimi piórami, w srebrnych ostrogach i z osmioma olifantami kroczącymi nierównym krokiem tuż za jego plecami. A przynajmniej robił tak niesamowite wrażenie, dopóki ktoś ukryty w tłumie nie posłał w jego kierunku noża, który utkwił mu w gardle. Ileż to krwi kryło się w tym człowieku... Z pewnością równie czerwonej jak ta, która mogłaby wypłynąć z każdego innego człowieka w podobnej sytuacji. Niestety, w całym wynikłym zamieszaniu zbrojcy udało się czmychnąć. Kiedy wreszcie udało im się zapanować nad sytuacją i przywrócić jako taki porządek, stłoczyliśmy się na stopniach Palacu Kappana, by stamtąd przyglądać się, jak nasz burmistrz, wraz ze stojącym u jego boku pokonanym, skutym lancuchami Kappanem, oddaje w oficjalnej ceremonii klucze do miasta i przekazuje sakramentalny miecz nowemu Najwyższemu (pospieszenie wylonionemu spośród pięciu olsniewających, choć akurat w tej chwili obficie pocących się oficerów Kalifa). Kappan wykonał swe obowiązki z nieznacznym krzywym uśmiechem na twarzy i konspiracyjnym mrugnięciem oka w stronę tłumy. Straż przyboczna Kappana, jak na te okoliczności, również była w szczególności

radosnym nastroju. W rzeczy samej, ceremonia obfitowała w takie chwile, że sam miałbym niemal wątpliwości, próbując ustalić, która ze stron jest niewolnikiem, a która tak naprawdę zwycięzca... Spoglądający w kierunku tłumu Najwyższy wydawał się zmieszany i zbity z tropu naszym aplauzem i gotowymi szerokimi uśmiechami na naszych szczerzających zębów twarzach. Nim spokój ponownie zagroził na jego subtelnych zachodnich rysach, na krótką chwilę twarz zmaciło mu mgnienie strachu. Oczywiście nie trwało to długo, mimo iż powinienem (chcąc oszczędzić sobie nadwrezania dłoni kilkugodzinnym kurczowym sciskaniem pióra, a tym samym oszczędzając tobie, czytelnikowi, opisu wciągającego wręcz w otchlan nudy) pokrótce streszczyć wydarzenia następnych stu dni. Jak było nieuniknione, następnego Najwyższego otruto, trzeciego natomiast znaleziono martwego we własnym pałacu – tym razem przyczyną śmierci była garota – tak więc Kalif nie miał innego wyjścia, jak tylko wydać wyrok skazujący burmistrza naszej sprawiedliwej, acz zwodniczej metropolii, na powieszenie na szubienicy. Jestem świeżo przekonany, że nie oczekiwał jednak tego, co nastąpiło podczas publicznej egzekucji: wszyscy bowiem głośno wiwatowaliśmy, gdy nasz burmistrz wyruszył ku lepszemu (a przynajmniej czystszyemu) światu. I tak nigdy zbyt za nim nie przepadalismy i najprawdopodobniej sami byśmy to zrobili w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Ale z drugiej strony, po egzekucji wszczęliśmy zamieszki i zabilismy wielu żołnierzy Kalifa, bo mimo wszystko, burmistrz był jednym z nas, nawet jeśli był niekompetentnym sukinsynem sprzeniewierzającym kasę z publicznego skarbcza. Od tej pory wszystko było już tylko kwestią czasu. Każdy nadchodzący świt rzucał światło na kolejną porcję głów nabitych na włocznie wbite w ziemię przy miejskich fontannach. Każdy zapadający zmierzch był okazją do wysłuchania choru wrzasków i błagan o łaskę. Wszędzie, gdziekolwiek się odwrócili, spotykały ich nieszczęśliwe zbiegi okoliczności i zła wola kamiennego oblicza naszego wiekowego miasta. Kiedy przychodzili do mojej tawerny, co, gościłem ich jak królów, serwując im jednak równocześnie wolno działającą truciznę, by w ciągu najbliższych kilku dni mieć i swój udział w pozbyciu się kolejnej grupy żołnierzy. Niektórzy z darzonych przez nich zaufaniem kawalarzy doniesli im, że porozwieszane po mieście czerwone flagi są symbolem naszego oporu, tak więc ludzie Kalifa poździerali je, rozwścieczając tym samym szare kapelusze, które, poruszone w swych szeregach, poklakały chwilę między sobą, a następnie zajęły się masowym "znikaniem" wojaków Kalifa. Zarządca ZOO wypuścił na wolność całą ekspozycję wielkich dzikich kotów, a dokonał tego wprost do baraków osobistej straży przybocznej Najwyższego. Gdy zapadał zmierzch, właściciele sklepów podczołgiwali się do armat Kalifa, by wsypywać do ich luf piasek bądź wlewać klej. Kapłani z Dzielnicy Religijnej kamienowali patrole z powodu pogwałcenia mało znanych i dawno zapomnianych regul, a następnie domagali się przed sądem zwolnienia z kary z tytułu konfliktu religii. Wreszcie, drogi kuzynie, pewnego dnia siły okupacyjne po prostu opuściły nasze miasto, by nigdy donieść powrócić. Pozostałe po nich kosci zapakowaliśmy do skrzyń, a następnie wmurowaliśmy je w ściany porzuconych budynków. Spaliliśmy pozostawione przez nich wozy. Przywłaszczyliśmy sobie ich konie. Wyszorowaliśmy Pałac Kappana. A

potem ponownie powołaliśmy naszego władce na tron. I po raz kolejny z radością wróciliśmy do ustalonego rytmu życia, gdzie sami sobą rządiliśmy, jak nigdy dotąd odświeżeni tym krótkim interludium, eksperymentem w okupacji przez siły obcego Imperium... Powinienes więc wkrótce ponownie nas odwiedzić, drogi kuzynie. Kawiarnia przynosi niemałe zyski i bylibysmy szczęśliwi, gdybys był tu z nami. Miasto jest piękne o tej porze roku. Z pozdrowieniami, David Ampers Patrz również: Arcyksiążę Banfours; Kalif; olifant; Peterson, Richard. OLIFANT. Jedno z najbardziej ulubionych zwierząt Tonsure'a. Te wielkie, szare istoty niemal zdławiły rebelię Stretchera Jonesa w samym jej zarzewiu. Ich nagle i nieoczekiwane pojawienie się na polu walki pod Richter, dokąd sprowadzono je wprost z porośniętych dżungla równin dalekiego południowego zachodu, wywołało tak olbrzymią panikę, że Jones mógł mówić o niesamowitym wręcz szczęściu, iż w ogóle uszedł stamtąd z życiem. Dla Xavera Daffeda te niezwykle łagodne ssaki były tak fascynujące, że poświęcił im całe dwa tomy swej Historii zwierząt. Dla Manzikerta III mięso olifantów było tak soczyste, że pod koniec swego panowania nie jadł już nic innego. A sam Kalif, podczas swego tymczasowego panowania w Ambergris, snuł plany wzniesienia palacu będącego apogeum motywu olifanta w architekturze – kolosalnej budowli w kształcie tego zwierzęcia. Plany obejmowały między innymi tylną część tułowia olifanta, przypominająca dolinę, z szemrzącym strumykiem i amfiteatrem na pierwszym planie. Patrz również: Daffed, Xaver; Jones, Stretcher; Okupacja; Stowarzyszenie Gastronomiczne Miasta Ambergris. – PPEJORA, MIDAN. Najślynniejszy architekt w całej historii Ambergris. To na nim ciąży główna odpowiedzialność za najwspanialsze miejskie budowle, w tym również za słynny Pałac Kappana. Najlepiej charakteryzuje go określenie "geniusz-idiota". Już od wczesnych lat dziecięcych wznosił niemożliwe budowle z drewna, piasku i kamienia, choć nigdy nie był w stanie ukończyć nawet szkoły podstawowej. Jego rodzice wykształcili go wreszcie w domu własnymi siłami, gdy ich sąsiedzi wielokrotnie w tym czasie uskarżali się na małego Pejore, wznoszącego w ich frontowych, przydomowych ogrodkach całe miasteczka pełne architektonicznych obrzydliwości. PETERSON, RICHARD. Założyciel nienazwanej religii, głoszącej naukę o Czerwonym Kwiatu Rosnącym na Skraju Drogi. Korzystała ona z dwunastomiesięcznego kalendarza, w którym każdy miesiąc miał trzydzieści dni. Każdy rok kończył się pięciodniowym Festiwalem Świętego Czerwonego Kwiatu, na który kolejno składały się Dzień Nasionka, Korzenia, Lodygi, Liścia oraz Kwiatu. (Odlamowa frakcja, tak zwani "Naukowi Reformiści", dodawała jeszcze co cztery lata przed samym Dniem Kwiatu dodatkowy Dzień Paczka, w przeciwieństwie do uniwersalnie symetrycznego pięcioletniego cyklu, uznawanego przez prawdziwych wyznawców wiary). Pięć tomów Dodekahedronu (Dwunastokąta) przedstawia jedyne prawdziwe nauki wiary. Każdy tom dzieli się na dwanaście ksiąg (Płatek, Działka, Znamie, Szyjka Słupka, Żalaznie, Słupek, Precik, Pylek, Pylnik, Nitka Pyłkowa, Nektar i Kielich), każda księga natomiast na dwadzieścia czterech rozdziałów po trzydzieści wersów każdy. Wyznawców można zazwyczaj odróżnić po ich znakach rozpoznawczych – czerwonej szarfie i precyzyjnych, idealnie pentagramowych tonsurach. Bractwo Czerwonego Precika, jeden z

obrzadkow tej wiary, slynie ze swej wiedzy i nauk. Specjalizuje sie glownie w geometrii i ogrodnictwie, a slawa ogrodow, otaczajacych kazdy z jego pieciu klasztorow, corocznie przysparza wierze tysiecy nowych wyznawcow. Nieukonczona katedra, majaca byc fizycznym przedstawieniem dodecahedronu, moze pewnego dnia zajac miejsce tych ogrodow jako machina masowych nawrocen. Patrz rowniez: strattonizm; Swiety Czerwony Kwiatusek Verden, Louis. PLESNIAWKA. Patrz: Drozd. PLONACE LISCI. Budzacy szereg kontrowersji periodyk poswiecony sztuce, powszechnie znany z publikacji makabry, literatury budzacej wstret i niepokoj, gdzie slowu towarzysza ilustracje wywolujace dosc podobne emocje. Poczatkowo wydawany przez Ksiegarnie Borges – dopoki redaktorzy magazynu nie wydrukowali nieslawnego Czarnego Traktatu, zawierajacego wielce perwersyjna "mape" nagiego ciala Vossa Bendera, na ktorej schematycznie przedstawiono rozna wartosc jego poszczegolnych czlonkow ciala, a kazdemu z nich towarzyszyla krotka historyjka (w tym najhaniebniejsza i najohydniejsza – napisane przez Sporlendera Drzewko z orzeszkami). Od tamtej pory periodyk wychodzi wylacznie dzieki funduszom pochodzacym z zamieszczanych w nim reklam oraz zyskow ze sprzedazy bezposredniej na miejskich stoiskach. "Plonace liscie" opublikowaly pierwsze dziela takich pozniejszych luminarzy jak: Lois Verden, Nicholas Sporlender, Martin Lake czy Janice Shriek, przedstawily tez swiatu obsceniczne, mechaniczne schematy ekscentrycznego wynalazcy znanego jako Porfal. Pierwszy numer zawieral opowiadanie Corvida Quorka Szalenstwo ptasich masek. Patrz rowniez: Bender, Voss; Ksiegarnia Borges; Sporlender, Nicholas. PLYWAJACY PSYCHIATRY. Grupa etniczna z poludnia, znana z zamieszkiwania na rzecznych barkach, wcielona we wczesnych latach do Imperium Saphanckiego. Rozkwit tych mistykow nastapil juz po upadku Imperium, gdy swoj nomadyczny tryb zycia powiazali z nurtem Moth, zamieniajac tym samym swe okresowe wizyty w polozonych na jej brzegach miastach w wyjatkowo lukratywny interes. Ukrywajac swe tajemnicze zwyczaje religijne pod pozorami racjonalizmu i naukowosci, zyskali reputacje ekspertow w zagadnieniach zwiazanych z utrata zdrowych zmyslow, obsadzajac sie tym samym w roli "psychiatrow", ku wielkiemu zreszta przerazeniu ambergrianskiego establishmentu, dbajacego przeciez o zdrowie psychiczne obywateli miasta. Ich lodzie, zatloczone umyslowo chora klientela, pokryte niezliczona liczba jasnoniebieskich flag, zwykle dobijaly do dokow Ambergris w tygodniu nastepujacym bezposrednio po Festiwalu Slodkowodnych Kalamarnic, skad zabieraly kolejna zmiane pacjentow. Patrz rowniez: Festiwal Slodkowodnych Kalamarnic; Imperium Saphanckie. PORFAL. Wynalazca najszerzej znany z Kapsuly Pamieci Porfala – niezbednika i koniecznosc festiwalowej. Zaprojektowal rowniez monete w ksztalcie noza, wypuszczona na rynek przez Hoegbottona i Synow jako przedmiot pamiatkowy, projekt jednak dosc szybko zarzucono w pospiechu w zwiazku z licznymi ranami klutymi, jakie zadano podczas kolejnego Festiwalu. Najbardziej kontrowersyjne wynalazki Porfala maja erotyczna nature, a mozna tu wspomniec m.in. dzialajaca na miod maszyne orgazmu, mechaniczny ssacz palcow u stop czy obrosla wielka nieslawa odwrocona dziewice, w ktorej zamykano nieszczesnych

mezczyzn goniacych za ekstaza, po to tylko, by juz w zamknieciu odkryli oni, ze wymagania stawiane im przez maszyny sa zbyt wielkie, by mogly im podolac ich slabe serca. Patrz rowniez: kapeluszerzy; Monstrum; Plonace liscie; Spacklenest, Edgar.

EKSPONAT 6: ORYGINALNA OKLADKA PIERWSZEGO NUMERU

**"PLONACYCH LISCI"; WYSTAWIONA W MUZEUM MORHAIMOW,
SKRZYDLO "HISTORIA POLUDNIOWYCH PERIODYKOW".**

POLNOC MUNFROE'A. Tytul pierwszego tomu cyklu powiesciowego Maxwella Glaringa, w ktorym autor opisuje podszyte intryga zmagania antybohatera Munfroe'a z jego przeciwnikiem, opetany zadza zbrodni Krotchem. Swego czasu Voss Bender rozwalal skomponowanie opery opartej na watkach tej powiesci, lecz zarzucil ow zamysl po zapoznaniu sie z dalszymi odslonami cyklu. Co bylo rzekomym powodem takiej decyzji Bendera? "Juz obecnie na naszym swiecie istnieje zbyt wielu Krotchow". Ksiazka po raz pierwszy pojawila sie w odcinkach na lamach "Straszliwych opowiesci", co zapewne wyjasnia rwane tempo jej akcji – znaczna liczbe jej zawieszen w najbardziej dramatycznych momentach, idacych w parze z najbardziej szalonymi ucieczkami z wyjatkowo trudnych opresji. Sukces ksiazki byl niewytlumaczalny nawet dla samego autora, ktory poprzysialg sobie juz nigdy wiecej nie pisac kolejnych opowiesci o Munfroe i Krotchu, by po krotkiej chwili przystapic do nieprzerwanej, wrecz masowej produkcji kolejnych. Patrz rowniez: Bender, Voss; Glaring, Maxwell; Krotch; Munfroe; Straszliwe opowiesci. – RRELIGIJNY INSTYTUT W MORROW. Mimo iz Ambergris jest tyglem wielu religii, to Morrow jest miejscem ich zglebiania. Pozbawione jest ono jednak zarowno pozadliwego parcia prawdziwego zycia, jest rowniez religijnej duszy. I to az do tego stopnia, ze wiare trzyma sie tu jak najdalej na odleglosc wyciagnietych ramion, by umozliwic doglebne zbadanie jej anatomii. Religijny Instytut w Morrow slynie wlasnie z takiej wnikliwej analizy religii, czesto zakrawajacej wrecz na sekcje. I choc wywodzi sie stamtad kilka slynnych postaci, jak rowniez wielu nauczycieli, to zatrwarzajacy ogol absolwentow, wystawionych na dzialanie religii w jej czystej formie, badz to "asymiluje sie", badz oddaje przyjemnosciom zbyt smiertelnego ciala. W dawnych czasach nazywano go Instytutem Religijnosci. Patrz rowniez: Signal, Cadimon. ROGERS, VIVIAN PRICE. Dorastala na farmie jako jedyna dziewczyna wsrod osmiu braci. Odbila sobie wszystkie te lata na niesfornym i klotliwym rodzenstwie, odzwierciedlajac braci jako bohaterow swego cyklu powiesciowego Dreczacych kalamarnic. Przez wiele lat, na wielu stoiskach w Ambergris, ksiazki z tej serii sprzedawaly sie o wiele lepiej niz dzieła samego Henry ego Flacka. W pozniejszych latach Rogers przyjela honorowe stanowisko w Ksiegarni Borges, gdy jej bracia niezmiennie wiedli swe zycie w ten sam stary sposob, od switu do zmierzchu harujac niczym woly przy gospodarce.

Patrz rowniez: Ksiegarnia Borges; Muzeum Morhaimow. RYBIA GLOWA. Swieta. Albo gnijaca. Zwiazana z Kampania Obywatela Ryby. Patrz rowniez: Kosciol Rybaka.

EKSPONAT 7: UNIKATOWE PIERWSZE WYDANIE KLASYCZNEJ POWIESCI VIVIAN PRICE ROGERS Z CYKLU "DREZCZACYCH KALAMARNIC"; ZE ZBIOROW MUZEUM MORHAIMOW, BIBLIOTEKA "PIERWSZYCH WYDAN". – SSABON, MARY. Agresywna, choc czasem blyskotliwa historyczka, ktora zbudowala swa reputacje na trupach starszych, palajacych do niej wielka miloscia historykow. Sto siedemdziesiat kilka centymetrow wzrostu. Okolo szescdziesieciu kilogramow wagi. Rude wlosy. Zielone oczy o niezmiernie glabi. Elegancka strojnisia. Jej usmiech rozpala meskie wnetrznosci. Przeciwniczka Jamesa Laconda. Podczas rozmowy potrafi ciac pojedynczym slowem. Autorka kilku ksiazek. Patrz rowniez: Lacond, James. SAPHANT. Patrz rowniez: Imperium Saphanckie. SHARP, MAKSYMILIAN.

Prawdopodobnie najzdolniejszy, choc z drugiej strony najnieznosniejszy z pisarzy, jakich kiedykolwiek wydalo Poludnie. Ze wszystkich niechlubnych historii krazacych na jego temat wsrod wspolpracujacych z nim wydawcow i redaktorow ledwie jedyna poparta jest rzeczywiscie istniejacymi dokumentami. Dotyczy wspolpracy pisarza z Frankwrithem Lewdenem, u ktorych autor regularnie publikowal swe utwory, czy to w najprzerozniejszych periodykach tego wydawnictwa, czy tez w formie ksiazek czy broszur. Pewnego razu najwyrazniej niezbyt przypadla mu do gustu wypowiedz Andrew Lewdena (jego redaktora) wygloszona podczas jednego z przyjec, w ktorej tamten scharakteryzowal go slowami "na swoj sposob arogancki", w efekcie czego Lewden otrzymal przytoczony ponizej oficjalny list. Wedlug doniesien swiadkow, redaktor go przeczytal, usmiechnal sie, po czym wyrzucil go do kosza, a nastepnie niezwlocznie wyprzedal wszystkie tytuly Sharpa. A oto tresc listu: Od: Lorda Sharpa I, Zarzadcy Swietego Slowa i Straznika Pochodni Zycia. Do: Andrew Lewdena, Kanalii Niskiego Pochodzenia, Zarzadcy Znikomych Resztek Pieniedzy i Straznika Pisarzy bez Innego Wyboru (aktualnie). Re: Oficjalne pismo w odpowiedzi na ostatni list Andrew Lewdena oraz na wygloszony przez niego w ubieglym tygodniu niegodny komentarz, w 34 roku milosciwego nam panowania Lorda Sharpa I. Niniejszym niezwlocznie w pospiechu skreslone: Drogi Lewdenie, (1) Moj Lord Sharp wyraza swa wdziecznosc za przyjety przezen z uznaniem, choc wyjatkowo krotki i nedznie wygladajacy list z ubieglego tygodnia. Prosi, bym ci przekazal (sam bowiem zajety jest nieskonczenie wazniejszymi sprawami zwiazanymi z tworzeniem i redakcja, nie ma wiec najmniejszej chwili wolnego czasu, by moc zajmowac sie dochodzacych don z zapuszczonych i odleglych krancow swiata entuzjastycznymi okrzykami roznych redaktorow), ze choc docenia nadeslany Mu egzemplarz najnowszego numeru magazynu, zawierajacy Jego tak wychwalana opowiesc Chwala miala moje imie, to jednak zauwaza, ze na okladce nie umiesciles jego nazwiska zlozonego wystarczajaco wielka czcionka – ani tez nie umiesciles go jako pierwszego, z ujma dla pozostalych (pomniejszych) nazwisk na wspomnianej wyzej okladce. Co gorsza, owa historia nie otwiera otrzymanego numeru magazynu, ani tez nie towarzyszy jej zadna wyjatkowa ilustracja, a – wreszcie – towarzyszaca utworowi notka

biograficzna nie ma zadowalającej długości, ani też adekwatnie nie opisuje kariery Jego Lordowskiej Mosci, gdyż nie wspomina (co jest zwykłą, normalną praktyką w przypadku dzieł Lorda Sharpa, a z pewnością również i powszechnie znanym faktem), że jest On "najwspanialszym głosem zarówno swego, jak i wszystkich pozostałych pokoleń". (2) Wszystko, o czym wspomina powyżej, to niepokojąco karygodne czyny i występki, panie Lewden, i mimo iż nie budzą zbyt dużych obaw Jego Lordowskiej Mosci w związku z niskim nakładem waszego magazynu, jak również z nikłymi korzyściami finansowymi, które z niego płyną, jest On jednakże osłupiały i skonsternowany, dlategoż to z takim uporem starasz się sciągnąć na swą głowę Jego Lordowska Wściekłość. Z pewnością w chwili, gdy raczył ci zaprezentować ową podniosłą reprint, pochodzący sprzed kilku lat, złożył na twe barki najbardziej doniosły ze wszystkich obowiązków: właściwe reprezentowanie nie tylko twórczości Lorda Sharpa, lecz również Jego wizerunku. Jeżeli żadna właściwa ilustracja nie leżała w zasięgu twych możliwości, sam Lord Sharp – poprzez rece wielu spośród Swych wiernych i oddanych sług – byłby więcej niż szczęśliwy, mogąc dostarczyć ci błyszczące przedstawienie Swego sławetnego oblicza w trzech czwartych profilu. Nie tylko byłoby to, w związku z cudowną perfekcją Jego Lordowskiego Oblicza, bardziej adekwatne i na miejscu, lecz również doskonalsze od jakiegokolwiek ilustracji (oczywiście o ile tylko istniałaby taka mityczna ilustracja przedstawiająca Jego Lordowska Mosc). (3) W każdym razie, biorąc po uwagę niespotykaną wręcz łaskawość Lorda Sharpa, zostałem przez Niego poinstruowany, by oficjalnie wybaczyć ci twe przewinienia związane z powyższymi wykroczeniami, a tym samym przekazać ci, że jeśli tylko kiedykolwiek odwiedzisz włości Jego Lordowskiej Mosci, dozwolone ci będzie ucałować Jego dłoń, a nawet zachować w formie relikwii pomietą kartkę papieru wyciągniętą z kosza na nieudane pierwsze szkice Jego utworów.

(4) Wreszcie, jak sam napisałeś, panie Lewden, zwykli śmiertelnicy być może i mogą dołączać do swych listów znaczki pocztowe konieczne do późniejszego odesłania im manuskryptu, ale jak też dała nam do zrozumienia twoja wypowiedź, Lord Sharp, niczym niekonczący się i nieprzerwanie trwający ciąg kolejnych Kalifów, jest najbardziej wyjątkowo niesmiertelnym, i to w ten najbardziej trwały ze wszystkich sposobów: poprzez chwale Swego słowa pisanego. Co za tym idzie, jeśli chodzi o poruszony przez ciebie temat, wymagamy, byś natychmiast, bez najmniejszej chociażby chwili zwłoki, podrzucił nam celem uważnego przestudiowania potarganą kartkę, by użyć tu tak pospolitego określenia, recenzji Testamentu, najwspanialszej książki Jego Lordowskiej Mosci. (W rzeczy samej, nie będzie On wcale jej czytał, a jedynie zleci jej przeczytanie jednemu ze Swych oddanych sług; czy też, co nawet bardziej prawdopodobne, jeden z Jego obdarzonych darem słowa poddanych tak przepisze całą recenzję, by płynęła ona niczym czyste złoto, a nie jako płynne odchody. A co za tym idzie, by nie trapiła nawet w najmniejszym stopniu Jego Szlachetnych Lordowskich Uszu; nic bowiem tak nie rani Jego Lordowskiej Mosci jak niepoprawnie stworzone i zapisane zdanie). (5) I już na samo zakończenie chciałbym

Jedynie ci przypomnieć, panie Lewden, że wielkimi krokami zbliża się czas składania corocznego holdu Jego Lordowskiej Mosci. W obecnym roku, jak zapewne bardzo dobrze zdajesz sobie sprawę, składa się on z trzech dni czytania na głos dzieł Lorda Sharpa, dwóch zglebiania ich w ciszy i jednego spędzonego na własnoręcznym ich przepisywaniu, tak byś mógł pełniej pojąć, jak to geniusz w rzeczy samej zstąpił nam na nasz padół. Unizony i oddany sługa, Gerold Bottek (jeden z wielu poddanych Lorda Sharpa) PS. Jego Lordowska Mosc chciałaby przekazać ci Swą wdzięczność za kilka wcześniejszych (nawet jeśli tak odległych w czasie) miłych słów skierowanych pod Jego adresem, wydrukowanych w różnych czasopismach, których z pomocą sług Swych z uwagą wysłuchał. Jak nakazał mi donieść, cechowały się one "nieoszlifowana elokwencja, tak niepodobna do tego sukinsyna, bez wątplenia więc musiały je zainspirować Moje dzieła". Tak więc Lord docenia twoją uwagę, a tym samym rozkazuje mi przekazać, iż w obecnym roku możesz opuścić jeden z trzech dni głosnego czytania Jego dzieł. Patrz również: Frankwithe Lewden. SHRIEK, DUNCAN. Wiekowy historyk, urodzony w Stockton, który w latach młodości opublikował kilka słynnych poświęconych historii książek, od tego czasu dawno już wyprzedanych, a atakowanych z furii przez krytyków, którzy i tak wszystko wiedzą najlepiej. Jego ojciec, również historyk, zmarł z radości, czy też raczej należałoby napisać – w wyniku ataku serca wywołanego wiadomością, że dostąpił wielkiego zaszczytu na dworze Kalifa. Duncan miał wtedy dziesięć lat. Od tego czasu nigdy nie spotkały go jakiegoś szczególnie wyjątkowe, mogące pozbawić życia zaszczyty, lecz raz jeden znalazł się na indeksie, wpisany tam przez Przewodniczącą Truffidianskiego. Był również uznanym ekspertem w dziedzinie szarych kapeluszy, chociaż co rozsądniejsi obywatele ignorowali nawet te najmniej dziwaczne spośród jego teorii. Swego czasu miał tyle niebywałego szczęścia, że znalazł miłość swego życia, jednakże nie starczyło mu go już na zatrzymanie jej u swego boku ani na powstrzymanie jej przed kradzieżą własnych pomysłów i skompromitowaniem go na arenie historycznej. Wciąż jednak ją kocha, oddzielony od niej niemożliwymi do przebycia rozlewiskami imperiów i wielce aroganckim literatem. Patrz również: szczury. SIGNAL, CADIMON. Wielce intrygujący człowiek zajmujący się religią, łączący w swej pracy elementy zwykłych występów z najwyższym poszanowaniem życia duchowego. To spośród jego kuratoriów wyszli najlepsi misjonarze, jacy kiedykolwiek opuścili Religijny Instytut w Morrow. Spędził dziesięć lat na medytacjach z mnichami w Zamilonie. Znany z płomiennych wykładów dotyczących Żywych Świętych i meczenników. Patrz również: Religijny Instytut w Morrow; Zamilon. SIMPKIN, WILLIAM. Dyrektor placówki dbającej o zdrowie psychiczne mieszkańców Ambergris, która od środka przypomina raczej pozbawiony wyjścia labirynt. Jest również głównym przesłuchującym we wszystkich nowych przypadkach psychiatrycznych. Na boku zajmował się pisaniem prozy, wydał kilka tomów opowieści rozgrywających się w wyimaginowanym królestwie rządzonego przez myszkę. W głębi duszy – pozbawiony serca sukinsyn. Patrz również: Pływający psychiatrzy. SIRIN. Pisarz i redaktor, który przyszedł na świat w pobliżu Zamilonu, znanego nawet w najdalszych zakątkach świata. Zapisał się w pamięci głównie dzięki serii fikcji rzekomo opisujących różnorakie aspekty ambergriskiej historii.

Ponizszy fragment, pochodzący z pamiętników Janice Shriek, dostarcza nam jednej z najpełniejszych charakterystyk jego postaci: Slawa Sirina pisarza zaczęła się rozprzestrzeniać wraz z podpisaniem przez niego kontraktu z Hoegbottonem i Synami. Posiadał, podobnie jak mityczne zwierze, od którego zaczerpnął swój pseudonim, tak typowe, a jednocześnie tak uniwersalne cechy osobowe, że nie jestem w stanie dokładnie go opisać... Był niski? A może wysoki? Miał jasną? A może ciemną karnację? Zieloną? A może piwną oczy? Jego wygląd fizyczny i tak nie odda wagi jego osobowości (zmiennej niczym rzeź, złośliwej, wszytkowiedzącej; ktoś mógłby sobie pomyśleć, że to on stworzył nas wszystkich, a nie tylko powracająca wielokrotnie w jego utworach postać Iksa). Sirin wprowadził do swej redakcji tekstów tę samą jakość, jaką można odnaleźć w jego dziełach – był w stanie naśladować każdy styl, czy to wysoki, czy niski, poważny czy komediowy, mimetyczny czy bajkowy. Czasem odnosiło się wrażenie, że to miasto wyszło spod jego pióra. Albo przynajmniej sprawiał, że mieszkańcy widzieli je w zupełnie innym świetle. Za bardzo myślał o sobie, lecz jego arogancję tolerowano ze względu na głębię i ogrom jego talentu, ten zaś dawało się porównać tylko z jego bezczelnością. Pewnego razu prosto w twarz znieważył Przewodniczącą i to podczas truffidianskiego święta. Na początku kariery publikował wszelkie możliwe rodzaje broszur, tworząc fikcje, które podawał za rzeczy dokumentalne, jak również tworząc rzeczy dokumentalne, które uchodziły za fikcje. Fakt, że jego czytelnicy nie byli w stanie wychwycić pomiędzy nimi żadnej różnicy, napawał go absurdalnym i niedorzecznym poczuciem radości. Jego najsłynniejsza mistyfikacja to esej zatytułowany Wczesna historia miasta Ambergris, który nie tylko spowodował zatrudnienie go u Hoegbottona i Synów, lecz w efekcie doprowadził także do zamówienia przez wydawcę u mojego brata Duncana broszury opisującej najwcześniejszą historię miasta, która ten – w holdzie Sirinowi – stworzył w oparciu o jego oryginalne dzieło. Podsumowując, Sirin był skłonny kopiować powieści w swych esejach na równi z mumifikacją w nich traktatów czy rozpraw zależnie od tego, jaki miał własnie kaprys. Był również skrupulatnym "przepisywaczem", który swymi bezustannymi linijkowymi poprawkami (och, gdyby tylko o tym wiedział...) doprowadzał Duncana do szalu. Biuro Sirina, kiedy pracował jeszcze jako redaktor dla skrzydła wydawniczego Hoegbottona – ostoji kultury w ostępach tego instrumentu chciwości, jakie tworzyło HL Central – zmieniało się w zależności od panującej na zewnątrz pory roku. Zima i wczesna wiosna biurko Sirina zakopane było pod kontraktami, manuskryptami, propozycjami, raportami finansowymi i wszelkimi powiazanymi z tym książkami; wszystkim, co miało zostać wydane w nadchodzącym roku. Gdy rok powoli się rozwijał, jego biurko zrzucalo z siebie większość tego chaosu, a wraz z nadejściem jesieni pozostawały na nim jedynie ukończone książki oraz magazyny i gazety nabrzmiałe od recenzji dzieci Sirina, zarówno tych jasnych, jak również niepocholebnych. A wtedy nadchodziła kolejna zima i znowu ciężar rzeczy obiecanych i obiecujących zaczynał zalegać na jego biurku, by wreszcie całkowicie je przysłonić. Jego biuro miało najcudowniejszy zapach na świecie, i to niezależnie od pory roku; zapach pochodzący od pergaminu, atramentu i książek, które dopiero co wyszły z

drukarni. Jednym z aspektów, które najbardziej wyróżniały jego biuro, oczywiście prócz samej banalnej rozległości chaosu na luksusowym biurku oraz unoszącego się w powietrzu zapachu cygar i wanilii, były cylindryczne szklane habitaty wykonane specjalnie na zamówienie przez dmuchacza szkła z Morrow. Toczyły się one w nieładzie na stoliku za jego biurkiem, w pobliżu owalnego okna z widokiem na bulwar Albumuth. Każdy z nich miał wycięte w szkłe małe otworki, zawierające kolejno gasienice, poczwarkę oraz w pełni ukształtowanego motyla. Wielokrotnie, gdy jego sekretarka wprowadzała mnie do środka, widziałam go, jak niespiesznie i z przyjemnością zajmował się swymi podopiecznymi, lecz najlepiej zapamiętałam chwilę, gdy stał tam, lamentując nad truchłem jednego z motyli. Wrócił właśnie z wymuszonych wakacji na Wyspach Południowych, narzuconych mu w związku z zaangażowaniem się w Kampanie Obywatela Ryby. Kiedy zbliżałam się do niego, odwrócił się w moim kierunku. Miał bystry wzrok, lecz jego oczy spoglądały na mnie z pewnym roztargnieniem z powodu srebrnych oprawek okularów. Obdarzył mnie wtedy swym słynnym spojrzeniem, które mogło przeniknąć ściany i sprawiało, że nawet najbardziej uparty mnich truffidianski zaczynał mówić. W ciągu najbliższych trzech tygodni jego eleganckie oblicze miało zdradzić HS i przejść na nowe stanowisko do konkurencji, Frankwithe'a Lewdena. Lecz nim minęło sześć miesięcy, znowu kroczył ulicami Ambergris, jak gdyby ta zdrada nigdy nie miała miejsca. – Spójrz tylko – powiedział. – Moj ukochany kappan szafirowy został właśnie skolonizowany przez emisariuszy szarych kapeluszy. – Na jego wyciągniętej dłoni, przypominającej raczej dłoń pianisty niż redaktora, leżało pomazane zarodnikami grzyba poskrecane truchło ukochanego motyla. Spotkaliśmy się w połowie drogi między drzwiami a jego drogocennymi szklanymi habitatami. Wpatrywałam się w istotę leżącą na wyciągniętej dłoni Sirina. Miał rację – martwy motyl był całkowicie pokryty warstwą szmaragdowozielonego grzyba. Rozłożone skrzydła wypuściły tysiące grzybowych kolonistów w chaosie antenek o czerwonych czubkach, które przypominały niemalże czułki. Motyl wyglądał jak złożona nakrecona zabaweczka pokryta klejnotami. Był jednak obecnie o wiele piękniejszy niż za życia – nie był to zaledwie motyl zadławiony grzybem, lecz zupełnie nowa istota. Nawet faktura jego egzoszkieletu wydawała się odmienna, jakby bardziej subtelna. Wpatrywałam się w motyla i nieoczekiwanie ogarnęło mnie niedające się sprecyzować poczucie strachu. To, co spotkało tego motyla, zbyt przypominało mi proces, który powoli zaczął pochłaniać mojego brata, gdy ten coraz głębiej pograżał się w swych badaniach nad szarymi kapeluszami. – Przerazająca strata – stwierdził. – Wstyd manzikerckich wręcz rozmiarów. – Tak, rzeczywiście – odpowiedziałam. – Masz rację. – Ale nie miałam pewności, czy ma na myśli motyla, czy coś zupełnie innego, bardziej ulotnego, nieuchwytnego i niebezpiecznego. Patrz również: grzyb; Kampania Obywatela Ryby; Shriek, Duncan; Zamilon. SKAMOO. Dumna, trzymająca się na uboczu grupa, dobrze przystosowana do śniegów zmrożonych północnych regionów. Niektórzy historycy próbowali powiązać Skamoo z Zamilonem, twierdząc, że to właśnie ich przodkowie zbudowali tamtejszą fortecę-klasztor. Patrz również: Zamilon. SPACKLENEST, EDGAR. Autor kultowej powieści Lord Kaptur i niewidzialna kalamarnica. Pochodził z

arystokratycznej rodziny. Mieszkał z matką, babką i siostrą w posiadłości leżącej na rozciągających się na zachód od Ambergris mokradłach. W swym pokoju na drugim piętrze z widokiem na rzekę Moth spędzał niekonczące się godziny, skrobiąc piórem w czarnym notatniku i co kilka miesięcy regularnie wysyłając kolejną opowieść do "Straszliwych opowieści" (które je odrzucały, gdyż w oczach redaktorów tego periodyku historie owe były zbyt niezrozumiałe), bądź też do "Plonących liści" (które z kolei odrzucały je z powodu zbyt dużego tradycjonalizmu). Koniec końców, przyjaciel rodziny przekonał Ambergriański Departament Licencjonowania Publikacji Prasowych do wydania pierwszego zbioru opowiadań Spacklenesta, zatytułowanego *Petje* i inne rodzaje broni. Książki wydano w twardej okładce i sprzedawała się zaledwie w dwudziestu pięciu egzemplarzach, w związku z czym Ambergriański Departament Licencjonowania Publikacji Prasowych zrezygnował ze Spacklenesta jako jednego ze swych autorów broszurowych. Przez kilka lat nie podjął on dalszych prób opublikowania własnych utworów; zamiast tego zajął się tworzeniem klasyków, zebranych później i wydanych już pośmiertnie przez Frankwrithe'a Lewdena w zbiorach *Najczarniejsza z nocy* oraz *Mroczne znaki*, czające się za zasłoną. FL wydał, również pośmiertnie, powieść *Lord Kaptur*, która sprzedawała się wyjątkowo dobrze i doprowadziła do obecnego, kultowego statusu autora. Już po napisaniu *Lorda Kaptura* przygłębiony Spacklenest porzucił zarówno pisanie fikcji, jak i dom rodzinny, przenosząc się do małego mieszkanka przy bulwarze *Albumuth* w Ambergris, gdzie przyjął stanowisko archiwisty w Muzeum *Morhaimow*. W późniejszych latach pod pseudonimem *Anne Sneller* wydał szereg książek niebeletrystycznych, w tym m.in. *Historie obwoznych szarlatanskich pokazów medycznych* i innych niegodziwych prestidigitacji. Zarówno *Lorda Kaptura*, jak i opowiadania odkryto wśród rzeczy osobistych autora po jego śmierci, do której doszło w wyniku ran klutych zadanych monetą *Porfala* podczas jednego z wyjątkowo krwawych *Festiwali*. Patrz również: *Frankwrithe Muzeum Morhaimow*; *Plonące liście*; *Porfal*; *Straszliwe opowieści*. **SPORA SZAREGO KAPELUSZA**. *Tawerna*, w której *Duncan Shriek* napisał przeważającą część swej *Wczesnej historii*. *Wspaniała kryjówka* i *miejsce relaksu*, dogłębnie opisana w *Hoegbottonskim przewodniku po barach, pubach, tawernach, gospodach, restauracjach, burdelach i azylach*.

EKSPONAT 8: PIERWSZE WYDANIE "NAJCZARNIEJSZEJ

Z NOCY" EDGARA SPACKLENESTA; WYSTAWIONE

W MUZEUM MORHAIMOW, SKRZYDŁO

"HISTORII POLUDNIOWYCH WYDAWNICTW".

SPORLENDER, NICHOLAS. Autor przeszło stu książek i broszur religijnych o charakterze instrukcyjnym, m.in. *Sary w Krainie Westchnień*, *Truffidijskich wotów religijnych dla laika* czy *Zestawienia dziennych ofiar dla członków Kościoła*

Siedmiobocznej Gwiazdy. Wiele z jego ksiazek zawieralo idee "walczacego filozofa" Richarda Petersona. Czesto wspolpracowal z artysta Louisem Verdenem, nim ich drogi rozeszly sie po gwaltownej sprzeczce. W swych wspomnieniach tak oto opisal to wydarzenie: "To nie tak, ze nie mielismy pojecia, iz cos takiego sie zbliza. Zaczelo sie od uporu Verdena. I jego nudnej obsesji na punkcie strattonizmu. Po prostu nie potrafil odpuscic i chociazby na krotka chwile odlozyc swej obsesji na bok. Zawsze bylo – Stratton to, Stratton tamto, Stratton siamto. Prosilem go:»Daj na chwile temu spokoj. Usiluje pisac«. Wreszcie, wylacznie po to, by zablokowac caly ten jego strattonizm, przyjalem nauki Petersona. Lecz on ciagle nie przestawal". Pieciokrotny zdobywca najbardziej prestizowej nagrody literackiej Miast Poludniowych – Trilliana. W pozniejszych latach przeniosl sie z zona i trojka kotow do Morrow. Patrz rowniez: Karolina z Kosciola Siedmioramiennej Gwiazdy; Nowa Sztuka; Peterson, Richard; Plonace liscie; Straszliwe opowiesci; strattonizm; Verden, Louis. SPORNY. Termin potocznie uzywany w calym Imperium Kalifa w odniesieniu do szarych kapeluszy. Poddani Kalifa nazywaja swiety symbol szarych kapeluszy "znakiem komara", a ich podziemna kraine "komarlandia". Patrz rowniez: grzyb; Kalif. EKSPONAT 9: WSPOLCZESNA INTERPOLACJA SYMBOLU SZARYCH KAPELUSZY WYKONANA PRZEZ AWANGARDOWEGO ZACHODNIEGO MALARZA ORIMA LACKPOLE'A, ZATYTULOWANA "SPORNY ZNAK

KOMARA 3": WYSTAWIONA W MUZEUM MORHAIMOW, SKRZYDLO "WSPOLCZESNYCH ARTYSTOW".

STOCKTON. Miasto jeszcze nudniejsze niz Morrow (kto by pomyslal, ze to mozliwe?). Rownie dobrze moglyby je zamieszkiwac malpy czy olifanty, a nie ludzie. Nie ma nawet Religijnego Instytutu, ktory moglby rozproszyc ziejaca tam nude. Przypadkowo, jak sie sklada, miejsce urodzin Duncana Shrieka. Patrz rowniez: Busker, Alan. STOWARZYSZENIE GASTRONOMICZNE MIASTA AMBERGRIS. Zalozone za panowania Trilliana Wielkiego Bankiera. Wydalo wiele ksiazek, w tym Tysiac przepisow na potrawy z kalamarnic czy Eksperymentujac z roznymi rodzajami tluszczu. Pewna nieslawie przynioslo mu zdradzenie tajemnicy brakujacych skladnikow Rozkoszy Olifanta – pol kilograma wisni, osiem kilogramow slodkowodnej kalamarnicy, osiemdziesiat litrow koziego mleka, dwa i pol kilograma pasty rybnej (najlepiej z fladry) i trzydziesti deko szparagow. Patrz rowniez: olifant. STRASZLIWE OPOWIESCI. Magazyn poswiecony przygodowym opowiesciom z dreszczykiem, wydawany i redagowany przez niesamowitego wyzyskiwacza – Matthew Palwine'a. W stajni jego autorow znalazly sie takie slawy grafomanstwa jak Rachel Thorland, Gerold Picklin i Salzbert Flounder. "Straszliwe opowiesci" zdobyly popularnosc glownie dzieki natlokowi bledow typograficznych, od ktorych wrecz roilo sie na stronach magazynu, dlatego wlasnie staly sie oczkiem w glowie zwolennikow nurtu "rzeczy znalezionych" Nowej Sztuki. Nicholas Spolender wyjatkowo okrutnie zabawial sie wypisywaniem listow do redakcji na tematy w

rodzaju: "Dlaczego pozalowania godny, acz przewrotny blad (i to dwukrotnie w calym tekscie!) wynikly z opuszczenia pewnej spolgloski, bledu ortograficznego i przestawienia dwoch pozostalych liter (a wszystko to w obrebie trzech ledwie znakow!) w pierwszym slowie wyrazenia Krolestwo Milosci, uzytego w opowiadaniu Z cierpiaca miloscia na drugim planie Salzberta Floundera, sprawia, ze wizja autora staje sie raczej ponura niz rzewna". Patrz rowniez: Nowa Sztuka; Polnoc Munfroe'a; Spurlender, Nicholas. STRATTONIZM. Wyznawcy mitu dwukomorowego mozgu. Zawsze trwali w konflikcie ze zwolennikami Richarda Petersona, glownie wskutek braku zrozumienia swych wlasnych nauk, nie wspominajac juz o zrozumieniu nauk grupy przeciwnej. Typowy wypis z tekstu przewodniego strattonizmu Swiadomosc pochodzenia dwukomorowego rozlamu umyslu brzmi nastepujaco: "Wspolistnienie i zrozumienie monoizmu jako spojnego z rekwizycja grawitacyjna czy synaptycznymi rewolucjami umyslu nie moze byc nadmiernie mitygowane podczas jakiegokolwiek dysputy dotyczacej konkatenacyjnych narratywizacji czy jedynie ledwie rozwazan slobberkianskich mandatow bilateralnych". Jeden z rysunkow w ksiazce przedstawia mozg ze strzalkami wskazujacymi na "bandaiczna jame halucynacyjna", "bilateralny impuls konwulsyjny" oraz "miejsce powstawania herezji RP". Wiara, ze mozg moze rozmawiac z samym soba, doprowadzila podczas spotkan strattonistow do kilku wielce konfundujacych rozmow. Patrz rowniez: Petersem, Richard. SZARE PLEMIONA. Nastepcy Aancykow na Wyspach Poludniowych. Nieprzejednani i nieugieci, w rownym stopniu cywilizowani co barbarzynscy. Odczuwali rownie silny dreszcz podniecenia, otwierajac ksiazke, co gardlo wroga. Arcyksiaze Malidu odparl ich starania majace na celu uzyskanie na kontynencie przyczolka, gdyz dreszcz podniecenia odczuwal jedynie otwierajac gardla wrogow, a co za tym idzie, w swe poczynania wkladal o wiele wiecej entuzjazmu. Patrz rowniez: Aandalay; Arcyksiaze Malidu; myszow slonowodny. SZCZUR KSIEZYCOWY. Szczur o nieskalanej bieli futra, mniej wiecej rozmiarow teriera. Stworzenia te zbieraja sie o polnocy, by spijac wode z doplywow rzeki Moth. Zywia sie nektarem kapryfolium i grzybem (temu drugiemu przypisuje sie fakt, ze niektore ze szczurow ksiezycowych jasnieja w mroku nocy intensywna zielenia). Swiete zwierze dla plemion Nimblytodow, majace rowniez pewne znaczenie dla manzistow, regularnie co roku wyruszajacych na niebezpieczna pielgrzymke do poludniowych dzungli, by tam moc osobiscie obserwowac szczury ksiezycowe w ich naturalnym srodowisku. Piski godowe szczurow ksiezycowych sa glebokie i donosne; przypominaja dzwiek wydawany przez dlugie rogi mnichow z Zamilonu. Wykonywana przez szczury symfonia w polaczeniu z odglosami wydawanymi przez Nimblytodow, sadzac z posiadanych przez nas doniesien, moze stawac w jednym szeregu z kompozycjami samego Vossa Bendera, przynajmniej pod wzgledem niespotykanej mieszaniny wzraliwosci i sily. Patrz rowniez: Bender, Voss; manzisci; Nimblytodzi; Zamilon. SZCZURY. W sciekach. W religiach. W slowach pirat, rozpaczliwie i narracja?. Od szczurow roi sie w tym glosariuszu niemal w tym samym stopniu co od samych slow i grzybow. Patrz rowniez: Ambergris; Lacond, James; manzisci; szczur ksiezycowy. SZTUKA CIENIA. Ruch bedacy w rzeczywistosci przeklenstwem samych artystow cienia, ktorzy

wykorzystując własne ciała i poznopopoludniowe promienie słońca tworzyli na placu Trilliana dzieła wielkiego piękna i wzniosłości, zawstydzając tym samym gromadzących się tam także Żywych Świętych. Patrz również: Galeria Ukrytych Fascynacji; Nowa Sztuka; Żywi Święci. – SŚWIĘTY CZERWONY KWIATUSZEK. Jedną z dwóch głównych idei, stojących za nienazwaną wiarą stworzoną przez walczącego filozofa Richarda Petersona. Drugą jest zniszczenie "zwolenników strattonistycznego dwukomorowego umysłu". Peterson przedstawia opowieść o "Świętym Czerwonym Kwiatu Rosnącym na Skraju Drogi" niemal na każdym ze swych spotkań, zarówno formalnych, jak i prywatnych. Opowieść ta, zaczerpnięta z trzeciego tomu Dodekahedronu (Księga Płatków, Rozdziały 3-411 włącznie), wydanej poza głównym obiegiem przez Święte Bractwo Czerwonego Precyka, jest zupełnie niezrozumiała dla ludzi pozbawionych właściwego religijnego przygotowania. Patrz również: Peterson, Richard; strattonizm. ŚWIĘTY FILIP BALAMUTA. Żywy Święty wyrzucony z Obrządku Ejakulacji z powodu zbyt częstych i regularnych kąpieli. Patrz również: Żywi Święci. – TTOWARZYSTWO AMBERGRIAN DLA RDZENNYCH MIESZKANCÓW MIASTA. Całkowite przeciwieństwo Ambergrianskiego Towarzystwa Historycznego. Jeszcze nigdy członkostwo w towarzystwie historycznym nie kryło w sobie takich niebezpieczeństw. Co dwa, trzy lata kolejna grupka członków towarzystwa ulega bowiem pokusie wyważenia jednego z wjazdów prowadzących pod ziemię, a następnie rusza w panujący tam mrok i wędruje kanałami odpływu ścieków, by eksplorować leżące pod miastem podziemia. Co nieuniknione, za każdym razem któryś z nich zaklinuje się w jakimś przepuszcisku, a pozostali ruszają po pomoc, bądź też – jak można się domyslić – zostaną złapani przez szare kapelusze. W każdym razie taka ekspedycja zawsze nieodmiennie sprowadza się do tego, że znikają na wieki wieków. Można sobie wyobrazić, jak nieszczęśliwi członkowie TADRMM wymachują swymi oficjalnymi kartami członkowskimi w kierunku niewzruszonego zbliżających się do nich szarych kapeluszy. Jeśli nie knują i nie rozważają kolejnych planów popełnienia zbiorowego samobójstwa, zajmują się wydawaniem "Biuletynu historii naturalnej". Patrz również: Biuletyn historii naturalnej; kapeluszerzy; Martigan, Red. TRILLIAN WIELKI BANKIER. Jeden z najwybitniejszych władców, jakich znało Amberggris. To pod jego rządami miasto stało się miniaturowym Imperium, lecz co ważniejsze – centrum biznesowym i finansowym. Ambergrianskie banki miały swe oddziały na całym kontynencie i w pewnym momencie przechodziło przez nie nawet siedemdziesiąt pięć procent wszelkich transakcji finansowych Południa. Trillian, znacznie bardziej niż którykolwiek z rządzących przed nim władców, był w stanie zdusić siłę Brueghelitów, a to dzięki metodycznemu procesowi pozbawiania ich kapitału, bogactw naturalnych i wszelkich innych zasobów. Co przedziwne, jego upadek nadszedł ze strony swinek kababari. Zakochany bez pamięci w swej pani, wielce się zdenerwował, gdy doszła do jego uszu wiadomość o słownej zniewadze, jakiej doznała ona ze strony pewnego hodowcy kababari. I to właśnie stało się powodem podpisania rozporządzenia, na mocy którego kababari przestało być uznawane za zdatne do spożycia, a tym samym stało się zakazane na terenie miasta. Wystarczyło ledwie sześć miesięcy, by grupa Restoracjonistów Kappanskich –

opłacana z kieszeni potężnego swińskiego kartelu – usunęła Trilliana z tronu. Patrz również: kababari. – VVERDEN, LOUIS. Utalentowany artysta, który zapoczątkował swą reputację stworzeniem bizuterii wykorzystującej motyw gargulców (atrakcji wielu festiwalowych parad). Droga rozwoju powiodła go od bizuterii ku ilustracjom książkowym, i to właśnie jego rysunki towarzyszą tak popularnym dziełom jak chociażby Fizjologia i psychologia gigantycznych kalamarnic. Przez wiele lat pracował jako gościnny dyrektor artystyczny "Plonących liści". Zagorzały akolita strattonizmu i wielokrotnie nagradzany hodowca języ. Przez wiele lat stał na czele Ambergrianskiej Kapituły Wolnomyslicieli. Do jego najsłynniejszych cytatów można zaliczyć: "Właśnie pracuje nad twoimi cholernymi rysunkami!" – słowa skierowane do długoletniego współpracownika Nicholasa Sporlendera, a opublikowane w sekcji Podłyszane przez ściany drukowanej na łamach "Plonących liści". Dla laika najbardziej znany z pracy przy festiwalowej broszurce Wymiana. Patrz również: Azyl; Nowa Sztuka; Plonące liście; Sporlender, Nicholas. – WWALCZACY FILOZOF. Patrz: Peterson, Richard.

EKSPONAT 10: WYMIANA – WERSJA DELUXE, OWOC

WSPÓLPRACY SPORLENDERA I VERDENA; Z ZASOBOW

MUZEUM MORHAIMOW, ROTACYJNA KOLEKCJA

"OKRUTNY FESTYN: FESTIWALOWE PAMIATKI".

WYDZIEDZICZENI. Niektórzy z mieszkańców Amberggris zostali "wydziedziczeni" przez własne rodziny, gdyż na skutek Ciszy zaczęli się dziwnie zachowywać, stając się w oczach przyjaciół osobami niespełna rozumu. Zwykli wygrzebywać z ziemi zwierzęce kości, spożywać dziwaczne grzyby i odwiedzać cmentarze, obstając, że słyszą tam dochodzące spod ziemi wzywające ich do siebie głosy braci, siostr, corek, synów, matek czy ojców. W późniejszych latach, wędrując z miejsca na miejsce i grzebiąc kości swych zmarłych w zabitych deskami ścianach porzuconych po Ciszy budynków, oficjalnie stali się wydziedziczeni. Przez przeszło siedemdziesiąt lat ci miejscy nomadzi blakali się niczym zagubione dusze, żyjąc dzięki coraz to bardziej rozpaczliwym środkom, a ich liczba nieustannie malała, aż wreszcie zupełnie znikli z powierzchni miasta. Patrz również: grzyb. WYSPA SOPHII. Leżąca na północ od Amberggris wyspa została nazwana imieniem żony Manzikerta I. Dawno temu ostatni ambergrianski kappan, John Golinard, sędował ją na Hoegbottona i Synów w zamian za tak wówczas potrzebne miastu fundusze. Przez wiele lat służyła za bazę wszelkich handlowych operacji Hoegbottonów, jednakże jakieś pół wieku temu HS wydzierzawili FL jej wschodnią część w zamian za prawa handlowe na rynki Morrow. Ostatnimi laty stała się polem boju pomiędzy siłami HS a FL, spowalniając wszelki odbywający się na Moth ruch rzeczny, zarówno w kierunku północnym, jak i południowym, przez fakt, że obie strony wymagały i egzekwowały

coraz to bardziej niedorzeczne opłaty od chcących je wyminąć łodzi. Patrz również: Frankwrithe Lewden. – ZZAMILON. Zrujnowany klasztor-forteca, wciąż zamieszkiwany przez mnichów. Olbrzymi kompleks budynków i fortyfikacji obronnych jest tak stary, że nikt nie ma pojęcia, skąd się wziął ani kto go zbudował. Mieszkający tam obecnie mnisi są w posiadaniu kartki z Dziennika Samuela Tonsure'a i są świecie przekonani, że gdyby tylko udało się we właściwej kolejności odczytać napisane na niej słowa, z pewnością mogłaby posłużyć za wrota do innego świata. Patrz również: Busker, Alan; Lacond, James; Masouf; Skamoo; ZOO Daffeda. ZIELONI. Ruch polityczny, a równocześnie amatorskie siły zbrojne utworzone z zamiarem obrony interesów i osoby kompozytora, z powołania polityka, Vossa Bendera. Pozostałości po Zielonych dożyły kresu swych dni jako część Gildii Muzyków, zaspokajając potrzeby związane z udzielaniem najmłodszym lekcji gry na fortepianie. Patrz również: Bender, Voss; Biblioteka Pamięci Manzikerta; Czerwoni; Księgarnia Borges. ZOO DAFFEDA. Ogród zoologiczny założony przez Xavera Daffeda na krótko przed jego śmiercią. Dzieło ukończyła dopiero córka naukowca, Sarah Daffed. Ogród na przestrzeni wielu lat swego istnienia wystawił szereg różnorodnych i najdziwniejszych zwierząt, jakie kiedykolwiek widziały ludzkie oczy, w tym na przykład paskowanego pergolinca pospolitego, pigmejska bzduranke, czerwono-biała bozykurke oraz swinioszczurza przebarwinke. Specjalizujący się w egzotyce ogród co jakiś czas popadał w ruinę i był ze względów bezpieczeństwa zamykany dla szerokiej publiczności. Ucierpiał również z powodu tak

EKSPONAT 11: POTWORNIE ZNISZCZONA FOTOGRAFIA PRZEDSTAWIAJĄCA SZTUKĘ SZARYCH KAPELUSZY, ODNALEZIONA ZA PANOWANIA TRILLIANA PRZEZ KAPELUSZERCÓW W POBLIZU TAK ZWANEGO "OLTARZYKA SZARYCH KAPELUSZY"; EKSPERCI SĄ PRZEKONANI, ŻE PRZEDSTAWIA JEDNĄ Z GRZYBOWYCH "KSIĄG" SZARYCH KAPELUSZY, UMIESZCZONĄ W DRZWIACH; EKSPONAT JEST CZĘŚCIĄ ZNAJDUJĄCEJ SIĘ W MUZEUM MORHAIMOW WYSMIENITEJ EKSPOZYCJI "SUBTERRANEA: UKRYTY ŚWIAT". dziwacznych zapowiedzi jak choćby te obwieszczane przez Thomasa Daffeda, prawnuka Xavera, który na krótko przed własną śmiercią wystawił w ZOO wyjątkowo niepotrzebna ekspozycje grzybow, w skład której miała rzekomo wchodzić "grzybowa istota". Zgodnie ze swymi twierdzeniami Thomas miał ją własnoręcznie schwytac w pobliżu ruin klasztoru-fortecy w Zamilonie. Istota owa jednak nigdy nie pokazała się zwiedzającym na oczy. Ostatnio w gruzach legła znajdująca się w ZOO ekspozycja białego poltonskiego wieloryba bichoralnego, kiedy to członkowie Kościoła Rybaka w śmiałej i błyskawicznej akcji wykradli chlube całej wystawy – jedyne żyjące w niewoli białego poltonskiego wieloryba bichoralnego. Patrz również: biały poltonski wieloryb bichoralny; Daffed, Xaver; Kościół Rybaka; Zamilon. – ZZYWI ŚWIECI. Długa historia Żywych Świtych poprzedza religie truffidianska, która przygarnęła ich i wykorzystwała do własnych celów. Opierający się na założeniu, że życiowe funkcje ludzkiego ciała winny być najbardziej uswieconymi znakami Boga w człowieku, Żywi Świeci znoszą samotne życie w ubóstwie. Istnieją cztery Obrządki: Wzdecia,

Ejakulacji, Defekacji i Mikcji. Swieci przeznaczaja cale lata na doskonalenie swych poszczegolnych specjalnosc, tym samym oddajac czesc "Bogu, ktory stworzyl nas smiertelnymi", jak zapisano w swietych pismach. Wiele innych religii wynajmuje ich jako straznikow, gdz sa tak obrzydliwi i ohydni, ze odstraszaaja przestepcow. Sam Manzikert III zostal swego czasu wziety za Zywego Swietego Obrzadku Wzdecia. Patrz rowniez: Kristina z Malfour. Autorzy ilustracji Ornamentalna strona tytułowa – Eric Schaller Strona tytułowa Ksiegi Ambergris – John Coulthart Zakochany Dradin Strona tytułowa – Scott Eagle Ikonka pierwszej litery – Eric Schaller Hoegbottonski przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris Strona tytułowa – Scott Eagle Ikonka pierwszej litery – Eric Schaller Ilustracje grzybow – Jeff VanderMeer Symbol szarych kapeluszy – Jeff VanderMeer Rozczlonkowany symbol szarych kapeluszy – Jeff VanderMeer Plaskorzezby Haragck – Eric Schaller Przemiana Martina Lake'a Strona tytułowa – Scott Eagle Ikonka pierwszej litery – Eric Schaller Niezwykly przypadek Iksa Strona tytułowa – Scott Eagle Ikonka pierwszej litery – Eric Schaller "Disneyowskie" szare kapelusze – Eric Schaller Strona tytułowa Append-iksu – John Coulthart Notatki Iksa Szkic Vossa Bendera – Mark Roberts Szkic Martina Lake'a – Mark Roberts Krol Kalamarnic Kolaze (i układ graficzny) – John Coulthart Ryc.1. Sposoby komunikacji – Mark Roberts Wymiana Wszystkie ilustracje – Eric Schaller Glosariusz ambergrianski List azylu (eksponat 1) – Jeff VanderMeer, Eric Schaller Widok festiwalowych fajerwerkow (eksponat 2) – Eric Schaller Rysunek komiksowy Kodfana (eksponat 3) – Eric Schaller Rysunek Hellatose Sc Bauble (eksponat 4) – Eric Schaller Noz z Muzeum Morhaimow (eksponat 5) – Dave Larsen Okładka "Plonacych lisci" (eksponat 6) – Eric Schaller Okładka Dreczacych kalamarnic Rogers (eksponat 7) – Mark Roberts Okładka Najczarniejszej z nocy Spacklenesta (eksponat 8) – Mark Roberts Sporny znak komara 3 Lackpole'a (eksponat 9) – Mark Roberts Fotografia wersji deluxe Wymiany (eksponat 10) – Eric Schaller Zamilonska sztuka szarych kapeluszy (eksponat 11) – Hawk Alfredson Fotografia "autora" (w roli autora Simon Mills) – Mark Roberts Wszelki układ graficzny nieprzypisany Johnowi Coulthartowi – Garry Nurrish, z wyjatkiem Wczesnej historii Ambergris – Robert Wexler Uwaga: Niestety, w związku z ogolnie slabo rozwinieta ambergrianska technika fotograficzna niektore ze zdjec pochodzacych z Muzeum Morhaimow posiadaja jakosc przypominajaca fotosy wiktoriańskie. Podziekowania

Dziekuje dwom wielce, wielce cierpliwym osobom: mojej pieknej zonie o jednosylabowym imieniu (bedacej rownoczesnie pierwszym czytelnikiem) Ann oraz projektantowi Garry'emu Nurrishowi, gdz na tyle sposobow wykradlem im tym projektem tak wiele niezastapionego czasu. Moje wyrazy uznania dla Petera Lavery'ego, mojego redaktora w TOR UK, jak rowniez calego personelu PanMac, sa bezgraniczne – dziekuje wam za niezmordowane wysilki, podejmowanie ryzyka oraz zdobywanie Miastu coraz to nowych czytelnikow. Serdecznie dziekuje rowniez niestrudzonemu i cierpliwemu tlumaczowi niniejszego wydania, Konradowi Kozlowskiemu, jak rowniez Konradowi Walewskiemu za pomoc w zdobyciu tej ksiazki dla wydawnictwa Solaris, oraz Danny'emu Barorowi, mojemu agentowi od praw na

zagranice. Dziękuję również Ericowi Schallerowi (długoletniemu ambergrianskiemu konspiratorowi, którego prace rozświetlają niektóre z zawartych tu opowieści), oraz takim osobom jak: John Coulthart, Scott Eagle, Dave Larsen, Mark Roberts, Wayne Edwards, Stephen Jones, Jeffrey Thomas, Michael Moorcock (za długotrwałą wielkoduszność i niezmierną energię), Brian Stableford, Richard i Mardelle Kunz, Ellen Datlow, Terri Windling, Bill Babouris, Tamar Yellin, Dawn Andrews, China Mieville, Jeffrey Ford, Neil Williamson, Keith Johnson, Henry Hoegbotton, Tom Winstead, S.P. Somtow, Rhys Hughes, R.M. Berry, Scott Thomas, Robert Wexler, Forrest Aguirre, Andrew Breitenbach, i wszystkim innym, których opuściłem tu jedynie przez nieuwagę. Dziękuję za potwierdzenie rozszyfrowania otrzymane od Ann, Rudi Dornemann, Peggy Hailey i Jasona Erika Lundburga. Dziękuję Erin Kennedy i Jasonowi Kennedy'emu. Dziękuję ojcu, Robertowi VanderMeerowi, jego żonie – Laurence, mojej mamie – Penelopie Miller, mojej siostrze – Elisabeth, oraz moim dwóm kłotliwym braciom – Francois i Nicholasowi. Dziękuję Richardowi Petersonowi i Scottowi Strattonowi za to, że są dobrymi kumplami (a także za przywództwo objęte nad dwoma znaczącymi kultami religijnymi). Na koniec chciałbym podziękować wszelkim kalamarofilom, którzy dostarczyli tak wiele spośród wpisów do bibliografii Krola Kalamarnic, ich imiona, aczkolwiek w zmienionej formie, na zawsze zostały już w ten sposób umieszczone na firmamencie Ambergris. – J.V. Pierwotne publikacje utworów

Zakochany Dradin został po raz pierwszy wydany w 1996 roku w formie kieszonkowej przez Buzzcity Press.

Hoegbottonski przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris ukazał się po raz pierwszy jako broszurka wydana przez Necropolitan Press w 1999 roku (tam również ukazały się fragmenty Glosariusza ambergrianskiego).

Przemiana Martina Lake'a ukazała się pierwotnie w antologii Palace Corbie 8, 1999.

Niezwykły przypadek Iksa ukazał się pierwotnie w antologii White of the Moon, 1999.

Wymiana ukazała się w formie broszury wydanej przez Hoegbottona i Synów. Dopisany na maszynie tekst komentarza pojawia się po raz pierwszy w niniejszym wydaniu.

Ucząc się, jak opuścić swe ciało zostało wydane w angielskim magazynie "Dreams from the Strangers Cafe". Pojawiło się również w 1999 roku jako przedstawienie zaprezentowane przez rosyjski Projekt Trotsky (Moskwa).

Wersje zaprezentowane w niniejszym zbiorze są ostatecznymi i definitywnie przejrzanymi, jak również poprawionymi wersjami. Przypisy

Hoegbottonski przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris: Fragmenty tekstu zostały zaadaptowane z materiałów stworzonych przez takich starożytnych kronikarzy i przywódców jak pochodzący z Bizancjum Michael Psellus i Theodore ze Studium, Ruskin, Rzymianie Eusebius i Lactantius, papieski dyplomata Liuprand oraz wenecki doża Andrea Gritti. Podziękowania dla Davida Griffina za pozwolenie na przywłaszczenie sobie do ostatniego wpisu w dzienniku Tonsure'a jego pomysłu z nieopublikowanego opowiadania. Czuje się również zadłużony względem Johna Juliusa Norwicha, wspaniałego historyka, którego styl prawdopodobnie z oddaniem przywłaszczyłem sobie w tym utworze.

Przemiana Martina Lake'a: Cytaty przypisane niejakiemu "Leonardowi Venturi" zostały zaadaptowane z komentarzy Lionella Venturiego zawartych w jego książce Chagall.

Król Kalamarnic: Zdania otwierające te nowelki zostały zaadaptowane z rozpoczęcia pochodzącej z lat 20. ubiegłego wieku powieści austriackiego pisarza Fritza von Herzmanovsky-Orlando Maque of the Spirits.

Glosariusz ambergriski: Większość hasła kalendarz kalabrijski została wymyślona przez Richarda Petersona. Jemu również zawdzięczam stworzenie hasel Richard Peterson i Święty Mały Czerwony Kwiatuś. Scott Stratton natomiast dostarczył mi bezcennych materiałów pomocnych w stworzeniu hasła strattonizm. Kontakt z autorem: vanderworld@hotmail.com www.venderworld.redsine.com www.jeffvandermeer.com www.ambergris.org O autorze Jeff VanderMeer (1968 -?) spędził dzieciństwo w Pensylwanii, na wyspach Fidżi, we Francji oraz w Mongolii. Jego ojciec Robert, "wypychacz" owadów, oraz matka – Penelope, cmentarna performerka, bezustannie i z różnorodnych powodów, z których część była niegodziwa i nikczemna, podróżowali po świecie. W 1986 roku ukończył Szkołę Pisania na Uniwersytecie w Ulan Bator, gdzie zgłębiał tajniki fachu pisarskiego pod skrzydłami wielkiego mistyka fikcji Jugderdemidiyna Gurrahchaa, by następnie przelotnie zająć się szeregiem profesji – był zarówno prowokatorem, ziemiotrykiem, maniakrajzystą, konsultantem od angielskiego, asystentem śpiewaka operowego, jak również profesjonalnym psim opiekunem – nim wreszcie na poważnie zabrał się za pierwszą powieść, *The Book of Frog* (1991). W związku z międzynarodowym sukcesem, jaki odniosła, był w stanie zająć się tylko i wyłącznie pisarstwem.

Po opublikowaniu utworów w kilku znaczących periodykach i słynnym "wezwanie do broni", skierowanym do zadowolonych z siebie i osiadłych na laurach pisarzy zajmujących się fantastyką (przyjętym zresztą przez nich wyjątkowo szorstko i nieuprzejmie) opublikował drugą książkę, zatytułowaną *Lyric of the Highway Mariner* (1992). *Lyric*, mimo iż cieszyła się popularnością, nie zdołała zająć szerszego ogółu czytelników. Następne cztery lata stanowią okres wyjątkowej posuchy, jeśli chodzi o jakiegokolwiek informacje i fakty dotyczące jego osoby; nikt nie wie dokładnie nic na temat jego ówczesnych poczynan, a w rozproszeniu mgły tej

tajemnicy niezbyt pomogły doniesienia o kilku sporadycznych pojawieniach się autora. Pewien francuski turysta twierdzi, jakoby widział go w Samarkandzie w lipcu 1993 roku, zaś dziesiątego sierpnia 1994 roku ambasada amerykańska w Uzbekistanie odebrała dość belkotliwą rozmowę z komorki: rozmowca był mężczyzną podający się za VanderMeera i prosił o coś, co brzmiało jak "ratunkowa dostawa papieru do pisania". Podróżujący po świecie ksiądz spotkał autora w Timbuktu w październiku 1994 roku, gdzie poprosił go o autograf na swej czytanej kopii *The Book of Frog*, lecz mężczyzna, do którego podszedł, ze złością zaprzeczył, jakoby był rzeźbionym pisarzem. Doniesienia o kolejnych podobnych przypadkach w Kairze i Sydney okazują się fałszywe.

W 1996 roku VanderMeer znowu wypłynął na powierzchnię, tym razem w Tallahassee na Florydzie; świeżo po ślubie, chlubił się podwojnym stopniem naukowym, zarówno z nauk związanych z grzybami, jak i glonami, zdobytymi na Uniwersytecie Stanowym Florydy. Podczas jednego z wywiadów dla "Modern Fantasy Studies" odmówił wyjaśnienia zarówno powodów, jak i przebiegu swej nieobecności, lecz zaznaczył, że nowe dzieła fikcji już wkrótce ujrzą światło dzienne. I rzeczywiście, zarówno *Zakochany Dradin*, jak i zbiór opowiadań *The Book of Lost Places* pojawiły się jeszcze w tym samym roku.

W latach 1997-98 porzucił pisanie, by zająć się rozwojem kariery naukowej na polu glonów. Jego kontrowersyjne odkrycia dotyczące florydzkiej kalamarnicy słodkowodnej, opublikowane w 1998 roku w naukowym periodyku "Mollusca", w połączeniu z pracą naukową Empiryczne dowody świadczące o powiązaniu kalamarnic i grzybów pewnie zakotwiczyły go w okopach "pasjonujących szalonych peryferii" obu powyższych dziedzin, co zostało nawet opisane w artykule na łamach "Świata Nauki".

Jednakże znudzony sama nauką, jak również posiadający na koncie nieudane próby przyłączenia się do kregu profesjonalnych graczy w racquetball – wszystko z powodu obrażeń, jakich doznał w czasie gry, gdy gwałtownie odskoczył, by nie zmiądzyc ryczącej zaby byczej – VanderMeer na dobre powrócił do pisania. Według jego żony Ann w okresie między styczniem 1999 roku a lipcem 2001 pisał po osiemnastu-dziewiętnastu godzin dziennie. Wyniki tej wielce intensywnej i naglej aktywności pisarskiej są oczywiście bardzo dobrze znane: sześć powieści, których publikacja raz za razem jest przesuwana i opóźniana o trzy miesiące w ramach wydłużonej "pijarowej" kampanii Hoegbottona i Synów, nowej amerykańskiej galezi wydawnictwa Wildside. Pierwsza powieść, wydana w 2002 roku, przyjęto owacyjnie i sprzedała się w znacznej liczbie egzemplarzy. Podróż VanderMeera do Nowego Jorku na spotkanie z jego agentem literackim Howardem Morhaimem zakończyła się wyjątkowo publicznym śniadaniem w Martha's Vineyard, w którym uczestniczyli także zarówno sam Paul Auster, John Irving, jak i przebywający tam akurat na wakacjach Martin Amis. Życzliwa uwaga mediów przyciągnęła również serię spotkań z czytelnikami w większych miastach, podczas których czytał fragmenty swych

utworow, a fotografia autora z zona pojawila sie na okladce "Entertainment Weekly".

Jednakze pod koniec pazdziernika 2003 roku, niemal w przededniu oryginalnego wydania ponizszej ksiazki, VanderMeer zniknal ze swego domu. Nie pozostawiajac zadnego listu. Nie mowiac zonie ni slowa. Jedyna wskazowka byly odnalezione na jego biurku przedkorektorskie wersje czterech glownych nowel zamieszczonych w tym zbiorze, pociete na kawalki dlugosci mniej wiecej zdania, a nastepnie gruntownie poprzesztawiane – fragmenty Przemiany polaczono z Niezwyklym przypadkiem, strony z Dradina wetknieto w sam srodek Wczesnej historii. Ewentualny cel takich wzajemnych przestawien wciaz pozostaje nieodkryta tajemnica, mimo iz zona pisarza jest swiecie przekonana, ze probowal on komunikowac sie w jakis nowy, wielce zlozony sposob. Tak czy inaczej, miejsce pobytu autora wciaz pozostaje nieznane. Jedynym dowodem mogacym nam cokolwiek powiedziec na ten temat jest fotografia towarzyszaca niniejszej notce biograficznej, wykonana przez wlasciciela jednej z praskich ksiegarni. Mimo iz ow wlasciciel zarzeka sie, ze fotografia przedstawia samego VanderMeera, eksperci, ktorzy poddali ja dokladnym ogladzinom, stwierdzili, ze sylwetki, ktora przedstawia, nie mozna ze stuprocentowa pewnoscia zidentyfikowac jako nalezacej do rzeczonego pisarza. Jednak w 2006 roku zostal wydany – przez Tor Books w Stanach Zjednoczonych, a Pan Macmillan w Zjednoczonym Krolestwie – tekst, ktory rzekomo wyszedl spod jego reki – Shriek An Afterword (Shriek: Poslowie). Zebral on wyjatkowo dobre recenzje, lecz sprzedal sie w zaledwie dwudziestu pieciu egzemplarzach, reszte przeznaczono wiec na przemial, by nie zabraklo papieru do wydania roznych innych ksiazek. Ni razu przez caly ten okres, zarowno przed wydaniem powyzszej powiesci, jak i po nim, autor nie wyplynal na swiatlo dzienne, ani tez wydawca nie staral sie jakos wyjasnic powodow jego nieobecności. Niektorzy eksperci snuja przypuszczenia, iz Shriek jest w rzeczywistosci falszerstwem zleconym przez samego wydawce badz to Janowi Svanmajerowi, badz Peterowi Careyowi.

1 Do czasow Manzikerta twardy poludniowy akcent jego ludzi na stale zmienil brzmienie slowa "kapitan" na "kappan". Miano "kapitan" odnosilo sie nie tylko do zwierzchnictwa Manzikerta nad flota statkow, lecz nawiazywalo rowniez do starych imperialnych tytulow nadawanych przez Saphantow przywodcy biskupstwa wysp; co za tym idzie, tytul posiadal zarowno religijne, jak i wojskowe konotacje. Jego uzycie w tak poznym czasie odzwierciedla wszechobecnosc wplywow Imperium Saphanckiego – w dwiescie lat po upadku jego tytuly wciaz byly uzywane przez klany, ktore poznaly Imperium zaledwie z drugiej reki.

2 Przypis dotyczacy celu niniejszych przypisow: powywszy tekst obfituje w przypisy, by uniknac zarzucenia ciebie, Czytelnika, leniwego turysty, tak potezna iloscia wiedzy, bys, wrecz nia nadety, nie mogl dluzej ze zwykla sobie bezmyslnoscia i beztroska rozkoszowac sie przyjemnosciami miasta. Tak wiec, by ograniczyc twe przewidywalne proby – kiedy juz odkryjesz temat zainteresowania w ponizszej opowiesci – przeskakiwania o kilka stron do przodu, wyrwalem wszystkie odsylacze

do pozostałych hoegbottonskich publikacji, które niczym grzybna plaga zasmiecają broszury tej serii.

3 Powiniennem dodać w przypisie 2, że większość najciekawszych informacji ujęta będzie wyłącznie w formie przypisów, a osobiście dołożę wszelkich starań, by zawrzeć ich tu tyle, ile tylko będzie możliwe. W rzeczywistości informacje, do których będą odnosić się przypisy, zostaną później rozszerzone w tekście głównym, tym samym utrudniając zrozumienie wszystkim, którzy zdecydowali się ich nie poznać. Taka jest cena, jaką muszą zapłacić ludzie, którzy wyrwali starego historyka z drzemki za katedrą, wymuszając na nim pisanie dla serii ostatnich przewodników turystycznych.

4 Obecnie rzeka zmienia się w słodkowodną zaledwie czterdzieści kilometrów w górę od delty; powód tej zmiany nie jest do końca znany, lecz można ją połączyć z narastającymi pokładami mulu u jej ujścia, działającymi jako naturalny filtr.

5 Niemal pięć wieków później petularcha Dray Mikal zarządził wyrwanie z korzeniami całej miejscowej flory porastającej tereny wokół miasta i zasadzenie w jej miejsce północnych gatunków, tak bliskich mu z czasów młodości. Jest to, spośród wszystkich znanych nam z kart historii, z pewnością jeden z najbardziej szokująco aroganckich przejawów tęsknoty za domem. Owego petularcha będzie od pięćdziesięciu lat na tamtym świecie, nim przesadzanie roślinności zakończy się sukcesem.

6 Patrząc na to jednak z drugiej strony, jakie jest tak właściwie nasze dokładne zrozumienie wczesnej historii samego mnicha? W najlepszym razie – dość mgliste. Archiwa miejskie w Nicei nie zawierają najmniejszej nawet wzmianki dotyczącej jakiegokolwiek Samuela Tonsure'a i jest bardzo możliwe, że najzwyczajniej w świecie znalazł się on tam zaledwie przejazdem, w drodze gdzieś indziej. A co za tym idzie, nigdy aktywnie tam nie nauczał. "Samuel Tonsure" może być także równie dobrze samodzielnie wymyślonym przez mnicha nazwiskiem, mającym na celu zatajenie jego prawdziwej tożsamości. Garstka uczonych, wśród których prym wiedzie wojownicza Mary Sabon, upiera się, że Tonsure nie był nikim innym jak samym patriarchą Nicei, człowiekiem, który, jak powszechnie wiadomo, zniknął mniej więcej w tym samym czasie, gdy Tonsure pojawił się u boku Manzikerta. Sabon proponuje nam poszlakowy dowód częstokroć powtarzanej historii, według której patriarcha miał od czasu do czasu przechadzać się po swym mieście incognito w przebraniu prostego mnicha, by móc w ten sposób wsłuchiwać się w prosty głos swego ludu. Podczas jednej z takich wypraw z łatwością mógł zostać pojmany, a jego porwacze mogli nie być świadomi wysokiej pozycji swego więźnia, która – gdyby tylko wyszła na jaw – dałaby Manzikertowi tak znaczną przewagę nad Niceą, że równie dobrze mógłby on zająć to miasto i osiść w jego murach obronnych, tym samym przestając obawiać się Brueghela. Jeśli jednak tak właśnie było, dlaczego patriarcha nie podjął żadnych prób ucieczki, kiedy już zyskał zaufanie Manzikerta? Przytoczona powyżej wersja wypadków, mimo innych zaproponowanych przez Sabon dowodów, już od samego

początku zdaje się podążać w niewłaściwym kierunku. Moje własne dociekania, potwierdzone przez autarchę Nunku, wskazują, że do zniknięcia patriarchy doszło w tym samym czasie co do zniknięcia kapłanki Karoliny z Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy. To odwzajemniona miłość była powodem ucieczki kochanków, a ceremonie zaręczyn pośpiesznie odprawił podróżujący kuglarz, zresztą specjalnie na tę okazję wyswiecony na księdza.

7 Z powodów, które już wkrótce stana się jasne, Tonsure nie był w stanie dokończyć biografii; dlatego też dziesięć lat później syn Manzikerta sprowadził w tym celu specjalnie z Nicei kolejnego truffidianskiego mnicha. Na nasze nieszczęście, ów mnich, o imieniu utraconym na przestrzeni wieków, wierzył w sens noszenia włosów i codzienne samobiczowanie i nauczał "o wstrecie do słowa pisanego". W rzeczywistości ukończył jednak biografię, lecz moim skromnym zdaniem równie dobrze mógł sobie oszczędzić wysiłku. Mimo iż zredagowana przez samego Manzikerta II, zawiera ona fragmenty tak kwiecistej prozy, że pozwolę tu sobie jedynie zacytować: "I wtedy właśnie Jego Wysoce Nieposiadający Sie z Radości Majestat śmiałym krokiem postawił swą obutą stopę na ładzie niczym zuchwały zdobywca z czasów dawno minionych". Wyraźnie widać, że wstret i odraza owego mnicha do słowa pisanego znacznie przewyższały wszelkie zbrodnie, których owe słowa dopuścili się na nim.

8 Gdy tylko skrupulatny historyk poczuje potrzebę kolejnych dowodów świadczących o pomyłce Sabon, nie musi daleko szukać, wystarczy bowiem spojrzeć na podpis złożony na pierwszej stronie dziennika: "Samuel Tonsure". Dlaczego mnich miałby zaprzętać sobie głowę podtrzymywaniem pozorów, skoro już sama zawartość dziennika wystarczyła, by skazać go na śmierć? I dlaczego wybrałby sobie, jeśli w rzeczywistości był patriarchą (człowiekiem uczonym i mądrym pod każdym względem) tak nieporadnie nieudolny i oczywisty pseudonim?

9 Wszystkie cytaty bez przypisu określającego ich źródło pochodzenia zostały zaczerpnięte z napisanego przez Tonsure'a dziennika, a nie z biografii.

10 Cytat zaczerpnięty z biografii. Można tu rozważyć następujące pytanie: Skoro sam Kappan był aż tak agresywny, to o ile bardziej przerażający musiał być Michael Brueghel, skoro zmusił Manzikerta do ucieczki na południe?

11 Kappan dodał "II" do imienia swego syna, dając tym samym dość wczesny sygnał świadczący o zamiarach osadnictwa na ładzie i założenia tam własnej dynastii. Ański klan uważałby zapewne sam pomysł dynastii za dziwaczny, gdyż kappani wybierani byli zwykle spośród najzdolniejszych marynarzy, a roszczenia związane z dziedziczeniem funkcji rozpatrywane były w dalszej kolejności.

12 Jak mi się zdaje, konieczne jest tu wtrącenie trzech uwag. Pierwsza: akapit poświęcony szarym kapeluszą, pochodzący z biografii Kappana, jest znacznie

bardziej bezlitosny, przedstawia bowiem istoty "male, o swinskich oczkach, postrzepionych faldach majacych pelnic role ust i nosie jak u malpy". W rzeczywistosci szare kapelusze wygladem przypominaly znanych nam obecnie grzybian – i, co nalezy tu zaznaczyc, wygladaly jak mniejsza wersja nas samych – ale kappan podjal juz probe majaca na celu ich odczlowiecenie, a co za tym idzie, stworzenie sobie usprawiedliwienia, racjonalizacji, by moc pozbawic ich zarowno zycia, jak i wlasnosci. Po drugie: co zadziwiajace, wszelkie dowody wskazuja, ze szare kapelusze tworzyly swe odzienie z wyprawionych skorek polnych myszy. Po trzecie: wydaje sie, ze Tonsure mimowolnie zdradzil nam tu pewien sekret – o ile bowiem rzeczywiscie tak bylo, ze napotkany przez nich szary kapelusz "siegal zaledwie do ramion kappana", a rownoczesnie owi osobnicy, ktorych tam spotkano, mieli srednio – co przyznal sam Tonsure – okolo stu dziesieciu centymetrow wzrostu (podobnie jak znani dzis grzybianie), oznacza to, ze kappan moglby mierzyc zaledwie jakies sto czterdziestu centymetrow, a w najlepszym przypadku poltora metra, czyli sam bylby praktycznie karlem. (Pewne znaczenie ma tu rowniez fakt, ze Brueghel – w jednym z napisanych do Kalifa listow dotyczacych przyszlych wzajemnych powiazan handlowych – wspominajac Manzikerta uzywa okreslenia "moj nieistotny wrog", a "nieistotny" w jezyku Kalifa ma podwojne znaczenie, w tym rowniez rzeczownikowe – "karzel", Brueghel zas, znany z wlasnorecznego redagowania swych listow w sprawach panstwowych, uwielbial takie gry slowne). Byc moze opis Manzikerta w biografii Tonsure'a podyktowal sam kappan, zyczac sobie zatajenia na kartach historii swej mikrej postury. Niestety, wzrost kappana, czy tez moze, mowiac scislej, jego brak, pozostaje niezbyt jasnym zagadnieniem, w zwiazku z czym bede sie tu trzymal ortodoksyjnej wersji historii podanej nam przez Tonsure'a. Z drugiej jednak strony, jakze milo snuc takie spekulacje. (Jesli Manzikert naprawde byl niski, moglibysmy zywic nadzieje, ze spogladalby jednak na szare kapelusze jako na dawno niewidzianych utraconych kuzynow. Niestety, nie postrzegal ich w ten sposob).

13 Mozemy tu jedynie spekulowac, z jakich to powodow Manzikert uwazal dzieci i grzyby za odpychajace. Z pewnoscia jadal grzyby, jak rowniez splodzil z Sophia syna. Byc moze, o ile rzeczywiscie byl cokolwiek niewielkiego wzrostu, jego przydomek w okresie dorastania brzmial na przyklad "maly grzybek"?

14 Poniewaz to pierwszy i jedyny przypadek, gdy jakikolwiek szary kapelusz aktywnie staral sie porozumiec z Aancykiem, mozna sie zastanowic, co tez chcial on przekazac Manzikertowi. Czy bylo to przyjazne pozdrowienie? A moze ostrzezenie? Sama gadatliwosc napotkanego szarego kapelusza w porownaniu z innymi, ktorych juz wktotce mieli spotkac na swej drodze, doprowadzila niejednego historyka do wniosku, ze wyslano go (czy tez ja, gdyz wbrew popularnej opinii wsrod szarych kapeluszy jest tyle samo kobiet co mezczyzn; to okrywajace ich szaty sprawiaja, ze wszyscy wygladaja jak przedstawiciele tej samej plci), by powital oddzial na brzegu. Jaka tez okazje zaprzepascil Manzikert, nie starajac sie lepiej zrozumiec intencji szarego kapelusza? Jakiez to tragedie moglyby zostac dzieki temu zazegnane?

15 Tonsure karygodnie wręcz lubował się w olifantach. Nawiązania do nich, zwykle poprzedzone takimi banaliami jak "wielki jak", czy "szary jak", pojawiają się w jego dzienniku trzydzieści razy. Jako że jestem posiadaczem bezgranicznego wręcz miłosierdzia, oszczędzę wam kolejnych dwudziestu osmiu z tych porównań.

16 Zawartemu w biografii opisowi Tonsure a towarzyszy również seria szkiców owych grzybow autorstwa Manzikerta – próba "pokazania swej wrażliwości", jak szydzi w swym dzienniku Tonsure. Nielicznej garstce czytelników, pragnących poznać ilustratorskie zdolności kappana, zaprezentuje tu kilka pochodzących stamtąd przykładowych ilustracji:

17 Najwyraźniej tak właśnie było, bowiem Tonsure pomija tu ich opis.

18 Zajmujący się ssakami naukowiec, Xaver Daffed, utrzymuje, że była to "w rzeczywistości kababari, przypominająca szczura skarłowaciała wersja świni". (Cytat pochodzi z Hoegbottonskiego przewodnika po miejscowych gatunkach niewielkich ssaków). Jeśli taka była prawda, wtedy – jak pokaza to wkrótce kolejne zdarzenia – szczury w Ambergris zdolowały jakos dokonać czegoś przypominającego przewrót w relacjach publicznych; biedne kababari są bowiem dziś zaledwie wymierającym gatunkiem południowej strefy klimatycznej.

19 James Lacond sugerował, że grzyb ten posiadał właściwości halucynogenne. Tonsure, ze swej strony, spróbował "grzyba, który wyglądem przypominał karczocha" i przekonał się, że w smaku przypomina on chleb upieczony bez drożdży; mnich donosi również, że nie wystąpiły u niego żadne efekty uboczne. Lacond jednak upiera się, że pozostałe relacje Tonsure'a należy traktować właśnie jako halucynacje wywołane narkotykiem. Co więcej, Lacond uważa, że późniejsze zapiski Tonsure'a, opisujące napychających się grzybami ("z których niektóre smakowały jak miód, a niektóre jak kurczak") ludzi Manzikerta, wyjaśniają ich nieoczekiwana bezlitosność. Z tym że Lacond sam wydaje się przeczyć swym wcześniejszym słowom: jeśli bowiem pozostałe zapiski Tonsure'a są ledwie majaczeniem, w takim razie dotyczy to również scen opisujących ludzi pochłaniających grzyby. Podobnie jak za każdym razem, gdy rozważamy szare kapelusze, debata ma podobną tendencję jak ich architektura – zatacza szerokie kregi. (Podobna określność doprowadziła zresztą w późniejszym czasie Laconda do deklaracji, że znany nam świat jest w rzeczywistości produktem snu Tonsure'a. Skoro cała wiedza o miejscu naszego pochodzenia, jak i o naszej tożsamości jako Ambergrian, tak bardzo bazuje na dzienniku Tonsure'a, stad już zaledwie mały krok do herezji i szalenstwa).

20 Trzeba tu przyznać, że okazywało się to wielce groźnym i niezmiennie jałowym przedsięwzięciem; grzybianie zdają się bardzo nieprzyjawnie zapatrywać na wszelkie próby wtargnięcia na ich terytorium.

21 Pytanie, skąd pochodzą szare kapelusze i dlaczego ich obecność koncentrowała

sie jedynie w Cinsorium, wciaz pozostaje bez odpowiedzi. Temat ten doprowadzil do frustracji wielu historykow i aby uniknac tu podobnego losu, zupełnie go przemilcze.

22 Ale z cala pewnoscia musieli przeciez uprawiac grzyby?

23 Tonsure donosi, ze wielokrotnie pojawial sie tam nastepujacy symbol:

24 "Biuletyn Historii Naturalnej" (rocznik XX, numer 2) wydany przez Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkancow Miasta.

25 W miescie ze wszech miar nieskalanym tak ewidentny "nieporzadek" winien wzbudzic podejrzenia Tonsure'a. Czyzby byl on obecnie, podobnie jak jego wladca, az tak zdeterminowany, by zdyskredytowac i pozbawic szare kapelusze wszelkich ludzkich cech, ze nie dostrzegal jakiegos innego rozwiazania?

26 Jak sie nieszczesliwie sklada, powyzsze stwierdzenie umacnia zapewnienia Sabon na temat patriarchy Nicei – patrz przypis 6.

27 Biedny Tonsure. Tuz przed powyjsza diatryba mnich opisuje nam pewien rodzaj twardego grzyba, majacego okolo dwudziestu centymetrow wysokosci, o nozce rownie szerokiej jak kapelusz. Scisniety, nieoczekiwanie rozdymal sie do wiekszych rozmiarow. Kiedy pewnego dnia mnich wedrowal niewinnie bez celu po miescie, gdzies miedzy "biblioteka" a amfiteatrem natknal sie na grupke kobiet szarych kapeluszy, uzywajacych tego grzyba w celu, który okreslil jako "lubiezny". Moze wiec jednak powinnismy mu wybaczyć te hiperbole. Mimo wszystko, i niewazne jak wielkiego doznal szoku – a byl bardziej swiatowym mnichem niz pozostali – powinien zauwazyc, ze dla kazdej "perwersji" szare kapelusze rozwinely dziesiec innych, bardziej uzytecznych cudeniek. Na przyklad inny typ grzyba, majacy okolo pol metra wysokosci, posiadajacy dluga cienka nozke zakonczona szerokim kapeluszem, wyrwany z ziemi mogl sluzyc jako parasol; jego kapelusz nawet skladal sie do nozki, by latwiej go bylo przechowywac.

28 Tutaj przynajmniej jeden jedyny raz Lacond okazuje sie uzyteczny. Publikuje bowiem dwie teorie tlumaczace biernosc szarych kapeluszy. Pierwsza: Manzikert zawinal do brzegu w samym srodku uroczystosci religijnych, podczas ktorych szare kapelusze obowiazyl bezwzglydny zakaz udzialu w jakichkolwiek aktach agresji, nawet tych majacych na celu obrone wlasna. Druga: spolecznosc szarych kapeluszy przypominala roj pszczol badz kopiec mrowek i – co z tego wynika – zadna jej "jednostka" na terenie miasta nie posiadala wolnej woli, bedac jedynie przedluzeniem intelektu "roju". Ta druga teoria wydaje sie niektórym historykom zbyt skrajna, ale pomyslu wyjasniajacego biernosc jako wrodzona ceche niektórych klas spoleczenstwa szarych kapeluszy nie mozna zupełnie wykluczyc. Podtrzymywaloby to rowniez i moja wlasna teorie, wedlug ktorej Cinsorium bylo artefaktem religijnym czy – jesli wolicie taka nazwe – swiatynia, w ktorej przemoc byla zupełnie zakazana

przez jej opiekunów. Powstaje więc pytanie, czy aby czyny Manzikerta nie były równoznaczne z profanacją?

29 Co więcej dla niej charakterystyczne, Sabon nie potrafi ugryźć się w język i zgodzić się z tym, powołując się na używany przez Aancyków kalendarz kalabrijski, który określa mianem "rozłamowego" – z pewnością nie był on zupełnie zsynchronizowany z obowiązującym nas dziś kalendarzem. Jednak zupełnie zaniedbuje i ignoruje fakt, że Tonsure, sam niebędący Aancykiem, autor zarówno biografii, jak i dziennika, używałby raczej kalendarza Kalifa, identycznego z naszym.

30 Tonsure przyznaje cynicznie: "Lepiej bowiem nazwać miasto od nazwy czegoś, co wychodzi ze spodniej części wieloryba, niż w rzeczy samej popłynąć na jego połow. Dla leniwego Manzikerta piractwo okazuje się o wiele łatwiejszym sposobem na życie niż połow wielorybów: gdy przebijasz harpunem poczciwego marynarza, prawdopodobieństwo, że przeciągnie cię przez pięćset kilometrów otwartego oceanu, by następnie, zmieniając swój kierunek, ot tak, od niechcenia cię pochłonąć, równocześnie zatapiając twych kompanów, jest wyraźnie o wiele mniejsze". Wśród innych rozważanych przez Manzikerta nazw znalazły się między innymi takie perełki jak Aanville, Aanburg, Aannopolis czy nawet Aannograd. Można być więc niemal stuprocentowo pewnym, że to Tonsure zaproponował nazwę Ambergris mimo jej powyższego wyszydzania.

31 Czy też, jak ujęła to Sabon – "jakże przebiegłego grzyba".

32 Tonsure zapisuje jednak w swym dzienniku, że porost ten "ogładany z bliska przypominał raczej jakąś bliżej nieokreśloną plamkę spolukującą z drugą plamką, lecz ktoż śmiałyby podważać wizję przedstawianą przez kappana lub wstępnicę w nią?". Czy mamy tu więc uwierzyć, że rzeź, do której później doszło, wywiązała się na skutek istnienia dwóch porostów o dość niefortunnych kształtach? Sabon zwraca uwagę, że Święte Nawiedzenie w Stockton (znane również wśród historyków jako Przekret z Użyciem Dzemu), w którym plama dzemu borowkowego przypominała heretyka Ibonofa Ibonofa, skończyło się siedmioma dniami zamieszek. Lacond zgadza się z Sabonem, nawiązuje jednak do historii, gdy to na rozkaz Kalifa zaatakowano menickie miasto Richter tylko dlatego, że pochodząca stamtąd cytryna podczas rozkrajania trysnęła swym sokiem wprost w oko władcy. Jak się niefortunnie składa, Sabon i Lacond połączyli swe siły, by podtrzymać ideę, której brak jakichkolwiek zalet, biorąc pod uwagę cały kontekst. Moim zdaniem, niezależnie od faktu istnienia czy też nieistnienia jakiegos podejrzanego porostu, Manzikert i tak zaatakowałby szare kapelusze.

33 Tonsure nigdzie nie opowiada, czym sam zajmował się podczas masakry. Brał w niej czynny udział? A może starał się jej jakos zapobiec? Późniejsze poszlaki wskazują, że mógł jednak jakos starać się zapobiegać. Tak czy inaczej, jego opis masakry utrzymany jest w niepokojąco chłodnym, beznamietnym tonie. Co całkiem

przewidywalne, biografia mowi o odwadze Manzikerta, ktory otoczony "wyjatkowo niebezpiecznymi, uzbrojonymi po zeby szarymi kapeluszymi" (czytaj: "nieuzbrojonymi karlami o wytrzeszczonych oczach"), zdolal przy uzyciu miecza jakos sie przez nie przedrzec i dotrzec w bezpieczne miejsce.

34 Wszystkie posiadane przez nas informacje o pozniejszych wydarzeniach pochodza od Manzikerta II, ktorego styl niekoniecznie byl rownie zabawny jak pioro Tonsure'a; brak mu bylo nie tyle poczucia humoru mnicha, ile jego lekkosci opisu. Manzikert II mial siedemnascie lat i byl pelen powagi – co jest zgubna wrecz mieszanka, jesli parasz sie pisarstwem historycznym, co osobiscie moze poswiadczyć – dlatego tez w wiekszosci przypadkow powstrzymam sie przed bezposrednim cytowaniem fragmentow pochodzacych spod jego piora.

35 Szare kapelusze musialy rowniez zabrac ze soba oslawione zlote drzewko, gdyz od tego czasu nie pojawia sie juz o nim zadna wzmianka ani w zapiskach Manzikerta II, ani w zadnej z pozniejszych kronik. A wszelkie prawa prawdopodobienstwa przecza czemus takiemu, by nigdzie nie opisano wynalazku tak godnego uwagi, chyba ze zabraly go ze soba szare kapelusze.

36 Od tej pory bede go nazywal Manzikertem I, by nie mylic go z synem.

37 Bersar byl honorowym tytulom, charakterystycznym dla Aanczykow, nadawanym jedynie ludziom, ktorzy wykazali sie wyjatkowa odwaga na placu boju.

38 Lacond: "Bylo to aktem kompletnego barbarzynstwa, zarowno pod wzgledem zniszczenia najwspanialszych artefaktow kultury, nigdy wiecej nieodkrytej w zadnym innym zakatku znanego nam swiata, jak i wymordowania mieszkancow miasta, nie tylko nastawionych pokojowo, lecz takze w zaawansowanym stadium rozwoju kulturowego. Ludobojstwo jest tu zbyt laskawym slowem". Sabon: "Bez odwagi Sophii nowo narodzone Ambergris wktrotce rozpadloby sie, zniszczone zdradliwoscia szarych kapeluszy".

39 Sophia na kartach biografii stara sie, bysmy uwierzyli, ze zniszczyla wszystkie budynki, ale skoro odnajdujemy tam rowniez zapis tego, jak w dziesiec lat pozniej Manzikert II wykorzystuje niektore z tych obiektow w celach obronnych badz magazynowych, nie wydaje sie to zbyt prawdopodobne.

40 Zaczynamy sie tutaj zastanawiac, czy sam Manzikert I w glebi duszy naprawde wierzył, ze powinien byl dokonac masakry szarych kapeluszy z powodu dwoch porostow o dziwacznych ksztaltach.

41 W takich ilosciach, ze Manzikert II zakazal dokarmiania szczurow w czasie kleski glodu.

42 Ku wielkiemu oburzeniu truffidian na calym swiecie, manzisci czesto twierdzili,

ze sa Bracmi i Siostrami Truffa, a bylo to roszczenie, ktore wielokrotnie doprowadzalo do zamieszek i pieczenia dziesiatkow szczurow na roznach w Dzielnicy Religijnej.

43 Niecierpliw i nieporadny czytelnik, ktory jest pozbawiony najmniejszego chociazby przeblysku intelektualnej czy historycznej ciekawosci, winien w tym momencie zrobic przysluge staremu historykowi i pominac kilka kolejnych stron, przechodzac bezposrednio do opisu samej Ciszy (Czesc III). Przyjmuje, ze w obecnych okropnych czasach dotyczy to w zasadzie wiekszosci z Was. Oczywiscie to malo prawdopodobne, by akurat ci czytelnicy, ktorych to dotyczy, zapoznawali sie z przypisami, a co za tym idzie, ci najmniej bedacy w stanie docenic kolejne kilka stron tekstu przeocza te notatke i zatopia sie w nudzie historii...

44 Po powrocie oslepionego i oblakanego Manzikerta I Sophia juz nigdy nie byla soba i pozegnala sie z tym swiatem zaraz po mezu. Jeszcze za zycia nie przejawiala najmniejszego zainteresowania rzadzeniem, a jesli nawet, to bylo ono bardzo male, mimo iz chwycila za ster wladzy przy co najmniej dwoch okazjach, za kazdym razem w zwiazku z naleganiami syna, gdy z wielkim sukcesem poprowadzila karna wyprawe przeciwko poludniowym plemionom. Sophia szczerze kochala swego meza brutala, choc nie w ten rzewny iekliwy sposob, jaki przedstawil nam Voss Bender w swej pierwszej i najmniej udanej operze Tragedia Johna i Sophii. Trudno bowiem powstrzymac sie od smiechu, gdy John, pod sam koniec aktu III, tanczy z przebranym za szczura aktorem, ktorego w swym szalenstwie bierze za zone.

45 Wedle wszystkich zrodel byl on mezczyzna przystojnym, chociaz nie przypadla mu w udziale smagla aparycja ojca; mial szczupla budowe ciala, a glowe wienczyla mu gestwina czarnych wlosow, spod ktorzych z przebiegla zaciekloscia Isnily zielone oczy.

46 Przez dosc dlugi czas plemiona te unikaly miasta i oddawaly nowej osadzie przesadny szacunek – dopoki nie uswiadomily sobie, ze szare kapelusze znikly i to – jak sie wydawalo – najwyrazniej na dobre; wtedy wlasnie norma stalo sie ich energicznie wyrazane lekcewazenie i pogarda dla Aancykow.

47 Jesli chodzi o szczegolowy przekroj wczesnych systemow polityczno-gospodarczych, czy tez szczegolowa informacje o uprawach i tym podobnych, kieruje czytelnika do wysmienitej pracy Richarda Mandible'a Wczesne ambergrianskie finanse i spoleczenstwo, opublikowanej niedawno w "Kwartalniku Historycznym" (rocznik XXXII, numer 3). Tak szczegolowe informacje bowiem nie mieszczą sie juz w skrotowym zakresie niniejszego eseju, nie wspominajac o cierpliwosci czytelnika i wytrzymalosci starego historyka, ktoremu trzeszczy w stawach.

48 Katalog prowadzony za panowania Manzikerta II wykazuje, ze przynajmniej dwie

z relikwii odebrano swietym jeszcze za ich zycia. Znana jest rowniez historia dlugich i zawzietych targow agentow kappana z Kalifem o kupno "przyrodzenia i prawego jadra Swietego Jerzego z Assufu", zakonczonych jedynie zdobyciem samego jadra. (Mozemy tu sobie tylko wyobrazac osobliwy widok triumfalnego wwiezienia do miasta jadra, niesionego na perfumowanej, wyszywanej zlota nicia poduszce, trzymanej wysoko w powietrzu przez najwyzszego ranga truffidianskiego kaplana, gdy zgromadzony wokol tlum szalenczo wiwatuje). W szczytowym okresie religijnego szalu Kosciol Siedmioramiennej Gwiazdy zlozil nawet w calosc szereg najrozniejszych czlonkow swietych – glowe od jednego, ucho od drugiego i tak dalej – tworzac w ten sposob "Swietego nad swietymi". Cudo to eksponowano przez dwadziescia lat, dopoki kilka innych kosciolow, ktore znalazly sie na krawedzi bankructwa spowodowanego wlasnym brakiem relikwii, nie polaczylo swych sil i nie uskutecznilo frontalnego ataku na miejsce przechowywania owego wczesnego golema, by "rozczlonkowac" go miedzy siebie.

49 Odbudowany Palac nie wywolal ani glosow krytyki, ani okrzykow zachwytu; w rzeczy samej jego najbardziej interesujaca cecha byla mnogosc znajdujacych sie w srodku freskow i portretow, z ktorych kilka upamietnialo kompletnie wysrane z palca przez ambergrianskich historykow zwyciestwa nad armia Kalifa. Co gorsza, pierwsze dwa portrety w sali glownej przedstawialy w ogole nieistniejacych kappanow, ktorych obecność miała za zadanie zatuszowac okres Okupacji – czasu, gdy miasto znalazlo sie pod calkowita kontrola Kalifa. Po dzis dzien dzieci w ambergrianskich szkolach ucza sie o wyczynach kappana Skindera i kappana Bartine'a. Odwazniejszych, choc niezbyt rzeczywistych, przywocow ze swieca by szukac...

50 Sa dowody, ktore sugeruja, ze mogle on zostac otruty przez swego trawionego ambicjami syna, ktorego zawsze zabieral ze soba na wszelkie kampanie, by chlopiec nieustannie znajdowal sie pod jego czujnym okiem. Manzikert II zmarl zupełnie nieoczekiwanie, bez zadnych widocznych symptomow, a jego cialo na rozkaz syna zostalo niezwlocznie poddane kremacji. Watpliwie jest pojawienie sie jakichkolwiek glosow sprzeciwu, gdyz nigdy nie byl on szczegolnie popularnym przywocda, wbrew wysmienitym zapisom na kartach historii. Brakowalo mu niezbednej charyzmy, koniecznej do porwania za soba ludzi.

51 Na polnocy Kappanstwo Ambergris, jak brzmiala wowczas jego oficjalna nazwa, napotkalo zaciety opor ze strony Menitow, wyznawcow religii uwazajacej truffidianizm za herezje. Menici mieli w pozniejszym czasie zbudowac rozlegle imperium ekonomiczne na polnocy, rozposcierajace sie wokol miasta Morrow, oddalonego od Ambergris o okolo sto czterdziesti kilometrow w gore rzeki.

52 Sabon upiera sie, ze byl to trad, natomiast inni historycy sa przekonani, ze mielismy do czynienia z epilepsja. Tak czy inaczej, wybor sprowadza sie do trzech wielce widowiskowych chorob o bardzo odmiennych symptomach.

53 Choroba ta mogła się objawiać na różne sposoby, lecz – według anonimowego obserwatora – w przypadku Manzikerta III mieliśmy do czynienia ze skrajnie odrażającymi, nigdy dotychczas niewidzianymi symptomami: "Nieoczekiwanie na jego przyrodzeniu wykwitł ropień, a następnie głęboko umiejscowiony wrzód przetokowy; nie dalo się ich wyleczyć, a one wyzerwały sobie drogę do samego środka jego wnętrza. Stamtąd też wytrysnęły nieprzebrane ilości robactwa i wydzielal się morderczy smród, bowiem ogrom jego członków, zmienionych na skutek obżarstwa w przesadne ilości miękkiego tłuszczu jeszcze przed chorobą, poddał się procesom gnilnym, stanowiąc zarazem niemiłosierny, jak i odrażający widok dla wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu. Co się zaś tyczy lekarzy, niektórzy zupełnie nie byli w stanie zdzierzyć przekraczającego wszelkie wyobrażenia nieziemskiego fetoru, ci natomiast, którzy wciąż trwali u jego boku, nie mogli mu nijak pomóc, ponieważ cała olbrzymia masa jego ciała napuchła, osiągając stan wykluczający choćby cień nadziei na ewentualny powrót do zdrowia".

54 Mimo iż rozkaz Manzikerta (unieważniony po śmierci władcy) był wyjątkowo ekstremalny, jego zarzut, że miejscy lekarze niezbyt znali się na swym fachu, był, co niestety muszę tu przyznać, prawdziwy. Instytut w probie podniesienia umiejętności wysłał swych przedstawicieli na dwór Kalifa oraz do znachorów z pobliskich plemion. Lekarze Kalifa odmówili ujawnienia swych metod, lecz znachorzy okazali się wyjątkowo pomocni. Instytut przejął takie lokalne praktyki jak wykorzystywanie słodkowodnej elektrycznej fladry przy miejscowym znieczuleniu podczas zabiegów chirurgicznych. Inna z przejętych procedur, być może nawet bardziej pomysłowa, było rozwiązanie problemu infekcji przy zaszywaniu wnętrza. Olbrzymie mrowki senegrosa, rozmieszczane wzdłuż rozcięcia, ściśle zakleszczały rany szczękami; następnie odcinano im odwłoki, pozostawiając jedynie głowy. Po ponownym właściwym ułożeniu wnętrza zaszywano jamę brzuszną, a w trakcie gojenia głowy mrowek same stopniowo rozpuszczały się wewnątrz.

55 Jestem przekonany, że jego osobie poświęciłem już wystarczającą liczbę przypisów.

56 Przykładowe menu takiego bankietu zawierało krem z cielecego mózgu, pieczonego jeża oraz danie znane pod dość srogą nazwą – Rozkosz Olifanta, którego niepełny przepis odtajniło nie dalej jak w ubiegłym roku Stowarzyszenie Gastronomiczne Miasta Ambergris:

1 wydrazona czaszka olifanta

1 zmielony mózdek olifanta

4 litry brandy

6 ostryg

2 bardzo czyste swinskie pecherze

24 jajka sol, pieprz i natka pietruszki

Ze smutkiem donosze jednak, ze poszukiwania pozostalych brakujacych skladnikow wciaz trwaja.

57 Trzeba tu jednak oddac sprawiedliwosc Manzikertowi III, gdyz Sharp obdarzony byl nieprzyzwoicie przerosnietym ego, ktore bylo wrecz nie do zniesienia. Jego autobiografia, opublikowana bez zadnych poprawek na podstawie manuskryptu odnalezionego przy jego ciele, zawierala takie oto perelki: "Ze wschodu i zachodu, zewszad, a miejsce nie mialo tu najmniejszego znaczenia, moja reputacja i slawa pielgrzymkami sciagala ludzi do Morrow. Moth moze i nawadnia ziemie Kalifa, ale to me zlote slowa poja spragnione dusze. Zapytajcie Brueghelitow, zapytajcie zwolennikow Stetchera Jonesa, a ci z pewnoscia odrzekna wam, ze mnie znaja, podziwiaja, jak rowniez, ze nieustannie poszukuja, nie szczedzac ku temu wysilkow. Zaledwie kilka dni temu nawiedzil mnie pewien Ambergrianin, naglony i przymuszany niemozliwym do zaspokojenia pragnieniem, by spijac slowa z fontanny mej elokwencji".

58 Scathadyjski pisarz George Leopran, powstrzymany przez Manzikerta III przed pozeglowaniem do domu, doswiadczył niemal rownie zlej, uslanej trudami i utrapieniami, drogi powrotnej do Scathy: "Wszedlem na poklad swego statku i wyplynalem z miasta, ktore w mysl moich wyobrazen mialo byc bogate i doskonale prosperowac, lecz w rzeczywistosci okazalo sie mizerne, zatrute jadem klamstw, oszustw, krzywoprzysiestwa i zachlannosci. Bylo to miasto chciwosci, zapatrzenia w siebie i proznosci. Moj przewodnik mnie nie opuscil i po czterdziestu dziewieciu dniach jazdy na osiolku i konskim grzbiecie, dniach pieszych wedrowek, bez jedzenia i picia, wzdychajac, placzac i jeczac, dotarlem wreszcie na dwor Kalifa. Nawet wtedy nie okazalo sie to jeszcze koncem mych cierpien, gdyz kiedy wyprawialem sie w ostatni odcinek podrozy, wszystko opoznilo sie przez przeciwne wiatry wiejace w Paust, nastepnie opuscila mnie zaloga statku w Latras, wrogo przyjal mnie biskup eunuch, ktory nieomal zaglodzil mnie na smierc na Lukas, a wreszcie musialem przezyc trzy, niemal jedno po drugim, trzesienia ziemi na Dominon, co sprawilo, ze wyladowalem w szeregach zlodziei. Dopiero po kolejnych szescdziesieciu dniach podrozy wrocilem wreszcie do domu, by juz nigdy wiecej nie wysciubic stamtad nosa". Swiadomosc, ze pewnego dnia artretyczny ambergrianski historyk, czytając jego wynurzenia, odbierze je jako zabawne, pewnie moglaby go choc chwilowo rozweselic. A moze i nie. W kazdym razie z pewnoscia mozemy teraz zrozumiec tendencje owego autora powiesci historycznych do obwiniania Manzikerta III ponad miare.

59 Nigdy sie nie dowiemy, dlaczego z taka gotowoscia zaakceptowano Aquelusa, byc moze Manzikert III oglosil go swym nastepca na lozu smierci albo sam Manzikert

II, zdając sobie sprawę z chorowitej natury swego syna, już wcześniej wydał dekret ustanawiający Aquelusa monarcha w razie śmierci Manzikerta III. Cała opowieść, jakoby to w dzieciństwie okno sypialni Aquelusa nawiedził złoty orzeł, który przekazał mu wiadomość, że pewnego dnia zostanie kappanem, jest niemal z pewnością apokryficzna.

60 Trzy wieki później burmistrzowie miast położonych wzdłuż Moth odrzucili jarzmo kappanów i królów, tworząc ligę państw-miast związanych sojuszami handlowymi – w efekcie pograżyło to Ambergris w znanym nam obecnie stanie "funkcjonalnej anarchii".

61 Pierwszy Festiwal, zorganizowany przez Manzikerta I, był wydarzeniem wyjątkowo banalnym: zaledwie dwudaniowa uczta, uswietniona występem wiekowego polykacza mieczy, który zdolał podczas swego występu nadzieć się na własny orez. Bardziej złożone rozrywki cechowały w szczególności rządy Aquelusa. Wśród ówczesnych uroczystości było wielkie otwarcie odpowiednika Ogrodów Nicejskich (o niemal trzystu metrach szerokości, odtworzonych na tratwach rozciągających się między brzegami Moth łącznie z kwiatami, drzewami skrzacymi się różnymi kolorami kryształów i sztucznym jeziorem, zarybionym okazami, spośród których goście bankietu, nim jeszcze wycofali się do salonów palacu, mieli wybrać swój posiłek). Natomiast w rok po Ciszy z inicjatywy kappanessy nad publicznymi dziedzińcami przeleciała przeogromnych rozmiarów sztuczna sowa, zapalając w czasie swego lotu setki pochodni, by wreszcie osiąść na niemal dwudziestopięciometrowej kopii Luku Tarbuta z dominium Kalifa. Ale zapewne najbardziej śmiało widowisko miało miejsce za krótkiego panowania Manzikerta VIII, który odtworzył dawne Koloseum szarych kapeluszy, uszczelnił je, a następnie zalał arenę wodą i odegrał tam najsłynniejsze bitwy morskie z użyciem statków w skali 2:3. Cała ta pompa i przepych służyły autentycznemu świętowaniu, lecz w późniejszych latach miały również na celu ukrycie postępującego ubóstwa i militarnej słabości miasta.

62 Zgodnie z Czwartym Spisem Ludności, znajdującym się w archiwach dawnej dzielnicy biurokratów.

63 Według większości historyków jest to najbardziej osobliwa "teoria" Laconda (warto więc ją chyba tutaj przytoczyć). Zakłada ona bowiem, że niektórzy grzybianie w rzeczywistości rodzili się z wnętrza tych grzybow. Wyjaśnić ma to zarówno skowyt, jaki wydawały one pod uderzeniami toporów, jak również i fakt, że w większości przypadków trzewia takich grzybow tworzyła ciemna wodnista masa przypominająca łożysko z błonami owocowymi, a nawet same wody owocowe. Osobiście jestem przekonany, że "wrzask" był typowym dźwiękiem, jakiego należało się spodziewać od gumowatej konsystencji ciała grzyba przy rozłupywaniu go na pół toporem, a co do "łożyska", to wiele grzybow zawiera w swym wnętrzu pecherzyki wypełnione substancjami odżywczymi. Moglibyśmy sobie więc życzyć, by Lacond

przeprowadził bardziej wnikliwe badania przed podzieleniem się z nami swoją opinią, ale wtedy nie mielibyśmy możliwości poznania jego fenomenalnej wręcz głupoty.

64 Zbliżający się wtedy niemal do siedemdziesiątki, białobrody i rozpalony w oracji staruszek Bacilus musiał stanowić wyjątkowo spektakularny widok.

65 W obronie Rady należy tu stwierdzić, że wynalazca miał w Ambergris reputację raczej "burzliwą". Dzisiaj możemy pozwolić sobie na luksus dystansu do owych wydarzeń, ale Rada nie miała zbyt wiele czasu, by wymazać z pamięci takie proponowane przez niego innowacje jak sztuczne nogi dla weży, rekawiczki dla ryb czy też słynna latająca kamizelka. Bacilus wysnuł bowiem wniosek, że skoro powietrze uwiecznione w przedmiocie sprawia, że taki obiekt unosi się na wodzie, to uwiecznione powietrze winno również pozwolić rzeczy, w tym przypadku człowiekowi, unosić się w powietrzu. Co za tym idzie, stworzył specjalny kostium, który nazwał latająca kamizelka. Urządzenie zostało wykonane z pustych swińskich i wieprzyczych żółtek, a składało się z trzech tuzinów pozszywanych ze sobą torebek powietrznych. Bez przeprowadzenia jakichkolwiek wcześniejszych prób Bacilus przekonał swojego kuzyna, Brandona Mapa, do nałożenia na siebie owego wynalazku i skoczenia na oczach zgromadzonej publiczności, składającej się z najważniejszych ministrów Aquelusa, z dachu świeżo ukończonej truffidianskiej katedry. Kiedy biedak niczym kamień runął na spotkanie własnej śmierci, powszechnie uznano, tak by doszło to do uszu Bacilusa i by strata życia nie okazała się jednak zupełnie bezsensowna i daremna, że być może tuż przed samym lądowaniem jego kuzyna jednak frunął przez krótką chwilę. Jeden z mniej uprzejmych ministrów zauważył, że być może, gdyby to sam Bacilus, będący z pewnością urodzonym zbiornikiem powietrza, o ile tylko dane mu było kiedykolwiek widzieć takowy na oczy, włożył kamizelkę, wynik mógłby się okazać wprost przeciwny, gdyż było wyraźnie widać, że Brandon nie miał już w sobie ani powietrza, ani krwi, ani nawet kości... Truffidian zaś, co oczywiste, przeraził fakt, że ich dopiero co ukończona katedra została w ten sposób ochrzczona bryzgiem krwi, a przerazili się jeszcze bardziej, gdy odkryli, że Brandon był ateista. (Powinienem jednak pozwolić sobie tu zauważyć, że truffidianie przez ostatnie siedem wieków nieustannie byli przerazeni takim czy innym wydarzeniem).

66 Treść protokołu policyjnego z zeznania złożonego przez Richarda Krokusa dostarcza nam dość typowy przykład: "W samym środku nocy obudził mnie jakiś brzęczący szum, dochodzący z kuchni. Musiało być gdzieś koło drugiej rano. Moja żoncia smacznie sobie spała u mego boku, a skoro nie mamy dzieci, nie miałem też pojęcia, ktoż to taki mógłby sobie właśnie w środku nocy przygotowywać na dole przekaske. Tak więc ruszyłem cichutko do kuchni, ale tak naprawdę cichutko, chwytając po drodze za deske jako bron, a miałem zamiar wzmocnić tymi deskami obramowania kominka, ale jakos nie mogłem się za to zabrać, bo bolało mnie w krzyżu... Jak każdy służyłem przecież w armii, gdzie spaskudziłem sobie kregosłup podczas niefortunego upadku w trakcie ćwiczeń i nawet przez czas jakiś

dostawalem rente, dopoki nie wyszlo na jaw, ze tak naprawde to poslizgnalem sie na pomidorze... A moja zonka ciagle suszyla mi glowe, bym naprawil ten kominek, tak wiec przywloklem te deski, ze sklepu, to oczywiste, znaczy, a pozniej tej nocy schwycilem za jedna z nich, ale nie po to oczywiscie, by naprawiac kominek, wiadomo, tylko w celach obronnych. Gdzie to bylem? Ach, tak. Tak wiec wchodze do naszej kuchni i juz sie zastanawiam, czy nie zrobic sobie malej kanapeczki, o ile tylko zostal jakis chleb w domu, tak wiec byc moze i nie zwracam tyle uwagi, ile powinienem, na cala zaistniala sytuacje, i niech mnie szlag trafi, jesli nie spostrzegam tam wtedy tej malutkiej osobki, tej ciputkiej malutkiej osobki w cholernie wielkim filcowym kapeluszu, ktora ot siedzi sobie na blacie lady i napycha sie ciastem czekoladowym, ktore upiekla moja zoneczka. Spojrzalem na nia, a i ona nie pozostala mi dluzna i tez zmierzyla mnie wzrokiem. Nawet nie drgnalem, ona tez nie. Miala wielkie oczy, maly nosek i krzywy usmiech na twarzy, taki od ucha do ucha, tyle tylko, ze z zebami, prawdziwie wielkimi zebiskami, tak wiec troche psulo to cala bijaca od niej radosc. Oczywiscie, ze zdazyla spaskudzic caly tort mojej zonci, tak wiec juz mialem ja walnac trzymana w rekach deska, tyle ze wtedy to ona cisnela we mnie grzybem. I kolejne, co pamietam, to mielismy juz ranek i nie tylko cale ciasto rozplynelo sie w powietrzu, ale i moja zonka bila mnie po twarzy, marudzac i jojczac, jak to powinienem juz wstawac, bo pewnie znow chlalem po nocy i czy nie zdaje sobie sprawy, ze juz spoznilem sie do pracy. A pozniej, jeszcze tego samego dnia, gdy rozstawialem talerze do obiadu, jakos nie moglem znalezc zadnych nozy ani widelcow. Wszystkie zniknely. Och, tak, niemal zapomnialem – nie bylem tez w stanie znalezc tego grzyba, ktorym dostalem, ale zareczam ci, cholera, ze byl o wiele ciezszy, niz sie wydawalo, bo mam po nim tego cholernie wielkiego guza na czubku glowy. O tu, popatrz".

67 Kilka lokalnych sklepow z pamiatkami, weszac w tym szybki zysk na pielgrzymach, zaczelo sprzedawac malutkie figurki i laleczki w ksztalcie grzybian, jak rowniez zrobione z grzybkow potpourri; pojawila sie wtedy nawet tawerna o nazwie "Spora Szarego Kapelusza" (istniejaca po dzis dzien, a mozna tam dostac jedno z najlepiej schlodzonych piw w calym miescie).

68 W blyskotliwie skonstruowanej intrydze wyslal on do Morrow wraz z sugerujacym malzenstwo ambasadorem grupe truffidianskich mnichow, ktorych celem bylo wynegocjowanie religijnego kompromisu, pozwalajacego pogodzic roznice miedzy Krolestwem Menickim a Kappanstwem Ambergris. Wiele z prowadzonych rozmow i klotni bylo skrajnie niezrozumialych. Menici wierzyli na przyklad, ze Boga mozna odnalezc w kazdej istocie, podczas gdy truffidianie, usilujac odseparowac sie od manzizmu, byli przekonani, ze szczury pochodza raczej "od diabla"; po tygodniach niedorzecznych swiadectw, dotyczacych zarowno zalet szczurow ("ich futro jest mile w dotyku"), jak i ich wad ("roznosza choroby"), osiagnieto wreszcie kompromis – wyrazenie "od diabla" powinno zostac usuniete z wszelkich truffidianskich tekstow i zastapione okresleniem "nieboskie" (pierwotnie

zmienionym na "stworzone przez Boga, które najprawdopodobniej zbladziły z jego drog", ale truffidianie nie zaakceptowali tej wersji). Po roku niezmiernie bolesnych negocjacji i prawdopodobnie bardziej z powodu wyczerpania i znudzenia niż dlatego, że ktokolwiek rzeczywiście w to wierzył, ugoda została osiągnięta ku wielkiej uldze obu władców (którzy, mimo iż byli religijni, posiadali też przy okazji wyjątkowo silny i zdrowy pierwiastek pragmatyzmu). Porozumienie to miało przetrwać siedemdziesiąt lat, do czasów unieważnienia go z powodu Wielkiej Schizmy, a nawet wtedy rozpad kontraktu ogłoszono przez główne biura Kościoła Truffidianskiego na ziemiach Kalifa.

69 Kronikarze tego okresu nazywają to małżeństwo "małżeństwem z wyrachowania", bowiem wszelkie dowody świadczą, że Aquelus był homoseksualista. Ale nawet jeśli zawarto je z takich powodów, to wkrótce i tak uczucie pogłębiło się, zmieniając w odwzajemniana miłość. Z pewnością nic nie wyklucza możliwości, że Aquelus był biseksualny, podobnie jak nie da się zanegować opinii wyrażonej w dwa wieki później przez homoseksualnego uczonego kappana Ambergris Meriada, który utrzymuje, iż Aquelus był niemal równie wypaczony jak stare drzwi.

70 Biorąc pod uwagę przykład Sophii i Manzikerta I nic w tym dziwnego, że kobiety służyły w armii aż do upadku Trilliana Wielkiego Bankiera i jego Bankierów-Weteranów, wiele z nich nawet wśród najwyższych szczebli. Sama Irene celowała jako łowca, potrafiła przescignąć i pokonać w walce najszybszego ze swych pięciu braci, a tajniki strategii zgłębiała pod kuratela samego Masoufa, najwspanialszego z generałów Kalifa.

71 Proszę zauważyć, że mowiąc "kalif" we wszystkich dotychczasowych odwołaniach do Kalifa na przestrzeni szesćdziesięciu lat, odnosilem się do więcej niż jednego władcy. Kalifa wybierano w tajnym głosowaniu, a jego tożsamości nigdy nie ujawniano publicznie, by chronić go przed próbami "kalifobójstwa". Każdego Kalifa nazywano po prostu "kalifem". Nie należy się zbyt dziwić, że pozycja Nadwornego Genealoga niosła ze sobą tak niewiele splendoru, a tak wiele frustracji.

72 Choć takie kroki wydają się cokolwiek ekstremalne, powinnismy stwierdzić, że w efekcie owo wasalstwo nie miało znaczenia – Kalif był zbyt zajęty konsolidacją niedawno zdobytych terenów wschodnich (rebelie na tamtych terenach były potajemnie finansowane przez Aquelusa, który niczego nie pozostawiał dziełu przypadku), by domagać się danin, czy też chociażby wysłać administratorów, którzy w jego imieniu doglądaliby Kappanstwa. Jednakże Kalif mógł w pewien sposób przechytrzyć tu Aquelusa, gdyż w późniejszych wiekach jego następcy domagali się należnego im zgodnie z prawem Kappanstwa Ambergris i rozpoczęli działania wojenne mające na celu "wyzwolenie" tego obszaru.

73 Kiedy Stretcher Jones został wreszcie pokonany w krwawej potyczce, która na

następne trzy wieki skonsolidowała supremację Kalifa na zachodnich terenach, Aquelus odpowiedział na to następującymi słowami: "Będąc jednocześnie przyjacielem obu monarchów i mając Boga przy swoim boku, mogę jedynie stwierdzić tyle – cieszę się z tymi, którzy mają powód do radości, a płaczę z tymi, którzy mają powody do smutku".

74 Nawet przed upadkiem powstania Stretchera Jonesa ci okrutni wojownicy zostali przepędzeni na wschód przez powoli nadciągającą armię Kalifa, który z pewnością oczekiwał i życzył sobie, by osłabiła ona Ambergris. Od tamtej pory znikli z kart historii w sposób zarówno szokujący, jak i absurdalny, lecz marginalny, jeśli chodzi o główny punkt zainteresowania niniejszego opracowania; wystarczy tu tylko nadmienić, że eksplodujące kuce wcale nie stanowią milego widoku, a nikt nie ma najmniejszego pojęcia, kogo należy obarczyć winą za robactwo.

75 Przy zablokowanym od tej strony dostępie do morza trudno się dziwić, że Ambergris nie stało się dominującą w regionie potęgą morską aż do czasów Manzikerta V, który założył tak zwaną Fabrykę – słynne na całym świecie centrum budowy statków, zdolne zbudować galere w dwanaście godzin, a w pełni wyposażony okręt wojenny – w dwa dni.

76 Jak się przypadkowo złożyło, dając tym samym Aquelusowi doskonały przykład na to, co się dzieje, gdy armia oparta na silnej kawalerii walczy z siłami głównie morskimi – o toz nie dzieje się nic.

77 Aquelus do końca swoich dni budował naziemne mury mające chronić miasto przed atakami z północy, południa i wschodu. Od strony rzeki wznosił również fortyfikacje obronne, w skład których wchodziły magazyny zapasów koniecznych do szybkiego przekształcenia statków w pływające barykady. Do dnia dzisiejszego przetrwała zaledwie garstka tych struktur, gdyż wykonawca, któremu udało się wygrać przetarg, rzekomo były Brueghelita, użył materiałów posledniego sortu; obecnie do ostatniej z przetrwałych ścian murów naziemnych przylega najbardziej wysunięta na wschód część Dzielnicy Religijnej.

78 Nawet gdyby nie zaistniało widmo głodu, Aquelus i tak musiałby zabrać ze sobą równie wielką flotę, bowiem statki, by dotrzeć na tereny połowu kalamarnic, musiały przeciąć zewnętrzne granice wód terytorialnych Brueghelitów.

79 Jedyną słabością Aquelusa było zamiłowanie do osobistego dowództwa podczas wypraw wojskowych. Taka odwaga często pomagała mu przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, lecz stała się także przyczyną jego śmierci niemal w przededniu sześćdziesiątych siódemych urodzin, kiedy to, mimo iż ubezwłasnowolniony i niezdolny do działań (czego powody już wkrótce stana się dla nas jasne), uparł się, by na specjalnie wytresowanym koniu wyruszyć w ferwor walki z Skamoo, którzy nadciągnęli z terenów ogarniętych wieczną zimą i zaatakowali Morrow. Aquelus

nawet nie zauważył giganta z polnocy, który powalił go swym toporem bojowym.

80 Należy tu zwrócić uwagę na różnice między powyższym symbolem a symbolem towarzyszącym przypisowi 23. Nikt do tej pory nie rozszyfrował oryginalnego symbolu, ani też znaczenia widocznego tu "rozcłonkowania".

81 Ktożby inny oczywiście, jak nie Sabon. Twierdzi ona, że Menici spędzili wszystkich mieszkańców miasta w jedno miejsce (jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Ambergris), a następnie dokonali tam masakry ludności, pozostawiając dowody świadczące o zaangażowaniu w występek szarych kapeluszy. Swa niedorzeczna teoria podpira, wskazując na dalsze losy kappanessy (które już wkrótce zostaną przed wami odsłonięte).

82 Bedacego przez wiele lat kochankiem Aquelusa. Nie wiadomo, co też o takim układzie sądziła sama Irene, wiadomo jednak, że traktowała Nadalę ze znacznie większą życzliwością i szacunkiem niżli on ją. Nadal stracił później z tego właśnie powodu swoją pozycję.

83 Decyzja ta zdaje się mieć zarówno polityczne, jak i osobiste podstawy. Mimo iż Aquelus nigdy jej nie skomentował, ani publicznie, ani na osobności. Nadal zapisał już po śmierci kappana, że (ku jego wielkiemu utrapieniu) władca naprawdę kochał jedynie swą żonę, a ogarnięty szalenstwem rozpaczony był przekonany, że ona wciąż żyje gdzieś pod powierzchnią ziemi. Wczytując się jednak głębiej w zapiski Nadalę, dochodzimy do wniosku, że był on obłudnie nieszczerzy – gdyby bowiem Aquelus wierzył, że jego żona żyje, z pewnością pozwoliłby wyruszyć na jej poszukiwania wojsku w wielkiej sile, prawda? Nie, jego poświęcenie służyło kilku innym celom: gdyby nie wyruszył, wtedy, biorąc pod uwagę panującą wśród jego ludzi złość i udrękę, ci z pewnością podjęliby własne działania, prawdopodobnie doprowadzając tym samym – o ile tylko spróbowałby im w tym po raz kolejny przeszkodzić – do obalenia jego rządów. (Co więcej, gdyby jego zejście do podziemi odebrano jako działanie podjęte w imieniu Irene być może król menicki spojrzałby na kappana o wiele życzliwszym okiem). Co najważniejsze, Aquelus gorliwie zgłębiał historię, musiał więc znać wszystkie najdrobniejsze szczegóły dotyczące zarówno masakry szarych kapeluszy, jak i podpalenia Cinsorium, które nastąpiło zaraz po niej. Bez wątpliwości zinterpretował działania szarych kapeluszy jako zemstę i zrozumiał, że za wszelką cenę należy uniknąć odwetu na nich, gdyż mogłoby to doprowadzić tylko do dalszej eskalacji działań po obu stronach, trwale destabilizując miasto i uniemożliwiając rządzenie. Jeśli bowiem szare kapelusze były w stanie sprawić, że dwadzieścia pięć tysięcy ludzi rozplynęło się w powietrzu, i to bez najmniejszego śladu, to w takim razie Aquelus miał ledwie dwa wyjścia z zaistniałej sytuacji: na zawsze porzucić miasto albo jakos się do tej sytuacji dostosować. Być może uświadomił sobie, że skoro szare kapelusze dokonały już swej zemsty, to można ich będzie teraz przekonać do negocjacji. Musiał równocześnie zdawać sobie sprawę, że koniecznie należało podjąć jakies działania, a nawet wbrew wszelkiemu zdrowemu

rozsadkowi, mając nadzieje na ocalenie zony, musiał czuć, że nie pozostawiono mu żadnego wyboru. Jeśli tylko Aquelus dostrzegł sytuację w tym właśnie świetle, znalazł się wtedy w gronie najbardziej bezinteresownych przywódców, jakich Ambergris kiedykolwiek posiadało; taka bezinteresowność obciążona była jednak wysoką ceną.

84 Gdyby jednak czytelnik, w jakimś niezbyt prawdopodobnym przypadku, zastanawiał się, jak udało się przetrwać Ciszę tak wielu ministrom, pozwól tu sobie, Czytelniku, rozproszyc zasłone twej ignorancji: ministrowie wcale nie byli zwolnieni z okresowej służby wojskowej – rzeczywistości zobowiązywało ich do tego piastowane przez nich stanowisko, skoro Aquelus z determinacją dążył do tego, by jego armia była "obywatelska" w możliwie maksymalnym stopniu. Wynika więc, że przynajmniej siedmiu głównych ministrów, lub ich wysłanników, pożeglowało na polow kalamarnic.

85 Peter Copper w biografii Aquelus przejmująco relacjonuje nam odejście Kappana w kierunku podziemi. Opisuje to następująco: "I tak oto zszedł do podziemi, w głąb ciemności i mroku, nie jako Manzikert, którego znałem, nie dla zabawy powodującej przyspieszone bicie serca, lecz po dogłębnym rozważeniu i zastanowieniu, przekonany, że żaden inny krok nie byłby w stanie ocalić miasta przed zagładą, zarówno fizyczną, jak i duchową. Gdy pochłaniała go ciemność, a jego kroki rozbrzmiewały coraz to słabszym echem w panującym tam mroku, jego ministrowie naprawdę uwierzyli, że nigdy więcej nie ujrzą go na oczy".

86 Udała się w pobliże Badux, gdzie po dziś dzień stoją ruiny Alfar; w tamtym regionie wciąż jest pełno gluszców i dzikich świń.

87 Uważała wówczas, że taka pomoc wzmocni jej wewnętrzna pozycję; nie chodziło bynajmniej o obronę miasta przed zagrożeniami z zewnątrz.

88 To, że kappanessa zdołała doprowadzić do wtrącenia ich do cel, jest świadectwem nie tylko siły jej charakteru, lecz również systemu służby obywatelskiej stworzonego na terenie miasta przez Manzikerta II. Większość z tych, którym udało się przeżyć Ciszę, słysząc o decyzji kappana i zaangażowaniu grzybian, która to wiedza przedostała się do świadomości zbiorowej, ruszyła z zamiarem totalnego ataku na podziemia i to wbrew wielokrotnie powtarzanemu przez Irene zakazowi Aquelusa. Red Martigan, poręcznik okrętu flagowego, poprowadził potajemną operację przeciwko grzybianom, gdy kappan wciąż jeszcze znajdował się pod powierzchnią. Zabrał ze sobą do najdalej wysuniętych na południowy wschód terenów około poł setki ludzi i wkroczył tam z nimi przez otwarty właz jednego z kanałów. Kilka dni później przyjaciel, który nie dołączył do tej ekspedycji, zszedł na dół, by sprawdzić, co się z nimi stało. Tam, na szczycie wjazdu, odkrył poustawiane jedną przy drugiej głowy Red Martigana i jego pięćdziesięciu kompanów; wszystkie miały wydłubane oczy, a ich usta wykrzywiały ten sam grymas "usmiechu", bardziej nawet przerażający niż widok odciętych głów. Na pytanie, czy akcja przeprowadzona

przez Martigana zaszкодziła podziemnym wysiłkom Aquelusa, można jedynie zaproponować dosyć już popularny obecnie, a równocześnie wielce irytujący powtarzający się refren: "Niestety, nigdy się tego nie dowiemy".

89 O ile co do treści powyższej przemowy możemy zaufać Nadalowi, to nie okazuje się on już tak godnym zaufania reporterem, gdy chodzi o użyte w niej słownictwo: w jego ustach nawet słowo "nudności" staje się zarówno samochwalcze, jak i melodramatycznie nudnie. Jest on jednak naszym jedynym źródłem.

90 W rzeczywistości to Haragck stanowili o wiele większe zagrożenie dla miasta.

91 Dalo to w rezultacie tyle, że w późniejszych latach (pod rządami słabych kappanów) burmistrz w rzeczywistości miał porównywalny z nimi status.

92 Jak też udało się Haragck tak licznie przebyć rzekę? Owi żenująco słabi pływacy jakos zdolali wykonać siedem tysięcy wypełnionych powietrzem skorowierzycy – nie uzyskano ich, jak głosi plotka, z ich kuców, darzonych wszak wielką estymą – i tak oto w pełni uzbrojeni, unosząc się na wodzie, pomagając sobie rekoma i nogami, przeprawili się przez nurt Moth. Plaskorzeźby, obrazujące to wydarzenie, są nielicznymi przykładami ich sztuki, jakim udało się przetrwać do naszych czasów:

Bardziej kłopotliwe pytanie brzmi jednak następująco: Skąd Haragck w ogóle wiedzieli, że mają tak szybko zaatakować? Jeszcze do niedawna pozostawało to wielką niewiadomą. Nawet wysmienity jeździec nie dotarłby do zachodnich granic Ambergris w mniej niż trzy dni, a kolejne trzy zajęłoby mu powrót po otrzymaniu takiej wiadomości, nie wspominając już o przekroczeniu samej Moth. Pięć lat temu stolarz z leżącego na zachodzie miasta Nysimia przypadkowo wykopał z ziemi zestaw kamiennych tablic z wyrytymi legendami Haragck, wśród których znajdowała się jedna pochodząca ze wspomnianego okresu. Opowiadała ona historię nieoczekiwanej wyrosłego spod ziemi grzyby, z którego wylonil się pewien staruszek z rozkazem ataku na ich "wschodnich wrogów". Czyżby świadczyło to o tym, że grzybianie zdolali jakos skoordynować atak Haragck z Ciszą? I sama Ciszą była jednak ich dziełem? I czyżby tym staruszkiem miał się okazać nie kto inny jak sam Tonsure we własnej osobie?

93 Szukając odkupienia, niektórzy z buntowniczych przywódców poprosili na czas niebezpiecznych walk ulicznych o przydział dowódcy i zasłużyli się w ten sposób wystarczająco, by – mimo iż zostali później zdegradowani i jako cywile po stanie wyjątkowym wrócili do normalnego życia – nie skonfiskowano im należących do nich ziem, a im samym nie odebrano życia.

94 Co gorsza, skory zwierząt, z których wykonali te pływaki, miały pory, dzięki czemu, przygotowane w wielkim pośpiechu, powoli przeciekały; większości udało się przetrwać pierwszą przeprawę, wielu jednak utonęło w drodze powrotnej.

95 Był on owianym zła sława kanibalem, który zasmakował w zachodnich plemionach; fakt, że Aquelus trzymał go u siebie jako zakładnika, jako bufor przeciwko Brueghelitom, być może i był polityczną koniecznością, ale i tak było to moralnie naganne.

96 Jedyny powód, dla którego Haragck zdołali przegrupować się tak błyskawicznie, że już w zaledwie trzy lata później znowu stanowili zagrożenie dla Ambergris, jest następujący: ich wielki generał Heckira Blgkkydks wymknął się Skamoo wraz z siedmioma ludźmi, a jego furii nijak nie dało się powściągnąć ani ugasić (była bardziej przerażająca niż słynna furia Manzikerta I). Wreszcie dotarli do fortecy Gelis, gdzie znalazł schronienie haragcki chan Grnck (który osobiście zarządził ziemno-lądowy atak na Ambergris). Wyglodzony, bez butów, z ubraniem w strzepach, Blgkkydks wpadł na dwór chana, rzekomo rycząc: "Nadmuchiwane skóry zwierzęce?!", po czym jednym machnięciem swego miecza odciął głowę władcy i niezwłocznie sam ogłosił się kolejnym chanem. Miał pozostać nim przez kolejne dwadzieścia lat, nim doszło do upadku Haragck jako polityczno-kulturowej siły. Na szczęście kolejne trzy lata spędził, wybijając co do łba i nogi wszystkich napotkanych na drodze Skamoo, gdyż to właśnie z ich rak wycierpiał potworne katusze, a do czasu, gdy znowu skupił swą uwagę na Ambergris, miasto odzyskało już na tyle swe siły, by móc się bronić. (Jedyną z długoterminowych konsekwencji nieudanego ataku Haragck na Ambergris był dotkliwy brak dobrych tłumaczy, gdyż niemal wszyscy oni zostali zabici płonącymi wiązками chrustu, wystrzeliwanymi przez obrońców miasta. Kiedy więc Blgkkydks wystosował, jako pretekst do wypowiedzenia wojny, oficjalne zadanie wzywające miasto do poddania się, towarzysząca mu groźba brzmiała następująco: "Upcham wam pod pachami usmazoną jajka", podczas gdy stare powiedzenie Haragck brzmiało: "Oderwe ci ramię od ramienia, jak gdybyś był kurczakiem".

97 Niektorzy ogrodnicy – z żadnym z nich nie konsultowałem się podczas pisania tego przewodnika turystycznego – wskazują, że tkanka galek ocznych jest wysmienita pożywką pod względem składników odżywczych koniecznych dla rozwoju grzybow.

98 Nie możemy zapomnieć o poznej operze Vossa Bendera, opisującej Ciszę, zatytułowanej Krol w Podziemiach, która – mimo iż zawiera niewatpliwie idiotycznie życzeniową scenę, w której kappan własnoręcznie morduje dwa tuziny karłów przebranych za grzybian, po czym wszyscy "padają przed nim na kolana" – posiada też głęboki i rzadki urok, szczególnie w scenie, w której kappan wyczolguje się po stopniach na powierzchnię, gdzie dochodzi do niego głos Irene i z dłoni na jej policzku (przyłożona grzbietem, a nie wewnątrz) śpiewa:

Me palce nie oslepiły obrazu twego wciąż głodne wszak są; a ty, widoczna, lecz niewidziana, czy zniesiesz dziś widok mój?

A ponieważ owa opera Bendera przebiega popularnością każdą książkę historyczną,

jego wizja stala sie popularnym wyobrazeniem tamtych wydarzen, w wygodny sposob pozwalajac na ignorancje niefortunnej namietnosci Nadala do kappana. Na szczescie wiele zagadnien – w tym rowniez uzycie przez Haragck plywajacych skor zwierzeczych – Bender uznal za niestosowne dla opery i w niskim guscie, daleko ponizej centrum zainteresowania ogolu, tak wiec istotom takim jak ja wciaz wolno pelzac i wic sie, mruczac pod nosem swe "eksperckie" opinie.

99 Mimo iz krol menicki naciskal na Irene w sprawie aneksji Ambergris przez Morrow; kappanessa, szczerze oddana swemu nowo adoptowanemu narodowi, zbywala go, odwolujac sie do widma interwencji Kalifa, gdyby tylko Kappanstwo wpadlo w menickie rece.

100 To, ze Aquelus ciagle ja kochal, jest faktem niezaprzeczalnym; sam nigdy sie nie zalil, mimo iz wielu jego ministrow, ktorzy utracili wladze w wyniku tego, co sie stalo, skarzylo sie – i to dosyc glosno.

101 Nadal, ktory przez caly ten czas trwal przy boku Aquelusa, donosi o pewnej rozmowie, podczas ktorej kappan zganil go za wybuch w obliczu wielu oszczerstw: "Zostali dotknieci straszliwa strata. Jezeli do zagojenia tych ran musza stworzyc mnie sobie na obraz zloczyncy, niech tak sie stanie".

102 Opowiadanie o kontynuacji linii Manzikerta, czy tez o grzybianach, lezy juz poza zasiegiem problematyki tego eseju; wystarczy tu tylko stwierdzic, ze grzybianie sa wciaz z nami, a manzikerci istnieja jedynie jako skrajna grupa religijna i jako raczej wstretny dla oka czarny pojazd, przypominajacy zuka wyposazonego w silnik.

103 Nie nalezy sie tu dziwic, ze wielu ludzi wynioslo sie i osiedlilo w innych miastach, ale ich miejsce zajeli wkrótce nowi osadnicy z poludniowych aanskich wysp oraz ci nadciagajacy z lezacego na polnocy Morrow. Dodatkowi mieszkancy zostali dokooptowani z szeregow plemion zamieszkujacych najblizsze okolice miasta; Irene bowiem w zamian za przesiedlenie zaoferowala im prace i zmniejszenie podatkow. Naplyw do miasta przedstawicieli obcych kultur – miasta, co nalezy zauwazyc, poczatkowo opartego glownie na aanskich klanach – na zawsze zmienil i odmlodzil miejscowa kulture... Mozna pytac dlaczego tak wiele osob zechcialo zamieszkac w miejscu, gdzie dwadziescia piec tysiecy ludzi rozplynelo sie w powietrzu bez sladu, ale – w rzeczywistosci – rzad celowo rozsiewal dezinformacje obwiniajaca za straty w ludziach inwazje dokonana przez Haragck i Brueghelitow. W owczesnym chaosie wiele osob spoza miasta prawdopodobnie nigdy nie uslyszalo nawet prawdziwej wersji wydarzen. Inni zdecydowali sie nie dawac jej wiary, gdyz nie byla ona, mimo wszystko, jakas wyjatkowo wiarygodna opowiescia. A co za tym idzie, przez kilka wiekow historycy, ktorzy powinni wiedziec najlepiej, publikowali falszywe historie opisujace zaraze i wojne domowa.

104 Wreszcie, biorac pod uwage ogrom strat, wyjatkowo niska liczba sposrod tych,

którym udało się ocaleć, zginęła z własnej reki. Musimy docenić pracowitość Irene i Aquelusa – przykład, który dali, i wykonana przez nich praca.

105 Sto lat po tych wydarzeniach grzybianie po raz pierwszy zaczęli się integrować z miejską społecznością, aczkolwiek jedynie jako zbieracze śmieci.

106 Nie dalej jak pięćdziesiąt lat temu odkryto kilka domostw dokładnie w tym stanie; zabitych deskami i zabudowanych. Odkryła je zupełnie przypadkiem ekspedycja badawcza, mająca na celu instalację lamp ulicznych. Mierniczowie stwierdzili, że panująca wewnątrz atmosfera (wszechobecny kurz, skorodowane talerze i inne przybory kuchenne, suchy jak śmierć zapach, zasuszone kwiaty wystawione niczym pomnik) jest tak przygnębiająca i depresyjna, iż po krótkim rekonesansie nie tylko ponownie zabili deskami wejścia, ale też zalali je cementem mimo energicznych protestów zarówno z mojej strony, jak i ze strony różnych innych starych pierników z Ambergrińskiego Towarzystwa Historycznego.

107 Jeśli tak było, to kilkakrotnie wybawicielem miasta był sam diabeł

108 W tym miejscu naszej opowieści zaczęły powoli oficjalnie pożegnania z tymi z was, którzy w ogóle zauważyli moją marginalną obecność w przypisach. Tutaj bowiem ślepy mechanizm historii przescignął mnie, powinienem więc odskoczyć mu z drogi i pozwolić toczyć się dalej do przodu, nie powstrzymując go szalenczymi gestami mającymi na celu zwrócenie jego uwagi. Ograniczona zasięgiem naszego zainteresowania historia dobiegła już kresu, pozostała teraz jedynie kwestia pozamiatania podłóg, wyniesienia śmieci i wyłączenia świateł. Tymczasem po raz kolejny zaszyje się w anonimowości mojego małego mieszkańca z widokiem na plac imienia Vossa Bendera. Taki już los historyków: blakną jeszcze szybciej niż tkanina, z której utkano ich historie, a wreszcie przestają istnieć poza nią sama. Zapamiętaj to sobie, Czytelniku, gdy będziesz krążyć w południowym tłumie Dzielnicy Religijnej z przewodnikiem trzymanym w zwiotczalej, pulchnej lewej dłoni, starając się prawa utrzymać równowagę kufła z ciemnym piwem.

109 W bibliotece już wcześniej znalazło schronienie wiele unikalnych i rzadkich manuskryptów, w tym między innymi anonimowy Słownik gry wstępnej, Wspomnienia Stretchera Jonesa, kilka stron z pulpy palmowej, na których znajdowały się bazgroły grzybian, oraz szesćdziesiąt dziewięć tekstów o konserwowaniu mięsa, wykradzonych z rąk Kalifa, wielce pomocnych, gdy Manzikert II w gorączkowym szale skupował członki świętych.

110 Gdy pięćdziesiąt lat później jego kopie stały się powszechnie dostępne, zmusiło to kappana Manzikerta VI do abdykacji i wstąpienia do klasztoru.

111 Niestety Abraxis nigdy w żaden sposób nie skomentował podobieństwa charakteru ostatecznego pisma w obu częściach!

112 Oprócz wpisu opisującego sama masakre i decyzje Manzikerta I o wyruszeniu pod ziemię.

113 Sceptyk nie mniejszy niż Sabon bez większego entuzjazmu przytacza ludowe podanie, że Manzikert I, ten, który pojawił się w bibliotece, był w rzeczywistości wytworem grzybian – jego sobowtorem stworzonym z grzyba. Teoria ta wydaje się niedorzeczna, kiedy się jej słucha, musimy jednak pamiętać, że wyjątkowo często podobne historie o sobowtorach pojawiają się jako motyw w historiach związanych z grzybianami.

114 Kolejna wskazówka świadcząca o tym, że Manzikert nie był wysokim człowiekiem.

115 Podobnie jak dziś, również wtedy dzieci z nieprawego łoża nie były wśród duchowienstwa czymś wielce wyjątkowym; o ile bardziej interesujące byłoby odkryć, gdzie też mieszkali owi syn z matką – być może w Nicei?

116 Sabon lakonicznie stwierdza: "Tonsure, na przestrzeni całej historii świata, był człowiekiem kompletnym w sposób idealny. Jakże więc można ulepszać doskonałość?"

117 Większość z tych bazgrołów ma naturę erotyczną i wydaje się zupełnie zbyteczna. Spośród nich następujące wersy, którym towarzyszą dopiski "d." (mające oznaczać "dyktowane"), nie pojawiają się w żadnych znanych tekstach religijnych. Uczniowie są przekonani, że są one przykładem poezji grzybian w przekładzie Tonsure'a.

Jesteśmy starzy.

Nie mamy zębów.

Przelykamy, co przezujemy.

Przezuwamy jaskolki.

Później wydalamy, co przezuwamy.

Jaskolki wydalamy.

Biedne jaskolki, już nie latają gdy z nas się wydostają.

Jeśli to w rzeczywistości jest poezja grzybian, to musimy przyjąć, że albo sam tłumacz – znajdujący się w stanie wielkiego napięcia i pozbawiony niezbędnego światła – wykonał niezbyt dobrą pracę, albo sami grzybianie charakteryzowali się kolosalnym brakiem talentów poetyckich.

118 Nawiasem mowiac, sa za.

119 Ulubiona teoria Laconda, szyderczo wysmiewana przez Sabon. Swoja droga, oboje winni walczyć ze sobą nieustannie na arenie historii, dłońmi pieszcząc nawzajem swe szyje, ze splatanymi na wieczność nogami, i wciąż żadne z nich nie powinno nigdy wygrać w tak subiektywnej materii jak historia teoretyczna. (Moja ulubiona teoria mówi, że Lacond i Sabon są dwoma przeciwnymi i sprzecznymi alter ego jednego wiecznie rozdartego wewnątrz historyka. Och, gdyby tylko mogli jakos dojść do porozumienia).

120 Sabon zasugerowała, że grzybianie posiadali coś na kształt zoetrope – "latarni magicznej", zdolnej rzucać obrazy na ściany. Jeśli zaś chodzi o odwołanie do "Straznika", nie pojawia się ono nigdzie więcej w całym tekście i co za tym idzie, jest frustrująco enigmatyczne. Wielu historyków zakończyło karierę, roztrzaskując się na skalach dziennika Tonsure'a; odrzucam więc tu pomysł osobistego podważenia za fałszywym światłem podobnej latarni morskiej.

121 Mam pewną słabość do teorii Laconda, według której dziennik Tonsure'a jest zaledwie wstępem do obszernego dzieła fikcji literackiej, czy też dokumentu, zapisanego na ścianach podziemnych korytarzy, oraz że owo dzieło, gdyby tylko ujrzało światło dzienne, w zupełności zrewolucjonizowałoby nasze rozumienie wszechświata. Osobiscie wierzę jednak, że takie dzieło w najlepszym wypadku może zmienić nasz odbiór Laconda – bowiem jeśli by istniało, wtedy historycy działający w głównym nurcie zaakceptowałyby przynajmniej jedną z jego teorii.

122 Ostatnia miała miejsce trzydzieści lat temu i w jej efekcie zaginal cały zespół Ambergrińskiego Towarzystwa Historycznego wraz z dwoma psami maskotkami.

123 Jeszcze do niedawna można było uczestniczyć w wycieczkach po rzekomych tunelach grzybian, prowadzonych przez niejakiego Guildo Zardoza. Po napojeniu swych turystów napitkami zaprawionymi środkami halucynogennymi Zardoz sprowadzał ich do własnej piwnicy, gdzie kilku karłów w filcowych kapeluszach już tylko czekało na sygnał, by z okrzykiem "Buuu!" wyskoczyć z ukrycia. Radny dzielnicy z ciężkim sercem zmuszony był zamknąć ten przybytek po tym, jak pewna staruszka ze Stockton dostała tam ataku serca.

124 Później zaprzestano jego produkcji, gdyż był zbyt rzadki.

125 We fragmencie powieści Polnoc Munfroe'a można przeczytać: "Działo się to w tak obrzydliwie gęstej ciemności, że światła z domu Krotcha tak dzgaly mnie po oczach jakby zza grobu, aż nie byłem w stanie dłużej obstawać przy pomysle, że wszystko będzie ze mną w porządku. Musiałbym zabić sukinsyna. Musiałbym to zrobić, nim on zabrałby się za mnie. Ponieważ gdyby on zrobił to pierwszy, wtedy nie byłoby nawet mowy, bym sam mógł mu to zrobić".

126 Z pewnością jest to możliwe – Glaring przeprowadził rozmowy z wieloma truffidianskimi mnichami i przeczytał wiele ksiąg na ten temat, z których ledwie garstce udało się przetrwać do naszych czasów.

127 Sabon zauważa, że Glaring przechowywał kopie swoich fałszerstw. Co więcej, zauważa, że w napisanym do przyjaciela liście wspomina on o "raczej niesamowitym i nadzwyczajnym rodzaju pamiętnika, który zlecono mi podrobić". Sabon wierzy, że to Glaring wykonał prawdziwe kopie oryginalnych stron. Jeśli tylko tak było, nikt do tej pory ich nie odnalazł.

128 Być może zbyt okrutnie jest myśleć, że tak jak Tonsure pragnął z całych sił wyrazić się i komunikować pod ziemią, tak również stara się być słyszany obecnie nad jej powierzchnią, gdy Glaring i jemu podobni z równie wielkim przekonaniem starają się go uciszyć.

129 Mimo iż Sabon, co jest do przewidzenia, również zeznania naocznego świadka Nadala uznaje za kolejną mistyfikację Glaringa.

130 Osobście udalem się do Zamilonu, by obejrzeć tam na własne oczy kartkę, o której mowa. Jednak na obecnym etapie mojej osobliwej kariery nie jestem skory do jakichkolwiek wypowiedzi i odmawiam wszelkich komentarzy dotyczących jej autentyczności czy ewentualnego fałszerstwa.

131 Ograniczone co prawda do łamów mało znanych dzienników historycznych i religijnych broszur.

132 Cadimon Signal był moim przyjacielem i w związku z tym, by uniknąć konfliktu interesów, nie będę się tu wypowiadał na temat jego niezliczonych zalet – siły charakteru, wysmienitego poczucia humoru czy też rasowych win ukrytych w jego piwniczce.

133 Nazywanego wtedy Instytutem Religijności w Morrow.

134 Kalif dla własnej wygody zarządził dopisanie w dzienniku złotych numerów stron.

135 Signal donosi, że oddelegowany do ich obsługi urzędnik "przerzucał strony w tak niespotykanym tempie, że z trudem w ogóle mogliśmy je dojrzeć. Gdy nadszedł czas podania numerów wybranych przez nas dziesięciu stron, najzwyczajniej wybraliśmy je na chybił trafił, a wtedy z wielką pompą i majestatem przeprowadzono przekazanie ich osobie dozorującej, która z równie wielką celebrą rozpoczęła wyszukiwanie pierwszej ze stron, podczas czego zmuszono nas do wyjścia na korytarz w obawie, że moglibyśmy dostrzec któreś z innych, zakazanych stron. Zanim odnaleziono i przedstawiono nam pierwszą z wybranych przez nas stron, minęło dwadzieścia minut, a ta, poza odnośnikiem "Patrz strona następna", okazała

się pusta".

136 Jego postać jest tu nalezycie wysoka, mimo iż tors i nogi figury na cokole (podobnie jak sam kon – Manzikert nigdy nie widział konia na oczy, nie wspominając już o tym, by miał go kiedykolwiek dosiadać) nie należą do Manzikerta I, lecz są jedynie pozostałością po hippicznym pomniku, datującym się na okres krótkotrwałej okupacji miasta przez Kalifa – do którego ktoś, i to raczej w dość niedbaly sposób, doczepił głowę Manzikerta. Oryginalny pomnik Manzikerta I był nieznaną nam obecnie wysokości i przedstawiał władcę w otoczeniu swoich ukochanych szczurów, całość zaś odlano w Brazylii. Jakis przedsiębiorczy, choć niezbyt roztropny, biurokrata sprzedał bezgłowy pomnik na złom arcyksięciu Banfours wiek przed inwazją Kalifa; ten natomiast niezwłocznie przetopił go na kule armatnie, z czułością ochrzczone "Staruszką Manzikertem". Kula ta posłużyła mu następnie do wypatroszenia wnętrza samego Ambergris podczas jednego z bombardowań. Co do szczurów, są one obecnie ozdobą małego ołtarza w pobliżu akweduktu, a wyglądem przypominają bardziej koty. Dzieje się tak dlatego, że modele rzeźbiarza zdechły podczas wykonywania zlecenia i by dokończyć dzieło, artysta zmuszony był posilkować się osobą własnego kotka pieszczołka.

137 Mimo wszystko, z pewnością bardziej krzepiąca i dodająca otuchy jest wiara, że źródło, na którym oparto niniejsze dzieło, jest prawdziwe, nie zaś, że jest w całości wyłącznie monstrualnym kłamstwem, prawda? I z tą oto przyjemną myślą żegnam cię, Turysto, tym razem opuszczając już na dobre. ? Gra słów. Szczur ("rat" w języku angielskim) rzeczywiście oryginalnie drzemie wewnątrz wymienionych wyżej słów – pirate, desperate i narrative (przytłum.).

1 Jak zwykły mawiać mój ojciec: "Mglistość wiedzy laików jest głównym powodem ich nienawiści skierowanej przeciwko nauce" (Patrz: Madnok James: Teoria grzyba). W jakim kontekście ojciec wypowiedział te słowa? W dyskusji dotyczącej podziemnych mieszkańców miasta, owych szarych kapeluszy częściowo otoczonych zasłoną tajemnicy, oraz rzekomo przez nich wywołanego masowego zniknięcia, znanego jako "Cisza"

2 Król Kalamarnic zjada wszystkie z wymienionych tu gatunków, zarówno dość regularnie, jak również z wielkim smakiem i upodobaniem.

3 Po raz pierwszy zetknąłem się z tekstem panny Floxence w rodzinnej bibliotece. Zaszliśmy tam bowiem kiedyś z ojcem, uciekając przed gniewem matki związanym z jakimś wyjątkowo trywialnym występkiem. Wtedy właśnie ojciec sięgnął na półkę, skąd wyciągnął tom panny Floxence, kierując się tylko tym, że należał on do ulubionych książek matki, oraz mając wrażenie, że przydałoby mi się odrobina śmiechu. Następnie czytał mi na głos fragmenty książki, na co odpowiadałem chichotem. Nie mogę więc udawać obiektywności względem książki jej autorstwa.

4 Fakt z czuloscia wrecz zarejestrowany w pracy opisujacej badania D.S. Nalangera, Rybie preferencje kalamarnic slodkowodnych zaobserwowane podczas kontrolowanych eksperymentow z wykorzystaniem haczyka, przynety i lodzi, jak rowniez silnej linii dociekan, publikacja w toku.

5 Chociaz w rzeczywistosci Towarzystwo nigdy nie opublikowalo monografii z ich drugiej wyprawy, jednakze taka (cieniutka) broszurka moglaby nosic nastepujacy tytul: Enocha i Bernarda nieoczekiwanie dobiegla konca podroz, podczas ktorej nasza lodka przewrocila sie, a krokodyle w wielkiej sile wyczynily radosne harce na naszym...

6 Klasyczne studium przypadku rzeczownika monotonnej, codziennej rzeczywistosci, ktory staje sie szalonym przymiotnikiem.

7 Moj ojciec mial stalowoszare oczy, ktore potrafily z naukowa gorliwoscia skupiac sie na obiekcie zainteresowania. Wystarczylo, ze raz tylko na ciebie spojrzal, a juz nigdy, takie przynajmniej miales wrazenie, nie byles w stanie umknac jego spojrzaniu, nawet gdy odwracal sie plecami. Oczy mojej matki byly bladoblekitne i nigdy nie wpatrywaly sie w ciebie zbyt dlugo. Nigdy tez nie podazaly za wymagajacymi i grymasnymi szczegolami srogich slow, ktore przez caly czas wplywaly z jej ust, lecz trzepotaly, przeskakujac to tu, to tam. Polecalbym kazdemu mlodemu kalamarologowi, by na samym poczatku swej kariery zaglebil sie w oczach wlasnych rodzicow, nim jeszcze zechce spojrzec wprost w oczy Krola Kalamarnic. Jakiez bedzie bowiem jego zdziwienie, gdy odkryje podobienstwa, wbrew wszelkim roznicom dzielacym tak odlegle gatunki...

8 Blakajacy sie po swiecie badz sprawiajacy problemy kalamarolog moze w rzeczywistosci wiedziec wiecej na ten temat, lecz tacy sa ograniczani do restrykcyjnie zamknietej scenerii, w ktorej tak trudno uzyskac wlasciwe ksiazki i inne konieczne narzedzia, tak nieodzowne do rozwijania raz obranej profesji. Patrz: przypis nr 3. (We wczesnych latach pewien rodzaj transformacji moze wydawac sie nieodzowny, a nawet pozadany. Zwykle jednak to tylko stan mlodosci. Jednakze w niektórych dosc rzadkich przypadkach moze sie rozwinac w cos precudnego. Zainteresowanych odsylam po wiecej informacji do dzieł M.A. Roberts).

9 Rozwazajac temat grzybow wzgledem ogolu populacji, porownalbym ten problem do zaufania ojca do rozrastajacych sie cial grzybow. Moj ojciec byl niezachwianym wyznawca niewidocznego dla oka swiata, gdyz tak wiele jego badan wymagalo uzycia mikroskopu. Tworzyl to wyrazny kontrast pomiedzy nim a moja matka, uzywajaca najprzerozniejszych niebianskich i psychicznych teleskopow w nadziei, ze uda sie jej dostrzec chocby na mgnienie oka skrawek Boga. Gdzies miedzy tymi dwoma ekstremami lezy mlodociane stadium kalamarnicy krolewskiej, ktore mimo iz obserwowalne przy uzyciu mikroskopu, zwykle musi sie czuc jak maly bog, unoszacy sie w niczym nieograniczonej przestrzeni ciemnosci.

10 Patrz: Richard Smythe: Podrooz poczatkujacego kalamarologa amatora w kierunku samorealizacji: Kalamarnica i ja.

11 Patrz: fascynujaca praca Fredericka Ropera Incydentalne wtargniecia kalamarnic miedzy spoleczenstwa dolnej Moth: Anegdotyczne dowody potwierdzajace potrzebe istnienia obszarow zabezpieczonych przed kalamarnicami.

12 Co pozostawia Edgewicka z jednym jedynym przekonujacym wnioskiem, zaledwie zasygnalizowanym w jego ksiazce: "Edgewick podazal za barkami wypelnionymi smieciami". Moj ojciec zwykl nazywac tego typu rzeczy "teoria bezksiazkowa".

13 Dodam tu, tak z reka na sercu, ze latwiej byloby zaledwie pokazac piekielna i nieprzyjemna rzecz nizli musiec ja opisywac.

14 Relacje naocznych swiadkow wyrazaja poczucie zazenowanego przerazenia. John Kuddle, oficer finansowy, byly bankier-weteran za rzadow Trilliana, donosi o tym nastepujacymi slowy: "Szedlem sobie wlasnie z wielka torba pieniedzy na ramieniu wzdluz cichej nadrzecznej sciezki prowadzacej do miasteczka Derth. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, cos we mnie uderzylo i powalilo na ziemie. Monety z torby poszybowaly w kazda mozliwa strone. Dopiero gdy zebralem sie na nogi i moglem ocenic wlasna sytuacje, okazalo sie, ze jestem przemoczony do suchej nitki, a na dodatek caly pokryty strzepkami alg, i uswiadomilem sobie, komu to wszystko zawdzieczam, oraz, a jakze, zobaczylem go, wielki kawal sukinsyna, rozwalony w wodzie, z uniesionym plaszczem i tym wpatrzonym wprost we mnie okiem niczym ocynkowana blacha, jakby pytal:»Co tez zamierzasz teraz z tym zrobic?«". (Lokalne praczki rowniez donosza o zniewazaniu przez rozbawione kalamarnice).

15 Jesli zas chodzi o dowody swiadczace o istnieniu duszy, nie jestem w stanie zaoferowac nic bardziej poszlakowego niz slowa mojej matki wyglaszane podczas jakze czestych powrotow z Kosciola Truffidianskiego: "Gdy cos nie posiada mogacych mu grzechotac wewnatrz kosci, nie mozna tak naprawde stwierdzic, ze w pelni posiada dusze". (Zaledwie powtarzala bez namyslu slowa ksiedza, z którym podzielila sie obawami zwiazanymi z moim zainteresowaniem kalamarologia. Nie nalezy tu juz jednak dodawac, ze jej obawy okazaly sie zupełnie bezpodstawne i nieuzasadnione).

16 Zoolodzy tak naprawde nigdy na wystarczajaco dlugo nie zawiesili oka na tym wielorybie, nie wspominajac juz o dokonaniu jego klasyfikacji.

17 Niektore gatunki kalamarnic znane sa z umiejetnosci tak doskonalego kamuflazu, ze przyjmuja ludzkie ksztalty. (Patrz: Kranch George, który twierdzi, jakoby "zwykle trafial na kalamarnice maskujace sie jako istoty ludzkie". Jak tez mozna je odroznic? Otoz "musisz spojrzec na rzekomego czlowieka katem oka. Jesli

dostrzegasz wtedy efekt falowania na krawedziach jego kształtu, wtedy tak naprawdę masz do czynienia z kalamarnicą". Nierozważny patafian Kranch dzieli się również z nami następującą mądrością: "To oczywiście, że czasem widzę jedynie plamki na słońcu. A konieczność uwolnienia złapanej w sieć kalamarnicy w ludzkim kamuflażu może być wielce krepująca i zenująca").

18 Brong jest najwyraźniej sympatycznym pacanem wołającym do nas z długiego szeregu podobnych mu tłumoków pierwszego sortu, dla którego byłoby o wiele lepiej, gdyby zajął się zliczaniem płetw owych jakże nudnych ryb, z jakimi rymuje się jego nazwisko. Brong dokonał swego nurkowania w zamknięciu metalowego kombinezonu, do którego dostarczano mu powietrze za pomocą długiego wężyka. Przyjmując, że jednak otrzymywał wtedy przez swą jakże krucha linkę łączącą go z życiem wystarczającą – konieczną, by uniknąć uszkodzenia mózgu – ilość tlenu, i tak miał tam ledwie wąską szparę widoczności w swym hełmie ze szkła nędznej jakości. Taka widoczność, jak już wcześniej wykazałem, rozprawiając się z kompetentną inaczej panną Floxence, okazuje się i tak sporna w związku z wysoką zawartością mulu w nurcie Moth. Co za tym idzie, mam wielkie trudności, by uwierzyć w opis "złożonych metod komunikacji, utrzymujących mnie w niewysłowionym zachwycie, tych gibkich macek zakreslających tak gładkie luki, układających się w znaki i tak złożone litery, że nijak nie byłem w stanie ich rozszyfrować, lecz tak czy inaczej na ich widok opanowywała mnie groza zmieszana z respektem dla ich magicznego znaczenia". Na które odpowiem mu prosto: Staruszkule, to tylko mety! Mety! Mety i mul! Pamiętaj o ich obecności, nim zaczniesz fabrykować tak odrażające kłamstwa. (Co, jestem przekonany, jest również dobrą radą dla każdego młodzieńca, w którym drzemie aspiracja, by zostać kalamarologiem).

19 Replika owej przesłanej, jak rozumiem, nie dalej jak w ubiegły czwartek wystawiono w części poświęconej rozwojowi nauki Muzeum Morhaimowa (gabinet Nauk Biologicznych), przynajmniej zgodnie z listem, który właśnie otrzymałem.

20 Gdyby podobne odwrócenie zwykłych profesjonalnych zależności mogło zostać zastosowane w innych dziedzinach, przelożyłoby się to na pożytek dla ogółu populacji.

21 Dziwnym trafem, kolorystyka tego schematu pasuje do kolorów znanych nam z flagi Ambergris.

22 Fakt, że notatki tych dwóch pionierów badań nad kalamarnicami wciąż nie zostały opublikowane i muszą być zmusznie, odrecznie przepisywane przez opiekunów, a następnie rozpowszechniane wśród wszystkich zainteresowanych na konferencjach poświęconych kalamarnicom, jest zwykłą trawestacją nauki. Wina za to spada z pełną siłą i stanowczością na ramiona przeciwników bezkregowców z tak zwanych "akademickich magazynów naukowych".

23 Moj ojciec cierpiał z powodu podobnej przypadłości w swym związku z matką. Jednakże nie pozwolił, by zrujnowało to jego badania, choć trzeba przyznać, że w pewnym stopniu "pozbawiło je głosu". Chciałbym tu dodać, że matka błędnie pojmowała badania ojca, lecz obawiam się, że rozumiała je aż nazbyt dobrze. Mimo iż bardzo ją kochałem, zastanawiam się, co mogłoby wyniknąć z badań przeprowadzanych przez ojca, gdyby tylko pozostawiała go, by mógł polegać na własnym rozumie przez dłużej niż dziesięć minut pod rząd.

24 Nauki przez duże N, jak mniemam. A nie, jak wmawiał mi tak niedawno pewien pokrecony ambiwertyk o skłonnościach mezomorficznych – pewnych antykalamarnicznych organizacji terrorystycznych. Większość teorii, jakie się słyszy, nie jest warta nawet powtarzania.

25 Szyderczo się usmiecham, słuchając ludzi twierdzących, jakoby Furness i Leepin już na długo wcześniej byli pijani, a spisali owe brzemienne w skutkach wydarzenia, które zrujnowały ich reputacje, jedynie jako intryge mająca na celu wyludzenie odszkodowania za zniszczoną łódź mieszkalna – takie plotki nigdy nie otrzymają ode mnie nawet najmniejszej odpowiedzi.

26 Z pewnością jednak nie po to, by mnie uwolnić, wbrew moim wieloletnim wysiłkom w ich imieniu.

27 Naoczni świadkowie są przekonani, że Bauble był brzuchomowcą podkładającym głosy postaciom ze sztuk. Co jednak, jeśli głosy zawdzięczamy Hellatose'owi?

28 Z wyjątkiem dziwnego komiksu dla dzieci zatytułowanego Przygody Hellatose'a i Bauble'a, drukowanego przez kilka lat w miejscowych dziennikach. Oto przykładowa próbka ich tekstu:

Bauble i Hellatose siedzą w swym namiocie cyrkowym, Bauble na krześle, Hellatose zaś taplając się w swym basenie. Bauble zaczytany w plachcie gazety opisującej obecny stan polityki Ambergris. Hellatose popija, przez bardzo długą słomkę, lekko alkoholizowany napój, do którego wetknięto małą parasoleczkę. Mają za sobą wyjątkowo długi i zmudny dzień, który minal im na wykonywaniu złożonych psychodram przed publicznością składającą się z beztroskich i zasmarkanych dzieciaków.

Hellatose: Bauble?

Bauble: Tak, Hellatosku?

Hellatose: Bauble, dlaczego nie jestem lepiej znany?

Bauble: Lepiej znany jako kto, Hellatosku?

Hellatose:]ako dramatopisarz, Bauble. Dramatopisarz. Powinienem byc rownie znany jak Voss Bender.

Bauble (zaczytany w swej gazecie): Naprawde?

Hellatose: Tak. Powinienem. Zdecydowanie nie powinno mnie byc TUTAJ. (Wymachujac mackami, wskazuje na ograniczenia narzucane mu przez namiot).

Bauble: Jestes kalamarnica, Hellatosku.

Hellatose: Tym bardziej. Powinienem taplac sie na wlasnym honorowym miejscu w prywatnej kalamarolozy w teatrze.

Bauble: Kalamaroloze nie istnieja, Hellatosie.

Hellatose (wzdychajac): A powinny, Bauble. Zdecydowanie powinny.

29 Moja rodzina, gdy jeszcze mielismy kalamarony, uzywala do pisania atramentu kalamarnic. Gdy tylko nam go zabraklo, kalamarnicy zawsze przynosili go do domu w szklanych pojemnikach. Gdybym juz wtedy zdawal sobie sprawe, jakie zniewagi i upodlenia musialy znosic kalamarnice podczas jego gromadzenia, wykorzystywalbym do pisania wylacznie bardziej konwencjonalne substancje. Moj ojciec jednakze nigdy nie przestal uzywac tego rodzaju atramentu, wiec tak naprawde nigdy w pelni nie wyrugowalismy jego obecności z naszego domu.

30 Jak na ironie, moja matka uwielbiala Festiwal za jego koloryt i widowiskowosc. Naprawde wierzyła w słowa oswiadczenia Kosciola Trufndianskiego, który ogłosil go "odzyskiwaniem Boga". Moj ojciec, z drugiej strony, widzial w nim jedynie frywolnosc i niebezpieczenstwo – poczatkowo zabranial mi wiec uczestnictwa w Festiwalu, mimo iz nigdy nie powiedzial dlaczego.

31 Czasem czyjas wolnosc, co wie kazdy kalamarolog, zalezy od wzoru, w jaki uklada sie atrament kalamarnic powoli rozchodzacy sie w wodzie.

32 Sytuacja ta nie jest pozbawiona pewnego humoru, gdyz bardzo przypomina te istniejaca w zamkniętych murach szpitala psychiatrycznego: gdzie w ciemnych pomieszczeniach, w podobnych strojach, nieprzystajace umysly probuja stworzyc i zbudowac wspolna jednomyslna rzeczywistosc, która przy wrecz monumentalnym wysilku wzajemnej empatii nie jest w stanie – i nigdy nie bedzie! – przyjac konkretnej formy. (Jesli, czytelniku, nie przypada ci do gustu wlasnie przybrany przeze mnie ton, pamietaj, ze on moze sie zmieniac w zaleznosci od nastroju, pory dnia oraz otrzymanych dawek medykamentow).

33 Lepiej juz byc, jak ja, pozbawionym mozliwosci uczestnictwa w praktykowanym tu "Festiwalu" – przypomina on bowiem prawdziwy w ten sam sposob, w jaki

rozmoczona babeczka przypomina tort weselny.

34 Niestety, mlody kalamarologu, jest malo prawdopodobne, bys w miejscach, w ktore trafisz w swych wysokich wodoodpornych buciorach, mial ujrzec jakas kobiete. A w pelni zrozumie cie jedynie kobieta kalamarolog, te zas sa niestety tak bardzo niespotykana rzadkoscia; nie kazdy Furness odnajdzie swa Leepin. Pewne pocieszenie mozna czerpac z dokonywania obserwacji aktywnosci cielesnych samicy kalamarnicy krolewskiej, lecz nawet w czymys takim drzemie pewne niebezpieczenstwo.

35 Zagadnienie przemocy zwiazanej z Festiwalem oraz zaangazowania wen szarych kapeluszy, podziemnych mieszkancow Ambergris, lezy juz poza zasiegiem niniejszego podrozdzialu, co wiec za tym idzie, zdecydowalem sie w chwili obecnej w zupelnosci zignorowac te wielce nieprzyjemna kwestie.

36 Patrz: Cane Albert.

37 W obliczu posuchy faktow mozna przynajmniej pokusic sie o takie stwierdzenia dotyczace historii Festiwalu, na ktore, mimo iz nudne, bedzie mozna przysiac przed przesluchujaca cie komisja.

38 Podobnie jak, by byc tu wrecz brutalnie szczerym, polowa obecnych ambergrianskich prze-glupo-sadow, w tym takich jak ten, ze posiekane surowe mieso krolika zadziala jako odtrutka na spozycie trujacych grzybow, a zanurzenie w basenie wypelnionym krwia pochodzaca z watroby zwierzyny plowej ma niby ozywiac martwych. Wierzcie, gdybym uwazal, ze cos takiego zadziala, juz dawno bym tego sprobował. (Patrz: Stindle Bernard). Przynajmniej wspolczesnego ograniczenia, jakim jest psychoterapia, nie mozna podrzucic i zostawic pod drzwiami Dogghe.

39 Spisane przez szalenca, jesli tylko jestes w stanie w to uwierzyc, a wciaz nieustannie czytane.

40 W przeciwienstwie do tak wielu ludzi. Niektorzy, w tym rowniez moja matka, nie mogli przestac modlic sie o wieczne potepienie miejscowej pomocy.

41 Wabienie kalamarnic jakos nigdy nie stalo sie popularnym sportem.

42 Ci cisi i milczacy samotnicy musza miec najsrozsze, a rownoczesnie najspokojniejsze usposobienie w czasie zajmowania sie praca. Tak wlasciwie to wielu z nich zatrudnia sie w kalamarnonach, by w pozniejszym czasie stac sie samotnymi lowcami badz poskramiaczami kalamarnic, i zwykle trafiaja wtedy w zapadle ostepy Moth, gdzie stojac na swych kalamarudlach wyczekuja cierpliwie na najmniejsza chocby zmarszczke badz poruszenie tafli wody.

43 Moja matka byla oddana truffidianka. Kazdej nocy przez godzine

towarzyszyliśmy jej z ojcem w modlitwach. Mimo iż, zarówno wtedy, jak i obecnie, obowiązywała mnie reguła, że nie mogę wychodzić na zewnątrz, matka nalegała, byśmy wyprawiali się do kościoła: tego stęchłego i zaniedbanego miejsca, gdzie przypominające ludzi bydło siadało w lawach.

44 Zupełnie nieoczekiwanie odczuwam wielką chęć, by uderzyć w bardziej autobiograficzne tony, lecz powstrzymam się z tym, póki nie znajdzie się ponownie pomiędzy książkami zebranymi przez moich przodków w rodzinnej bibliotece. (Czyżby był to mój własny "przełom" w osobistym rozwoju, tak długo obiecany mi przez rządzących tu bostwa? Przedziwne. Bardziej odbieram to jednak jako swą ostatnią godzinę. Wyczuwam wielki, rozwierający się przede mną bezmiar, głęboka zyle wodna, której nigdy wcześniej nie pokonywała ani żadna ryba, ani kalamarnica).

45 Być może zbyt obrazowa, lecz jakże celna.

46 Co innego można tu robić? Inni mieszkańcy tej jakże wspaniałej instytucji nie podzielają ani moich zainteresowań, ani usposobienia. Gdybym tylko mógł przebudzić w nich choćby słabe zainteresowanie kalamarologią, mogłbym wtedy czerpać pociechę z lektury, czy nawet z niezobowiązującej rozmowy podczas pustych szarych godzin switu, ale niestety tak się nie stanie...

47 Wierzę, że mój oddany grzybom ojciec podczas swego upadku pracował nad podobną teorią. Być może wyjaśnia to jego chorobliwe zainteresowanie porzuconymi kalamaronami. Jak się jednak niefortunnie składa, nie posiadał koniecznych podstaw z zakresu kalamarologii, by móc rozwinąć taką teorię.

48 Za panowania kappanów szare kapelusze jeszcze nie udoskonaliły opisywanego systemu, więc miasto nie stało się tak uzależnione od mięsa kalamarnic. Dlatego właśnie być może szare kapelusze pracowały nad jego ulepszeniem, by stało się bardziej soczyste w naszych ustach, a co za tym idzie, bardziej uzależniające. ?? ?? ?? ??

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-01

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/